



artefakty

# JOHN BRUNNER

ŚLEPE STADO



# Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

grudzień

Przepowiednia

Masakra

Znaki czasów

Nie jest nam pisane

Kurza grzęda

Przyrośnięci do aut

To tylko gaz

Przeciwieństwo piekarnika

Krwawiące serce to ropiejąca rana

Praprzyczyna problemów

Deficyt

Mimo dobroczynności jest jako miedź brzęcząca

To miejsce na reklamę wydawca bezpłatnie oddaje na cele społeczne

Od znaku do znaku

Morał z XX wieku

Nie mieszać

Pomoc

styczeń

Odmaszerować  
Powyżej prędkości dźwięku  
Śnieżna lawina  
Rachunek krzywd  
Szczyry  
Nie większy niż ludzka dłoń  
Memento laurae  
Wyprzedzając wiadomości  
Można się było spodziewać  
Przejdź na stronę czystości  
Kop  
Najdrobniejszy ślad  
I dzieje się dalej  
A poruszę Ziemię  
Konfrontacja

luty

Pochwała biocydów  
To boli mnie bardziej  
Nieustająca debata  
Strzelać bez rozkazu  
Naturalny wygląd  
Opętanie, 9/10  
Stawiam na opór

Nieodzowni pomocnicy

Odejście od zmysłów

Jedźcie na zdrowie

Z mocnego wyszło

Mam rękę do roślin, ale czasem odpadają palce

Podnosi paskudną głowę

Niełaska

Nie znajdzie się w wiadomościach

Apel o pomoc

## marzec

Mnożenie na piśmie

Dar owadów

Brzytwa dla tonącego

Riposta

Środki zapobiegawcze

Weź się w garść i próbuj jeszcze raz

Raport z laboratorium

Cuda współczesnej cywilizacji

Wystrzępiony rękaw

## kwiecień

Heros niech gra

Ofiara I wojny światowej

Nie dotykać

Próba

Zanim się nam niekulturalnie przerwie

Błogosławieni o zdrowych kiszkach

Testy pozakliniczne

## maj

Bierz, póki jest co brać

Od deszczu

Brak ojca, jak dotąd

Zły wiatr

Skutki uboczne

Zachmurzenie

Z trzewi Ziemi

Pieskie czasy

Plan: mapa świata

Spalić przed sobą mosty

Podziemny ruch

Nad morzem, martwym

## czerwiec

Pogląd ciągle dosyć powszechnie wyznawany

Epoka pary

Strzelać do wszystkiego, co się rusza

Zająć stanowisko i trzymać

Sygnal do startu



Dokładnie w tej chwili  
Towarzysze niedoli  
Koncentracja sił  
Krytyczna sytuacja, krytyczne myślenie

## lipiec

Konsumujący i konsumowani  
Lont  
Sytuacja krytyczna  
Wybuchowe konsekwencje  
Wy, na ulicy, morda w kubek  
Czy pan zamawiał trzęsienie?  
To jeszcze nie koniec świata, co?  
Urażony  
Rekordowa oglądalność w szczycie  
Ostrość wróciła

## sierpień

Ścigany przez harpun z ładunkiem wybuchowym  
Tam trawa jest bardziej brązowa  
Przełom wód  
Ktokolwiek widział któregoś z tych owadów  
Słabe lato  
Już nie widać gór  
Koniec dokarmiania

Powrót

Naturalna równowaga

Koniec długiego, ciemnego tunelu

Bezpośrednie trafienie

Autentyk

Nie poddaje się ścisłej analizie

## wrzesień

Matkogwałt

Martwota

Za dużo problemów

Przesunięcie akcentów

Wrogowie sami wchodzą mi w ręce

By wymienić zaledwie kilka

Przegląd

Wizja

Skurcze

Nagły atak

Zstąpienie do piekieł

Ból pośredni

Wymknęło się spod kontroli

## październik

Nakręceni ludzie

Ogłoszenie stanu wojennego

Ale im powiedział!

Do normy

Wstępny projekt

Jazda po kwasie

W przygotowaniu

Powrót do domu

Szybki powrót do zdrowia

Do pionu

Spóźnione wiadomości

## listopad

I skąd weźmiemy na sól?

Pseudonim

Jest jeszcze nadzieja

Uzbrojony

Rozpoznał go zdumiony

Racjonalna propozycja

Dym z tego wielkiego budynku

## następny rok

Ślepe stado



John Brunner

ŚLEPE STADO

Przełożył Wojciech M. Próchniewicz

Wydawnictwo MAG  
Warszawa 2016

Tytuł oryginału: *The Sheep Look Up*

Copyright © 1972 by John Brunner

Copyright for the Polish translation © 2016 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Joanna Figlewska

Korekta: Urszula Okrzeja

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Tomek Laisar Fruń

Projekt graficzny serii, projekt okładki oraz ilustracja na okładce: Dark Crayon

Nazwa serii: Vanrad

Redaktor serii: Andrzej Miskurka

ISBN 978-83-7480-693-0

Wydanie II

Wydawca:

Wydawnictwo MAG

ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa

tel. 22 813 47 43, fax 22 813 47 60

e-mail [kurz@mag.com.pl](mailto:kurz@mag.com.pl)

[www.mag.com.pl](http://www.mag.com.pl)

Wyłączny dystrybutor:

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk

Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.

tel. 22 721 30 00

[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)

Skład wersji elektronicznej

[pan@drewnianyrower.com](mailto:pan@drewnianyrower.com)

grudzień

## PRZEPOWIEDNIA

*Nadejdzie dzień taki, że na każdej łące  
Bezpieczne zobaczymy dziecko igrające,  
Wilk drapieżny nie skoczy nań niespodziewany,  
A o lwach się nauczy z ksiąg ilustrowanych.  
Z żadnego wiekowego drzewa gałąź, co spróchniała,  
Nie spadnie, aby głowy mu nie zgruchotała,  
Z puszczy wielkiej zostaną schludne zagajniki,  
Pustynie się zamienią w zielone trawniki.  
Dzieci zaś na wypróżdki i sepleniąc srodze,  
Powiedzą sobie – pierwsze: z Zachodu pochodzę,  
Gdzie dziadek mój nad groźnym stanął oceanem  
I zmienił go w jezioro trudem okietznane.  
Kolejne zaś odpowie: ja jestem ze Wschodu,  
Gdzie niegdyś bestia żarłocznego rodu  
Żyła i kły szczyrzyła, jeśli wierzyć matce;  
Widziałem zresztą taką, lecz zamkniętą w klatce.  
Podobnie na Północy, dawniej pod śniegami,  
Teraz wielkie domostwa ciągną się rzędami,  
Brzmi piękna melodia, to się dziecko śmieje,  
Są drogi i telegraf, żelazne koleje.  
Także Południe – polarne kipiele spienione –  
Cóż za cel szlachetny – dziś udomowione.  
Marzenia te niezawodnie umysł napędzają  
I dzielnych Anglików do działania pchają...*

„Christmas in the New Rome”  
[Święta w Nowym Rzymie], 1862

## MASAKRA

Ścigany?

Przez dzikie zwierzęta?

W biały dzień, na autostradzie do Santa Monica? Obłąd! Istny obłąd!

Prawdziwy archetypowy koszmar: uwięziony, bez tchu, niezdolny się poruszyć, a olbrzymie, złowrogie potwory zbliżają się coraz bardziej. Korek ciągnie się na ponad milę, trzy pasy próbują wcisnąć się w zjazd mający tylko dwa, cuchnąc, tłocząc się i rycząc. Na razie jednak bardziej bał się ucieczki niż pozostania na miejscu.

Lśniące kły odbijały szary połysk chmur. Puma.

Obnażone, wysunięte pazury. Jaguar.

Sprężająca się do skoku. Kobra.

Wiszący na niebie. Sokół.

Wyglodniała. Barrakuda.

Ale gdy w końcu nerwy nie wytrzymały i rzucił się do ucieczki, dopadło go coś całkiem innego. Płaszczka.

## ZNAKI CZASÓW

PLAŻA OBJĘTA JEST CAŁKOWITYM ZAKAZEM KĄPIELI

WODA NIEZDATNA DO PICIA

NIEZDATNE DO SPOŻYCIA PRZEZ LUDZI

NALEŻY UMYĆ RĘCE (POD KARĄ GRZYWNY W WYS. 50 DOL.)

DOZOWNIK MASEK FILTRUJĄCYCH DO JEDNORAZOWEGO UŻYTKU PRZEZ  
MAKS. 1 GODZ.

TLEN  
25 CENTÓW

## NIE JEST NAM PISANE

Radio powiedziało:

– Zasługujecie na bezpieczeństwo. Na prawdziwą twierdzę!

Wjazd na parking pod firmą był zablokowany przez autobus, ogromny, niemiecki, elektryczny i przegubowy. Wypluwał pasażerów. Philip Mason, czekając niecierpliwie aż odjedzie, nadstawił uszu. Reklama konkurencyjnej korporacji?

Przypochlebny głos ciągnął, wsparty niemelodyjnym dźwiękiem wiolonczeli i skrzypiec.

– Zasługujecie na spokojny sen. Na wyjazdy wakacyjne, najdłuższe, na jakie możecie sobie pozwolić, wolne od trosk o pozostawione domostwo. Czyż nie mówi się, że mój dom jest moją twierdzą? Czy nie powinniście tak właśnie się czuć?

Nie. Nie firma ubezpieczeniowa. Jakaś parszywa firma deweloperska. Co w ogóle robi tu ten autobus? Oznaczenia ma z Los Angeles, fakt, odpowiedni kolor, nazwę na boku – ale zamiast tablicy z numerem i końcowym przystankiem ma napis WYNAJĘTY, a przez brudne szyby nie widać pasażerów zbyt wyraźnie. Nic dziwnego zresztą – jego szyba była tak samo brudna. Już miał zatrąbić, ale zamiast tego wcisnął guzik spryskiwacza do szyb. Chwilę później ucieszył się z tej decyzji – teraz był w stanie dostrzec wewnątrz twarze kilkorga znudzonych dzieci – troje czarnych, dwoje żółtych, jedno białe, obok niego kule inwalidzkie. Aha.

Radio gadało dalej:

– Zbudowaliśmy więc dla państwa tę twierdzę. W nocy uzbrojeni ochroniarze pilnują wszystkich bram, przez które można się dostać do osiedla, chronionego zwieńczonym kolcami ogrodzeniem. Osiedle Twierdza zatrudnia najlepiej wyszkoloną ochronę. Nasz personel rekrutuje się z policji, a nasi strzelcy wyborowi – z piechoty morskiej.

Której mamy pod dostatkiem, odkąd wykopali nas z Azji. O, autobus wrzucił kierunkowskaz. Przejeżdżając za jego tyłem, zauważył za tylną szybą tabliczkę z informacją o najemcy – Ziemi Fundusz Wspólnotowy, Inc. Mrugnął światłami do następnego auta, prosząc o zgodę na przejazd przed nim. Zgodę dostał, przyśpieszył – i moment później znów musiał ostro hamować. Przez wjazd przechodził inwalida, nastoletni chłopak-Azjata, najpewniej Wietnamczyk, z jedną nogą podkurczoną i przygiętą do uda, ręce szeroko rozłożone, żeby utrzymać równowagę w czymś w rodzaju aluminiowego balkoniku z licznymi paskami.

Z Haroldem, dzięki Bogu, nie jest aż tak kiepsko.

Wszyscy uzbrojeni strażnicy – czarni. Pot wystąpił mu na czoło na samą myśl, że mógł przejechać chłopaka pod lufami ich karabinów. Żółty to jak honorowy czarny. Dobrze jest mieć towarzyszy w niedoli. A skoro mowa o towarzyszach... towarzyszkach? Daj spokój, zamknij się!

– Nie będziecie państwo musieli obawiać się o dzieci – ciągnęło radio. – Opancerzone autobusy codziennie będą odbierać je spod drzwi i zawozić do dowolnie wybranej szkoły. Ani przez chwilę nie pozostaną bez opieki odpowiedzialnych i serdecznych dorosłych opiekunów.

Chłopak dokuśtykał na drugą stronę chodnika; Philip był wreszcie w stanie przesunąć się autem do przodu. Ochroniarz zauważył firmową naklejkę na szybie i podniósł biało-czerwony szlaban. Philip pocił się bardziej niż zwykle, bo był potwornie spóźniony – i choć nie była to jego wina, przepelniało go abstrakcyjne poczucie winy, przez które miał wrażenie, że dzisiaj *wszystko* to jego wina, od zamachów w Baltimore, po komunistyczny przewrót na Bali. Rozejrzał się wokół. Cholera. Wszystko zajęte. Nie było ani jednego miejsca, na którym mógłby zaparkować bez pomocy, chyba że poświęci masę drogiego czasu, żeby się gdzieś mozolnie wcisnąć.



– Będą się bawić w klimatyzowanych salach zabaw – obiecywało radio. – A ewentualna pomoc medyczna będzie na miejscu przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, i to po bardzo niskich, kontraktowych stawkach!

W sam raz dla kogoś zarabiającego sto tysięcy rocznie. Dla większości z nas nawet kontraktowe stawki są zaporowe – sam dobrze o tym wiem. Co, żaden z tych ochroniarzy nie pomoże mi zaparkować? Cholera, w życiu – wszyscy wracają na posterunek.

Wściekły, opuścił szybę i zamachał gwałtownie. Powietrze od razu wywołało kaszel, oczy momentalnie zaszyły łzami. Po prostu nie był przyzwyczajony do takich warunków.

– A teraz informacje policyjne – powiedziało radio.

Najbliższy ochroniarz podszedł do niego, bez maski, z miną wyrażającą odrobinę – czego? Zdziwienia? Niechęci? W każdym razie jakąś opinię o palancie, który nie potrafi oddychać zewnętrznym powietrzem, żeby się nie rozkaszać.

– Pogłoski, że w Santa Ynez wyszło słońce, są całkowicie bezpodstawne. Powtarzam... – rzekło radio. I powtórzyło, ledwie słyszalne przez brzęczenie niewidocznego przez chmury samolotu. Philip wygramolił się z auta, wyciągając z kieszeni pięciodolarowy banknot.

– Zajmie się pan moim autem? Jestem Mason, menedżer na Denver. Jestem spóźniony na spotkanie z panem Chalmersem.

Tylko tyle zdążył powiedzieć, zanim zgiął się w kolejnym ataku kaszlu. W głębi gardła piekło go od gryzącego powietrza; wyobrażał sobie, jak tkanki rogowacieją, twardnieją, stają się nieprzenikliwe. Jeśli ta praca faktycznie będzie wymagać częstych wycieczek do L.A., trzeba będzie kupić maskę filtrującą. I pieprzyć to, że wygląda się w niej jak ciota. Sam widziałem po drodze, że już nie tylko dziewczyny je noszą.

Radio wymamrotało coś o ekstremalnych korkach na wszystkich wylotówkach na północ.

– Dobra – powiedział ochroniarz, biorąc banknot i zręcznie, jedną ręką, zwijając go w rurkę jak jointa. – Może pan iść. Czekali na pana.

Pokazał ręką podświetloną reklamę nad obrotowymi drzwiami, życzącą światu Wesołych Świąt od firmy ubezpieczeniowej Angel City Interstate

Mutual.

\* \* \*

Czekali? No, mam nadzieję, że to nie znaczy, że się poddali i zaczęli beze mnie!

Postawił stopy na znakach Wagi, Skorpiona i Strzelca, a obrotowe drzwi posapywały wokół niego. Obracały się ciężko – widocznie niedawno wymieniano hermetyczne uszczelki. Za nim było chłodne, wyłożone marmurem foyer, także zdobione zodiakalnymi ornamentami. Przekaz reklamowy Miasta Aniołów opierał się na idei ucieczki przed tym, co komu pisane z urodzenia, i zarówno ci, co brali astrologię poważnie, jak i ci sceptyczni zgadzali się, że całkiem poetyckie wychodziły z tego hasła.

Tu powietrze było nie tylko oczyszczone ale i delikatnie naperfumowane. Na ławeczce, ze znudzoną miną siedziała bardzo ładna dziewczyna o beżowej karnacji, w obcisłej zielonej sukience z długim, skromnym rękawem, spódnicą sięgającą eleganckich czółenek na słupku... nie, pardon, na ostrej szpili.

Za to z przodu miała rozcięcie prawie do pasa. Co więcej, nosiła łonowe majteczki, z sugerującą włosy kępką futerka w kroczu.

Wczorajszy wieczór w Vegas. Jezus, chyba zdurniałem, wiedziałem, że muszę się wyspać i być w dobrej formie na dzisiaj. Ale wczoraj tak to nie wyglądało. Po prostu... Cholera, sam chciałbym wiedzieć. Brawura? Żądza odmiany? Dennie, przysięgam, że cię kocham. Nie zaprzepaszczę tej drogocennej pracy, nawet nie spojrzę na tę dziewczynę!

Chalmers siedzi na trzecim, prawda? Gdzie jest tabliczka z informacją? A, tutaj, za dozownikiem z maskami.

(A z tym wszystkim mieszała się jednak duma, że pracuje dla takiej firmy, która ma na tyle postępowy wizerunek, że dba, by nawet asystentki były ubrane w najmodniejsze stroje. Bo ta sukienka nie była z poliestru czy nylonu – to była wełna).

Mimo wszystko trudno było na nią nie patrzeć. Wstała i powitała go szerokim uśmiechem.

– Pan Philip Mason! – Głos miała lekko zachrypnięty. Miło słyszeć, że innym ludziom też szkodzi tutejsze powietrze. Gdyby tylko ten timbre nie był aż tak sexy... – Poznaliśmy się, kiedy był tu pan poprzednio, pewnie pan nie pamięta. Jestem asystentką Billa Chalmersa. Felice.

– Oczywiście, że pamiętam.

Kaszel zwalczony, choć powieki jeszcze delikatnie swędziały. Nie była to pusta uprzejmość – teraz faktycznie ją sobie przypominał, choć ostatni raz był tu latem. Miała wtedy krótką sukienkę i inną fryzurę.

– Czy mógłbym gdzieś umyć ręce? – dodał, unosząc dłonie, żeby pokazać, że naprawdę chodzi mu o mycie.

Były aż jakby oślizłe od unoszących się w powietrzu paskudztw, które prześliznęły się przez osadnik w samochodzie. Nie był przewidziany, by radzić sobie w Kalifornii.

– Jasne! W korytarz i na prawo. Zaczekam na pana.

\* \* \*

Drzwi do męskiej toalety nosiły znak Wodnika, a damskiej – Panny. Gdy zaczynał pracę, udało mu się rozśmieszyć grupkę kolegów stwierdzeniem, że w imię prawdziwej równości powinny być tylko jedne drzwi, oznaczone symbolem Bliźniąt. Dzisiaj nie było mu do żartów.

Pod zamkniętymi drzwiami jednej z kabin – stopy. Nieufnie, pamiętał bowiem o zdarzających się w dzisiejszych czasach napadach w męskich toaletach, ulżył sobie, wpatrując się jednym okiem w tamte drzwi. Usłyszał delikatne syknięcie, potem szczęknięcie. Jezus, ktoś tam napełnia strzykawkę? Zakradł się tu narkoman o kosztownym nałogu, żeby mieć święty spokój. Mam wyciągać gazówkę?

Prosta droga do paranoi. Buty były elegancko wyglansowane, mało prawdopodobne u zaniedbanego narkomana. Poza tym ostatni rozbój zdarzył mu się ponad dwa lata temu. Sytuacja się poprawiała. Podszedł do umywalk, choć świadomie wybrał tę, w której lustrze widać było zajętą kabinę.

Nie chcąc zostawiać tłustych plam na jasnych spodniach, ostrożnie poszukał w kieszeni monety do dozownika wody. Szlag. Zmienili to cholerstwo od ostatniej wizyty. Miał centówki i ćwierćdolarówki, ale napis mówił, że mogą być tylko dziesiątki. A nie ma choć jednego bezpłatnego? Nie.

Już prawie wychodził, żeby poprosić Felice o drobne, gdy drzwi kabiny się otworzyły. Wyszedł facet w ciemnym ubraniu, wkładający marynarkę, w której prawej bocznej kieszeni kryło się coś ciężkiego. Niewyraźnie go kojarzył. Rozluźnił się. Ani narkoman, ani ktoś obcy. Pewnie cukrzyca albo problemy z wątrobą. Wygląda przy tym całkiem nieźle, pełne policzki, rumiana twarz. Ale kto to...?

– A, pan pewnie na to spotkanie z Chalmersem! – Nieobcy podszedł ku niemu, już wyciągając dłoń, by zaraz ze śmiechem ją cofnąć.

– Przepraszam, może najpierw umyję ręce. Jestem Halkin, z San Diego. I jaki taktowny do tego.

– Ja jestem Mason, z Denver. Hmm... nie ma pan czasem dziesiątki?

– Jasne! Proszę bardzo.

– Dziękuję – mruknął Philip i staranie zatkał umywalkę przed puszczeniem wody.

Nie miał pojęcia, ile warta jest dziesiątka, ale jeśli tyle samo, co cent półtora roku temu, to ledwo wystarczało tego, żeby namydlić i splukać dłonie. Skóra swędziała, jakby pokrywał ją pył. W lustrze nie było nic widać, a zaczesane do tyłu brązowe włosy wciąż wyglądały schludnie – więc wszystko w porządku – ale Halkin był ubrany praktycznie, w prawie czarny garnitur, podczas gdy on wbił się w najnowsze i najelegantsze ubranie – według standardów z Kolorado i pod silnym wpływem elit towarzyskich zjeżdżających się co roku na sporty zimowe. Było bladoniebieskie, bo Denise mówiła, że pasuje mu do oczu. Choć się nie gniotło, na kołnierzu i mankietach już miało ciemne smugi. Zanotować: następnym razem, jadąc do L.A....

Woda była paskudna, niewarta dziesięciu centów. Mydło – dobrze chociaż, że firma nie oszczędzała i porozkładała na umywalkach kostki, zamiast żądać kolejnej dziesięciocentówki za nasączoną nim chusteczkę –

ledwo się pienilo. Kiedy opłukiwał twarz, woda spłynęła mu do ust. Smakowała solą morską i chlorem.

– Pan pewnie też utknął, tak samo jak ja – powiedział Halkin, odwracając się, by wysuszyć ręce suszarką. Była darmowa. – Co się stało? Ci cholerni trainiści okupują Wilshire?

Mycie twarzy było błędem. Nie było ręczników, ani papierowych, ani innych. Nie pomyślał, żeby wcześniej to sprawdzić. Jest jakaś wielka afera o włókna celulozowe w Pacyfiku. Coś czytałem, ale nie skojarzyłem. Czując się zupełnie jak niezręczny nastolatek, spróbował podetknąć twarz pod strumień ciepłego powietrza, mimochodem zastanawiając się, czego używają zamiast papieru toaletowego – okrągłych kamyków, jak muzułmanie?

Za wszelką cenę zachować pozory.

– Nie, po prostu korek na autostradzie do Santa Monica.

– A, no tak. Słyszałem, że straszne dziś korki. Przez te plotki, że wyszło słońce?

– Nie, po prostu... – powstrzymał absurdalny odruch sprawdzenia, czy nie słyszy go żaden czarny, ani Felice, ani ochroniarze z parkingu – po prostu jakiś walnięty czarnuch wyskoczył z auta w połowie korka i próbował przebiec na drugą stronę.

– Co pan mówi? Pewnie nawalony?

– Pewnie tak. O, dziękuję... – Halkin uprzejmie przytrzymał mu drzwi. – Samochody musiały go omijać, hamować i pierdut, pozderzały się, chyba ze czterdzieści. Cudem go ominęły, ale i tak nic mu to nie dało. W drugą stronę auta też jechały prawie stówę i zaraz jak przelazł przez barierkę, wpadł pod sportowy samochód.

– Matko Boska.

Stanęli oko w oko z Felice, która przytrzymała im windę. Zaprosili ją do środka, a dłoń Halkina zawisała nad przyciskami.

– Trzecie, prawda?

– Nie, nie jesteśmy u Billa w gabinecie. W sali konferencyjnej na siódmym.

– A samochód cały? – ciągnął Halkin.

– Na szczęście karambol mnie ominął. Ale musieliśmy ponad pół godziny stać i czekać aż przywróca ruch... A pan się spóźnił przez trainistów?

– Tak, na Wilshire. – Zawodowy uśmiech Halkina ustąpił skrzywieniu. – Leserzy i żule, co do jednego! I pomyśleć, że to dla nich musiałem się pocić...! Pan też odsłużył swoje, jak rozumiem?

– Oczywiście. W Manili.

– Mnie wzięli do Wietnamu i Laosu.

Winda zwalniała. Zerknęli na podświetlane cyfry. Piąte, nie siódme. Drzwi rozsunęły się, ukazując przyszczatą kobietę, która mruknęła:

– A, cholera! – Ale i tak wsiadła. – Przejadę się z wami do góry, a co tam – dodała głośniejszym głosem. – W tym parszywym budynku zdechnąć można, zanim się człowiek windy doczeka.

\* \* \*

Okna sali konferencyjnej miały żółtoszarą barwę. Narada zaczęła się bez czekania na dwóch spóźnialskich – Philip cieszył się, że nie wchodzi sam. Ośmiu czy dziewięciu mężczyzn siedziało sobie w wygodnych fotelach, na składanych podłokietnikach mieli książki, notatniki, dyktafony. Naprzeciwko nich, za stołem w kształcie niedożywionego bumerangu, siedział William Chalmers, wiceprezes ds. sprzedaży regionalnej, czarnowłosy facet pod pięćdziesiątkę, który wyhodował sobie zbyt duży brzuch, żeby dobrze wyglądać w modnym obcisłym garniturze. Thomas Grey, starszy aktuariusz, chudy, łysy, pięćdziesięcioletni, w okularach z tak grubymi szklami, że aż chciało się myśleć, że to przez nie garbi się w ramionach, akurat stał; ewidentnie przerwali mu, wchodząc. Wyglądało na to, że stracił wątek – podrapał się w roztargnieniu pod lewą pachą i przywitał ich zaledwie zdawkowym skinieniem głowy.

Natomiast Chalmers powitał spóźnionych bardzo serdecznie, nie pozwolił dokończyć przeprosin, zaprosił na wolne miejsca – oczywiście w pierwszym rzędzie. Zegar na ścianie zamiast planowej dziesiątej trzydzieści pokazywał za dwie jedenastą. Philip, starając się nie zwracać na

niego uwagi, wziął z przydzielonego mu fotela teczkę z papierami i rozdał mechaniczne uśmiechy współpracownikom, których znał przelotnie, z widzenia.

\* \* \*

Przelotnie...

Nie myśl o Laurze. Tylko nie o Laurze. Dennie, ja cię Kocham! Kocham Josie, Kocham Harolda, całą moją rodzinę! Ale gdybyś się tak nie upierała, żebym...

Och, daj spokój. Nie rób z igły wideł!

\* \* \*

Ale jego sytuacja w żadnym razie nie była stabilna. Jak wszyscy dobrze wiedzieli, był najmłodszym z regionalnych dyrektorów Angel City: L.A., Zatoka, Południowa Kalifornia, Oregon, Utah, Arizona, Nowy Meksyk, Teksas, Kolorado. O siedem lat młodszym od kolejnego. Plotkowano, że w przyszłym roku podzielią Teksas, ale na razie to się nie stało. A to znaczyło, że po piętach deptają mu całe hordy wyszkolonych, obstawionych dyplomami bezrobotnych. Miał sześciu handlowców z doktoratami. Trzeba biec, żeby pozostać w miejscu...

– Czy mogę kontynuować? – zapytał Grey.

Philip opanował się. Gdy po raz pierwszy poznał aktuarusza, uznał go za suche przedłużenie jego komputerów, za człowieka zatraconego w świecie, w którym liczą się tylko liczby. Potem jednak dowiedział się, że to Grey był pomysłodawcą symboliki astrologicznej w materiałach reklamowych, co przyniosło Angel City status jedynej firmy, której baza klientów poniżej trzydziestki rośnie równie szybko, jak procent populacji, który stanowią. A człowieka z taką głową warto posłuchać.

– Dziękuję. Właśnie wyjaśniałem, dlaczego się tu spotykamy.



\* \* \*

Oczy wywrócone do tyłu, rozdziawione usta, oddech syczący w gardle! Nie ma co się oszukiwać. Przy żadnej kobiecie nie czułem się tak stuprocentowym mężczyzną!

Philip dotknął językiem wnętrza policzka. Walnęła go wierzchem dłoni w policzek i wyszła, wściekła, z motelowego domku, bo zaproponował jej pieniądze. Skaleczyła go. Krwawił przez pięć minut. Trafiła prosto w górny kiel, od zawsze najostrzejszy ze wszystkich zębów.

\* \* \*

– To przez to – ciągnął Grey – że od stycznia planujemy podnieść składki. Bo oczywiście nasze stawki od zawsze opierały się na założeniu, że statystyczna długość życia w Stanach będzie rosnąć. A w ciągu ostatnich trzech lat zaczęła spadać.

## KURZA GRZĘDA

Punkt dziewiąta trainiści rozrzućili po jezdni kolczatki, powodując gigantyczny zator, siedem na dwanaście przecznic. Psy, jak zawsze, były gdzie indziej – nie brakowało sympatyków chętnych, by odciągnąć ich uwagę. Trudno było się doliczyć, ilu sprzymierzeńców ma ich ruch – ale można się było domyślić, że w Nowym Jorku, Chicago, Detroit, L.A. czy San Francisco ludzie raczej wiwatują, a na Środkowym Zachodzie i na przedmieściach raczej wyciągają broń. Innymi słowy, najmniejsze poparcie mieli w rejonach, gdzie głosowało się na Prexy'ego.

Potem zmatowili szyby unieruchomionych samochodów tanim przemysłowym środkiem do trawienia szkła, a na drzwiach wymalowali slogany, czasem długie: ZAGROŻENIE DLA ŻYCIA i ZDROWIA,

a przeważnie krótkie: SMRODOCHÓD! Najczęstsze jednak było dobrze znane wszystkim hasło: PRZESTAŃCIE, PRZEZ WAS GINIEMY!

A każdy napis kończył się nierównym jajkiem nad iksem – uproszczoną, piktogramową wersją trainistycznego symbolu – zredukowanej czaszki i skrzyżowanych piszczeli.

Po wszystkim zerknęli na wydrukowane kartki, których wiele rozwiewanych przez przejeżdżające samochody polatywało potem w rynsztokach, zajęli się pobliskimi witrynami sklepowymi, zasłaniając wystawione w nich towary podobnymi hasłami. Dla każdego sklepu znalazło się odpowiednie hasło.

Trudne to zresztą nie było.

\* \* \*

Dzieciaki z popołudniowej szkolnej zmiany z radością zajęły się pacyfikowaniem wściekłych kierowców, sprzedawców ze sklepów i innych przeszkadzających. Niektóre nie były na tyle bystre, żeby dać nogę, kiedy zjawily się psy – helikopterem, po nerwowych radiowych wezwaniach – i po raz pierwszy w życiu trafiły przed Sąd dla Nieletnich. Ale co tam! Były już w odpowiednim wieku, żeby wiedzieć, że dobrze mieć jakiś wyrok na koncie. To może cię uchronić przed biletem do wojska. Może ci uratować życie.

Natomiast kierowcy przeważnie mieli dość rozumu, by siedzieć w autach, wściekać się za zmatowiałymi szybami i podliczać koszty napraw i lakierowania. Większość miała broń, ale nikt nie był na tyle głupi, żeby ją wyciągnąć. Nie po demonstracji trainistów w San Francisco w zeszłym miesiącu. Tam zastrzelono dziewczynę. Inni, anonimowi w kominiarkach i zgrzebnych, niby-samodziałowych ubraniach, wywlekli kierowcę z samochodu i tym samym żrącym kwasem, którym traktowali szyby, wypisali mu na skórze „MORDERCA”.

A już na pewno nie było sensu opuszczać szyby i krzyżeć na demonstrantów. W takim powietrzu gardło długo nie podziała.

## PRZYROŚNIĘCI DO AUT

Nietrudno przekonać ludzi, że auta i broń są niebezpieczne z samej natury. Statystycznie rzecz biorąc, prawie każdy ma kogoś w rodzinie, kto zginął zastrzelony w kraju czy za granicą, natomiast skojarzenie aut z ofiarami wypadków samochodowych otwiera opinię publiczną na inne, subtelniejsze zagrożenia...

### SALON SAMOCHODOWY MASTER AUTA NOWE I UŻYWANE

*Ołów: powoduje u dzieci upośledzenia i inne choroby. W wodach powierzchniowych Kalifornii jego stężenie przekracza 12 mg/m<sup>3</sup>. Prawdopodobnie przyczynił się do upadku Cesarstwa Rzymskiego, którego elity spożywały jedzenie przygotowywane w ołowianych naczyniach i piły wino fermentowane w wyłożonych ołowiem kadziach. Częstym źródłem ołowiu są farby, dodatki przeciwstukowe do paliw, jeśli nadal są w użyciu, oraz dzikie ptactwo z terenów podmokłych itd., z akumulowanym przez pokolenia ołowiem pochodzącym z ołowianych pocisków leżących w wodzie.*

Z drugiej strony, o wiele trudniej jest przekonać ludzi, że taka z pozoru niewinna firma jak salon kosmetyczny może być niebezpieczna. I nie mówię tu o tym, że niektóre kobiety są uczulone na standardowe kosmetyki.

### CENTRUM URODY NANETTE, KOSMETYKI, PERFUMY, PERUKI

*Polichlorowane bifenyle – produkty odpadowe przemysłu tworzyw sztucznych, smarów oraz kosmetycznego. Obecne wszędzie w stężeniach zbliżonych do DDT, mniej toksyczne, ale silniej wpływające na hormony sterydowe. Znajdowane w eksponatach muzealnych pochodzących nawet z roku 1944. Śmiertelnie groźne dla ptaków.*

Podobnie, nie trzeba zbytnio wysilać umysłu, aby skojarzyć zabijanie chwastów czy owadów z zabijaniem ludzi i zwierząt. Nie trzeba było aż katastrofy w Wietnamie, żeby do tego dojść, wszyscy już podświadomie się tego spodziewali.

DOM I OGRÓD

PROJEKTOWANIE ZIELENI, ZWALCZANIE SZKODNIKÓW

*Pelikan brązowy: dawniej pospolity w Kalifornii, od roku 1969 nie dochodzi do rozrodu wskutek estrogenowego działania DDT na formowanie skorupki jaja. Ptak, próbując wysiadywać jaja, po prostu je zgniata.*

Wręcz przeciwnie: teraz, gdy już rzadko korzysta się z substancji, które niegdyś stanowiły większość farmakopei, a rozpoznawano je jako trujące po samej nazwie – arszenik, strychnina, rtęć i tak dalej – ludzie, jak się zdaje, zakładają, że każde lekarstwo jest dobre i kropka. Pół życia straciłem na chodzenie po farmach i przekonywanie hodowców świń i kur, że nie powinni kupować paszy z antybiotykami, a oni po prostu nie chcieli słuchać. Sądziło się, że im więcej się tego rzuci, tym lepiej. Dlatego opracowywanie nowych leków, żeby zastąpiły te zmarnowane przez paszę dla bydła, świń i drobiu stało się czymś w rodzaju wyścigu zbrojeń!

STACY & SCHWARTZ, INC.

TOWARY DELIKATESOWE Z IMPORTU

Train, Austin P. (Proudfoot), ur. w 1938 r. w Los Angeles; ukończył UCLA (mgr w r. 1957), Univ. Coll. London (doktorat, rok 1961); w l. 1960-63 żonaty, Clara Alice z d. Shoolman; koresp. na adres wydawców. Publikacje: praca: *Metabolizowanie organofosforanów złożonych* (Univ. of London Press, 1962); *Wielkie epidemie* (Potter & Vasarely, 1965, przedr. jako *Wiatr niesie śmierć*, Common Sense Books, 1972); *Studium ekologii refrakcyjnej* (P&V, 1968, przedr. pt. *Ruch oporu w przyrodzie*, CSB, 1972); *Konserwanty i dodatki*

w amerykańskiej żywności (P&V, 1971), przedr. pt. *Jesteś tym, co musisz jeść*, CSB, 1972); *Poradnik przetrwania ludzkości* (International Information Inc., biuletyn, 1972, pismo, 1973); *Poradnik na rok 3000* (III, biuletyn, 1973, pismo, 1975); publ. w: „Journal of Biological Sciences”, „Journal of Ecology”, „Journal of Biospherics”, „Internation Ecology Review”, „Nature”, „Scientific American”, „Proceedings of the National Academy of Sciences”, „Sat. Rev.”, „New Yorker”, „New Scientist” (Londyn), „Environment” (Londyn), „Paris Match”, „Der Spiegel” (Bonn), „Blitz” (Indie), „Manchete” (Rio) itd.

## TO TYLKO GAZ

Zostawiwszy niedojedzony samotnie obiad (kawiarnia, gdzie jadał regularnie od ponad roku, nie była zatłoczona, ale mało kto chciał siadać koło mundurowego), Pete Goddard czekał, aż wydadzą mu resztę. Po drugiej stronie ulicy, na wielkich billboardach zasłaniających teren sklepu Uprzęże i Pasza u Harrigana – trzymał się nazwy, choć przez lata, aż do rozbiórki sprzedawał raczej skutery śnieżne, części do motocykli i eleganckie zachodnie kombinezony, a teraz miał zmienić się w czterdzieści dwa luksusowe apartamenty plus lokalna siedziba American Express i Colorado Chemical Bank – ktoś wymalował co najmniej kilkanaście czarnych czaszek z piszczelami.

Sam też trochę tak się czuł. Wczoraj imprezowali, mieli pierwszą rocznicę ślubu. W ustach miał paskudny posmak, bolała go głowa, do tego Jeannie musiała wstać jak zawsze, bo też pracowała, na farmie hydroponicznej Bamberley, a on nie spełnił swojej obietnicy i nie posprzątał, żeby nie musiała się z tym męczyć wieczorem. Poza tym to znamię, które ona ma na nodze, może nie boli, ale... No ale na farmie mają dobrych lekarzy. Muszą mieć.

Nowa kasjerka, niechętnie nastawiona do niego, rzuciła mu na dłoń monety i wróciła do rozmowy z przyjaciółką.

Zegar na ścianie zgadzał się z jego zegarkiem, że zostało mu osiem minut na czterominutowy dojazd na komisariat. Co więcej, na zewnątrz było lodowato, temperatura spadła do około minus siedmiu, do tego silny wiatr. Dobra pogoda dla turystów na stokach Mount Hawes, nie za dobra dla policji, która mierzy temperaturę rozbitymi samochodami, ofiarami odmrożeń i drobnymi kradzieżami popełnianymi przez mężczyzn pozbawionych sezonowej pracy.

I kobiety, kobiety też.

Może by więc tak przed wyjściem...? Przy drzwiach stała wielka, czerwona machina, z lustrem w górnej części frontu. Zainstalowali ją zeszłej jesieni. Japońska. Na tabliczce z boku: *Mitsuyama Corp., Osaka*. Z kształtu podobna do wagi osobowej. Wrzucić 25 centów. Nie palić w trakcie korzystania. Przytknąć usta i nos do miękkiej, czarnej, elastycznej maski. Jak nieprzyzwoity pocałunek ze zwierzęciem.

Zwykle śmiał się z tego, bo tu w górach powietrze nigdy nie było aż tak złe, żeby trzeba było tankować tlen, by dojść do kolejnej przecznicy. Z drugiej strony, ludzie mówią, że to super lekarstwo na kaca...

W głowie zarejestrowały mu się kolejne szczegóły. Bardzo był z tego dumny, że ma oko do szczegółów; kiedy skończy mu się okres próbny, będzie aplikować na detektywa. Jak się ma dobrą żonę, u każdego budzi się ambicja.

Lusterko, wygięte, żeby otaczać ustnik, było popękane. Otwór na ćwierćdolarówki. Pod nimi linia obwodząca pojemnik na monety. Wokół niej pełno rys. Jakby ktoś próbował otworzyć go nożem.

Pete pomyślał o kierowcach autobusów, mordowanych dla zawartości kasy.

Odwróciwszy się z powrotem do lady, rzucił:

– Proszę pani?

– Słucham?

– Ta maszyna tlenowa...

– Niech to szlag! – odparła dziewczyna, wciskając „Anuluj” na kasie. – Niech pan nie mówi, że to cholerstwo znowu się skiepiło! Proszę, oddam panu ćwiartkę. Niech pan spróbuje w drugistorze na Tremont, tam są trzy.

## PRZECIWIENSTWO PIEKARNIKA

Białe kafle, biały lakier, stal nierdzewna... Mówiło się tu ściszym głosem, jak w kościele. Ale to ze względu na echo odbijające się od twardych ścian, twardej podłogi, twardego sufitu, wcale nie przez szacunek dla tego, co skrywało się za podłużnymi drzwiczkami, ustawionymi piętro od poziomu kostek po poziom głowy wysokiego człowieka, jedne przy drugich, jak oknem sięgnąć. Jak nieskończony ciąg piekarników, ale nie grzejących, tylko chłodzących.

Człowiek, który ją prowadził, też był biały – biały kitel, spodnie, maska chirurgiczna dyndająca pod brodą, ciasny, brzydki czepek na włosach. Nawet plastikowe ochraniacze na buty też miał białe. Poza kolorem brudnobrązowym, który przyniosła na sobie, można tu było zobaczyć tylko jeden.

Krwistoczerwony.

W drugą stronę sunął człowiek z wózkiem wyładowanym pergaminowymi pojemnikami (białymi) z etykietami (czerwonymi) wiezionymi do miejscowego laboratorium. Kiedy witał się z jej towarzyszem, Peg Mankiewicz przeczytała niektóre z poleceń:

108562 ŚLEDZIONA POSIEW DUR BRZ., 108563 WĄTROBA ZM.  
CHOROBOWE, 108565 PRÓBA MARSHA.

– Co to jest „próba Marsha”? – zapytała.

– Na arsen – odpowiedział dr Stanway, przeciskając się obok wózka i idąc dalej, wzdłuż długiego szeregu drzwiczek.

Był blady, jakby to otoczenie wyzuło go ze wszelkich mocniejszych odcieni – policzki miały barwę i fakturę pojemników na organy, włosy były popielatoblond, a oczy bladobłękitne jak płytka woda. Peg uznała, że jest bardziej do zniesienia niż reszta personelu kostnicy. Kompletny brak emocji – albo może zdeklarowany homoseksualista. Nigdy nie obrzucał jej niby to żartobliwymi uwagami jak jego koledzy.



Cholera. Może powinnam się obmyć kwasem siarkowym!

\* \* \*

Była piękna: szczupła, prawie metr siedemdziesiąt wzrostu, aksamitna skóra, wielkie, ciemne oczy, usta bardziej soczyste niż brzoskwinia. A zwłaszcza dzisiejsza brzoskwinia. Ale nie cierpiała tego, bo to oznaczało, że nieustannie polują na nią mężczyźni, łowcy erotycznych skalpów. Nawet kiedy ujawniła, że jest lesbijką, nic nie pomogło; faceci potraktowali to jako dodatkowe wyzwanie, a jeszcze niektóre baby też zaczęły się za nią uganiać. Bez makijażu, bez perfum i biżuterii, w celowo brzydkim brązowym płaszczu i butach, wciąż czuła się jak garnek miodu oblegany przez hałaśliwe muchy.

Gotowe rozpinać rozporek, jeśli choćby się uśmiechnęła.

\* \* \*

Żeby zapomnieć o tych myślach, zapytała:

– Morderstwo?

– Nie, w okręgu Orange ktoś wniósł sprawę, oskarżył hodowcę owoców o używanie nielegalnych oprysków. – Wzrok przewędrował po ponumerowanych drzewczkach. – O, tu jest.

Nie otworzył ich od razu.

– Tylko wiesz... to nie będzie ładny widok – powiedział po chwili. – Samochód tak go walnął, że mózg był wszędzie.

Peg wbiła dłonie w kieszenie płaszcza, żeby nie zobaczył, jak blade ma kostki. Może, być może, to będzie złodziej, który ukradł mu dokumenty.

– No dawaj – powiedziała.

Ale to nie był złodziej.

\* \* \*

Cała prawa strona ciemnej głowy była... hmm, miękka. Dolna powieka – rozerwana i tylko luźno ułożona mniej więcej na miejscu, tak że wyzierała spod niej gałka oczna. Od poziomu ust ciągnęło się krwawe otarcie, znikające aż pod podbródkiem. A ciemność było roztrzaskane aż tak bardzo, że owinęli je czymś jakby folią spożywczą, żeby się trzymało.

Nie było jednak sensu udawać, że to nie Decimus.

– I jak? – zapytał w końcu Stanway.

– Tak, on, proszę go schować.

Uśluchał. Odwracając się, żeby odprowadzić ją do wyjścia, zapytał jeszcze:

– Jak się pani dowiedziała? I czemu ten gość jest aż taki ważny?

– No... wie pan, ludzie dzwonią do gazety. Na przykład sanitariusze z karetek. Zawsze parę groszy dostaną za dobrą informację.

Głowa unosiła się przed nią jak jakiś balon na sznurku z okropnego żartu; ta rozmiękła twarz. Przełknęła ślinę, tłumiąc mdłości.

– A on... był... jednym z ważniejszych ludzi Austina Traina.

Stanway gwałtownie odwrócił głowę.

– Aaa, to nic dziwnego, że się interesujecie! Miejscowy przedstawiciel czy coś takiego, nie? Coś właśnie słyszałem, że trainiści dziś znów coś kombinowali.

– Nie, z Kolorado. Ma... miał... wat koło Denver.

Dotarli do końca korytarza między antypiekarnikami. Stanway, z oficjalną uprzejmością wobec kobiety, której zwykle nienawidziła, ale u niego była w stanie przeboleć – bo to była sytuacja typu „gość i gospodarz” – przytrzymał jej drzwi, przepuścił przed sobą... i po raz pierwszy odkąd przyszła naprawdę na nią spojrzeć.

– Może pani... nie chciałyby pani... ten? – Słabe ma umiejętności społeczne ten Stanway, zwłaszcza wobec kobiet. – Nie usiadłaby pani na chwilę? Zrobiła się pani zielona na twarzy...

– Nie, dziękuję! – Nazbyt stanowczo. Peg nienawidziła jednak przyznawać się do jakichkolwiek słabości, żeby nie zostały uznane za „kobiece”. Chwilę później odrobinę ustąpiła. Ze wszystkich znanych jej

mężczyzn tego akurat najmniej podejrzewała o chęć wykorzystania luk w jej pancerzu.

– Bo widzi pan... – przyznała – ja go znałam.

– Aha. – Zrozumiał. – Bliski przyjaciel?

Kolejny korytarz, wyłożony miękką i trwałą zieloną wykładziną, przetykany falami monotonnego muzaku. Zza drzwi opatrzonych złotymi literami wyszła dziewczyna z tacą pełną filiżanek z kawą. Peg poczuła aromatyczną parę.

– Tak... a policja tu kogoś przysyłała?

– Na razie nie, słyszałem, że są zarobieni. Pewnie przez tę demonstrację.

– A zabrali jego rzeczy z samochodu?

– Pewnie tak. Nie dostaliśmy nawet dokumentów, tylko taki formularz, który wypełniają na miejscu wypadku. – Stanway, mając codziennie do czynienia z Bóg wie iloma takimi trupami, nie okazywał cienia zainteresowania. – Ale na moje oko jeszcze się zainteresują. Musiał być naćpany, żeby zrobić to, co zrobił. A skoro to jeden z ważniejszych ludzi Traina, to na pewno niedługo tu przyjdą, prawda?

Peg pośpiesznie naciągnęła maskę, choć jeszcze nie dotarli do drzwi wyjściowych.

Bo zakrywała większość zdradzieckiej twarzy.

\* \* \*

Do samochodu miała kawał drogi. Oczywiście był to hailey, z zasady. Zanim do niego doszła, oczy miała tak zamglone – i nie tylko przez drażniące powietrze – że dwa razy próbowała włożyć kluczyk na odwrót. Gdy wreszcie sobie to uświadomiła, była tak wściekła, że szarpiąc drzwiami, złamała sobie paznokiec.

Włożyła palec do ust, ale zamiast obgryźć odłamany strzępek, oderwała go. Poleciała krew.

Ból przyniósł jednak chwilowe otrzeźwienie. Uspokoiwszy się, owinęła skałeczenie chusteczką ze schowka i zastanowiła się, czy nie zrobić z tego

informacji. Bo news był, i to jaki. Na pewno trafiłby i do gazet, i do telewizji. Zabity na autostradzie: Decimus Jones (30 l.), karany dwa razy za marihuanę i raz za pobicie, umoczony mniej więcej tak, jak należało oczekiwać od dzisiejszego młodego czarnego mężczyzny. Potem jednak, w wieku dwudziestu sześciu lat, nagle nawrócony (jak mówią) na nauki Austina Traina, potem mózg trainistów, kiedy zaczęli działać w Kolorado... choć do miana „trainisty” nie przyznawałby się, podobnie jak sam Austin. Austin mówił, że właściwy termin to „komuchy” – od „komensalizmu”, co oznaczało, że i ty, i twój pies, i pchła na jego grzbiecie, i krowa, i koń, i zając, i suseł, i nicień, i pantofelek, i krętek, wszystkie w rezultacie zasiadają do tego samego stołu. Ale to była tylko teza do dyskusji, rzucana, kiedy znudził się ludźmi krzyczącymi na niego, że jest zdrajcą.

Powinna była dopilnować, żeby ciało Decimusa zostało zwrócone biosferze. Zapomniała o tym wspomnieć. Wrócić? A, cholera, pewnie ma to zapisane w testamencie. O ile w ogóle komuś będzie się chciało czytać testament czarnucha...

Ktoś musi Austinowi powiedzieć. To byłoby straszne, gdyby dowiedział się o tym z gazety czy telewizji.

Ja?

No tak, cholera. Wychodzi na to, że ja pierwsza się dowiedziałam. Więc to muszę być ja.

\* \* \*

W głowie powstał nagły chaos, plątanina obrazów, jakby kontrolę nad umysłem przejęły jednocześnie ze trzy osoby. Stanway przypadkowo zadał akurat to pytanie, na które czuła się w obowiązku odpowiedzieć szczerze: „Bliski przyjaciel?”.

Bliski? Raczej „jedyne”! A dlaczego? A dlatego że był czarny, szczęśliwie żonaty i już niezainteresowany egzotycznymi walorami białych dziewczyn? (Swoją drogą, kto ma powiedzieć Zenie i dzieciakom?). Częściowo dlatego tak. Naprawdę liczyło się jednak to, że Decimus Jones,

mężczyzna, zdrowy i hetero, traktował kuszącą i zmysłową Peg Mankiewicz... jak przyjaciółkę.

Niech lepiej Austin powie Zenie. Ja nie będę w stanie. I wszystkim wam Wesołych Świąt.

\* \* \*

Teraz już miała w głowie kompletny mętlik. Widziała, jak od punktu jego śmierci rozchodzą się kolejne wydarzenia, jakby patrzyła w kryształową kulę. Wszyscy będą automatycznie powtarzać to samo, co Stanway: „Naćpany albo wariat. Żeby tak wyskoczyć z samochodu!”.

Tymczasem ona знаła go jako niezmiernie rozsądnego faceta, a narkotyki też należały do zamierzchłej przeszłości. Zatem to nie mogło być z jego własnej woli. Ktoś musiał mu podrzucić kapsułkę czegoś bardzo mocnego. A motyw przychodził jej do głowy tylko jeden. Zdyskredytować go za wszelką cenę.

Nagle uświadomiła sobie, że patrzy, nie widząc, na dowód, że przez parking przeszedł jakiś trainista – czaszka i piszczele na drzwiach auta zaparkowanego pod kątem do jej samochodu. Na jej własnym oczywiście nic nie było.

Tak jest. Ktoś musiał to zrobić, żeby skompromitować Decimusa. Na pewno. Ci stereotypowi, nieodróżnialni od siebie plastikowi ludzie z dolarami w oczach nie mogli znieść, że muszą współdzielić swoją na wpół zniszczoną planetę z kimś, kto wylazł z rynsztoka, który mu sami urządzili. Czarny facet, który nawet nie skończył studiów, powinien zginąć w ulicznej bójce, albo jeszcze lepiej, zgnieć w więzieniu, odsiadując dziewięćdziesiąt dziewięć lat. Żeby był uwielbiany i stawiany za wzór, niczym lekarz czy ksiądz? Żołądek się wywraca na samą myśl.

\* \* \*

No właśnie, żołądek się wywraca. Jezus Maria. Poszukała w torebce tabletki, którą powinna była wziąć ponad godzinę temu. Zmusiła się do przełknięcia jej bez popicia.

W tych czasach przeważnie nie było innego wyjścia.

\* \* \*

Wreszcie stwierdziła, że niepotrzebnie się rozrzewnia, i przekręciła kluczyk w stacyjce. Auto miało jeszcze dość pary, więc natychmiast ruszyło, całkiem bezgłośnie.

I czysto. Żadnych związków alkilowych ołowiu, prawie zero tlenu węgla, nic gorszego od dwutlenku węgla i wody. Jeśli ktokolwiek na górze słucha, chwala tym, którzy się trują, by wybawić nas od skutków naszej własnej obłąkanej pomysłowości.

Gdyby jechała do redakcji, wyjeżdżając z parkingu, skręciłaby w prawo. Ale pojechała w lewo. W całym kraju było może ze sto osób, nie więcej, które mogły liczyć na to, że znajdą Austina Traina, kiedy tylko zechcą. Gdyby jej naczelny wiedział, że ma kogoś takiego wśród swoich dziennikarzy, kto w dodatku nigdy nie wykorzystał tej informacji do celów zawodowych, rzuciłby się na nią z bronią.

## KRWAWIĄCE SERCE TO ROPIEJĄCA RANA

*...weteran kampanii w Indochinach i na Filipinach dołączył do grona zasłużonych i odznaczanych oficerów wspierających czynem plan adopcyjny „Podwójne V” – adoptował ośmioletnią dziewczynkę z ciężkimi bliznami, rzekomo po oparzeniach napalmem. Komentując swoją decyzję, generał powiedział, cytując: „Nie prowadziłem wojny z dziećmi, tylko z ludźmi, którzy chcieli zniszczyć nasz styl życia”. Koniec cytatu. Natomiast Prexy, tuż przed wyjściem z Białego Domu na najważniejsze spotkanie w tym dniu, obiad z klubem swoich zwolenników, na którym ma wygłosić obszerną mowę poświęconą sprawom zagranicznym,*

poproszony o skomentowanie rozwoju planu „Podwójne V”, powiedział, cytując: „No, skoro nie mogą wejść frontowymi drzwiami, będą się zakradać od tyłu”. Koniec cytatu. Kongresowe dochodzenie w sprawie rzekomego przyjmowania łapówek przez urzędników Federalnej Komisji ds. Ziemi...

## PRAPRZYCZYNA PROBLEMÓW

– Te-guciu-guciu-galpa...

Deszcz siekł tak mocno, że wycieraczki land rovera ledwo nadały, a droga była okropna. Mimo napędu na cztery koła nieustannie ślizgali się i buksowali, a od czasu do czasu wpadali w taką dziurę, że Leonard Ross aż się krzywił.

– Walnij w łeb i zabierz skalpa...

Śpiewanie doktora Williamsa ledwo wybijało się ponad ryk silnika i łoskot deszczu, ale mimo wszystko dawało się rozpoznać, że melodia pochodzi od dziecinniej pioseneczki *Goosey Goosey Gander*.

– Potem w dupę hyc...

Kolejna dziura. Leonard odruchowo obejrzał się, czy jego sprzęt jest w porządku. Zaraz tego pożałował. Tylnie siedzenie zajmował dodatkowo przydzielony mu do eskorty policjant, z paskudną cieknącą chorobą skóry, a żołądek Leonarda i bez tego był roztrzęsiony.

– Nie pomoże jej nic! – zakończył triumfalnie Williams i jednym tchem dodał: – A długo jesteś w tym Global Relief?

– Eee... – Do Leonarda przez chwilę nie docierało, że to jest pytanie. – Jakies cztery lata.

– I nigdy dotąd nie byłeś w tej części świata?

– Niestety, nie.

– Typowe, kurna! – Prychnięcie. – A chociaż w temat cię wprowadzili?

Leonard kiwnął głową. Zalali go masą danych, w głowie cały czas mu dzwoniło. Jakże ten kraj jest pełen paradoksów! Na samym początku, kiedy zobaczył, że jego kontakt w Guanagui nazywa się Williams, założył, że to

Amerykanin. Nie był przygotowany na maniakałnego Brytola, który nawet w tej smrodliwej tropikalnej wilgoci będzie chodzić w tweedowej marynarce. Zdawało się jednak, że to pasuje do kraju, którego pierwsza stolica została po trzystu pięćdziesięciu siedmiu latach zdegradowana, bo obywatele oburzyli się, że gubernator ma kochankę; którego obecna stolica była tak nieważna, że nawet nie dociągnięto do niej kolei, a międzynarodowe linie lotnicze nie chciały już jej obsługiwać...

– Za każdym razem, gdy ktoś próbuje trochę ten kraj podźwignąć – powiedział Williams – coś idzie źle. Siła wyższa! Ale skoro Pan Bóg lubi się tak bawić, nic dziwnego, że Tupamaros tak rosną w siłę! Tutaj to oczywiście nie, ale w miastach. Popatrz tylko na tę drogę! Na tutejsze standardy to jest, kurna, prawdziwa autostrada. Tak tu ciężko dowieźć jakiś towar na rynek, a miejscowi przeważnie nie mają kasy na przetworzone towary, nawet na porządne narzędzia. Ale od czasu do czasu ktoś wykrzesze z ludzi entuzjazm, żeby hodować coś na sprzedaż – kawę, bawełnę, coś w tym stylu – i przez chwilę się kręci, a potem znowu się rypnie. I cała ciężka robota na nic. Jak tym razem. Sam zobacz zresztą.

Niespodziewanie zahamował w miejscu, gdzie drogę otaczały wysokie do kolan kamienie. Wyglądając przez zalaną deszczem przednią szybę, Leonard zorientował się, że podjechali do zaniedbanej wioski otoczonej z dwóch stron krzewami kawowców, z pozostałych – kukurydzą i fasolą. Układ zagonów sugerował dobre gospodarowanie, rośliny były jednak uschnięte, wszystkie, co do jednej.

Wyskakując, Williams rzucił jeszcze:

– Bierz sprzęt!

– Ale...

– Słuchaj, kurna, będzie tak łało przez całe tygodnie, więc lepiej już się zacznij przyzwyczajać!

Leonard z ociąganiem chwycił zestaw terenowy i wyszedł na ulewę. Okulary natychmiast mu zachlapało, wzrok miał jednak zbyt słaby, żeby je zdjąć. Z wodą ciekącą za kołnierz poszedł za Williamsem po linii, którą ten wytyczył na błotnistej ziemi.



– Wszystko jedno, gdzie popatrzysz – powiedział Williams, zatrzymując się przy najbliższym kawowcu. – Sukinsyny i tak będą wszędzie.

Leonard zaczął posłusznie grzebać w błocie. Po chwili zapytał:

– Ty jesteś Anglikiem?

– Tak dokładnie to Walijczykiem. – Ton był lodowaty.

– A mogę zapytać, co cię tu sprowadza?

– Dziewczyna, jeśli naprawdę chcesz wiedzieć.

– Przepraszam, nie chciałem być...

– Wścibski? Ależ nie. Ale i tak ci powiem. Była córką pracownika ambasady w Londynie. Bardzo piękna. Ja miałem dwadzieścia cztery lata, ona dziewiętnaście. Ale pochodziła z katolików z Comayagua, bardzo ortodoksyjnych, więc oczywiście w głowie im się nie mieściło, żeby miała wyjść za metodystę. I ściągnęli ją z powrotem do domu. Ja dokończyłem studia, oszczędzałem jak porąbany, żeby mieć na bilet, myślałem, że jeśli ją przekonam, że mam poważne zamiary... Kurna, jakby było trzeba, nawet bym się nawrócił!

Pod rachitycznym korzonkiem kawowca coś się wiło.

– I co?

– Przyjechałem tutaj i dowiedziałem się, że umarła.

– Co takiego?

– Na tyfus. Zdarza się tutaj. A to było w tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym.

Wyglądało na to, że już nic więcej nie da się powiedzieć. Leonard podniósł bryłkę ziemi i rozkruszył ją w dłoniach, odsłaniając nerwowe pięciocentymetrowe stworzenie, na pierwszy rzut oka podobne do dżdżownicy, ale koloru sinoczerwonego, z lekkim zgrubieniem na jednym końcu, paroma drobnymi szczecinkami i wijące się z większą energią niż jakakolwiek dżdżownica.

– Ale wiesz co? Nigdy nie żałowałem, że tu zostałem. Ktoś musi tu być na miejscu, żeby im pomagać – nie da się wszystkiego zrobić zdalnie... A, takiego znalazłeś, tak? – Jego ton wrócił do normy. – Swoją drogą, rozpoznajesz może co to takiego? Moje książki nie na wiele się tu przydadają. Po hiszpańsku nazywa się *sotojuela*, ale tutaj nazywają to *jigra*.

Leonard jedną ręką, zostawiając błotniste odciski, wyciągnął z torby próbkę i wcisnął do niej szkodnika. Próbował obejrzeć go przez składaną lupę, ale deszcz lał zbyt mocno.

– Jakby się dało przyjrzeć pod dachem – mruknął.

Może w wiosce znajdzie się jakiś nieprzeciekający dach. Może...

– Tak te robale robią z roślinami. Widzisz?

Williams nonszalancko wyciągnął z ziemi krzew kawowca. Nie stawiał żadnego oporu. Łodyga była tak podziurawiona, że aż gąbczasta, a liście obwisłe i rachityczne.

– Kukurydzę i fasolę też żrą? – zapytał Leonard.

– Jak znajdziesz coś, czego nie żrą, to mi powiedz!

W dziurze po wyrwanej roślinie zakłębiło się ich pięć czy sześć, nerwowo próbujących się ukryć.

– Od dawna niszczą uprawy?

– Od zawsze – odparł Williams. – Ale dopiero... eee... mniej więcej jak tu wykarczowali i zaczęli uprawiać kawę... wcześniej były tylko w dżungli. Przez pierwsze dziesięć lat w Guanagui widziałem tylko parę. A mniej więcej dwa i pół roku temu – BUM!

Leonard wyprostował się, nogi były mu wdzięczne, że już nie kuca.

– No to nie ma wątpliwości, że to sytuacja nadzwyczajna, tak jak mówiłeś. Uzyskam zgodę na użycie silnych insektycydów i wtedy...

– To ile czasu jesteś w tym Globe Relief, jak mówiłeś?

Leonard, mrugając, spojrzał na Williamsa, który nagle i nieoczekiwanie się zezłościł.

– Jak myślisz, kto jest właścicielem tej ziemi? Jesteśmy na prywatnym terenie jakiegoś wysokiego rządowego fajansiarza, który może sobie naginać prawo jak zechce! Ta ziemia była opryskiwana i oblewana tak, że pływała w pestycydach!

Po stronie wioski zobaczyli nagle idących gęsiego, bardzo powoli, mężczyzn, kobiety i dzieci. Wszyscy byli chudzi, wszyscy byli obdarci i bosi, a niektóre dzieci miały typowe dla pelagry wydęte brzuchy.

– I przez tego debila *jigras* są odporne na DDT, heptachlorany, dieldrynę, pyretroidy, na wszystko! Myślisz, że jestem aż tak głupi, że mi to

nie przyszło do głowy? Ci ludzie nie potrzebują chemii, oni potrzebują jedzenia!

## DEFICYT

*Petronella Page:* Witaj świecie!

*Publiczność w studiu:* Cześć!

*Page:* Dzisiaj będziemy dla państwa gościć wszystkich ludzi, o których się teraz mówi. Między innymi, zaprosiliśmy Big Mamę Prescott, której przebój „Gość z 45-tką” jest obecnie w centrum zażartej debaty o tym, co jest odpowiednim tematem dla popowych piosenek, a co nie. (*Śmiech publiczności.*) Potem będziemy rozmawiać z całą grupą byłych wojskowych, którzy obdarowali mnóstwo dzieci z Azji Południowo-Wschodniej najcenniejszym prezentem gwiazdkowym na świecie – nowym domem i nową rodziną. Najpierw jednak przywitajmy kogoś, kto trafia na pierwsze strony gazet zupełnie z innej przyczyny. Jest naukowcem i słyszeliście państwo o nim bo... bo jeśli jego obliczenia są poprawne, nie wróżą nam zbyt dobrze na przyszłość. Przed państwem profesor Lucas Quarrey z Uniwersytetu Columbia.

*Quarrey:* Dobry wie... Cześć wszystkim.

*Page:* Lucas, w dzisiejszych czasach trochę zbyt małą wagę przywiązuje się do nauki, ale może mógłbyś przypomnieć widzom, o czym piszesz na pierwszych stronach gazet.

*Quarrey:* Z przyjemnością, a jeśli ogląda nas ktoś, kto o tym nie słyszał, będzie to dla niego takim samym zaskoczeniem, jak dla mnie, kiedy pierwszy raz zobaczyłem te wydruki z moich uczelnianych komputerów. Otóż, ludzie zapytani o to, czego Stany Zjednoczone importują najwięcej, wymieniają najróżniejsze rzeczy – żelazo, aluminium, miedź, inne surowce, których już nie posiadamy w znacznych ilościach.

*Page:* I nie mają racji?

*Quarrey:* Kompletnie nie mają racji. I tak samo by się pomylili, gdyby ich zapytać o to, co jest na pierwszym miejscu w naszym eksporcie.

*Page:* No to czego importujemy najwięcej?

*Quarrey:* Licząc w tonach – tlenu. Produkuje poniżej sześćdziesięciu procent tego, co konsumujemy.

*Page:* A eksportujemy?

*Quarrey:* Ponownie, licząc w tonach – szkodliwych gazów.

*Page:* O, i tu właśnie pojawia się ta kontrowersja, prawda? Wielu ludzi zastanawiało się, skąd właściwie wiesz, że dym, dajmy na to, z New Jersey, przelatuje na drugą stronę oceanu. I jak to mierzysz. Zwłaszcza że nie jesteś meteorologiem, ani klimatologiem. W czym się właściwie specjalizujesz?

*Quarrey:* Opady cząsteczkowe. Prowadzę obecnie projekt badawczy, gdzie projektujemy mniejsze i bardziej wydajne filtry.

*Page:* Do czego? Do samochodów?

*Quarrey:* Oczywiście. I autobusów, i fabryk. Ale głównie do kabin samolotów pasażerskich. Mamy zlecenie od dużego przewoźnika lotniczego, by spróbować poprawić powietrze w kabinie na dużych wysokościach. Na najbardziej uczęszczanych trasach w powietrzu jest tyle spalin z innych samolotów, że pasażerom robi się niedobrze nawet w spokojne dni – zwłaszcza w spokojne dni, bo wtedy spaliny wolniej się rozpraszają.

*Page:* Czyli na początek musiałeś przeanalizować, co trzeba odfiltrować, tak?

*Quarrey:* Dokładnie. Zaprojektowałem urządzenie do montowania na skrzydle samolotu, ma takie przylepne płytki, na których odkładają się zanieczyszczenia – o, tu mam jedną, nie wiem, czy widzowie dobrze to widzą... Tak? To świetnie. Moje urządzenie ma ich pięćdziesiąt i odsłania je w równych odstępach czasu, żeby zebrać próbki z różnych faz lotu. A nanosząc te wyniki na mapę, byłem w stanie... dokładnie jak mówiłaś, śledzić, dokąd leci ten dym z New Jersey, na przestrzeni prawie dwóch tysięcy mil.

*Page:* Wielu ludzi twierdzi, że tego nie da się zrobić z taką dokładnością.

*Quarrey:* Szkoda, że tym ludziom, którzy tak twierdzą, nie chciało się sprawdzić, co potrafi mój sprzęt.

*Page:* Swoją drogą, to jest bardzo bulwersujące, prawda? Większość ludzi sądzi, że od wejścia Ustaw Środowiskowych sytuacja zaczęła się poprawiać.

*Quarrey:* Niestety, wydaje się, że to jest, hmm, złudzenie optyczne, że tak powiem. Po pierwsze, ustawy prawie nie mają zębów. Można się ubiegać o różne prolongaty, zwolnienia, przedłużenia, więc oczywiste, że firmy, którym przestrzeganie tych przepisów ścięłoby trochę zyski, łapią się wszelkimi sposobami. A druga sprawa: nie jesteśmy już tak czujni jak kiedyś. Parę lat temu była taka fala niepokoju, wtedy, jak mówiłaś, wprowadzono Ustawy Środowiskowe, i wszyscy siedzą teraz spokojnie i myślą, że sytuacja jest pod kontrolą, chociaż nie jest.

*Page:* Rozumiem. A co byś powiedział ludziom, którzy mówią, że rozgłaszanie takich oskarżeń nie jest... w interesie naszego kraju?

*Quarrey:* Nie pomaga się krajowi, zamiatając nieprzyjemne fakty pod dywan. Zdecydowanie nie jesteśmy teraz najpopularniejsi na świecie i ja sądzę, że powinniśmy pewne rzeczy przerwać natychmiast, żeby jeszcze bardziej nam to nie zaszkodziło.

*Page:* W tym coś może być. No cóż, Lucas, dziękujemy za wizytę i rozmowę. Wrócimy do państwa po przerwie na reklamę naszej stacji...

## MIMO DOBROCZYNNOŚCI JEST JAKO MIEDŹ BRZĘCZĄCA

– Najlepszą analogią będzie chyba ser – powiedział pan Bamberley.

Hugh Pettingill kiwnął głową, żeby pokazać, że uważa. Miał dwadzieścia lat, ciemne włosy, piwne oczy i permanentnie złą minę: wydęte usta, zmrużone oczy, na stałe zmarszczone czoło. Tak go ukształtowały kiepskie lata od czternastego do dziewiętnastego roku życia. Teraz przeżywał pierwszy udany rok – podobno pierwszy z wielu – i był na tyle dobrze nastrojony, by dopuścić możliwość, że da się przekonać.

Wszystko zaczęło się od dyskusji o jego przyszłości. Powiedział podczas niej coś mniej więcej takiego, że bogate uprzemysłowione kraje niszczą Ziemię i że jest zdecydowany nigdy nie mieć nic wspólnego z handlem, technologią, ani siłami zbrojnymi, które pan Bamberley tak po staroświecku podziwiał. A z tego wynikło polecenie (zbyt stanowcze, by nazwać je zaproszeniem) odbycia wycieczki z przewodnikiem po farmie hydroponicznej, w celu przekonania się, jak można konstruktywnie wykorzystywać technologię.

– Ja nie rozumiem, dlaczego nie mielibyśmy poprawiać natury! – rzucił potem, chichocząc, pan Bamberley.

Hugh zachował ripostę dla siebie:

– A co by się musiało stać, żeby dotarło do ciebie, że to nie jest żadna poprawa?

Pan Bamberley, korpulentny choć muskularny, szedł nieśpiesznie stalową galeryjką pod dachem farmy, pokazując rękoma na lewo i prawo kolejne fazy, przez które przejść musi hydroponicznie hodowany maniok, zanim stanie się produktem końcowym, zwanym „Nutripon”. Pod ogromną półprzezroczystą kopułą pachniało lekko drożdżami, jakby inżynierowie od przetwórstwa ropy przejęli piekarnię.

W pewnym sensie było to całkiem trafne porównanie. Bamberleyowie dorobili się właśnie na ropie, choć było to dwa pokolenia temu, i ani obecny pan Bamberley – który dostał na chrzcie Jacob, ale wolał, aby mu mówić „Jack” – ani jego młodszy brat Roland nigdy nie postawili stopy w błocie pod wiertnią. Fortuna dawno urosła na tyle, że nie tylko utrzymywała się sama, ale i była zdolna do podziału, niczym ameba. Roland wziął swoją część, na której chciwie siedział, chcąc ją przekazać jednemu synowi Hectorowi (którego Hugh na podstawie jedyne z nim spotkania uznał za rozpieszczonego snoba... ale miał dopiero piętnaście lat, więc to nie jego wina, tylko ojca); Jacob zaś swoją zainwestował dwadzieścia lat temu w Bamberley Trust Corporation. Od tego czasu rozrosła się jak nowotwór.

Hugh nie miał pojęcia, ilu ludzi potrzeba do pielęgnowania pieniędzy Trustu, bo mieścił się on głównie w nowojorskim biurze, gdzie nigdy nie był. Wyobrażał sobie jednak niewyraźną gromadę kilkuset osób zajętych

przycinaniem, nawożeniem, podlewaniem. Te ogrodnicze wyobrażenia przychodziły mu łatwo, bo jego przybrany ojciec zamienił rodzinne rancho w Kolorado w jeden z najpiękniejszych ogrodów botanicznych w całym kraju. W głowie utkwił mu tylko jeden namacalny fakt dotyczący Trustu – suma, którą obracał, jest obecnie tak wielka, że Jacob Bamberley może sobie pozwolić na prowadzenie największej na świecie farmy hydroponicznej z przetwórnią, w celach wyłącznie dobroczynnych. Zatrudniać sześćset osób, a produkt sprzedawać po kosztach, albo i taniej, co do grama wysyłając go za granicę.

Pan Dobroczyńca. No cóż, zawsze to lepszy sposób wykorzystania odziedziczonej fortuny niż ten, który wybrał Roland – wydać wszystko na siebie i swojego syna, żeby nigdy nie musiał się mierzyć z wredną rzeczywistością...

\* \* \*

– Ser – powtórzył ponownie pan Bamberley.

Patrzyli na szereg idealnie okrągłych kadzi, w których w kłębach pary mieszało się coś przypominającego odrobinę spaghetti. Człowiek w masce i sterylnym kombinezonie pobierał z nich próbki długą kopyścią.

– Jakaś obróbka chemiczna? – zaryzykował Hugh. Miał nadzieję, że nie będzie się to zbyt długo ciągnęło; rano miał biegunkę i czuł, że w brzuchu znowu mu się kotłuje.

– Drobną korekta. – Pan Bamberley błysnął oczyma. – „Chemiczna” strasznie źle się kojarzy. Maniok jest jednak trudny w obróbce, bo jego skórka zawiera silnie trujące związki. Ale w sumie to nic nadzwyczajnego, mamy wiele takich roślin, których pewne części są jadalne, a inne trujące. Pewnie jesteś w stanie podać jakiś inny przykład?

Hugh powstrzymał westchnienie. Nigdy nie powiedział tego otwarcie, zbyt świadom był długu, jaki ma wobec Jacka (osierocony w wieku czternastu lat wskutek zamieszek, umieszczony w schronisku dla nieletnich i wybrany na oko przypadkowo, by zasilić ciągle rosnącą czeredkę adoptowanych synów tego pulchnego człowieczka – jak dotąd,

miał ich ośmiu), ale zwyczaj zadawania tego typu pytań irytował go niezmiernie. Manieryzm typowy dla wiejskiego nauczyciela, który uświadomił sobie, że dzieci powinny same dochodzić do odpowiedzi, ale nie nauczył się, jak je skłaniać do zadawania odpowiednich pytań. Powiedział ze znużeniem:

– Nać ziemniaczana.

– Bardzo dobrze! – Pan Bamberley poklepał go po ramieniu i po raz kolejny wskazał na podłogę. – Natomiast, zważywszy, jak skomplikowany proces jest potrzebny, by uzdatnić maniok do spożycia...

Jasna cholera. Znow będzie wygłaszał jakiś parszywy wykład.

– ...i jak mało prawdopodobne jest, by komuś udało się to czystym przypadkiem, zawsze wydawało mi się to jasnym i klarownym dowodem na boską interwencję w życie człowieka pierwotnego – zadeklamował pan Bamberley. – A tutaj mamy do czynienia nie z jakąś stosunkowo banalną substancją, na przykład kwasem szczawiovym, ale z najgroźniejszą z trucizn – cyjankiem! Mimo to są ludzie, którzy od tysiącleci żywią się głównie maniokiem i przeżyli, ba, wręcz rozkwitli! Czy to nie wspaniałe, kiedy się tak na to spojrzy?

Być może. Ale ja tak na to nie patrzę. Raczej wyobrażam sobie zdesperowanych, cierpiących głód ludzi, którzy próbują wszystkiego, co się nawinie, z wątplą nadzieją, że kolejna osoba, która spróbuje nieznannej rośliny, nie padnie trupem na miejscu.

– Innym przykładem jest kawa. Komu by przyszło do głowy, bez podpowiedzi, żeby wysuszyć te jagody, wyłuskać, podpiec, zemleć i dopiero wtedy zrobić z nich napar? – Podniósł głos do tonu jak z ambony, po czym niespodziewanie się uspokoił. – Zatem nazywanie tego „procesem chemicznym” jest mylące. Tak naprawdę my to po prostu gotujemy. Maniok jako podstawa diety ma jednakże jedną wadę. Czy już mówiłem...?

– Niską zawartość białka – odparł Hugh, myśląc o sobie jak o jednej z tych dziecięcych zabawek do gry w pytania i odpowiedzi, gdzie po naciśnięciu właściwego guzika zapala się lampka.

– Punkt dla ciebie! – rozpromienił się pan Bamberley. – Dlatego właśnie porównuję nasze zadanie do produkcji sera. Tutaj... – otworzył drzwi do



kolejnej części przetwórci, wielkiego i słabo oświetlonego pomieszczenia, w którym z pajęczych metalowych dźwigarów zwisały się osłonięte lampy ultrafioletowe – ...wzbogacamy mieszankę w białka. Wyłącznie naturalnymi sposobami: drożdże i grzyby o wyjątkowo dużej wartości odżywczej. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, nawet do osiemdziesięciu procent manioku zamieni się w białko, ale nawet przeciętny wynik, sześć procent, jest już znacznym krokiem naprzód.

Idąc dalej i cały czas gadając, dotarł do kolejnego działu, gdzie gotowy produkt rozwieszano wielkimi pasmami na suszarniach, niczym włóczkę, a potem krojono na odcinki długości palca.

– A wiesz, co jeszcze jest niesamowite? Maniok to oczywiście tropikalna roślina. Mimo to u nas rośnie lepiej niż w tak zwanych „naturalnych” warunkach. Czy wiesz dlaczego?

Hugh pokręcił głową.

– Dlatego że większość naszej wody pozyskujemy ze stopionego śniegu. Dzięki temu zawiera mniej ciężkiego wodoru, deuteru. A dużo roślin słabo go toleruje.

Na koniec pakownia, gdzie mężczyźni i kobiety w maskach i kombinezonach upychają odważone ilości do wyłożonych folią kartonów, a potem ładują je na warczące wózki widłowe. Niektórzy pomachali, zauważywszy pana Bamberleya. Odpowiadając tym samym gestem, uśmiechnął się od ucha do ucha.

\* \* \*

O Boże. Mój Boże, niczyj inny. Nie Boże Bamberleya, jowialny, miły i ojcowski, z pewnością wysoki, przystojny i biały, z długą siwą brodą. Rany, ten człowiek zapłacił za ubranie, które mam na sobie, szkołę, do której chodzę, samochód, którym jeżdżę – nawet jeśli to tylko ślimaczący się elektryk. Naprawdę chciałbym go lubić. Jeśli nie jesteś w stanie polubić człowieka, który jest dla ciebie dobry...

Ale on to tak utrudnia! Ciągle, ciągle to poczucie, że coś jest nie tak, choćbyś chwilę wcześniej myślał, że już prawie. Na przykład to: cały czas

sypie kasą do Ziemskiego Funduszu Wspólnotowego, dostarcza Globe Relief całe to tanie jedzenie, ale z ośmiu adoptowanych synów żaden nie jest wietnamskim inwalidą...

Pustak. To jest właściwe słowo. Pustak.

\* \* \*

Ale nie zaczynajmy kłótni. Kolejne pytanie.

– Dokąd idą te kartony, które teraz pakują?

– Chyba do Noshri – odparł pan Bamberley. – Program pomocy dla obszarów dotkniętych wojną. Ale sprawdzę.

Zawołał do czarnej kobiety, która, używając szablonu, malowała na pustych kartonach miejsce przeznaczenia. Przechyliła dopiero ukończone pudło, żeby mógł z galerii przeczytać napis.

– Nie do Afryki! – Pan Bamberley wydawał się zaskoczony. – Czyli ktoś musiał wypracować masę nadgodzin. Dowiem się kto i pochwalę go. Czyli już realizujemy nasz nowy kontrakt dla Globe Relief.

– I dokąd to idzie?

– A, do takiej jednej wsi w Hondurasie, gdzie uschła im cała kawa.

## TO MIEJSCE NA REKLAMĘ WYDAWCA BEZPŁATNIE ODDAJE NA CELE SPOŁECZNE

*Kiedy płacze dziecko... albo jest zbyt słabe, by płakać... Kiedy matka oplakuje dziecko, które już nigdy nie zapłacze...*

*Kiedy głód, choroby i wojny dręczą ludzi...*

PRZYNOSIMY NADZIEJĘ

*Ale nie zrobimy tego bez Twojej pomocy. Pomyśl o nas. Pamiętaj o nas, spisując testament. Okaż szczodrość wobec największej światowej organizacji pomocy humanitarnej: GLOBE RELIEF[1].*

## OD ZNAKU DO ZNAKU

Ze ścian menedżerskiej kantyny patrzyły znaki zodiaku, wytłoczone i złożone, na metrowych panelach z zielonej skóry, oczywiście sztucznej. W powietrzu unosiły się głosy i szcęk kostek lodu. Pośrodku, na atak, kiedy pojawi się prezes firmy (a obiecał przyjść punktualnie o pierwszej), czekał stół zastawiony luksusowym jedzeniem. Jaja na twardo, nieobrane ze skorupki, żeby było widać, że są brązowe, z wolnego wybiegu, bogate w karoten; sałata z zewnętrznymi liśćmi obgryzionymi przez ślimaki; jabłka i gruszki obnoszące się ze śladami po robakach jak z bliznami od pojedynków, w tym wypadku były prawdopodobnie autentyczne, choć słyszało się, że hodowcy owoców fałszują je rozgrzanym drutem, w obszarach, gdzie nie ma już żadnych owadów; całe szynki, bardzo chude, dumne z braku antybiotyków i siarczanu miedziowego; rachityczne kurczaki; chleb ziarnisty jak piaskowiec, ciemny jak błoto i przetykany całymi ziarnami pszenicy...

– Hmm! Wygląda to, jakby ktoś wykupił cały sklep Puritana! – powiedział głos w zasięgu słuchu Chalmersa, rozśmieszając go.

Szedł od znaku do znaku, przy każdym z nich odmierzając dokładnie trzy minuty.

Panna: nie było żadnych kobiet z wyjątkiem Felice, z którą miał romans i dwóch dziewczyn za barem.

Angel City, zgodnie ze swoim postępowym wizerunkiem, szukało kiedyś kobiet na stanowiska dyrektorów regionalnych, ale z dwóch pierwszych jedna wyszła za mąż i się zwolniła, a druga przeżyła załamanie nerwowe. Niekiedy zastanawiał się, czy Felice sypia z nim dlatego, że liczy na wspięcie się aż tak wysoko na korporacyjną drabinę.

Ten element polityki został jednak dawno skorygowany.

Waga: Teraz ja. Ja uderzyłbym prosto w odzyskiwanie złomu i budowę oczyszczalni ścieków. To są wzrostowe branże lat osiemdziesiątych. Błyskawicznie byśmy mieli sto procent zwrotu.

Skorpion: Szczury? Nie, mamy teriera i kota, i pilnujemy, żeby były głodne. Za to mrówki! Dwa tysiące wydałem na zabezpieczenie kuchni, a one i tak wszędzie wleżą. Musieliśmy wrócić do... rozumiecie... starego i pewnego środka. Jakbyście kiedyś potrzebowali, to znam jednego dobrego, dyskretnego dostawcę.

Strzelec: Na naszym terenie ułożyliśmy sobie pewien *modus vivendi* z Syndykatem. Mają duży udział w Puritanie. Na naszym terenie bardzo mocni. Niech ktoś tylko spróbuje wyłudzić odszkodowanie, zaraz przychodzą do niego mili panowie. Tak jesteśmy dogadani.

Pod Koziorożcem nikogo.

Wodnik: Bez lodu. Dziękuję... ej! Mówiłem, że BEZ LODU! Nie rozumiesz po angielsku? Lekarz mi kazał. Nie mogę tykać się niczego oprócz puszkowanej mineralnej. Jak znów będę musiał pójść na zwolnienie...

Ryby: A może byśmy jako warunek do polis na życie dorzucali zainstalowanie w domu zatwierdzonego przez nas filtra do wody, tak jak robimy z filtrami w samochodach? Wstępnie przegadałem to z paroma dużymi firmami i są bardzo zainteresowane współpracą.

Pod Baranem nikogo.

Byk: Jeśli mamy pójść w stany, gdzie hodują bydło, to musimy mieć konkretne papiery na częstotliwość zdeformowanych płodów u zwierząt hodowlanych. Mnie udało się sćiąć żądania do zwrotu opłaty za pokrycie przez ogiera, ale gość upierał się, że klacz, która zdechła przy porodzie, była warta dwa razy tyle. Żeby poszedł na ugodę, musiałem rzucić naprawdę ciężkimi aluzjami o kosztach sądowych.

Bliźnięta: Ostatnio miałem kupę pytań o ubezpieczenie przeciwko kłębkowości płodowej. Daje to do myślenia, czy coś się za tym aby nie kryje. Może jakiś przeciek z laboratorium?

Pod Rakiem nikogo. Nic dziwnego.

Lew: Tak, spóźniłem się przez tego walniętego czarnucha...

\* \* \*

Chalmers cmoknął współczująco, wysłuchawszy Philipa, i natychmiast przeszedł na mniej przygnębiający temat.

– A tak à propos! Z Tanią przyjeżdżamy do Kolorado na weekend. Pojeździć trochę na nartach.

– Tak? Dokąd, do Aspen?

– Nie, w Aspen pełno ludzi, którzy przeczytali o nim w „Playboyu”. My zwalimy się tam do ciebie. Do Towerhill!

– Niemożliwe! To zadzwońcie, jak będziecie! Może wpadniecie do nas na obiad czy coś?

Odrobinę się spocił po tym prztyczku z „Playboyem”.

Precyzyjnie wyliczona peregrynacja Chalmersa doprowadziła go, za pięć pierwsza, prosto w objęcia Greya.

– Ten gość z Denver – powiedział Grey. – Philip Mason.

– Co z nim? – Przewidywał, jaka będzie odpowiedź, już ciesząc się, że dysponuje niezbitą pewną ripostą. Sam był w to umoczony: kiedy przyjmowali Masona do pracy, komisja podzieliła się dwa do trzech i jego głos przeważał szale.

– Coś jest z nim nie tak. Albo dzisiaj jest jakiś nieswój.

– Nieswój, pewnie. Widział na własne oczy jak przejechało człowieka. – I powtórzył mu opowieść.

Grey myślał przez chwilę. Chalmers czekał, czując się niezręcznie. Ciężko się patrzyło, jak ten facet myśli, człowiek sobie od razu wyobrażał cały świat pełen wirujących zębatych kółeczek.

– Ktoś będzie go musiał mieć na oku – powiedział w końcu Grey.

– Ale to jeden z naszych najlepszych ludzi! – Chalmers poczuł się osobiście urażony. – Prawie podwoił sprzedaż w Denver. To on pierwszy wytropił te nowe osiedla na Towerhill, wynajął biuro na parterze i teraz mamy tam trzy czwarte udziału w rynku. A inny jego pomysł? Wysyłamy razem z potwierdzeniami rezerwacji w hotelach oferty na krótkoterminowe ubezpieczenie od nieszczęśliwych wypadków. Tysiąc procent zysku.

– Nie o tym mówię – odparł Grey. – Chciałbym za to wiedzieć, po co z rana przyjechał do Los Angeles własnym samochodem. Kawał drogi

z Denver. Myślałem, że przyleci samolotem.

Drzwi otworzyły się, by wpuścić prezesa firmy, Grey podszedł, żeby się z nim przywitać. Chalmers, krzywiąc się za jego plecami, zastanawiał się – nie po raz pierwszy – czy kiedykolwiek ośmieli się nazwać Greya „Mike” – od Mycrofta, starszego brata Sherlocka Holmesa. Tylko wewnętrzny krąg najwyższej kadry zarządzającej posługiwał się otwarcie tym przezwiskiem.

## MORAŁ Z XX WIEKU

Ostatnia bojowa szarża wielkiego domu towarowego, którego klienci przestali pojawiać się w centrum miasta: ulicą maszerowało sześciu Świętych Mikołajów.

– Ho-ho-ho! – Dzyń-dzyń, dzwonki sań.

Chodniki, po których szli, były pełne ludzi. Większość gapiów była czarna, wśród nich dużo dzieci, w których oczach odbijały się niespełnione marzenia. Serce miasta umierało przed jego ciałem, a to była biedota uwięziona w znoszonych ubraniach i zaszczurzonych czynszówkach. Chcąc uciec, najpewniej musieliby ukraść jakiś samochód, bo obowiązkowe od niedawna czyste układy wydechowe były bardzo drogie. Peg ostatni raz przyjechała tutaj właśnie po to, by nakręcić relację o burzliwie rozwijającym się handlu lewymi filtrami, produkowanymi domowym sposobem, z blachy, przez przedsiębiorczego mechanika.

Mimo niewielkiego ruchu aut powietrze cuchnęło. Zdjęła maskę, nie chcąc rzucać się w oczy, przynajmniej nie bardziej niż przez to, że jest biała. W tej dzielnicy masek się nie nosiło, mieszkańcy wydawali się uodpornieni na smród. Dzieci miały zapadnięte klatki piersiowe, jakby po to, by uniknąć zbyt głębokich oddechów.

Zaczęła się gapić na Świętych Mikołajów. Pod brodami, kiedyś białymi, teraz usmolonymi po wyjściu na zewnątrz, nie było widać rysów twarzy. Zauważyła jednak, że drugi w szeregu jedynie porusza ustami, zamiast

gromko wołać „Ho-ho-ho”. Oczy wyszły mu na wierzch z wysiłku spowodowanego powstrzymywaniem kaszlu.

Gdyby się rozkaszał, zupełnie wypadłby z roli.

Rozeszli się z szeregu, żeby porozdawać zapraszające ulotki reklamowe, których większość od razu wylądowała na ziemi, a potem zanurkowali do ciemnego zaułka, opatrzonego tablicą ostrzegającą, że „Nieupoważnionym wstęp wzbroniony”.

Czy jednym z tej szóstki faktycznie, jak ją zapewniano, był Austin Train?

Z pozoru wydawało się to absurdalne. Po namyśle – może jednak nie. Nie widziała Austina, odkąd pozbiierał się po załamaniu, ale wtedy zniknął z publicznej sceny zgodnie ze swoją obietnicą, że będzie żyć tak, jak żyją biedni, nawet jeśli oznacza to takie same ryzyko, jakie oni ponoszą. Ta decyzja sprowokowała modnych katolickich telewizyjnych kaznodziejów do wzmianek, że Kościół zastanawia się nad nową kategorią „świeckich świętych”. Oglądała kiedyś jeden taki program, z Decimusem i Zeną. Zaśmiewali się do łez.

Ta wybrana przez Austina droga różniła się jednak znacznie od drogi Decimusa, który na swoim koloradzkim wacie wziął kurs na Trzeci Świat – jego społeczność hodowała własną żywność – czy raczej usiłowała, bo zbiory paskudnie się nie udawały, padając ofiarą niesionych wiatrem defoliantów albo przemysłowych zanieczyszczeń w deszczu – tkąła własne tkaniny, a jej głównym źródłem dochodów było rękodzieło. Ideą przewodnią było szerzenie wiedzy, jak żyje większość ludzkości. Przed posiłkami często wygłaszał krótkie kazania:

– Przy tym stole wszyscy otrzymujecie mniej więcej dwa razy tyle, co mieszkani w wioski w boliwijskich górach ma na cały dzień.

A czasem pojawiały się dziwaczne i mało apetyczne potrawy: kleiste afrykańskie sosy z rozdrobnionej okry, pozbawione smaku placki z nieznanego ziarna – były to próbki żywności z pomocy humanitarnej, kupione przez ich sympatyków i wysłane do wату.

– Takie coś im dajemy w ramach pomocy – mówił wtedy Decimus. – Nie steki, nie kurczaki, nie wielkie ziemniaki z Idaho. To jest zrobione z... – I tu pojawiały się glony, drożdże, skoszona trawa, albo nawet raz, co

niewiarygodne, odpady z tartaku. – Spróbujcie, i pomyślcie o ludziach, którzy muszą się żywić tym gównem i jeszcze za to dziękować!

To jednak było dawno temu.

Z tyłu sklepu znalazła na wpół pusty parking. Wypatrzyła drzwi z tabliczką „Tylko dla personelu”. Były zablokowane od środka. Obok nich znajdowało się jednak okno z matową szybą. Przysunąwszy do niej twarz, była w stanie coś niewyraźnie dostrzec. W środku czerwone kształty zmieniały się w białe, w miarę jak Święci Mikołajowie zdejmowali z siebie wypchane przebrania.

Nasłuchiwała, licząc, że rozpozna jego głos.

– Kiepsko z tobą, co, kolego? Oj, dajcie mu spokój! Ej no, tylko nie kaszł na mnie, ja mam dzieci i już nie wyrabiam z rachunkami za lekarzy. Jak wszyscy, co?

I tak dalej. Niektórzy weszli głębiej w jakieś drzwi, dobiegający stamtąd szum wody sugerował prysznice. Pojawił się facet w ciemnym garniturze i krzyknął:

– Ostrożnie z tą wodą! Jest niedobór!

– Pieprzyć niedobór. – Chrypliwy, suchotniczy głos; mógł należeć do człowieka, który nie jest w stanie krzyknąć. Głośniejszy dodał: – A gorąca chociaż?

– Pewnie, że nie, kurna! – odkrzyknął ktoś. – Letnia!

– To ja poproszę kasę i idę. Doktor mi mówił, że mam się nie przeziębzać. Ale za to nie zużyję wam tej drogocennej wody.

– Nie moja wina. – Westchnienie. – Nie ja tu ustalam reguły.

\* \* \*

W półmroku żaden z mężczyzn rozchodzących się do aut nie zauważył Peg. Pięciu wsiadło do trzech samochodów. Ostatni z nich zostawił za sobą smugę czarnego dymu. Mogą go za to aresztować. Szósty nie wsiadł do samochodu.

– Austin! – powiedziała półgłosem Peg.

Nie zmylił kroku, prawie się nie obejrzał.



– Pani dziennikarka! – powiedział. – Co, postanowiłaś w końcu rzucić mnie na pożarcie?

– Co takiego? – Zrównała się z nim, idąc krok w krok; świetnie pamiętała te kroki, zbyt długie jak na kogoś o przeciętnym wzroście, co najwyżej metr siedemdziesiąt pięć. Ale w obecności Traina zmuszanie mięśni do wysiłku przychodziło bardzo naturalnie.

– Czyli nie jesteś tu służbowo? – Ton był zabarwiony sarkazmem.

Wykręciła się od odpowiedzi, pokazując na prawo, poza plac; ciężko się będzie zmusić do przekazania mu nowin, z którymi przyszła.

– Tam mam samochód. Może cię podwiozę? To hailey!

– O. Czyli przykazania są przestrzegane, tak? Para czystsza niż benzyna! Nie, dziękuję, ja się poruszam pieszo. Zapomniałaś?

Złapała go za rękę i zmusiła, aby się odwrócił twarzą do niej. Przyjrząwszy się mu, przy słabym świetle, nie dostrzegła zbyt wielu zmian, jeśli nie liczyć tego, że zgolił brodę, którą nosił w czasach sławy. Wysokie kości policzkowe były takie same, ciekawsko wygięte brwi, prawie półkoliste, cienkie, zacięte usta... Może linia rzadkich brązowych włosów trochę się cofnęła? Minęły prawie trzy lata.

Usta wygięły mu się w parodii uśmiechu, o parę stopni w jednym kąciку. Nagle się wściekła i zdecydowana zetrzeć mu z twarzy to samozadowolenie, wypaliła:

– Przyszłam, żeby ci powiedzieć, że Decimus nie żyje.

A on odparł:

– Tak. Wiem.

\* \* \*

Tyle godzin poszukiwań, bez jedzenia, bez wytchnienia, ze świadomością, że każda chwila zwiększa prawdopodobieństwo utraty pracy. I wszystko to bez sensu? Peg powiedziała słabo:

– Ale to się stało dopiero dziś rano...

– Przykro mi. – Drwiąca mina złagodniała. – Kochałaś go, prawda? Dobrze, idę z tobą do auta.

Szła dalej, mechanicznie; teraz dla odmiany to on wyrównał z nią krok, choć przy jego energicznych ruchach musiało to być męczące. Nie padło ani jedno słowo, póki nie dotarli tam, gdzie w snopie nieprzyjemnego rtęciowego światła stał jej mały hailey.

– A ja się zastanawiam, czy faktycznie go kochałam – odezwała się nagle.

– Myślałaś, że nie potrafisz, że nie wiesz jak, prawda? Ale musiałaś. Najlepszy dowód: zaczęłaś mnie szukać i znalazłaś. Łatwo na pewno nie było.

– No, nie było. – Palec, na którym zdarła sobie kawałek paznokcia, wciąż był tkliwy; miała problem z trafieniem kluczykiem do zamka.

– To śmieszne – powiedział Austin, patrząc na samochód.

– Co śmieszne?

– Że ludzie myślą teraz, że para jest czysta. Moja babcia mieszkała w domu przy samych torach. Nie mogła wieszać prania na zewnątrz, bo brudziło się sadzą. Dorastałem, uważając, że para jest brudna.

– Pora na kazanie? – warknęła Peg, sięgając, żeby otworzyć drzwi pasażera. – I jeszcze masz na nazwisko Train.

– Tysiąc razy już to słyszałem – odburknął, wsiadając. – W moim przypadku „Train” pochodzi od „powder train”, taki dawny rodzaj lontu. Bardzo stare jest. Pierwotnie to w ogóle oznaczało pułapkę na zwierzęta, wnyki.

– Tak, tak, już mi mówiłeś. Przepraszam. Następny razem skombinuję sobie któryś z tych samochodów na pary freonu... Kurde! Gadam i gadam. Słuchaj... masz coś przeciwko, żebym sobie zapaliła?

– Nie.

– Ale myślisz: „tak”.

– Mówię: „nie”. Potrzeba ci czegoś uspokajającego, a papierosy są z tych mniej groźnych. – Odwrócił się na wąskim siedzeniu. – Peg, zadałaś sobie dużo trudu. Doceniam to.

– Aha, i dlatego witasz mnie tak serdecznie, jakbym była trędowata. – Pogrzebała w torebce. – A skąd się w ogóle dowiedziałaś?

– Był ze mną umówiony na rano. Kiedy się nie pokazał, zacząłem rozpytywać ludzi.

– Cholera. Trzeba mi się było domyślić.

– Ale on nie był umówiony tylko ze mną. Jego siostra pracuje w L.A. i ma jakieś kłopoty rodzinne. Chciał jej pomóc.

– O tym nie wiedziałam. Nawet mi nigdy nie powiedział, że ma siostrę!  
– Gniewnie dźgnęła przycisk zapalniczki na desce.

– Skłóceni byli. Nie widywali się od lat... Peg, ja naprawdę przepraszam! To chodzi... reaguję nerwowo, bo wiem, jaką masz pracę. Wiele lat byłem na świeczniku, dobrze wiesz – po prostu już nie mogłem tego znieść, kiedy uświadomiłem sobie, co oni ze mną robią: wykorzystują mnie, żeby udowodnić, że przejmują się losami świata, a naprawdę mają go w dupie. Po nas choćby potop! Dlatego postawiłem zasłonę dymną i zniknąłem. Ale jeśli będzie się dalej działo tak jak ostatnio...

Rozłożył ręce. To one kiedyś nasunęły jej myśl, że może da się go polubić, choć był nieprzyjemny: te dłonie, nieco za duże jak na jego ciało, dłonie, które natura mogłaby zarezerwować dla rzeźbiarza lub pianisty, które mimo grubokościstości były na swój sposób piękne.

– No cóż, skoro jedna dziennikarka umie mnie znaleźć, to może i innej się udać, a w końcu to będą psy.

– Ty naprawdę boisz się aresztowania?

– A co, nie powinienem? Przecież wiesz, co się stało dziś rano na Wilshire?

– No wiem, ale ty się nie zajmujesz organizowaniem ich demonstracji! – Pstryknęła zapalniczką, ale ręce trzęsły się jej tak bardzo, że ledwie była w stanie trafić nią do papierosa.

– Prawda, ale napisałem ich biblię i wyznanie wiary, i gdyby kazali mi przysięgać, nie mógłbym zaprzeczyć, że traktuję to wszystko poważnie, co do słowa.

– Pewnie nie – mruknęła, wypuszczając chmurę szarego dymu.

Smak nie był jednak uspokajający, lecz drażniący, pewnie dlatego że przez ponad pół godziny sterczała na skrzyżowaniu ulic bez maski. Zaciągnęła się drugi raz, jeszcze gorzej. Zdusiła papierosa.

– Austin, ile ty masz lat?

– Co takiego?

– Słyszałeś. Ile masz lat. Ja mam dwadzieścia osiem, i to jest we wszystkich dokumentach. Prezydent ma sześćdziesiąt sześć. Prezes Sądu Najwyższego – sześćdziesiąt dwa. Mój naczelny – pięćdziesiąt jeden. Decimus we wrześniu skończył trzydzieści.

– I już nie żyje.

– Tak. Jezus Maria, co za szkoda! – Peg spojrzała martwo przez szybę.

Ulicą z sapaniem i prychnaniem pełził ośmiotonowy dźwig służący do odholowywania samochodów bez obowiązkowych filtrów. Złowił parę egzotycznych ofiar – zawieszony na łańcuchach magnes ciągnął fiata i karmanna gnię.

– Prawie czterdzieści.

– I jesteś spod Barana, prawda?

– Tak, o ile nie pytasz poważnie.

– A co to ma, kurna, znaczyć?

– Mogę ci powiedzieć cokolwiek. Przecież jest mnie ponad dwieście sztuk, jak wiesz.

– Żartujesz? – Omal go nie spoliczkowała, wiercąc się w fotelu. – Kurna, czy to do ciebie nie dociera? Decimus nie żyje, do jasnej cholery!

– Mówisz, że nikt tego nie przewidział z jego horoskopu?

– Wiesz co, nieludzki jesteś! Może wysiądź, i to już? Nie cierpisz samochodów. – I ułamek sekundy później: – Nie, czekaj! Nie mówiłam poważnie! Zostań.

Nie ruszył się. Kolejna cisza.

– Są jakieś pomysły, kto to zrobił? – dodała w końcu.

– A pewna jesteś, że ktoś to... ten... zrobił?

– Na pewno! Co, może nie?

– Raczej tak. – Ściągnął zaokrąglone brwi, nie patrząc na nią, ale zerknąwszy spod oka, dostrzegła, że utworzyły dziecięcy rysunek mewy. (Niedługo już dzieci nie będą wiedziały, co to takiego mewa). – Wyobrażam sobie, że masa ludzi się ucieszyła, że już go nie ma. A policję pytałaś?

– Już miałam, ale postanowiłam, że najpierw cię znajdę. Pomyślałam, że to ty powinieneś powiedzieć Zenie.

– I to byłem ja. Czy właściwie, to ja zadzwoniłem do wату i dopilnowałem, żeby dowiedziała się od kogoś, kogo zna.

– Biedne dzieciaki!

– I tak mają lepiej niż inne – przypomniał jej Austin. Co było prawdą: dogmatyczna zasada trainistów nakazywała nie płodzić własnych dzieci, póki są pozbawione opieki sieroty.

– Chyba tak... – Peg przesunęła zmęczoną dłonią po twarzy. – Szkoda, że nie wiedziałam, że tracę czas! Teraz nawet nie wiem, czy to trafiło do gazet, do telewizji czy gdziekolwiek.

W końcu udało jej się ruszyć.

– Dokąd? – zapytała.

– Prosto, jakieś dziesięć przecznic. Co, Peg, boisz się, że stracisz pracę?

– Już raczej się zastanawiam, czy jej z miejsca nie rzucić.

Zawahał się.

– Chyba lepiej by było, jakbyś się jej jednak trzymała.

– Po co? Bo chcesz mieć swojego człowieka w mediach, tak? Daj spokój. Dzięki Prexy'emu prawie wszyscy poza właścicielami firm są po twojej stronie.

– Nie o tym myślałem. Raczej, że... rozumiesz... od czasu do czasu możesz mnie przed czymś ostrzec.

– Ty się boisz, prawda? – Zatrzymała się na czerwonym świetle. – Dobrze, jeśli dam radę, to tak. I jeśli utrzymam tę robotę... A kto zastąpi Decimusa?

– Nie wiem. Ja niczym nie zarządzam.

– Przepraszam. Bardzo łatwo jest odnieść wrażenie, że tak jest, przecież ludzie cały czas mówią „trainiści” i „trainiści”. Próbuję zapamiętać tych „komensalistów”, ale wszyscy to przekręcają na „komuchów”, a od tego już prosta droga do bijatyki... A ciebie to nie denerwuje, że używają twojego imienia nadaremno?

– A czego, jak myślisz, ja się boję? – Zaśmiał się, krótko, ochryple. – Gęsią skórkę od tego mam.

– Widać od razu, że nie chodzi o waty. O te demonstracje, jak dziś rano?  
– O nie? Skąd. Ludzi trochę podenerwiają, ale tak naprawdę nie szkodzą. Robią rozgłos, dają lekcję pogładową paru sukinsynom, którzy niszczą planetę dla zysków... I pozwalają demonstrantom poczuć, że robią coś konstruktywnego. Nie, mnie martwi coś innego: przypuśćmy, że ktoś zdecyduje, że jakieś miasto całe jest jednym wielkim gwałtem na biosferze i wyciągnie zawleczkę z bomby atomowej?

– Myślisz, że ktoś mógłby? To przecież szaleństwo!

– A to nie taki morał płynie z całego dwudziestego wieku? Że jesteśmy szaleni? – Austin westchnął. – Co gorsza, jeśli to się faktycznie stanie, wszelkie dowody szaleństwa tego człowieka, lub ludzi... Zauważyłaś, że ta „zbiorowość” staje się coraz bardziej popularna? Wszystkie dowody i tak by spłonęły. Podobnie jak wszystko inne, na wiele kilometrów wokół.

Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć.

Dwie przecznice dalej szturchnął ją w ramię.

– Tutaj!

– Co tutaj? – Peg wytrzeszczyła oczy i rozejrzała się.

Okolica była opuszczona, zapuszczona, domy po części wyburzone pod nową zabudowę, po części trzymające się ostatkami sił wampirycznego półżycia. Paru młodych czarnych ukradkiem podawało sobie jointa w wejściu do zbankrutowanego sklepu, poza nimi nie było widać nikogo.

– Peg, mną się nie zajmuj – powiedział Austin. – Mówiłem ci: jest mnie ponad dwieście sztuk.

– Mówiłeś. Ale nie zrozumiałam.

– Mało kto od razu rozumie. Ale tak właśnie jest. Dosłownie. Podziemna prasa ciągle do tego nawiązuje w aluzjach. Istnieje co najmniej tylu ludzi, którzy po tym, jak zniknąłem, postanowili nazywać się „Austin Train” – połowa jest w Kalifornii, połowa rozproszona po pozostałych stanach. Nie wiem, czy mam im być wdzięczny, czy ich nienawidzić. Ale dzięki nim mam trochę spokoju.

– Chochoły.

– Chochoły, tak. Ale nie powinnaś tak mówić, Peg. To cię postarza. Ptaków dawno nie ma, kto pamięta, że kiedyś ustawiało się strachy na

polach?

Zrobił gest jakby chciał wysiąść. Peg spojrzała na niego.

– A jak ty się właściwie teraz nazywasz? Nikt mi nie powiedział.

Austin, z jedną nogą na jezdni, zachichotał.

– Nie mówili, żebyś pytała o Freda Smitha? No dobra, dzięki za podwózkę. Aha, jeszcze jedno.

– Co?

– Jeśli coś ci pójdzie nie tak, możesz polegać na Zenie. Wiesz o tym, prawda? Na wacie zawsze znajdziesz azyl.

## NIE MIESZAĆ

Pewne typy leków, przede wszystkim uspokajające, nie powinny być przyjmowane bezpośrednio po zjedzeniu sera lub czekolady.

## POMOC

Nagle poczuła się jak w innym świecie. Ustał niekończący się ciąg okrągłych, błyskających białkami oczu w ciemnych, pełnych nadziei twarzach, wyciągających się chciwie kubków, puszek, talerzy oraz bladych dłoni – u tych, którzy byli zbyt apatyczni, by poszukać sobie choćby pudełka po amunicji, bo wszystko, co mieli, im odebrano, i już nie wierzyli, że warto inwestować cenną energię w pozyskanie kolejnych przedmiotów. A w kartonie, z którego im wydawała, była jeszcze cała góra, co najmniej kilogram, pod ścianą stały ustawione kolejne kartony, a jeszcze więcej, niewiarygodnie dużo więcej, właśnie wyładowywano po rampie ze starożytnego VC-10, który jakimś cudem usiadł na zaimprovizowanym pasie startowym.

Lucy Ramage z niedowierzaniem odgarnęła z oczu kosmyk jasnych włosów i odwróciła się, by w świetle jaskrawej acetylenowej lampy na

tyczce u szczytu stołu na kozłach dokładniej obejrzyć kawałek osobliwej substancji, którą wydzielala tym ludziom.

Miała nazwę. Znak towarowy, z pewnością należycie zastrzeżony – „Bamberley Nutripon”. Kawałek, który wzięła, był mniej więcej długości małego palca, koloru kremowego i konsystencji nieświeżego cheddara. Według instrukcji na każdym pudełku najlepiej było to ugotować, dzięki temu bowiem skrobia stawała się bardziej przyswajalna, ewentualnie rozprowadzić z wodą na ciasto, a potem usmażyć z niego placki lub upiec na blasze.

To jednak na później, te skomplikowane kuchenne machinacje. Teraz liczyło się, że można to zjeść zaraz – po raz pierwszy, odkąd tu przyjechała cztery wyczerpujące miesiące temu, nie musiała się czuć winna, że wieczorem zje w wygodnym pokoju sycący posiłek, ponieważ wszyscy chętni otrzymali dość, by napęlić brzuchy. Widziała ich podchodzących, jednego po drugim, do stołu, jak rozdziawiają usta na widok ogromnych przydałów: ekszołnierze, bez ręki lub nogi; starzy mężczyźni z bielmem na oczach; matki z małymi dziećmi, które z trudem mamlą jedzenie, bo były tak zagłodzone, że już nawet zapomniały, jak się płacze.

A jedno w szczególności, to tuż przy mnie, gdy matka spróbowała je obudzić i pokarmić...

O Boże! Nie. Nie ma żadnego Boga. A przynajmniej takiego, w którego chciałabym wierzyć. Nie zgodzę się na boga, który pozwala dziecku umrzeć na kolanach matki, gdy ma przed sobą jedzenie, które mogłoby mu uratować życie!

Czerń – czerń nieba, ziemi, ludzkiej skóry – ogarnęła ją ze wszystkich stron i stworzyła w głowie salę tortur wielką jak cała Afryka.

Gdy się zachwiała, pomocna dłoń chwyciła ją za ramię; cichy głos odezwał się ładną angielszczyzną:

– Chyba za bardzo się pani obciąża, panno Ramage!

Zamrugła. To był ten sympatyczny major, Hippolyte Obou, który skończył Sorbonę i podobno był jej rówieśnikiem. Dwadzieścia cztery lata. Był bardzo, bardzo przystojny, jeśli przymknąć oko na plemienne blizny przecinające policzki, zawsze też miał dystans do wojny.



Czego nie dałoby się powiedzieć o generale Kaice...

Ona nie była tu jednak po to, by brać czyjaś stronę albo krytykować. Miała im pomóc poskładać się do kupy. Chwilami wydawało się, że to syzyfowa praca, ale akurat dzisiaj wszyscy zostali nakarmieni, została żywność na jutro, a zaraz po Nowym Roku ma dotrzeć nowy transport.

Inny świat.

– Proszę przyjść do mojego biura po prezent powitalny – powiedział major. Nie brzmiało to tak, jakby można było odmówić. – Potem odwiozę panią jeepem na kwaterę.

– Ale nie ma potrzeby...

Nie zwrócił uwagi na te słowa, tylko znów wziął ją pod ramię, tym razem bardziej szarmancko.

– To tylko drobiazg, dla kogoś, kto przywiózł nam takie dary na Boże Narodzenie! Proszę tędy.

\* \* \*

„Gabinet”, czyli chałupa z desek i gliny, był jedną z wielu siedzib dowódcy lokalnych sił okupacyjnych. Walki w Noshri trwały jeszcze tydzień po oficjalnym ogłoszeniu rozejmu. Tu też jedną ze ścian przeszywał ścieg otworów po pociskach 12,7 mm z karabinu maszynowego. Taka sama linia na przeciwległej ścianie miała dwie luki, w miejscach gdzie pociski coś zatrzymało. Lucy starała się tam nie patrzeć, bo już musiała tę przeszkodę opatrywać.

Było potwornie gorąco, mimo że dawno zaszło słońce. Powietrze było przesycone wilgocią. Zastanawiała się już kiedyś, czy nie chodzić półnago, jak miejscowe dziewczyny – i naprawdę niewiele jej brakowało. Oficjalny mundur pielęgniarki zniknął w parę dni po przyjeździe. Eleganckie nowe fartuchy porozdzierano na bandażę, potem sukienki, czepki, a któregoś rozpaczliwego dnia nawet nogawki dżinsów. Od tygodni chodziła w tym, co z nich zostało, z dyndającymi nad kolanami nitkami, w bluzce pozbawionej tak wielu guzików, że musiała wiązać jej poły. Dobrze chociaż, że gosposi imieniem Maua udawało się je regularnie prac. Nie

była tutejsza, przyjechała specjalnie do obozu i zachowywała się jak jej osobista służąca. W życiu nie miała służby, więc najpierw się buntowała, a i teraz nie do końca się z tym pogodziła; ale inni z oenzetowskiej ekipy przekonywali ją, że dziewczyna jest niewykwalifikowana, a zdejmując jej z barków prozaiczne zajęcia, dzięki czemu może lepiej wykorzystać swoje wykształcenie.

I wszystko to dlatego, że umarło morze, którego nigdy nie widziała...

Przy jednym z dwóch rozchwierutanych stołów, stanowiących do spółki z krzesłami całe umeblowanie „gabinetu”, siedział wysoki, chudy sierżant. Sumował jakieś cyfry na drukowanym formularzu. Major Obou wyszczerzył do niego jakiś rozkaz, po czym wyciągnął z poobijanej oliwkowej skrzynki po amunicji butelkę dobrej, francuskiej brandy i blaszany kubek. Nalał Lucy trunku na dwa palce, a sam podniósł butelkę do grubych warg.

– Tak to się robi! – powiedział. – I bardzo proszę usiąść!

Uśluła. Alkohol był dla niej za mocny; wypiwszy pół łyka, odstawiła kubek na kolana i przytrzymała go obiema dłońmi, żeby przestały się trząść ze zmęczenia. Pomyślała, czy nie poprosić o wodę do rozcieńczenia, ale zdecydowała, że to nie fair, narzucać się sierżantowi z taką prośbą. W Noshri ciężko było o wodę pitną. Deszczówka, łapana do wiader i zbiorników, była bezpieczna, jeśli dodało się tabletkę oczyszczającą, natomiast rzeki były aż kwaśne od defoliantów po zeszłorocznej kampanii, a najeźdźcy, wycofując się, wypełnili większość studni trupami i padliną.

– To powinno pani szanownej, za pozwoleniem, wrócić trochę koloru na policzki – zachęcił major Obou.

W odpowiedzi zmusiła się do uśmiechu i kolejny raz zaczęła się zastanawiać, co właściwie począć z tym przystojnym czarnym mężczyzną, który tak się starał przyprawiać swoją angielszczyznę książkowymi idiomami, czasem trafionymi, czasem nie. Oczy miała bardzo zmęczone upałem i pyłem, zamknęła je więc. Nic nie pomogło. Pod powiekami wciąż miała obrazy, które napotykała, odkąd trafiła do tego niegdyś kwitnącego miasta – skrzyżowanie, gdzie pocisk z moździerza trafił prosto w autobus, zostawiając płytki lej obrzeżony powyginaną blachą; zwęglone belki dachu sterczące ponad spopielonymi meblami, a być może i ludźmi; drzewa

połamane przez skrzydła spadającego samolotu, zestrzelonego przez patrolujący myśliwiec, bo podejrzewał go o transport broni; tymczasem ona widziała na własne oczy, że wiózł tylko zaopatrzenie medyczne...

Dotknęła nasady paznokcia na lewym kciuku. Ratując z wraku co się dało, skaleczyła się i założono jej trzy szwy. Miała przecięty nerw i w bocznej części palca, na centymetrowym odcinku, już nigdy nic nie poczuje.

Dobrze, że chociaż przeciwko tężcowi była szczepiona.

\* \* \*

W rogu biura nagle odezwała się przenośna krótkofalówka. Powiedziała coś w miejscowym języku; Lucy na razie nauczyła się z niego tylko paru słów. Major Obou odpowiedział jej coś. Wstał.

– Proszę dopić, pani Ramage. Za godzinę będzie rządowy samolot i muszę być na miejscu, ale wcześniej dotrzymam obietnicy i odwiozę panią do domu.

– Nie ma potrzeby...

– Jest, jest. – Nagle spowaźniał. – Wiem, że nie ma sensu nikogo w ciemno obwiniać. Przyczyny naszej wojny są bardzo skomplikowane. Jedną rzecz wszyscy tu rozumieją – to przez waszą, proszę wybaczyć, chciwość i niedbalstwo Morze Śródziemne zostało zatrute, a to doprowadziło do zaatakowania nas przez północnych sąsiadów. Póki byli apatyczni z głodu, siedzieli cicho. Teraz, gdy są już nakarmieni, można się obawiać, że zapamiętają tylko to, co mówią im agitatorzy. Tak, wiem, że pani jest z Nowej Zelandii, bardzo dalekiego kraju, i ma dobre pobudki. Ale ktoś, kto buzuje wściekłością, bo stracił dom, żonę, dzieci, gdy spotka panią na drodze, nie będzie o nic pytać.

– No tak. – Lucy kiwnęła głową i przełknęła trunek, omal się nie dławiąc.

– Świetnie – powiedział major, wróciwszy do swojej normalnej, jowialnej roli, i wyprowadził ją na zewnątrz.

Jeep czekał prawie pod samymi drzwiami. Major machnął na kierowcę, żeby siadł z tyłu, obok strzelca, a sam wgramolił się za kierownicę, sadzając

Lucy obok siebie. Ruszył z rykiem silnika, prawie czterdziestką przeleciał przez pas lotniska i pojechali wyboistą, podziurawioną kulami drogą do miasta, z zapalonymi wszystkimi światłami.

– Och, mam nadzieję, że pewnego dnia – zawołał – jak już odbudujemy kraj, będę miał okazję przyjąć panią bardziej konwencjonalnie! Słyszałem nawet dzisiaj, że już można będzie składać wnioski o urlop. Gdyby pozwoliła pani sobie pokazać bardziej... apetyczne aspekty mojej ojczyzny, byłbym zachwycony. Nie chcemy przecież, żeby cudzoziemcy wyjeżdżali stąd z opinią, że to kraj, w którym ludzie nic, tylko strzelają do siebie, prawda?

Do Lucy z opóźnieniem – bo takie sprawy należały jakby do innego świata – dotarło, że on się do niej przystawia. Przez chwilę się dziwiła. W domu po prostu nie miało się kontaktów towarzyskich z czarnymi, nawet z Maorysami rzadko. Potem wściekła się na własne zdziwienie. Zastanawiała się, jak grzecznie sformułować odpowiedź, ale zanim zdążyła, już przecinali dawną główną ulicę Noshri, teraz będącą jednym pasmem ruin. Major zahamował raptownie.

– O, ktoś sobie uświadomił, że to był dla nas prezent gwiazdkowy!

Na poboczu drogi ktoś ustawił parodię choinki bożonarodzeniowej: gałęzie musiał zbierać wiele godzin, bo w okolicy ziemia była całkowicie wyjałowiona herbicydami. Przywiązał je do tyczki, ozdobił trzema świecami. Na pasku białej tkaniny, na oko bandaża, napisał: VIVE LA PAIX JOYEUX NOEL.

– A pani jest chrześcijanką, pani Ramage?

Lucy była zbyt zmęczona, by wdawać się w dyskusje o wątpliwościach. Kiwnęła głową.

– Ja oczywiście też. – Obou przyspieszył, skręcając w stronę stosunkowo mało zniszczonych domów, gdzie zakwaterowano przyjezdnych z pomocy humanitarnej, obserwatorów ONZ oraz najstarszych rangą rządowych oficjeli nadzorujących prace porządkowe. – Ale wie pani, dziwnie się poczułem, gdy pierwszy raz byłem w Europie i dowiedziałem się, że tam tak mało ludzi chodzi do kościoła. W mojej rodzinie to zawsze było... właściwe, stosowne, tak się po prostu robiło. Na prowincji, na przykład

tutaj, wiadomo: ludzie wciąż wierzą w duchy, fetysze, robią te figurki. Ale gdy ktoś jest wykształcony, zakłada się: muzułmanin albo chrześcijanin. Chociaż, jak się zastanowić, teraz chrześcijanom będzie u nas ciężko. Wszyscy wiedzą, że to chciwość chrześcijańskich krajów... o, proszę zobaczyć! Widzi pani, jakie zmiany zachodzą dzięki pani pracy?

Znów zwolnił i pomachał grupce kilkunastu osób, w tym paru kobiet. Rozpalili ognisko przed domem, który kiedyś musiał być całkiem elegancki, i tańczyli w kole, klaszcząc w dłonie do rytmu. Wszyscy byli boso. Lucy pomyślała, że jedna z kobiet musi być pijana; pstrokata sukienka zsunęła się z jej obwisłych piersi, które kołysały się w tańcu.

– Dobrzy ludzie – powiedział major. – Prości, zapewne, ale porządni. Tak się cieszę, że skończyła się ta cholerna wojna. A także... – z nutą śmiałości – ...że sprowadziła do nas z daleka takich przyjaciół jak pani.

Zatrzymał jeepa. Dotarli do jej kwatery, w jednym z szeregu domów, pierwotnie zbudowanych przez którąś z paryskich korporacji dla swoich niższych rangą pracowników. Kiedyś cieszyli się intymnością wśród gęstej roślinności. Teraz krzewy i drzewa padły ofiarą defoliantów, a ziemia była świeżo pobrużdżona lejami po pociskach. Gdy Lucy przyjechała, śmierdziało trupami, głównie ludzkimi. Dalej śmierdziało, teraz jednak głównie spalinami z ciężarówek i samolotów.

Major sprowadził ją z jeepa ze staroświecką szarmanckością. Prawie zachichotała na myśl o tym, jak wygląda, brudna i obdarta. Od brandy trochę kręciło jej się w głowie.

– Będzie pani pamiętać o mojej propozycji, prawda? – szepnęła, ściskając jej dłoń. Puścił, zasalutował i wskoczył z powrotem na siedzenie.

\* \* \*

Gospoia Maua przygotowała całkiem przyzwoity posiłek – fasolę z puszki, jajka z proszku, konserwowe owoce. Lucy tymczasem zmieniła brudne ubranie na frotowy szlafrok i obmyła się nawilżanymi chusteczkami. Woda do mycia była prawie równie niedostępna jak pitna. Słyszała hałasy – to wracali inni mieszkańcy tego szeregu domków –

najbliższymi sąsiadami byli Szwed i Czech, lekarze, meksykański agronom oraz przedstawiciele oenozetowskiej Komisji ds. Uchodźców. Dalej mieszkały jakieś zakonnice z Włoch. Nie mogła się przyzwyczaić, że chodzą w bluzkach i spodniach, ale na głowie wciąż noszą te śmieszne kornety. Po co? Żeby zniechęcać mężczyzn?

Co jej przypomniało, gdy siadła nad talerzem: Obou ją zaprosił. Nie miała ochoty przyjąć zaproszenia – dlaczego? Dlaczego nie – bo jest czarny? Chyba nie. Miała nadzieję, że nie. Bo w obecnym stanie nie mogła się z czegoś takiego naprawdę cieszyć? Bardzo prawdopodobne. A major był przecież przystojny, dobrze wykształcony i najwyraźniej inteligentny, skoro mówił po francusku i angielsku równie dobrze jak w języku, którego nauczyła go matka...

Matka!

Żołądek skurczył się nagle. Najgorsza rzecz, jaką można sobie przypomnieć podczas jedzenia. Po omacku pobiegła do latryny za domem i zmarnotrawiła całe jedzenie, które wcześniej na siłę przełknęła. Może, myślała, klęcząc, to nie wspomnienie wywołało te mdłości, może to za dużo brandy? Zresztą, co za różnica.

Tyle tych dzieci, urodzonych martwo, i dobrze, bo takie były zniekształcone! Myślałoby się, że po Wietnamie... Jednak ludzie przez większość czasu nie myślą. Gazy i dymy łzawiące, gaz usypiający, defolianty, gazy neurotoksyczne, cały arsenał używanych w nowoczesnej wojnie środków chemicznych – w tkankach tych ludzi było tego równie dużo, jak w glebie. Raz pomagała przy trzech porodach z rzędu, u uchodźców, którzy myśleli, że wreszcie są bezpieczni. Ale po drodze do obozu żywili się liśćmi i korzeniami.

W końcu wróciła, chwiejnym krokiem – nie do pokoju, gdzie jadła, ale od razu do sypialni – i zapadła, odrętwiała, w drzemkę.

W środku nocy zbudziła się, myśląc, że odgłosy, które słyszy, należą do koszmaru – a w snach regularnie nawiedzały ją lęki, że walki rozpętały się na nowo. Otrząsnęła się ze snu. Stwierdziła, że jednak nie śni. To było rzeczywiste. Strzały z broni palnej.

Przerazona, usiadła i wyteżyła słuch. W pokoju z zasłoniętymi oknami było całkowicie ciemno. Pierwsza panika minęła. Faktycznie słychać było strzały, ale ich grzechot miał w sobie coś przypadkowego, radosnego, niczym fajerwerki. Słychać było coś jeszcze, ledwie ledwie – jakby bębnienie, być może nawet śpiewanie.

Zrobiła krok w stronę okna i natychmiast o wszystkim zapomniała, czując, że coś jej płynie po udach. Szlag. Dostała okresu. To śmieszne: odkąd przyjechała do Noshri, przestała cierpieć na pojawiające się przed okresem ostrzegawcze bóle, do których przyzwyczała się w domu – całkiem jakby umysł był tak zaprzątnięty sprawami życia i śmierci, że nie miał już czasu zajmować się skargami ciała.

Znalazła chusteczki, żeby się otrzeć. Zawołała Mauę. Czekaając, aż dziewczyna przyjdzie, podeszła do okna wychodzącego na miasto i ostrożnie wyjrzała zza zasłony. A, no tak. Ogniska. Marnotrawstwo, ale do wybaczenia. Pewnie gdzieś mieli schowany alkohol, nie ma wątpliwości – widziała przecież tę pijaną, roztańczoną kobietę – albo upędzili go sobie ze śmieci. A skoro święta niedaleko...

Ogniska?

Światłne kształty zniecka nabrały perspektywy. Żółte płomienie nie były niewielkie i blisko, lecz ogromne i daleko. W kierunku lądowiska.

Samolot się pali!

– Maua! – wrzasnęła i pobiegła po latarkę, którą miała przy łóżku.

Znalazszy ją, wpadła do dobudówki, w której spała dziewczyna. Poślanie było puste.

– Jezus Maria! – szepnęła Lucy.

Rzuciła się z powrotem do sypialni, chcąc chwycić ubrania, tampony oraz małą dwudziestkędwójkę, którą dał jej ojciec, a której nigdy nie użyła. Jednakże chwilę później trzasnęły drzwi do dużego pokoju, bo ktoś gwałtownie otworzył wejście. Poprzestała na pistolecie. Na sobie wciąż miała szlafrok, w którym zasnęła.

Zaschło jej w ustach. Trzęsącymi się rękoma wyłączyła latarkę i po cichu podkrađła się do salonu.

– Ręce do góry! – krzyknęła, zapalając latarkę, i od razu przeraziła się tym, jak jej palec tężeje na spuście.

W progu leżał kształt pomieszanych kolorów khaki, ciemnobrązowego, jaskrawoczerwonego. To czerwone to krew. Major Obou, leżący na brzuchu, prawa dłoń bezwładna obok pistoletu, lewy bark rozcięty do kości.

– Panie majorze? – próbowała powiedzieć, stwierdzając, że nie jest w stanie wydobyć słowa.

Zobaczyła jak jego zdrowa dłoń, niczym olbrzymi pająk, pełźnie ku upuszczonej broni.

– Panie Obou!

Usłyszał ją i przekręcił głowę na trzcinowej macie.

– *Vaut rien* – powiedział tępo, po czym się poprawił. – To na nic. Nie ma naboji.

– Ale co się dzieje? – Odłożyła swój pistolet i pochyliła się, oświetliła latarką ranę, a w głowie jej wirowało trzydzieści różnych równie pilnych czynności: zawołać sąsiada, Szweda-lekarza, opatrzyć ranę, zamknąć drzwi wejściowe, sprawdzić, czy napastnik nie poszedł za nim...

Zmusił się do ogromnego wysiłku i chwycił ją za przegub, gdy wstawiała.

– Nie idź tam, panienko! Nigdzie nie idź! Szaleństwo, wariaci! Ręka, widzisz? To jeden z moich ludzi, moich ludzi! Zobaczyłem, jak zabiera jedzenie wdowie z małym dzieckiem, kapral powiedział, że to już trzeci raz dzisiaj, więc wyciągam broń i mówię: oddawaj, przynieś z lotniska więcej dla tych, których okradłeś. Prawo oficera tak powiedzieć, prawda? To jedzenie nie dla żołnierzy, dla głodujących z miasta. No to wziął siekiere i mnie walnął, widzisz? Jezu, jak boli!

– Poszukam bandaża! – zawołała Lucy, lecz on jakby nie słyszał.

Wielkie, wytrzeszczone oczy wpatrywały się w dal. Zwarł mocniej palce, słowa polały się chaotycznie, staranna europejska składnia ustępowała gramatyce ojczystego języka.

– Nie, iść nie! Zwariowali, mówię! Krzyczą miasto pełno duchów, duchy wszędzie, strzelać, zabić, każdego cienia, wszędzie! Zabić duchy, zabić krzyczą, zabić duchy!



Kroki na zewnątrz. Lucy raz jeszcze spróbowała się wyrwać, żeby zamknąć drzwi. Nie udało się, więc chociaż zgasiła latarkę, żeby nie zwrócić uwagi wałęsającego się szaleńca. To, co mówił Obou, nie trzymało się kupy, strzały brzmiały jednak coraz głośniejsze, coraz bliżej, a przez otwarte drzwi widziała, że rozpalają się kolejne ognie, jakby miasto zamieniało się w wulkan.

Znowu kroki. Bliżej. Swojego pistoletu nie dosięgnie, Obou nie ma naboju. Zaszamotała się, najpierw łagodnie, później coraz mocniej, z narastającą paniką. W wejściu rozblęskło kolejne jaskrawe światło. Zanim ją oślepiło, dojrzała białego mężczyznę w białej koszuli, z pistoletem; chwilę później dotarło do niej, co on widzi w snopie światła: biała kobieta w uścisku czarnego, uda rozchylone, wymazane krwią, klasyczna scena gwałtu.

Zaczęła krzyczeć:

– Nie strze...!

Za późno. Broń huknęła. Obryzgały ją strzępy ciała Obou.

\* \* \*

Później ktoś w kółko jej powtarzał – ten lekarz ze Szwecji, Bertil:

– Przecież nie wiedzieliśmy, że tam jesteś! Kiedy zaczęło się zamieszanie, widzieliśmy Mauę i ona przysięgała, że cię nie ma w domu. Poszliśmy do miasta i ci wariaci rzucili się na nas z karabinami, z siekierami, z wrzaskiem, że jesteśmy złymi duchami, zabić duchy!

Już to wcześniej słyszałam. Lucy kołysała się z zamkniętymi oczyma, prawą dłonią mechanicznie pocierając lewe ramię w miejscu, gdzie dala jej jakiś zastrzyk. Te dwa rytmy przeplatały się ze śpiewnym akcentem Bertila.

– Ciesz się, że nie widziałas tego, co my, całe miasto jak w amoku, szabruje, pali, morduje!

A ja widziałam, jak ty mordujesz. Zastrzeleńca dobrego człowieka. Miałam z nim iść na przepustkę. Podobał mi się jego uśmiech. Miał ładną, okrągłą, ciemną twarz z dziwnymi kreskami na policzkach. Nie żyje. Zabiłeś go.

Zawyla i padla na podloge.

---

<sup>1</sup> Wszystkie dotacje można w całości odpisać od podatku.

styczeń

## ODMASZEROWAĆ

*Idźcie i nieście Słowo  
Do krain obcych dalekich,  
Dajcie i Światło, i Prawo,  
Wiodącym żywot kaleki.*

*\* Poganie, Żydzi uparci,  
Wyznawcy Molocha wielkiego,  
Powiedzcie im, że są warci  
Nauki Zbawcy naszego.*

*Idźcie, gdzie nauk Pasterza  
Nie usłyszały dusze,  
Gdzie zapomniane szczepy  
W ciemności cierpią katusze.*

*Miecz weźcie na Karaibę  
I złego ludożercę,  
Człowieka, co, jak zwierzę,  
Męczy się w poniewierce.*

*\* Okryjcie im nagie członki,  
Odziejcie stopy w łapcie,  
Uczyszcie pogańskie pieśni,  
Bezbożną butę zdławcie.*

*Rozgłoście im Bożą Nowinę,  
Zetnijcie pogański gaj.*

*Powiedzcie o Królu Pokoju,  
Nadzieją niech żyją na raj.*

„Święty siewca: zbiór hymnów i pieśni pobożnych stosownych do użytku  
przez towarzystwa misyjne”, 1887.  
(zwrotki oznaczone gwiazdką można w razie konieczności pominąć)

## POWYŻEJ PRĘDKOŚCI DŹWIĘKU

Lot RM-1808, Phoenix-Seattle, zameldował o silnych turbulencjach czystego nieba w okolicach Salt Lake City. Słyszając to, nawigator lotu TW-6063, bezpośredniego naddźwiękowego Montreal-Los Angeles, zastukał w klawisze komputera i przekazał pilotowi korektę kursu, po czym z powrotem odchylił fotel, żeby wrócić do drzemki. Będą lecieć z naddźwiękową jeszcze przez ponad tysiąc mil.

## ŚNIEŻNA LAWINA

Dwudziestodzieciocalowy kolorowy telewizor, ignorowany przez wszystkich, wyświetlał obrazki z dzisiejszych zamieszek. Kamera powoli przesuwała się po rynsztokach dalekiego Noshri, od czasu do czasu przystając nad trupami. Pies, cudownie ocalały po ostatnim lecie, kiedy ludzie płacili sto miejscowych franków za szczura, a pięćdziesiąt za garść kukurydzy, obwąchiwał ciało dziecka. Wysoki, czarny żołnierz przetrącił mu grzbiet kolbą karabinu.

– Cholera! Widzieliście, co ten czarny sukinkot zrobił z niewinnym psem?

– Co takiego?

Na ekranie zmienił się już obraz i pokazywano zdjęcia z katastrofy lotniczej.

\* \* \*

Było to w Towerhill, najnowszym zimowym kurorcie w prosperującym zimą Kolorado. Zatrzymali się w Apennine Lodge, najelegantszym

i najdroższym z pensjonatów. Był całkiem nowy, choć bardzo się starał wyglądać na stary. Z plastikowych belek zwisały narty, w kamiennym kominku płonęła imitacja ognia z bali. Za zajmującym prawie całą ścianę oknem z podwójną szybą potężne lampy łukowe rozświetlały przepiękne, pasiaste śnieżne zbocze wspinające się prawie pod samą koronę Mount Hawes. Do zeszłego roku mało kto z turystów się tu zapuszczał – to wprawdzie zaledwie pięćdziesiąt mil z Denver, ale droga była kiepska. Nie można jednak było ignorować coraz większej popularności wakacji w górach, odkąd morze stało się zbyt brudne. Poprawiono drogę, była teraz znakomita i w całym rejonie nastąpiła turystyczna eksplozja. Pojawiły się trzy ultranowoczesne wyciągi i supermarket Puritan Health. Pojawiły się tory do skijoringu za skuterem śnieżnym, a Colorado Chemical Bank planował dwukrotnie rozbudować swój miejscowy oddział. Było gdzie pójść na łyżwy, na curling, American Express zarezerwował sobie wstępnie lokal na biuro. W przyszłym roku obiecują oddać olimpijską skocznię narciarską.

Ekran pokazał grupkę mężczyzn, kobiet i dzieci, dygocących przed paroma budynkami o niesamowitych kształtach. Byli biednie ubrani, ale wyglądali na ogół całkiem dobrze. Tymczasem policja z psami prowadziła przeszukanie.

A, trainiści. O co, kurna, chodzi?

\* \* \*

Po drugim drinku Bill Chalmers poczuł się lepiej. Dzień był paskudny: poranna jazda do Denver drogą, która była odśnieżona, posypana piaskiem, ale wciąż śliska; potem męka tego straszego obiadu u Masonów, gdzie uświadamiał sobie „ciężką atmosferę”, ale nie wiedział, z czego to wynika; i wreszcie raptowny koniec, gdy jego sześciolatek syn Anton pokłócił się z pięcio- i czteroletnimi dziećmi Masonów i wybiegł z wrzaskiem...

Teraz już jednak wrócili, bezpiecznie, a w Towerhill powinien czuć się dobrze: klimat bogactwa, granie na nosie prorokom zagłady, góry ze

wszystkich stron, niewiarygodnie rześkie i świeże powietrze. Widywało się tu turystów z wielkich miast, jak pierwszego dnia wychodzą w maskach, nieprzekonani, że nic im nie zaszkodzi.

Ekran wyświetlił mapę Ameryki Środkowej ze wskazującą na coś strzałką, potem zdjęcia dwóch mężczyzn, obu białych.

– Tania!

– Pewnie, że chciałabym jeszcze jedno – powiedziała jego żona i zaczęła porównywać swoje objawy z objawami żony prawnika z Oakland, którego poznała wczoraj. – Ja natomiast mam taką dziwną wysypkę i ogólne swędzenie...

Jezus Maria! Czy w dzisiejszych czasach nie da się gadać o niczym innym, tylko o alergiach i nerwicach? Kiedyś mężczyzna przynosił jedzenie, i to wystarczało. Teraz musi przynosić jeszcze lekarstwa. Które i tak guzik pomagają.

– No tak! – ucięła żona prawnika. – A mnie jest na zmianę gorąco i zimno, czasami dochodzą jeszcze zawroty głowy.

Nagle dotarło do niego, że mowa o ciąży, i zamiast się wściec, poczuł, że cały dygocze. Kiedy Anton był w drodze, oczywiście wykupił ubezpieczenie od wad wrodzonych – mimo stanowiska w Angel City było go ledwo stać – a kiedy dziecko urodziło się całe i zdrowe, Tom Grey powiedział mu, na jakie ryzyko się godził. Aż się wzdrygnął, przypominając sobie słowa, których się wtedy nauczył: mukowiscydoza, fenylketonuria, hemofilia, niedoczynność tarczycy, zespół Downa, tetralogia Fallota, aleksja, dichromatyzm... Lista, która ciągnęła się w nieskończoność, jakby cudem ktokolwiek w ogóle wyrastał na normalnego dorosłego!

Można było zrozumieć, dlaczego Grey jest kawalerem. On sam też nie chciał ryzykować drugiego dziecka.

\* \* \*

Telewizor przeszedł do wyników sportowych. Po raz pierwszy kilka osób zaszczyciło go uwagą.

– Tania!



Wreszcie się odwróciła. Żona prawnika uciekła do swojego męża, po drugiej stronie salonu.

– I co, udało ci się może pogadać w cztery oczy z Denise?

– Jezu – odparła, odchylając się w tył i krzyżując ręce. – To po to nas tu przywlokłeś, żeby szpiegować Masonów?

– Wcale nie po to!

– To czemu to takie ważne? Do pracy wracasz dopiero w poniedziałek? I czemu nie zapytałeś mnie w samochodzie, zamiast warczeć na mnie za każdym razem, kiedy się odezwałem?

Ludzie ze wszystkich stron zaczęli się odwracać, żeby popatrzeć, zwabieni podnoszącymi się do kłótni głosami. Chalmers, potwornie zażenowany, przybrał pojednawczy ton.

– Tania, kochanie, przepraszam, że tak się dopytuję, ale to ważne.

– A, pewnie, że ważne. Bardziej niż ja albo Tony! Bardziej niż moja pierwsza od lat okazja, żeby odpocząć i poznać kogoś nowego! I zobacz, co narobiłeś! Odstraszyłeś Sally!

Nic nie powiedział.

Po chwili ona jednak ustąpiła. Cztery lata temu przeszli okres, kiedy nie mógł znaleźć żadnej pracy – musiała wiedzieć, co dla niego znaczy utrzymanie tej pracy.

– A zresztą, kurde... Tak, wyciągnęłam to z niej. Jest walnięta. Praktycznie trainistka.

Chalmers nadstawił uszu.

– Jak to?

– No, świruska, mówię przecież. Nie pozwalała mu latać. Mówi, że chce, żeby jego wnuki zobaczyły słońce. Ja tam nie wiem, co za różnica, czy samolot polecie sobie z jednym wolnym miejscem! Ona myśli, że Phil ma jakieś problemy, przez to, że kazała mu pojechać do L.A., tylko nie chce się do niczego przyznać i o wszystko ją obwinia. I strasznie chce się dowiedzieć, o co właściwie chodzi. W sumie ona pierwsza zaczęła tę rozmowę. Ja nic nie musiałam. Mówiła, że przez święta straszny był dla niej. Co więcej, znajdował różne wykręty, żeby się z nią nie pieprzyć.

Nawet w Sylwestra nie chciał, jak powiedziała, dopiero jak go praktycznie uwiodła...

Ostatnie słowo zagłuszył nagły huk wysoko nad nimi, jakby olbrzym klasnął w dłonie, żeby zabić komara. Wszyscy się skrzywili. Nieznany głos powiedział:

– Cholerny grom dźwiękowy. Też go nie cierpicie?

Powinien jednak po chwili ucichnąć. Ale trwał i trwał, po początkowym uderzeniu przyszedł pomruk, bardziej basowy, ale przeciągły, coś jakby grzechot kamieni w wartkim nurcie, albo mocnym przyptywie. Czekali, aż będą mogli podjąć rozmowę, i w końcu uświadomili sobie, że coś tu jest nie tak. Huk zrobił się mocniejszy, zmienił się bardziej w szum. Odwrócili się i spojrzeli w okno.

Tania krzyknęła.

Na miasteczko Towerhill z bezlitosnym majestatem, przy akompaniamencie bicia w niezliczone bębny, maszerowało pół miliona ton śniegu i lodu.

## RACHUNEK KRZYWD

*Reporter:* Panie generale, nie będzie przesadą, jeśli powiem, że świat jest oburzony pana decyzją o aresztowaniu i wydaleniu amerykańskiej pomocy humanitarnej z Noshri...

*Generał Kaika:* Spodziewacie się, że pozwolimy im zostać? Po tym, jak tysiące naszych ludzi otruli, pozabijali, albo co gorsza, doprowadzili do szaleństwa?

*Reporter:* Nie ma dowodów, że...

*Generał Kaika:* Oczywiście, że są. Wszyscy mieszkańcy miasta zwariowali. Zaatakowali własnych żołnierzy, którzy wyzwolili ich spod okupacji. Byli zatruci złym jedzeniem udającym pomoc żywnościową.

*Reporter:* Ale jaki ktoś miałby motyw, żeby...?

*General Kaika:* Motywów jest cała masa. Po pierwsze, Amerykanie nie cofną się przed niczym, żeby nie dopuścić do niepodległości państwa, którego rząd nie ma białej skóry. Kolorowe władze muszą się kłaniać Waszyngtonowi. Niech pan popatrzy na Chiny. Albo Wietnam, Kambodżę, Laos, Tajlandię, Cejlon, Indonezję. Jeśli w Afryce kiedykolwiek pojawi się silne, zjednoczone, czarne państwo, nie będą mogli już poniewierać własnych czarnych.

*Reporter:* Pan twierdzi, panie generale, że to umyślny spisek, żeby osłabić pana siły i wygrać wojnę dla najeźdźców?

*General Kaika:* Prowadzę śledztwo, które to zweryfikuje. Ale to biali przecież zaczęli tę wojnę.

*Reporter:* Przecież u... nich... nie było nawet jednego białego najemnika.

*General Kaika:* A co, może to czarni wypełnili Morze Śródziemne trucizną? Nie, zniszczyły je trujące odpady z fabryk w Europie!

*Reporter:* Ale tama w Asuanie...

*General Kaika:* Tak, tak, tama w Asuanie może faktycznie przeważała szalę, ale morze już wtedy umierało. Wojna zaczęła się dlatego, że na afrykańskim wybrzeżu ludzie zaczęli umierać z głodu. Dlatego właśnie mówię, że to białe kraje są odpowiedzialne. Typowe dla białych ludzi: zniszczyć to, co sami mają, a potem kraść od innych.

*Reporter:* Oj, panie generale, trochę naciąga pan fakty!

*General Kaika:* Czy to nie fakt, że pływanie w Morzu Śródziemnym jest niebezpieczne? Czy to nie fakt, że wymarły wszystkie ryby?

*Reporter:* No tak, ale...

*General Kaika:* Nie mam nic więcej do dodania.

## SZCZURY

Jeannie oczywiście była już w domu, jej elektryczny stephenson stał wciśnięty w kąt garażu. Pete miał dzisiaj służbę od dziesiątej do szóstej, a ona u Bamberleya kończyła o piątej.

Nie cierpiał, że ona musi pracować. Wolałby, żeby była w domu i opiekowała się dwójką dzieci. To jednak będzie musiało poczekać do następnego awansu. W dzisiejszych czasach nikt zdrowy na umyśle nie zakłada rodziny, jeśli nie stać go na porządną opiekę medyczną dla dzieci. W górach nie jest aż tak źle jak w miastach, ale i tu ostrożności nigdy za wiele.

Kiedy wycierał buty przed wejściem na schodki, z nieba dobiegł potężny huk. Uniósł wzrok w samą porę, żeby zobaczyć, że z daszka nad gankiem spadło trochę śniegu. Cholera, znowu grom dźwiękowy. Nie powinien być taki głośny! Człowiek się przyzwyczaił, że dziennie zdarzy się jeden czy dwa, ale nie taki głośny, niewyrządzający żadnych szkód – co najwyżej cię przestraszy i rozlejesz kawę. Sierżant Chain na komisariacie pewnie będzie miał na głowie furę skarg. Jakby policja mogła coś na to poradzić. Jakby ktokolwiek mógł coś na to poradzić.

\* \* \*

Jeannie była w kuchni. Wielka ta kuchnia nie była i urządzona sprzętami z licytacji komorniczych. Ale przeważnie działały. Uwijała się przy kuchence – ładna dziewczyna, o wiele szczuplejsza od niego i rok starsza, pewnie do trzydziestki przytyje, ale co tam? W końcu lubi dużo ciała. Posłał jej buziaka, wziął wieczorną tabletkę, tę na uczulenie, i poszedł do zlewu, żeby nalać sobie wody.

Powstrzymała go jednak okrzykiem.

– Pete, czekaj! Jak przyszłam do domu, znalazłam ogłoszenie o wodzie. Widzisz? Tam na stole.

Zaskoczony odwrócił się i zobaczył jaskrawoczerwoną kartkę zadrukowaną grubymi czarnymi literami. W oczy rzuciły się znajome zwroty: *...awaria w stacji uzdatniania... niezdatna do picia bez przygotowania... usunięta najszybciej jak to możliwe...*

– Cholera! – zawołał. – Robi się tu prawie jak w Denver!

– Coś ty, skarbie! W mieście to mają tak przez cały czas, co tydzień, a tutaj od lata dopiero drugi raz. Może piwa się napij?

– Piwa? Pewnie, że tak.

– Jest w lodówce. Dla mnie też otwórz. Robię jakiś taki skomplikowany przepis. – Zamachała wycinkiem z gazety.

Uśmiechnął się i już miał to zrobić, nagle jednak krzyknął z niesmakiem, a dłoń powędrowała na biodro, gdzie nie było kabury z bronią.

– Co takiego? – Jeannie okręciła się. – No nie, znowu szczur?

– Wielki jak nigdy! – Ale już uciekł. – Nie mówiłem, że masz dzwonić do deratyzatora? – warknął.

– Dzwoniłam, a jak! Ale powiedział, że jest tak zarobiony, że trzeba poczekać co najmniej tydzień.

– Nic dziwnego – westchnął. – Kogo bym spotkał...

Nie dokończył i otworzył lodówkę. Na dwóch półkach opakowania ze znajomym logo – dziewczyną trzymającą między piersiami kolbę kukurydzy, tak że powstawało coś kojarzącego się z fiutem i jajami.

– O, znowu byłeś u Purytanów!

– A co tam, wydałam swoją premię – zaczęła się tłumaczyć Jeannie. – A zresztą wcale nie jest tam dużo drożej! I naprawdę lepiej smakuje.

– Jaką znowu premię?

– No, mówiłam ci przecież! Wszystkie dziewczyny z pakowni, które wyrobiły nadgodziny, żeby zrobić tę dostawę przed świętami. Dwadzieścia dolarów ekstra od pana Bamberleya.

– A. No tak, tak. – Wyciągnął z sześciopak piwo dla niej i dla siebie.

W sumie, co tam? Dwadzieścia dolców to i tak kropla w morzu. Chociaż ona raczej odkładałby na polisę w Angel City, na czasy, kiedy będą mogli sobie pozwolić na dziecko. Tyle się opowiada o tych chemikaliach... dobry pretekst dla Puritana, żeby znów podnieść ceny...

Przypomniawszy sobie o jej pracy, zapytał:

– A jak, skarbie, twoja noga? – Gładka skóra na udzie, jakby ktoś pokrył je lukrem.

– Mieli rację za pierwszym razem. To grzyb. Wiesz, że musimy nosić maski przeciwko temu aktyno-coś-tam-coś-tam. To właśnie czymś podobnym się zaraziłam. Ale maść to wyleczy.

Pete powstrzymał wzdrygnięcie. Grzyba złapać! Jezus, jak coś prosto z horroru! Ciągnęło się to już od miesiąca i łapał się na tym, że obsesyjnie ogląda własną skórę. Pociągnął łyk piwa.

– A wiesz co, skarbie, miałam ci powiedzieć... – wtrąciła nagle Jeannie. – Widziałam cię w telewizji!

– Co, tam u trainistów? – Opadł na krzesło. – No tak, był jeden gość z kamerą.

– Po co tam byłeś?

– Nie mówili?

– Włączyłam dopiero na sam koniec.

– Aha. Bo widzisz, dzwoniли do nas z L.A. Kojarzysz tego czarnucha, co prowadził wat i przejechało go, przed świętami? Wyglądało na to, że ześwirował albo się naćpał. No to powiedzieli, że mamy poszukać narkotyków.

– Myślałam, że trainiści nie uznają narkotyków.

– No, co prawda, to prawda, nic nie znaleźliśmy... ale wiesz, skarbie, jak tam dziwnie było? Wszystko jakby ze śmietnika wyciągnięte, z odzysku, jakby sami wszystko zmajstrowali. A ci ludzie... no nie wiem. Też dziwni!

– Paru widziałam w Puritanie – powiedziała Jeannie. – Całkiem normalnie wyglądali. A dzieci mają bardzo dobrze ułożone.

Za wcześniej na gadkę o tym, jak się powinno wychowywać dzieci. Ale któregoś dnia...

– Może i wyglądają na niegroźnych – powiedział Pete – ale to tylko dlatego, że nie ma tu ich jeszcze tylu, żeby narobić kłopotów, większych niż to ciągle malowanie czachy na kościach. Ale w L.A. blokują ulice, niszczą samochody, rozbijają wystawy sklepowe!

– Carl mówi, że to wszystko, co oni robią, ma tylko otworzyć ludziom oczy na zagrożenie.

Pieprzony Carl! Zachował to jednak dla siebie, wiedząc, jak bardzo lubi go Jeannie – młodszy brat, najzdolniejszy wśród pięciorga dzieci, dziewiętnaście lat, zaraz dwadzieścia, przestał chodzić do college'u po roku, bo narzekał na słaby poziom nauczania, a obecnie też pracuje w zakładzie Bamberleya.

– Jak dla mnie, to niech tam sobie żyją jak chcą – burknął. – Ale taką mam pracę, żeby nie pozwolić nikomu niszczyć, szabrować, albo przeszkadzać innym żyć jak chcą.

– No wiesz, a Carl był na wacie parę razy i według niego... Zresztą nie kłóćmy się! – Zerknęła w przepis. – Piszą, żeby dziesięć minut poczekać. Chodźmy do salonu, siądziemy sobie... – Zachmurzyła się nagle. – Wiesz co, skarbie?

– Co?

– Naprawdę szkoda, że nie mamy takiej szybkiej kuchenki. Mikrofalowej. Wtedy obojętne kiedy przyjdiesz, obiad za chwilę byłby gotowy.

Zadzwoił telefon.

– Siedź, ja odbiorę – powiedziała.

Uśmiechnął się do niej i usłuchał. Lecz zanim zdążył choćby usiąść wygodnie, już wołała do niego, podnosząc głos prawie do wrzasku.

– Pete! Pete! Ubieraj się!

– Co, kurna? Co się stało?

– Lawina zeszła! Zasypało wszystkie te nowe budynki po drugiej stronie!

## NIE WIĘKSZY NIŻ LUDZKA DŁOŃ

*...w opublikowanym dzisiaj Raporcie Specjalnym ONZ. Rzekomy wzrost inteligencji w tak zwanych krajach nierozwiniętych naukowcy prowadzący trzyletnie badania przypisują poprawie diety i warunków sanitarnych, podczas gdy niepotwierdzony jeszcze spadek w krajach rozwiniętych przypisuje się wzrostowi zanieczyszczenia środowiska. Prexy, poproszony o komentarz tuż przed udaniem się do Hollywood, gdzie ma dziś otwierać swoją doroczną imprezę retrospektywną, powiedział: „No, skoro są tacy bystrzy, to czemu tak kiepsko sobie radzą?”. Koniec cytatu. Na konferencji prasowej w Tegucigalpie oficjalnie oświadczono, że zaginięcie Leonarda Rossa, agenta terenowego Globe Relief oraz brytyjskiego doktora Isaiaha Williamsa, którego los także jest nieznan, to akt terrorystyczny.*

*Sily pokojowe prowadzą intensywne poszukiwania, na razie bez efektu. W związku z sensacyjną rezygnacją ze stanowiska prezesa fundacji „Save the Med.”, doktora Giovanniego Crespinolo, włoskie władze stanowczo dementują jego oskarżenia, że ogromne sumy, wpłacone przez firmy i osoby prywatne z czterdziestu ośmiu krajów w nadziei na ratunek dla skazanego na zagładę morza, zostały zdefraudowane. Doniesienia z Rzymu sugerują jednak, że...*

## MEMENTO LAURAE

Philip Mason nigdy w życiu nie czuł się tak podle. Bez końca chodził w kółko po mieszkaniu, powarkiwał na dzieci, mówił Denise, żeby do cholery dała mu spokój, a tak naprawdę przez cały czas chciał im powiedzieć, że niezmiernie ich kocha i zawsze będzie kochał.

Ale konsekwencje tego Sylwestra...

W poprzednim domu, gdy czuł się przygnębiony, łatwiej to było znieść, bo to był dom – o wiele dalej od centrum, po drugiej stronie rzeki – i miał ogród. Tam mógł się schować i podręczyć się w samotności. Jednakże w zeszłym roku strasznie dały im się we znaki pożary rzeki – co najmniej parę razy nie mógł dojechać do pracy, bo most był zamknięty, a często przez pół dnia dym uniemożliwiał wyjście do ogrodu czy choćby otwarcie okien.

Dlatego przenieśli się do tego klimatyzowanego apartamentowca. Lepszy dojazd do pracy. No i oczywiście do szpitala, gdzie leczą Josie zeza i rozciągają Haroldowi przykurcz mięśni nogi.

\* \* \*

Nie mógł tego wytłumaczyć! Nie śmiał! I nie mógł się od tłumaczenia wykręcić!

Ale chociaż teraz miał kilka minut dla siebie. Dzieci spały, po tym, jak przez długi czas nie mogły się uspokoić po katastrofalnym spotkaniu



z Antonem Chalmersem, kłótliwym, aroganckim, chciwym, despotycznym i wybuchowym, ale oczywiście stuprocentowo zdrowym. „Przeżyje najsprawniejszy oraz cały ten szajs”, żeby zacytować jego równie nieznośnego ojca.

A Denise poszła do mieszkania Henlowesów na drugim piętrze. Tam się w tym budynku zaopatrywano. Wyglądało na to, że w dzisiejszych czasach każdy zna kogoś, od kogo można coś kupić. Lepiej było jednak trzymać się na uboczu, bo sytuacja robiła się trochę jak w książkach historycznych z czasów prohibicji – czarne gangi strzelały do siebie na ulicach, walcząc o prawo do handlowania afrykańskim haszem, białe gangi wysadzały sobie nawzajem domy w walce o handel meksykańską trawą.

Wróci za pół godziny, trochę z nimi pogadawszy, pokaże, co dostała, i powie:

– Skarbie, już się nie denerwuj, wszystko się w końcu naprostuje, chodź, zapalimy sobie i się zrelaksujemy, co powiesz?

Dennie, ja strasznie cię kocham i w ogóle, ale jak jeszcze choć raz będziesz dla mnie dobra i miła, to chyba zacznę wrzeszczeć.

\* \* \*

Telefon. Trzęsącymi się palcami wybrał numer, odebrała kobieta. Powiedział:

– Poproszę z doktorem Clayfordem, to bardzo pilne.

– Doktor Clayford będzie w gabinecie w poniedziałek, o zwykłej porze – odparła kobieta.

– Mówi Philip Mason. Dyrektor regionalny z...

– A, tak, pan Mason! – Nagle serdeczna. Clayford był jednym z lekarzy, do których Philip posyłał na badanie klientów kupujących polisę na życie; doktor musiał się więc czuć zobowiązany. – Sekundkę. Zobaczę, czy mąż jest wolny.

– Dziękuję. – Z nerwów zaczął szukać papierosa. Od czasu wyjazdu do L.A. palił dwa razy więcej. Wcześniej już się ograniczył, a teraz znów wrócił do dwóch paczek dziennie.

– Słucham? – Szorstki głos.

– Dobry wieczór, panie doktorze!

Do Clayforda nie mówiło się per ty ani po imieniu: był staroświeckim lekarzem rodzinnym, który w wieku sześćdziesięciu lat wciąż lubił ciemne garnitury i białe koszule, jakimi za jego czasów studenckich wyróżniali się przytomni młodzi mężczyźni „mający przed sobą wielką przyszłość”. Rozmawiało się z nim trochę jak z księdzem, czuło się dystans, jakąś niematerialną barierę. Teraz jednak trzeba się było przez nią przebić.

– Pan posłucha... potrzebuję pana porady i... ten... pomocy.

– O co chodzi?

Philip głośno przełknął ślinę.

– Sprawa jest taka. Tuż przed świętami wezwali mnie do L.A., do centrali firmy, a moja żona nie cierpi samolotów, bo wie pan, zanieczyszczenia... pojechałem autem i nocowałem w Vegas. I w Vegas... eee... miałem kontakt z jedną dziewczyną. Zupełnie nie planowałem. Rozumie pan, czas, okazja...

– No i?

– No i... na początku nie byłem pewny, ale teraz już nie mam wątpliwości. Zaraziła mnie... hmm... rzeżączką.

Poplamione bokserki załopotwały wokół niego jak drwiące nietoperze.

– Rozumiem. – Clayford nie okazywał cienia współczucia. – No to powinien pan pójść do przychodni na Market. Zdaje się, że mają czynne w sobotę rano.

Philip widział tę przychodnię, w ponurej i przygnębiającej okolicy, zawstydzoną swoją funkcją, prześladowaną przez oburzoną moralnie większość, zawsze pełną młodych ludzi udających zbuntowanych.

– Ale przecież, panie doktorze...

– Panie Mason. To jest moja lekarska porada. Koniec dyskusji.

– Ale moja żona...

– Czy miał pan z nią kontakty od czasu tej pańskiej eskapady?

– No, w Sylwe... – zaczął Philip, już mając w głowie cały szereg uzasadnień: nie można, to jest ten dzień, to symbol, taka nasza tradycja, odkąd się poznaliśmy...

– To niech pan ją też weźmie do lekarza – powiedział Clayford. Nawet się nie pożegnał.

\* \* \*

Co za kutas! Parszywy, stary sztywniak...

Zresztą, co za sens?

Odłożył słuchawkę, myśląc o wszystkich już przygotowanych wytłumaczeniach, niewinnych kłamstwach, zapalenie wątroby, wszyscy wiedzą, że rozpowszechnione w Kalifornii, zresztą obojętne co, byleby wymagało krótkiej kuracji antybiotykiem...

Jezus! Przecież to tylko druga najpospolitsza choroba zakaźna po odrze! W gazetach cały czas o tym piszą.

Czynnym się zająć. Wszystko jedno czym. Włączyć telewizor. A może lekarz w przychodni będzie bardziej życzliwy i jakoś się to da jeszcze zatuszować. Gdyby musiał przyznać się tylko do tego, że przespał się z Laurą, nic by się nie stało, Denise mnie za to nie zostawi. Ale powiedzieć jej, że przez jakąś spragnioną faceta dziwkę ma teraz trypra...

Telewizor był na tranzystorach – dźwięk pojawił się szybciej niż obraz, w uszach zaświdrowało, gdy dotarł do niego sens tego, co mówią. Wieczorny skrót wiadomości. Miał wrażenie, że ziemia się rozstąpiła i spada w głęboką na wiele kilometrów otchłań.

– ...wciąż napływają. Skala dzisiejszej katastrofy w Towerhill, gdzie zeszła lawina...

Obraz wyostrzył się. Radiowozy. Reflektory. Śmigłowce. Straż pożarna. Karetki. Spychacze. Pługi śnieżne.

– *Budynek Apennine Lodge, który stał właśnie tutaj, jest całkowicie zasypany – powiedział ktoś posępnym głosem. Bezkształtna masa śniegu, w której kopali ludzie. – Inne okoliczne domy i hotele zniosło na dół, niektóre o pół kilometra. Szkody z pewnością przekroczą piętnaście milionów dolarów, mogą dojść nawet do pięćdziesięciu...*

– Phil, jestem! – zawołała Denise, pokonawszy skomplikowane zamki drzwi wejściowych. – Załatwiłam coś od Jeda i Beryl, i...

– W Towerhill była lawina! – krzyknął.

– Co takiego?

Do salonu weszła szczupła, drobnokoścista dziewczyna, o ładnych ruchach, w kasztanowej peruce idealnie w kolorze dawnej burzy kręconych włosów, całkowicie zakrywającej blizny po grzybicy. Philip myślał czasem, że to najpiękniejsza kobieta, jaką w życiu widział.

– O Boże – powiedziała słabym głosem. Na ekranie, z brudnego śniegu wydobywano zwłoki. – To tam byli Bill i Tania! – Usiadła machinalnie na oparciu jego fotela.

Ścisnął jej dłoń i odezwał się, przebijając się przez lęk, rozpacz, mdłości.

– Powiedzieli: szkody na piętnaście milionów, mogą dojść do pięćdziesięciu. A wiesz, kto ich ubezpiecza? My.

Spojrzała na niego wstrząśnięta.

– Phil, o szkodach będziesz myśleć, jak wrócisz do pracy! Trzeba zadzwonić, dowiedzieć się, czy Billowi i Tani, no i Antonowi, nic się nie stało. Powinieneś się przejmować ludźmi, nie kasą.

– Przejmuję się ludźmi. Nami.

– Phil...

– Nie dokończyłem odnawiania polis w Towerhill. Miałem tylu nowych klientów. A do tego przez zimę pochorowali mi się wszyscy pracownicy. Odnowiłem co najwyżej połowę.

Na jej twarzy pojawiło się zrozumienie, potem przerażenie.

– Jestem skończony – powiedział Philip. – Wolałbym nie żyć.

## WYPRZEDZAJĄC WIADOMOŚCI

– Globe Relief? Poproszę z panem Thorne'em – powiedział ekspert Departamentu Stanu do spraw Ameryki Środkowej, po czym dodał: – Cześć, Gerry, mówi Dirk. Jak tam oko?... No to dobrze... Ja? W porządku. Trochę mononukleozą dokucza... Ale wiesz co, dzwonię dlatego, żebyś pierwszy wiedział, że znaleźli tego twojego Rossa. Wyrzuciło go na skały,

nad tą rzeką, co przepływa przez San Pablo... Nie, tego angielskiego lekarza dalej ani śladu. Mówią, że miał zmiażdżoną głowę. Może o skały w rzece, ale zrobią sekcję i zweryfikują... Tak, przy odrobinie szczęścia. Tym cholernym Tupasom dawno się należało. Wreszcie mamy powód, żeby im przywalić. Będę cię informował.

## MOŻNA SIĘ BYŁO SPODZIEWAĆ

Uzbrojeni ochroniarze patrolujący siedzibę firmy ubezpieczeniowej Angel City Interstate Mutual podczas dziesięciu wolnych świątecznych dni zdziwili się, że dotrzymuje im towarzystwa jedna z ważniejszych osób w firmie.

Natomiast nie zdziwili się wcale, że tą osobą jest właśnie doktor Thomas Grey. Przyzwyczaili się, że jest ekscentrykiem.

– Wariat! – mówili ludzie i z zadowoleniem zakładali, że skoro jest oddany swojej firmie tak, że nigdy się nie ożenił, to automatycznie musi być świrem.

Było to jednak niezmiernie niesprawiedliwe. Zaliczał się prawdopodobnie do najbardziej racjonalnych ludzi na świecie.

\* \* \*

„Do redaktora naczelnego Christian Science Monitor.

Szanowny Panie...”.

Pisał na maszynie tak sprawnie, że zazdrościły mu zawodowe sekretarki. Siedział w niemal całkowitej ciszy czwartego piętra, otoczony metalowymi truchłami komputerów.

„Zaniepokoiłem się bardzo i zniesmaczyłem faktem, że Państwa pismo, o nieskazitelnej międzynarodowej reputacji, powtarza pokrzykiwania osób, których nie wahałbym się nazwać siewcami lęków – ludzi, którzy

najchętniej wróciliby ludzkość do stanu dzikiego, pozbawiwszy ją nawet przywileju noszenia skór, jak jaskiniowcy”.

Rozejrzał się wokół, czy żadne kontrolki nie sygnalizują awarii, i skorzystał z okazji, żeby się podrapać. Miał lekkie, ale dokuczliwe zapalenie skóry, spowodowane enzymami z proszku do prania.

„To prawda, przez to, jak żyjemy, zmieniamy porządek świata. Ale to samo da się powiedzieć o każdym organizmie. Jak wielu z tych, którzy domagają się wyłożenia ogromnych sum na zachowanie raf koralowych, uświadamia sobie, że te rafy są konsekwencją wpływu jednego żywego gatunku na ekologię planety? Trawa całkowicie zrewolucjonizowała »równowagę w przyrodzie«, podobnie wyewoluowanie drzew. Każda roślina, każde drzewo, każda ryba – można spokojnie powiedzieć, że i każdy skromny mikroorganizm – ma zauważalny wpływ na nasz świat”.

Zamrugało na niego światełko. Przerwał, wstał, zmienił szpulę z taśmą, wrócił na fotel. Przeczytawszy raz jeszcze wstępniak w „Monitorze”, który go tak zdenerwował – jak dla niego, wyglądał na napisany osobiście przez tego bigota Austina Traina – naostrzył kolejną szpilę swojej repliki.

„Jeśli pozwoli się tym ekstremistom rządzić światem, będziemy siedzieć i ponuro dumać, skazani na to, że czworo z pięciorga dzieci nam umiera, bo wymarzły jagody i orzechy w zasięgu marszu piechotą”.

\* \* \*

Pisał ten list wyłącznie dla zabicia czasu; nie spodziewał się, by odniósł jakikolwiek skutek. W biurze siedział przede wszystkim po to, by dostawić kilka kolejnych cegiełek do swojej monumentalnej, prywatnej konstrukcji, którą pielęgnował od lat. Zaczęło się to jako hobby, ale rozrosło do rozmiarów obsesji i stanowiło główny powód, dla którego jeszcze pracował w Angel City. Firma miała duży zapas mocy obliczeniowej – teraz w całym kraju było jej aż nadto. Dlatego nikomu nie przeszkadzało, że korzysta z niej w wieczory i weekendy. Przez większość życia dobrze zarabiał, a dzięki skromnym upodobaniom był teraz bogaty. Gdyby jednak musiał

wykupić tyle czasu procesorów, ile potrzebował, całą swą fortunę zużyłby w miesiąc.

Oczywiście za wykorzystane materiały, taśmy, papier, prąd, skrupulatnie firmie zwracał.

To przedsięwzięcie zaś wzięło się z tego, że jako zaiste bardzo racjonalny człowiek, potrafił się wściec prawie jak fanatyczny trainista, kiedy kolejny wynalazek ludzkości okazywał się katastrofalny w skutkach. „Czemu nie wezmą komputerów”, mówił, „i nie zbadają każdego takiego wynalazku w wystarczającej liczbie symulowanych sytuacji, by później wykorzystywać go rozsądnie i konstruktywnie?”. Oczywiście moc komputerów kosztuje, ale tak samo kosztują prawnicy, których się zatrudnia, żeby cię bronili, gdy naruszysz Ustawy Środowiskowe; tak samo walka z narzuconym przez Agencję Żywności i Leków zakazem; tak samo proces wytoczony przez jakiegoś nieważnego osobnika, mającego za sobą silną grupę nacisku. A jeśli doliczyć jeszcze pieniądze wydawane na bezskuteczne próby zamknięcia puszki Pandory przez organizacje w rodzaju Ziemskiego Funduszu Wspólnotowego, Globe Relief czy fundacji „Save the Med.”, całkowity koszt stawał się zaporowy. Co za marnotrawstwo!

Gdy w wieku trzydziestu trzech lat porzucił ścieżkę kariery niezależnego konsultanta naukowego i postanowił szkolić się na aktuarusza, miał niewyraźną nadzieję, że może w firmie ubezpieczeniowej, codziennie mierzącej się ze skutkami ludzkiej krótkowzroczności, uda mu się zorganizować specjalny dział pracujący nad tym projektem i zatrudnić odpowiednie osoby. Tak się nie stało. Musiał dalej robić to jednoosobowo.

Dlatego był jeszcze bardzo, bardzo daleko od celu – ni mniej, ni więcej tylko symulatora świata.

Był jednak cierpliwym człowiekiem, a szok wywoływany przez katastrofy w rodzaju powstania Pustyni Mekongu narzucał coraz większej liczbie ludzi wnioski, do których doszedł dawno temu. Da się to zrobić czy nie, i tak absolutnie trzeba to zrobić.

Znajdował się w takiej samej sytuacji, jak prognozujący pogodę w erze przedkomputerowej, nieustannie zasypywani świeżymi danymi, wymagającymi powolnego, etapowego przetwarzania. Wypracował sobie jednak, metodą prób i błędów, sposoby na automatyczną aktualizację swoich programów, więc za kolejne dwadzieścia lat... Cieszył się dobrym zdrowiem i bardzo uważał na dietę.

A poza tym nie dążył do idealnej dokładności. Znakomicie wystarczała precyzja mniej więcej taka, jak w prognozie pogody. O ile tylko pozwalała ludziom, którzy nie są pochoptni ani tchórzliwi, na monitorowanie postępu ludzkości. (Często używał tego zwrotu w rozmowie. Wielu znajomych uważało go przez to za staroświeckiego).

\* \* \*

„Kiedy następna osoba będzie się skarżyć, że przez insektycydy szkodniki z sadu zjadły jej magnolie, proszę jej przypomnieć, że to dzięki sadom oczyszczonym z robaków może się lepiej odżywiać – i gdyby nie to, być może wcale nie miałyby ogrodu, w którym hoduje sobie magnolie. Mądrej głowie dość dwie słowie.

Z poważaniem,  
dr T. M. Grey”.

## PRZEJDŹ NA STRONĘ CZYSTOŚCI

*Patrząc na właściciela haileya, jednego można być pewnym: ma wielki szacunek dla innych ludzi.*

*Hailey nie zajmuje więcej drogi, niż jest to konieczne.*

*Wydaje z siebie jedynie cichy pomruk.*

*A powietrze brudzi znacznie mniej niż auta na benzynę.*

*Nawet jeśli mają filtry.*



*Dlatego kierowca haileya może zbliżyć się do innych ludzi na tyle, by widzieć ich uśmiechy i słyszeć pomruki aprobaty.*

*A twoje auto jak wpływa na relacje z innymi ludźmi?*

## KOP

Łopata wbiła się w śnieg, nabrała kolejną stopę sześcienną – i nie miała go gdzie rzucić, jedynie na większą górę śniegu.

Dobrze chociaż, że wbijając się, nie trafiła w żadnego trupa.

Pete Goddard był cały obolały. A dokładniej, bolało go ciało tam, gdzie jeszcze je czuł. Zaczęło się od podeszew stóp, gdy pracował w śniegu od pół godziny. Potem objęło kostki. Do czasu, gdy ból dotarł do łydek, ze stopami już stracił kontakt. Musiał przyjąć na wiarę, że dalej są w butach.

Dłonie też miał obolałe, na pewno mimo rękawic zrobią mu się bąble. Temperatura spadła do minus siedmiu, do tego przenikliwy wiatr; piekły go oczy, a ciekące z nich łzy zamarzałyby mu na policzkach, gdyby nie były słone.

Jak przedsiónek piekła. Światła ostre jak brzytwa, poustawiane na zdradzieckich śniegowych zaspach, podpięte do awaryjnych generatorów, które jęczały z przeciążenia, wypełniając powietrze odgłosem przypominającym zgrzytanie zębów. Ciągłe słyszeć było wołania: „Tutaj, szybko!”, a każdy taki okrzyk oznaczał kolejną ofiarę, przeważnie martwą, czasem ze złamanym kręgosłupem, nogą, biodrem. Lawina zadziałała jak prasa: budynki położone najbliżej Mount Hawes sprasowała w coś podobnego do płyty paździerzowej: ludzkie szczątki, drewniane belki, auta, sprzęty do sportów zimowych, jedzenie, alkohole, meble, dywany, kolejne ludzkie szczątki, a wszystko to ściśnięte tak, że już bardziej by się nie dało. A potem cała ta ohydna masa zjechała w dół stoku, by pochłonąć kolejne zabudowania.

Coś czerwonego w śniegu. Zagrzebał w nim rękoma, bojąc się, że łopata kogoś zrani. I odkopał półtuszę wołową.

\* \* \*

– Halo? Panie policjancie! – Dziecięcy głos.

Przez chwilę przeraził się, że dokopał się do zasypanego dziecka. Lecz wołanie dobiegało z powierzchni, na tyle głośne, by przebić się przez warkot śmigłowca. Uniósł wzrok. Naprzeciwko niego, balansując na zrównanej ścianie, stał jasnoskóry chłopak, może dwunastoletni, w ciemnych wełnianych spodniach i długiej parce. Wyciągał do niego blaszany kubek, parujący niczym gejzer.

– Nie chce pan zupy?

Żołądek Pete'a przypomniał mu nagle, że wyszedł z domu zanim cokolwiek zjadł. Odłożył łopate.

– Pewnie – zgodził się.

To nie było miejsce dla dzieciaka – nie wiadomo, jakie okropności mógłby tu zobaczyć – ale odrobina jedzenia świetnie mu zrobi. Szybko tu nie skończy. Wziął kubek, spróbował trochę upić, ale zupa była jeszcze gorętsza, niż przypuszczał. Dzieciak miał ze sobą wielki termos na pasku. Musi świetnie izolować.

– Dużo trupów pan znalazł? – zaciekał się chłopak.

– Parę – mruknął Pete.

– Wcześniej nigdy nie widziałem trupa. A teraz już z kilkanaście.

Ton był beznamiętny, ale Peter i tak się zbulwersował. Po chwili powiedział:

– A... twoja matka wie, że tu jesteś?

– Pewnie. Sama zrobiła tę zupę. Jak tylko usłyszała o katastrofie, zaraz nastawiła wielki gar i powiedziała nam wszystkim, że mamy się ciepło ubrać i iść pomagać.

Skoro tak... nie należy mówić innym ludziom, co dobre, a co złe dla ich dzieci. Poza tym faktycznie pomagają. Spróbował ponownie zupy, stwierdził, że w mroźnym wietrze szybko ostygła, i wypił ją łapczywie. Była przepyszna, pływały w niej kawałki warzyw i intensywnie pachnące zioła.

– Bo chciałem popatrzeć na trupy – powiedział nagle chłopak. – Mój ojciec zginął niedawno.

Pete wytrzeszczył na niego oczy.

– Nie mój rodzony ojciec. Tak go nazywałem, bo mnie adoptował. I siostry. Było w gazetach, nawet w telewizji było potem jego zdjęcie.

– A z czego twoja matka robi tę zupę? – zapytał Pete, chcąc zmienić upiorny temat. – Świetna jest.

– Powiem jej, że pan tak mówi. Jakiś tam ekstrakt z drożdży, warzywa, jakie są pod ręką i... ten... – chłopak wzruszył ramionami, zadziwiająco dorosłym gestem – ...woda, gotuje się ją z majerankiem i tak dalej. Skończył pan?

– Jeszcze nie.

– Bo widzi pan, mam tylko jeden kubek. Jak ktoś wypije, muszę go umyć śniegiem, żeby zabić zarazki, i szukam następnej osoby. – Mówił to z dumą. – A pan widział mojego tatę w telewizji?

– Eee... – Pete zastanowił się gorączkowo. – Ja za bardzo telewizji nie oglądam, zapracowany jestem strasznie.

– No tak. Po prostu myślałem, że może pan widział. – W słowa wkradła się nuta niezadowolenia. – Brakuje mi go bardzo... Już?

Pete opróżnił kubek i oddał go.

– Powiedz mamie, że robi świetną zupę, dobra? – powiedział i poklepał chłopca po ramieniu. Cały czas wracał myślami do Jeannie; ma o wiele jaśniejszą skórę, więc dzieci powinny wyjść mniej więcej takie jak ten chłopak. Żeby tylko były takie bystre i takie zdrowe...

– Powiem, na pewno – odparł chłopiec i dodał, bo przypomniało mu się: – Nie potrzeba panu kogoś do pomocy? Sam pan pracuje, prawda?

– Musieliśmy się rozproszyć, bo w tylu miejscach trzeba kopać – rzekł Pete. Zawsze trudno mu się gadało z dziećmi, sam jako dziecko też miał ciężko. Jego ojciec wprawdzie nie zginął, nie pisały o tym gazety: po prostu zniknął i tyle.

– Koło karetek jest nas cała masa.

– Nas?

– Nas. Jesteśmy z wату trainistów, mój ojciec go prowadził, zanim zginął. Przyślę tu kogoś panu do pomocy, może Harry'ego? Duży jest i silny. A jak pan się nazywa, żeby wiedział, kogo ma szukać?

- Eee... jestem Pete. Pete Goddard.
- Rick Jones. Dobra, za minutkę ktoś przyjdzie!
- Ej!

Dzieciak już zaczął się gramolić w podskokach przez śnieżne zaspy. Pete, zdenerwowany, sięgnął z powrotem po łopatę. Dopiero co, dziś rano, był na wacie i pilnował mieszkańców, stojących na mrozie, podczas gdy detektywi szukali u nich narkotyków. A teraz będzie mieć trainistę do pomocy...

A zresztą, cholera, wszystko jedno. Liczy się, żeby wydobyć spod tego białego gówna wszystkich pogrzebanych żywcem nieszczęśników.

\* \* \*

Nie było źle. Z Harrym się z rana nie zetknęli. Nie był dużo większy od Pete'a, ale o wiele mniej zmęczony. Zaledwie się przywitał i już szufłował śnieg. Skupili się na pracy – w końcu odkopali pierwszą ofiarę: martwą, siłą z zimna i niedotlenienia. Przyszli noszowi, a młody oficer lotnictwa – bo oczywiście ściągnęli tu całą Akademię – przejrzał mężczyźnie kieszenie, szukając dokumentów. Miejscowy. Pete dał mu kiedyś mandat za parkowanie. Jeden z sanitariuszy miał przenośne radio. Kiedy odchodzili, Pete usłyszał dobiegający z odbiornika komunikat, że w Towerhill ogłoszono stan klęski żywiołowej.

\* \* \*

- Pierwsza z wielu – mruknął Harry.
  - Co?
  - Powiedziałem, że pierwsza z wielu. Chyba nie myśli pan, że to jedyna lawina, którą sprowadzili tymi cholernymi naddźwiękowcami? W Szwajcarii nie pozwalają im latać nad krajem od października do maja – powiedzieli, że jak ktoś spróbuje, zestrzelą go. Podobnie w Austrii.
- Pete podał Harry'emu łopatę.

– Kopiemy – westchnął.

Mniej więcej dziesięć minut później stało się jasne, do czego się dokopali: zawalony pokój, albo i cały dom. Od strony zbocza gruba kamienna ściana zatrzymała główny impet lawiny, przesunęła się jednak na fundamentach i powyginała w zygzakowatą, pełną chwiejnych odłamków linię. Nad nią belki dachu pogięły się, połamały, ale nie całkiem, zostawiając małą pustą przestrzeń, w której...

– Jezus Maria! – zawołał Harry. – Żyją!

W ciemności coś się słabo poruszyło. W białej ciemności. Śnieg wdarł się przez okno, rozsypał wachlarzem po podłodze.

– A... a... aaa! – Słaby okrzyk dziecka.

– Kurwa mać, uważaj, debilu! – wrzasnął Pete, gdy Harry chciał rzucić łopatę i zanurkować prosto pod wygięte belki. Złapał go za rękę.

– Co? Dziecko tam jest! Won z łapami!

– Patrz tu, widzisz, kurna, widzisz? – Wskazał mu potężną, rozedrganą śnieżną przewieszkę, zwisającą znad kamiennego muru jak zamarznęta fala. Przez ich kopanie groziła teraz zasypaniem szczeliny, w której uwięzione było dziecko... dzieci, dotarło do niego, bo usłyszał jeszcze inny głos.

– A... no tak. – Harry opanował się i zamrugnął, wpatrując się w ciemną jamę. Łóżko, zasłane. Kupa śniegu. – Rozumiem. Zwaliliby się na nas. Ma pan latarkę?

– Pożyczyłem komuś. Leć, przynieś. I dużo ludzi do pomocy. Widzisz tę belkę? – Pete nawet dotykał jej z obawą.

Teraz była odsłonięta – kluczowy element dachu, który uratował dzieciom życie, wyglądał jak zapalka, a na podpieranym przez niego przechylonym, zawalonym dachu leżało Bóg wie ile ton śniegu i skał.

– Jasne! Zaraz będę! – odwrócił się, żeby pobiec.

– Dzieciaki, trzymajcie się! – zawołał Peter w zimną otchłań. – Zaraz was wyciągniemy.

Jeden z ledwie widocznych kształtów poruszył się. Wstał. Otrzepał się ze śniegu.

Popęzł po śniegu.

Próbuje wydostać się do światła!

– Rany, Harry, Harry! SZYBKO!

Płacz. Płacz, stłumiony łoskotem ciężaru napierającego na belkę. Na tę belkę, tę, która podtrzymuje ogromną masę śniegu. Widział, jak osypują się z niej maleńkie białe płatki, jak pył tańczący w blasku odległych światła.

Jezus... Jeannie, Jeannie, to mogłoby być nasze dziecko tam w dole, to znaczy... nie mogłoby, nie w hotelu po pięćdziesiąt doliczów za dzień, ale rozumiesz... to jest dziecko, a my też moglibyśmy mieć dzieci, i...

To były jednak poboczne myśli, niemające związku z działaniem. Łopata upuszczona. Belka się łamie. Odwrócił się, pochylił, tak że znalazł się pod nią barkami, i zaczął macać w środku odrętwiałymi dłońmi. Ciężar, niewiarygodny, niewyobrażalny ciężar. Spojrzał w dół i zobaczył, że zapadł się po kostki w ubity śnieg.

Dobrze, że chociaż płacz było cały czas słyszeć.

## NAJDROBNIJSZY ŚLAD

– I jak poszło, Peg?! – zawołał Mel Torrance, kiedy lawirowała przez labirynt biurek, szklanych ścianek, szafek na akta.

Gazeta jechała na stracie. Większość gazet jechała na stracie. Nawet Mel miał gabinet jak nora, z drzwiami permanentnie otwartymi, z wyjątkiem chwil, kiedy brał tabletki. Z jakiegoś powodu strasznie się tego wstydził.

Głupota. Znacie kogoś, kto dzisiaj nie musi brać jakichś tabletek? Co mi przypomina... swoje też powinienam wziąć jakiś czas temu.

– A, w miarę – mruknęła. Pojechała opisać wybuch w ściekach. Ktoś wlał do kanału coś, czego nie powinien, wdało się to w reakcję z czymś innym. Wielkie mi co. Ciągle się tak dzieje. Dzisiaj nawet nikogo nie zabiło.

– Rod zrobił jakieś sensowne zdjęcia?

– Powiedział, że za dwie godziny ci przyniesie.

– To nie zrobił polaroidów? A, cholera, pewnie, że nie, limit dzisiaj za wysoki, tak? – Mel westchnął. Ostatnio częściej zdarzały się dni bez

polaroidów niż z polaroidami – coś w powietrzu uszkadzało emulsję. – To niech będzie za dwie godziny... Aha, i jakaś wiadomość do ciebie przyszła. Masz na biurku.

– Później spojrzę.

\* \* \*

Wiadomość mówiła jednak, że ma się skontaktować z prosektoarium: wybrała numer, drugą ręką wkręcając papier do maszyny, i po jakichś pięciu pomyłkach, czyli mniej więcej tylu co zwykle, telefon odezwał się:

– Stanway.

– Peg Mankiewicz.

– A, dzień dobry. – Stanway obniżył głos o oktawę. – Widzi pani, mamy wyniki z laboratorium. Pani przyjaciela Jonesa.

– Jezus Maria! To cały czas go tam męczyci? – Peg usłyszała, że łamie jej się głos.

Nawet zmarłemu nie dadzą spokoju? Nie wystarczy, że obrażają jego pamięć? „Samozwańczy prorok lepszego świata, który okazał się kolejnym ćpunem na kwasie”. Koniec cytatu.

– Widzi pani, wykrywanie śladowych ilości narkotyków to mozolna praca – odparł Stanway, nie rozumiejąc. – Chromatografia bibułowa. A czasami i kolumnowa jest potrzebna.

– No dobra, i co znaleźli?

– Ślady halucynogenu w organizmie. Nie LSD, nie psylocybina, nic normalnego, ale coś o podobnej strukturze cząsteczkowej. Ja w zasadzie sam tych wyników nie rozumiem, ja jestem patologiem, nie biochemikiem. Ale pomyślałem, że dobrze, żeby się pani od razu dowiedziała.

Dobrze! Jakby to była pierwsza rzecz na świecie, jaką chce usłyszeć. Ale były dowody.

– Był jakiś powód, żeby zadać sobie tyle trudu?

Stanway zawahał się. Wreszcie powiedział:

– Psy naciskały.

– Skurwysyny! Co, w samochodzie nic nie znaleźli?!

Nawet nie był jego, był z wypożyczalni. Trainiści starali się nie powiększać zanieczyszczenia i cała społeczność wату w Denver, sześćdziesiąt parę osób, miała na spółkę jeden samochód, terenówkę. Do tego masę rowerów.

Poza tym narkotyków nie pochwalali, nawet trawy, chociaż tolerowali piwo i wino.

Wysunęła szufladę biurka, w której miała zebrane materiały dotyczące śmierci Decimusa, i po raz kolejny przeczytała listę rzeczy znalezionych w aucie – mniej więcej takich, jak się należało spodziewać. Torba podróżna z ubraniami na zmianę, maszynką do golenia, szczoteczką do zębów i tak dalej, teczka dokumentów o substancjach chemicznych w żywności, druga z papierami dotyczącymi spraw rodzinnych, które ściągnęły go do L.A., do siostry Felice, oraz coś w rodzaju koszyka piknikowego. To też pasowało; on woziłby ze sobą własny prowiant – dobre, zdrowe jedzenie, wyhodowane na samym wacie.

Stanway kaszlnął w telefon, najpierw chcąc zwrócić jej uwagę; po kilku sekundach jednak przerodziło się to w prawdziwy kaszel, przerywany sapnięciami przeprosin. Gdy wreszcie doszedł do siebie, zapytał:

– Coś jeszcze pani mówiła?

– Nie – rzuciła z roztargnieniem. – Dziękuję, że mnie pan powiadomił.

Odłożywszy słuchawkę, przez długie minuty siedziała i gapiła się przed siebie. W głowie płonęła złość, jak ponury płomień. Była przekonana ponad wszelką wątpliwość, że Decimusa otruto.

Ale jak? Kto? Policja prześledziła trasę, którą jechał, znalazła paru kierowców ciężarówek, którzy widzieli go śpiącego w parku koło zajazdu, gdzie zatrzymywali się coś zjeść, potem widzieli go na chodzie, golącego się w męskiej toalecie; potem na stacji, gdzie tankował – i to wszystko. Wyglądało na to, że nikt inny go nie widział ani z nim nie rozmawiał.

A siostra oczywiście niczego sensownego nie wiedziała. Zaraz po jego śmierci odmówiła odpowiedzi na pytania, twierdząc, nie bez podstaw, że skoro nie widziała brata od lat, to właściwie go nie zna, później jednak, przy składaniu numeru na 23 grudnia wyszło, że brakuje pół szpalty materiału, więc Peg pośpiesznie naskrobała moralizujący



bożonarodzeniowy kawałek o Decimucie, który Mel niechętnie zaakceptował. Felice przeczytała go i zadzwoniła z podziękowaniem. Wciąż jednak się nie spotkały, a z jej tonu wynikało, że bynajmniej nie podziela poglądów brata.

To jedzenie. Ktoś je dał do analizy? Nie, oczywiście, że nie. Zresztą i tak zostały okruszki. Pewnie ktoś je po prostu wyrzucił...

Nagła decyzja. Sięgnęła po telefon i tym razem, cudem, za pierwszą próbą połączyła się z Angel City. Zapytała o Felice.

– Niestety, jest chyba na spotkaniu. Czy mam coś przekazać?

Peg zawahała się.

– Tak! Proszę powiedzieć, że dzwoniła Peg Mankiewicz. I że jej brat został otruty.

– Przepraszam, ale nie rozumiem. – Kichnięcie oraz pośpieszne przeprosiny.

– Cholera – powiedziała ze znużeniem Peg. – Nieważne.

Stwierdziła, że wzrok jej się rozmazuje. Łzy? Nie. Coś innego. A w głowie ucisk i początki pulsowania. Szlag jasny by to trafił – kolejny atak zapalenia zatok.

Pobiegła do baniaka z wodą, żeby popić spóźnioną pigułkę.

## I DZIEJE SIĘ DALEJ

*...oraz doktora Isaiaha Williama, którego zwłoki znaleziono w wąwozie koło San Pablo. Śledztwo utrudnia, jak to określił rzecznik armii, upór miejscowej ludności. „Nie przyznają się, że doskonale wiedzą, o co chodzi”, powiedział. W kraju senator Richard Howell (Republikanie, Kolorado) przypuścił dziś zajadły atak na, cytat: „chlorofilowych kochasiów”, koniec cytatu, którzy, jak twierdzi, rozkładają amerykański biznes, już i tak uginający się pod ciężarem wysokiego bezrobocia i recesji, przez swój upór, aby nasi producenci stosowali się do przepisów, które zagraniczna konkurencja całkiem ignoruje. W południowych Włoszech trwają*

*zamieszki w wielu małych miastach, do niedawna żyjących z rybołówstwa.  
Tymczasem burze pyłowe we francuskim regionie Camargue...*

## A PORUSZĘ ZIEMIĘ

– Cześć, Fred!

– Cześć!

Austin Train/Fred Smith szedł w górę schodów. Było tu niesamowicie głośno – wrzaski dzieci, telewizory, radia, płyty, ktoś grał na perkusji, a na najwyższym piętrze jego sąsiedzi, Bloresowie, znowu się kłócili. Ich mieszkanie wyglądało jak po bombardowaniu. Któregoś dnia albo tam dojdzie do morderstwa, albo ten, kto zwycięży, odziedziczy jedynie kupę gruzu.

\* \* \*

A to stanowiło naukę na dziś. Ale pieprzyć to. Był zmęczony, a rana na nodze, którą odniósł kilka dni temu, obrzękła i zaczęła pulsować.

Jakby się czymś zakaziła.

Zatrzymując się, by wetknąć klucz do zamka, zauważył, że na półpiętrze jest nowy napis, hasło trainistów. ZABIJASZ MNIE.

Fioletową szminką. Bardzo modną.

\* \* \*

Rozejrzał się, nie przejmując się specjalnie perspektywą, że ktoś włamał mu się do mieszkania pod jego nieobecność i go okradł. Jediną niedogodnością byłoby to, że wszystkie sprzęty musiałby sobie kupić od nowa. To wszystko należało do Freda Smitha, nie do Austina Traina. Kredens i lodówka były pełne pospolitej, taniej żywności (o ile w dzisiejszych czasach jakąkolwiek żywność można było nazwać tanią):

puszcowanej, mrożonej, liofilizowanej, napromieniowanej, wstępnie podgotowanej, a nawet wstępnie podtrawionej. Ściany, łuszczące się, wymagały malowania. Okna były w zasadzie w porządku, choć jedną szybę zastępowała tektura. Były pchły, których żaden dezynsektor nie umiał wytruć, szczury, skrobiące w ścianach, myszy, bezczelnie pozostawiające po sobie odchody, oraz karaluchy, które nic sobie nie robiły z insektycydów, nawet tych nielegalnych. Sam się ich nie tykał – to byłoby już naciąganiem roli „Freda Smitha” – ale wszyscy inni mieszkańcy doskonale wiedzieli, gdzie zdobyć DDT, dieldrynę i tak dalej. Nic nie pomagało.

Właściwie nie dostrzegał swojego otoczenia. Dawało się żyć w ten sposób – stanowił żywy dowód. To coś znaczyło, że jest tutaj. Sugerowało...

Nadzieję? Może i tak. Wyobraźmy sobie, że ktoś wziął tego wielkiego heretyka, świętego Franciszka z Asyżu, postawił (jak kiedyś jego) przed dwudziestoma ośmioma milionami widzów Petronella Page Show i kazał mu uzasadnić, dlaczego tak się zachowuje. Mówi się nam, że „cisi posiadają ziemię”. Wynika z tego, że cisi są wybrani przez Boga. Będę zatem się starał być cichy, nie dlatego, że pragnę Ziemi – możecie ją sobie zatrzymać, po tym, jak żeście ją rozpierdolili, nie jest nic warta – ale dlatego, że ja także chcę być wybranym przez Boga. C.B.D.U.

Poza tym milsze mi zwierzęta od was, wy skurwysyny.

\* \* \*

Ze wszystkich grzechów, do jakich zdolni są ludzie, Austin Train najbardziej nie cierpiał hipokryzji. Uświadomił sobie to dopiero jakieś trzy lata temu, przeżywszy krótki okres sławy po wydaniu *Poradnika na rok 3000*. Wcześniej cieszył się umiarkowanym sukcesem; kilka jego książek wydano w popularnej serii, a coraz bardziej zaniepokojone społeczeństwo zwróciło na nie uwagę, ale wszystko to było jeszcze w dość skromnej skali. Nagle, można by powiedzieć, że z dnia na dzień, stał się gwiazdą, rozchwytywaną do telewizyjnych wywiadów, proszoną o pisanie do

popularnych czasopism, zapraszana jako konsultant do rządowych komisji. A potem, równie nagle, koniec.

Miał na koncie sześćset tysięcy dolarów, a mieszkał w slumsowatej kamienicy w centrum ginącego miasta.

Wówczas – a zaczął myśleć, że to było w innym świecie – kłamstwo i fałsz były stylem życia. Program, w którym występował w charakterze Kasandry, sponsorowała firma produkująca tworzywa sztuczne, codziennie wylewająca dwa miliony litrów gorącej i zatrutej wody do rzeki, która przed ujściem do oceanu zaopatrywała w wodę jeszcze jedenaście miast. Artykuły, które pisał, drukowała korporacja, dla której na papier co miesiąc ścinano pół lasu. Krajem – który obnosił się z nim, jako z koronnym przykładem na zalety wolności słowa – rządzili szaleńcy, którzy doprowadzili do powstania pustyni i nazwali ją pokojem.

Niedobrze mu się od tego robiło.

Dosłownie.

Przeleżał dwa miesiące w szpitalu, nieustannie w dreszczach, pluł na ludzi, którzy przychodzili życzyć mu zdrowia, wyrwał kable nieznanym, mówiącym, że życzą mu szybkiego powrotu do zdrowia, ciskał jedzenie na podłogę, bo było zatrute, łapał pielęgniarki za szyję i wygłaszał im, unieruchomionym, wykłady o wadach wrodzonych, dwutlenku siarki, alkilach ołowiu, DDE. Co prawda, za wiele do nich nie docierało. Zbyt głośno się darły.

A gdy go wypisali, naszprycowanego uspokajaczami, zamieszkał pomiędzy ludźmi, którzy z zawodowego nawyku nie pozwalali lewicy wiedzieć, co czyni prawica. Osiadł na najbrudniejszej ulicy miasta, w którym się urodził. Rozważał alternatywy – Barcelonę, nad otwartym ściekiem Morza Śródziemnego; królicze nory Rzymu, z niemal permanentnym stanem wyjątkowym; Osakę, gdzie reklamowano śluzy do zamontowania w miejsce drzwi wejściowych. Chciał jednak mieć możliwość rozmawiania z ludźmi – dlatego wrócił do domu.

– Jestem człowiekiem – powtarzał wielokrotnie podczas swoich pięciu minut sławy. – Jestem tak samo winny jak wy wszyscy, a wy jesteście tak

samo winni jak my. Możemy to razem odpokutować albo razem umrzeć, ale to musi być nasza wspólna decyzja.

Nie spodziewał się za to, że zostawi po sobie, w świecie, który opuścił, dość zaskakujące dziedzictwo: trainistów, nieposiadających formalnej organizacji, czy choćby gazety, a mimo to potrafili się od czasu do czasu zmaterializować – można by wręcz uznać, że wezwani telepatycznie, jakby falą zbiorowej nieświadomości – i napiętnować jakąś zagrażającą ludzkości firmę czy korporację. Oczywiście to nie on ich stworzył. Musieli już istnieć i czekać. Przeważnie składali się z dawnych radykalnych studentów, którzy w imię zasad zaczęli powtarzać: „Tak, jestem komuchem!”. Ten zwyczaj rozpowszechnił się po katastrofie w Wietnamie, gdzie tysiące i tysiące ton herbicydów, defoliantów, gazów drażniących i trujących w końcu zamieniły ziemię w pustynię. Znienacka i nagle, w jedno lato – martwe rośliny, martwe zwierzęta, martwe rzeki.

Martwi ludzie.

A kiedy nieco później spopularyzował termin „komensalista”, określenie przeniosło się na nich, ale się nie przyjęło. Media wymyśliły natomiast „trainistę” – i teraz już powszechnie tego używano.

Trochę się ucieszył, termin był bowiem pochlebny, a trochę przeraził – ze skomplikowanych powodów, z których jeden wyjaśnił Peg. Od czasu do czasu śniły mu się spotkania z ludźmi, którzy przybrali jego miano zamiast własnego. Budził się wtedy zlany potem, w jękach, bo wynikała z tego wizja bezimiennej rzeszy identycznych, nieodróżnialnych od siebie ludzi.

\* \* \*

Tak czy owak, mieszkał obecnie na połowie najwyższego piętra zapuszczonego budynku w centrum L.A., niegdyś biurowca, pięć lat temu zaadaptowanego na mieszkania i odtąd nienaprawianego i nieremontowanego. Za to otaczający go ludzie nie kłamali, chyba że musieli chronić własne ego – a to mógł wytrzymać. Nienawidził natomiast uczynków, których nie nazywał już przestępstwem, a grzechem. O, General Motors, odcisnęłaś swą chciwość na dzieciach aż do trzeciego

i czwartego pokolenia. O, AEC, powyginałeś im ręce i nogi, zesłałeś bielmo na oczy, aż do dwudziestego pokolenia. Aż po kres ludzkości przekląłeś nas, Ojczy. Ojczy nasz. Ojczy nasz, któryś jest w Waszyngtonie, daj nam dzisiaj naszego powszedniego propionianu wapnia, dioctanu sodu, bromianu potasu, fosforanu wapnia, chloraminy T, ałunu potasowego, benzoesanu sodu, butylowanego hydroksyanizolu, cytrynianu izopropylowego, retinolu i kalcyferolu. Dorzuć, proszę, trochę mąki i soli.

Amen.

\* \* \*

Coś zainfekowało mu cebulki włosów i brwi – skóra łuszczyła się suchymi żółtymi płatkami, pozostawiając drobne, bolesne ranki. Wtarł w nią balsam, który poleciła mu pani Blore; ona z mężem cierpieli na to samo, podobnie jak dzieci z dołu. Balsam wyraźnie pomagał, skóra głowy już nie bolała go tak jak w zeszłym tygodniu.

Potem zjadł, machinalnie, traktując to raczej jak paliwo, nie jak jedzenie: smakowało jak wata i tektura, stanowiło ludzki odpowiednik nawozów, którymi wciąż zalewali glebę, z dnia na dzień coraz bardziej jałową, twardą, wyschniętą na pył. Jak skóra jego głowy. Rysowało mu się już coś, co wydawało się ważne. Zrezygnował z książek, nawet tych ulubionych – *Pisma Świętego*, *Bhadawadgity*, nauk Patandźalego, *I-Chingu*, *Popol Vuh*, *Księgi umarłych*...

Skoro teraz wiem za mało, to już nigdy nie dowiem się dosyć. Nie do zniesienia jest taka świadomość...

A jedząc, myślał. Pracując w ciągu dnia, myślał. Pracował w departamencie oczyszczania miasta, a śmieci pełne były nauk moralnych – kazań w śmietnikach, książek w ściekach. Reszta ekipy, z którą pracował, miała go za dziwaka, może i odrobinę stukniętego. Możliwe. Jednak to, co go stuknęło, wydawało się... istotne. Nagle, w ciągu ostatnich tygodni doszedł do takiego wniosku: jestem ważny. Liczę się. Mam ideę. Mam myśli, które nie przychodzą do głowy nikomu innemu. Wierzę, z całą siłą wiary. Muszę, muszę, sprawić, by inni to usłyszeli i zrozumieli.

Kiedy przyjdzie czas.

\* \* \*

W nocy, kiedy kładł się spać, czuł, że w mózgu rezonuje mu tętno planety.

## KONFRONTACJA

– Dawać perukę, i to już!

Sploszony tym krzykiem Terry Fenton oderwał się od inwentaryzowania sprzętu – cieni, pudrów, farb, lakierów, wszystko oczywiście w najlepszym gatunku, peruwiańskie i meksykańskie, ani śladu niczego syntetycznego. Terry Fenton używał tylko tego co najlepsze. Był u szczytu kariery – szef charakteryzatorów i makijażystów w całym nowojorskim studiu ABS, odziany i zadbany znacznie lepiej niż niemal wszystkie gwiazdy, co wieczór karmiące masy reklamodawców pop-papką.

– Pet, Jezus, Maria, co ci się stało z włosami?

Petronella Page, czterdziestoletnia, ale śliczna i szczupła dzięki rygorystycznym dietom, gniewnym krokiem podeszła do tego co zwykle fotela. Miała na sobie wspaniałą garnitur w abstrakcyjne szkarłatno-żółte wzory, a twarz tak nieskazitelną, że Terry, jak zawsze, potrzebował tylko paru drobnych zabiegów. Ale na włosach miała nieregularne błotniste smugi.

Prowadziła późnowieczorny talk-show w poniedziałki i środy, była popularna i wszyscy spodziewali się, że przejmie także piątek, bo drugi prowadzący, dojeżdżający zza Atlantyku Anglik Adrian Sprague, był na pograniczu długo oczekiwanego załamania nerwowego, a poza tym przez trzy miesiące opuścił trzy programy wskutek pogróżek o bombach w samolotach, którymi miał lecieć.

– Podam palanta do sądu! – wycedziła przez zaciśnięte zęby, gdy niemiłosierne lustra podkreśliły jeszcze, jak okropnie wygląda.

– Ale co się stało?

Terry pstryknął palcami i jego aktualny asystent, jasnobrązowy chłopaczek imieniem Marlon, który wielbił go bezgranicznie, a o Petronelli myślał, że jest w porządku – rozumie się, jak na kobietę – wbiegł pędem do garderoby. Podobnie, chwilę później, uczyniła Lola Crown, asystentka producenta, Iana Farleya, niosąca stertę briefingów dotyczących dzisiejszych gości. Mieli wejść na antenę za mniej więcej dwadzieścia minut.

– Dzięki Bogu, że w końcu dotarłaś! – wykrzyknęła. – Ian już stawał na rzęsach!

– Zamknij się! Niech cię szlag! – wychrypiała Petronella i wyrwała jej papiery z ręki. – W dupie mam, kto dziś przychodzi, choćby to, kurna, był angielski król! Nie ma mowy, żebym weszła na wizję w takim stanie!

– Nie trzeba będzie, kochana – ugłaskiwał ją Terry, przyglądając się odbarwionym lokom. Lola, na pograniczu płaczu, padła na kolana, żeby pozbierać rozrzucone dokumenty. – Jezus Maria, czemu nie poszłaś do Guido, jak zawsze?

– To się zrobiło u Guido.

– Co takiego? – Terry był przerażony. Wszystkich zmuszał, żeby włosy myli, układali i strzygli u Guido, bo tylko on w całym Nowym Jorku gwarantował, że ma szampony wyprodukowane na importowanej deszczówce. Ściągali ją specjalnie z Chile.

– Azotan srebra. – Westchnęła. – Dzwoniłam do Guido do domu, opierdzieliłam go, a on sprawdził i oddzwonił, prawie z płaczem. Wygląda na to, że w tym Chile wywoływali deszcze, pamiętasz, w zeszłym roku był w programie spec od deszczu? Guido myśli, że przereagowało z pianką utrwalającą.

Marlon przyniósł zestaw peruk. Terry chwycił jedną z nich, szczotkę, grzebień i lakier w sprayu. Brutalnie rozprawił się z ułożoną przez Guido ciasną warstwą włosów przy samej głowie i zabrał się za odtwarzanie tego samego na peruce.



- Długo to zajmie? – zapytała Petronella.
- Parę minut – odparł. Powstrzymał się od dodania, że jest w stanie skopiować wszystko, co zrobi najlepszy stylistą Guido, i to dziesięć razy szybciej. Wszyscy wiedzieli, jaki jest dobry.
- Dzięki Bogu. Lola, ty cholero, gdzie briefingi?
- Proszę! – zaszlochała dziewczyna.
- Petronella przewertowała kartki.
- A, tak, już kojarzę, Jacob Bamberley...
- Woli, żeby do niego mówić „Jack”! – wciąła się Lola.
- Gdzieś mam, co on woli. W tym programie ja rządę. Terry, skarbenku, to jest gość, co wysłał do Afryki ten zatruty szajs. Wiesz, co ja mu każę zrobić? Każę mu na samym początku programu zjeść miseczkę tego gówna. I wrócimy do niego na koniec, żeby ludzie widzieli, co się z nim porobiło.
- Przechodząc do następnej teczki, dodała z namysłem:
- I zdecydowanie będę do niego mówić „Jacob”.

\* \* \*

Operację firmowało Globe Relief. Kiedy stało się jasne, że oskarżenia Kaiki nie są tylko propagandą, niemal wszyscy wpadli w panikę. Na nic zda się podkreślanie prawdziwego faktu, że Globe Relief jest największą organizacją pomocową na świecie i dlatego pierwsza dociera na miejsce każdej katastrofy. Wystarczyło, że pochodzi ze Stanów i jest finansowana przez Amerykanów, by nosiła piętno Wietnamu. Powołanie komisji śledczej ONZ było prawie pewne.

Podobnie i Departament Stanu bardzo jasno dał do zrozumienia, że jeśli Globe nie dostarczy natychmiast niepodważalnych kwitów na swoją obronę, zostanie rzucone wilkom na pożarcie. Czarne bojówki, chętnie wierzące w wieści o chemicznym ludobójstwie, już narobiły potwornych problemów.

Naturalnie, podjęto już wszelkie oczywiste kroki. Próbkę pozostałego w magazynach Nutriponu przeanalizowano i uznano za czyste.

Podejrzenia zwróciły się więc ku drożdżom i grzybom na hydroponicznej farmie: może jakiś szkodliwy gatunek, na przykład spokrewniony ze sporyszem, zakaził jedną partię produktu swoimi naturalnie psychodelicznymi toksynami? Pomogłoby zbadanie próbek z Noshri, lecz najwyraźniej wszystko zostało zjedzone albo spalone podczas zamieszek.

Rozpaczliwie szukając jakiegoś sposobu na odwrócenie uwagi, dyrektorowie Globe uświadomili sobie, że Jacob Bamberley właśnie jest w Nowym Jorku z comiesięczną wizytą w centrali Trustu, i dostrzegli zesłaną przez niebiosa szansę, by przerzucić odium gdzie indziej. Pociągnęli za kupę sznurków, bardzo mocno. Petronella Page Show miał co wieczór oglądalność sięgającą trzydziestu milionów; czasami, w poniedziałki, gdy ludzie po weekendowym szalonym wydawaniu pieniędzy zostawali w domach, zdarzało się i czterdzieści. Co więcej, wystąpienie w tym programie gwarantowało sporo późniejszego szumu w gazetach i czasopismach. A oni potrzebowali tego teraz, zaraz, natychmiast. „Po trzykroć zbrojny, kto w słuszną sprawę wierzy, lecz po czterokroć ten, kto wpierw uderzy”.

A poza tym, skoro wojna to piekło, pokój też.

\* \* \*

Tak oto znalazł się pod jaskrawymi studyjnymi reflektorami, z jednej strony mając Gerry'ego Thorne'a z Globe Relief, małego, zdenerwowanego, z tikiem w lewym policzku, a z drugiej Mosesa Greenbriara, głównego skarbnika Bamberley Trust, grubego i jowialnego, umiejącego odpowiedzieć na wszelkie pytania o finanse farmy hydroponicznej.

Terry i jego peruka zdziałały cuda. Mimo to Petronella, zajmując miejsce, wciąż była w parszywym nastroju. Rozpogodziła się odrobinę, gdy poszły pierwsze reklamy, program miał bowiem wspaniałych sponsorów i z niczego innego nie była tak dumna: delikatesy Puritan Health Supermarkets, auta „Hailey” – czy raczej agencja sprowadzająca je z Wielkiej Brytanii, gdzie kosztowały zbyt dużo, by się rozpowszechnić –

oraz firma Johnson & Johnson z jej maskami filtracyjnymi. Jednak i tak uśmiech, jaki rzuciła publiczności, był wymuszony.

– Cześć, świecie!

A oni, pamiętając, że są tutaj przekrojową reprezentacją gatunku „człowiek”, powtórzyli to jak echo.

– Tym razem mam dla was ludzi, o których ostatnio dużo się mówiło, a przewidujemy, że jutro też się będzie mówić. I to nie tylko u nas. Pół świata będzie mówić, na przykład Afryka.

A, dobra. Ianowi Farleyowi nie trzeba dwa razy powtarzać. Kamery, jak umówione, wycelowały w pana Bamberleya, ignorując ludzi po jego lewej i prawej. Mierzyły w niego jak lufy plutonu egzekucyjnego.

– Wszystkimi nami wstrząsnął ten wybuch... hmm... masowego szaleństwa, który wystąpił w Noshri tuż przed świętami. Już myśleliśmy, że to koniec tej okropnej wojny, a tu widzimy zdjęcia i dowiadujemy się o rozszalałych ludziach w amoku. Dosłownie. Słyszeliśmy nawet oskarżenia o... – ściszone głosem – ...kanibalizm ze strony głodujących ocalałych. Teraz pojawia się teza, że szaleństwo wśród tych ludzi spowodowała zatruta żywność. A konkretnie partia Nutriponu z farmy hydroponicznej Bamberleya, pod Denver w Kolorado...

Świetnie, Ian, świetnie!

Farley przez cały czas trzymał jedną kamerę tak, że prawie zaglądała Bamberleyowi w dziurki w nosie. Oczywiście nie szło to cały czas na wizję, przeskakiwał na obrazy publiczności i Petronelli. Ale Bamberley nie mógł tego wiedzieć. Wyraźnie bał się ruszyć i zerknąć na monitor, bo mógłby tam zobaczyć siebie.

Kochany Ian, tobie nie trzeba nic mówić!

\* \* \*

– Jacob! Czy mogę mówić do ciebie Jacob? – Z olśniewającym uśmiechem.

– Nie, przeważnie ludzie...

– O, na pewno. Każdy, kto jest tak sławnym dobroczyńcą jak ty, na pewno posiada całą rzeszę przyjaciół. – Głos słodki jak ulepek, odrobinę za bardzo przechylony ku sentymentalizmowi. – Więc słuchaj, Jacob, ten twój Nutripon, który zrobił ostatnio wiele szumu, z czego się dokładnie składa?

– To jest maniok, przetworzony w sposób bardzo przypominający produkcję sera...

– Maniok. Rozumiem. – Czas, by uśmiech przerodził się w lekko pochmurną minę. – Ja co prawda nie jestem ekspertem... – choć briefing był jak zawsze szczegółowy, a uczy się szybko – ...ale pamiętam, że maniok, jak się zdaje, jest dość niebezpieczną rośliną. Powoduje choroby oczu czy coś w tym rodzaju?

– Zapewne chodzi ci o maniokową ambyopię, czyli...

– Chorobę oczu?

Zauważyła, choć reklamożercy tego nie widzieli, bo nie pokazywała go kamera, że Gerry Thorne odruchowo dotknął oka. Jasne, niedawno miał zapalenie spojówek. A teraz wyciągnął ciemne okulary, żeby osłonić się przed jaskrawym światłem. Świetnie. Wyglądał w nich bardzo złowrogo. Ian, jak na zawołanie, cofnął kamerę i dał szeroki plan.

– Tak, ale widzi pani, Nutripon jest wzbogacony...

– Jeszcze moment! – Prompter wyświetlał to słowo; ona nie potrzebowała podpowiedzi, taki był w nim potencjał. – Jeszcze nie doszłam do sedna. Czy maniok zawiera cyjanek?

– Surowa łupina tak, ale nie po obróbce! – Bamberley zaczynał się pocić.

Petronella nie mogła się doczekać momentu, kiedy zacznie się jeszcze wiercić. Jego towarzysze już osiągnęli tę fazę.

– Twierdzisz, że dzięki obróbce w twojej fabryce jest bezpieczny?

– Absolutnie!

– A szczegóły tej obróbki to tajemnica czy wszyscy mogą je poznać?

– Ależ skąd, żadna tajemnica! Choć, jeśli chce pani poznać szczegóły techniczne, musi pani...

– Tak, tak, rozumiemy, że nie jest pan ekspertem od uprawy hydroponicznej. Bo to rośnie hydroponicznie, prawda?

– Prawda.

– To znaczy, że sztucznie, w piasku lub celulozie, w kontrolowanych warunkach, odżywiane środkami chemicznymi. Bo to oznacza słowo „hydroponicznie”, prawda? – Szpila za szpilą w uszy publiczności, świeżo osłuchanej z reklamą Puritana, podkreślającą rośliny hodowane na świeżym powietrzu, w naturalnej glebie.

– Tak... no, tak! – Pan Bamberley zaczynał się gubić.

Siedzący obok gruby Greenbriar zasygnalizował brwiami: „Daj mi głos, ja sobie poradzę!”.

No, nie ma mowy, kochany, nie ma mowy! Nie jesteśmy tu po to, żeby Globe Relief mogło się usprawiedliwić przed wszystkimi czarnuchami, którzy i tak sądzą, że ta twoja dobroczyzna firemka morduje ich afrykańskich kuzynów. Ani po to, żebyś mógł uniknąć gniewu udziałowców Bamberley Trust, którzy są wściekli, że to, co mogło trafić im do kieszeni, marnujesz na niewdzięcznych sukinsynów gdzieś za morzem. Nie, kochany. Nie po to tu jesteśmy!

A chcecie wiedzieć, po co? Zostańcie z nami!

\* \* \*

Znów się słodko uśmiechnęła.

– Rozumiemy oczywiście, że są powody, żeby ten maniok tak hodować. Czy to po to, żeby zmniejszyć zawartość cyjanku?

– Nie, absolutnie nie! Najważniejszy powód jest taki, że potrzebna nam roślina, która jest powszechnie akceptowana w krajach, którym najbardziej grozi głód, i właśnie maniok...

– Otóż to, wszystko, co wytworzycie, wysyłacie za granicę, prawda? – wtrąciła Petronella z chirurgiczną precyzją.

Oddech, którego nabrał na kolejne zdanie, trzeba było teraz przeznaczyć na coś innego.

– No, tak, wszystko, co produkujemy, idzie na pomoc humanitarną.

– I to nie przynosi zysków? – zapytała Petronella, dobrze znając oficjalną odpowiedź. – Jesteś w końcu jednym z najbogatszych ludzi na świecie; według ostatniego rocznego raportu Bamberley Trust posiada aktywa

przekraczające pół miliarda dolarów. Czy na tej pomocy humanitarnej nic nie zarabiasz?

– Absolutnie nic! W najlepszym razie udaje nam się pokryć koszty. Hydroponiczna farma absolutnie nie musi przynosić zysków.

– A dlaczego?

\* \* \*

Pytanie zawisło w powietrzu jak ciśnięty nóż. Pan Bamberley zamrugał.

– Słucham?

– Pytałam: dlaczego nie? Wszystkie twoje pozostałe firmy muszą przynosić zyski, inaczej się ich pozbywasz. Na przykład w zeszłym roku pozbyłeś się sieci supermarketów w Tennessee, które od dwóch lat nie wykazały zysków, i sprzedałeś wszystkie udziały w liniach lotniczych. Więc?

– No... – Pan Bamberley zrobił dokładnie to, na co liczyła, a Thorne i Greenbriar modlili się, żeby nie zrobił: wyciągnął z kieszeni chusteczkę i otarł czoło. Pod lampami było bardzo gorąco. Celowo. – Ja uważam to za... dobroczynne przedsięwzięcie. Sposób na pomoc innym ludziom, skoro mi... skoro mnie się poszczęściło.

– I chyba to nie jest jedyny sposób, jak rozumiem – mruknęła Petronella.

– Nie, oczywiście, że nie. Ja wierzę... jestem chrześcijaninem i wszyscy chrześcijanie powinni wierzyć... że jesteśmy dziećmi Boga, uczynionymi na jego obraz i podobieństwo, i żaden człowiek nie jest sam dla siebie! – Potwornie zażenowany, jak każdy, kto musi się przyznać do religii przed milionami anonimowych widzów. Ale szczerzy. O tak, boleśnie szczerzy.

– Właśnie, słyszałam, że otaczasz się chłopcami-sierotami. Obecnie ośmiorgiem.

– Ma pani na myśli moich adoptowanych synów. Tak. Wysłać pomoc do dalekich krajów to jedno, prawda? A zapraszać do własnego domu potrzebujących to zupełnie inna kwestia. – Mrugał przy każdym słowie, mrug-mrug.

Ian w swoim akwarium zamachał rękoma we wściekłym geście: nie podkreślaj tak tego pedalskiego wątku. A, chrzanić go. Wierzące Południe kładzie się wcześniej spać, może to ostatnia okazja, żeby ich złapać.

– Ostatnio w naszym programie dużo rozmawialiśmy o adopcji, głównie przez sukces programu Podwójne V. Czy ty też wspomagasz Podwójne V?

– Eee... Tak właściwie to nie, bo mamy jeszcze wiele potrzebujących sierot we własnym kraju. Co gorsza, zdarzają się i dzieci porzucone przez rodziców.

– No tak, to niepokojący problem, prawda? Miesiąc temu mieliśmy w programie pracownicę społeczną, która dokładnie o tym problemie wspominała, i skojarzyła to z gangami czarnych dzieci terroryzującymi centra naszych miast. Powiedziała, że tysiące z nich mają tak samo straszny los, jak te adoptowane azjatyckie dzieciaki. Ale z twoich... hmm... synów żaden nie jest czarny, prawda?

Martwa cisza. Wystarczająco długa, żeby kwestia się zaogniła. Wtedy podjęła pojednawczym tonem:

– No cóż, Jacob, to i tak jest dygresja. Twoje prywatne życie to twoja prywatna sprawa, może zresztą biały protestant ma prawo preferować białych protestanckich chłopców. – Gotuj się, kurwo, gotuj! – Wracajmy więc do głównego tematu naszej dyskusji.

Było to jedno z jej ulubionych słów. Co bardziej wygadany gościom udawało się czasem podrzucić bardziej adekwatny termin: „przesłuchanie”, lecz dziś była u szczytu formy – choć Thorne był błądy i roztrzęsiony, a Greenbriar prawie skakał pod sufit ze złości, żadnemu nie przyszło do głowy jej przerwać. Może jednak nie będzie trzeba pozywać Guido? Szczęście w nieszczęściu i tak dalej.

– No więc, co masz do powiedzenia na oskarżenie, że żywność, którą wysłałeś do Noshri, była zatruta?

– Bóg mi świadkiem, że Nutripon jest pożywny i smaczny! – Pan Bamberley usiadł bardzo prosto i wysunął podbródek, jakby chciał wyglądać na Winstona Churchilla.

– Miło mi to słyszeć. Ale czy byłeś osobiście w Noshri, żeby zbadać sprawę, albo był tam któryś z twoich pracowników? – Naturalnie, że nie;

Kaika wyrzucił z kraju amerykańskie agencje pomocy i zerwał kontakty dyplomatyczne.

– Eee... – Pan Bamberley już się trząsał, wystarczająco mocno, żeby pokazały to kamery. – Po prostu nie było takiej możliwości, ale nasza kontrola jakości spełnia najwyższe standardy, produkt jest kontrolowany na każdym etapie produkcji!

– Czyli wspomniana partia musiała zostać zatruta po wyjściu z fabryki?

– W ogóle nie przyznaję, że została zatruta!

Mam go. Sam powiedział to słowo. Efekt wywarty na Thornie i Greenbriarze był piorunujący. Reklamodawcy też musieli to dostrzec; Ian cofnął więc kamery. Dobroczyńca wciśnięty między dwóch złodziei – wszyscy, ale to wszyscy wiedzieli to o tych dwóch: rezydencje, luksusowe auta, prywatne samoloty...

– To nieważne. My – podkreślenie, że to „my” wszyscy, w imieniu których mówię – chcielibyśmy teraz przeprowadzić drobny własny eksperyment, który oczywiście nie będzie naukowo ścisły, ale może coś wykazać...

Kamera 1 zrobiła zbliżenie. Przemówiła do niej konfidencjonalnie:

– Dziś po południu wysłaliśmy kogoś z naszej ekipy na lotnisko Kennedy’ego, gdzie do wycarterowanego samolotu ładowano właśnie dostawę twojego przetworzonego manioku. Kupiliśmy jedno pudełko. – Nie „karton”, niech kojarzy się z płatkami śniadaniowymi. – Zapłaciliśmy tyle, ile było na liście przewozowym, osiemdziesiąt trzy dolary, proszę się nie niepokoić, że komuś zabraknie! Zastąpiliśmy to jedzeniem o porównywalnej wartości, mlekiem i jajkami w proszku, torbami z mąką. Potem przywieźliśmy to tutaj, zastosowaliśmy się dokładnie do instrukcji na opakowaniu i... proszę, oto wynik. Lola?

Lola uspokoiła się po ataku płaczu przed programem – weszła uśmiechnięta na scenę, z tacą, na której miała dużą, lekko parującą miskę, łyżkę i widelec oraz stojak z przyprawami. Szklankę z wodą pan Bamberley już miał przed sobą.

– Jacob, to jest losowa próbka żywności z twojej pomocy humanitarnej. Czy możesz przy nas to zjeść?



– Oczywiście! – Przesunął palcem za kołnierzykiem... ale co innego mógłby powiedzieć? – Co prawda...

– Tak?

Miał zamiar powiedzieć o bardzo obfitej kolacji. Ale nie mógł się do tego przyznać, nie teraz, kiedy tematem rozmowy było nakarmienie milionów głodujących ludzi. (Niemał dało się słyszeć, jak w całym kraju ludzie mówią: „Osiemdziesiąt trzy dolary? Za tę papkę?”). Wybrnął kompromisowo:

– Przed przyjściem do studia zjadłem kolację, więc apetytu specjalnego nie mam, ale chętnie udowodnię, że mój Nutripon jest stuprocentowo bezpieczny!

Thorne i Greenbriar zrobili przerażone miny, szczególnie ten drugi żałował, że tak porządnie nakarmił swojego zwierzchnika. Co, jeśli się teraz rozchoruje, i to nie przez Nutripon, ale przez te bakłażany w oliwie albo homara? Owoce morza są teraz takie ryzykowne, nawet jeśli mają certyfikat FDA...

– Grzeczny Jacob! – pochwaliła go ironicznie Petronella. – Patrzcie państwo: patrzcie i zapamiętajcie: oto jeden z najbogatszych ludzi w tym bogatym kraju zjada coś, co wysyłamy do nękanym głodem dalekich krajów. Pod koniec programu wrócimy jeszcze do Jacoba i zapytamy, jak mu smakowała ta niespodziewana przekąska.

Nie mogła się oprzeć, żeby nie zatrzeć rąk – pod stołem, poza zasięgiem kamer.

\* \* \*

Ale...

– Co, kurna? – odezwała się bardzo cicho do mikrofonu w prawym oparciu przypominającego tron fotela, zarezerwowanego do sytuacji awaryjnych i nagłych.

Ian coś sygnalizował gorączkowo z akwarium, nagle jego głos dobiegł z głośnika pod okienkiem.

– Panie i panowie, niestety, musimy przerwać program. Proszę udać się spokojnie do wyjść ewakuacyjnych. Otrzymaliśmy informację, że w budynku znajduje się bomba. To na pewno tylko głupi kawał, ale...

Zaczęli wrzeszczeć.

Wybuchła panika.

Rzucili się jak oszalałe zwierzęta do drzwi. Jedne wyleciały z zawiasów i padając, uderzyły dziewczynę w twarz. Tłum odepchnął ją na bok, aż się przewróciła; podeptali ją, stratowali, połamali jej żebra, nos, zmiażdżyli lewą dłoń na siną miazgę.

Ale się wydostali, a tylko na tym im zależało.

\* \* \*

– Ta bomba była przeznaczona dla pana – powiedział Ian Farley, gdy pan Bamberley, Petronella i członkowie ekipy wychodzili zakulisowymi drzwiami na ulicę.

– Co takiego? – Był bielszy niż ten jego Nutripon, biały jak surowe ciasto.

– A tak. Ktoś zadzwonił, powiedział, że jest czarny, że jest krewnym tych ludzi, których pan truje w Afryce, i to jest zemsta w ich imieniu.

lutu

## POCHWAŁA BIOCYDÓW

*Spotkał tam łowca wielkiego: ryby, zwierza i ptactwa,  
Łowiec Króla powitał, władcę ziem bogactwa.  
W knieję się tedy udali, wraz z nimi Król dobry,  
Zaraz chyże ustrzelili jelenie i bobry,  
Ptactwo, zwierz przed łowcem na próżno umykał,  
Bo uciekając, strzałę napotykał,  
I padał rażon strzałą.  
A łupów było tyle, że się zliczyć nie dało.  
Jako to:  
Lisy rude i dzikie leżą ciężko ranione,  
Gołębie i kawki prosto w serce trafione,  
Śmigłe ptaki na ziem padłe ze strzałą w ogonie,  
A groźnych bestyj wiele gwiazd na nieboskłonie.  
Potem w wodę spojrzeli: żaby, węże się biło,  
Dla ślimaków, ropuchów takż łaski nie było.  
Poczem z łupem wszelakim do grodu wrócili,  
Na dni czternast a nocy ucztę wyprawili.  
Tak to Sasi polują, tak to mieczem władają,  
Niechaj nieprzyjacioły w pamięci to mają.*

„Z Kroniki wielkiego pochodu Króla Pana Naszego przez jego Wschodnie  
Posiadłości zeszłego lata”, r. 938 (tekst zniekształcony, wg kopii  
sporządzonej przez XI-wiecznego skrybę).

## TO BOLI MNIE BARDZIEJ

Wczoraj Phelan Murphy milczał, choć serce mu się krajało, gdy przedstawiciel władz klócił się z doktorem Advowsonem o kwestię bydła. Było bardzo zimno; trwała najostrzejsza i najdłuższa zima od lat. Pastwiska były w opłakanym stanie. Niektóre od listopada wciąż leżały pod śniegiem, a te wolne od śniegu były oczywiście wyjałowione od zbyt intensywnego wypasu. Aby utrzymać trzodę przy życiu, musiał kupować bele siana i rozrzucać je po polach. Kosztowało to masę pieniędzy, bo zeszłego lata ziemia też kiepsko rodziła. Niektórzy mówili – pisał tak nawet „The Independent” – że przyczyną był dym z fabryk przy lotnisku Shannon.

Ale facet z władz powiedział, że nic mu o tym nie wiadomo.

\* \* \*

A dzisiaj wrócił. Z żołnierzami. Zabronili organizowania targu na Balpenny. Przywieźli wielkie tablice z napisem LIMISTEAR CORAINTIN[2] i poustawiali je wzdłuż drogi. Przez noc padły kolejne krowy – wydęte brzuchy, krew ciekąca z pysków i nozdrzy, zamarznęte kleksy krwi pod ogonami. Dzieci przed pójściem do szkoły musiały wchodzić w kaloszach do kuwet z mlecznobiałym środkiem odkażającym. Tym samym środkiem spryskiwano opony autobusu.

Żołnierze wzięli szpadle, oskardy, i zaczęli kopać w zamarznętej ziemi. Przynieśli też worki wapna. Krowy zbyt słabe, by odejść, pozwalały przyłożyć sobie do głowy miłosierny pistolet z bolcem. Łup. Minutę później kolejne „łup”. I kolejne.

Bridie prawie całą noc przepłakała, a dzieci – nie wiedząc dlaczego – naśladowały ją.

– Cholerni idioci! – powtarzał w kółko pod nosem doktor Advowson, przeżuując wygasłą fajkę u boku Phelana. – Robiłem, co mogłem, żeby ich powstrzymać, ale ci cholerni kretyni!

– Wypłacimy rekompensaty – powiedział facet z władz, wpisując do długiego formularza dane zabijanych zwierząt.

Potem żołnierze powlekli padlinę do dołów.

## NIEUSTAJĄCA DEBATA

*...udał się dziś rano do Hondurasu. Zapytany o tę decyzję tuż przed swoim bankietem urodzinowym i spotkaniem rodzinnym, na którym miał wygłosić przemówienie o zagranicznej pomocy humanitarnej, Prexy powiedział, cytując: „Niech ci Tupasowie zrozumieją, że jak się kęsa dłoń, co cię karmi, można zarobić pięścią w zęby”. Koniec cytatu. Nasila się presja na powołanie oenzetowskiej komisji śledczej w sprawie tragedii w Noshri. Jeśli nie zostanie powołana natychmiast, trainiści i czarne bojówki grożą atakami na kolejne samoloty z pomocą humanitarną, według licznych anonimowych listów i telefonów do naszych studiów. Są jednak nadzieje, że problem uda się rozwiązać bez takich kroków. Dziś rano w Paryżu, znany uczoney doktor Louis-Marie Duval, badający grupę ocalałych...*

## STRZELAĆ BEZ ROZKAZU

– Nie, Peg, to na nic – powiedział Mel Torrance i kichnął potężnie.

Spojrzała na niego z urażoną miną: wiedziała, że to widać, sama siebie nie cierpiała za to, że to okazuje, ale nie była w stanie tego ukryć. Wyciągnął brudnopis, który mu dała; kiedy nie sięgnęła po niego, puścił kartki. Zsunęły się po krawędzi biurka i opadły na podłogę jak zmęczony, brudny ptak.

– Potąd mam twojej obsesji na punkcie tego syfiarza Jonesa! Zginął w grudniu! Są dowody, że był nawalony, kiedy to się stało. Nie będę poświęcać miejsca na twoje durne fantazjowanie, że go otruto!

– Ale...

Nie dał jej dojść do słowa.

– Słuchasz czy nie? Ten Jones był trainistą, tak? A ci trainiści robią się coraz bardziej upierdliwi! Blokują ruch, mażą firmom po witrynach, sabotują, nawet do morderstwa się posunęli...

– Bzdura!

– A ten facet w San Francisco, w zeszłym roku jesienią?

– Zastrzelił bezbronną dziewczynę! – Peg cała dygotała.

– Zmarł od oparzeń kwasem, tak? Co, mówisz, że te palanty mają prawo same wymierzać sprawiedliwość? Co to, bojówka jakaś? Linczownicy?

– Ja...

– Tak, tak, tak! – Mel parł dalej. – Wszyscy trainiści, co do jednego, to potencjalna groźba linczu! W dupie mam, jakie motywy podają – oceniam po owocach. A widzę, że nic, tylko niszczą, burzą, a kiedy się ich zepchnie pod ścianę, mordują.

– Prawdziwi mordercy to ci, którzy niszczą świat, żeby się dorobić, trują nas, zasypują śmieciami!

– Peg, czy ty jesteś trainistką?

Cofnęła się i przesunęła dłonią przed twarzą.

– No... chyba trochę sympatyzuję – powiedziała w końcu. – Bo widzisz, w L.A. nie ma innego wyjścia. Plaże zatrute ropą i ściekami, powietrze takie, że bez maski nie wychodź, woda w zlewie śmierdzi chlorem... – Pod czołem znów zaczynało pulsować, zatoki dawały się we znaki.

– Oczywiście jest w tym trochę prawdy. U nas w domu na Sherman Oaks w zeszłym roku padła połowa kwiatów, bo skądś zawiało defoliantami, nawet kompostu z resztek nie dało się zrobić. Prawda, raj to tu nie jest. Ale to nie znaczy, że od razu piekło, nie? A trainiści urządzają tu piekło. Nie proponują niczego lepszego niż to, co już mamy. Przecież, gdyby tak było, to od razu bym się zapisał, podobnie jak wszyscy inni. Ale oni po prostu niszczą i zostawiają zgliszcza.

Znów kichnął, zaklął i chwycił stojący w rogu biurka inhalator. Peg, czując się bezradna, powiedziała:

– Nie rozumiesz, do czego oni dążą. Jakbyś poznał Decimusa, to może byś...

– Słyszałem o tym twoim Decimucie wszystko co trzeba i co nie trzeba – warknął Mel. – Peg, ostatnia szansa. Schodzisz z tego swojego konika i przynosisz tak dobre teksty jak kiedyś, albo odchodzisz.

– Odchodzę.

– No i świetnie. Do widzenia. Dopilnuję, żeby księgowość i tak ci za ten miesiąc wypłaciła. A teraz pozbieraj mi te śmieci z podłogi i spakuj się. Jestem zajęty.

\* \* \*

Na zewnątrz, z fotela wstała ładna, kolorowa dziewczyna. Powiedziała:

– Czy Peg Mankiewicz? Jestem Felice Jones... ojej, co się stało?

– Zwolnili mnie – powiedziała kwaśno Peg.

– Nieprawda! – krzyk z gabinetu Mela. – Słyszałem! Sama się zwolniłaś!

## NATURALNY WYGLĄD

*Czy wczytywałaś się kiedyś w drobny druk na opakowaniu od kosmetyków?*

*Próbowałaś wymówić te wykręcające język słowa? Kiedykolwiek stwierdziłaś, że nie możesz skupić się na zabawie – czy na randce z bardzo szczególnym mężczyzną – bo zastanawiasz się, czym są te skomplikowane substancje chemiczne?*

*To, co znajdziesz w MAYA PURA, zawsze wymówisz z łatwością.*

*Spróbuj teraz. Powiedz „naturalne”. Powiedz „płatki kwiatów”. Powiedz „olejki ziołowe”.*

*Widzisz?*

*Otóż to. A skoro ty to zauważysz, inni ludzie też zauważą.*



## OPĘTANIE, 9/10

– Retro me, Satanas! – wrzasnął ksiądz; wychudzony, nieogolony, sutanna brudna od błota i zaschniętej krwi. Uniósł krucyfiks przeciwko nadjeżdżającemu jeepowi.

Za nim stali w linii ludzie z wioski, przerażeni, ale zdeterminowani, wielu uzbrojonych w staroświeckie karabiny, a reszta w co podeszło – siekiery, maczety, noże.

Z jepea wysiadło na dwie strony dwóch mężczyzn. Jeden nazywał się Irving S. Hannigan; przyjechał z Waszyngtonu, żeby zbadać sprawę śmierci Leonarda Rossa. Nie zachwycało go to zadanie: przypominało łapanie dymu w garść, bo każdy, kto mógł coś wiedzieć, w trakcie pytań jakby tracił kontakt z rzeczywistością i zaczynał bełkotać coś o aniołach i Niebieskiej Królowej.

Drugim był major José Concepción Madariaga de Crizo García, najmłodszy syn jednego z największych posiadaczy ziemskich w kraju, od kołyski wychowany, by żądać od pospólstwa natychmiastowego posłuszeństwa.

– Odsuń się, durny staruchu! – wychrypiał. – Szybko!

Ksiądz ani drgnął, wbił tylko w niego obłąkane spojrzenie przekrwionych oczu. Major, wyczuwając coś niespodziewanego, zerknął na Amerykanina. Ten cały Hannigan podobno jest jakimś detektywem, szpiegiem, a w każdym razie agentem rządowym i może mieć ów „kontakt z ludem”, którego brak oficerom i arystokratom.

– Dla mnie oni nie wyglądają na grupę Tupasów – szepnął Hannigan. – Spróbujmy powiedzieć im, że mamy żywność.

Może i tak, pomyślał major. Z Tupamaros był właśnie taki problem: zawsze wyglądali na kogoś innego – na parkingowego, na kucharza, na sprzedawcę w sklepie – do momentu kryzysu. Pomysł był jednak dobry – motłoch zawsze interesuje się głównie własnym żołądkiem. Powiedział uspokajającym tonem:

– Ojczy, przyszlismy z pomocą. Rząd kazał nam przywieźć żywność i lekarstwa.

– Już mieliśmy taką pomoc – burknął ksiądz. Wyglądał i brzmiał, jakby nie spał od miesiąca. – A wodę święconą z Watykanu przywieźliście?

– Co takiego?

– A święte relikwie do odstraszania diabłów?

Major, zbity z tropu, pokręcił głową.

– Oni sami są agentami diabła! – wykrzyknął tęgi mężczyzna, stojący w tylnej linii ze strzelbą. Teraz przepchnął się na przód, stanął obok księdza.

– W całym mieście pełno złych duchów! – zawołał. – Opętani mężczyźni, kobiety, nawet dzieci! Widzieliśmy jak demony przechodzą przez ściany, wchodzą nam do domów, nawet do kościoła się wdarli!

– Prawda! – dodał ksiądz i mocno ścisnął swój krzyż.

– Powariowali wszyscy – mruknął major. – Albo udają! Zobaczymy, jak im się spodoba parę strzałów nad głową!

Hannigan łypnął spode łba.

– Jeśli powariowali, to nic nie da. A jeśli nie, to więcej się dowiemy, jak się z nimi spróbujemy dogadać. Jeszcze raz.

Major z westchnieniem, ale boleśnie świadomy, kto tu dowodzi, zwrócił się z powrotem do księdza, który nagle splunął mu pod nogi.

– Nie chcemy mieć z wami nic wspólnego – rzekł. – I waszymi zagranicznymi władzami. Idźcie do biskupa, może znajdzie chwilę, gdy oderwie się od swoich kochanek. Idźcie do kardynała, może przerwie na moment napychanie brzucha. Powiedzcie im, że w naszej ubogiej wsi mamy plagę diabłów. Przywieźcie pomoc w egzorcyzmach. A tymczasem wiemy, co mamy robić. Będziemy pościć i modlić się!

– Tak jest! – powtórzyli chórem mieszkańcy.

– No tak, ale wy pościecie – wtrącił Hannigan całkiem znośnym hiszpańskim – a wasze dzieci poumierają z głodu, tak?

– Lepiej umrzeć z głodu niż żyć jako opętany pacholek Szatana! – wychrypiął tęgi mężczyzna. – Woda święcona z Rzymu, tego nam potrzeba! Weźcie te wasze samoloty i przywieźcie!

– Mógłby ksiądz poświęcić jedzenie, które przywieźliśmy – nalegał Hannigan. – Pokropić wodą z waszej chrzcielnicy...

– Tu jest klątwa! – wybuchnął ksiądz. – Nasza święcona woda nie działa! Nastaly czasy przyjścia Antychrysta!

Rozległ się strzał. Hannigan i major odruchowo padli na ziemię. Nad ich głowami żołnierze z jeepów odpowiedzieli seryjnym ogniem. Ksiądz i wierni padli jak zboże pod kosą.

Ewidentnie musieli jednak być Tupasami.

## STAWIAM NA OPÓR

Philip Mason trzeci raz przyszedł do ponurej poczekalni przychodni na Market Street, ozdobionej jedynie ostrzegawczymi plakatami. Ale pierwszy raz było tu tak pusto: wcześniej zastawał w poczekalni tłumy młodych ludzi. Dzisiaj siedział tylko jeden pacjent, i w dodatku nie był nasto- czy dwudziestolatkiem, a dobrze po trzydziestce, elegancko ubrany, wyraźnie dobrze odżywiony i ogólnie wyglądający na tę samą grupę społeczną, co Philip.

Zanim zdążył schronić się, jak zwykle, za wystrzępionymi starymi numerami „Scientific American” i „The National Geographic”, nieznajomy zerknął na niego i uśmiechnął się szeroko. Był ciemnowłosy, gładko ogolony, oczy piwne, ogólnie niezwracający uwagi, jeśli nie liczyć dwóch rzeczy – tej rzadkiej tutaj zamożności oraz niedużej, okrągłej blizny na wierzchu lewej dłoni. Ślad po kuli?

– Dzień dobry – powiedział dokładnie takim beznamiętnym tonem, jaki Philip zawsze chciał mieć na zawołanie, ale nie umiał. Walił się na niego cały świat. Denise obraziła się na zawsze. A lawina w Towerhill produkowała tyle wniosków o odszkodowanie, że od tygodnia nie odważył się ich podsumować. I jeszcze...

No, ten sukinkot Clayford! Niestety, pozbawienie go honorariów za badania do polis na życie było tylko pyrrusowym zwycięstwem.

Zanurkował pod osłonę pisma, które już przeczytał.

\* \* \*

Po dłuższej chwili wyczytano jego numerki i udał się na ten sam, co zwykle, upokarzający zabieg – masaż odbytu palcem w sterylnej rękawiczce, kropelka wydzieliny z prostaty rozmazana na szkiełku. Przez ostatnie dni było lepiej, ale dzisiaj z rana znowu gorzej, a Dennie...

Przestań. Był w gabinecie doktora McNeila, lekarza młodego, młodzieńczego, nieuprzedzonego. Zdażył go już polubić – gość miał na biurku śmieszny laleczkę szkockiego dudziarza. Za pierwszym razem przyszedł do niego prawie niezdolny wydobyć słowa, a McNeil w parę minut wszystko z niego wyciągnął, przekonawszy go – przynajmniej dopóki był w gabinecie – że to nic szczególnego, że zdarza się każdemu i łatwo da się temu zaradzić. Choć oczywiście nie jest to w żadnym razie problem, który można zlekceważyć.

– I jak się pan czuje? – zapytał lekarz, biorąc przyniesioną przez Philipa teczkę i wyciągając z niej dzisiejsze wyniki, aby dołożyć je do swojej teczki, podpisanej „Mason Philip A. 605-193”.

Philip powiedział mu.

– Rozumiem. – Doktor zagryzł dolną wargę. – No cóż, należało się tego spodziewać. Ten szczep gono, którym się pan zakaził – zawsze mówił „gono”, nigdy „rzeżączka” – wygląda na lekoodporny.

– Jezus. Czyli nic to nie dało?

– Nie. Jeszcze nie. Tak wychodzi z wyników. – Z hukiem zamknął teczkę, upamiętniając kolejny etap katastrofy. – Na szczęście nie ma śladu syfilisu, a to dobrze, bo te krętki to dopiero są ciężkie do wyplenienia. No! Głowa do góry! Na koniec świata to nie wygląda! – Zachichotał, odchylił się w fotelu. – Niestety, taki problem, jak pan ma, pojawia się coraz częściej. Maniakiem zdrowej żywności to pan nie jest, co?

– Eee... no, nie za bardzo – mruknął Philip. – Ale w Puritanie sporo kupujemy. – Co to ma, do cholery, wspólnego z jego tryniem?

– Tak właśnie myślałem. Jakby pan był, to może udałoby się wykpić. Bo to wygląda tak: zaraża się pan czymś drobnym, co nie wymaga leczenia, wszystko jedno, zanokcica, chore gardło, cokolwiek... a jednocześnie w jedzeniu ciągle pan dostaje śladowe ilości antybiotyków, szczególnie w kurczakach, ale i wołowina, i wieprzowina tak samo. Tego jest w sam raz tyle, żeby z milionów bakterii w pana ciele selekcjonować te lekooporne. I potem, jak próbujemy coś z nimi zrobić antybiotykami, one nam grają na nosie. Pan rozumie?

Philip kiwnął machinalnie głową, myśląc o Denise i dzieciach.

– No ale nie ma się czym przejmować – podjął McNeil, znów otwierając teczkę. – Na razie wygrywamy w tej grze, a mamy jeszcze w zanadru ze dwie, trzy sztuczki.

– A moja żona? – szepnął Philip.

– Jednak, sądząc po tym tutaj – McNeil jakby nie usłyszał – najpierw trzeba by zrobić trochę badań przesiewowych. Może pan przyjść jutro? Chciałbym spojrzeć na te kultury dokładniej. Jest ryzyko, że trzeba będzie przejść na zastrzyki. Ale proszę się nie obawiać, poradzimy sobie z tym cholerstwem. – Tu jakby przypomniał sobie, że mu przerywano. – A, no tak, pana żona. To ona... ten... dalej nie wie?

– Nie – wyznał ponuro Philip. – Dopilnowałem, żeby wzięła tę penicylinę, jasne, ale powiedziałem, że to jest na zapalenie wątroby, którym się zaraziłem. Dopytywała się, czemu nie wzięłem nic dla dzieciaków, ale jakoś się wykręciłem. Ale dzisiaj Josie, córka, źle się w nocy czuła, więc...

– Mówiąc otwarcie: za cholere nie ma pan szans, żeby to przed nią ukryć – powiedział sucho McNeil. – Ostrzegałem pana, że to się wszystko posypie. No dobra, to może ograniczmy te straty. Wyślę diagnozę i wyniki do pańskiego lekarza, i...

– To Clayford – mruknął udręczonym tonem Philip.

– Szlag. – McNeil zagryzł wargę. – Zapomniałem. Nadęty, świętojeblivy pozer, tak? Choroby wenerycznej nie tknie, jak ksiądz, co nie odwiedzi czarownicy w pierdlu! – Otrząsnął się teatralnie. – No cóż, w tym przypadku... To pewnie trochę nieetyczne, ale ja uważam, że to nic złego,

chronić ludzi przed wstydem. Jeśli pan chce, mogę pana razem z żoną przyjąć prywatnie. Bo ja tutaj jestem tylko na część etatu. Dla zasady. Takie wychowanie. Bo ja studiowałem w Anglii.

Philip kiwnął głową. Zauważył u niego liczne typowo angielskie zwroty, choć akcent McNeila był czysto amerykański.

– A co pana tu ściągnęło?

– Nie były to niedostatki brytyjskiej państwowej służby zdrowia, jak automatycznie zakłada większość ludzi. – McNeil zachichotał. – Może i jest niepozbita, ale tutaj połowa lekarzy, no, na przykład ten Clayford, obraża się, gdy ktoś śmie zachorować po godzinach. A niech pan w Anglii spróbuje odmówić wieczorem wizyty domowej. Można stracić prawo wykonywania zawodu... Nie, moja matka się tutaj urodziła, a kiedy zmarł ojciec, postanowiła wrócić do rodzinnego miasta. I ja, gdy skończyłem dwadzieścia sześć lat, przyjechałem do niej.

A czemu... No tak, oczywiście. Pobór.

McNeil klepnął dłonią w biurko i wstał.

– Proszę się zastanowić. Z pana żoną będę oczywiście rozmawiać jak najdelikatniej. Ale, niestety, musi pan postawić sprawę otwarcie. Dziękuję.

\* \* \*

– Złe wieści? – rozległ się głos za plecami schodzącego po schodach Philipa. Przychodnia mieściła się nad sklepem sprzedającym sprzęt sportowy i szmerane skórzane akcesoria.

– Co takiego? – Philip się obejrzał. To był ten facet z poczekalni.

– Pytałem: złe wieści? Widać po pana przygarbieniu.

– A panu co do tego?! – warknął Philip.

– Nic do tego. Sam się słabo czuję. Walnęlibyśmy po drinku?

– Idź pan w cholerę!

– Już poszedłem. – Obcy nagle spowaźniał. – A pan? Cholera, mam trzydzieści siedem lat i w życiu się nie zaraziłem, myślałem, że teraz to nic takiego, pryszcz, jak drobne przeziębienie. – Brzmiał, jakby właśnie był

przeziębiony, „n” wymawiał jak „d”, jakby miał zatknięty nos. – Pieprzony zarazek jest lekooporny. Ciągnie się już cztery miesiące.

– Cztery miesiące! – Philip przeraził się, wyobrażając sobie, jak jemu ciągnąłby się taki wyrok.

– Teraz dają mi dziennie sześć milionów jednostek jakiegoś nowego cudownego syfu. Zastrzyki w dupę. Pali jak żywy ogień, ale zaczęło mi się poprawiać. To jak z tym drinkiem?

Philip zawahał się.

– Jestem Alan Prosser – powiedział nieznajomy. – Prosser Enterprises. Armatura wodociągowa, kanalizacyjna, utylizacja śmieci, tego typu szajs.

– Jezus! – Philip zamrugał. – W naszym poprzednim domu montowaliśmy sprzęty od pana. Pamiętam. Ale pana nie. – Zmarszczył czoło. – Człowiek się nazywał...

– Bud Burkhardt?

– Właśnie! Pana wspólnik?

– Były wspólnik. – Skrzywił się. – Sukinkot wycofał się i odszedł. Pojechał do Towerhill, szefować w nowym Puritanie... Pan powiedział „w naszym”?

– Tak.

– Czyli jest pan żonaty, nie? To może nie powinienem gadać o moich problemach!

– A pan nie?

– Byłem. – Twarz Prossera nagle napięła się i pobruździła, jakby między słowami minęło dziesięć lat. Uniósł lewą dłoń i pokazał jej wnętrze. W środku też miał okrągłe znamię, odpowiadające bliźnie na wierzchu dłoni. Przypominało piętno. – Kula. Ta sama, po której mam ten ślad. Zabłąkaliśmy się na sam skraj demonstracji trainistów i jakiś nerwowy gość z Gwardii Narodowej... Zresztą, kurna, to było sto lat temu. Na szczęście Belle nie mogła mieć dzieci. To jak z tym drinkiem?

– No dobra. Zgoda. Ale tylko na jednego. Bo podobno szkodzi na... ten... na tę przypadłość.

– A huk z tym. Za to nienapicie się szkodzi na umysł.

## NIEODZOWNI POMOCNICY

Meksykańskie pszczoły, I gat., \$165,95/galon!  
Europejskie pszczoły, I gat., tylko \$220/galon!  
Najlepsze irlandzkie dżdżownice – \$67,50/litr!  
Gwarantowana dostawa żywych!  
Plant Fertility Corp., San Clemente, Kalifornia.  
(Koncesja od Stanowej Komisji ds. Rolnictwa).

## ODEJŚCIE OD ZMYSŁÓW

Po okropnym, zbiorowym bożonarodzeniowym szaleństwie w Noshri, Lucy Ramage jeszcze przez jakiś czas udawało się funkcjonować razem z członkami pierwszej delegacji Globe Relief i ekipami ONZ, które uniknęły deportacji. Sytuacja wyglądała tak, jakby trudy ostatnich czterech miesięcy ktoś stał z tablicy machnięciem mokrej szmaty. Było wręcz gorzej niż przedtem.

Kiedy przyjechała, ludzie dobrowolnie wychodzili z kryjówek – walących się szop, wraków samochodów, autobusów, jam w ziemi – żeby prosić o jedzenie i pierwszą pomoc.

Teraz kryli się, chowali i patrzyli na świat z obłąkańczą podejrzliwością, błyskając białkami wytrzeszczonych oczu. Żeby przekonać kogoś do wzięcia żywności, trzeba było samemu przełknąć kęs; ranę przeważnie pozwalali zabandażować, ale na przyjęcie tabletek czy smarowanie maścią nie dało się namówić nikogo. Wszyscy byli jednomyślni w kwestii tego, co się z nimi stało – padli ofiarą przerażających czarów.

Niektórzy, na oko, wpadli w całkowity obłąd. Do końca życia będą snuć się, pojękując, wybuchać płaczem bez powodu, albo wrzeszczeć do zdarcia gardła na widok nieszkodliwego owada.

W Noshri bowiem znów pojawiły się owady. Podczas wojny całkiem zniknęły.



Zaraz po najgorszych zdarzeniach Lucy przesłuchiwali nieprzyjemni wojskowi urzędnicy, chcący ustalić przyczynę zaburzeń. Nie mogąc się doczekać powrotu do potrzebujących, streszczała wszystko jak najzwięźle i wypowiadała słowa suchym, beznamiętnym tonem.

– Typowe objawy? Między innymi: silna potliwość, tiki mimiczne, sporadyczne skurcze mięśni ud i łydek, silne rozszerzenie źrenic. Wymioty? W mniejszości przypadków. Wszyscy natomiast skarżyli się na biegunki żółciowe, a w stolcu sporadycznie pojawiała się świeża krew. Jak długo utrzymują się objawy? Typowo, od godziny do trzech po wystąpieniu potów i rozszerzenia źrenic; pojawia się uczucie płynięcia, ktoś opisał ofiary wpatrzona we własne dłonie i stopy, niedowierzające, że one nadal do nich należą. Po tej fazie szybko następuje faza histerycznego lęku, ze wzrokowymi i słuchowymi omamami, w większości przypadków towarzyszy temu całkowita utrata samokontroli. Gwałtowne wybuchy furii, często prowadzące do przypadkowego niszczenia otoczenia, w szczególności do podpaień, a później do atakowania wszystkiego, co się porusza, szczególnie płaczących dzieci, często pobitych na śmierć przez własnych rodziców, bo odgłos płaczu był dla nich nie do zniesienia. Trwa to od sześciu do trzydziestu sześciu godzin. Większość ofiar przez ten czas nie śpi. Jeśli nie pojawi się inny cel, atakują własne ciało, biją się lub okaleczają. Widziałam także wielu biegnących nad rzekę i wskakujących do wody, krzyczeli wcześniej, że umierają z pragnienia. Ma to zapewne związek z ekstremalnym odwodnieniem na skutek biegunki. Treść halucynacji? Niezwykle jednolita. Najpierw pojawiały się głosy, przeważnie rodziców, starszych krewnych, a w przypadku wojskowych – oficerów i rezerwistów. Skoro większość z nich nie żyła, przypuszczenie, że pojawiają się duchy, nasuwało się logicznie. Wielu zabitych brano za złe duchy. A ponieważ przy tym zatruciu radykalnie zmienia się wygląd (ogromne, wytrzeszczone oczy i dziwne ruchy na skutek przykurczy mięśni), bliscy krewni często nie rozpoznawali się nawzajem. Uciekali z krzykiem nawet od żony czy męża. Następstwa? Melancholia, ostra hipnofobia, czyli lęk przed snem spowodowany koszmarami, niepokój, niewytłumaczalne napady wściekłości... Któregoś dnia zamordowano

człowieka tylko dlatego, że jego cień padł na stopę drugiego. Leczenie? Pewien sukces odnieśliśmy po dodawaniu środków do wody pitnej – wiesz, że dalej sprzedajemy ją z beczkowsów. Kiedy się wrzuci ćwierć kilo uspokajaczy do każdej beczki, to na oko trochę pomaga. Ale środki się już kończą, więc...

Wzruszenie ramion.

\* \* \*

Sama także bała się spać. Zawsze śniły się jej drobne krwawe ludzkie strzępy, które ją obryzgały. I albo szprycowała się amfetaminami, albo – kiedy w ogóle przestawały działać, a powieki zaczynały piec – brała tyle barbituratów, żeby zapaść w izolowaną od snów śpiączkę. Budziła się, prawie nie jadła, ale wędrowała po miasteczku, wywabiając ludzi z kryjówek, przemywając zgorzelinowe rany, pomagając budować zaimprovizowane schronienia. Czarni żołnierze, oczyszczający miasto, z początku odnosili się do niej wrogo, potem, gdy przekonali się, jak ciężko i pokornie pracuje, przyzwyczaili się do niej i coraz częściej, gdy padała ze zmęczenia, silne, anonimowe czarne ramiona zanosili jej bezwładne ciało do domu. Często żołnierz dziwił się, że nazywa go majorem, choć jest prostym szeregowcem.

Od Bertila dowiedziała się o oskarżeniach, że w żywności z pomocy znajdował się halucynogen. Bertil wierzył w pogłoski, że żywność została skażona sporyszem, albo czymś podobnym – i że to spowodowało wybuchy średniowiecznego tańca świętego Wita. Drugi raz usłyszała to od wojskowych badających przyczyny katastrofy. Oni uważali, że ktoś celowo dodał trucizny.

Sama w ogóle nie miała zdania.

\* \* \*

Reporterzy naturalnie zwałali się całymi stadami. Choć atrakcyjność informacyjna wojny spadła po zawieszeniu broni, generałowi Kaice zależało, żeby cały świat zobaczył, jaką ma tu katastrofę, dał więc dziennikarzom i ekipom telewizyjnym do dyspozycji rządowe samoloty. Dla ekipy z paryskiego biura ABS zrobił nawet wyjątek w embargo na Amerykanów, postawił tylko warunek, że szefem ma być Francuz. Kiedy dowiedzieli się o Lucy, zaświtał im pomysł: śliczna blondynka przeżyła noc okropności. Nikt nie wiedział dokładnie, gdzie jest, więc zaczęli jej szukać.

Złapali ją, kiedy kopała w ruinach domu. Odkryła przeoczone przez żołnierzy zwłoki dziesięcioletniego dziecka. Wykopywała je za pomocą syczoryka.

Kiedy dotarło do niej, że pytający jest Amerykaninem, obnażyła zęby i rzuciła się na niego. Trzeba mu było założyć osiem szwów na ranę od obojczyka do mostka.

Podali jej środek uspokajający i przewieźli do Anglii, do państwowego szpitala dla umysłowo chorych, gdzie obudziła się i zobaczyła zielone trawniki, pierwsze wiosenne kwiaty spoglądające w zachmurzone niebo, krowy pasące się na łące po drugiej stronie pięknej doliny – i stalowe kraty w oknie, którego nie można było otworzyć.

## JEDZCIE NA ZDROWIE

Specjalna oferta! Tylko w tym tygodniu w Waszym Puritan Health Supermarket!

Kabaczek z Okinawy: \$0,89, dziś: \$0,75!

Pingwinie jaja (niska zawartość DDT, PCB), \$6,35, dziś: \$6,05!

Ziemniaki z Pacyfiku (niemyte): \$0,89, dziś: \$0,69!

Masło ze słonecznej Nowej Zelandii: \$1,35, dziś: \$1,15!

Ty też możesz sobie pozwolić na dobre zdrowie z Puritanem!

## Z MOCNEGO WYSZŁO

Koszmary w końcu ustały i Pete Goddard zaczął znów dobrze spać. Jednak pierwsze przebudzenie po katastrofie było straszne: lęk, paraliż, ból.

Chociaż sparaliżowany nie był. Miał tylko nogi na wyciągu, cały tułów owinęli mu ciasno folią i rozciągali go zawieszonymi na bloczkach ciężarkami. Gdy odzyskał przytomność na tyle, by rozumieć, wytłumaczyli mu, co robią i dlaczego, a on zupełnie nie mógł w to uwierzyć.

Powiedzieli, że sam jeden utrzymał ciężar ośmiuset kilogramów.

\* \* \*

Żaden rekord to nie był, skąd. Fizjoterapeutka, która codziennie się nim zajmowała, wspomniała o kobiecie histerycznie walczącej o życie dziecka, która uniosła samochód ważący półtorej tony; a także o zawodowym siłaczu, co podniósł całe dwie tony, zawieszony na uprzęży w pasie. Miało to coś wspólnego z cechami konstrukcyjnymi kości udowej. Pokazywała mu rysunki, które z trudem rozumiał.

Dziwiło go natomiast, że pielęgniarki jakby się go bały i ciągle pytały, czy trenował podnoszenie ciężarów. Tak, trenował, choć ostatni raz ponad rok temu; przestał, kiedy poznał Jeannie. Odpowiadał ze znużeniem, że starał się trzymać formę.

Oczywiście nie można było dokonać czegoś takiego, nie doznając przy tym poważnych obrażeń. We wszystkich mięśniach barków i ramion miał podskórne wylewy, tak że całe były jednym wielkim półmetrowym siniakiem i nawet utrzymywanie uniesionej ręki męczyło go po kilku sekundach. Chrząstne dyski pomiędzy kręgami sprasowały się, gdy kręgosłup sprężył się w jeden monolityczny filar, który pozwolił mu unieść taki ciężar. Przeciążył sobie wszystkie stawy nóg, tak że kolana i stawy skokowe całkowicie się unieruchomiły, a podbicia stóp zapadły. Innymi słowy, na chwilę stał się jednym kostnym słupem. Zupełnie tego nie

pamiętał. W tamtych strasznych chwilach pamiętał tylko jedno: nie był w stanie zrobić nic poza staniem prosto.

\* \* \*

Przez pierwsze kilka dni leżał w szpitalu cały przerażony, że będzie musiał zapłacić za to wszystko, co mu robią, oraz że nigdy więcej nie będzie chodzić. Oczywiście dostał masę środków przeciwbólowych, był więc otępiały i kiedy dopuścili do niego Jeannie, nie był w stanie jej wytłumaczyć, co go dręczy – w końcu rozplakał się z frustracji, a oni pomyśleli, że to ból, i podali mu podwójną dawkę.

Jednakże dzień czy dwa później – jeszcze nie ogarniał upływu czasu – wpuścili do niego innych gości i wszystko się rozjaśniło. Byli dziennikarze, fotografowie i jeden facet z Kalifornii, wuj dwójki uratowanych dzieci. To Harry wczołgał się pod belkę i je wyciągnął, on jednak przytrzymał dach.

Ich rodzice zginęli. Dlatego wuj, prosperujący importer pszczoł, zamierzał je adoptować i pokryć koszty jego hospitalizacji – wszystko co najlepsze, powiedział, w granicach pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Twierdził stanowczo, że spokojnie go na to stać – wykazał się refleksem, gdy w latach sześćdziesiątych w Kalifornii wyginęły pszczoły i teraz miał firmę wartą miliony dolarów.

Wspomniał także, nieco zdziwiony, że próbował namówić Harry'ego na przyjęcie nagrody, ale gość nie przyjął ani grosza. Powiedział coś o upiorach. Jakieś trainistyczne zabobony.

A tydzień czy dwa później senator nazwiskiem Howard, Howell, czy jakoś tak, przyniósł mu barwny zwój, list pochwalny za odwagę, podpisany przez samego Prexy'ego. Oprawili go w ramkę i powiesili naprzeciwko łóżka.

– Cześć, skarbie.

– Cześć, moja śliczna.

Musnęli się ustami. Jeannie przyszła o regularnej porze, jak w zegarku. Dziś jednak coś go tknęło w jej wyglądzie. Leżał, obłożony gazetami i książkami dla zabicia czasu – dzięki masażom fizjoterapeuty już

swobodnie poruszał rękoma i był w stanie przewracać kartki; przyjrzał się jej drugi raz, uważniej. Miała bandaż na lewej ręce.

– Skaleczyłaś się, kochanie? – zapytał.

– Eee... – Próbowwała schować dłoń, ale zmieniła zdanie. – Nie. Ugryzienie.

– Ugryzienie? Kto cię... pies?

– Nie. Szczur. Szukałam mąki w szafce, wsadziłam rękę... próbowałam zawołać deratyzatora, ale nie ma czasu, zarobiony jest... ej, co ty robisz? – Pete chwycił przycisk dzwonka przy łóżku.

– Wołam pielęgniarkę! Sama to sobie opatrzyłaś?

– No... tak.

– Trzeba, żeby ktoś to zbadał! Nie wiesz, jakie rzeczy przenoszą szczury? Dzumę i co nie tylko! Albo zakażenie się zrobi!

Przyszła pielęgniarka, troskliwa dzięki pieniądzom dobroczyńcy, i wyprowadziła protestującą Jeannie. Kiedy poszła, leżał wściekły i myślał: szczury? Tyle szczurów, że deratyzacja się nie wyrabia? Ja pierdzielę!

\* \* \*

I bardzo dobrze, że się uparł. Okazało się, że Jeannie ma niekliniczną gorączkę wskutek posocznicy. Gdy dowiedzieli się, że go całowała, jemu również dali profilaktycznie zastrzyk.

Kiedy wróciła, z elegancko zawiniętą dłonią, powiedział:

– Wiesz, skarbie, mam dobrą wiadomość. Jutro będę próbować chodzić!

– Kochanie, to super! – Oczy jej rozbłysły. Ale głównie łzami. – A czy...?

– Czy wrócę w pełni do zdrowia?

Kiwnęła głową.

– Mówią, że tak. Ale to jeszcze potrwa. Na początku i tak będę musiał nosić gorset, na kręgosłup.

– Jak długo?

Zawahał się, potem powtórzył słowa fizjoterapeuty.

– Dwa lata.

– Jej, Pete!

– Ale wszystko inne jest w porządku! – Przypomnił sobie najgorszy lęk, najstraszniejszy ze strachów. – Z tym... no wiesz... z moją męskością wszystko w porządku.

Dzięki Bogu. Dzięki Bogu. Modlił się, naprawdę się modlił, kiedy ten problem przyszedł mu do głowy. Potem jeden z lekarzy, o którym będzie odtąd pamiętał przy każdej modlitwie, powiedział mu, że na ile można wnosić, na tym odcinku wszystko powinno być w porządku, pan sam sprawdzi, jak panu wróci trochę siły w rękach. Podrzucę panu zresztą jakieś zbereżne pisemka.

Jeannie ścisnęła go za rękę i rozplakała się.

\* \* \*

W końcu była w stanie zapytać o przyszłość. Oczywiście, że jako kaleka nie wróci do służby. Prawda?

Pokręcił głową. Mógł to już zrobić prawie bezboleśnie. Wspaniale go tu leczyli.

– Nie. Ale dostałem już propozycję pracy. Z rana dzwonił jeden facet, dowiedział się, że nie mogę wrócić do policji. Znajomy któregoś lekarza, koleś nazywa się Prosser. Powiedział, żeby mu dać znać, gdy tylko będę w stanie, i da mi pracę przy biurku, w sam raz dla mnie.

– Ale to będzie w Towerhill?

– Nie, tutaj, w Denver. Oczywiście, trzeba się będzie przenieść, ale powiedział, że płaca będzie dobra... Nie przejmuj się, skarbie. Wszystko będzie dobrze.

## MAM RĘKĘ DO ROŚLIN, ALE CZASEM ODPADAJĄ PALCE

*Szanowny Panie,*

*dziękuję za list z 18-tego wraz z załącznikami. Próbki gleby zawierają wyjątkowo duże ilości ołowiu i rtęci, śladowe ilości molibdenu i selenu oraz*

*niewielką ilość soli srebra. Brak wykrywalnego kadmu. Próbką wody jest zanieczyszczona ołowiem, arsenem, selenem, związkami sodu i potasu, szczególnie azotanem sodu. Podejrzewamy, że ogród zakupionego przez Pana domu jest posadowiony na terenie wypełnionym urobkiem z kopalni, radzimy poruszyć tę sprawę z poprzednim właścicielem. Nie wiemy, czy posiada Pan dzieci, jeśli tak, pragniemy zwrócić Pana uwagę na zagrożenie, jakie stanowią dla nich tak wysokie poziomy ołowiu i azotanu sodu. Będziemy wdzięczni za szybkie rozliczenie z nami.*

*Z poważaniem,*

X

## PODNOŚ PASKUDNĄ GŁOWĘ

Zostawiwszy Harolda, Josie i syna Henlowesów w przedszkolu – dzieci powinno się socjalizować od najmłodszych lat i chrzanić zagrożenie infekcjami, przez które tacy rodzice jak Bill i Tania Chalmersowie (wieczny odpoczynek; razem z Antonem zginęli pod lawiną w Towerhill) zostawiali je w domu tak długo, jak pozwalało prawo – i jakiego paskudnego charakteru nabrał przez to biedny Anton! – Denise Mason poszła do gabinetu doktora Clayforda.

Gabinet doskonale przystawał do jego osobowości. Doktor siedział za mahoniowym biurkiem wyłożonym złoconą skórą, w skórzanym obrotowym fotelu. Był burkliwy, opryskliwy i surowy. Był też dumny, że należał do, jak usłyszała Denise w nieco sympatyczniejszej chwili, „pokolenia sulfa”. Była zapisana do niego wiele lat temu, jeszcze w czasach panieńskich, choć za bardzo go nie lubiła. Trzymał dystans i ciężko się z nim rozmawiało. Ale jednocześnie to staroświeckie zachowanie miało w sobie coś uspokajającego.

Bardzo jej przypominał ojca.

\* \* \*



Po raz pierwszy w historii nie wstał, kiedy weszła, a jedynie machnięciem ręki zaprosił na krzesło dla pacjenta. Usiadła, zdziwiona.

– A więc, z czym pani przychodzi?

– No... ten... – Poczula, że czerwieni się jak piwonia, kompletnie bez sensu. – Ostatnio w ogóle podle się czułam. Ale teraz mam jakąś taką... wydzielinę. I podrażnienie.

– W pochwie, tak? To po prostu rzeżączka, mąż panią zaraził.

– Co takiego?

– Kazałem mu pójść do przychodni na Market. Oni się w tym specjalizują. Nic pani nie powiedział?

Była w stanie tylko bez słowa pokręcić głową. Tyle rzeczy wyjaśniło się w jednej chwili!

– Typowe – powiedział pogardliwie Clayford. – Absolutnie typowe. Typowe skutki wychowania bezstresowego. Nieuczciwi, pazerni, egoistyczni. Bez mrugnięcia okiem nakłamią, żeby tylko uniknąć skutków własnych uczynków. To oni są odpowiedzialni za wszystkie dzisiejsze problemy na świecie! – Nagle nachylił się nad biurkiem, zaczął wymachiwać piórem jej przed nosem. – Szkoda, że pani nie widzi tego, co ja codziennie tu muszę oglądać! Dzieci z dobrych domów, upośledzone od zatrucia ołowiem! Albo i ślepe od kiły wrodzonej! Duszą się od astmy! Rak kości, białaczka, Bóg jeden wie co jeszcze! – Zaczynał się zapluwać.

Denise wytrzeszczyła oczy, jakby widziała go pierwszy raz w życiu.

– Czyli pan leczył Philipa z choroby wenerycznej? – zapytała w końcu.

– Oczywiście, że nie! Powiedziałem mu, gdzie powinien się udać po leki, dla siebie i dla pani. Ja nie zamierzam pomagać mu się wykręcić! To właśnie przez takie próby unikania odpowiedzialności cały świat jest w takim stanie!

– Poprosił pana o pomoc, a pan odmówił?

– Mówiłem już pani – burknął Clayford. – Poleciałem mu odpowiednią przychodnię.

Nagle przestała go widzieć. Do oczu napłynęły piekące łzy. Wstała gwałtownie, prostując kręgosłup niczym cięciwę łuku po wystrzeleniu strzały.

– Ty dziadu – powiedziała. – Ty nadęty bufonie. Ty kłamco. Ty nieuczciwy, parszywy staruchu. To ty zatrueś ten świat, ty i całe twoje pokolenie. To przez ciebie moje dzieci są kalekami. To przez ciebie nigdy nie spróbują zdrowego jedzenia, nie napiją się czystej wody, nie odetchną czystym powietrzem. A kiedy ktoś przychodzi do ciebie po pomoc, odwracasz się plecami.

Nagle rozplakała się i zaczęła ciskać przedmiotami – pierwszy był wielki szklany kałamarz, pełen przepięknego czarnego atramentu, ślicznie się rozlał po jego białej koszuli. Książka. Taca z papierami. Co się nawinęło.

– Philip nie jest... jak go nazwałeś? Nieprawda! Nie jest! To mój mąż i ja go kocham!

Odwróciła się na pięcie. Miała przed sobą wysoką witrynę pełną medycznych książek. Chwyciła za lekko uchylone drzwiczki, napała z całej siły i przewróciła witrynę z ogłuszającym, przepięknym hukiem i łomotem.

Po czym wymaszerowała z gabinetu.

\* \* \*

To i tak było wszystko ubezpieczone przez Angel City.

## NIEŁASKA

– Panie Boże – powiedział pan Bamberley, pochyliwszy głowę, u szczytu eleganckiego, długiego, dębowego stołu – prosimy Cię, wnijdź w nasze serca i, tak jak te pokarmy karmią nasze ciało, tak niech dusze nasze nakarmią się Twoim słowem. Amen.

Amen, odpowiedział nierówno chór, któremu przerwał szcęk porcelany i srebra. Milcząca czarna dziewczyna, gosposia Bamberleyów – nazywała się Christy i była gruba – podsunęła Hugh koszyk z podłużnymi bułeczkami i paluszkami chlebowymi. Wziął bułeczkę. W sałacie było jak zawsze za dużo octu – aż język mu się skręcał.

\* \* \*

Przyjechał z college'u do domu na weekend. Właśnie odbywał się niedzielny rytualny obiad po mszy. Widać było, że w świecie pana Bamberleya służącym nie przysługuje wolny czas na religię, choć i Christy, i kucharka Ether były bardzo pobożne. Przez cały dzień słychać było, jak śpiewają w kuchni hymny.

Jednakże w niedzielę, od szóstej rano zasuwały jak niewolnice, żeby przygotować obiad dla całej rodziny.

Naprzeciwko męża siedziała pani Bamberley – Maud; pulchna, z uśmiechem nieruchomym jak u woskowej lalki. Była od męża dziesięć lat młodsza, a IQ miała o dwadzieścia punktów niższe. Uważała, że jest wspaniałą, i czasami wygłaszała w miejscowych klubach dla kobiet przemowy o tym, jaki jest wspaniałą. Sędziowała także w konkursach układania bukietów, a lokalna prasa i telewizja regularnie robiły z nią wywiady, kiedy tylko jakiś nękania wyrzutami sumienia weteran zapisał się do programu adopcyjnego „Podwójne V”. Dzięki mężowi sama też była wielką matką adopcyjną, a gdy zadawano jej podchwytliwe pytania o rasę czy religię, miała już przygotowane stosowne odpowiedzi – dziecko różniące się kolorem skóry od reszty rodziny boleśnie to odczuwa, a poza tym, czyż nie każdy rodzic pragnie, żeby jego dzieci były wychowywane zgodnie z jego wiarą?

Za jej krzesłem, ze ściany pokrytej kosztowną aksamitną tapetą, spoglądał z portretu jej dziadek. Był biskupem Kościoła episkopalnego, lecz obraz przedstawiał go w stroju dżentelmena z Nowej Anglii, przestrzegającego staroangielskiego zwyczaju polowania na lisy: czerwona kurtka, brązowe wysokie buty, czarny jedwabny żabot, biała obroża dla psa.

Hugh mówił o nim, że jest morderczo elegancki.

Salatkę – choć Hugh zdążył nabrać tylko kęs – wyniesiono, zastępując ją rybą na zimno w majonezie. Tego nawet nie tknął. Przestraszył się nagle faktu, że ryba pochodzi z morza.

\* \* \*

Pan Bamberley zjawił się w domu po raz pierwszy od katastrofalnego występu w programie Petronelli Page i będącego jego skutkiem zamknięcia farmy hydroponicznej. Wszyscy byli gotowi wierzyć, odkąd ten paryski ekspert opublikował swój werdykt, że w Nutriponie faktycznie znajdowała się trucizna. Przyjechał do domu w piątek wieczorem. Na razie nikt nie zająknął się słowem o tym zdarzeniu.

Petronella Page słynęła z tego, że jest bezlitosna wobec wszelkiego zakłamania. Hugh z zainteresowaniem zauważył, że zgodziła się z jego opinią: pan Bamberley jest zakłamany do szpiku kości.

\* \* \*

Znad krzesła pana Bamberleya patrzył na jadalnię kolejny portret, jak należało się spodziewać, jego dziadka. Przedstawiał go – tęgiego mężczyznę w rozkroku, z pięściami na biodrach – w trakcie gwałtu. Przynajmniej tak na to patrzył Hugh. Ktoś, kto nie znał tej historii, mógł zadowolić się tym, że w tle widzi kiwon do pompowania ropy.

Rybę zastąpiły półmiski z pieczenią, gotowanymi i pieczonymi ziemniakami, marchewką, kapustą, groszkiem. Do tego sosjerki z sosem pieczeniowym i importowanym angielskim kremem chrzanowym. Christy, jak zawsze milcząca, przyniosła dzban piwa, marki, której Hugh nie cierpiał – miał to być cotygodniowy przysmak dla starszych chłopców – oraz kolejny z lemoniadą dla Maud i „dzieciaków”.

Jak dotąd nie padło ani jedno znaczące słowo.

\* \* \*

Reszta towarzystwa przy stole składała się z adoptowanych synów pana Bamberleya, z pewnymi wyjątkami. Cyril, najstarszy i najdawniej usynowiony, przebywał w Manili. Ukończył z wyróżnieniem akademię

wojskową West Point i był teraz, w wieku dwudziestu czterech lat, osobistym adiutantem jednego z generałów organizującego coś, co Prexy nazywał „pacyficznym bastionem” – innymi słowy, sojusz białej rasy obejmujący Australię, Nową Zelandię i garstkę krajów z Ameryki Łacińskiej, gdzie wciąż rządzą prawicowi dyktatorzy, mającą zatrzymać rozprzestrzeniającą się po świecie prochińską i neomarksistowską falę.

Hugh spotkał Cyrila tylko raz, zaraz po własnym przyjęciu na łono rodziny, i natychmiast go znienawidził. Wówczas jednak był zbyt zaprzątnięty pojawiającymi się nowymi perspektywami, żeby cokolwiek powiedzieć.

Drugim, którego brakowało, był Jared. Jared miał lat dwadzieścia jeden i siedział w więzieniu. W obecności pana Bamberleya nie wspominało się o nim. Dostał wyrok za pomoc w organizowaniu protupasowego ruchu wśród mniejszości meksykańskiej w Nowym Meksyku. Hugh nigdy go nie spotkał – dostał pięć lat.

Sądził jednak, że bardzo by go polubił.

Jeszcze Noel, lat pięć – leżał w łóżku z gorączką. Reszta natomiast była obecna. Przy Maud siedział Ronald, szesnastoletni i dość tępy; Cornelius, bystry i pracowity, choć od dwunastego roku życia cierpiący na dziwne ataki – nie była to padaczka, lecz coś związanego z enzymami zaburzającymi komunikację pomiędzy sąsiadującymi neuronami – łagodziło się to trochę specjalną dietą; potem Norman, ośmioletni, z tikiem mimicznym, i Claude, lat dziesięć, z popsutymi zębami, które czasem łamały mu się całkowicie i wypadały z ust. Na swój sposób całkiem typowa rodzina, mimo że poskładana z tylu różnych źródeł – ci kilkunastoletni fizycznie zdrowi, ci młodszy zupełnie nie. Hugh miał w college’u dziewczynę, której młodszy brat zwracał wszystko, co usmażono w oleju kukurydzianym.

A ci skurwiele wciąż nie chcą się przyznać, że rozpierzdolili cały świat.

\* \* \*

– Hugh – odezwał się pan Bamberley – mówiłeś coś?

Niechący. Ale przypomniał sobie własne słowa. Nie patrząc w prawą stronę, sięgnął po piwo.

– Słucham, Jack? Czy o coś pytałeś?

– Pewnie, że tak! – Pan Bamberley położył sztucce obok wielkich, częściowo pokrojonych plastrów wołowiny. – Miałem nieodparte wrażenie, że wymknęło ci się słowo, którego... eee... nie akceptuję.

Hugh osuszył szklankę i wyprostował się z westchnieniem.

– A jeśli nawet, to co?

Pan Bamberley powoli zaróżowił się aż po linię rzednących włosów.

– A jaki to powód miałeś, żeby użyć takiego słowa?

– Powód? Tu wszędzie naokoło jest powód! – warknął Hugh i objął gestem luksusowo urządzonej jadalni, góry jedzenia na stole, służącą czekającą w kącie jak sklepowy manekin.

– Wyjaśnij! – Pan Bamberley prawie się zadławił z wysiłku opanowywania wściekłości.

– A wyjaśnię! – Hugh nagle już nie mógł wytrzymać napięcia. Zerwał się na nogi, przewracając w tył krzesło. – Siedzisz tu sobie, napychasz tłuste brzuszysko żarciem z całego świata, a w Afryce otrułeś tysiące czarnych biedaków! Co, może nie? I co, pojechałeś tam może, żeby im pomagać, ulżyć w cierpieniu? A gównu! Walczysz zębami i pazurami, żeby nie wyjaśnić przyczyn katastrofy, drzesz się, że komisja ONZ „nie ma praktycznego sensu” – sam widziałem taki cytat w gazetach! Za to siedzisz za eleganckim stołem, obżerasz się, a przedtem, niech mnie szlag, wygłaszasz modlitwę, jakbyś myślał, że Pan Bóg ci podziękuje za wszystkich tych ludzi, którzy przez ciebie umarli czy zwariowali!

Pan Bamberley wyciągnął ku drzwiom trzęsącą się rękę, z której zwisała pomięta flaga serwetki.

– Wyjdź stąd! – ryknął. – Won z tego domu! I nie pokazuj mi się na oczy, póki nie będziesz chciał przeprosić!

– Tak właśnie myślałem – powiedział martwym głosem Hugh. Poczł się nagle bardzo dorosły, bardzo dojrzały, niemal stary. – Dokładnie jak mówi tradycja: kopiesz ludzi w jajca, a potem każesz im przeproszać. To przez

ciebie i takich ludzi jak ty mieszkamy w najbogatszym kraju na świecie, a wszędzie wokół pełno chorych dzieci...

– Brudne słowa masz i brudne myśli!

– Co, powiesz mi, że adoptowałeś Normana ze względu na jego tiki? Nie wciskaj mi tych pierdół. Słyszałem od Maud: dowiedziałeś się dopiero po podpisaniu papierów. A popatrz na zęby Claude'a, jak próchno na starej gałęzi! Popatrz na Corny'ego, co nam zazdrości, bo nie może jeść normalnego jedzenia! Ty sam...

W tym momencie jednak Corny nie wytrzymał napięcia. Jego ataki zawsze brały się ze stresu. Padł twarzą w talerz, tłukąc go i rozchlapując po wszystkim swoją specjalną dietetyczną papkę. Gdy Maud i Christy rzucili mu się na pomoc, Hugh wygłosił zamykającą kwestię:

– Ty i twoi przodkowie traktowaliście świat jak wielki kibel. Nic tylko sraliście w niego i chwaliście się, jakiego bajzlu żeście narobili. A teraz się z niego przelewa, a ty jesteś gruby i zadowolony z siebie, a czarne dzieciaki chorują, żebyś mógł dalej napychać sobie kieszenie! Do widzenia!

Trzasnął drzwiami najmocniej jak potrafił, licząc, że ze ściany spadnie portret Jacoba Holmesa Bamberleya I.

Jednak gwóźdź trzymał się zbyt mocno.

## NIE ZNAJDZIE SIĘ W WIADOMOŚCIACH

*...winna stosowania bromowanego oleju roślinnego, nielegalnego emulgatora. Mimo twierdzeń obrony, że nie udowodniono, by zaszkodziło to komukolwiek spożywającemu produkty, firma została skazana na grzywnę w wysokości stu dolarów. Teraz prognoza pogody. Dwutlenek siarki, ozon, alkile ołowiu: poziom wysoki...*

## APEL O POMOC

Przed szarym, kamiennym domostwem, domem Michaela Advowsona, na szarej drodze stał zielony rządowy samochód. Brudny deszcz brudził mu elegancki lakier. Nie zwracał na niego uwagi. Tak samo nie zwrócił uwagi na faceta w popielatym płaszczu, który siedział w holu i wstał na jego widok – przynajmniej tak by zrobił, gdyby tamten nie zastąpił mu drzwi do gabinetu. A Advowson miał na rękach krwawiące dziecko, krzyczące ile sił w płucach.

– Zejdź! – warknął i odepchnął go na bok.

– Ale, panie doktorze, to jest... – Głos gospodyni, pani Byrne.

– Wiem, kto to jest! Był tu miesiąc temu! Już, już, zaraz, malutka, zaraz nie będzie boleć! Bądź dzielna!

Położył ją na leżance. Biała jednorazowa narzuta od razu poczerwieniała od krwi pod stopą.

– Niech pan idzie w cholerę, albo mi tu pomoże! – zawołał do faceta w prochowcu. – Może się pan na coś przydać? Myć ręce, i to już! – Tymczasem sam wygarniał z szafek bandaże, zasyпки, strzykawki, nożyczki do przecięcia buta i skarpetki.

Clark wszedł niepewnie do gabinetu i zapytał:

– A... ten... co się stało?

– Szkło? Tym czerwonym mydłem. Antybakteryjne.

– Nie rozu...

– Szkło, powiedziałem!

Michael uspokoił dziewczynkę, gładząc ją po policzku. Była tak przerażona, że się zmoczyła, ale to się zaraz posprząta. Ciągnął, przebijając igłą gumowe wieczko fiołki:

– Bawiła się tam przy farmie Donovanów, gdzie od lat wszyscy wywalają śmieci. Weszła na rozbitą butelkę i...

Nagłym, idealnie mocnym chwytem złapał dziewczynkę za nogę i unieruchomił ją, drugą ręką wbijając w nią igłę. Dziewczynka prawie od razu zamknęła oczy.

– I może stracić wielki palec u nogi. A jak się nie pośpieszymy, dojdzie jeszcze zakażenie. To pana auto tam stoi, to służbowe?

– No... tak.



– To dobrze, nie trzeba będzie czekać na karetkę. Mój samochód jest w naprawie. Proszę mi pomóc. Robić wszystko, co mówię.

Podszedł: zbyt młody chyba, żeby być ojcem, i dniem i nocą niepokoić się, co się może stać z jego dzieckiem. Czy dowolnym dzieckiem. Duży paluch był całkowicie odcięty. Michael podał mu go i zajął się tamowaniem krwotoku.

Był dzielny: przynajmniej udało mu się położyć paluch na stole, zanim wybiegł z pokoju i za moment z wymiotował na trawniku.

\* \* \*

Mimo to wrócił, co również było aktem odwagi – i przytrzymał paluch, gdy Michael przyszywał go szybkimi, nierównymi szwami – wszystko według reguł opisanych w chińskim medycznym piśmie (za wszelką cenę utrzymać obieg krwi, później będzie czas na połączenie nerwów i mięśni) – po czym przyjechała karetka i Michael już nie musiał rekwirować rządowego pojazdu.

\* \* \*

– Żeby dziecko nawet na dworze nie mogło się spokojnie pobawić... – powiedział Michael.

Zawołał Clarka do salonu, zaproponował kropelkę czegoś mocniejszego. Clark się zgodził. Dla obu whisky na dwa palce. Czasem i lekarz musi zażyć lekarstwo.

– Sláinte!

– Sláinte!

– No dobrze, to co pana sprowadza? – zapytał Michael, opadając w swój ulubiony fotel. – Kazali mnie przeprosić za tę aferę na farmie Murphych?

Urządник miał dość przyzwoitości, żeby zrobić zażenowaną minę.

– Nie. Ale mówiono mi, że pan od początku miał rację.

– Fajnie, że się przyznali! – prychnął Michael. – Ja nawet nie jestem weterynarzem, tylko wychowałem się na farmie, ale potrafię od ręki poznać zatrucie dikumarolem ze zgniłego siana. Ale wyście mi nie wierzyli, nie? Zresztą oni też, pewnie w życiu o żadnym dikumarolu nie słyszeli. Co za bałwany, nie mogę na nich patrzeć. A wie pan, że jakby postawili na swoim, tobym tej małej palca nie uratował?

Clark wytrzeszczył oczy. Stwierdził, że ten agresywny rudzielec ze zbyt blisko osadzonymi zielonymi oczyma jest interesująco bulwersujący.

– Naprawdę. Nauczyłem się tego z chińskiego pisma medycznego, a oni próbowali mnie zmusić, żebym go już nie prenumerował, bo to oznacza, że dają Chińczykom zachodnią walutę. – Zmarszczył się i osuszył szklankę.

– Ja tam nic o tym nie wiem – odparł tamten, sięgnąwszy do wewnętrznej kieszeni eleganckiego niebieskiego garnituru, pewnie angielskiego. – Miałem tylko to panu przekazać. – Wyciągnął kopertę z zieloną urzędową pieczęcią.

– O, może przysłali przeprosiny na piśmie! – Stęknął, rozdzierając kopertę.

Długa pauza. W końcu podniósł wzrok i uśmiechnął się gorzko.

– No, będę miał nauczkę, żeby nie kopać się z władzami. Nawet jak się wygra, znajdą sposób, żeby cię załatwić. Pan wiedział, że pięć lat byłem lekarzem w wojsku? Nie? A widzi pan, byłem. Więc teraz powołują mnie z rezerwy do jakiejś oenzetowskiej ekipy, która ma badać tę zatrutą żywność w Noshri. Niezły sposób, żeby się mnie pozbyć! – Ze złością rzucił pismo na podłogę. – I kto tu pozszywa następne dziecko, jak się znowu potnie?

---

2 Limistear coraintin (irl.) – teren kwarantanny (przyp. tłum.).

marzec

## MNOŻENIE NA PIŚMIE

*Oto jest pracowity Rolnik, co dzień w dzień obchodzi  
Swe wąskie łany i wzrokiem od żebraka uważniejszym  
Pomiędzy źdźbła zagląda, choć cel ma godniejszy,  
Szuka bowiem gdzie chwast się czy zaraza rodzi.*

*Co tknięte zarazą, wyrwie z korzeniami,  
(Gdyż roślin, jak ludzi, choroby się imają)  
I przekleństwa mrucząc, puści z płomieniami,  
Do siewu zaś wybierze te, co się udają.*

*Co latem, w złote żniwo, na polu zrzynane  
Wyrosły urodzajne, nie wątłe, nie marne,  
Cepem jak dawniej z plew wszelkich obrane.  
Jego opiewam, on mych rymów godzien.  
Dzięki jego oddaniu dla ziemi ciężarnej  
Dwa kłosa rosną, gdzie się jeden rodził.*

„The Agricultural Muse”, 1710

## DAR OWADÓW

Na tej wysokości wciąż było pełno śniegu. Peg jechała ostrożnie stromą i krętą drogą. Dawno nie widziała żadnego innego samochodu. Ale zawsze jest szansa spotkać jakiegoś kretyna, który myśli, że drogę ma tylko dla siebie.

Albo kretynkę...

A ja? Ja jestem kretynką?

Nie planowała wypowiadać tego pytania retorycznego na głos, ale Felice – dygocąca, bo okno po stronie kierowcy było otwarte, choć okutana po uszy w futro, i to zapewne prawdziwe futro, podejrzewała Peg, choć niekulturalnie byłoby zapytać wprost – rzuciła kwaśno:

– Ja też się zastanawiałam, czy nie jestem. Bo powinnam przejąć stery po Billu Chalmersie, gdy zginął, a tu się okazało, że przynieśli w teczce tego fajansiarza Halkina...

Peg kiwnęła głową. Dokładnie wiedziała, jak Felice się czuła. Jej także było przykro, że straciła pracę, lecz za jej decyzją stała ogromna duma, na której fali wciąż jechała.

– Nie o tym myślałam – powiedziała. – Co innego, rozumiesz: przyjedziemy po zmroku, a nawet nie zadzwoniłyśmy...

– To do wату da się zadzwonić? – zdziwiła się Felice.

– Pewnie. Nawet nie jest zastrzeżony ten ich numer, no, tyle że jest jeden na pięćdziesiąt, sześćdziesiąt osób. – Na nazwisko Jonesa. Pewnie dlatego nie chciała wcześniej dzwonić. Starła się za dużo nie myśleć o tym, że Decimus nie żyje, mimo że w aucie siedziała koło niej jego rodzona siostra, mimo że powtarzały w odwrotnym kierunku jego ostatni wyjazd.

Całkiem jakbym na koniec podróży spodziewała się zastać go całego i zdrowego.

– Jakoś nie przyszło mi do głowy, że mogą mieć telefon – powiedziała Felice.

Naturalna rzecz, jak się zna ich nieufne podejście do nowoczesności. W ogóle nie mieli za dużo kontaktów z zewnętrznym światem. A zewnętrzny świat też ich potępiał, to zresztą był powód. Mieli pięć minut aprobaty po lawinie w Towerhill, nawet sam gubernator pochwalił wtedy ich pomoc w akcji ratowniczej. Ale było, minęło.

Skoro było tak późno, kiedy dojechały do drogowskazu na Towerhill, zaproponowała jej, że zjadą, prześpią się gdzieś. Od czasu lawiny wszyscy wiedzieli, że turyści pstryk – i zniknęli. Będzie kupa wolnych pokoi. Teraz w miasteczku urzędowały tylko upiory.

Felice powiedziała jednak, że nie chce robić za upiora.

\* \* \*

Nagle, na samej krawędzi snopa światła z reflektorów, dostrzegła inny samochód stojący na poboczu – mały elektryk, stephenson, nieprzystosowany do jazdy w trasie, bo robił maks sto sześćdziesiąt kilometrów bez ładowania. Młody mężczyzna zaglądał mu pod maskę. Usłyszawszy cichy, jakby koci syk haileya, odwrócił się i zamachał.

– Zatrzymać się? Jak myślisz? – mruknęła do Felice.

W normalnych warunkach nie przyszłoby jej to do głowy; pojechałaby dalej i pies trącał gościa, nawet jak z rana go znajdą zamarzniętego. Ale odkąd dojechała na wysokość trzystu metrów, dawno temu, dało się jechać z otwartym oknem i wyłączoną dmuchawą, a od świeżego górskiego powietrza trochę kręciło się w głowie. Nawet chłód był orzeźwiający – od lat nie czuła takiego mrozu, bo mieszkała w L.A., gdzie jedynym sposobem poradzenia sobie z chronicznym zapaleniem zatok było ciągle noszenie maski, wymiana filtra w samochodzie co tysiąc pięćset kilometrów oraz spędzanie większości czasu w domu.

Na Felice chyba to też tak podziałało. Zamiast rozsądnych ostrzeżeń, że złodzieje, że napadną, zostawią w śniegu i odjadą samochodem, powiedziała:

– Wygląda całkiem niegroźnie. Ja tam bym nie chciała utknąć na tym mrozie.

Zatem Peg podjechała do niego.

– Do wату pani jedzie? – zapytał, nachylając się do jej okna i odgarniając rzadkie włosy.

– Tak.

– Ja też. Tylko auto mi się skończyło, a wskaźnik naładowania dalej, kurna, pokazuje dużo. Mogę się z wami zabrać?

Peg powątpiewająco zerknęła na małe tylne siedzenie haileya, właściwie ławeczkę mającą parze z dzieckiem oszczędzić konieczności wymiany auta na większe. Prawie w całości zajmowały je torba podróżna Felice oraz wielki kanister z czerwono-czarną etykietą mówiącą „ŻYJ I DBAJ”.

– Mam tylko jedną małą torbę – rzucił błagalnie młody człowiek.

– No... no dobrze.

– Super! Dziękuję!

Wysiadła więc – hailey był dwudrzwiowy – przyjrzała mu się uważnie, zauważając, że zamknął swój mały samochodzik. Czyli najprawdopodobniej należał do niego, bo już sobie wyobrażała, że jest kradziony. Rozluźniła się i przytrzymała mu drzwi, kiedy wrócił z torbą-kabinówką.

– Musi pan przesunąć ten kanister – powiedziała. – Ale uwaga, bo ciężki. Usłuchał.

– A co tam jest? – zapytał, próbując przeczytać etykietkę.

– Pięć litrów importowanych dżdżownic – odpowiedziała Felice. – Pomyślałam, że przydadzą się na wacie.

– No tak, dobry pomysł. – Usadowił się niewygodnie, długie nogi złożył prawie w scyzoryk. – A ja nazywam się Hugh. Hugh Pettingill.

Nazwisko brzmiało, jakby prawie miało coś znaczyć, ale nie chciało.

– Ja Peg. A to jest Felice.

– Mieszkacie na wacie?

– Nie. A ty?

– Może powinienem. – W przedniej szybie, w słabym blasku wskaźników, mignęło jej odbicie jego nachmurzonej twarzy, jak duch Peppera[3] na tle czarnej drogi i białoszarych śnieżnych zasp. – Ostatnie parę tygodni łąziłem tylko bez celu. Próbowałem sobie coś przemyśleć.

Ja tak samo.

Peg wspomniała długie godziny w mieszkaniu spędzone na gapieniu się w telewizor, jakby był kryształową kulą, która podpowie jej właściwy kierunek – aż do tego niespodziewanego telefonu od Felice, która chciała umówić się z nią na kolację, pogadać o tym, co myśli o swoim świętej pamięci bracie, chciała się dowiedzieć, czy źle postąpiła, kłócąc się z nim, kiedy przysiągł wierność trainistycznym ideałom.

Mówiła, że zastanawiała się nad tym, odkąd usłyszała, że oczekiwana długość życia w Ameryce leci z powrotem w dół.

To wygłoszone spokojnym tonem stwierdzenie wstrząsnęło Peg do głębi duszy – kolacja przeciągnęła się do pierwszej czy drugiej w nocy, przeradzając się w przerzucanie się argumentami, aż w końcu wykrystalizował się następujący plan: pojechać do wату w Denver, porozmawiać z Zeną, wdową po Decimucie, zapomnieć o oficjalnej propagandzie dotyczącej trainistów („ich założyciel ześwirował, a jego pierwszy uczeń zginął nawalony!”) i spróbować dla odmiany wyrobić sobie własny pogląd.

Peg fatalistycznie zgodziła się na tę propozycję. Perspektywa ponownego odwiedzenia wату, Zeny, Ricka, reszty dzieci, bez Decimusa – to ją przerażało. Ale trzeba to było zrobić, tyle wiedziała. Świat nie kończył się przecież ze śmiercią jednego człowieka.

Ani trochę się nie kończył.

\* \* \*

Dotarło do niej, że ten chłopak na tylnym siedzeniu – młodziak, młody mężczyzna, wszystko jedno – gada tak, jakby od wielu dni nie odzywał się do nikogo i rozpaczliwie musiał się wygadać.



– No przecież po tym wszystkim nie mogłem się już dać chować na jego następcę, prawda? Prawda? Prawda?

Pogrzebała w pamięci i nagle skojarzyła to nazwisko. Pettingill. Pstryk: jeden z adoptowanych synów Jacoba Bamberleya, ten, który zniknął z college'u. Felice, widać, słuchała o wiele uważniej, bo zaraz zapytała:

– A ty widziałeś tę jego żywność, tę kaszę czy coś, w której podobno była trucizna i potruli się ci ludzie w Noshri?

– Pewnie, że widziałem, ale nie na jego stole. – Ton Hugh był jadowity. – No skąd. Tylko najlepsza wołowina! Skurwiel, wiecznie zadowolony z siebie i nadęty jak balon. Za każdą dobroć trzeba mu lizać buty, obojętne, czy się go o to prosiło, czy nie. I chciałby, żeby otaczał go miliard ludzi, którzy będą tylko w kółko powtarzać: Tak, proszę pana! Nie, proszę pana! Co pan rozkaże, proszę pana! Rzygać się od tego chce.

Pogrzebał w kieszeniach swojej grubej kurtki i wydobyl coś w miękkiej, plastikowej kopercie.

– Mam trochę khatu. Chcecie pożuć?

– Pewnie – powiedziała Felice i wyciągnęła dłoń w tył.

Peg powstrzymała wzdrygnięcie. Żeby wsadzać do ust coś, co miało kontakt z cudzą śliną... Nawet jeśli mówią, że w tym jest naturalny środek bakteriobójczy i zachodzi mniejsze ryzyko infekcji niż od całowania...

Całowanie też jej za bardzo nie kręciło.

Powiedziała szorstkim tonem.

– Korzystajcie szybko. Tam, po drugiej stronie doliny, to już światła watu. A wiecie, co oni myślą o narkotykach.

\* \* \*

– Peg, kochana! Peg, jak się cieszę. A ty jesteś Felice, prawda?

Wysoka, bardzo ciemna, emanująca majestatem, czego Peg jej zawsze zazdrościła – bo to może odstraszałoby trochę natrętnych mężczyzn – Zena uściskała ją i zaprosiła ich wszystkich do osobliwej, niekształtnej jaskini, która była jej domem – wspaniale cieplej mimo ogrzewania ledwie paroma

żarówkami, tak świetnie była zaizolowana, a pachnącej przepyszny aromatem fasoli i ziół.

– A jak tam Rick? A dziewczynki?

– Świetnie. Dopiero co je położyłam, nie będę ich teraz budzić. Ucieszą się z rana, jak cię zobaczą. Felice, kochana, jak mi miło wreszcie cię poznać, Decimus tyle mi o tobie mówił i tak ubolewał, że się pokłóciliście.

I ją także ucałowała.

\* \* \*

Tymczasem Hugh czekał przy drzwiach z miną, która Peg wydała się jakby wygłodniała. Jakby nigdzie na świecie i nigdy w życiu nie zaznał tak wylewnego przywitania. Zrobiła co mogła, żeby rozwiać to wrażenie – przedstawiła go reszcie mieszkańców wату, w miarę jak przychodzili. Tęgi Harry Molton, brodaty Paul Prince i jego ładna żona Sue, Ralph Henderson, który od ostatniego spotkania całkiem wyłysiał, oraz kilkoro nowych. Tak. Oczywiście, że ich przyjmą i ugoszczą. Takie mają zasady. Traktowali to dosłownie – naprawdę częstowali chlebem i solą.

\* \* \*

Później Zena, prowadząc ją do wolnego łóżka, wspomniała, jaką plagą są dla nich ludzie, którzy podają się za trainistów, ale tak naprawdę nimi nie są: chcą niszczyć, palić, mordować, a kiedy nie znajdują w wacie poparcia dla swoich agresywnych planów, po tygodniu czy dwóch znikają.

## BRZYTWA DLA TONAĆEGO

*...ponad wszelką wątpliwość jest urugwajski. W związku z tym rząd Hondurasu zawnioskował o linię kredytową na milion dolarów, którą wykorzysta na zakup broni i pilnie potrzebnego zaopatrzenia, oraz zwrócił się do Waszyngtonu o pomoc*

w zwalczaniu Tupamaros. Pentagon godzinę temu poinformował, że lotniskowiec Wounded Knee przerywa rutynowe patrole na Atlantyku i rusza z lotami rozpoznawczymi nad obszarem kontrolowanym przez rebeliantów. Prexy, tuż przed wylotem do Honolulu na urlop, powiedział, cytując: „Jak się wyrywa orłu pióra z ogona, to w końcu musi dziobnąć”. Koniec cytatu. Prezes Audubon Society, dr Ike Mostyn, z którym skontaktowaliśmy się w jego domu w Wirginii, oświadczył, że rzekome informacje sprzed trzech lat o parze bielików amerykańskich zakładających gniazdo okazały się wymysłem. Nowy Jork: profesor Lucas Quarrey z Uniwersytetu Columbia, atakowany ostatnio przez prasę i telewizję za rzekomo antyamerykańskie wypowiedzi, oświadczył dziś rano na konferencji prasowej, że jego umowa na badania nad ulepszonymi filtrami dla samolotów została zerwana bez uprzedzenia. Zapytany, czy to z powodów politycznych, odpowiedział...

## RIPOSTA

Łódź, oddalona o czterdzieści mil od Medano, prawie dokładnie na zachód od granicy między Kalifornią i Zatoką Kalifornijską, kołysała się w górę i w dół, bardzo powoli dryfując w leniwym pacyficznym prądzie.

Noc śmierdziała nawet w takiej odległości od brzegu. Morze falowało leniwie, embrionalne fale zdychały zanim się narodziły, tłumione przez otaczającą kadłub warstwę tłustych zanieczyszczeń, nieprzenikalną jak folia: mieszaninę detergentów, ścieków, chemii przemysłowej i mikroskopijnych włókien celulozowych pochodzących z papieru toaletowego i gazet. Ponad powierzchnię nie wyskakiwała żadna ryba. Nie było żadnych ryb.

Sternik łodzi był od urodzenia ślepy na jedno oko. Nieślubny syn kobiety, która pojechała do Kalifornii zbierać winogrona, nawdychała się przy nich jakiegoś środka na owady i zmarła. Zajął się nim pewien opiekuńczy ksiądz. Przeżył, poszedł do szkoły, dostał państwowe stypendium. Teraz znał się na fizyce, chemii, meteorologii, spalaniu i toksykologii.

Był także Tupasem, ale to się rozumiało samo przez się.

Kalendarz twierdził, że jest pełnia. Może i tak, choć nie było jej widać, jak zwykle zresztą – podobnie jak słońca. Na achterdeku leżały dwadzieścia cztery ogromne balony, jak wypatroszone rybie skóry, lekko połyskujące w świetle latarki. Były i butle ze sprężonym wodorem. I dwadzieścia cztery starannie wyliczone ładunki. Można było mieć pewność, że balony uniosą je na wysokość około dwustu metrów, a potem w stronę brzegu, z prędkością dziewięciu, dziesięciu kilometrów na godzinę. Przetną się z wybrzeżem mniej więcej w okolicach miasta San Diego.

\* \* \*

Roger Halkin był wyczerpany. Napięcie, takie jak w ciągu ostatnich kilku dni, sprawiało, że cukrzyca dawała mu się we znaki. Mimo to wszystko już było gotowe na rano – wszystkie delikatne przedmioty poowijane, wszystkie płyty i książki popakowane, a dom cały zastawiony kartonami czekającymi na facetów od przeprowadzki.

– Chcesz łyka brandy, skarbie? – zapytała Belinda.

– No, troszeczkę mogę zaryzykować – mruknął. – Przyda mi się jak nie wiem.

Nie wyglądał i nie brzmiał jak ktoś, kto właśnie awansował na wiceprezesa firmy. Powodów miał całą masę. Jak rzucił do Belindy z wisielczym humorem, będzie wiceprezesem na stypie po firmie. Dzisiaj też przyszły złe wiadomości, gorsze, niż ktokolwiek się spodziewał. To znaczy, ktokolwiek poza Tomem Greyem; ten zimny truposz żyjący w symbiozie z wyliczonymi na komputerach trendami pewnie od dawna wiedział, albo chociaż podejrzewał.

Dla nikogo nie było tajemnicą, że Angel City mocno oberwało po katastrofie w Towerhill, człowiek spodziewałby się jednak, że to obciążenie się jakoś rozłoży – regularnie reasekurowali się nawet w samym Lloydzie w Londynie – a po drugie, sprawa odszkodowania od przewoźnika lotniczego, którego naddźwiękowiec wywołał lawinę, też wydawała się czysta.

Jednakże rano dowiedział się, że linia lotnicza będzie walczyć, twierdzi bowiem, że to nie grom dźwiękowy spowodował katastrofę, ale trzęsienie ziemi; zaczęły się zdarzać w Denver około roku 1962 i teraz były całkiem częste. Proces będzie się ciągnąć z rok i kosztować z milion. Kiedy więc jutro zajmie miejsce Billa Chalmersa, jego pierwszym ruchem musi być pozbycie się połowy działu, za który niby miał odpowiadać – przedstawicielstw regionalnych Angel City.

– Jakbym tylko dostał w swoje ręce tego pieprzonego debila z Denver, tego Philipa Masona – cedził przez zaciśnięte zęby. – Rozerwałbym go na strzępy. I to nie tylko ja...

Przerwał mu okrzyk dochodzący z tyłu domu, gdzie leżał w łóżku ich syn Teddy. Miał osiem lat i zaliczał się do szczęściarzy – nie było mu nic poza sporadycznymi atakami astmy. Odkąd dowiedzieli się o szybkiej przeprowadzce do L.A., cały czas czekali na kolejny atak, choć jak na razie udawało się go uniknąć.

– Mamo! Tato! Chodźcie, zobaczcie, są fajerwerki!

– Jezus, czemu ten dzieciak jeszcze nie śpi?! – Halkin zerwał się na równe nogi. – Ja mu dam fajerwerki!

– Rodge, nie złość się na niego! – Belinda pobiegła za nim.

A dzieciak nie był ani w łóżku, ani nawet w swoim pokoju. Był na patio i gapił się w niebo. Nad miastem nie było widać niczego, poza żółtawym odbiciem światła na nisko wiszącej mgiele, przesłaniającej gwiazdy od października.

– Do środka! – wrzasnęła Belinda, wyprzedzając męża i unosząc chłopca w powietrze. – Ile razy mam powtarzać? Nigdy nie wychodzisz na zewnątrz bez maski!

– Fajerwerki widziałem! – zawył chłopiec. – Zaraz za oknem! Chcę patrzeć!

– Nie widzę żadnych fajerwerków – burknął Halkin, rozglądając się. – Może ci się przyśniły. Wracajmy do środka. – Od nocnego powietrza zaczęły go szczypać powieki. Już wyobrażał sobie kolejne noce siedzenia przy łóżku Teddy'ego i pilnowania maski tlenowej, a to była ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebował. Jutro musi być przytomny i ogarnięty.

– O, tam! – krzyknął Teddy i zaczął sapać, charczeć i dławić się.

Odruchowo unieśli wzrok. Tak, tuż nad głowami. Coś bardzo jasnego, jak kwiat płomieni!

Coś huknęło w spadzisty dach domu, chlusnęła fala ognia, przywarła do ich ubrań, do skóry. I zginęli, z krzykiem. Bardzo dobry napalm, najlepszy amerykański, firmy Bamberley Oil.

## ŚRODKI ZAPOBIEGAWCZE

W zeszłym tygodniu dwa razy ktoś szedł za nim do domu – ten sam facet, który po raz pierwszy pokazał się dziesięć dni temu, na stacji przeładunku śmieci kolei SCRR, gdzie ładowano je na wagony, żeby przewieźć na wysypiska w głębi kraju. Rzekomo interesował się pomysłem na rekultywację pustyni poprzez kompostowanie jej domowymi śmieciami oczyszczonymi z metalu i plastiku, tak naprawdę jednak bardziej ciekawili go sami ludzie niż ich praca.

Jeśli nie policjant, to zapewne dziennikarz. Austin Train spróbował się skontaktować z Peg Mankiewicz, ale w jej byłej redakcji wiedzieli tylko, że wyjechała. Zanim więc doszło do trzeciego razu, zostawił właścicielowi mieszkania czynsz na resztę miesiąca i pojechał autobusem na północ od San Francisco. Tam też było aż nadto śmieci.

A w głowie zaczynało mu się klarować coś, czego nie chciał zakłócać blaskiem odzyskanej sławy.

## WEŹ SIĘ W GARŚĆ I PRÓBUJ JESZCZE RAZ

Znużony Philip Mason otworzył sobie drzwi do domu, powiesił na wieszaku płaszcz i maskę. Denise, gdy tylko usłyszała, że wchodzi, przybiegła, żeby go przywitać – i zamiast uściskać go zdawkowo, objęła mocno i wcisnęła mu język do ust.

– Jesteś w stanie, po tym, co ci zrobiłem? – mruknął, gdy ich usta wreszcie się rozdzieliły.

– Ty głupolu! – Brzmiała, jakby płakała, twarz miała jednak przyciśniętą do jego policzka, więc nic nie widział.

– To już pewne. Zwolnili mnie, a całą filię sprzedają jakiejś innej firmie...

– Debilu! Wyszłam za ciebie, bo cię kocham, a nie żeby zakuwać cię w kajdany! Z tobą brałam ślub, a nie z twoją pracą! W zdrowiu, w chorobie... i cały ten szajs.

– Nie zasługuję na ciebie – powiedział. – Przysięgam... a wiesz co? – Coś nagle wpadło mu do głowy. – Pamiętałaś może, żeby do Douglasa zadzwonić?

Zaczęli nazywać doktora McNeila po imieniu.

Zachmurzyła się.

– Tak.

– I co powiedział?

– Poprawia się, ale jeszcze nie jest wyleczone. Jeszcze miesiąc. To i tak lepsza wiadomość niż przedtem... – Wzięła go za rękę. – Kochanie, chodź do salonu. Jest Alan i właśnie robiłam mu drinka.

– Alan Prosser? Czego chce?

– Pogadać z tobą. Tak powiedział. No chodź.

– A dzieci gdzie? Nie ma ich?

– Nie, są u Henlowesów. Lydia ma urodziny. Przyjdą gdzieś za godzinę.

\* \* \*

Przywitawszy się, Alan rozparł się w wielkim fotelu i przyjął nalanego przez Denise drinka.

– Ty szczęściarzu – powiedział do Philipa.

– Ja? – Philip z kwaśną miną opadł w swój fotel.

– Pewnie! Masz piękną żonę... – Denise znalazła się w zasięgu ręki, klepnął ją więc po tyłku, wywołując blade uśmiech – ...superdom, zadbane jak trzeba... Jezus, mój to jedna ruina!

– To nie masz... ten, gosposi jakiejś czy coś? – zapytała Denise. Spotkała Alana tylko parę razy i nigdy za wiele nie mówił o swoim życiu prywatnym.

– Próbowałem. – Alan zrobił smętną minę. – Zatrudniłem taką dziewczynę z Dominiki.

– A, z tej wyspy, gdzie wycięli wszystkie drzewa? – wtrącił Philip, raczej dla podtrzymania uprzejmej rozmowy niż z rzeczywistego zainteresowania.

– Tej wyspy. Teraz cały czas mają tam burze pyłowe, nawet do Trynidadu sięgają, tak słyszałem. Brzmi paskudnie. Ale laska nic a nic się nie sprawdziła. Pewnie, ładna, sympatyczna i w ogóle, ale... musiałem jej praktycznie pokazać, jak się korzysta z kibla, rozumiesz? Więc kiedy musiała wracać do domu, bo matka jej się rozchorowała, nawet mi jej nie brakowało... Ale widzę, że myślisz nie tyle o swoim szczęściu, ile o swoich kłopotach. Bo masz kłopoty, prawda?

– Denise ci powiedziała czy się domyśliłeś?

– Ani to, ani to. Mam dobre finansowe wtyki w całych Stanach. A o Angel City wszyscy gadają, i to głośno. Ciężko nie usłyszeć. Miałem akcje Angela – ubezpieczalnie są dobre, im gorzej, tym bardziej im żre – ale parę tygodni temu pozbyłem się całego pakietu. Zbankrutują, myślisz, czy sprzedadzą zamiejskowe oddziały i skupią się na Kalifornii?

– Oczywiście, że pozbędą się wszystkiego, co niekluczowe. – Philip popatrzył na Alana z nowo nabytym szacunkiem. Firma stawała na rzesach, żeby ukryć fakt, że przez poniesione straty stanęła na krawędzi upadku; kurs akcji spadł zaledwie o dwadzieścia czy trzydzieści procent, choć powinien o dziewięćdziesiąt. – W tym oczywiście i mnie – dokończył. – Dostałem kopa na rozpęd, już są rozmowy z jakąś nowojorską firmą, która chce wziąć oddział, ale obsadzi go swoimi ludźmi. Na ten moment jestem bezrobotny.

– Nie, wcale nie jesteś.

– Co takiego?

– Masz jakieś pieniądze? Albo możesz zorganizować?

– Zaraz... chyba nie rozumiem...



– Większymi literami, tak? – Alan machnął szklanką w powietrzu. – Masz jakąś kasę? Polisę na życie, pod którą możesz coś pożyczyć? Kredyt z banku? Oszczędności?

– No cóż, tego, co ojciec zostawił Dennie, nigdy nie ruszaliśmy... no, ale! Gadaj, o co chodzi!

– Mówię ci, że wcale nie jesteś bezrobotny. Chyba że z własnej woli. Kojarzysz, mówiłem ci, że straciłem wspólnika, Buda Burkhardta. Mówiłeś, że go znasz?

– Pewnie. Co z nim?

– Po pierwsze, to myślę, że to kretyn, że się przeniósł do Puritana. Więc nie żałuję, że już z nim nie mam...

– On pracuje teraz w Puritanie? – przerwała Denise. – Ten facet, którego poznaliśmy, gdy wymienialiśmy rury w poprzednim domu?

– Dokładnie. – Alan kiwnął głową. – Jest szefem sieci w Towerhill.

– No tak, to teraz rozumiem – odparła i zagryzła wargę. – To jest teraz... no, nie do końca wymarłe, ale... – Machnięcie wypielegnowanej dłoni.

– Nie, nie o to mi chodziło – powiedział Alan. – Puritan ma taką żonę na wszystkim, co sprzedaje... kurna, gość pewnie już zarobił tam dwa razy tyle, co u mnie. Ale trainiści wzięli Puritana na celownik. Co, nie wiedzieliście?

– Ja nie wiedziałem! – Philip pochylił się w fotelu. – Mam trochę akcji Puritana. Zawsze myślałem, że to pewniaki. Mówią, że oni należą do Syndykatu, prawda?

– Bo należą. Ale trainistów nie można już lekceważyć, a są tak uparci, że każdego mogą zaatakować. Poza tym, co taki Syndykat może im zrobić?

– Mów wszystko! – rzucił niecierpliwie Philip. – Ja i tak już trochę wtopiłem, nie chciałbym stracić tego, co mi zostało.

– No wiesz, u mnie pracuje kupa trainistów... bo do tej branży nic nie mają, dostarczanie czystej wody i transportowanie ścieków tam, gdzie można je wykorzystać, i tak dalej. Ja tam ich alarmistycznych poglądów nie podzielam, ale goście są sumienni, obowiązkowi, przychodzą punktualnie... – Miał pustą szklankę. Kiedy uniósł ją do ust, Denise wstała, żeby mu dolać. – Dziękuję. I właśnie, ci, co u mnie robią, mieszkają na

wacie koło Towerhill. Któregoś dnia usłyszałem, że mają taki ogólnokrajowy projekt. Kupują żywność w Puritanie i analizują ją.

– To oni umieją? – zdziwiła się Denise.

– Wychodzi na to, że tak. To nie są jakieś prymitywy, wiesz, połowa ma niepełne wyższe, ale czegoś tam się nauczyli. Podobno na każdym wacie jest co najmniej jeden chemik, który ciągle sprawdza ich jedzenie, czy nie ma w nim nic szkodliwego.

– Brzmi sensownie. – Philip kiwnął głową z aprobatą. – Szczególnie jeśli chodzi o dzieci.

– No wiesz, nie myśl, że potępiam wszystkie ich pomysły. Dzięki... – Denise podała mu szklankę z powrotem. – Tylko te co bardziej ekstremistyczne. Przyznam się, że jakbym miał dzieci, to pasowałoby mi, żeby ich jedzenie było stale analizowane.

– Nam też! – powiedziała z naciskiem Denise. – Ale dowiadaliśmy się... i cena...

– Mnie tego nie mówcie. – Alan się nachmurzył. – Wiecie, że kupiłem ten dom, kiedy się z Belle pobraliśmy, i potem sprzedałem, kiedy ona... kiedy zginęła. – Bezwiednie zgiął palce, żeby dotknąć blizny na dłoni. – No i parę dni temu dostałem pismo od gościa, który go kupił, że dał ziemię z ogrodu do zbadania i jest toksyczna, bo pod spodem jest dawna hałda kopalniana. I że pozywa mnie do sądu.

– Ale to niesprawiedliwe! – wykrzyknęła Denise.

– Pewnie sam zrobiłbym to samo, jakby... ale pies go trącał! – Pociągnął nowego drinka. – Prawnicy mówią, że to jest ryzyko kupującego, więc gość może mi nagwizdać. Ale jak pomyślę, co by się dzieciom mogło stać... – Wzdrygnął się.

– Zaraz, mówiłeś o tym swoim eks-wspólniku – przypomniał Philip. Od dłuższego czasu dręczyła go wizja, że stanie się nie bezrobotnym, ale niezatrudnialnym, jak tysiące innych ludzi; ta kusząca mętna obietnica Alana była intrygująca i chciał się dowiedzieć więcej.

– A! Tak! Miałem powiedzieć, że odkąd zrezygnował, mam potąd roboty, sam muszę pilnować całego biznesu! A ja nie jestem sprzedawcą! Jestem praktycznym typem. Zawsze się chwale, że nigdy nie zatrudniłem nikogo

do rzeczy, których sam nie umiem zrobić. Zaczynałem od układania rur, od kopania rowów, dalej dam sobie radę z każdym z tych leniwych ciuli, których zatrudniam. Ale... w głowie aż mi się przelewa od pomysłów, których nie mam czasu zrealizować! Po drugie, kiedyś może chciałbym się znowu ożenić, a nie mam czasu, żeby rozejrzeć się za dziewczynami!

– Pewnie, że powinieneś się drugi raz ożenić – powiedziała Denise. – Świetny byłby z ciebie mąż.

Alan skrzywił się.

– Jasne, świetny jak cholera. Wraca o północy, wychodzi o siódmej... No, ale nie o to chodzi. Chodzi o to... – jednym haustem dopił drugiego drinka – Phil, ja potrzebuję pomocy. Muszę mieć kogoś, kto ogarnie biznes od strony księgowej i administracyjnej. Jeśli w to wchodzisz, wystarczy dziesięć tysięcy, może być nawet i pięć, i jesteś moim wspólnikiem. Bo mam na oku jedną rzecz, której sam nie opędzę. – Zgarbił się i ciągnął, zanim Philip zdążył coś powiedzieć. – Popatrz tylko, co się dzieje w całym kraju... na całym świecie właściwie. Byłeś ostatnio w L.A., na ten przykład. I co, jak tam woda?

– Taka, że rzygać się chce – powiedział Philip.

– A na plaży byłeś?

– A kto by tam chodził?

– No właśnie. Kto by tam chodził? Masochiści, których kręci zapalenie gardła i rozstroje trawienne! Kto w ogóle jeszcze pływa, chyba że w prywatnym basenie? To nie jest bezpieczne. Kurde, ja znam laski, które myją twarz tylko butelkową, na wypadek gdyby nalało im się do ust.

Philip zerknął na Denise, która zdecydowanie kiwnęła głową.

– Dzieciom myję butelkową – powiedziała. – Na wszelki wypadek.

– No widzicie... A teraz coś wam pokażę... Cholera, wydawało mi się, że przyniosłem torbę? – Alan się rozejrzał.

– Pod fotelem – rzuciła Denise.

– O. Dzięki. – Wyciągnął czarną teczkę, a z niej parę jaskrawych folderów.

– Proszę, najnowszy bajer z firmy Mitsuyama. Domowa stacja oczyszczania wody. Działa na wkłady, odnawialne. Tanie to jest,

kompletna instalacja jakieś sześć stów. Wkłady po pięć dolców, przeciętnej rodzinie starczą na miesiąc, sprzedaje się w paczkach po sześć, kupa stałego przychodu. Odnowia się je przez gotowanie w roztworze, który kosztuje piętnaście centów za galon – choć tego się oczywiście klientom nie mówi. Cholera, zrobić odpowiednią promocję i w niecały rok będziemy je mieć w każdym domu w Denver, a potem zabierzemy się za stan!

– Sześćset dolarów? – Philip zmarszczył brwi, przewracając błyszczące kartki foldera. – Nie wygląda na to, żeby marża była za duża, co? A jeszcze robocizna...

– Robocizna? Nawet ja jestem w stanie to coś zamontować, w pół godziny od wejścia do domu!

– No dobra. Chcesz otworzyć ich przedstawicielstwo na miasto. – Philip poczuł, że serce nagle zabiło mu w piersi. Alan miał rację: coś takiego miało gigantyczny potencjał handlowy.

– Wolalbym na cały stan, jak się da. – Alan stęknął. – Nawet wydaje mi się, że to jest do załatwienia. Mój dawny wspólnik Bud... przekonałem go, że wisi mi przysługę, a nie jest aż tak głupi, żeby nie pamiętać, że sam może kiedyś będzie potrzebować pomocy. Ma paru znajomych w Colorado Chemical. Gadałem już z nimi, pomysł im się podoba, a jeśli dam radę ich przekonać, że będę w stanie obsłużyć taki obrót, to mnie poprą – złożymy o pięć procent lepszą ofertę niż wszyscy inni.

Rozparł się w fotelu z uśmiechem zadowolenia.

– No... nie wiem, czy ja bym się im spodobał – rzekł po chwili Philip. – Angel City raczej nie da mi najlepszych referencji, wiesz.

– Pies srał na Angel City! – Alan machnął nonszalancko ręką. – Wyjaśniłem im, jaki mam pomysł na promocję, i spodobał się tak, że mogę sobie zatrudnić choćby i Fidela Castro, a nawet nie pisać.

– A jaki konkretnie?

– Pamiętasz tego czarnego kolesia, który okazał się bohaterem, w Towerhill, kiedy przyszła lawina? Policjanta... jej, jak mu było? A, Peter Goddard.

– To on nie jest sparaliżowany? – wtrąciła Denise.

– Już dochodzi do siebie. Chodzi nawet, jest w stanie przejść przez pokój. Czy raczej przekuśtykać... ale to na razie. Tak czy owak, do policji z powrotem go nie wezmą. Ale byłem jakiś czas temu tam w szpitalu, gadałem z jednym znajomym lekarzem, poznałem przez niego wuja tych dzieciaków, które uratował. Gość ma w chuj kasy! Importuje pszczoły. No i właśnie zaczął gadać o tym biedaku, co nie może wrócić do pracy, że pokrył mu koszty leczenia, no ale nie może wypłacać mu dożywotniej renty za jeden dobry uczynek, i wtedy pomyślałem sobie: jasna cholera! Bohater, do tego czarny, trzeba czegoś więcej? A teraz pojawiło się to – pstryk i mnie olśniło! Wszystkie tłuste białe misie – takie jak ja i ty – z czystego wstydu rzucą się do kupowania tych filtrów. A to nam pociągnie resztę biznesu. – Zatarł radośnie ręce. – No właśnie! I powiedz: czy to się wszystko pięknie nie składa?

## RAPORT Z LABORATORIUM

Podsumowanie: W obecności dra Michaela Advowsona, obserwatora ze strony ONZ, dokonano pobrania próbek partii produktu „Bamberley Nutripon”, rzekomo odzyskanego z zawalonej piwnicy w Noshri. Próbkę nie pochodziły z fabrycznie zamkniętego opakowania, nie można zatem wykluczyć zanieczyszczenia poza miejscem produkcji. Próbkę roztworzono w różnych typach rozpuszczalników, a otrzymany preparat poddano standardowej procedurze chromatografii papierowej (podłoże firmy Hansen, typ III). We wszystkich próbkach znaleziono ślady tego samego alkaloidu złożonego, który wcześniej zidentyfikowano w moczu i osoczu ludzi z Noshri, przypominającego zhydrolizowaną pochodną sporyszu. Po podaniu tej substancji zwierzętom laboratoryjnym wystąpiły u nich skurcze mięśni, zaburzenia zachowania, ataki panicznego lęku oraz krew w stolcu. Z bardzo dużym prawdopodobieństwem można stwierdzić, że to ta substancja była czynnikiem sprawczym katastrofy w Noshri; nie da się jednak ustalić, w którym punkcie została wprowadzona do żywności.

## CUDA WSPÓŁCZESNEJ CYWILIZACJI

Drobna sekretarka, ubrana w najelegantsze z modnych rzeczy, w tym oczywiście spódnicę rozciętą do talii, żeby ukazywać w kroku przyszytą do majteczek kępkę błyszczącej waty stalowej, wsłuchiwała się w ultranowoczesny interkom na blacie biurka na wysoki połysk. Dźwięk był oczywiście kierunkowy. W hallu było chłodno i cicho, bo zamiast okien miał kosmoramiczne ekrany, najnowsze urządzenia zapobiegające wdzieraniu się do środka nieprzyjemnej zewnętrznej rzeczywistości. Wszędzie wokół kominy smrodziły przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, a tu patrzyło się na śnieżnobiałe chmurki, błękitne niebo, żółte słońce, ale nie tak jaskrawe, żeby oślepiać. Lepsze niż naturalne, ależ oczywiście.

A do tego, pomiędzy dwiema warstwami szkła polatywały prawdziwe ptaki, przysiadające na prawdziwych gałęziach w swoim klimatyzowanym środowisku. Widok ptaków nie był zwyczajny. Ależ skąd.

\* \* \*

– Pan Hideki Katsamura? – zapytała asystentka.

Pan Katsamura wstał z plastikowego fotela, nieskazitelnie imitującego naturalne futro, bez ryzyka przeniesienia choroby i bez ryzyka negatywnych skojarzeń z tysiącami wymarłych gatunków. Solidny człowiek, głowa rodziny, zamożny, znakomicie mówiący po angielsku, ubrany w poprawny i dopasowany garnitur. Stateczny. Niezbyt nadskakujący i niekłaniający się sekretarkom w pas, jak inni.

Czekał długo, ale był w stanie zrozumieć. Inne, pilniejsze sprawy.

Dziewczyna bardzo nowocześnie otworzyła przyciskiem drzwi do gabinetu doktora Hirasaku.

Później, gdy doktor Hirasaku i jego wicedyrektorzy udzielili jasnych poleceń dotyczących wizyty w Ameryce i wyboru przedstawicieli dla nowego filtra do wody, zajęli się też listami konkurencyjnych produktów, których niższość należy podkreślić, oraz ofertami, które dotychczas wpłynęły, i innymi szczegółami, z którymi należy się uważnie zapoznać, pan Katsamura wrócił do domu – do nowego domu na przedmieściach Osaki, gdzie punktualnie rozlegały się wołania obwoźnych sprzedawców miodu, a woda z gospodarstw domowych spływała środkiem ulicy, starannie zaprojektowanymi kanałkami, co przecznice zmieniającymi się w łuki artystycznych, wzorowanych na starochińskich mostków, typowych dla supernowoczesnych dzielnic-sypialń, rozplanowanych tak, aby ruch był wyłącznie pieszy, bo tego luksusu nie wolno zapychać samochodami. Wszystko prześliczne i wszystko wyłącznie z tworzyw sztucznych.

## WYSTRZĘPIONY RĘKAW

Lot z Paryża do Nowego Jorku, na który wsadzono Michaela Advowsona, miał międzylądowanie w Londynie. Upierał się, że ma być poddźwiękowy. W ramach swojej lekarskiej praktyki z rzadka, choć regularnie, musiał opatrywać oparzenia ludziom wystraszonemu przez grom dźwiękowy, kiedy zdejmowali czajnik z kuchenki.

Wylot z Orly był w rozkładzie o 21.29. Opóźnił się półtorej godziny. Był alarm bombowy i trzeba było przeszukiwać bagaże.

Siedział w pierwszej klasie, skoro ktoś inny płacił za bilet. Gdy wszedł na pokład, był jedynym pasażerem w części przed kotarą. Pierwsza klasa robiła się coraz mniejsza, coraz trudniej ją było zapełnić, więc przewoźnik tylko się cieszył, jeśli jakaś duża międzynarodowa organizacja czy korporacja wysupłała kasę na droższy bilet, żeby wynagrodzić komuś, że wysyła go gdzieś, dokąd nie ma ochoty lecieć.

Jednakże i w drugiej klasie nie było zbyt wielu pasażerów. Teraz się już nie latało nad Atlantykiem, jeśli nie trzeba było, chyba że z brawury. Jeśli nawet twój samolot nie został porwany, ani nie spadł na skutek sabotażu, opóźnienie było pewne.

Ale i podróż statkiem nie była zbyt fantastyczną perspektywą, odkąd zeszłego lata zatonął *Paolo Rizzi*, a tysiąc trzystu pasażerów potopiło się w wodzie zanieczyszczonej stu osiemdziesięcioma tysiącami ton ropy z tankowca, z którym się zderzył.

Jaki z tego morał? Oczywiście: siedzieć w domu.

\* \* \*

Kiedy wyłączyli paskudny muzak, próbował się zdrzemnąć i prawie mu się udało, ale obudziło go polecenie zapięcia pasów do lądowania w Londynie, co zdecydowanie zmniejszyło szanse na zaśnięcie.

W Londynie dwie osoby usiadły po drugiej stronie przejścia. Bliżej niego ładna, jasnowłosa dziewczyna z przygnębioną, smutną miną, a przy oknie ciemnowłosego facet, parę lat starszy od niego. Zachrapał, zanim jeszcze wystartował samolot.

Siedząc w ogromnej, przyciemnionej, izolowanej kabinie, czując się jak Jonasz w brzuchu wieloryba, Michael wkurzał się na los.

Dlaczego ja? Dlaczego akurat mnie należy odrywać od spokojnych irlandzkich pól i rzucać na potworne pola bitewne świata?

Tak, na poziomie intelektualnym dobrze znał powód. Irlandczycy często stanowili trzon sił pokojowych ONZ; a on sam, jako były wojskowy lekarz, teraz rezerwista, który ostatnio zwrócił na siebie uwagę opinii publicznej, bo zrobił aferę o zabijanie krów, które tak naprawdę nie cierpiały na chorobę zakaźną... I nagle wszędzie pojawiły się stada reporterów, których niekompetentnie wspomagali pomniejsi urzędnicy WHO i/lub Komisji ds. Uchodźców. Nie cierpiał życia publicznego, dlatego wybrał spokojną praktykę na wsi, choć mógł wybierać i przebierać pomiędzy wielkimi miejskimi szpitalami, i do czterdziestki awansować na ordynatora, ale



perspektywa wplątania w szpitalną politykę, podporządkowaną komisjom złożonym z urzędników – nie, dziękuję, powiedział. Bardzo stanowczo.

Jednak tym razem nie był w stanie odmówić.

Teraz, kiedy zamykał oczy, widział tę nieszczęsną dziewczynkę, Eileen, która prawie straciła palec u nogi, pomnożoną razy tysiąc i czarnoskórą. Nigdy dotąd nie dotarło do niego, tak do szpiku kości, tak naprawdę, ile szkód potrafi wyrządzić współczesna wojna.

Pokazali mu, w jakim stanie są nadal ludzie w Noshri, ofiary bezmyślnego aktu terroru, nieprzytomne, niezdolne skupić się na najprostszycich zadaniach, a często nawet niepotrafiące się pożywić. Potem wysłali go do Paryża, żeby poznał się z garstką ofiar, które leczyły się w najlepszych szpitalnych warunkach, ponieważ profesor Duval je badał. Miał ze sobą, w teczce przykutej do nadgarstka, próbkę Nutriponu, który znaleziono w piwnicy – czy raczej dziurze w ziemi – podczas jego pobytu w Noshri. Może schował go tam ktoś, kto nie dowierzał, że jutro też będą wydawać jedzenie, a potem zwariował albo zginął, zanim zdążył zjeść resztę. Brał udział w badaniu go, obserwował analizę, przyglądał się, gdy podawali niewielkie dawki laboratoryjnym szczurom i małpom... Nie można już było mieć wątpliwości – produkt był zatruty. Pozostało jednak ustalić jak, gdzie i kiedy.

Zatem teraz do Nowego Jorku, do ONZ. Choć nigdy wcześniej nie oddalił się z Irlandii dalej niż w odwiedziny do krewnych w Glasgow, Liverpoolu i Londynie. Podczas służby w wojsku, gdzie dosłużył się stopnia kapitana oraz munduru, który teraz poczuł się w obowiązku włożyć, skoro podróżował w sprawach państwowych, często rozmawiał z ludźmi z sił pokojowych i wyczuwał wątłą dumę, jaką odczuwali, pełniąc służbę dla sprawy, która dopiero co została wymyślona, a wydawało się, że potężniejsze i bogatsze państwa nią pogardzały.

Próbował wzbudzić tę dumę w sobie. Nieszczególnie mu się udało.

\* \* \*

– Jaki to mundur?

Niespodziewane pytanie od dziewczyny po drugiej stronie przejścia, gdy samolot osiągnął wysokość przelotową.

– Eee... irlandzkiej armii, proszę pani.

– To oni w Ameryce pozwalają, żeby przylatywali obcy żołnierze? – Na jej twarzy pojawił się agresywny, ostro drwiący uśmiech, a głos mocno zabrzmiał sarkazmem.

Westchnął i odwrócił bluzę wiszącą na haczyku z boku siedzenia, ukazując zielono-białą naszywkę ONZ na rękawie. Ludzie na świecie coraz bardziej się siebie obawiali, a więc coraz lepiej rozpoznawali ten symbol w kształcie globu.

– Czyli leci pan do siedziby ONZ?

– Tak.

– Ja też. A pan po co?

– Mam zeznawać przed komisją w sprawie katastrofy w Noshri.

– Ja tak samo.

Zamrugął ze zdumieniem.

– Co, nie wierzy mi pan? – Ton lekko drwiący. – To nie wie pan kim jestem. Lucy Ramage. Pielęgniarka. Pracowałam w Noshri. Na własne oczy widziałam, co zrobiły te diabły. – Niesamowicie brzmiały te słowa w bucującym, słabo oświetlonym walcu samolotu. – I chcę, żeby cały świat się dowiedział. Wie pan, że mnie zamknęli, żebym siedziała cicho? Powiedzieli, że ześwirowałam, i zamknęli mnie w szpitalu dla umysłowo chorych. Zresztą może to i prawda. Każdy by ześwirował, gdyby przez to przeszedł. Ten facet, który śpi, to on mnie wyciągnął. Siedziałabym dotąd za kratkami, gdyby nie on. Señor Arriegas, tak się nazywa, ale ja mogę mówić do niego Fernando. Pracuje w ambasadzie Urugwaju w Londynie.

Gdy wymieniła nazwisko, Michaelowi coś zaświtało – słyszał o niej od jednego lekarza z Noshri, ogromnego Szweda, Bertila czy jakoś tak. Ale wzmianka o Urugwaju zmieniała całą perspektywę. Po co, u licha, Tupamaros mieliby się interesować jakąś pielęgniarką... skąd? Z Nowej Zelandii? Pracującą w Afryce? Tylko dlatego, że nie przepuszczali żadnej okazji, by wzbudzić antyamerykańskie resentymenty? Wszyscy wiedzieli, że są zgorzkniali: kiedy przejęli władzę pośród chaosu wywołanego przez

ich sabotaże i ataki w stylu Robin Hooda, Stany wywaliły Urugwaj z Organizacji Państw Amerykańskich, tak jak wcześniej Kubę, a potem spróbowały usunąć go także z ONZ. Dzięki wspaniałej kampanii sekretarza generalnego, który zyskał sobie poparcie nie tylko obu bloków komunistycznych, ale i garstki nominalnie neutralnych państw, wniosek w głosowaniu przepadł z kretesem.

Tak więc wściekły Waszyngton stanął przed wyborem: albo wypędzi ze swojego terytorium całą ONZ – prawdę mówiąc, ten ruch miałby całkiem niezłe poparcie – albo musi pozwalać tym zaprzysięgłym marksistom-maoistom na wjazd do Stanów. Kompromisem była zgoda na wjazd, ale tylko na paszportach ONZ, nie ojczystego kraju. Była to fikcja i wszyscy dobrze o tym wiedzieli, ale przynajmniej cały świat nie zjednoczył się przeciwko Ameryce.

\* \* \*

Kiedy to wszystko analizował, Lucy cały czas gadała. Usłyszał, jak mówi:  
– Wie pan, w domu, w Nowej Zelandii, to ja za bardzo o polityce nie myślałam. Nigdy nawet nie głosowałam. Jakbym głosowała, to pewnie na liberałów. Poszłam do Globe Relief tylko dlatego, że to była okazja do podróżowania, żeby zobaczyć świat, zanim wyjdę za mąż i się ustatkuję. Nowa Zelandia jest świetna dla dzieci. Widzi pan, mam trzy siostrzenice, jednego siostrzeńca i wszyscy są zdrowi. Tylko że potem zobaczyłam w Noshri te wszystkie okropności i dotarło do mnie, że to, co się mówi o Amerykanach, to nie jest tylko propaganda, to wszystko prawda. A pan był w Noshri?

– Tak. – Poczul własny głos w gardle jak żwir. Z każdą minutą coraz bardziej uświadamiał sobie, że dziewczyna jest, delikatnie mówiąc, rozkojarzona. Miała wszystkie objawy: rozbiegany wzrok, ciągłe gadanie wysokim głosem, emocje bez związku ze słowami. Ale jak przerwać tę nieproszoną rozmowę, żeby się nie obraziła? Na pewno zrobi wielką aferę.

– Tak, tak, w Noshri widziałam, co robią imperialiści – ciągnęła Lucy, gapiąc się przed siebie. – Bogate kraje zniszczyły wszystko, co miały,

i poszły kraść od ludzi, którym coś jeszcze zostało. Po miedź, cynk, cynę, po ropę. Oczywiście i drewno, którego robi się coraz mniej. – Brzmiała, jakby recytowała wyuczoną na pamięć listę. Pewnie tak było. – A teraz wymyślili sobie nowy sposób, żeby to osiągnąć: sprawić, żeby wszyscy zwariowali, żeby nie dało się zorganizować silnego, niezależnego, stabilnego rządu. W Noshri prawie się udało. Udałoby się, gdyby nie generał Kaika, więc próbują w Hondurasie.

Michael podskoczył. Wiedział oczywiście, że była tam jakaś rewolta, że władze poprosiły Amerykanów o pomoc, ale takie oskarżenie słyszał po raz pierwszy.

– Aaa, nie chce pan o tym rozmawiać, tak? – zapytała dziewczyna. – Pan już ma wyrobione zdanie i nie chce pan go psuć kolejnymi faktami! – Zarechotała i odwróciła się plecami, zwinęła w kłębek na fotelu, podciągając kolana i oplatając je ramionami.

Samolot pełził z bzyzieniem przez czarne niebo, ponad zasłaniającymi Atlantyckimi chmurami. Michaelowi przyszło nagle do głowy, że trzeba by popatrzeć na księżyc. Będąc w Paryżu, nie widział go ani przez chwilę, podobnie jak gwiazd.

Podniósł roletę i wyjrzał. Nie było widać księżyca. Zerknął do kalendarza i stwierdził, że cieniutki sierp już zaszedł, dokładnie wtedy, gdy samolot startował z Londynu.

To teraz w prawo i do domu. (Uświadomił sobie, że jest w tej samej strefie czasowej).

Jakby tak się dało...

---

3 Duch Peppera – technika iluzji pozwalająca ukazywać na scenie półprzejryste kształty, odbite od odpowiednio oświetlonej tafli szkła (przyp. tłum.).

kwiecień

## HEROS NIECH GRA

*Hej, muskularny człowieku!  
Tak, ty!  
Napędzany parą, benzyną i prądem,  
Po którym betonowe i cementowe zostają ślady,  
Opasujesz glob, tresujesz kontynenty, całej Ziemi każesz robić sztuczki,  
Ciebie przywołuję!  
Który pakujesz i konserwujesz jedzenie w niezniszczalnych puszkach,  
Który murowanymi ścianami odgradzasz się od mrozu,  
Który pędzisz kołami po szynach ze lśniącej stali,  
Który mnożysz produkty i majątki, a pożerasz lasy,  
Który orzesz bruzdy na bezludnych równinach,  
Szybujesz wyżej od orła, płyniesz szybciej niż rekin,  
Przerzucasz światowe bogactwo i cuda czynisz, cuda,  
Ciebie wychwalam, ciebie sławię pod niebiosami...*

„Song of the States Unborn”

[Pieśń o nienarodzonych państwach], 1924

## OFIARA I WOJNY ŚWIATOWEJ

– Robię co w mojej mocy – powiedział Gerry Thorne urażonym tonem.

I słusznie. Zarówno on, jak i Moses Greenbriar całkiem nieźle zarabiali na transportach humanitarnych z farmy hydroponicznej Bamberleya – przez lata, z pół centa za każdą nakarmioną osobę uzbierała się niezła sumka. Co więcej, parę lewicowych i centrowych grup w Kongresie, prawda, ostatnio nielicznych, nalegało na wykupienie Nutriponu przez organizacje w rodzaju Ziemskiego Funduszu Wspólnotowego, żeby móc wydawać posiłki charytatywne w dużych miastach, gdzie prawicowi burmistrzowie ciągli budżety socjalne do zera. Podczas ostatniej zimy głód wcale nie był tam rzadkością.

– Ale cudów nie sprawię – dodał.

A może? Może to tylko sztuczki iluzjonistyczne. Takie jak jego letni dom na Wyspach Dziewiczych, wspaniała, z wysokimi kamiennymi-drewnianymi ścianami i werandą, na której całkiem często można było posiedzieć na zewnątrz – o ile tylko wiatr wiał z południa, a nie od zgniłej kałuży Zatoki Meksykańskiej czy wielkiego ściekowego wiru Morza Sargassowego. I mniejsza o to, że trainistyczny jad dotarł nawet tam – i patrząc na morze, widziało się nikiący rysunek czaszki i puszczeli. Nikt nie miał za złe tego luksusu u człowieka, który dorobił się na Słusznej Sprawie. Mógł przecież zatrudnić się w DuPont.

Ale najbardziej niesamowite było to, że można tam było jeszcze pływać; choć czasami z Prądem Kanaryjskim przypląwał syf z Europy, jednak dominujący Prąd Antylski miał źródło u stosunkowo czystego wybrzeża słabo rozwiniętej części Ameryki Południowej. Dzisiejszy poranny biuletyn Straży Przybrzeżnej mówił, że woda jest w porządku, więc Elly Greenbriar i Nancy Thorne postanowiły przekonać się o tym na własnej skórze.

\* \* \*

– Ale skąd się ten szajs wziął? Ta trucizna, narkotyk, czy co to tam było!  
– Pytanie Thorne’a było retoryczne, właśnie to miała ustalić komisja śledcza ONZ.

– No, na pewno nie z fabryki – powiedział Greenbriar i upił łyk dzinu. – Poprosiliśmy Federalne Biuro Narkotykowe o najlepszego kryminologa-chemika, przebadał pięćdziesiąt losowych próbek z magazynu. Wszystko czyste. W przyszłym tygodniu damy komisji jego raport. I tak za wiele to nie pomoże.

– Pewnie nie. Teraz wszyscy są przeciwko nam, od parszywych izolacjonistów, co to „nie rozumieją, czemu rozdajemy nasze cenne jedzenie niewdzięcznym sukinsynom”, aż po samych niewdzięcznych sukinsynów. Zawsze tak jest, dementi nigdy nie rozchodzi się tak dobrze jak plotka. Na przykład, słyszałeś o tym nalocie na San Diego? Jakiś rąbnięty dzieciak-Tupas z Meksyku, no, słyszałeś? Było wczoraj u Petronelli Page! Tupas-Meksykanin! Przyszło mi do głowy, że całkiem to pasuje.

– Nalocie? – burknął Greenbriar. – Nalotach, w liczbie mnogiej. Sophie, moja siostra cioteczna, mówiła, że co najmniej trzy już były.

– Ile?

– Trzy. Ona dwadzieścia lat tam mieszka, ale wczoraj mówiła przez telefon, że nie wie, czy się nie przeprowadzić z powrotem na wschód. Po pierwszym nalocie był kolejny – i to chyba nie była ta sama banda, bo tym razem użyli termitu, nie napalmu – a potem trzeci, spalił cały kwartał czynszówek dla czarnych.

– Skurwysyny – mruknął Thorne. – Żeby palić ludzi z domami! – Wzrokiem odprowadzał statek, którego niewyraźny kształt wyłonił się z mgiełki na północy.

Nowy, nowoczesny, jedna z tych przetwórci ryb, które przydenną siecią wyciągają kalmary ze stosunkowo czystej, głębokiej wody. W płytkiej wodzie ryby były teraz albo tak rzadkie, że zaporowo drogie, jak dorsz i śledź, albo potwornie skażone niebezpiecznymi substancjami, na przykład rtęcią. Natomiast kalmary były stosunkowo bezpieczne.

– To drugi czy trzeci dzisiaj? – zapytał Greenbriar.



– Trzeci. Dobry sezon na połowy... A, ty pewnie mówiłeś już tej swojej kuzynce, żeby się przeprowadziła?

– Powtarzałem jej ciągle, od tego trzęsienia ziemi w L.A. w siedemdziesiątym pierwszym, ale na sprzedaży domu musiałaby wtopić... Choć chyba i tak w końcu się zdecydowała.

– À propos wtapiania – mruknął Thorne. – Miałeś akcje Angel City? Greenbriar uśmiechnął się żałośnie.

– Ja też. A tu proszę, przebiły dno. Przeniosłem się na Puritana, ale i tak kupę kasy straciłem.

– Posłuchaj mojej rady – powiedział Greenbriar – i z Puritana też zejdziesz, i to szybko.

– No co ty? Przecież to firma Syndykatu, nie? Najsolidniejszy papier na Ziemi.

– No tak, jasne, Syndykat czego się tknie, zamienia w złoto. Ale... – ściszył głos – różne plotki się słyszy. Fakt, może to tylko gadanie. Ale...

– Co się niby słyszy?

– Że trainiści wzięli ich na celownik.

– Niemożliwe! – Thorne podskoczył w fotelu. – Przecież trainiści są po ich stronie i zawsze byli!

– To czemu robią teraz masowe analizy produktów Puritana?

– A robią? Kto mówi, że robią? Zresztą, nawet gdyby, to co z tego? Wiesz dobrze, jakiego świra mają na punkcie tego, co jedzą.

– Takiego świra, żeby zatrudnić sobie Lucasa Quarreya z Columbii?

Thorne wytrzeszczył oczy.

– To prawda – powiedział Greenbriar. – Znam kogoś, kto go zna, zresztą od czasu do czasu robi drobne zlecenia dla Trustu. Podobno parę dni temu ktoś dyskretnie się z nim skontaktował i zapytał, czy nie pokierowałby projektem, który chemicy trainistów już rozpoczęli.

Thorne rozdziawił usta w kształt litery „O”.

– No ładnie, to niezła zmiana frontu, co? Ale co oni chcą zyskać, atakując jedyną firmę, która skupia się wyłącznie na czystej żywności? Już nie mówiąc o tym, że podskakują Syndykatowi.

– Ja bym zakładał, że chcą ich zmusić do obniżenia cen. Zbiorą dane o różnych brudach – a w firmie tej wielkości coś musi się czasem przemknąć, co nie będzie tak czyste, jak gadają w reklamie – i wykorzystają, żeby przyłożyć im lufę do głowy.

Thorne potarł podbródek.

– No tak, to by pasowało. Pamiętam jakiś artykuł Traina, gdzie ostro mieszał z błotem ludzi dorabiających się na społecznych lękach o czystość żywności. Ale kto za tym stoi...? Przecież to nie może być sam Train, nie?

– No, raczej nie, bo nie żyje. Popęłił samobójstwo. Wiem z dobrego źródła. Rozumiesz, po tym załamaniu nerwowym już nigdy nie doszedł do siebie. Może ktoś z jego ludzi przejął jego nazwisko? To możliwe. – Greenbriar przekrzywił głowę i głośno pociągnął nosem. – Czuje się wiosnę w powietrzu, nie? Już naprawdę!

– Co takiego? – zdziwił się tamten, tyleż nagle zmianą tematu, jak i samym stwierdzeniem, bo na Wyspach roślinność rosła bujnie przez cały rok.

Greenbriar zachichotał.

– Powąchaj tylko. Fiołki!

Thorne usłuchał: niuch, niuch!

– Racja – powiedział zdziwiony. – Ale za mocny jak na kwiaty?

– Pewnie tak. Hmm! Dziwne! Z której strony wieje wiatr? A, no tak, jeszcze od wody.

Spojrzał na plażę, gdzie Elly i Nancy brodziły po płyćźnie. Wyraźnie kierowały się z powrotem do domu.

No cóż, świat jest pełen tajemnic. Thorne wzruszył ramionami.

– Wygląda na to, że wracają na obiad – powiedział. – Pójdę, powiem...

Przerwał mu przeraźliwy krzyk.

Obaj wyskoczyli z foteli. Nancy miotała się w wodzie, a Elly, która wcześniej ją wyprzedziła, biegła jej na pomoc.

– Szybko! – warknął Thorne, odstawił szklanekę na stolik i zbiegł po schodkach na brzeg. Pobiegł prosto do wody, gdzie Elly próbowała podnieść Nancy.

Zapach fiołków zrobił się niesamowicie silny.

– Uwa... zaj! – wyjąkała Nancy i ręką opartą na ramionach Elly pokazała przedmiot, ledwie wystający ponad wodę.

Bezkształtny, obrosnięty, można go było wziąć za skałę. Jednak z wąskiego pęknięcia na końcu wydobywało się coś żółtego.

Thorne spojrział z przerażeniem na żonę. Błyskawicznie obrzękły jej oczy, zmieniając całą górną część twarzy w ohydną, opuchniętą masę. Krosty pokryły usta, ramiona, piersi.

– Moses! Dzwon po lekarza! – krzyknął. – Po latające pogotowie!

Grubas obrócił się na pięcie i pobiegł z powrotem do domu, a Nancy w tej samej chwili zgięła się w pół, z wymiotowała i zemdląła.

Z pomocą służącego, miejscowego, który zjawił się w odpowiedzi na paniczne wrzaski Greenbriara, Thorne'owi i Elly udało się z trudem przenieść ją do domu, położyć na sofie, posłać kucharkę po wodę, maści, apteczkę.

– Już wysyłają helikopter z lekarzem – wysapał Greenbriar, biegnąc z powrotem od telefonu. – Ale co jej się stało? Meduza?

– Nie, kurna, żadna meduza! – Ale oczywiście nie było go tam na dole, na plaży, nie widział beczki, pojemnika, czy czego tam, na w pół przysypanego piaskiem.

– Powiedzieli, co zrobić tymczasem? – zapytał.

– Ja... – Greenbriar w absurdalnie dziecinnym geście zakrył usta dłonią – ...nie spytałem.

– Ty debilu! – Thorne cały się trząsł z paniki. – Dzwon i...

Greenbriar już pobiegł.

– Co to, kurna, może być?

\* \* \*

– Luizyt – powiedział doktor, skończywszy podawać tlen.

Śmigłowcem przyleciał nie tylko on, byli jeszcze pielęgniarka i sierżant policji.

– A co to? – zapytał zdumiony Thorne.

– Gaz trujący.

– Co takiego?!

– Ten zapach fiołków jest nie do pomylenia. Widziałem dwa czy trzy takie przypadki, ale nie tutaj, tylko na Florydzie, gdzie przedtem mieszkałem. Związek arsenu, wynaleźli go podczas pierwszej wojny światowej. Nie udało się go użyć, więc wrzucili go do oceanu. Przypadkiem trochę wylądowało akurat na Florydzie, w Rowie Hatteras. I masę tych pojemników wyciągnął trawler z taką nową, głęboko ciągniętą siecią. Nie mieli pojęcia, co to, bo przez sześćdziesiąt lat obrosło zielskiem i małżami, więc otworzyli jedną z beczek. Pomyśleli, że to może coś cennego. A gdy stwierdzili, że to jest niebezpieczne, z powrotem wywalili wszystko za burtę, ale tym razem już na płytkiej wodzie – i niektóre beczki rozbiły się o skały na dnie. A sporo wyrzuciło potem na brzeg.

– W życiu o tym nie słyszałem – szepnął Thorne.

– A jak pan myśli, dlaczego? Cały zimowy przemysł turystyczny szlag by trafił, fakt, za dużo go już nie zostało. Ja się wyprowadziłem z Florydy dlatego, że chciałem, żeby dzieci miały czystą plażę, a nie dlatego, że Floryda jest tak zdrowa, że brakowało mi pacjentów!

I z sarkastycznym śmieszkiem zaczął znów badać Nancy; tlen zadziałał i oddychała teraz równiej.

– Chyba już możemy ją wieźć – powiedział. – Proszę się jakoś strasznie nie martwić. Chyba nie będzie trwałych blizn. Choć oczywiście, jeśli doszło do inhalacji albo połknięcia... No nic, zobaczymy.

– Tym razem – powiedział Thorne, jakby w ogóle nie słuchał – wszyscy się dowiedzą. Już ja dopilnuję.

## NIE DOTYKAĆ

*...zarzuca mu się, cytując: „Wywiad na rzecz wrogiego państwa”. Koniec cytatu. Twierdzi się, że próbował uzyskać z kubańskich źródeł dane o zanieczyszczeniu powietrza. Przeciwko jego aresztowaniu protestowało około dwustu studentów Uniwersytetu Columbia oraz około tysiąca trainistów. Policja rozproszyła*

*demonstrację gazem łzawiącym. Poinformowała o osiemdziesięciu ośmiu osobach hospitalizowanych, zero zabitych. Prexy, poproszony o komentarz tuż przed wylotem do Hollywood, gdzie ma przewodniczyć uroczystości wręczenia Oscarów, powiedział, cytując: „Czy to ten gość, co twierdzi, że kończy się nam tlen? Powiedźcie mu, że ja nie mam żadnych trudności z oddychaniem”. Koniec cytatu. W rejonie Guanagui w Hondurasie znów toczą się ciężkie walki, honduraskie siły rządowe wspomagane przez amerykańskie lotnictwo...*

## PRÓBA

Hugh Pettingill sam nie wiedział, czego właściwie oczekiwał po wacie. Jednak już po krótkim pobycie uświadomił sobie, że tego u nich nie znalazł. Dryfował bez celu, spędzał dzień za dniem, patrząc, jak topnieje śnieg i do otoczonych wysokimi górami dolin z wahaniem zakrada się wiosna. Nic mu nie zaskoczyło. Nie pasował do nich. Czuł się wyalienowany. Choć sam nie wiedział, czy chce się integrować, czy nie, nie podobało mu się, że nie dali mu takiego wyboru.

Fizyczne warunki były całkiem komfortowe; owszem, wszystko spartańskie i poskładane po partyzancku ze znalezionych materiałów, ale na swój sposób atrakcyjne. Drażniło go jednak, że dla wszystkich w wacie było oczywiste, że to bytowanie jest próbą, przygotowaniem nie na egzystencję po wielkiej wojnie, ale po prostu wstępem do normalnego życia, tak jak będzie wyglądało w XXI wieku. Nie widział tego. Dla niego był to raczej eskapizm, próba ucieczki, schowania się przed prawdziwą rzeczywistością.

Trzeba im przyznać, niektóre rzeczy robili dobrze. Na przykład jedzenie: było proste, ale przepyszne, lepsze nawet niż w domu Bamberleyów. Zajadał się pikantnymi zupami, domowym chlebem, hodowanymi pod szkłem warzywami i sałatami. Trochę go to nawet zainteresowało. Nigdy wcześniej nie obserwował, jak rosną rośliny, nie licząc paru nasion maryski w college'u; na chwilę nawet przyłączył się do

wiosennych prac polowych. Gdy jednak kazali mu rozrzucić robaki przywiezione w zbiorniku przez Felice, stwierdził, że się brzydzi wyciąganiem tych robali porcjami po kilkanaście i patrzeniem na to, jak zakopują się w podłożu, z którego miało wyrosnąć coś, co będzie potem jadł. Poszukał sobie innego zajęcia. Mieli warsztat rzemieślniczy, gdzie pomagał robić prymitywne stołki i stoły, ponieważ w zeszłym roku większość Amerykanów po raz pierwszy wybrała się na urlop w głąb lądu, a nie nad morze – pojawił się więc pomysł, by latem otworzyć restaurację dla turystów, zaserwować im naturalne, wyhodowane na miejscu jedzenie, żeby uświadomili sobie, co tracą. Ale wytwarzanie jednego po drugim takich samych stołków też zrobiło się monotonne. Znow zaczął rozglądać się za czymś innym.

Przez cały czas jednak: to poczucie, że świat zjeżdża nieodwołalnie prosto do piekła! No tak, to prawda, że przez tych skurwieli prerie zmieniły się w pustynie, morza w jeden ściek, a lasy w wybetonowane pustkowia. Ale trzeba ich powstrzymać! Nie pozwolić, żeby cię rzucili twarzą w ziemię i podeptali!

Trzeba ich zmiażdżyć!

\* \* \*

A ta Peg, dziwna i oziębła: doszedł do wniosku, że musi być lesbą, bo zupełnie nie... ani z nim, ani z nikim innym. (Nawet nie z Felice, o której z początku założył, że jest jej dziewczyną. Ani z nim. Cholera!). Mimo to wydawała się jakby zadowolona z życia.

Coś musiała tu znaleźć. Ale co? Rezygnację? Jak to możliwe, żeby dawna wojująca dziennikarka i działaczka feministyczna zadowolona była taką zgrzebną egzystencją?

No cóż, fakt jest faktem. Felice po mniej więcej tygodniu wyjechała, wszystkich jakoś tak niezręcznie przeprosiła i powiedziała, że miała fantastyczne wakacje... „Wakacje”, kurna! W miejscu, gdzie praca nigdy nie ustaje, i to dosłownie! – a Peg została i wydawała się zadowolona, o ile

można było w ogóle dojść, co ona myśli za tą prześliczną, ale zimną jak kamień twarzą...

Gdyby zapytano go przed przyjazdem tutaj, czy jest trainistą, Hugh bez wahania odparłby, że tak, bo w college'u brał udział w trainistycznych demonstracjach. Rekruterzy z dużych firm łazili teraz po uczelniach przez cały czas, nie tylko wiosną i latem, bo liczba studentów wybierających kierunki ścisłe i inżynieryjne spadła o 60 procent, zarządzanie – o 30, a ci, co nie byli w stanie dostać się na coś konstruktywnego w rodzaju rolnictwa czy leśnictwa (co zasadniczo oznaczało emigrację) przeważnie w ogóle zrezygnowali ze studiów. Więc ci upierdliwi łowcy głów tylko człowieka denerwowali. Zresztą od czasu do czasu któryś podpadał bardziej: wtedy trzeba go było wrzucić do brudnej rzeki, albo rozebrać i wymalować na brzuchu czaszkę z pieszczelami.

Jednak ci ludzie tutaj w ogóle nie przypominali trainistów, których znał na zewnątrz. I oczywiście bliżsi byli ideałom samego Traina. Ten koleś, Jones, był jego najlepszym przyjacielem, gość nawet nocował u niego parę razy, zanim zniknął. (Bo Train żyje, tyle Hugh wiedział na pewno. Choć nikt z nich nigdy się nie przyznał, że może wiedzieć, gdzie on jest).

Mozolnie, z trudem, próbował zrozumieć, co się dookoła dzieje, i czasami coś mu się z czymś złożyło. Jednak zawsze, gdy już mu się zaczynało wydawać, że coś rozumie, pojawiały się nowe informacje i znów wywracały wszystko do góry nogami.

Skromne życie, naturalna żywność – to akurat dobrze. Podobnie jak ubrania z naturalnych, biodegradowalnych włókien – bawełny, lnu, wełny. Świetnie. Kompostowanie obierok z warzyw, sortowanie i mycie nieuniknionych puszek, odwożenie plastiku do najbliższej firmy utylizującej, wymagające comiesięcznej wycieczki wspólnym jeepem. Super. Ale skoro to ma być takie skromne życie, czemu używają prądu? Jasne, można było zawsze powiedzieć, że to czysta energia, bo można ją generować z wodospadów i pływów. Można, ale się nie generuje. A ich upór, że jutro na pewno będzie, a (znów ten sam parszywy argument) oni trenują przed jutrem, wymyślając metodą prób i błędów sposób na stabilne życie, wcale go nie przekonywał. Na tym wacie sześćdziesiąt parę osób,

największe w Stanach i Kanadzie mają ledwo po czterysta czy pięćset – ilu ludzi pozna ten nowy sposób na życie, zanim przyjdzie katastrofa? W mediach codziennie jest jakiś nowy zwiastun!

Oczywiście to w sumie dobrze, że mają ten prąd, bo jego auto zostałoby na drodze, tam gdzie znalazły go Peg i Felice. A tak przywieźli akumulatory, naładowali, i teraz może stąd spierdzielić kiedy tylko zechce. Każdego kolejnego dnia pokusa była coraz silniejsza. Coraz silniejsze miał wrażenie, że to wszystko jakiś teatrzyk.

Słuchali wiadomości radiowych i ciągle dyskutowali o sprawach, których, jak był przekonany, w ogóle za dobrze nie rozumieją – na przykład o wojnie w Hondurasie czy o głodzie w Europie, odkąd wymarło Morze Śródziemne. I byli zawzięci. Tak mieli. Nawet dzieci. Zwłaszcza taki jeden Rick wywoływał u niego gęsią skórkę. Przybrany syn Zeny (i Decimusa; myślałby kto, że skoro zginął, w końcu przestaną o nim gadać – akurat. Zwłaszcza ten Rick, upierał się, że kiedy dorośnie, znajdzie człowieka, który otruł mu ojca. Jezus!). No, w każdym razie ten Rick łaził za nim przez cały dzień, może dlatego, że inni byli zajęci, i zadawał kompletnie od czapy pytania, na które Hugh nie umiał odpowiedzieć, na przykład, dlaczego w południe słońce wisi dokładnie nad głową, i w jakiej książce można by znaleźć na to odpowiedź. Powodzenia, kurna. Na całym świecie zamykają teraz obserwatoria.

Ale co to wszystko ma wspólnego z trainizmem? Po świecie grasuje zło, gwałcą, mordują, trują... Jezus. Dajcie mi jakiś pistolet! Dajcie mi bombę!

Spróbował przeczytać książki Austina Traina. Mieli komplet. Kompletna nuda to była.

\* \* \*

Jedyną osobą poznaną na wacie, z którą się trochę zaprzyjaźnił, był drugi outsider – jasnoskóry koleś, mniej więcej w jego wieku, Carl Travers, który stracił pracę na farmie hydroponicznej Bamberleyów. Miał niewyraźne wrażenie, że już go gdzieś widział. Nie był jednak pewny.



Carl zaglądał na wat dość często i dobrze się z nim gadało, ale nie przejawiał chęci zostania – zresztą tak często by nie przyłaził, gdyby nie brakowało mu pracy. Miał dobry khat, który Hugh za bardzo nie pasował, bo wzmagał u niego uczucie, że ma w środku za dużo energii, której nie ma jak wypuścić. Ale miał też trawę. Więc od czasu do czasu wychodzili razem na buszka. Trzeba było gdzieś wychodzić, trainiści nie tolerowali palenia.

– Masz jakąś rodzinę? – zapytał go któregoś dnia, gdy całkiem konkretnie się upalili, siedząc w rozklekotanym fordzie Carla na krętej górskiej drodze i podziwiając czerwony zachód słońca chowającego się w mgiele nad wybrzeżem.

– Braci, siostry, to tak – powiedział Carl.

– Starszych, młodszych?

– Wszyscy młodszy, poza Jeannie. Ale za często jej nie widuję. Wyszła za psa. Tego, co został wielkim bohaterem, kiedy była lawina.

– Tak?

Mijał czas. Ciężko powiedzieć, ile czasu. Ujarani byli.

– A ty?

– Nie. – Bamberleyów nie liczył. Nigdy nawet nie wspomniał Carlowi o tej bandzie palantów.

– Dlatego jesteś na wacie?

– Kurna, facet, żebym ja sam wiedział, czemu jestem na wacie.

– A co, nie podoba ci się?

– Nie podoba. Ty u rodziny mieszkasz?

– Co ty, kurwa. Wynajmuję pokój, po drugiej stronie miasta. Sam sobie daję radę. Człowiek pracujący jestem. Czy raczej byłem.

Znów cisza. Żeby skrócić kolejnego jointa.

– Myślałem, żeby się gdzieś wyprowadzić. Zdechnę ze starości, zanim tę farmę na nowo otworzą. Zresztą i tak mi ta robota nie leżała.

– A dokąd byś?

– Do Berkeley czy gdzieś.

– Chyba cię posrało, do Kalifornii? Cały rok tam słońca nie widać! Śmierdzi w całym stanie!

– Może i tak, ale kiedyś w końcu musi im przyjść trzęsienie ziemi. Chciałbym to zobaczyć na własne oczy i się pośmiać... Zresztą mam kumpli w Berkeley. Rok studiowałem.

– Ja też.

– I zrezygnowałeś?

– Tak.

Kolejna pauza. Żeby odpalić.

– Zabawimy się troszkę?

– Dawaj.

– Masz ochotę na drobny seksik?

– Pewnie.

## ZANIM SIĘ NAM NIEKULTURALNIE PRZERWIE

– Jestem umówiony z panem Bamberleyem – powiedział Michael i zerknął na zegar na ścianie. – Ale widzę, że przyszedłem trochę za wcześnie...

– To pan jest pewnie kapitan Advowson! – rzuciła recepcjonistka radosnym tonem, choć niezbyt wyraźnie; coś trzymała w ustach, a głos miała ochryply. W rogu biurka leżała otwarta paczka pastylek na gardło. Cała okolica mocno pachniała mentolem. – Proszę usiąść, ja mu powiem, że pan już jest. Wziąć od pana maskę?

– Dziękuję. – Rozpiął pasek, podał jej maskę.

Powiesiła ją na wieszaku, gdzie dyndało już osiem czy dziesięć innych.

Usiadłszy w krześle po drugiej stronie przestronnego holu, zerknął na nią ponownie. Zauważyła i uśmiechnęła się, pomyślała pewnie, że to dlatego, że jest ładna. Tak naprawdę jednak skojarzyła mu się z tą pielęgniarzką z Noshri – taki sam odcień blond włosów, podobny typ rysów. Chociaż o wiele pulchniejsza i pozbawiona ciemnych worków pod oczami, które odbierały sporo urody Lucy Ramage.

Od spotkania w samolocie widział ją jeszcze dwa razy, raz we własnej osobie w biurowcu ONZ, i drugi raz wieczorem w telewizji, w talk-show Petronelli Page. Siedziała sztywna i nieruchoma, niewzruszona nawet najbardziej agresywnymi słownymi docinkami, i półgłosem wygłaszała relację pełną niewiarygodnego cierpienia. Gospodyni wielokrotnie usiłowała jej przerwać. Nie udało się ani razu. Słowa, zimne jak padający śnieg, osiadający i tworzący brzemień okropności, potężne, duszące, przytłaczające, padały jedno za drugim, aż w końcu kamery zwrócone na widownię nie zdążyły odwrócić wzroku, gdy jedna z dziewczyn w drugim rzędzie zemdląca i spadła z krzesła.

A kiedy Lucy zaczęła rzucać oskarżenia o umyślne ludobójstwo, postanowili wcześniej zrobić przerwę na reklamy.

Kto to był, do cholery, kto faktycznie zatrul tę żywność z pomocy? Ktoś, kto chciał zdyskredytować zachodnie programy pomocy humanitarnej – dobrał się do całej partii, pootwierał opakowania, prysnął do każdego trucizną, zamknął z powrotem. Choć Duval upierał się, że zupełnie się to nie klei z równomiernym rozkładem trucizny we wnętrzu badanych próbek...

Ile jeszcze będzie się ciągnąć to pieprzone dochodzenie? Nie mógł się doczekać, kiedy wróci do domu, ale miał polecenie pozostać na miejscu, póki doborowy, międzynarodowy zestaw prawników, analizujący teraz dowody, nie opublikuje ostatecznego raportu. O ile on tego dożyje.

Ostrożnie dotknął siniaka z boku podbródka. Jakiś tydzień temu był na imprezie, sześć przecznic od hotelu, i lekkomyślnie postanowił wrócić po północy piechotą. Ktoś go zaatakował i trzasnął go pałką. Na szczęście wykpił się tylko siniakiem.

Oprócz tego, dwa dni po przyjeździe dostał zapalenia spojówek i jeszcze musiał nosić piracką czarną przepaskę na lewym oku. Potem ostrzeżono go, żeby zgolił brodę, bo policja nie lubi bród, a drobne zacięcie naprzeciwko siniaka się zakaziło – wyjaśnili mu, że był na tyle głupi, żeby użyć do golenia wody z kranu. Nikt, kogo poznał w ONZ nie używał innych maszynek niż elektryczne, a nawet sprzedawca z drugstore'u, u którego kupował maszynkę i krem do golenia, zrobił zdziwioną minę i nalegał,

żeby kupił jeszcze antybakteryjny płyn po goleniu. On jednak pomyślał tylko, że facet chce go naciągnąć.

Teraz z zacięcia zrobił się miniaturowy wrzód, paskudnie biały na wierzchu. Zakleił go plastrem, ale obawiał się, że wcześniej czy później trzeba go będzie przeciąć.

Niewiarygodne. Ale powtarzali mu, że każdy w Nowym Jorku cierpi tak samo. Miejscowi są oczywiście odporni, ale nikt, kto przybywa z odległości większej niż sto mil nie ma tej nabytej odporności.

A i miejscowi zbyt zadowoleni nie byli... Na jednej z licznych imprez kręgów dyplomatycznych, na które był zobowiązany chodzić, poznał dwudziestoparoletnią dziewczynę, ładną, ciemnowłosą i zgrabną – i mocno pijaną, choć impreza zaczęła się ledwie godzinę temu. Rozglądała się za kimś, żeby się wygadać, a Michael, może z grzeczności, a może z nudy, użyczył jej swego ucha. Pracowała w ONZ jako sekretarka, bo, jak powiedziała, chce coś zrobić dla świata. Ale odkryła, że to jest po prostu niemożliwe. Twierdziła, że przymierzała się do ślubu z kolegą ze studiów, lecz zostawił ją, kiedy dowiedział się, że chce pracować dla tych parszywych komunistycznych agentów; i że nie był jedyny, bo traciła znajomego za znajomym, aż całe jej życie towarzyskie sprowadziło się do niekończących się oficjalnych koktajli, na których ludzie z kilkunastu różnych krajów ledwie się dogadywali, krzycząc ile sił w płucach.

– W końcu przecież wszyscy tkwimy na tej samej kulce błota, prawda? – Znów słyszał jej głos w głowie, załamujący się, na krawędzi płaczu. – A jej losem przejmują się tylko niewłaściwi ludzie, to znaczy ci, z którymi nie należy się kumpłować. Parę dni temu poznałam takiego jednego Urugwajczyka, Fernando Arri... coś tam, nie pamiętam. I słyszałeś, co się mu stało?

Michael pokręcił głową.

– Wracał do domu, tam gdzie mieszkają wszyscy z Urugwaju – nie wolno im wypuszczać się poza Manhattan, wiesz, muszą mieszkać w takim bloku koło United Nations Plaza. No i padał deszcz, i czterech facetów udawało, że schowali się pod daszkiem przy wejściu. Napadli go. Kopnęli w jaja, wybili mu cztery zęby.

– Jezus – powiedział Michael. – A policja?

– Policja! – Zaśmiała się piskliwie. – To była policja! Na twarzy miał odcisk policyjnego buta. – Po czym w sekundę, jak za sprawą czarów, wytrzeźwiała, bo był czas kończyć, i powiedziała: – Dzięki, że chciało ci się słuchać mojego pijackiego głędzenia. Ostatnio, jak mi się zdarzy, że ktoś mnie potraktuje poważnie, wydaje mi się, że to sen. Mogę ci postawić kolację? Zapracowałeś na nią.

Zawahał się, dodała więc:

– Znam cudowną knajpkę, gdzie jeszcze dają prawdziwe jedzenie.

Tej pokusie nie mógł się oprzeć. Wszystko, co jadł dotąd w tym kraju, smakowało jak plastik i przeżuty papier.

Przy kolacji – która była pyszna, choć ze zdumieniem stwierdził, że to, co w domu miał za codzienne jedzenie, na przykład szynka czy śledź, tu znajdowało się w menu w sekcji „dla smakoszy” i było odpowiednio drogie – spokojnie i rozsądnie opowiadała mu o strasznych rzeczach. O starszej siostrze, która urodziła w Nowym Jorku dwoje dzieci, oboje lekko upośledzonych, nie jakoś strasznie, po prostu były opóźnione w rozwoju – starsze dopiero po dziewiątych urodzinach zaczęło czytać; o kwiatach, które próbuje hodować w skrzynce za oknem, ale po tygodniu więdną i tracą liście; o koszcie ubezpieczenia obejmującego opiekę szpitalną; o żebraku, którego znalazła rżęzącego pod ścianą, błagającego o ćwierćdolarówkę do automatu z tlenem; o deszczu, który wyżerał dziury w rajstopach i pończochach. Michael już miał do czynienia z nowojorskim deszczem. Zniszczył mu jeden z mundurów. Ale przynajmniej miał powód, żeby chodzić po cywilnemu.

A potem, gdy odprowadził ją do domu – oczywiście taksówką – powiedziała mu na progu:

– Chciałabym się z tobą umówić i pokochać. Ale dopiero następnym razem. Dopiero za tydzień to będzie bezpieczne.

Pomyślał: metoda naturalna?

Jednak wyprowadziła go z błędu.

Najpospolitsza choroba po odrze...

\* \* \*

– Panie kapitanie?

Wstał i wszedł w drzwi, które mu z uśmiechem przytrzymała.

Gabinet Bamberleya wyglądał jak wszystkie inne, które tu widział – odgradzony pancierzem od świata zewnętrznego. Okna, które się nie otwierają. Powietrze filtrowane i perfumowane. Obrazy, oryginalne, ale kiepskie. Masa nowoczesnych gadżetów. Wbudowany w ścianę barek z uchylonymi drzwiczkami. I ani jednej książki.

Ile jeszcze wytrzymam, myślał Michael, zanim tu zwariuję z tęsknoty za bryzą od Atlantyku falującą maślanożółtymi polami kwitnącego kolcolistu?

Pan Bamberley, serdecznie wyciągający rękę, nie był sam. Siedział z nim chudy człowiek nazwiskiem Gerry Thorne, którego już poznał podczas przesłuchań w ONZ, gdzie reprezentował Globe Relief, oraz Moses Greenbriar, główny skarbnik Trustu. Thorne wyglądał na roztargnionego.

Michael z namaszczeniem uściśnął dłonie, odmówił cygara, przyjął za to kroplę irlandzkiej whiskey ze świeżo otwartej butelki, pewnie kupionej specjalnie dla niego.

– No, więc... – Pan Bamberley wyraźnie nie panował nad sytuacją, zerknął więc błagalnie na Greenbriara, który dyskretnie kaszlnął.

I to był błąd – chwilę później zakaszła naprawdę, potem zarządził, aż w końcu musiał zasłonić usta chusteczką i pociągnąć jakiegoś lekarstwa z białej plastikowej tubki. W końcu doszedł do siebie i przeprosił.

– A więc, panie kapitanie, chyba domyśla się pan, czemu poprosiliśmy o poświęcenie nam odrobiny czasu. Nasza sytuacja jest nie do pozazdroszczenia. Zakład w Kolorado jest, jak pan wie, zamknięty, konieczne były zwolnienia...

– A głodujący są pozbawieni pomocy, która mogłaby im uratować życie!  
– wybuchnął pan Bamberley.

– Przykro mi to mówić – Michael westchnął – ale w Noshri widziałem ludzi, dla których lepszym wyjściem byłaby śmierć.

Nastąpiła niezręczna cisza.

– Być może – powiedział w końcu Greenbriar. – Ale faktów to nie zmienia: żywność Bamberley uratowała jak dotąd tysiące, można by wręcz powiedzieć miliony osób, a to, że sabotażyści skazili jedną partię, nie powinno wstrzymywać naszej pracy. Tymczasem, jeśli oskarżenia tych pieprzonych Tupasów do nas przylgną, niezależnie od tego, co powie komisja, tak się właśnie stanie.

– Słyszał pan, co oni mówią, prawda? – dodał Bamberley. – Wszystko to jedno kłamstwo! Nie cofną się przed niczym, żeby tylko zmieszać z błotem nasz kraj.

Michael pierwszy raz usłyszał poza budynkiem ONZ nawiązanie do zarzutu, że żywność z pomocy wysłanej do Hondurasu jest skażona tak samo, jak ta w Noshri. Urugwajczycy złożyli przed komisją oficjalne oświadczenie i zażądali przysłania do nich neutralnego zespołu lekarskiego, jednak żadne kroki nie zostały podjęte. Zerknął w telewizor i przejrzał parę nowojorskich gazet, które przetrwały, w poszukiwaniu komentarzy, spodziewając się chociażby agresywnego dementi. I zdziwił się – wszystkie media sprawę zignorowały. Rok czy dwa temu ktoś, kto wrócił z wizyty u rodziny w Ameryce, powiedział mu, że media stosują się do sławnego powiedzenia amerykańskiego prezydenta: „Wiedzą, co dla nich dobre, to niech drukują to, co dobre dla Ameryki!”. Nie uwierzył w to wtedy. Dalej starał się nie wierzyć, ale z każdym dniem było coraz trudniej.

– Na komisji dowiedziałem się – zaryzykował – że Nutripon wysłany do Hondurasu był wyprodukowany i opuścił fabrykę mniej więcej w tym samym czasie, co ten afrykański...

– No tak, i za moment Tupasowie – wtrącił Greenbriar – sfabrykują jakieś zatrute próbki i powiedzą, że znaleziono je w San Pablo! Ale skoro tak, czemu nie usłyszeliśmy o tym miesiąc temu? Czemu żaden lekarz z Hondurasu nie alarmował o masowej psychozie podobnej do tej w Noshri? Czemu ci kryminolodzy powiedzieli, że Nutripon z naszych magazynów jest czysty, chociaż mieliśmy zapasy aż od okresu Bożego Narodzenia i Nowego Roku, czyli to były wręcz następne partie z tej samej linii?

– Właśnie to próbuje ustalić komisja – mruknął Michael. – Ale można założyć, że albo ktoś się dostał do waszych zbiorników i celowo dodał tam trucizny – tylko że upieracie się, że to niemożliwe – albo drożdże, których normalnie używacie, zakaził jakiś naturalny grzyb, podobny do sporyszu.

– To wydaje się jedynym akceptowalnym wytłumaczeniem – powiedział Bamberley, wzruszając ramionami. – I nie można nas o to winić. Możemy jedynie podjąć środki, by to się nie powtórzyło, i oczywiście zaoferować rekompensaty.

– A w tym celu – dodał Greenbriar – przebudujemy system filtracji powietrza w zakładzie. Wzięliśmy do tego firmę specjalizującą się w sterylnych salach operacyjnych. Przyzna pan chyba, że to są dość ostre normy i procedury?

– Można mieć nadzieję, że tak – stwierdził sucho Michael. – Ale procedury są tylko tak dobre, jak ludzie, którzy ich przestrzegają. Widziałem kiedyś, jak mały chłopiec dostał zakażenia w nowoczesnym szpitalu, bo jeden chirurg, który powinien być mądrzejszy, podniósł opatrunek, żeby zbadać ranę. Nie założył maski. Dmuchnął na ranę lekoodpornym gronkowcem. I dzieciak zmarł.

Nastąpiła kolejna przerwa, tym razem bardzo niezręczna. Podczas niej Michael stwierdził, że nie przepada za Mosesem Greenbriarem. Wcześniej już ustalili, że nie lubi Gerry'ego Thorne'a.

A dlaczego? Powód już mu świtał. Miało to coś wspólnego z faktem, że ci niesamowicie bogaci ludzie upaśli się właśnie na dobroczynnych przedsięwzięciach. Michaelowi – wychowanemu na katolika, choć dawno niewierzącemu – przywodzili na myśl papieży Borgiów.

– Oczywiście zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby uniknąć tego typu błędów – powiedział w końcu Greenbriar. – Ale wie pan, sprawa jest inna. Oczywiście, że zanim ponownie uruchomimy fabrykę, ktoś obiektywny i neutralny musi ją skontrolować. Zweryfikować, jakie środki podjęliśmy. ONZ nie możemy w życiu poprosić o taki zespół. Dobrze pan wie, że w tym kraju robi się potworna afera na choćby jedno słowo o „ingerencji ONZ” w nasze wewnętrzne sprawy. Z drugiej strony...



Irlandia tradycyjnie budzi wielką sympatię, żeby nie powiedzieć, że jest wręcz uwielbiana, dlatego pomyśleliśmy, że moglibyśmy pana poprosić o...

Dotarł do tego miejsca, gdy rozległo się głucho „łup”, jakby przechodzący akurat trzystumetrowy olbrzym kopnął z rozmachu w biurowiec; z nieotwieralnych okien poleciały wielkie, błyszczące odłamki, sufit posypał im się na głowy, a do gabinetu wdarło się budzące mdłości nowojorskie powietrze.

\* \* \*

Parę minut wcześniej przed biurowcem, na 42. Ulicy, nielegalnie zaparkowało auto z czaszką i piszczelami. Kierowca, oczywiście zamaskowany, jak wszyscy na chodniku, wyskoczył i pobiegł do pobliskiego drugstore'u. Policjant po drugiej stronie ulicy widział tego mężczyznę, ale w ogóle go to nie obeszło – trainiści ciągle malowali czaszki na autach, a nie każdy miał czas i pieniądze, żeby to od razu usunąć. Poza tym, skoro gość pobiegł pędem do drugstore'u, to pewnie pilnie potrzebuje jakichś leków.

Zanotował sobie w pamięci, żeby mu zwrócić uwagę, kiedy wróci.

Tyle że gość nie wyszedł. Ulotnił się ze sklepu drugimi drzwiami, zawrócił i wszedł w czeluści Grand Central Station, znalazłszy się daleko poza polem rażenia, kiedy lont w bagażniku samochodu dopalił się, detonując, jak później oceniano, ponad pięćdziesiąt lasek dynamitu.

## BŁOGOSŁAWIENI O ZDROWYCH KISZKACH

Okazało się, że Doug faktycznie był kiedyś w Japonii. Denise przyszła do niego wyleczyć Josie z robaków, które podłapała od psa – a jak zabronić dziecku głaskania psów i kotów? – wymienili się plotkami i wspomnieli, że był kiedyś w Tokio na konferencji medycznej.

Zatem naturalnie, gdy pojawiło się pytanie, jak przyjąć niejakiego pana Hidekiego Katsamurę, który przyleciał do Stanów, żeby wybrać przedstawicieli dla swojej nowej stacji oczyszczania wody, poradzili się Douga. Katsamura miał długą trasę – zaczynał w Kalifornii, gdzie franczyza na sto procent trafi do Rolanda Bamberleya, i dzięki Bogu, że ograniczył się z ofertami tylko do jednego stanu, bo nikt nigdzie nie miałby szans – potem przez Teksas i wybrzeże atlantyckie do Nowego Jorku, Nowej Anglii, i na koniec z powrotem przez Chicago i Denver. Alan wystraszył się, że ich przelicytują, bo wielka korporacja z Chicago złożyła ofertę na wyłączność w sześciu stanach i od razu zakręciły mu się trybiki w głowie: Hilton w Denver, restauracja na Larimer Square, najlepszy klub nocny w mieście i gdzie można załatwić dziewczyny, no wiecie, gejsze...?

Doug jednak powiedział, że zaraz, zaraz. Nie Hilton, tylko Brown Palace, i to w tej starej części, o ile już jest naprawiona po trzęsieniu ziemi. Japończycy mają świra na punkcie tradycji innych krajów. I do restauracji też go nie należy zabierać – Japończycy zazdroszczą swobody, z jaką się w Europie i Ameryce zaprasza ludzi do domów, zamiast przyjmować ich w restauracji, co jest u nich standardem.

Wiadomo było, że Alan nie może zaprosić go na kolację do swojej kawalerki. Z początku wydawało się, że i u Philipa nie da rady, bo Denise się przeraziła. Nie miała nic przeciwko goszczeniu szefów Philipa z Angel City, ale Japończyk to zupełnie inny kaliber. I ciągle gadała, że nie ma pojęcia, jak się robi tempurę czy sukiyaki.

– Daj spokój! – wykpił ją Doug. – Jedziesz do Tokio i co, chcesz, żeby witali cię hamburgerem z frytkami? W sumie to ja bym nawet wolał, bo już cztery lata temu, jak u nich byłem, musieli zrezygnować ze swoich tradycyjnych rzeczy, typu surowa ryba. Spróbowałem jednej, która podobno była dobra, smakowała super, ale następnego dnia trafiła mnie dyzenteria – sraczkę miałem na całego! No ale nieważne. Ma być stek, kupa smażonej cebulki, może nowozelandzka zupa z owoców morza? Całkiem podobna do nowoangielskiej, trochę jednak bezpieczniejsza. Do tego kupa sałaty z Puritana, i...

– Ale to będzie kosztować majątek! – zaniepokoiła się Denise, przygotowując listę zakupów.

– Pójdzie na koszt firmy – wyjaśnił Alan. – Ty tylko kup!

\* \* \*

Oczywiście zaprosili także Douga, skoro okazał się taki pomocny, razem z jego ładną angielską żoną Angelą, nie można było także pominąć jego matki, dziarskiej sześćdziesięcioletniej, do której wszyscy zwracali się „Millicent”, nie wyłączając jej syna i synowej, z którą miała najwyraźniej świetny kontakt. Do tego naturalnie Alan i człowiek z Colorado Chemical, który wykładał kasę na ich ofertę – Sandy Bollinger z żoną Mabel, i na koniec, do pary, Katsamura bowiem przyjeżdżał bez asystentki, kobieta – prawa ręka Alana, Dorothy Black, trzydziestopięcioletnia, samotna i o pospolitej urodzie, za to rozmowna i sypiąca żartami jak z rękawa.

\* \* \*

Wszystkie samoloty oczywiście się spóźniały, nie przewidzieli jednak, że ten z Katsamurą spóźni się aż tak bardzo. Philip, znudzony godzinnym oczekiwaniem, zaczął węszyć i zagadywać. I dowiedział się, że wśród bagażu ładowanego na O'Hare w Chicago zauważono walizkę z namalowanymi czaszką i piszczelami. Naturalnie, otworzono ją. Kiedy okazało się, że nie ma tam nic poza zadrukowaną kartą powtarzającą wyniki badań profesora Quarreya nad pozostałościami spalin na dużych wysokościach, stwierdzili, że pewnie miała odwrócić uwagę od czegoś innego, być może bomby. Zaczęli więc przeszukiwać wszystko dokładnie i pan Katsamura, zamiast o 16.50, wylądował o 19.12.

Kiedy czekali, Alan zapytał:

– A jak tam zdrowie?

– Doug mówi, że jeszcze najwyżej z tydzień.

– Strasznie, tak czekać i czekać, nie? Tym razem lecę się i lecę, ostatni raz tak długo było, kiedy miałem szesnaście lat.

O tyle dobrze, że chociaż dało się o tym normalnie pogadać. Choroba była tak powszechna, że głupio było udawać, że nie istnieje.

\* \* \*

Numer lotu wyświetlił się na tablicy przylotów. Podbiegli do barierki i zaczęli się rozglądać. Philip spodziewał się podświadomie kogoś niedużego, żółtego, w rogowych okularach, ciągle garbiącego się w zdawkowych, połowicznych ukłonach. Ale nikogo takiego nie było. Był za to czterdziestoletni mężczyzna w czarnym płaszczu, mniej więcej tego samego wzrostu, co on, o lekko żółtawej cerze, z mocno napiętą skórą wokół oczu.

– Czy pan Katsamura? – zapytał Alan, wyciągając rękę.

– A jak! – odparł pan Katsamura, który podczas dwuipółtygodniowego pobytu w Stanach nauczył się bardzo dużo, zwłaszcza w kwestiach dotyczących odpowiedniego zachowania i użycia żargonu – nie, nie żargonu, slangu. Ścisnął rękę, uśmiechnął się, wtedy przedstawił mu się także Philip. Katsamura przeprosił, że muszą na niego jeszcze chwilę poczekać.

Tracił przez to twarz. Ale nic nie mógł poradzić. W samolocie też chodził do toalety. Strasznie to kłopotliwe i jak długo się ciągnie! Od pierwszego dnia! Lekarstwa, które kupił w Teksasie, już się skończyły, i na nic nie pomogły. Należałoby tutaj dać się zbadać jakiemuś lekarzowi.

Zatrzasnęły się za nim drzwi z symbolem mężczyzny.

Denise, podenerwowana, w specjalnie kupionej na tę okazję sukience i nowiutkiej peruce, podała koktajle i przekąski zaraz po tym, jak przywieźli go z hotelu, gdzie zostawił bagaże i po raz kolejny skorzystał ze znakomitej amerykańskiej armatury sanitarnej. Po paru minutach uspokoiła się. Katsamura swobodnie i płynnie rozmawiał ze wszystkimi gośćmi – z Dougiem o tym, jak reagowali na odmienność kulturową kraju, do którego się przyjeżdża; z Sandy Bollinger o wpływie europejskiej

stagnacji na finanse międzynarodowe; z Denise o chorobach dzieci, bo jego własne także ciągle cierpiały na drobne uczulenia, gorączkę i tym podobne. Millicent za jego plecami pochwyciła wzrok Philipa i ułożyła palec wskazujący i kciuk w kółko: „OK!”. Philip w odpowiedzi wyszczerzył zęby, myśląc, jaki to był szczęśliwy traf, że poznał Douga.

A Katsamura znów udał się do łazienki.

– Coś z nim jest nie tak – zauważył półgłosem Alan. – Na lotnisku też chodził, potem w hotelu...

– Choroba turysty? – podsunęła Angela McNeil.

– Ale on jest w kraju od ponad dwóch tygodni – sprzeciwiła się Mabel Bollinger. – Nawet w Brazylii nie trzymało mnie dłużej niż trzy, cztery dni.

– Mamy przecież pod ręką lekarza – rzuciła praktycznym tonem Dorothy Black.

Doug zagryzł wargę.

– Zobaczą, czy się da coś pomóc – powiedział niezbyt pewnym tonem. – Phil, masz coś na biegunkę? Chlorohydroksychinolinę na przykład?

– No... nie bardzo. Normalnie używamy khatu, ale przecież nie mogę mu tego dać, to jest nielegalne. Kochanie, a jest może coś dla dzieci?

– Akurat wyszło – odparła Denise. – Miałam dokupić, ale w tym zamieszaniu zapomniałam.

– Khatu, mówisz? – zainteresowała się Dorothy. – A co to ma do tego?

– Ma taki skutek uboczny, obstrukcję – wyjaśnił Doug. I pstryknął palcami. – Skutek uboczny, no właśnie! Mam chyba w torbie coś odpowiedniego.

\* \* \*

– Mam nadzieję, że nie potraktuje pan tego jako nadmiernego wścibstwa – mruknął minutę później – ale wie pan, że jestem lekarzem, prawda?

Katsamura zrobił się żółtawoczerwony.

– Proszę wziąć dwie i popić, ale nie wodą z kranu, przyniosę panu w butelce. Proszę. Jutro załatwimy, żeby Philip Mason kupił panu coś

lepszego, ale na parę godzin powinno pomóc. – Wsunął mu w dłoń mały biały pakiecik.

Katsamura, gdy ich opuścił, pomyślał, że to byłoby najrozsądniejsze wyjście, najbardziej sensowne i najbardziej minimalizujące ryzyko przyszłych porażek i wstydu. Wiadomo było, że za ofertą Prossera stoją znaczne fundusze, choć nie tak wielkie, jak za ofertą z Chicago. Dlatego właśnie dał się zaprosić na kolację do prywatnego domu i zgodził na parę innych gestów niezgodnych z etykietą.

Nagle podjął decyzję. Będzie rekomendacja dla tych ludzi. Niech zostają przedstawicielami na Kolorado. Kompletnie niehandlowo. Niebiznesowo. Nie wolno mieszać osobistych uprzedzeń z biznesowymi decyzjami. Ale tak będzie i już.

Ile trzeba czekać, żeby te tabletki zadziałały? Miejmy nadzieję, że kolejne dwie minuty nie zepsują całej kolacji. Po raz kolejny pośpiesznie podniósł klapę sedesu.

## TESTY POZAKLINICZNE

*Latro, Kalifornia:*

- Panie doktorze, mam straszną biegunkę i jestem taka słaba...
- Proszę wziąć te tabletki i przyjść za trzy dni, jeśli się nie poprawi.

*Parkington, Teksas:*

- Mam straszną biegunkę...
- Proszę wziąć...

*Hainesport, Luizjana:*

- Mam straszną...
- Proszę...

*Baker Bay, Floryda...*

*Waszyngton, DC...*

*Filadelfia, Pensylwania...*

*Nowy Jork, Nowy Jork...*

*Boston, Massachusetts...*

*Chicago, Illinois:*

– Panie doktorze, przepraszam, że w niedzielę, ale dzieciak strasznie źle się czuje, musi mi pan pomóc!

– Dać aspirynę dla dzieci. Przyjść jutro. Do widzenia.

*Wszędzie, USA:*

Nagła fala popytu na bardzo małe trumny, odpowiednie dla małych dzieci zmarłych na ostre dziecięce zapalenie jelit.

maj



## BIERZ, PÓKI JEST CO BRAĆ

*Kiedy tu stanąłem, nie było niczego  
Prócz lasu groźnego, stepu zielonego.  
W dolinie się kojota niosło zawodzenie,  
Niedźwiedzie grasowały, pasty się jelenie.  
Raz, dwa i trzy, to moje co mam,  
Raz, dwa i trzy, tutaj, tam i sam!*

*Złapałem siekierę, drzewa wyrąbałem,  
Chałupę do spania sobie zbudowałem.  
Ściany były z bali, ziemią obsypałem,  
A kiedy się kładłem, Bogu dziękowałem.  
Raz, dwa i trzy...*

*Wziąłem proch w rogu i strzelbę nabiłem,  
Szkodniki, co zboże żarły, szybko wyplenilem.  
Miałem mięso, chleb, dobrze mi się żyło,  
Jeszcze by się kobietę jaką tu zgodziło.  
Raz, dwa i trzy...*

*Syna się dochowałem. Gdy wyrósł nie lada,  
Nauczyłem, jak się bronią i narzędziem włada.  
Pola się rozrastały, wyrąb szedł aż miło,  
Wreszcie i pod osadę krąg się oczyściło.  
Raz, dwa i trzy...*

*Już stoi kościółek z dzwonnicy drewnianą,  
Pełen jest po brzegi co niedziela rano.*

*Mamy bank, jest saloon, jest dom towarowy,  
Tam, gdzie nieużytek, setkę domów nowych.  
Raz, dwa i trzy...*

*A dziś, gdym jest stary i umrzeć gotowy,  
Gdzie niegdyś bizony, tam pasą się krowy.  
Moją trumnę rodzina do grobu poniesie  
Drogą, co jak mówią, wybrukuje się.  
Raz, dwa i trzy...*

*Został po mnie ślad, gdy przyszła godzina,  
Miasto stoi, gdzie dzika szumiała gęstwina.  
I cieszę się, bo się poniesie nad mą trumną mowa  
Po ziemi, co niegdyś płona była i jałowa.  
Raz, dwa i trzy...*

„Boelker’s Camp Fire Songster”, 1873

## OD DESZCZU

– Gdzież oni są? – Gerry Thorne mamrotał pod nosem przez cały pogrzeb Nancy w małej miejscinie w Pensylwanii, gdzie się urodziła i gdzie wciąż mieszkali jej rodzice. – Gdzie, kurwa, są te sukinsyny? Spisek jakiś czy coś?

Wszyscy rozumieli, że jest zdenerwowany, lecz takie słownictwo było nie na miejscu w trakcie odprawianej przez pomocniczego pastora mszy. (Główny pastor miał problemy gastryczne). Udawali więc, że nie słyszą.

\* \* \*

Nie chodziło mu o gości. Było ich aż nadto, w tym osoby ważne i sławne. Jacob Bamberley specjalnie przyleciał na wschód, z Maud, ale bez dzieci. (Miały zapalenie jelit). Pomniejsi urzędnicy z ambasad, oenzetowskie delegacje z krajów, którym pomagała Globe Relief, także się stawili. Moses Greenbriar planował przylot, ale i on, i Elly się rozchorowali (zapalenie jelit). Zjawili się dawni przyjaciele rodziny, grube ryby miejscowej społeczności, na przykład burmistrz i dyrektor szkoły, do której chodziła Nancy (miał wolne, bo szkołę zamknięto z powodu epidemii zapalenia jelit). Ale nie ich miał na myśli.

– Żeby żadnego dziennikarza nie było? – mruknął. – Jezus! A tyle razy trułem dupę gościom z ABS-u!

Mylił się jednak. Jedna dziennikarka była. Dziewczyna wysłana przez lokalny tygodnik o nakładzie prawie dwudziestu tysięcy.

\* \* \*

Tuż przed kremacją zdarzył się jeden wstydlawy incydent, kiedy kobieta próbująca się wymknąć do toalety przewróciła się między ławkami i... – wszyscy zgodnie starali się jak mogli, żeby nie zwrócić na to uwagi. Wreszcie udało się powierzyć trumnę płomieniom i wszyscy wyszli na zewnątrz, pod szarozółte niebo.

Gerry na początku sprzeciwiał się kremacji, ze względu na dym. Zmienił jednak zdanie, gdy zobaczył, ile blizn ma Nancy.

\* \* \*

Słońce świeciło przez cały dzień, jaskrawe i rozmyte, przez cały tydzień panowała wyjątkowo dobra pogoda. Thorne, nierzucający cienia, z twarzą bladą jak papier, z napiętymi mięśniami szczęki, w kółko powtarzał:

– Gdzie są te sukinsyny! Ja ich zabiję!

– Jest epidemia, nie wiesz? – odezwał się Cowper, jego teść, zawsze przywiązany do zasad przyzwoitości, przez co przez całą mszę dygotał w czarnym garniturze. – Słyszałem, że w Nowym Jorku jest naprawdę strasznie.

Jego żona, która też go zdenerwowała, bo pociągała nosem tak głośno, że słycać ją było w całej kaplicy, i to nie ze smutku, lecz z przeziębienia, wymówiła się na moment. To co zwykle.

– Epidemia, sratatata! – warknął Thorne. – Władze nacisnęły i tyle! Nie podoba im się, że taką aferę zrobiłem!

Faktycznie; nie była to przechwałka. Był perwersyjnie dumny, że wykorzystał swoją rangę menedżera Globe Relief, by nagłośnić śmierć Nancy i jej przyczynę. Wskutek tego kurorty na całym atlantyckim wybrzeżu, na Karaibach, nawet na pełnym oceanie, jak Bermudy, borykały się teraz z dziesiątkami tysięcy odwołanych rezerwacji. Urzędnicy upierali się, że ilość luizytu wyrzuconego do morza w roku 1919 nie mogłaby pokryć tak ogromnego obszaru, że to był czysty przypadek, że trawlerzy trafiły na dwie niezależne partie, a poza tym gaz rozkładał się w dzień czy dwa. Nic to nie zmieniło. Thorne nagłośnił co najmniej jeszcze jedną ofiarę gazu, dotąd nieznaną publiczności, i wysledził rodziny ośmiu innych ofiar, ale

ktoś je zastraszył i nie chciały nic mówić. Co prawda, społeczeństwu, które po raz kolejny poczuło się okłamane, to wystarczyło. W tym roku jedziemy na wakacje gdzie indziej. Jest jakieś miejsce, gdzie mogą pojechać Amerykanie i tłum ich nie ukamieniuje? Hiszpania? Grecja? No nie, musi być trochę dalej od śmierdzącego Śródziemnego.

\* \* \*

Podszedł do nich pastor pomocniczy, wielebny Horace Kirk.

– Bardzo wzruszająca mowa, panie pastarze – powiedział pan Cowper.

– Dziękuję.

– Pozwę sukinsynów do sądu – odezwał się nagle Thorne. – Skoro tego chcą!

Pan Cowper troskliwie dotknął jego ramienia.

– Gerry, strasznie jesteś zdenerwowany. Chodź do nas, odpoczniesz sobie trochę.

– Nie ma mowy. Lecę od razu do prawników. Choćbym miał wydać wszystko, co do grosza, ja dopadnę tych sukinsynów, co wrzucili tam ten gaz!

– Wszyscy rozumiemy, jak pan cierpi. Naprawdę, straszna tragedia – powiedział Bamberley, przyjmując uspokajający ton pana Cowpera. – Ale musi pan zdać sobie sprawę...

– Jack!

Ku zdumieniu wszystkich przerwała im Maud, wtykająca do rękawa chusteczkę przemoczoną łzami w trakcie pogrzebu.

– Gerry ma rację! – wykrzyknęła. – To paskudne. To obrzydliwe. Nie obchodzi mnie jak dawno to było, obojętne kiedy to wrzucili do morza! To należy do państwa, giną ludzie, i to państwo jest za to odpowiedzialne!

– Ależ, Maud, kochanie, co ty...?!

– Jack, dla ciebie to nic! Najgorsze, co może ciebie spotkać, to że jakiś tam robał zeżre ci te twoje Nutri-coś-tam! Ty nie zamartwiasz się przez cały dzień, które dziecko zachoruje ci jako następne! A ja, ja przez cały

czas, rok za rokiem, jak nie padaczka, to gorączka, jak nie urok, to sraczka! Ile można! Tu się żyje jak w piekle!

Głos jej się załamał, rozszlochała się i na oślep oparła o ramię pastora, który podtrzymał ją zażenowany, jej mąż zaś patrzył na nią, jakby pierwszy raz w życiu widział ją na oczy.

Pan Kirk zakaszłał delikatnie – i to był błąd. W dzisiejszych czasach to prawie zawsze był błąd, nawet w małym, nieco czystszy miasteczku. Cowper musiał przejąć od niego Maud. Doszedł jednak do siebie, nie tracąc rezonu, i wreszcie powiedział:

– No cóż, Thorne, może nie jestem w pełni świadom okoliczności tej tragedii...

– Tak, nie jest pan? – przerwał mu Thorne. – To nie moja wina! Ja się starałem, żeby było w telewizji, we wszystkich gazetach!

– Ja chciałem tylko powiedzieć... – Teraz lodowato: wciąż stoimy w obliczu śmierci i nie wypada krzyczeć. – Ja mam natomiast wrażenie, że nierozsądne byłoby pozywanie do sądu organów władzy. Szanse na uzyskanie odszkodowania są znikome, za to...

– Gdzieś mam odszkodowanie! – wrzasnął Thorne. – Chcę sprawiedliwości! Nikt mi nie powie, że jak wrzucali beczki z gazem, nie wiedzieli, że ludzie będą łowić w oceanie ryby, kąpać się, budować domy nad brzegiem! Nikt mi nie powie, że skurwiele nie wiedzieli, co robią, po prostu liczyli, że jak pojawią się problemy, to ich już dawno nie będzie! To ja im teraz narobię problemów. Zobaczycie, jeszcze ci generałowie-syfiarze będą to wygrzebywać z wody gołymi rękami!

Odwrócił się na pięcie i pobiegł do auta.

Po długiej przerwie Kirk odezwał się niepewnie:

– Będzie chyba padać, nie sądzicie państwo? Może trzeba by jechać.

– Tak, tak – zgodził się Cowper. – Lepiej się nie narażać na deszcz, prawda?

**BRAK OJCA, JAK DOTĄD**

Później, gdy zostali sami, Bamberley warknął do Maud:

– No to co mam zrobić z tymi dziećmiakami, może ty mi powiesz, co? Trzymać w domu, jak Roland Hectora? Mają nie wiedzieć, jak wygląda Ziemia?

## ZŁY WIATR

Budynek, w którym mieszkali Masonowie, był, jak większość nowoczesnych i ekskluzywnych apartamentowców, chroniony przesuwaną stalową kratą, kuloodpornymi szybami i całodobową uzbrojoną ochroną. Doug McNeil pokazał dokument podejrziwemu czarnemu mężczyźnie siedzącemu w gazoszczelnej kabinie. Była sobota, zapewne dlatego nigdy wcześniej tego ochroniarza nie widział. Przy tak gwałtownie rosnących kosztach utrzymania, a zwłaszcza żywności, masa ludzi dorabiała sobie półlegalnie, wieczorami czy w weekendy.

– Pan z wizytą domową, w sobotę? – zapytał z niedowierzaniem strażnik.

– A co? – warknął Doug. – Dziecko zachorowało!

– Niech mnie – powiedział ochroniarz, kręcąc wielką głową i gęstą, szpakowatą brodą. Otworzył kratę.

Doug był już w połowie drogi do wind, gdy zawołał jeszcze za nim:

– Panie doktorze?!

Obejrzał się.

– Panie doktorze, a pan przyjmuje... ten... kolorowych?

– Oczywiście. Dlaczego nie?

– No bo... – Wyszedł nieśmiało ze swojej budki, jakby obawiając się reprimendy. Doug zauważył, że jest o wiele starszy, niż wcześniej wyglądał; trzyma się dobrze, ale jest pewnie grubo po sześćdziesiątce. – Chodzi o moją żonę. W sumie nic konkretnego jej nie jest, wie pan, ale ciągle ma takie napady słabości, więc jakby nie było u pana zbyt drogo...? – Urwał na pytającej, pełnej nadziei nucie.

Doug powstrzymał westchnienie. Diagnozę mógł postawić, nie widząc tej kobiety na oczy: kiepskie jedzenie prowadzące do nieklinicznego niedożywienia, kiepska woda powodująca nawracające zaburzenia pracy jelit, ogólne osłabienie i tak dalej. Powiedział jednak:

- Jestem w książce telefonicznej. Douglas McNeil.
- Dziękuję panu! Bardzo dziękuję!

\* \* \*

Wchodząc do mieszkania Masonów, wciąż był podenerwowany tym spotkaniem. Denise tak się śpieszyła go wpuścić, że już pootwierała wszystkie zamki – drzwi były zamknięte tylko na łańcuch – i nie zamknęła ich za nim od razu.

– Doug, dzięki Bogu, że mogłeś przyjść! Odkąd dzwoniłam, dwa razy musiałam zmieniać Haroldowi pościel!

Poszedł za nią zrezygnowany i zdiagnozował dokładnie to, czego się spodziewał. Po trzech minutach wypisał receptę, taką samą jak – ile? – pewnie z dziewięćdziesiąt w ciągu ostatniego tygodnia. Myjąc ręce, wyrecytował standardowy zestaw porad dotyczących diety i tego, by nie niepokoić się drobnymi skurczami żołądka.

A wtedy pojawił się Philip i zapytał o wyrok.

– Nic poważnego – odparł Doug, rzucając ręcznik na wieszak.

– Nic poważnego? Doug, w całym mieście pozamykali szkoły, chore są wszystkie dzieci w tym budynku, i większość dorosłych, i...

– A niemowląt czasem nie daje się wyleczyć – warknął Doug. – Wiem! – Opanował się. – Przepraszam – powiedział, ze zmęczeniem przesuwając dłonią przed oczyma. – Wiesz, po prostu to jest moja szósta wizyta dzisiaj, z tym samym. I już nie mogę.

– A tak, oczywiście. – Philip zrobił przeproszającą minę. – Ale rozumiesz, gdy chodzi o własne dzieci...

– Twoje już są duże – zauważył Doug. – Parę dni i powinno im się poprawić.



– No tak, ale... Zresztą nieważne. Głupoty gadam. Słuchaj, masz chwilę na drinka? Mamy paru gości, może byś chciał ich poznać.

– O tak. Dobrze mi zrobi – powiedział sucho Doug i poszedł za nim.

\* \* \*

W salonie: pulchna, ładna, jasnoskóra dziewczyna, siedząca nieśmiało na brzeżku fotela, obok niej ciemniejszy o kilka odcieni mężczyzna, z charakterystyczną sztywnością, po której Doug od razu poznał, że nosi gorset. Jego twarz niewyraźnie skądś kojarzył, a kiedy Philip przedstawił ich sobie, natychmiast wiedział skąd.

– Pan Goddard! Bardzo miło mi pana poznać! Naprawdę! – A do Denise, która podała mu, jak zawsze, wódkę z cytryną i wodą sodową: – Dziękuję.

– Pani dzieci są zdrowe, pani Mason? – zapytała dziewczyna.

– Doug mówi, że za parę dni wyzdrowieją.

– Ale co to za... epidemia? – zapytał Pete. – Sam w zeszłym tygodniu tego dostałem. Był pewien problem. Bo ostatnio ja... ten... za szybko nie biegam.

Doug uśmiechnął się, choć trochę z przymusem. Usiadł w fotelu i powiedział:

– To... To jest po prostu jakaś mutacja bakterii *E. coli*. Ta bakteria normalnie sobie spokojnie żyje w naszym układzie pokarmowym. I w różnych miejscach świata są jej różne odmiany, niektóre mutują pod wpływem antybiotyków i tak dalej. Stąd bierze się biegunka. To jest to samo, co „choroba turysty”, albo, jak to u nas nazywają, „klątwa Tutenchamona”. I z czasem człowiek przystosowuje się do nowej odmiany. Wcześniej czy później.

– Ale przecież niemowlęta... – Jeannie, z wahaniem.

– No tak, niemowlęta są podatne. Od biegunki szybko się odwadniają, a jeśli jedzenie tak szybko przelatuje im przez organizm, to... rozumiecie.

Pete kiwnął głową.

– Ale czemu nagle się tyle tego narobiło? W wiadomościach mówią, że cały kraj choruje.

– Słyszałam, że ktoś to celowo rozsiewa – zaryzykowała Jeannie.

– Nie no, bez przesady! – Doug prychnął i łyknął drinka. – Nie potrzeba wymyślać jakichś wrogich agentów, żeby to wyjaśnić! Ja nie jestem jakimś tam ekspertem od zdrowia publicznego, ale wyobrażam sobie, że to prosta rzecz, takie błędne koło. Wiecie, że nam się wyczerpują zasoby wody, prawda?

– Nam nie trzeba mówić. – Denise westchnęła. – Teraz też obowiązuje zakaz picia. Prawdę mówiąc, podejrzewam, że to stąd dzieci to podłapały. Takie są dumne, że już sięgają do zlewu i mogą sobie nalać szklanek wody... Ale nieważne, mów dalej.

– Sami pomyślcie. Chorych jest osiem, dziesięć milionów ludzi...

– Osiem, dziesięć milionów?! – zawołał Philip.

– Tak mówią, a to pewnie jeszcze nie jest szczyt. Ale rozumiecie: skoro tylu ludzi spuszcza wodę dziesięć, piętnaście, dwadzieścia razy dziennie, zużywamy o wiele więcej wody niż zwykle, a co najmniej połowa tego kraju korzysta z uzdatnianej zużytej wody. – Rozłożył ręce. – No i właśnie. Błędne koło. Pewnie będzie się to ciągnąć przez całe lato.

– Jezus Maria – powiedział Philip.

– A ty czym się właściwie martwisz? – dodał złośliwie Doug. – Jesteście z Alanem przedstawicielami filtrów do wody, nie?

– To dopiero jest wredny żart, wiesz? Ale w sumie... może i masz rację. Trzeba dostrzegać pozytywy. I dobrze zaliczać się do tych nielicznych, którzy mają jakieś pozytywy... A swoją drogą... Pete?

– Słucham?

– Czy Alan nie mówił, że poleci cię Dougowi?

– To wy się z Alanem też znacie?

– Jasne. – Pete kiwnął głową. – Będę u niego pracował.

– Supergość! – wykrzyknęła Jeannie. – Znalazł nam mieszkanie i w ogóle wszystko. Po to właśnie przyjechaliśmy dzisiaj do Denver, żeby je obejrzeć. Jest w porządku.

– No, dom to nie jest – mruknął Pete. – Ale... – Spróbował mimo gorsetu zamarkować wzruszenie ramionami.

Jeannie łyknęła na niego groźnie. Po chwili dodała:

– Pani Mason, jeszcze o jedną rzecz chciałabym zapytać...

- Proszę mi mówić „Denise”!
- Eee... tak, Denise. Macie problemy ze szczurami?
- Nie, a co?
- W Towerhill jest z nimi masakra. Mnie też pogryzły. A któregoś dnia...
- Głos jej się załamał.
- Co takiego? – podsunął Philip.
- Zagryzły niemowlę – dokończył Pete. – Zagryzły na śmierć.

\* \* \*

Nastąpiła chwila ciszy. Wreszcie Doug opróżnił szklankę i wstał.

- Ja tam nic nie wiem, żeby w Denver była jakaś plaga szczurów – powiedział. – Ale możecie mieć trochę kłopotów z pchłami i wszami. Są chyba w połowie domów, do których chodzę. I oczywiście odporne.
- Nawet na te... ehem... mocne środki? – zapytał Philip, używając potocznego eufemizmu na „zabronione”.
- Szczególnie na nie. – Doug uśmiechnął się niewesoło. – Bo to są te, które przeżyły. Zniosły wszystko najgorsze i grają nam na nosie. Jedyne, co może im zaszkodzić, to bezpośrednie trafienie cegłą, a i tego nie byłbym zbyt pewny... No dobrze, dzięki za drinka. Chyba muszę już lecieć.

Żegnając się, z rozbawieniem zauważył, że wszyscy usiłują powstrzymać się od drapania.

Ale kiedy, zjeżdżając windą, sam dostał psychosomatycznego swędzenia, przestało go to śmieszyć.

## SKUTKI UBOCZNE

*...oficjalnie za powód podaje się osłabienie nowo przybyłych żołnierzy spowodowane zapaleniem jelit. Tupamaros zdobyli właśnie największą część terytorium kraju od początku rewolty. Z powodu niedyspozycji prezydent nie był w stanie udzielić nam komentarza. Epidemia rozwija się coraz szybciej we*

*wszystkich stanach oprócz Alaski i Hawajów, wiele dużych firm musi pracować ze zredukowaną załogą. Zakłócone jest działanie usług publicznych, zwłaszcza wywozu śmieci i oczyszczania ścieków. W Nowym Jorku komunikacja kursuje według zmienionego rozkładu, na niektórych liniach zaledwie jeden autobus na godzinę. Komendant policji w Nowym Orleanie informuje o bezprecedensowej fali przestępczości spowodowanej chorobą ponad połowy policjantów. Poranne demonstracje trainistów...*

## ZACHMURZENIE

– Te ziemniaki czują się jeszcze gorzej niż ja – stwierdziła na wpół żartobliwie Peg.

Postawiła na ziemi wiaderko z kompostem, którym miała obłożyć rachityczne rośliny. To był jej pierwszy dzień pracy po ataku zapalenia jelit, wciąż była słaba i kręciło jej się trochę w głowie, ale nie mogła już wytrzymać bezczynności.

– Pewnie, trochę słońca by im się przydało – powiedziała machinalnie Zena. Zawijając rękawy, popatrzyła na wysoką, bladą chmurę, zakrywającą całe niebo, i zmarszczyła czoło.

Peg usłyszała te słowa i przeżyła nagłą chwilę oświecenia – jakby przez moment była w stanie spojrzeć na siebie z odległości – nie tylko w przestrzeni, ale i w czasie.

Mignęło i znikło – i znów patrzyła na otaczające wiat góry, już dobrze znajome, oraz na osobliwe nieregularne dachy budynków, które także przypominały góry – kopuła obok piramidki, piramidka obok sześcianu. Jeden z architektów wspólnoty uczył się fachu w Anglii, u Albarna.

– Peg, kochana, nic ci nie jest? – zapytała Zena.

– Nie, nic, nic – zapewniła ją Peg. Nieświadomie zachwiała się lekko.

– Kochana, tylko się nie przeciążaj, dobrze? Potrzebujesz odpocząć, to odpocznij.

– Oczywiście – mruknęła Peg.

Wzięła motykę i zaczęła pracować, tak jak ją nauczono: obok każdej rachitycznej rośliny zrobić mały dołek, wetknąć odrobinę kompostu, zasypać. Później podleje się wodą z nawozem. Zanim jednak skończyła z pierwszym dołkiem, usłyszała nerwowy okrzyk Zeny i odwróciła się, by stwierdzić – z nagłym obrzydzeniem – że ta trzyma w palcach coś cienkiego i wijącego się.

– Patrz, co tu mam! – krzyknęła.

Peg z wahaniem usłuchała. Nie przyszło jej do głowy nic mądrzejszego, powiedziała więc:

– Dziwny ma kolor jak na dżdżownicę. Przeważnie chyba są różowe? – A ten stwór był siny, wręcz niebieskawy, jakby opił się żyłą krwią.

– Właśnie – szepnęła Zena. – Tak się zastanawiam, może to skutek jakiejś trucizny, tej samej, co zaszkoziła ziemniakom, albo... – Drugą ręką wbiła w ziemię motykę, odsłaniając korzenie najbliższej rośliny. – No i mamy odpowiedź – rzuciła ponuro.

Bulwy, które powinny być już spore, miały ledwo kilka centymetrów średnicy i były całe usiane dziurami. A wokół każdej dziury – plama czarnej zgnilizny.

– Jeśli tak wygląda całe pole... – Odwróciła się powoli, taksując wzrokiem obsadzony na jesieni zagon ziemniaków. – Nawet się nie zastanawialiśmy, było dla nas oczywiste, że to... coś w deszczu, albo w ziemi... Przeważnie tak właśnie jest.

Przeważnie tak właśnie jest.

Peg przypatrywała się wijącemu się stworowi. Nagle tknęło ją okropne podejrzenie.

– Zena! Wiesz... a nie, nic. Tamte były innego koloru.

– Które tamte?

– Ta bańka z dżdżownicami, co Felice przywiozła. Przez chwilę myślałam... – Pokręciła głową. – Ale oglądałyśmy je w sklepie. Były różowe, jak trzeba.

– Kupione w Plant Fertility, powinny być w porządku – powiedziała Zena. – Już parę razy od nich braliśmy różne owady. Nasze pszczoły też są od nich. – Wokół wату stało kilkanaście uli. – Więc... Jedno jest pewne:

mamy o wiele za mało ekstraktu z czosnku, żeby opryskać taki obszar. Niewiele da się zrobić, najwyżej zapytać Stanową Komisję do spraw Rolnictwa, czy nie da się czegoś posadzić pomiędzy ziemniakami, żeby przyciągało szkodniki. Chodź, wracamy do domu. Nic tu po nas.

– Zena! – powiedziała nagle Peg.

– Tak?

– Myślę, że dla mnie już czas wyjeżdżać.

Jak wyjaśnić ten nagły przebłysk? Zobaczyła siebie jako pasażerkę w strumieniu czasu. Przez ostatnie tygodnie cieszyła się z izolacji od świata, bo życie tu było tak niewymagające i harmonijne. Tymczasem jednak w Wielkim Świecie działy się złe rzeczy. Jak na przykład to zdarzenie, które ją tu sprowadziło. Na przykład śmierć i zniszczenie. Na przykład zatruty deszcz, który niszczy ci zbiory.

– Spodziewałam się. Nie leży ci takie życie, prawda? Potrzebujesz rywalizacji, konkurencji, a tego to za wiele u nas nie ma.

– Nie, niezupełnie. – Peg oparła się na motyce i szukała właściwych słów. – Bardziej... że chciałabym coś po sobie zostawić. Zrobić jakąś jedną rzecz, która zmieni bieg świata, zamiast przygotowywać się na przetrwanie, kiedy świat idzie ku gorszemu.

– I dlatego zostałam dziennikarką, tak?

– Pewnie tak.

Peg skrzywiła się. Była tu o wiele bardziej rozluźniona, bardziej skłonna do ujawniania uczuć, do postępowania zgodnie z głosem ciała. Na wacie robiono własne ziołowe wermuty, według tradycyjnych europejskich receptur, i sprzedawano je nie tylko turystom, ale i wysyłkowo. A parę dni temu wieczorem degustowali i świętowali wyjątkowo udaną partię. Przetańczyła wiele godzin i poczuła się świetnie – a potem dopadło ją zapalenie jelit. I żaden facet jej tu nie napastował, nie chciał zaciągnąć do łóżka – może nie licząc tego nieszczęsnego, niepozbianego Hugh, chłopaczka jeszcze, nie faceta – i może dlatego ostatnio przyłapała się na myśleniu, czyby jednak z nim nie spróbować, nie pozwolić sobie na chwilę przyjemności i luzu. Przy nielicznych poprzednich okazjach była zamknięta na głucho jak kasa pancerna.

\* \* \*

Dokładnie w tej chwili pojawił się mały Rick. Pokazały mu wijącego się robaka, a on stanowczo stwierdził, że się nim zajmie – porówna z rysunkami wszystkich szkodników, jakie znajdzie w bibliotece. Peg spontanicznie rzuciła:

– Wiesz, Rick, zastanawiam się, czy nie wyjechać.

– Wracasz do gazety? – zapytał machinalnie, w skupieniu przyglądając się robakowi.

– No, nie wiem. Być może.

– Aha. Ale będziesz nas odwiedzać, prawda? – Starannie zawinął owada w chusteczkę i poszedł. Na odchodnym zawołał jeszcze: – I może ci się uda dojść, jak otruli mojego ojca? Postarasz się?

Zadziało to jak lodowaty prysznic. Stała jak wryta przez długą chwilę, zanim była w stanie wykrztusić:

– Zena, ja mu nie mówiłam, że Decimusa otruli!

– Pewnie, że nie.

– Ale... – musiała przełknąć ślinę – ale jestem przekonana, że tak właśnie było.

– Ja też – odparła Zena. – Wszyscy tak myślą.

W umyśle Peg nagle wszystko złożyło się w całość: brak słońca, deszcz, co nie karmi roślin, ale je morduje – nagle upuściła motykę i rozplakała się, kryjąc twarz w dłoniach. A częścią umysłu wciąż patrzyła na siebie z boku i powtarzała ze zdumieniem: Peg Mankiewicz płacze? To niemożliwe!

Czuła jednak katharsis. Czuła oczyszczenie.

– Ja już nie mogę! – powiedziała po chwili, czując dodający otuchy dotyk ramion Zeny.

Zamrugła, pozbywając się łez, i spojrzała na zwiędłe ziemniaki: gatunek selekcyjowany przy założeniu, że będzie się go polewać nawozami sztucznymi, opryskiwać pestycydami, liście spryskiwać substancją hamującą utratę wody – i nieważne, jak smakują, póki rosną duże i dobrze wyglądają. Skazane tylko na naturalne zasoby, od razy zwiędłyby i zmarniały, bo te zasoby dawno ktoś ukradł.

– Zena, co to za przyszłość? Parę tysięcy naszych ludzi, pod ziemią, w klimatyzowanych jaskiniach, żywiących się karmą z hydroponicznych farm, jak ta Bamberleya? A inni nasi potomkowie? Będą wegetować na zatrutej powierzchni Ziemi, dzieci chore i kalekie, w gorszej sytuacji niż Buszmeni? Mimo że za sobą mają tysiące lat dumnej cywilizacji?

Poczuła, że Zena się skrzywiła. Młodsze z jej przybranych córek też cierpiały na straszne alergie, ciągle kaszlały, charczały i się dusiły.

– Trzeba coś zrobić, żeby zaczęli słuchać! – obwieściła Peg. – Nie o to chodzi we wszystkich książkach Austina? Nie można winić ludzi, którzy nie słyszą ostrzeżeń, ale trzeba tych, którzy słyszą i nic nie robią. A ja, jeśli coś umiem robić, to właśnie składać słowa. Austin zniknął, Decimus nie żyje, ale ktoś musi krzyczeć dalej! – Już prawie się odwróciła, lecz zawahała się jeszcze. – Ucałuj dzieci ode mnie – powiedziała. I dodała, chrypliwym szeptem, ku własnemu zdziwieniu: – I pamiętaj, że ciebie też kocham, dobrze?

## Z TRZEWI ZIEMI

*Zrób sobie w domu wodę z najstynniejszych światowych uzdrowisk!*

*Nie zwracaj uwagi na zakazy picia wody! Mamy w ofercie sole ze wszystkich słynnych uzdrowisk, w wygodnych opakowaniach. VICHY! PERRIER! FONTELLA! APOLLINARIS! MALWERN! TYLKO \$9,95 ZA UNCJĘ!*

*Pięciolitrowe butle CZYSTEJ WODY: \$1,50!*

*Syfony marki SYPHOON i innych znanych producentów! Dostępne od ręki!*

*Dbaj o zdrowie swojej rodziny! NIE RYZYKUJ, PIJĄC WODĘ!*

## PIESKIE CZASY

Jezus! Ile tych much!



Austin Train stanął jak wryty, słuchając bzyczenia much nad górą śmieci. Nikt ich nie wywoził od pięciu tygodni. Epidemia oznaczała, że ekipy oczyszczania miały o połowę mniej ludzi, a góra kazała w pierwszej kolejności obsługiwać zamożniejsze dzielnice, a biedniejsze na końcu.

– Cholera, oni i tak wywalają śmieci za okno – powiedział ktoś.

I wyglądało na to, że miał rację. W wąskim zaułku wciśniętym między dwie trzy- i czteropiętrowe kamienice przesypywał się każdy pojemnik w zasięgu wzroku, obok wydymały się ogromne, zawilgocone kartony, a na tym wszystkim leżała jeszcze jedna warstwa śmieci, ewidentnie wyrzuconych z okien. A wszystko to śmierdziało.

Ale były muchy. Niesamowite. W zeszłym roku latem w L.A. nie widział ani jednej. Nie przypominał sobie.

Bolały go plecy, miał bąble na stopach, przez stan zapalny na głowie wypadły mu prawie wszystkie włosy, a skóra potwornie swędziała, nagle jednak rozpogodził się i zaczął nawet pogwizdywać, wsuwając zęby wózka pod pierwszy z pojemników, żeby zawieźć go do czekającej na ulicy ciężarówki.

– Halo! Halo! Proszę pana!

Wołanie z góry. Mały, śniady chłopak, pewnie meksykańskiego pochodzenia, wychylił się z okna na drugim piętrze. Zamachał.

– Pan zaczeka! Już biegnę!

I znikł. O co chodzi? Wzruszył ramionami i wziął się za ładowanie pojemnika. Nie szło mu – był do połowy zakopany w śmieciach. W końcu zaczął nogami rozkopywać odpadki, żeby dogrzebać się do podstawy.

Drzwi w zaułku rozwarły się nagle, wybiegł chłopaczek w podartej koszuli i wyblakłych dzinsach, z brudnym bandażem na prawej ręce. Oczy miał opuchnięte, jakby ciągle płakał.

– Proszę pana, zabierze pan mojego psa? Mi... Umarł mi.

Oj.

Austin westchnął i wytarł dłonie o spodnie.

– Na górze? Za ciężki, żeby go znieść z tą chorą ręką?

– Nie, tu jest, zaraz za rogiem. Nie wolno było trzymać go w domu. – Chłopak pociągnął nosem. – Chciałem go, no... pochować... ale mama nie

pozwoliła.

– Miała rację – potwierdził Austin. W gęsto zaludnionym centrum miasta nie zakopuje się zwłok, choć jeden rozkładający się w ziemi kot czy pies to żadne zagrożenie dla zdrowia w porównaniu z taką ilością niesprzątniętych śmieci. – Dobra, zobaczmy.

Poszedł z dzieciakiem za róg zaułka. Stało tam coś w rodzaju budy zbitej z drewnianych odpadów i folii. Z wejścia sterczał psi pysk. Austin kucnął nad nim i aż gwizdnął.

– No, no, całkiem ładny był, nie?

Dzieciak westchnął.

– Pewnie. Nazywał się „Rey”. Mama powiedziała, że to po hiszpańsku „król”. W połowie owczarek niemiecki, w połowie chow-chow... tylko wdał się w bójkę, wie pan? A te ugryzienia od razu zaczęły mu tak jakby gnąć czy coś... – Pokazał palcem.

Austin zobaczył na karku psa zakażoną ranę. Musiało potwornie boleć.

– Zrobiliśmy, co się dało. Nic nie pomogło. Tak go bolało, że nawet mnie ugryzł. – Machnął zabandażowaną ręką. – A wczoraj wieczorem wył i wył, słyhać go było nawet przez zamknięte okna. Więc w końcu mama musiała wziąć lek nasenny i powiedziała, żeby jemu też dać. Nie trzeba było! Ale sąsiedzi już byli źli, że wyje i wyje... – Wzruszył ramionami.

Austin kiwnął głową, oceniając wagę zwierzęcia. Dobre trzydzieści parę kilo, może i czterdzieści. Kawał psa. Jak taka biedna rodzina była w stanie wyżywić taką wielką paszczę? Dobra, trzeba go wyciągnąć. Sięgnął do budy i... potarł dłonią o coś zwisającego z jej dachu. Co to, kur...?

O nie!

Odczepił to coś z gwoździa i wyciągnął. Lep na muchy. Hiszpańska marka. Kraju pochodzenia oczywiście brak.

– Skąd to wzięłeś?

– Mama kupiła całe pudełko. Jak śmieciarze przestali przychodzić, strasznie się zrobiło z tymi muchami. A potem zaczęły łazić Reyowi po ranach, więc jemu też powiesiłem.

– Mama ma takie w domu?

– Pewnie, a co? W kuchni, w sypialni, wszędzie. Super działają.

– Leć na górę i powiedz jej, że trzeba je pozdejmować. Są niebezpieczne.  
– Eee... – Zagryzł wargę. – No dobrze, powiem jej, że pan tak mówił. Jak wstanie.

– Co takiego?

– Jeszcze nie wstała. Jak wstawałem, słyszałem jak chrapie. Nie cierpi, jak się jej przeszkadza.

Austin zacisnęła pięści.

– A jakie leki bierze na spanie? Barbiturany, co?

– Nie mam pojęcia! – W jego głosie zabrzmiał strach i zdziwienie. – Jakieś tam tabletki, nie wiem!

Bez sensu pytał. I tak wiedział, co to musi być.

– Biegniemy do mieszkania! Szybko!

– Smith! – Do zaułka wpadł z wrzaskiem szef ekipy. – Co się tu opierdzielasz? Gdzie lecisz?

Austin machnął mu przed nosem lepem na muchy.

– Tam na górze jest zatruta kobieta! Wzięła tabletki na sen, ma zamknięte okna, a w pokoju wisi coś takiego! A wiesz, co do nich dają? Dichlorfos! To antagonist cholinesterazy! Zmieszasz z barbituranami i...

– Co ty w ogóle gadasz? Po jakiemu to? – warknął szef.

– Dlatego zdechł ten pies! No, szybko!

\* \* \*

Uratowali jej życie. Ale oczywiście wszyscy dziennikarze chcieli pogadać z nadspodziewanie dobrze poinformowanym śmieciarzem, więc musiał się znowu wyprowadzić, zanim go wytropili.

## PLAN: MAPA ŚWIATA

Elewację biurowca Trustu Bamberleya na razie naprawiono tylko prowizorycznie, choć wybite szyby oczywiście zaklejono – nie można było

pozwolić, żeby do środka dostawało się uliczne powietrze. Ale sklep na parterze był zabity deskami. Brak rąk do pracy, wywnioskował Tom Grey.

– Wygląda jak po trzęsieniu ziemi! – rzucił wesoło taksówkarz.

– Nie za bardzo – sprzeciwił się Grey. – Po trzęsieniu są bardzo charakterystyczne szkody, zupełnie inne niż po bombie. – Był jednak już i tak konkretnie spóźniony na spotkanie z Mosesem Greenbriarem, więc nie miał ochoty kontynuować dyskusji.

A po drugie, sama ulica przedstawiała przygnębiający widok. Na krawężnikach i pod ścianami piętrzyły się śmieci. Było niewiarygodnie duszno, z pewnością przez wyziewy klimatyzatorów – a ludzie na przystanku autobusowym ciągle kaszleli od spalin i wycierali załzawione oczy. Po drodze z lotniska widział na jednym z przystanków bójkę dwóch facetów w ubraniach roboczych. Co ciekawe, okładali się parasolami.

Taksówkarz sam z siebie powiedział, że ta akurat linia jest szczególnie poszkodowana przez wybuch epidemii jelitowej. Możliwe, że goście czekają na zewnątrz od godziny, nic dziwnego, że się wściekli.

Zapytał o parasole. W odpowiedzi usłyszał chichot.

– No, proszę pana, to jest właśnie nowojorski deszczyk! – powiedział z przewrotną dumą. – Sam też mam parasol, nigdzie się bez niego nie ruszam! – Wskazał na półkę pod deską rozdzielczą. – Ale wie pan co, jeszcze miesiąc i rzucam tę pracę! Potąd mam tych trainistów! Widział pan tę czaszkę na kościach? – Grey nie widział; musiała być po przeciwnej stronie. – Dość już mam. Wyciągam wszystkie oszczędności i pakuję w pralnię chemiczną. Na tym to się zarabia. Pięć minut na deszczu, z parasolem czy bez, i jak od razu pan nie poleci do pralni, garnitur do wyrzucenia.

Uliczne latarnie były pouszkadzane i nienaprawiane. Ruchem kierowała Gwardia Narodowa, w maskach i hełmach, ale uzbrojona tylko w pistolety. Słyszał o tym w wiadomościach – burmistrz oddelegował wszystkich zdrowych policjantów do ważniejszych zadań, na przykład nocnych patroli.

Na lotnisku wszędzie wisiały plakaty Stanowego Wydziału Zdrowia, ostrzegające wszystkich przyjezdnych, że mają sobie kupić profilaktyczne

tabletki na żołądek którejś ze znanych firm oraz pod żadnym pozorem nie pić nieoczyszczonej wody.

– W życiu nie miałem tylu nawalonych pasażerów, co ostatnio – powiedział taksówkarz. – Całkiem jakby „nie pić wody z kranu” znaczyło „tylko woda”.

– Ja nie piję – odpowiedział Tom Grey.

\* \* \*

Był trochę zdenerwowany, bo w program do symulacji świata już naprawdę dużo zainwestował. Odkąd Angel City zaczęło mieć problemy finansowe, z początku przez lawinę w Towerhill, a potem przez epidemię zapalenia jelit – wcześniej z ogromnym sukcesem nasprzedawali swoim klientom polis na życie nowo narodzonych dzieci i teraz ponad dziesięć tysięcy z nich przyszło po wypłaty – zaczęło łapać się wszystkich możliwych źródeł dochodu, w tym nawet wynajmowania komputerów po atrakcyjnych stawkach, w nocie i weekendy. Dlatego Grey musiał szukać innego sponsora.

Przeanalizował wszystkie największe korporacje i zdecydował, że wszystkie jego wymagania spełni właśnie Bamberley Trust. Miał ogromny kapitał; miał wolne moce obliczeniowe, był bowiem przede wszystkim firmą inwestycyjną i wykorzystywał komputery tylko do analiz rynkowych; no i desperacko potrzebował czegoś na poprawę wizerunku. Komisja śledcza ONZ w sprawie katastrofy w Noshri nie zdołała ustalić, jak wprowadzono do Nutriponu niebezpieczny środek, a przez ten brak jasnego uniewinniającego przekazu podejrzania kwitły w najlepsze.

Wysłał im szczegółowy opis swojego projektu, wraz z załącznikami opisującymi przykładowe zastosowania programu. Można sądzić, że wyszło przekonująco, bo zaprosili go teraz do Nowego Jorku, żeby ten dokument omówić.

I już pięć minut po wejściu do gabinetu Greenbriara wiedział, że tym razem – by użyć wyjątkowo odpowiedniej na terenie Bamberleya metafory – tym razem od razu trafił na ropę.

\* \* \*

Oczywiście Nowy Jork był w takim stanie, że ludzie łapali się każdej potencjalnej okazji.

## SPALIĆ PRZED SOBĄ MOSTY

*Przewodniczący:* Panie i panowie, na początku chciałbym przeprosić za wielokrotne przesuwanie terminu spotkania, jednak... ehem... wiecie państwo dobrze, że nieprzychylny los nie chciał sprawić, by nasze najrozmaitsze niedyspozycje zgrały się razem. Dla formalności: nazywam się Edward Penwarren i jestem specjalnym przedstawicielem prezydenta oddelegowanym do tej sprawy. Pana Bamberleya zapewne państwo znacie, pragnąłbym natomiast zwrócić państwa uwagę na obecność kapitana... o, przepraszam, majora Advowsona, specjalnego delegata z grupy obserwatorów ONZ w Noshri. Swoją drogą, gratuluję awansu, panie majorze, chyba dość świeżego, prawda? Słucham, panie senatorze?

*Senator Howell (Republ., Kolorado):* Proszę zaprotokołować, że ja bardzo stanowczo protestuję przeciwko obecności tutaj tego cudzoziemca. Wiele razy podkreślałem, publicznie i prywatnie, że to jest sprawa wyłącznie wewnętrzna i ONZ nie wolno się wtrącać...

*Advowson:* Panie senatorze, ja od miesiąca próbuję wydostać się z tego kraju. Ten kraj śmierdzi, i to dosłownie. W życiu nie czułem się tak źle. Nigdy nie przeżyłem tylu chorób gardła ani tylu ataków biegunki. I nigdy dotąd nie byłem ofiarą ataku bombowego.

*Przewodniczący:* Panowie, ja proszę...

*Howell:* To chyba wystarczający dowód, że wszystko, co ten człowiek mówi, jest stronnicze?

*Advowson:* Akurat tam stronnicze. To jest relacja z pierwszej ręki, z mojej pierwszej i ostatniej, mam szczerą nadzieję, wizyty w tym...

*Przewodniczący:* Proszę o spokój! Panie majorze, przypominam panu, że został pan tu zaproszony w charakterze gościa. A panu, panie senatorze, powtórzę, że pan prezydent osobiście zatwierdził taki skład komisji, jako najlepiej odpowiadający potrzebom sytuacji. Dziękuję. Zatem: bezpośrednią przyczyną naszego spotkania tutaj jest raport, który jeszcze nie został ogłoszony publicznie, ale obawiam się, że w ciągu paru dni prawie na pewno trafi do delegatów ONZ, ponieważ jeden egzemplarz zaginął. Nie będę wchodzić w szczegóły, w tej sprawie toczy się postępowanie. Ważne jest to, co zawiera raport: poufne informacje od US Medical Corps dotyczące stanu zdrowia pewnych osób ocalałych z wioski San Pablo... Przepraszam, panie majorze, pan coś mówił?

*Advowson:* Tylko „ahaaa!”.

*Howell:* Jeśli tak sobie pan wyobraża swój wkład w obrady komisji...

*Advowson:* Po prostu słyszałem pogłoski, że...

*Przewodniczący:* Spokój! Spokój! Dziękuję. Jak mówiłem, chodzi o ten raport. Autorzy... eee... skłaniają się do wniosku, że osoby ocalałe z San Pablo istotnie wykazują takie same objawy, jakie znamy z Noshri. Muszę jednak od razu coś podkreślić. Minęło dużo czasu, odkąd doktor Duval badał Nutripon z Noshri. Jesteśmy przekonani jednak, że zaszło coś takiego: Tupasowie mieli już przygotowaną identyczną substancję, powodującą identyczne skutki, i celowo podali ją bezbronnym cywilom, żeby zdyskredytować amerykańską interwencję wojskową w Hondurasie. Słucham, panie majorze?

*Advowson:* Nic, nic. Proszę kontynuować.

*Przewodniczący:* Przytoczę jeszcze jeden argument popierający taką tezę. Gdyby – czysto hipotetycznie – przyczyną problemów był Nutripon, pierwsze objawy zauważono by dawno temu, jeszcze w styczniu, kiedy trwały poszukiwania doktora Williama i Leonarda Rossa. Tymczasem pierwsze informacje o zaburzeniach, według śledztwa Medical Corps, pojawiły się dopiero w marcu, a w kontekście tamtej sytuacji były... ten... nie rzuciły się w oczy... trzeba było przecież przesłuchiwać podejrzanych Tupasów, i tak dalej, dlatego... W skrócie: bardzo niewielki procent osób zatrzymanych do przesłuchania wykazywał jakiegokolwiek zaburzenia.

Dopiero na początku kwietnia rozpoznano wystarczająco poważne objawy, żeby zlecić dokładniejsze badania psychiatryczne, a potem... eee... badanie osocza i tak dalej. Niestety, w tych kwestiach nie jestem ekspertem. Cytuję tylko raport. Pan Bamberley, proszę?

*Bamberley:* San Pablo było chyba pierwszym miejscem, do którego dostarczaliśmy Nutripon na prośbę Globe Relief. Poprosili nas jeszcze przed Bożym Narodzeniem i udało nam się część wysłać dzięki moim ludziom pracującym po godzinach. Nie słyszałem, żeby ktoś z Globe zauważył jakiegokolwiek złe skutki.

*Przewodniczący:* No tak, to raczej prawdopodobne, że nic nie dotarło. Na miejscu ich agentem był Ross, prawda? Który zginął? Tak, panie majorze?

*Advowson:* Czy mogę zapytać pana Bamberleya, dla ilu ludzi była przeznaczona tamta dostawa? To znaczy, ile osób mogła wyżywić i przez jaki okres?

*Bamberley:* Gdzieś powinienem mieć... O, jest. Sto osób dorosłych i osiemdziesięcioro dzieci, początkowo na dwa dni, by zdążyć ściągnąć jakąś inną pomoc humanitarną.

*Advowson:* Nawet licząc parę kilo na osobę, to nie wychodzi za dużo?

*Bamberley:* Proszę pamiętać, że właśnie zamykaliśmy zakład na święta. To było wszystko, co nam zostało po poprzednim zamówieniu – dokładnie, jak pan mówi, małe kilkaset kilogramów dla najbardziej potrzebujących. Od razu po Nowym Roku wysłaliśmy kolejne dostawy, tym razem wiele ton – i na tę partię także nie mieliśmy żadnych skarg!

*Advowson:* Panie przewodniczący, a mogę o coś zapytać? Ilu ocalałych wykazywało te zaburzenia umysłowe?

*Przewodniczący:* Tylko kilkanaście osób, w tym dzieci.

*Advowson:* Czy to dlatego, że za sympatyzowanie z Tupamaros zatrzymano tylko kilkanaście osób, czy może dlatego, że reszta została zabita?

*Howell:* „Sympatyzowanie z Tupamaros!”. Niech mnie szlag, każde jego słowo jest jak żywcem z ich kłamliwej propagandy! Panie przewodniczący, żądam usunięcia go z komisji!



*Przewodniczący:* Panie senatorze, proszę mi nie rozkazywać! Pytanie jest całkiem na miejscu, choć nie odpowiada mi sposób jego sformułowania: dokładnie z takimi pytaniami spotkamy się w ONZ. Panie majorze, w raporcie, niestety, nie ma na ten temat informacji, dziękuję jednak, że zwrócił pan na to uwagę. Postaram się dowiedzieć. Panie Bamberley, już się pan zapewne domyśla, jaką kwestię teraz poruszę.

*Bamberley:* Tak. Wydaje się, że nie ma alternatywy. W magazynach mamy jeszcze znaczną ilość Nutriponu, wyprodukowanego przed założeniem w zakładzie nowego systemu filtrów. Sugerowano nam, żebyśmy go zniszczyli, maksymalnie nagłaśniając ten fakt. I żeby to zniszczenie nadzorował jakiś świadek o nieskazitelnej opinii – na przykład obecny tutaj pan major, gdyby wyraził zgodę, oraz znany na całym świecie naukowiec, powiedzmy Lucas Quarrey...

*Howell:* Ten antyamerykański palant? Zwariował pan?

*Przewodniczący:* Panie senatorze, pan nie rozumie. Nowa instalacja w fabryce musi być skontrolowana i zatwierdzona przez kogoś, kogo nikt na świecie nie będzie mógł nazwać... eee... pachółkiem imperialistów czy jak to się teraz dokładnie mówi. Profesor Quarrey, jak słusznie pan zauważył, nie słynie z powściągliwości w wygłaszaniu swoich poglądów. Zatem jego opinia będzie się na świecie liczyła. Czy mogę kontynuować?

*Howell:* Jeszcze nie skończyłem. Jack, te twoje zapasy muszą być coś warte. Ile?

*Bamberley:* Około pół miliona dolarów. A zmiany w zakładzie kosztowały mniej więcej drugie tyle.

*Przewodniczący:* Oczywiście wypłacimy odszkodowanie.

*Howell:* A z czyjej kieszeni? Podatnika, jak zwykle?

*Przewodniczący:* Panie senatorze, trzeba o tym myśleć jak o składce na polisę ubezpieczeniową. Pan nie wie, w jakiej rozpaczliwej sytuacji jest ten kraj? Do jesieni musimy uruchomić tę fabrykę z powrotem i pozbyć się uprzedzeń wobec Nutriponu, bo jest prawie pewne, że trzeba go będzie wydawać u nas w kraju. Przez ostatnie miesiące co najmniej trzydzieści pięć milionów ludzi chorowało przez tydzień lub dłużej. Trzeba było zamykać lub skracać dni pracy w fabrykach, na farmach, we wszystkich

usługach publicznych. A resort zdrowia mówi, że zaraz nastąpi drugi cykl epidemii, bo jest deficyt wody i trzeba ją udostępniać jeszcze nie w pełni wysterylizowaną. Można zasypać wszystkich ostrzeżeniami, że jest niezdatna do picia, a i tak drugi raz podłapią chorobę. A wie pan, czym to się skończyło w Hondurasie, prawda?

*Advowson:* On raczej nie wie. Urugwajskiej prasy raczej nie czyta, a wyście wszystko utajnili.

*Przewodniczący:* Cisza! Przepraszam, panie majorze. W pewnym sensie ma pan rację, choć przykro mi to przyznawać. Ale jakbyśmy to ujawnili, morale by poleciało, prawda?

*Howell:* O czym pan, do cholery, gada?

*Advowson:* Jak sądzę, o Dziesiątym Korpusie Zwalczenia Rebelii.

*Przewodniczący:* No właśnie. Panie senatorze, to nie było tak, że bronili straconej pozycji i wycofali się po ciężkich stratach, jak w informacjach, które ujawniliśmy mediom. Tam się stało coś bez precedensu od czasów pierwszej wojny światowej. Oni uciekli. Byli chorzy. Mieli po czterdzieści stopni gorączki, większość majaczyła. To moim zdaniem ich usprawiedliwia. Ale to jednocześnie znaczy, że Tupasowie przejęli cały ich sprzęt. Dlatego teraz Tegucigalpę trzeba zaopatrywać z powietrza i liczymy się z koniecznością ewakuacji rządu, w każdej chwili. A po drugie, w każdym naszym większym mieście, w każdej czarnej dzielnicy aż roi się od protupasowskich bojówek. Może pan sobie wyobrazić, co się stanie, jeśli nie oczyścimy Nutriponu z podejrzeń, zanim trzeba go będzie rozdawać u nas. Nie wystarczyło nam trucie niewinnych chłopów z Hondurasu i Murzynów z Afryki, chcemy wymordować także czarnych Amerykanów! Tak się będzie mówiło i za wszelką cenę nie możemy do tego dopuścić.

## PODZIEMNY RUCH

Lem Walbridge zaczynał od odziedziczonych po ojcu dwustu hektarów, teraz miał ich ponad tysiąc dwieście, i wszystkie obsadzone warzywami: ziemniaki, fasole, sałaty, buraki, trochę kukurydzy i słoneczników na olej – oraz parę delikatesów w rodzaju cukinii i skorzonery. Człowiek ze Stanowej Komisji ds. Rolnictwa dobrze go znał.

– W życiu czegoś takiego nie widziałem! – powiedział po raz dziesiąty, wyskakując z jeepa na skraju pola porośniętego rachitycznymi burakami. Wyciągnął jednego na chybił trafił i pokazał, całego pokrytego paskudnymi, wijącymi się robalami. – A pan?

Tamten kiwnął głową.

– Już widziałem. Parę dni temu. Tu, niedaleko, po drugiej stronie tych wzgórz.

– Ale co to, do cholery jest? Jezus, jak to się rozpleni, to firma mi padnie! Już teraz sprzedaję może z połowę tego, co zwykle, a jak się tego syfu nie powstrzyma... – Z wściekłością cisnął zgniłym burakiem przed siebie.

– A kupował pan w tym roku dżdżownice?

Lem zamrugął.

– No pewnie. Są niezbędne. Do spulchniania gleby.

– Tutaj pan je wypuszczał?

– Oczywiście, sześćdziesiąt, siedemdziesiąt litrów, jak zawsze. Ale mam licencję, wszystkie były certyfikowane i w ogóle.

– Gdzie pan kupował? W Plant Fertility w San Clemente?

– Pewnie! Zawsze od nich kupuję! Siedzą w tym od zawsze. Najlepsze dżdżownice. I pszczoły.

– Tego się właśnie obawiałem. Oni sprzedają na cały kraj, prawda? Aż po Nową Anglię?

– A co to ma, kurna, wspólnego?

– Zaczyna mi wyglądać, że to ma bardzo, bardzo dużo wspólnego.

NAD MORZEM, MARTWYM

Wiatr był dziś wyjątkowo podły. Hugh miał tylko zużytą, kompletnie zatkaną maskę, nie miał siedemdziesięciu pięciu centów na nową z ulicznego automatu, a poza tym były do dupy, nie wytrzymały nawet godziny, jak twierdził opis.

Do dupy...

W roztargnieniu podrapał się po tyłku. Do wszy się już oczywiście mniej więcej przyzwyczaił, zresztą prawie nie było sposobu, żeby ich uniknąć. Na wszystko, co pod słońcem złe, da się zaradzić, albo nie. Jeśli się da, wszystko gra. A jeśli nie, przyzwyczaj się.

Teraz na świecie musi być w pytę złego, na które nie da się nic zaradzić. Zresztą: pod słońcem? Pod jakim słońcem? Słońca nie oglądali od wielu tygodni.

\* \* \*

Ale gorąco było i tak. Oparty o mur, z widokiem na Pacyfik, zastanawiał się, jak wyglądała ta plaża, kiedy był dzieckiem. Pewnie pełno było ładnych dziewczyn. I silnych młodych chłopaków popisujących się przed nimi mięśniami. A teraz...

Woda wyglądała raczej jak ropa. Była ciemnoszara i prawie nie falowała od wiatru. Pomiędzy nią i piaskiem widniała nierówna linia demarkacyjna złożona ze śmieci, głównie plastikowych. Wielkie tablice głosiły: PLAŻA OBJĘTA JEST CAŁKOWITYM ZAKAZEM KĄPIELI.

Pewnie postawili je w zeszłym roku. W tym roku nie trzeba było żadnych tablic. Raz się zaciągnął tym smrodem i błeee.

Ale i tak dobrze było znowu być na nogach. Odkąd przyjechał do Kalifornii, kiepsko było. Ciągła biegunka. Wszyscy ją mieli, ale to wszyscy. Tu w Berkeley, na Telegraph Avenue, widział jak ofiary leżą i jęczą, dzinsy mają brązowe na tyłkach i nie mają do kogo pójść po pomoc. Była jedna bezpłatna przychodnia, ale leczyła też choroby weneryczne; gubernator powiedział, że zachęca do rozwiązości, i kazał ją zamknąć.

Na szczęście od sraczki się nie umierało, jeśli miało się więcej niż sześć miesięcy. Carl w parę tygodni po przyjeździe znalazł sobie pracę na parę

godzin dziennie – zbijał tanie trumienki dla dzieci. Kasa się przydała.

Choć czasami człowiek się czuł, jakby chciał umrzeć.

Gdzie w ogóle jest ten cały Carl? Powietrze było gorące i nieprzyjemne, a on poszedł do straganu z napojami po jakąś colę. Nie śpieszy mu się. Sukinsyn. Pewnie kogoś poderwał.

\* \* \*

Gnieździli się u laski imieniem Kitty, która rozłożyła na podłodze sześć materacy i prawie jej nie obchodziło, ile osób, jakich i jakiej płci na nich śpi. Kitty i Carlowi się poszczęściło, nie mieli sraczki, a to, co zarobili pracą, zebraniem i kombinowaniem, wystarczało, żeby wszystkich wyżywić. Hugh postanowił, że kiedy do końca wydobrzeje, rozejrzy się za jakąś porządną pracą. Może przy wywożeniu śmieci. Może przy sprzątanii plaży. W każdym razie czymś konstruktywnym.

Carla dalej ani śladu. Za to wiatr przywiał do niego gazetę, prawie nienaruszoną, zbyt ciężką, żeby za każdym powiewem przesunąć się dalej niż o kilkanaście centymetrów. Przytrzymał ją butem, podniósł. O, super! „Tupamaro USA”.

Oparł się o murek, potrząsając gazetą, rozprostował ją, odwrócił na pierwszą stronę i od razu w oczy rzuciło mu się nazwisko Bamberley. Ale nie Jacob. Roland. Coś tam o japońskich stacjach oczyszczania wody. Hugh obejrzał się za siebie na sparszywiały ocean i parsknął śmiechem.

Inne teksty były ciekawsze. Trainiści z Waszyngtonu zmajstrowali sobie katapultę w stylu starożytnych Rzymian i ostrzelali Biały Dom papierowymi torbami z pchłami. Ci to mają pomysły – szkoda, że mnie tam nie było. Kolejny kawałek o Puritanie, mówi, że ich żywność tak naprawdę nie jest lepsza, a kosztuje tyle, bo kupę wydają na reklamy...

– Hugh!

Uniósł głowę. Wracał Carl, i do tego nie sam. Na chwilę ogarnęła go zazdrość. Nigdy nie myślał, że zanieś go w takie środowisko. Ale tak wyszło, a Carl był niezłym towarem i... Dobrze, że była chociaż Kitty, to było komu trzymać rękę na... na pulsie.

– Hugh, musisz poznać gościa! – powiedział Carl, z szerokim uśmiechem wręczając mu butelkę coli z wetkniętą słomką. – Hugh Pettingill, Austin Train!

Austin Train?

Hugh był tak wstrząśnięty, że upuścił gazetę. Mało brakowało, a colę też by upuścił. Opanował się jednak i uściśnął dłoń wyciągniętą przez krępego nieznanego w wytartej czerwonej koszuli i wyblakłych niebieskich spodniach, który uśmiechnął się, odsłaniając zbrązowiałe od khatu zęby.

– Carl mówi, że poznaliście się na wacie w Denver.

– Eee... no tak, prawda.

– I co o nich sądzisz?

– Głędzą tylko i głędzą – wciął się Carl. – Nie, Hugh?

Głupio było podpierdzielać trainistów samemu Trainowi, po chwili jednak kiwnął głową. Prawda to była, po co udawać, że nie?

– Dokładnie, cholera – powiedział Train. – Gadają i dumają. Nic nie robią. Ale tutaj w Kalifornii scena wygląda zupełnie inaczej. Śpicie gdzieś w Berkeley, nie? To widzieliście, jak Telegraph wygląda.

Hugh znów skinął głową. Telegraph od końca do końca, razem z większością przecznic, była cała zamalowana pozostałościami po demonstracjach trainistów. Czaszki i piszczelę gapiły się z każdej pustej ściany.

Takie jak u tego kolesia na piersi. Nie tatuaż, nalepka. Odsłonił ją, gdy zaczął się drapać po zarosniętej kłacie.

– No właśnie, a Carl mi mówi, że wyjechałeś z wату, bo chcesz działać – kontynuował Train, wdrapując się na murek obok niego.

W górze coś głośno zabzyczało – unieśli wzrok, ale samolotu nie było widać przez mgiełkę.

– No, coś trzeba robić – mruknął Hugh. – A demonstracje to za mało. Można krzyczeć i krzyczeć, a świat dalej pakuje się głębiej w gówno.

– Dobrze mówi. – Krępy facet kiwnął głową.

Hugh dopiero teraz zauważył, że coś mu wypycha rękaw koszuli – i to nie był mięsień. Odruchowo wyciągnął dłoń i dotknął. Train cofnął rękę, krzywiąc się.

– Ej no, ostrożnie! Jeszcze boli.  
– A co się stało? – Poznał miękki w dotyku kształt: wata i bandaż.  
– A, oparzyłem się. – Wzruszył ramionami. – Robiłem napalm z wazeliny i tak dalej. Pomyślałem, że można by się czegoś nauczyć od Tupasów. A słyszeliście, że złapali tego Meksykańca, co urządził naloty na San Diego?

Hugh poczuł iskrę ekscytacji. Właśnie takich rozmów mu brakowało: praktycznych, zmierzających do określonego celu. Powiedział:

– No tak. Jakiś cholerny patrol rybacki.  
– Dokładnie. Twierdzą, że łowił na nielegalnych wodach. A na fordeku znaleźli kupę tych balonów, elegancko przygotowanych.  
– A ja już Austinowi mówiłem – wciął się Carl – że my mieszkamy z tymi skurwysynami w jednym kraju. Nie musimy walić na oślep z odległości. Możemy dokładnie wybrać winnych i dobrze wycelować, nie?  
– Tylko że tego nie robimy – burknął Train. – Weźcie na przykład takiego Bamberleya.

– Cholera, Bamberley to już ma tyle problemów, na ile sobie zasłużył – odparł Hugh, wzruszając ramionami. – Farmę hydroponiczną mu zamknęli, i...

– Ale nie Jacob! Roland! – Train wskazał stopą upuszczoną przez Hugh gazetę. – Zaraz zarobi w chuj kasy na tych filtrach od Mitsuyamy, nie? A zanim on i jemu podobni dobrali się do świata, mogłeś pić wodę ze strumienia, jak tylko ci się pić zachciało!

– Właśnie – zgodził się Hugh. – A teraz wszystkie strumienie to ścieki i co się dzieje? Miliony ludzi cierpią na sraczkę.

– Otóż to – mruknął z aprobatą Train. – Trzeba ich powstrzymać. Kurna, słyszałeś na przykład, co się porobiło w Idaho? Jakiś szkodnik, robał jakiś, zeżarł im wszystkie zbiory. To co robią? Domagają się, żeby im pozwolić na użycie starych środków, DDT i tak dalej!

– Kurna, niemożliwe! – powiedział Hugh, czując, jak bledną mu policzki.

– A widzisz. Jakby nie było lepszych sposobów. A oczywiście, że są. Na przykład w Chinach nie mają problemu z muchami. Widzisz muchę, to ją

tłuczesz, mija trochę czasu, muchy z głowy.

– Mnie tam się podoba, jak to robią na Kubie – powiedział Carl. – Jak chronią przed szkodnikami trzcinę cukrową. Sadzą między rzędami coś innego, na co rzucają się szkodniki. Potem to ścinają i kompostują.

– No i właśnie! A tutaj? Tutaj srają do wody, póki nie będzie trująca, a potem robią, kurwa, gigantyczną kasę na sprzętach do jej oczyszczania. Czemu nie mogą oczyścić tego, co sami wywalają do wody?

– Wiecie, co ja bym zrobił?! – zawołał Carl. – Ja bym tych syfiarzy potrzymał w tym ich gównie, póki sami nie zbrązowieją!

– Carl, wszyscy siedzimy w tym razem – powiedział poważnie Train. – Czarni, biali, żółci, czerwoni, wszyscy możemy albo trzymać się razem, albo razem zginąć.

– No jasne, ale znasz tych drani! Im ciemniejszy jesteś, tym masz gorzej! Jak z tą bombą atomową. Co, na Niemców ją zrzucili? Nie, kurna, Niemcy to przecież tacy sami biali, jak oni. Walnęli w tych małych żółtków. A potem, kiedy stwierdzili, że czarni ludzie zaczynają stawać na tylnych łapach i pyskować, to się z tymi żółtymi dogadali, bo jedni i drudzy są jaśniejsi i prawie tak samo dobrzy w rozpierdzielaniu środowiska. Prawda?

– Carl, chcesz, żeby mi wstyd było, że jestem biały? – burknął Hugh.

– No, kurna, w życiu. – Carl go objął. – Ale to ich zatrute żarcie, co, do białego kraju wysyłali? A gdzie tam, do Afryki, a kiedy się sprawdziło, nakarmili tym Indian w Hondurasie, żeby mieć pretekst do wejścia tam z karabinami, bombami, napalmem i tak dalej.

Nastąpiła długa przerwa pełna aprobującego kiwania głowami.

W końcu Train przestąpił z nogi na nogę i zaczął szukać długopisu w kieszeni.

– Dobra, muszę lecieć. Ta *chica*, u której nocuję, obiecała zrobić na wieczór coś do żarcia. Widzi mi się, że gadamy tym samym językiem, a ja pracuję teraz nad pewnym planem, który może ci się spodobać. Zostawię ci mój numer. Odezwiiesz się.

Hugh zanurkował po upuszczoną gazetę i oddał kawałek marginesu, żeby Train miał na czym zapisać telefon.



czerwiec

## POGLĄD CIĄGLE DOSYĆ POWSZECHNIE WYZNAWANY

*W mieście Malakka, gdzieś na Indochinach,  
Żyła poganka czarna jak zadek Murzyna.  
Pogańskie imię i paskudne miała,  
Lecz gdy „Jill” wołałem, też się odwracała.  
A że człowiekowi, co długo podróżuje,  
Przyjaciół i kobiet zaraz zabrakuje...  
Nie była „ukochana”, jedyna nie była,  
Wielu tam przychodziło, wielu dogodziła.*

*Nie odczuwam wyrzutów sumienia,  
Zresztą ona by tego nie chciała.  
Po siniakach tylko chwilę płakała,  
A pamiątka została na dłużej.  
Rozwaliłem jej bożki diabelskie,  
Nauczyłem szacunku dla broni,  
Ułożyłem do uzdy i siodła,  
I zostało jej dziecko angielskie!*

„Lays of the Long Haul”  
[Pieśń dalekomorskiego żeglarza], 1905

## EPOKA PARY

Choć słońce widać było tylko jako jaśniejszą plamkę na tle bladej szarości, dzień Philipa Masona był piękny. Wbrew wszystkiemu sprawy szły dobrze. Myślałby kto: szczęście w nieszczęściu!

Dostali swoje przedstawicielstwo. Przyszła pierwsza dostawa – tysiąc sztuk. Poszła pierwsza reklama w lokalnej telewizji, wystąpił w niej Pete Goddard i znakomicie się sprawił, choć z aktorstwem nigdy nie miał nic wspólnego – i w następny poniedziałek rano pocztą przyszło sześćset zapytań.

Zrobił sobie przerwę w dzieleniu ich na poważne i niepoważne – a większość tych drugich oczywiście była obraźliwa – i spojrzął na witrynę sklepu z ubraniami po drugiej stronie ulicy. Facet w kombinezonie zeskrobywał hasło, które ktoś w weekend wymalował im na szybach, zostało z niego „GNICIE JEST NATU”. Czaszka z pieszczelami, do kompletu, już zniknęła.

Sklep ogłaszał tydzień naturalnych tkanin. Trainiści byli przeciwni nylonowi, tergalowi, poliestrowi, wszystkiemu, co nie pochodziło od zwierzęcia lub rośliny.

Aha, nic ich nie obchodzi, że owca się przeziębi, pomyślał cynicznie, aby tylko sami się nie przeziębili... à propos przeziębienia... otarł chusteczką załzawione oczy, a potem smarknął w nią siarczyście.

\* \* \*

Drzwi gabinetu otworzyły się. Stanął w nich Alan.  
– O, cześć! – zawołał Philip. – Myślałem, że zostajesz dziś w domu.  
Dorothy mówiła, że...  
Alan skrzywił się.

– No tak, znów mnie dopadła biegunka, ale usłyszałem dobre wieści i stwierdziłem, że coś mnie omija.

Wytrzeszczył oczy na widok stosu korespondencji na biurku Philipa.

– Rany, naprawdę przyszło sześćset!

– Sześćset pięć. – Philip uśmiechnął się drwiąco.

– W życiu bym w to nie uwierzył. – Kręcąc głową, usadowił się w fotelu.

– No to Doug chyba miał rację, nie?

– Że zapalenie jelit jest naszym sprzymierzeńcem? Mnie się to wydało w złym guście.

– Może i jest w złym guście, ale to prawda – odparł Alan. – Bo wiesz, co mi się podoba w mojej robocie? Ciągłe się gada, jak to biznesmen, przedsiębiorca, jest „wrogiem ludzkości” i cały ten szajs... bo to szajs! Widzisz, kto jak nie ja powinien nienawidzić ludzkości i chcieć, żeby szlag ją trafił, nie? – Pokazał dłoń z blizną po kuli. – Ale wcale tak nie jest. Skorzystałem z okazji, żeby się dorobić – a przynajmniej tak to się na razie zapowiada – i co, mam się tego wstydić? Ja się nie wstydzę. Sprzedaję produkt, którego ludzie chcą, potrzebują, a na dokładkę tworzę miejsca pracy dla ludzi, którzy inaczej siedzieliby na zasiłkach. Prawda?

– Pewnie, że prawda. – Philip zamrugał. Zwłaszcza ta część o miejscach pracy. Tego lata bezrobocie w kraju osiągnęło rekord wszech czasów, a po tej stronie Denver było szczególnie wysokie i miało takie pozostać, póki farma hydroponiczna nie ruszy po przebudowie i nie zatrudni z powrotem sześciuset osób.

To także działało na korzyść Prosser Enterprises. Każdy, kto miał odrobinę rozumu, był w stanie w godzinę nauczyć się instalować stacje oczyszczania wody.

– No i właśnie! – burknął Alan i obrócił fotel do wychodzącego na ulicę okna. – Widziałeś, kolejna banda dzieciaków. Po mieście chodzą całe stada. Skąd oni się w ogóle biorą?

Po drugiej stronie ulicy grupka ośmiu czy dziesięciu młodzieńców – przeważnie chłopców – przystanęła, żeby ponabijać się z faceta zmywającego hasło z witryn sklepu z ubraniami.

– Ja widziałem jak kupa ich wysiadała z autobusu na dworcu Trailways – zgodził się Philip. – Prawie trzydziestu ich było. Pytali mnie, którędy się idzie na Towerhill Road.

– To chyba wszyscy idą w tę samą stronę – mruknął Alan. – Ciekawe, do czego ich tak ciągnie.

– Możesz podejść i zapytać.

– Dzięki, aż tak mnie to nie interesuje. A swoją drogą... czemu ty sam sortujesz te listy? Co z tą dziewczyną, którą zatrudniliśmy?

Philip westchnął.

– Dzwoniła, przeprosiła, że nie przyjdzie. Chore gardło. Ledwo była w stanie mówić.

– Cholera. Słuchaj, przypomnij mi potem, dobra? Najwyższy priorytet: filtry do domów, dla wszystkich pracowników. Zobaczmy, czy da się trochę ściąć tę absencję, co ty na to? Dobroczynność zaczynaj od siebie i tak dalej. – Przekartkował z zainteresowaniem parę listów. – Ile z nich jest poważnych?

– Dziesięć poważnych na jeden do śmieci.

– O, to nieźle! Super!

Drzwi znów się otworzyły, weszła Dorothy, trzymając w dłoni plik kartek z bloku, a w drugiej chusteczkę, którą wycierała nos.

– Kolejne pytania – powiedziała. – Jeszcze trzydzieści z dzisiaj.

– Niesamowite! – Alan wziął od niej papiery.

Z zewnątrz dobiegł huk jakichś ciężkich pojazdów. Dorothy zawołała:

– Co za cholera? Co to takiego?

Unieśli głowy. Na rogu ulicy, przed skrzyżowaniem w stronę Towerhill, zatrzymał się rząd wielkich wojskowych ciężarówek koloru khaki, a każda z nich ciągnęła coś na grubych oponach z głębokim bieżnikiem – jakiegoś urządzenie, z którego wystawała złowroga gruba i krótka lufa. Ale nie były to armaty.

– Ja nie mogę, widziałem to w telewizji! – powiedział Alan. – To są te nowe sprzęty, które testowali w Hondurasie! Lasery bojowe!

– Jezus Maria, pewnie, że tak! – Philip zerwał się i podbiegł do okna, żeby lepiej widzieć. – Ale po co je tu nazwozili? Manewry jakieś mają czy

co?

– Nie słyszałem, żeby coś planowali – odparł Alan. – Ale w dzisiejszych czasach niewiele się słyszy. Słuchaj, a może te dzieciaki dowiedziały się o manewrach i przyjechały im poprzeshkadzać?

– To do nich podobne, taka głupota – zgodził się Philip.

– Pewnie. Jak coś się im stanie, znaczy, że się należało. – Alan machinalnie potarł bliznę na dłoni. – Nieźle wyglądają, nie? Nie chciałbym, żeby do mnie z czegoś takiego strzelali. A skoro mowa o strzelaniu... to ja przepraszam na chwilę.

Wybiegł do toalety.

## STRZELAĆ DO WSZYSTKIEGO, CO SIĘ RUSZA

*...że armia używa w Hondurasie defoliantów, żeby odłaniać sobie strefy ostrzału. Pentagon stanowczo dementuje tę pogłoskę. Prexy, poproszony o komentarz tuż przed wylotem na Hawaje, gdzie będzie przez dwa czy trzy tygodnie dochodzić do zdrowia, powiedział: „Jak ich nie widać, nie da się do nich strzelać. Oczywiście”. Koniec cytatu. Rośnie poparcie dla ustawy, której projekt zamierza przy najbliższej okazji zgłosić senator Richard Howell. Zabrania ona wydawania paszportów mężczyznom w wieku od szesnastu do sześćdziesięciu lat, niedysponującym ważnym świadectwem służby wojskowej i niezwolnionym z przyczyn zdrowotnych. Rzecznik Pentagonu, popierający projekt, przyznał dzisiaj, że podczas ostatniego poboru niemal jedna trzecia rocznika nie zgłosiła się do komisji. Ceny steków znowu wzrosną. To komunikat ostrzegawczy Departamentu Rolnictwa. Cena paszy dla zwierząt wystrzeliła pod niebo wskutek tajemniczej...*

## ZAJĄĆ STANOWISKO I TRZYMAĆ

– Pan i pani chcą się z panią widzieć, pani Mankiewicz – powiedział recepcjonista. Był Portorykańczykiem i wyrażał się bardzo staroświecko i oficjalnie. – Czy spodziewa się pani kogoś?

– A kto to jest? – zapytała Peg.

Wiedziała, że słyhać, że jest zdenerwowana, i nie dziwiło jej to. Przez ostatnie parę tygodni zajmowała się pewnym bardzo delikatnym przedsięwzięciem i była przekonana, że od co najmniej dziesięciu dni ktoś ją śledzi. Nie można było wykluczyć, że złamała któryś z coraz bardziej skomplikowanych przepisów dotyczących lojalności. Sytuacja zaczynała przypominać Anglię z XVIII wieku – każda nowa ustawa wprowadzająca coraz ostrzejsze kary za coraz mętniej zdefiniowane przestępstwo miała gwarantowane przejście przez Kongres i natychmiastowy podpis prezydenta.

Oczywiście Kanada nie była jeszcze na indeksie państw zakazanych. Ale jeśli ten trend się utrzyma, to już niedługo...

– Pan Lopez – odparł recepcjonista. – I pani Ramaż... eee... Ramejdz?

Serce Peg jakby stanęło w pół uderzenia. Gdy doszła do siebie, odpowiedziała:

– Proszę im powiedzieć, że już schodzę.

– Powiedzieli, że wolą wejść na górę.

– No to niech wejdą.

\* \* \*

Gdy odkładała słuchawkę, dłoń jej drżała. Pociągnęła ostatnio za niezłą liczbę sznurków, ale nie spodziewała się, że któryś z nich przyciągnie do niej Lucy Ramage. Niewiarygodne!

W pośpiechu pozbierała rozrzucone po łóżku brudne ubrania i cisnęła je poza zasięg wzroku. Przydałoby się opróżnić popielniczki, no i... Zresztą i tak widać, że hotel jest obskurny. Ale na lepszy nie było jej stać. Miała limit trzydziestu dolarów na dobę.

Przyjechała do Nowego Jorku, bo chodził jej po głowie pewien pomysł. Tak jak mówiła Zenie: najlepiej jej wychodzi dogrzebywanie się do brudów.

Zadała więc sobie kluczowe pytanie: co jest najważniejszym z brudów? (Właściwie, podświadomie, sformułowała je nieco inaczej: czego najbardziej nienawidził Decimus? W sumie na jedno wychodziło).

Odpowiedź narzucała się sama: Nie rób drugiemu...

No i świetnie – punktem wyjścia będzie ta teza profesora Quarreya, która na początku roku obiegła wszystkie media. Że największym towarem eksportowym Stanów są trujące gazy. A komu zależy, żeby na nowo rozpętać aferę? Oczywiście Kanadyjczykom, stłoczonym na wąskim pasku na północ od potężniejszego sąsiada, codziennie wściekającym się o przywiewane z wiatrem brudy, trujące im zbiory, powodujące choroby dróg oddechowych i brudzące suszące się pranie. Zadzwoiła zatem do pisma „Hemisphere” z Toronto, którego naczelny od razu zaproponował jej dziesięć tysięcy dolarów za trzy artykuły.

Pamiętając, że wszystkie rozmowy międzynarodowe mogą być monitorowane, propozycję sformułowała bardzo ogólnikowo – ryzyko, że Bałtyk podzieli los Morza Śródziemnego, zagrożenie powstawaniem kolejnych niecek pyłowych, jak Pustynia Mekongu, skutki kolejnych wpływających na klimat projektów. O tym się znowu zaczynało mówić – Rosjanie ostatnio reanimowali plan odwrócenia biegu Obu i Jeniseju. Do tego problem Dunaju, będącego w gorszym stanie niż nawet Ren, walijscy sabotażyści niszczący rurociągi wywożące „ich” wodę do Anglii oraz wojna graniczna w zachodnim Pakistanie, która ciągnęła się tak długo, że wszyscy zapomnieli, że chodzi o dostęp do rzeki.

I tak dalej.

Ale jak tylko zaczęła kopać, uświadomiła sobie, że chyba nigdy nie będzie w stanie przestać. Opisanie całej planety nie wchodziło przecież w grę. Obiecane dwanaście tysięcy słów ledwie wyczerpie temat Ameryki Północnej.

Najbardziej przydatnym kontaktem była Felice, z domu Jones. Poświęciwszy parę miesięcy po wyprowadzce z wату na poszukiwanie pracy, w końcu pogodziła się z faktem, że jest niezatrudnialna i wyszła za jakiegoś faceta, którego znała od wielu lat. Miał mało interesującą, ale pewną pracę, dzięki czemu mogła teraz robić za darmową korespondentkę



z Zachodniego Wybrzeża. Mimo że wcześniej wyparła się ideałów brata, teraz zaczęła się bardzo martwić, przede wszystkim dlatego, że mąż bardzo chciał mieć dzieci.

A kwestie, na które zwróciła uwagę Peg, to między innymi...

Dlaczego wartość akcji Plant Fertility tak ostro spadła? Wiosną był ogromny popyt na ich pszczoły i dżdżownice, tak że rośli jak na drożdżach, przeprowadzili nawet badanie rynku, by sprawdzić, czy mają wprowadzić mrówki i biedronki. (Felice mówiła, że jedna firma z Teksasu podbiła rynek gąsieniczników, Peg jednak nie zdążyła się jeszcze dowiedzieć, do czego służą). Spadek kursu nie doczekał się jeszcze oficjalnego komentarza, było jednak oczywiste, że ktoś z kręgów bliskich firmie wyprzedaje ogromne pakiety akcji.

Czy aby na pewno problemy Plant Fertility nie mają związku z faktem, że ziemniaki są już o dwadzieścia centów za kilo droższe niż wiosną i ciągle drożeją?

I czy paszy dla zwierząt faktycznie aż tak brakuje, żeby ceny mięsa wzrosły z wygórowanych do zaporowych? (Minęły lata, odkąd gdziekolwiek w kraju można było wypasać bydło na otwartej przestrzeni). Czy może, jak głoszą plotki, stada dziesiątkuje zakaźna epidemia powodująca poronienia, niedająca się leczyć żadnym antybiotykiem?

Pewnie jedno i drugie, pomyślała Peg.

Kolejne pytanie: Czy to prawda, że Angel City postanowiło zrezygnować z ubezpieczeń na życie i sprzedać biura w innych stanach ze względu na to, że spadek oczekiwanej długości życia jest tak gwałtowny, że grozi stratami?

Podobnie: Stephenson Electric Transport był jedynym producentem aut w Stanach, którego produkt cieszył się stuprocentową aprobatą trainistów. Ford właśnie złożył im ofertę przejęcia. Negocjacje nie posuwały się jednak – czy to faktycznie przez groźbę ze strony Chryslera, że będzie wnioskował o zakaz produkcji na mocy Ustaw o Ochronie Środowiska za wytwarzanie zbyt dużej ilości ozonu? (A to pozostawiłoby rynek czystych pojazdów zagranicznej konkurencji: Haileyowi, Peugeotowi, który właśnie pokazał pierwsze parowe auto oraz japońskim Freonvaporom).

Czy to prawda, że trainiści zwrócili się przeciwko Puritanowi i dokopali się do jakichś brudów w ich działalności?

Nie wiedziała. I z każdym dniem coraz bardziej ją przerażało, że nie jest w stanie niczego się dowiedzieć.

Oczywiście firmy, które podpadły trainistom, miały masę powodów, żeby walczyć zębami i pazurami, by ich brudne sekrety się nie rozniosły. Rząd nie był w stanie wciąż ratować źle zarządzanych olbrzymich korporacji, mimo że to byli ich najzagorzalsi sprzymierzeńcy, ci sami ludzie, którzy krzyčili o „wtrącaniu się ONZ w nie swoje sprawy” i „pełzającym socjalizmie”, potem najgłośniej gardłowali za federalną pomocą, kiedy popadli w tarapaty. Mając już w głowie następną serię artykułów, skompilowała sobie listę firm będących pod każdym względem, poza nazwą, na rządowym garnuszku – firm, które zbankrutowałyby w jedną noc, gdyby rząd zażyczył sobie spłaty kredytów. Na razie znalazła się na niej firma chemiczna, którą zniszczył zakaz stosowania „silnych” insektycydów; firma farmaceutyczna, która omal nie została przejęta przez Maya Pure, dynamicznie rozwijającego się meksykańskiego producenta ziołowych środków leczniczych i kosmetyków (zostać wykupionym przez Meksykańców, co za wstyd!); sześciu dużych producentów komputerów, którzy nasycili rynek swoimi drogimi towarami; a także, jak nietrudno się było spodziewać, parę linii lotniczych.

A senatorowie i kongresmeni, którzy publicznie mieli skłonność do pąsowienia na samą wzmiankę o państwowej kontroli, każdego dnia kombinowali za kulisami, żeby załatwić dla swoich stanów najtłustsze państwowe kontrakty, albo błagali o ratunek dla takiej czy owej firmy, rozłożonej przez niekompetentnych dyrektorów – jeśli padnie, stopa bezrobocia wzrośnie o kolejny punkt procentowy.

Jakby cały kraj zamienił się w jeden kawał sukna, gdzie każdy z dwustu milionów ludzi chce coś wyszarpać dla siebie. Mówi się, że „ręka rękę myje” – tu już się niczego nie myło, ludzie zachowywali się jak termity, jeden zżerał odchody drugiego!

A najważniejsze w tym wszystkim, przynajmniej w pewnym sensie, było nie to, co się już stało, ale to, czego ludzie się bali. Zauważmy, że liczba

pasażerów linii lotniczych spadła katastrofalnie, o sześćdziesiąt procent; zauważmy, że jeden człowiek, sam jeden Gerry Thorne z Globe Relief, zniszczył branżę letniej turystyki od Maine po Trynidad, po prostu nagłaśniając śmierć własnej żony.

Jeden człowiek z bombą mógł zniszczyć linię lotniczą. Jeden człowiek z motywacją mógł zrujnować właścicieli dziesięciu tysięcy hoteli. Jeden człowiek z odpowiednim wpływem...

A co, gdyby tym człowiekiem była kobieta? Peg sama chciała zdobyć taki wpływ. Dlatego właśnie dobrze byłoby pogadać z Lucy Ramage.

\* \* \*

I właśnie w tym momencie usłyszała pukanie do drzwi. Zanim otworzyła, zerknęła w wizjer – to był ulubiony numer rabusiów w nowojorskich hotelach; kręcić się koło recepcji, póki do kogoś nie przyjdzie jakiś gość, wtedy ogłuszyć tego gościa w windzie i podejść pod drzwi zamiast niego.

Poznała jednak Lucy Ramage – widziała ją w telewizji.

Wpuściła ją i jej towarzysza, śniadego mężczyznę z niedawno zagojonymi skaleczeniami na twarzy, bez zębów u góry i u dołu. Wzięła od nich maski, zapytała, czy nie chcą drinka – oboje odmówili – i natychmiast przeszła do rzeczy, wyczuła bowiem, że są niecierpliwi.

– Cieszę się, że udało mi się do was dotrzeć – powiedziała. – To było bardzo trudne. Jak brnięcie przez bagno.

– Mogło się tak wydawać. Ale naprawdę zwłoka była po naszej stronie. Mamy tu... ehem... pewne trudności i przed nawiązaniem kontaktu chcieliśmy zrobić drobny wywiad na pani temat.

Peg nagle olśniło.

– Pan się nie nazywa Lopez! Pan jest... – Pstryknęła palcami sfrustrowana. – Pan jest tym gościem z Urugwaju, którego pobili podobno policjanci w cywilu!

– Fernando Arriegas. – Mężczyzna skinął głową.

– Ale... ten.. doszedł pan do siebie? – Peg poczuła, że się czerwieni, jakby ze wstydu za własny kraj.

– Miałem szczęście. – Arriegas uśmiechnął się krzywo. – Zmiażdżyli mi tylko jedno jądro. Podobno jeszcze jest nadzieja na zostanie ojcem – o ile to w ogóle bezpieczne, wydawać dziecko na ten chory świat. Ale nie mówmy o mnie. Pani starała się o kontakt z Lucy. Bardzo się pani starała.

Peg kiwnęła głową.

– A po co? – zapytała Lucy, pochylając się ku niej.

Mimo ciepłej pogody nosiła plastikowy płaszcz, a dłonie ukrywała w jego głębokich kieszeniach. Nic w tym jednak dziwnego – plastik był najlepszym pancerzem przeciwko nowojorskim deszczom. Guma po prostu parciała.

– Ja... ten... – Peg odchrząknęła; miała akurat potworny katar. – Pracuję nad serią artykułów dla „Hemisphere” z Toronto. Motyw przewodni... chodzi o szkody, które bogate kraje wyrządzają biednym, nawet nieumyślnie, w tym oczywiście tragedię w Noshri... – Rozłożyła ręce.

– Nie mówiąc o tragedii w Hondurasie... – mruknął Arriegas. Zerknął na Lucy, która podała mu wyciągniętą z przepastnych kieszeni peleryny przezroczystą torebkę z czymś podobnym do ugotowanego makaronu.

– Poznaje pani? – zapytał, pokazując to Peg.

– Nutripon?

– Oczywiście. Co więcej, to jest Nutripon z San Pablo, próbka tej pomocy, która doprowadziła tam ludzi do szaleństwa i kazała im zabić Anglika i Amerykanina, bo uznali ich za diabły. A za tę nieintencjonalną zbrodnię zabito jak dotąd dziesięć czy dwanaście tysięcy Honduran. – Głos miał beznamiętny jak maszyna. – Przejeliśmy, czy raczej hondurascy Tupasowie przejęli, ale oni walczą w tej samej sprawie... przejęli San Pablo i przeczesali je bardzo dokładnie. Część pierwotnej dostawy znaleziono w ruinach kościoła; wygląda na to, że ludzie zanieśli tam jedzenie, żeby wypędzić z niego zło. Musieli być potwornie głodni. Część wysłaliśmy do Hawany do analizy, ale resztę zachowaliśmy sobie do innych ważnych celów, na przykład, żeby zapewnić, by każdy Amerykanin, który pisze o tej

tragedii – wymówił to słowo z wyraźną ironią – wiedział dokładnie, o czym mówi.

Peg poczuła, że opada jej szczęka.

– Co? Czyli ja mam trochę tego zjeść? – wykrztusiła.

– Otóż to. Większość dziennikarzy o wypranych mózgach w kółko powtarza kłamstwo, że nasze oskarżenia są nieprawdziwe. Chcemy, żeby chociaż jeden był w stanie stwierdzić coś dokładnie odwrotnego.

Z odgłosem darcia zerwał z torebki pasek taśmy klejącej.

– Proszę bardzo! Na opakowaniu jest napisane, że można spożywać na surowo, nie trzeba się też przejmować, że się zepsuło. Karton, z którego to wzięliśmy, był całkowicie nienaruszony, kiedy go znaleźliśmy.

– No, szybko! – warknęła Lucy.

Peg spojrzała na nią i nagle uświadomiła sobie, że w tych przepastnych kieszeniach spokojnie zmieściłby się pistolet. I się zmieścił. Teraz znajdował się w dłoni Lucy, a lufę miał grubą jak tunel metra.

Był z tłumikiem.

– Zwariowaliście! – szepnęła Peg. – Oni na pewno wiedzą, że tu jesteście... jeśli tego użyjecie, złapią was w parę minut!

– Ale przecież nie użyjemy. – Arriegas uśmiechnął się nieznacznie, drwiąco. – Nie jesteś na tyle głupia, żeby stawiać opór. Bardzo dokładnie zbadaliśmy tę truciznę. I wiemy, że taka ilość... – uniósł torbę – ...powoduje tyle, co drobna jazda po kwasie, nic więcej. Albo raczej po STP, bo niestety, te jazdy nie są zbyt przyjemne. Może tobie pierwszej się poszczęści, jeśli masz czyste sumienie.

– I wolisz pożyć do jutra, a nie ginąć dzisiaj – dodała Lucy. – Zresztą przecież nie umrzesz. Ja zjadłam więcej. Dużo, dużo więcej.

– K... kiedy? – wyjąkała Peg, niezdolna oderwać zafascynowanego wzroku od torby.

– Znalazłam karton w zniszczonym domu – odpowiedziała. – Obok trupa dziecka. Nie wiadomo nawet, czy chłopca, czy dziewczynki, tak był zmiażdżony. I nagle dotarło do mnie, że ja chcę się tym podzielić z ludźmi. Bo to było jak wizja. Jak lizanie ran trędowatego. Wydało mi się, że

przestałam wierzyć w Boga. Może i tak. Może to zrobiłam, bo teraz jestem w stanie wierzyć tylko w Szatana.

Z nagłą powagą nachyliła się ku niej.

– Posłuchaj. Weź trochę i zjedz... proszę! Bo musisz! Jak będzie trzeba, to cię do tego zmusimy, ale byłoby o wiele lepiej, gdybyś sama doszła do tego, co masz zrozumieć! Musisz poczuć, naprawdę poczuć, musi do ciebie dotrzeć, co się stało tym biednym, bezbronny ludziami! Przyszli do mojego stołu, kiedy rozdawałam żywność, myśleli, że wreszcie dostają coś pożywnego po długim okresie głodu, kiedy żywili się zatrutymi liśćmi i korzonkami. Jeśli naprawdę nie zrozumiesz, jaki to był potworny i ohydny uczynek, nie wolno ci o tym pisać, nawet mówić ci o tym nie wolno.

Palce Peg, jakby same z siebie, ujęły kawałek Nutriponu. Ogarnęło ją poczucie zbliżającej się zagłady. Spojrzała błagalnie na Arriegasa, ale w jego lodowatych oczach nie dostrzegła ani odrobiny litości.

– Lucy ma rację – powiedział. – Sama pomyśl: jestem taka słaba z głodu, że ledwo stoję. Pomyśl: przyszła pomoc, nareszcie, dzisiaj po raz pierwszy od wielu miesięcy będę spokojnie spać, z pełnym brzuchem, i jutro też będzie co jeść, i pojutrze. Pomyśl o tym, jedząc. Może wtedy zrozumiesz, jakie to było okrucieństwo.

Ale dlaczego ja? To nie moja wina! Jestem po ich stronie!

I w tej samej chwili, już formułując tę myśl, wiedziała, że to nieprawda. Przed nią myślały tak niezliczone, nieprzeliczone miliony ludzi... i jak to wpłynęło na świat? Przecież przez ostatnie parę tygodni wyłącznie przerażały ją nieustannie niekompetencja, bezmyślność i otwarte szaleństwo ludzkości.

Ta dwójka to świry. Nie ma wątpliwości. Ale czy nie większym szaleństwem jest sądzić, że świat w obecnej postaci jest „zdrowy”?

Może jeśli zje tylko jeden, dwa kawałki, wystarczy, żeby ich zadowolić... Konwulsyjnie wsunęła do ust trzymany kawałek i zaczęła przeżuwać. Ale w ustach miała tak sucho, że zęby tylko zgmiotły go w bryłkę, której nie dało się połknąć.

– Przyłóż się bardziej – powiedział klinicznym tonem Arriegas. – I nie masz się co martwić. To ledwie pięćdziesiąt gramów, ja też tyle zjadłem. Ci, co zwariowali w Noshri, zjedli ponad pół kilo.

– Wody jej daj – powiedziała Lucy.

Arriegas, uważając, żeby nie wejść jej pod lufę, sięgnął do nocnego stolika po dzbanek i szklankę. Peg posłusznie przełknęła łyk, razem z Nutriponem.

– Jeszcze.

Zjadła jeszcze.

– Jeszcze!

Zjadła jeszcze. Czy to złudzenie, czy już coś zaczyna się z nią dziać? Poczula się oszołomiona, niepomna skutków tego, co właśnie robi. Jedzenie było całkiem smaczne, całkiem poprawione, wróciła jej też ślina, więc była w stanie bardzo łatwo je przełknąć. Wzięła kilka kęsów i przełknęła je razem.

Pokój jakby się zakołysał z boku na bok, do rytmu przeżuwiających szczęk.

– Ja... – powiedziała zdziwionym tonem, a oni spojrzeli na nią oczyma jak promienie laserów. – Ja... chyba zaraz zemdleję.

Wyciągnęła rękę, żeby odstawić szklankę na stół – i nie trafiła. Szklanka spadła na dywan i nie potłukła się, wysunęła natomiast krystaliczny język, resztkę zawartości. Spróbowała wstać.

– Nie ruszaj się! – rozkazała Lucy, podnosząc pistolet. – Fernando, przytrzymaj ją. Musimy dać jej resztę na siłę.

Peg próbowała powiedzieć, że to nic nie da, ale świat przekrzywił się, a ona zsunęła się po nim i zderzyła z podłogą. Jakimś zakamarkiem umysłu argumentowała, że to nie przez narkotyk w jedzeniu, że to tylko lęk.

W jej uszach brzmiał potężny szum.

Oczy za to miała szeroko otwarte i postrzegała wszystko z dziwnie zniekształconą perspektywą, jakby przez bardzo mocno zakrzywiony po bokach szerokokątny obiektyw. A co widziała? Drzwi otworzyły się z hukiem i wszedł ktoś – jakiś facet. Był potwornie nieproporcjonalny, nogi miał cienkie jak zapałki, tułów groteskowo wydęty i głowę wielkości dyni.

Nie miała ochoty patrzeć na taką paskudę. Zamknęła oczy. W tej samej chwili rozległy się dwa pyknięcia i na nogi spadł jej wielki ciężar. Wściekła, spróbowała odepchnąć go rękami.

Mokry?

Zmusiła się do otwarcia oczu – teraz patrzyła przez falującą, rozmazaną błonę, niczym rozwiewany wiatrem welon. Jaskrawa czerwień otoczona bladym złotem. A tak, oczywiście. Tył głowy. Tył głowy Lucy Ramage. Z małą dziurką pośrodku. Idealnie wcelowane. Padła bokiem na uda Peg. Był też Arriegas – siedział zgięty w pół i pluł różową pianą i czerwonymi strużkami. Pełno miała tego na ubraniu. Mniej złote, bardziej czerwone. Coraz więcej tej czerwieni. Zalała jej całe i tak rozmazane pole widzenia. Zapadła ciemność.

## SYGNAŁ DO STARTU

– No i, kochanie? Jak ci się podoba? – zapytała z dumą Jeannie, pomagając Pete’owi wejść do salonu.

Jeszcze długo nie będzie w stanie sam prowadzić auta, więc musiała go zawozić i przywozić z pracy. Ale o kulach poruszał się coraz sprawniej, a nowe mieszkanie było na parterze, żeby nie musiał zbyt dużo chodzić po schodach, co było dlań trudne.

Mieszkanie było brudne, bo stało puste od miesięcy – mało kto chciał teraz mieszkać na parterze, gdzie złodzieje wchodzą jak chcą, ostrzegano ich też, że ma pełno pcheł. Ale dezynsektor powiedział, że zdarzają się w najlepszych rodzinach, he-he-he, a poza tym były już opryskane, wszystko świeżo odmalowane, a dzisiaj Jeannie musiała zaszuwać od samego rana, bo zdążyła powiesić nowe zasłony i okryć stare meble nowymi narzutami.

– Super wygląda, kochanie. Po prostu super. – I przesłał jej buziaka.

– Piwa?

– O, chętnie.



– Usiądź, przyniosę ci. – Poszła do kuchni. Wciąż była urządzona starymi sprzętami z Towerhill, tylko lodówkę trzeba było kupić nową, bo stara się zepsuła, a jedyny wciąż je naprawiający serwis w Denver miał kolejkę na dwa miesiące. Przez drzwi zawołała: – Jak tam pierwszy dzień w pracy?!

– Nieźle całkiem. W sumie to wcale się nie zmęczyłem.

– A co robi taki kierownik magazynu?

– Nadzoruje wysyłki towaru. Pilnuje, żeby zapisać w dokumentach wszystkie towary i materiały wydane do instalacji, rejestruje, co się zużyło, a co wróciło. Nic trudnego.

Gdy wróciła, stwierdziła, że już nie siedzi w fotelu, ale wychodzi drugimi drzwiami.

– Gdzie idziesz?

– Do łazienki. Zaraz przyjdę.

\* \* \*

Przyszedł, wziął piwo. W szklance. Sukces!

– Mam dobre wieści – powiedziała Jeannie. – Słyszałeś, że znowu otwierają farmę? Skończyli przeróbki i jak tylko...

– Kochanie, nie będziesz wracać do fabryki.

– Tak, wiem, skarbie, nie od razu, no wiesz, dopiero jak będziesz w stanie sam prowadzić i tak dalej. Ale tu w Denver jest tak... – Nieokreślony gest. – Taki wysoki czynsz i tak dalej...

– Nie ma mowy – powtórzył Pete i sięgnął dwoma palcami do kieszeni koszuli. Wyłowił mały plastikowy pojemniczek z tabletkami antykoncepcyjnymi. Nowy, nierozpakowany. Miesięczny cykl zaczynał się dzisiaj. – I o tym też zapominamy – powiedział.

– Pete!

– Spokojnie, kochanie. Wiesz przecież, ile mi będą płacić.

Kiwnęła głową z wahaniem.

– I ile dostałem za te reklamy do telewizji.

Znów skinienie głową.

– Chyba to spokojnie wystarczy, żeby stać nas było na dziecko?

Nic nie powiedziała.

– Oj, kochanie, daj spokój! – wykrzyknął. – Trafia się okazja, to idealna pora! Cholera, wiesz, jak będzie wyglądała następna reklama? Będę siedzieć pośrodku pokoju, jak Święty Mikołaj, a dookoła dzieciaki. Będę mówić matkom z całego stanu, że wielki bohater, który uratował tym dzieciom życie, prosi, żeby kupiły filtry do wody i uratowały je także od bolących brzuszków!

Głos mu nagle zgorzkniał i równie nagle wrócił do normalnego tonu.

– Dobrze akurat sprzedawać coś takiego, kiedy już coś musisz sprzedawać. Gadałem z doktorem McNeilem i on też tak powiedział. Powiedział, że to mogło uratować wiele z tych niemowląt, które zmarły na zapalenie jelit.

– Tak, kochanie – powiedziała Jeannie. – Ale wyobraź sobie, że... nasze by...

– Skarbie. Jak mówię. Rozmawiałem z doktorem. Między innymi o tym. I on mówi, żeby próbować teraz. Bo...

– Bo co? – Nachyliła się ku niemu.

– Bo mówi, że jak na przykład bym spadł ze schodów, albo co innego sobie zrobił, to może już nie będzie szansy.

Nastąpiła długa i lodowata cisza. W końcu Jeannie odstawiła szklankę.

– Rozumiem, kochanie – szepnęła. – Przepraszam, że nigdy o tym nie pomyślałam. To może teraz?

– Pewnie, że tak. Tu i teraz. Doktor mówił, że najlepiej, żebym położył się na plecach na podłodze.

## DOKŁADNIE W TEJ CHWILI

*Samolot DC-10 podchodzący do lądowania w Tegucigalpie został trafiony pociskiem smugowym Tupasów i zderzył się z wieżą kontroli lotów, która potwierdziła mu decyzję o przerwaniu podejścia. W Nowym Orleanie pobito*

*dotychczasowy rekord długości obowiązywania zakazu picia wody (rzeka jest długa i korzystna z niej masa ludzi). W domu Bamberleyów trzeba było wezwać lekarza do Corneliusa, który znów miał atak – i jak mu przejdzie, dostanie w skórę jak za dawnych, dobrych czasów, bo dobrze wie, że nie wolno mu jeść cukierków. Po raz czwarty oficjalnie ogłoszono koniec epidemii zapalenia jelit. Zakończono także sekcję zwłok doktora Stanwaya, przeprowadzoną w jego własnym prosektorium. Wyrok – ostra niewydolność nerek, spowodowana bardzo pospolitym stanem zapalnym.*

*Miał co prawda dopiero trzydzieści jeden lat. Ale przecież całe życie spędził w Los Angeles i hrabstwie Orange.*

*Więc nic dziwnego.*

## TOWARZYSZE NIEDOLI

– Miło mi pana widzieć – powiedział do Thorne'a profesor Quarrey. Ubranie wisiało na nim, jakby w parę tygodni schudł pięć kilo. – Proszę usiąść. Może sherry?

Idealny profesorski drink. Thorne uśmiechnął się i usiadł w najbliższym fotelu, podczas gdy żona profesora, z wyglądu jeszcze bardziej zmęczona niż on, z mocno podkrążonymi oczyma, napełniła szklanki i podsunęła miseczkę z orzechami. Na karku miała plaster, wypukłość pod spodem sugerowała czyrak.

– Zdrowie współcierpiącego – odezwał się Quarrey.

Thorne parsknął beznamietnie śmiechem i wypił.

– Ja z kolei gratuluję rehabilitacji – powiedział. – Przyznam, że spodziewałem się, że postawią pana pod pręgierzem.

– Bo za kulisami odbył się pewien... hmm... drobny handelek – wyjaśnił Quarrey. – Słyszał pan, że Bamberley Hydroponics będzie wznawiać produkcję?

– Tak, widziałem się ostatnio z Greenbriarem, powiedział mi.

– Potrzebny im ktoś, komu nie da się zarzucić, że jest pacholkiem rządu, żeby zweryfikował ten ich nowy system filtrów. Jak pan zapewne wie, to właśnie moja branża. Zwrócili się do mnie, bardzo dyskretnie, i zapytali, czy nie zgodziłbym się na współpracę, w zamian za odstąpienie od tego absurdalnego zarzutu. – Westchnął. – Może to niespecjalnie dowodzi odwagi z mojej strony, ale się zgodziłem.

– Tylko że wcale nie przestali nas prześladować! – wtrąciła jego żona, siadając obok męża na wytartej sofie. – Jestem przekonana, że podsłuchują nam telefon.

– I czytają pocztę, na sto procent – burknął Quarrey. – Nie miałbym nic przeciwko, by byli na tyle uprzejmi i wyrzucali do kosza obraźliwe listy. Pan też takie dostaje? Myślę, że tak.

Thorne kiwnął głową.

– Tu mamy najlepszy. – Quarrey wskazał palcem ścianę za plecami gościa. – Kazałem oprawić w ramkę, żeby mi przypominał, jakie to ważne starać się dalej.

Thorne odwrócił się. W eleganckiej ramce wisiała kartka wydarta z taniego, żółtego bloku. Przeczytał niezgrabne drukowane litery wypełniające ją niemal w całości:

„QUARREY TY KOMUNISTYCZNY LIZODUPIE JESZCZE JEDNO SŁOWO PSZECIWKO AMERYCE I POWIESIMY CIE ZA HUJA NA CZERWONEJ LATARNI WYPIERDALAJ STEGO KRAJU BO SPALIMY CI DOM A TWOJEJ ŻONIE CO RŹNIE SIE Z CZARNUCHAMI WSADZIMY PISTOLET DO PIZDY ŻEBYŚ WIEDZIAŁ CO PRAWDZIWI AMERYKANIE MYŚLĄ O ZDRAJCACH”.

– „Na czerwonej latarni”, to się komuś oryginalnie skojarzyło – rzucił Quarrey, uśmiechając się ze znużeniem, i pociągnął sherry.

\* \* \*

Nastąpiła długa cisza, która trochę Thorne’a uwierała, ale nie był w stanie znaleźć odpowiednich słów. Od śmierci Nancy z każdym dniem czuł coraz silniejszy wstyd, że dotąd nie rozumiał – tak naprawdę, sercem –

co oznacza prawdziwe cierpienie. Jasne, praca przy zarządzaniu ogromnymi sumami pieniędzy, które nękania wyrzutami sumienia zachodni świat kazał przelewać na konta Globe Relief, była ciężka i nikt temu nie przeczył, nawet on sam; miał do czynienia z kwotami, które przekraczały przychody wszystkich amerykańskich i europejskich korporacji, z wyjątkiem tych największych. Nie było to jednak wystarczającym uzasadnieniem dla wynagrodzenia, które pobierał, mimo że statystycznie wychodziło mniej niż pół centa za każdego beneficjenta pomocy. Wymyślił więc sobie drugie usprawiedliwienie: że ma na utrzymaniu żonę, a któregoś dnia także adoptuje dziecko. (Mieli z Nancy szansę jak dwadzieścia jeden do jednego, że ich dziecko będzie upośledzone umysłowo – oboje byli nosicielami recesywnego genu powodującego mukowiscydozę).

Gdy zabrakło Nancy, jakby łuski spadły mu z oczu. Wszystko nagle stało się oczywiste: rządzą nami szaleńcy i trzeba ich powstrzymać!

Zaczął gorączkowo pochłaniać lektury, zaczynając od słynnych książek-źródeł Austina Traina, zawierających latami zbierane materiały, beznamiętnie dokumentujące poziom organicznych chlorków w biosferze, fabrycznego dymu w atmosferze, wskazujące niektóre – nie wszystkie, często bowiem informacje nie były publicznie dostępne – miejsca, gdzie wyrzucano szkodliwe substancje. W jednym z pierwszych rozdziałów znalazł opis programu utylizacji gazów bojowych z roku 1919. A do tego odpady radioaktywne, gazy paralityczno-drgawkowe, związki fluoru, cyjanki...

Całkiem jakby zerwać podłogę w mieszkaniu, które dopiero co się kupiło, i zastać tam wyszczerzonego trupa.

Jeszcze bardziej pouczające było to, czego nie udało się dowiedzieć. W nowojorskiej Bibliotece Publicznej dzieła Traina stały dostępne na półkach – inaczej groziłyby zamieszki – ale z 1130 cytowanych w ich bibliografii pozycji 167 było zastrzeżonych lub wycofanych.

Pytał dlaczego; w odpowiedzi niezmiennie słyszał:

– A tak, był w tej sprawie pozew o oszczerstwo czy coś. Chyba ze strony General Motors.

Oraz:

– Mam tu zapisane, że ktoś zniszczył nasz jedyny egzemplarz. A nakład, niestety, był już wtedy wyczerpany.

Wyjątkowo wryła mu się w pamięć jedna książka, dotycząca wypadków z bronią jądrową. Bibliotekarz przyniósł mu ją z uśmiechem. Kiedy jednak otworzył okładkę, odkrył starannie wyciętą dziurę od pierwszej do ostatniej strony.

\* \* \*

– Nie wie pan czasem, co się stało z Austinem Trainem? – zapytała nagle pani Quarrey.

Thorne zamrugał.

– Szczerze mówiąc, to liczyłem, że zadam to pytanie pani mężowi. Bo rozumiem, że trainiści jakiś czas temu kontaktowali się z wami? Poprosili o pomoc przy ogólnokrajowym badaniu produktów Puritana? To prawda?

Quarrey kiwnął głową.

– A ja szukałem go gdzie tylko się dało, ale wszystkie tropy doprowadziły mnie tylko do tych jego... sobowtórów. – Thorne zawahał się. – Pan sądzi, że on nie żyje?

– Różne plotki się słyszy. – Quarrey westchnął. – Oczywiście nigdy nie miał bezpośrednich kontaktów z trainistami, ale tę ostatnią plotkę słyszałem właśnie od trainisty, o ile to coś w ogóle zmienia. Twierdził, że zginął w pożarze mieszkania w slumsie San Diego.

– Ja też to słyszałem – zgodził się Thorne. – Ale myślę, że to kolejny mylny trop i inna osoba. Swoją drogą, słyszał pan, skąd ten walnięty rybak wytrzasnął napalm?

– Raczej nie bardzo.

– Sami go dostarczyliśmy do Meksyku, żeby mogli palić uprawy marihuany.

– No proszę, czyli zła karma do nas wróciła – zauważył Quarrey, śmiejąc się gorzko. – A w ogóle to czemu pan tak zawzięcie szukał tego Traina? Jeszcze sherry?

– Poproszę, bardzo dobra... Głównie dlatego, że wygląda na jedyną osobę, która może nas uratować w tej sytuacji. Tyle osób darzy go szacunkiem i deklaruje przestrzeganie jego zasad. Zgadza się pan?

– O tyle, o ile – odparł z namysłem profesor. – Potrzebne nam coś, co by nas wyrwało z tego... izolacjonizmu, w który zabrnęliśmy. Nie chodzi mi o standardowe znaczenie tego słowa, raczej o taki jakby izolacjonizm względem czasu. Oderwaliśmy się od rzeczywistości, zaczęliśmy tak jak Rzymianie uważać się za niezwykłych i wszechmocnych – a oni tak sądzili jeszcze długo po tym, jak przestało to być prawdą. Ostrzeżenia mamy przed samym nosem, i to bardzo dobitne – przede wszystkim martwe Morze Śródziemne, martwe jak nasze Wielkie Jeziora. Nadymamy się z dumy, że jesteśmy najbogatsi, najpotężniejsi i co nie tylko – a jesteśmy kompletnie impregnowani na fakty. Nie chcemy przyznać, że mamy deficyt wody, deficyt drewna, deficyt...

– Żywności – powiedział z przekonaniem Thorne. – A jak nie teraz, to zimą. Dlatego oni mają takie ciśnienie, żeby wznowić produkcję Nutriponu. Parę dni temu spotkałem bardzo interesującego gościa, pracował wcześniej w Angel City. Aktuariusz. Nazywa się Tom Grey. Teraz jest w Nowym Jorku, a poznałem go przez Greenbriara z Trustu Bamberleya. Gość obsesyjnie zbierał masę danych społecznych, od lat, miał jakiś taki swój projekt, i Moses go poprosił o ekstrapolację tegorocznych wiejskich zbiorów. Bo wie pan, że w tym roku są wyjątkowo podłe.

– Podłe? Katastrofalne! – prychnął Quarrey. – Idaho, obie Dakoty, Kolorado, Wisconsin... Wspominał pan o tym badaniu, o którego koordynowanie poprosili mnie trainiści... szczerze mówiąc, to sam nie wiem, jaką mam podjąć decyzję.

– Nic dziwnego! – wtrąciła z naciskiem żona. – Wie pan, że grozili mu śmiercią? Nie, kochanie, nie zamierzam tego przemilczeć! To upokarzające! Mieliśmy co najmniej sześć anonimowych telefonów grożących Lucasowi śmiercią, jeśli będzie to dalej prowadził. I policja musi wiedzieć, że mówimy prawdę, bo podsłuchuje nasz telefon, ale nic z tym nie robi!

– Tylko że to poważna sprawa! – zawołał Thorne. – Oni na pewno wiedzą, bo wszyscy wiedzą, że Puritan należy do Syndykatu, i jeśli wy próbujecie im zbić ceny...

– Zupełnie nie o to chodzi – przerwał mu Quarrey.

Thorne spojrział na niego ze zdziwieniem. Potem odchylił się w fotelu.

– Przepraszam. Za szybko wyciągnąłem wnioski. Założyłem, że skoro szuka pan u Puritana żywności niezgodnej z ich zapewnieniami, to chce pan na nich... hmm... wpłynąć, żeby przycięli swoje absurdalne marże.

– Żywności, która nie spełnia ich własnych standardów z reklam, wcale nie trzeba długo szukać – odparł Quarrey. – Spokojnie może pan ją u nich znaleźć na chybił trafił.

Zapadła martwa cisza. W końcu Thorne pokręcił głową.

– Chyba nic nie rozumiem.

– To bardzo proste. Nie zauważył pan, że Puritan, mimo cen z sufitu, sprzedaje ogromne ilości żywności?

– Oczywiście, niesamowite ilości. Widać po tym, jak przerażeni są ludzie. Zwłaszcza rodzice małych dzieci.

– No i właśnie, jeden trainista odkrył, nie wiem kto, bo to wszystko odbywa się anonimowo... odkrył coś takiego. Jeśli podzieli pan ilość sprzedawanych przez nich rocznie produktów z domowych upraw przez ilość potrzebnej dla nich ziemi, wyjdzie panu, że w całej Ameryce Północnej nie ma tyle niezatrutej ziemi. Zwłaszcza po tym programie defoliacji działów wodnych z lat sześćdziesiątych. A po drugie, gość przebadał te ich produkty i stwierdził, że co najmniej połowa niczym się nie różni od tego, co sprzedają zwykłe supermarkety. Cały czas sprawdzam te jego wyliczenia, ale jestem prawie pewien, że trzymają się kupy.

– Ciekawe – odezwała się pani Quarrey – czy to aby nie jest sam Austin Train.

Thorne zerknął na nią i z powrotem na męża.

– Zupełnie nie rozumiem, czemu pan tego natychmiast nie opublikuje! – zawołał. – Skoro panu grożą, to czy nie byłaby to najlepsza obrona?

– Tak mu mówiłam – powiedziała stanowczo pani Quarrey.



– I chciałem tak zrobić – powiedział profesor. – Póki trainiści mi nie powiedzieli, co się dzieje z tymi uprawami, które chorują. Czy pan wie, co wpuściliśmy do kraju?

– Podejrzewam, że jakiegoś szkodnika. Albo szkodniki, skoro niszczą tyle różnych roślin.

– To ten sam robak, który wywołał głód w Hondurasie i pośrednio doprowadził do wojny.

– O rany! – Thorne’owi nagle zaschło w ustach. – Ale jak to...

– Zostały zaimportowane zgodnie z federalną koncesją – wyjaśnił z ponurą satysfakcją Quarrey, jak ksiądz, przemawiający nad grobem zatwardziałego pijaka. – Wykryli je na wacie trainistów w Kolorado, ktoś, kto miał kontakty z Tupamaros, je rozpoznał. Wygląda na to, że jeden z dużych importerów owadów podzlecił to komuś, kto miał dostarczyć dżdżownice z Argentyny, ale miał to gdzieś, kantował na lewo i prawo, wcisnął im tysiące litrów tych cholernych szkodników, zgarnął kasę i zwiął do Australii.

– Niemożliwe! – sapnął Thorne. – Nie poznali, że to nie są zwyczajne dżdżownice?

– Goście to przemieszali z normalnymi dżdżownicami. A poza tym te robaki, *jigras*, jak się na nie mówi, są tylko trochę niebieskawe, ale bardzo podobne do dżdżownic.

– Ale przecież eksperci z tej firmy? – Thorne zacisnął pięści. – Albo izba celna? Nie zaniepokoiło ich, że są niebieskie?

– Niestety, nie. Były zabarwione na różowo.

– No tak. Oczywiście.

– Trainiści są przekonani, że celnicy i kontrolerzy jakości w firmie wzięli w łapę, ale ja jakoś w to nie wierzę. – Quarrey wzruszył ramionami. – Obojętne jednak jak to się stało, już się tego nie odkręci. A to cholerstwo jest odporne na wszystkie znane insektycydy, legalne i nielegalne.

– Czyli obawia się pan konsekwencji odstraszenia ludzi od Puritana – powiedział powoli Thorne.

– Dokładnie. Zimą wszyscy będziemy wbijać zęby w ścianę. Moi ludzie u trainistów sądzą tak samo: może i połowa żywności od Puritana nie jest

tak dobra jak twierdzą, ale zimą będzie potrzebne wszystko, co da się zjeść.

– Lepszy rydz niż nic – dodała pani Quarrey.

\* \* \*

I znów zamilkli. W końcu Thorne opróżnił szklankę.

– Chyba będę już lecieć – mruknął. – Jestem umówiony na kolację z moim prawnikiem. Pewnie po raz kolejny będzie próbował mnie przekonać, żebym nie pozywał Departamentu Obrony. I co ja mam do cholery począć, jak nawet mój adwokat nie spodziewa się sprawiedliwości?

– Ja myślałem, że sięgnie pan po wsparcie... hmm... jeszcze kogoś – odezwał się Quarrey.

– To znaczy, Angel City? No tak, mocno na nich liczyłem. Żaden sekret, że miałem polisę na życie Nancy, na pół miliona. Ale oni po prostu wypłacili tę kasę i nawet okiem nie mrugnęli. A w kwestii tych dziewięciu ofiar luizytu na Florydzie...

– Dziewięciu?

– Jestem prawie stuprocentowo pewien. Może jeszcze jedna więcej. Ale wszyscy ludzie, do których na razie dotarłem, dostali kasę, żeby nie robić afery. – Thorne uśmiechnął się gorzko. – Za to mnie nikt nie przekupi. Już wcześniej byłem bogaty, a teraz Angel City jeszcze mi dosypało kasy. – Zerknął na zegarek. – Czy poda mi pani parasol? I chyba maskę też...

\* \* \*

Kiedy otworzyła drzwi mieszkania, żeby go wypuścić, pod przeciwległą ścianą stało opartych trzech facetów w ciemnych ubraniach. Serce podeszło mu do gardła.

I stanęło.

Tak samo serce profesora i jego żony.

– Sami się pchają w ręce – powiedział pogardliwie jeden z morderców i kiwnął na kolegów.

## KONCENTRACJA SIĘ

Doug i Angela McNeil zobaczyli żołnierzy zgromadzonych wzdłuż drogi prowadzącej do Towerhill, gdy postanowili pojechać na kolację do ulubionej restauracji w górach. Zdecydowali się spontanicznie. Mogli, bo nie mieli dzieci. W dzisiejszych czasach wielu lekarzy nie miało dzieci.

Przez całą drogę mijali grupki nieznanomych młodych ludzi, zjeżdżających do Denver przez ostatnie dni. Musiały być ich już setki. Większość przyjeżdżała autobusem, niektórzy mieli ze sobą rowery-składaki mieszczące się do autobusowego bagażnika, reszta jednak była pieszo. Wyraźnie pochodzili z dużych miast – wszyscy mieli na szyjach maski filtracyjne, jak ci zimowi turyści, którzy nie wierzyli, że powietrze w Kolorado jest niegroźne.

– Co oni wszyscy tu robią? – zapytała Angela, gdy minęli kolejną kilkunastoosobową grupkę, siedzącą i odpoczywającą pod ogromnym plakatem przedstawiającym potworną sylwetkę robaka, podpisaną: CZY WIDZIAŁEŚ TAKIEGO OWADA? JEŚLI TAK, NATYCHMIAST ZAWIADOM POLICJĘ!!!

– Z początku pomyślałem, że to jakiś zjazd trainistów, że idą wszyscy na wat. Ale to nie trainiści. Zauważyłaś, że mają ubrania z syntetyków?

Angela kiwnęła głową. Prawda: nylonowe koszule, plastikowe kalosze.

– Więc to chyba po prostu górski odpowiednik nadbrzeżnych włóczęgów. – Doug podświadomie zwolnił, żeby lepiej im się przyjrzeć, ale zdał sobie sprawę, że nie lubią, jak się na nich gapić, i przyśpieszył ponownie. – W końcu w tym roku raczej nie pojedą do Kalifornii, nie?

– No, pewnie nie. – Angela się wzdygnęła.

– Ani na Florydę, teraz wszyscy się tam boją gazów bojowych. Dlatego zostają góry. Pewnie to samo dzieje się na wschodzie, na przykład w górach Pocono.

– Jakoś nie widzę, żeby byli mile widziani – zaniepokoiła się Angela. – Prawda?

– No, prawda. Prawo i pięść też raczej tak uważają. – Doug wskazał przed siebie.

Na zakręcie, pod barierką stały dwa radiowozy. Grupa funkcjonariuszy z poważnymi minami fotografowała młodziaków polaroidem. Jednego, na oko dwudziestoletniego, rewidowali za radiowozem. Rozebrali go do slipek. Jeden policjant wykręcał mu ręce, mimo że nie stawiał oporu; drugi z wyraźną satysfakcją obmacywał go w kroczu; trzeci przeszukiwał plecak.

\* \* \*

Nieco dalej zobaczyli żołnierzy – na kawałku równiejszego gruntu rozbili namioty, niczym pomarańczowe grzybki. Na poboczu parkowało pięć ciężarówek.

Doug aż podskoczył.

– Słuchaj, to chyba są lasery bojowe, nie?

– Że co?

– No, na tych przyczepach. Jezus Maria, czego oni się spodziewają, wojny domowej? Chyba nie użyją tego przeciwko tym dzieciakom!

– Mam nadzieję, że nie – zgodziła się Angela.

\* \* \*

A potem, za następnym zakrętem, zobaczyli ciężką, żelazną bramę w zwieńczonym szpikulcami betonowym murze. Wzdłuż niego biegł wielki neon, głoszący: BAMBERLEY HYDROPONICS INC. – W SŁUŻBIE POTRZEBUJĄCYCH.

Na samej bramie wisiała jeszcze jedna tablica, mówiąca, że wycieczki zapraszane są w godzinach 10.00-15.00. Ta jednak była zakryta mokrą płachtą.

KRYTYCZNA SYTUACJA, KRYTYCZNE MYŚLENIE

Tutaj przynajmniej dało się oddychać. Choć gwiazd też nie było widać. Michael Advowson pocieszał się czym tylko mógł. Cieszył się wolnością od tyranii maski filtracyjnej – choć w głębi gardła wciąż trochę go piekło – miał tak od przylotu z Europy. Przeszedł się na spacer na wzgórze okalające farmę hydroponiczną. Dobrze było wreszcie stąpać po trawie, choćby suchej i kruchej, przeciskać się między krzakami, choćby i o szarych liściach. A największą ulgę czuł dlatego, że wreszcie był sam.

Jezus. Wszystko by oddał, żeby tylko być z powrotem w domu!

Najbardziej go jednak bolało – czuł się przez to jak chore dziecko, które ma świadomość jakiegoś potwornego zła, ale nie jest w stanie powiedzieć o nim nikomu, kto mógłby pomóc – że pomimo widocznych na każdym kroku dowodów, mimo tego, co widzą na własne oczy i słyszą na własne uszy, a czasem i odczuwają własnym ciałem, przez siniaki, rany, ropiejące wrzody, duszący kaszel, ci ludzie tutaj wciąż uważają, że ich styl życia jest najlepszy na świecie, i są gotowi eksportować go wszędzie pod lufami karabinów.

Na przykład do Hondurasu. Rany boskie! Cromwell zrobił coś takiego w Irlandii, ale to było wieki temu, w innej i barbarzyńskiej epoce!

\* \* \*

Przez większość czasu chodził teraz w mundurze. Mundur obwieszczał, że jest czymś więcej niż tylko cudzoziemcem, że ma pozycję w hierarchii, a ci ludzie szanowali tylko siłę. Świadomi rangi, odnosili się do niego z lodowatą uprzejmością. Nie. Poprawnością.

Zupełnie nie tego się spodziewał. Miał tu krewnych, potomków brata pradziadka, którzy uciekli do Stanów przed brytyjską opresją. Myślał, że przywitają go jak kogoś... w rodzaju kuzyna. Nie jak współkonspiratora.

Samotność w Nowym Jorku popchnęła go w ramiona pijanej dziewczyny, która zahaczyła go na tamtym dyplomatycznym przyjęciu. Nazywała się Sylvia Young. Dopatrzył się u niej tęsknoty, jakiegoś wielkiego głodu, skrytego za maską wyrafinowania, jak gdyby usiłowała

przypomnieć sobie sen, z którego pamiętała tylko nastrój i żadnych konkretnych.

Ostatnie spotkanie było przedwczoraj wieczorem. Powiedziała, że już się wyleczyła i chciała zaciągnąć go do łóżka. On jednak miał taką gonitwę myśli, że nie był w stanie. Warknęła na niego sfrustrowana, on zrewanżował się stwierdzeniem, że nigdy w życiu nie spotkał kobiety z taką chorobą, na co zaśmiała się gorzko i odparła, że ona z kolei nie zna żadnej, która by tego choć raz nie miała.

A ten śmiech przerodził się w łzy – padła mu w objęcia, wtuliła się weń jak przerażone dziecko, a z tych pojękiwań wyłoniły się strzępy niewypowiedziane żalosnego marzenia: żyć w jakimś zdrowym i czystym miejscu, dochować się syna, który ma szansę być zdrowy.

– Ze wszystkimi dziećmi, jakie znam, jest coś nie tak! Każdy ma przynajmniej jedno chore!

Jako lekarz Michael wiedział, że to nieprawda; nawet tu, w Stanach, procent urodzeń z wadami wrodzonymi wynosił tylko trzy lub cztery. Wszyscy się jednak przeciwko temu oczywiście ubezpieczali i zachowywali się, jakby najdrobniejszy przejaw złego zachowania, najmniejszy objaw dowolnej dziecięcej choroby był nie wiadomo jaką katastrofą.

– Musi się przecież coś dać zrobić! Musi, musi!

Przyszło mu do głowy: mogę przecież ci dać... może nie stuprocentowo czyste miejsce do życia, bo pod Balpenny, kiedy wiatr zawieje od ośrodka przemysłowego wokół lotniska Shannon, czasem człowiek się zakaszle, wychodząc na dwór po pierwszy poranny łyk świeżego powietrza... Jednak już obiecali, że coś z tym zrobią.

Poza tym zwierzęta faktycznie czasem rodziły się z wadami. To jednak tylko zwierzęta, można je zabijać i mieć zasadniczo czyste sumienie.

Mogę jednak powiedzieć: pokażę ci jezioro nieskażone ludzkimi odpadami. Pokażę zboże wyhodowane na oborniku i czystym, rześkim deszczu. Poczęstuję jabłkiem z drzewa, którego nikt nie opryskiwał arsenem. Ukroję ci chleba z wiejskiego bochna, co wita dłonie czułym ciepłem pieca. Dam ci dzieci, które nie będą musiały się bać niczego gorszego niż szkło z rozbitej przez pijaka butelki, dzieci o prostych

kończynach, uśmiechnięte, wyraźnie mówiące. Co, może będzie ci przeszkadzało, że ich mowa niesie echa języka, którym mówiła cywilizacja sprzed tysiąca lat?

\* \* \*

Nie powiedział tego na głos, pomyślał tylko. I pewnie już nigdy nie powie. Po jutrzejszym komisyjnym spaleniu partii podejrzanej żywności zamierzał od razu polecieć do domu, samolotem Aer Lingus z Chicago.

Na grzbiecie wzniesienia przystanął i rozejrzał się. Farma hydroponiczna ciągnęła się wzdłuż podstawy wzgórza niczym ogromna gąsienica. Po niezastłoniętych, oświetlonych oknach mógł rozpoznać dom dyrektora fabryki, sympatycznego gościa nazwiskiem Steinitz. O jego gospodarzu, Jacobie Bamberleyu, nie dało się tego powiedzieć... Samo przebywanie w jego wielkiej rezydencji, rozbudowanym rancho jego dziadka, wydawało się czymś niestosownym, mimo że otaczały ją podobno wspaniałe botaniczne ogrody. Zerknął na nie tylko przelotnie – wydawały się przywiędłe i chorowite.

Trzeba tam będzie zaraz wrócić. Brał udział w ostatniej rundzie przygotowań, razem z dowodzącymi operacją amerykańskimi oficerami, pułkownikiem Saddlerem, kapitanem Aaronsem i porucznikiem Wassermannem oraz drugim obserwatorem ONZ, kapitanem Roblosem z Wenezueli. Żaden z nich nie przypadł mu do gustu, dlatego po spotkaniu musiał się przewietrzyć. I dlatego znalazł się o północy na zewnątrz, pod gołym niebem.

Nie pod gwiazdami. Podobno tego lata nie widziano ich ani razu. Bamberley powiedział przy kolacji: „Kiepski rok”.

Ale czy następny będzie lepszy?

Zadygotał pomimo ciepłego wiatru, a chwilę później przeraził się jak nigdy w życiu. Nagle znikąd dobiegł głos:

– Cholera, co za cieć tu węszy?

Rozejrzał się nerwowo i dopiero wtedy dostrzegł niewyraźną postać niecałe dziesięć kroków od siebie. Czarny mężczyzna w czarnym ubraniu,

bardzo wysoki i bardzo szczupły. A w prawej dłoni coś jaśniejszego – nóż, trzymany luźno, chwytem do walki, przez kogoś, kto się zna – nie uniesiony bez sensu na wysokość barków, lecz zwisający nisko, by trafić w miękkie mięśnie brzucha.

– Co, kur... Co tu robisz? – zapytał Michael.

Chwila milczenia. Potem z ziemi, która wydawała się pusta, zmaterializowały się kolejne sylwetki.

– Nie jesteś Amerykaninem – stwierdził czarny. Mężczyzna? Chłopak raczej, miał wysoki głos, sam rejestr głowowy, kompletnie bez piersiowego.

– No nie. Jestem z Irlandii.

Snop światła z latarki przeszył go jak szpilka motyla. Ile jeszcze czasu ten obraz będzie się z czymś kojarzył? W tym kraju nie widział dotąd ani jednego motyla.

Inny głos, dziewczyny:

– W mundurze jest!

– Spokojnie – odparł czarny. – Mówi, że jest Irolem. No dobra, Paddy, to co ty tu robisz?

Michael poczuł płynący po skórze pot. Powiedział:

– Jestem obserwatorem ONZ.

– I co obserwujesz? Nas? – Z ironią.

– Nie wiedziałem, że ktoś tu jest. Poszedłem się przejść i tyle.

– Oj, facet... ty faktycznie musisz być nietutejszy. – Czarny chłopak schował nóż i wszedł w snop światła latarki. – Myślałem, że jesteś z psów. Ale psy chodzą stadami.

– To trep! – warknęła dziewczyna.

Michael już słyszał ten termin: oznaczał żołnierza. Poczul się zagrożony.

– Ale nie ma broni – odparł czarny chłopak.

Ton dziewczyny nagle się zmienił.

– Kurna, faktycznie. Słuchaj no, Paddy, co to za armia, że nie nosisz broni?

– Jestem oficerem medycznym – wykrztusił Michael przez zaschnięte gardło. – Chcecie dokumenty zobaczyć?



Czarny chłopak podszedł bliżej, zlustrował go od stóp do głów.

– Tak – powiedział po chwili. – Chyba tak.

Michael wyszarpnął papiery z kieszeni. Chłopak przyjrzał im się.

– No, kurna, faktycznie. I to major. Witamy, Mike, w tym gównie, gdzie mieszkamy. Jak ci się tu podoba?

– Wszystko bym oddał, żeby się stąd już wynieść – wypalił Michael. – Ale oni mi nie pozwalają.

– Oni – mocno podkreślone – to na nic ci nie pozwolą. – Oddał mu dokumenty i zszedł z drogi. – Jestem Fritz – dodał. – To jest Diana... Hal... Curt... Bernie... Siadaj z nami.

Chyba nie było wyjścia. Michael postąpił krok naprzód. Widział teraz, że grupka tu obozowała – zamaskowane przez krąg krzaków śpiwory, parę ledwo tłących się węgielków na płaskich kamieniach.

– Faja? – zapytał Fritz. – Coś do pożucia?

– Fritz! – upomniała go Diana.

Wzmianka o żuciu wyjaśniła Michaelowi piskliwość jego głosu. Fritz był oćpany khatem, popularnym wśród amerykańskich Czarnych, bo pochodził z Afryki; stymulującym liściem, który można było żuć, palić, albo zaparzać, eksportowanym w ogromnych ilościach z Kenii przez lud Meru, nazywający go *mirungi*.

– Nie, dzięki – odparł po chwili.

– Nie masz pojęcia, co tracisz. – To był... Bernie? Tak, Bernie. Zachichotał. – Jeden z najlepszych naturalnych leków. Miałeś ostatnio biegunkę?

– Jak wszyscy.

– Żadni „wszyscy”. Mówią, że dopadła trzydzieści pięć milionów ludzi. Ale nas nie. Gdzie ten liść?

– Tutaj. – Curt, następny w szeregu, wyjął z ust oślinioną grudkę i podał dalej.

Michael powstrzymał się od wzdrygnięcia. Ale to ciekawe, że pozwala uniknąć biegunki. Na pewno po prostu powoduje zatwardzenie.

Zapytał:

– A was co tu sprowadza?

– Jesteśmy turystami. – Fritz zachichotał piskliwie. – Zwiedzamy sobie.  
A ty?

– Jutro mają palić całą tę podejrzaną żywność. Ja mam pilnować, żeby to naprawdę zrobili.

Głucha cisza. Nagle odezwał się ten imieniem Hal:

– I nie dopilnujesz.

Dziewczyna, Diana, niespokojnie spojrzała na niego spod oka. Miała bardzo jasne włosy i była dość ładna, choć pulchna.

– Hal, uważaj, co mówisz!

– Ale tak jest, co nie? Nikt nas nie powstrzyma!

Michael powiedział powoli, z niedowierzaniem:

– Przyjechaliście, żeby dobrać się do tej żywności?

Wahanie. Potem kiwanie głowami. Stanowcze kiwanie głowami.

– Ale dlaczego? – Pomyślał o tych tłumach młodych ludzi, które widział idące tu z Denver. A Steinitz z zakładu mówił, że od wielu dni się schodzą.

– A dlaczego nie? – To był Curt.

– No, dlaczego nie? – Teraz Hal. – To będzie pierwszy raz w historii, pierwszy raz rząd tego parszywego kraju zafunduje jazdę paru swoim obywatelom. – Słowo „obywatelom” wymówił tak, jakby było wulgarne.

Diana oblizwała usta. Miała pełne, szerokie usta i mięsisty, długi język. Zabrzmiało to jak „ślurp”.

– Zwariowaliście? – wymknęło się Michaelowi, zanim się opanował.

– Może obłąd to jedyne wyjście w tym popierdolonym świecie? – odparł Fritz.

– Ale w tej żywności z magazynu nie ma narkotyku. Widziałem analizy.

– Pewnie. Wszyscy tak mówią. – Wzruszył ramionami. – W Afryce mówili to samo, teraz mówią to o Hondurasie... Kłamią, syfiarze!

– Teraz to nie wiesz, o czym mówisz. Ja byłem w Noshri! Widziałem na własne oczy!

Wspomnienia wezbrały bez ostrzeżenia: widoki, dźwięki, zapachy, lepkość błota pod stopami, atmosfera rozpaczy. Opowiedział im o dzieciach pobitych na śmierć przez własnych rodziców. O żołnierzach uciekających z płaczem w krzaki. O kobietach, które już nigdy nie będą

w stanie spojrzeć na pospolite domowe narzędzie, jak nóż, żeby nie uciec od niego z przerażeniem. Opowiedział o smrodzie, głodzie i chorobach. Powiedział wszystko, słowa lały się z niego jak woda z przerwanej tamy. I dopiero kiedy od gadania rozboleło go gardło, uświadomił sobie, że przez cały czas mówił im:

– Amerykańska żywność spowodowała to, wywołała tamto...

Lucy Ramage i jej kolega z Urugwaju ucieszyliby się. Ale nie żyli.

Urwał raptownie i po raz pierwszy od wielu minut zobaczył swoich słuchaczy, a nie zapamiętane okropieństwa z Afryki. Wszyscy, co do jednego, mieli identyczne, tęskne uśmiechy.

– Staaary! – westchnęła wreszcie Diana. – Tak się nastukać!

– Nooo! – dodał Curt. – Wyobrażacie sobie? Faza, która się nigdy nie kończy.

– Chcą mi tego odmówić – powiedział Hal – to będą musieli najpierw mnie spalić, dopiero potem ten towar.

– Dobrowolnie chcecie zwariować? Jak to? – wybuchnął Michael. Z trudem szukał właściwego słowa. – Jak możecie chcieć parszywej jazdy, która trwa całe życie?

– Jak możemy? Normalnie możemy! – Fritz, ton lodowaty, śmiertelnie poważny, śmiertelnie. – Mike, posłuchaj uważnie, bo nie rozumiesz, a powinieneś. Kto by chciał być zdrowy na umyśle, wiedząc, że każdy oddech, każda szklanka napełniona wodą, każde wejście do rzeki, żeby popływać, każdy posiłek – że to wszystko go zabija? Wiesz dlaczego, wiesz, kto ci to zrobił, ale nie możesz w żaden sposób tych skurwysynów dorwać.

Zerwał się na równe nogi. Górował nad Michaeliem, nawet kiedy ten również wstał. Miał dobrze ponad metr osiemdziesiąt, może i metr dziewięćdziesiąt. Wyglądał jak średniowieczna śmierć: bezlitosna, chuda, wygłodzona.

– Nie chcę umrzeć, rozumiesz? Ale życia też nie mogę znieść. Chciałbym tych wszystkich syfiarzy rozerwać na strzępy. Wyłupić im oczy. Nakarmić ich własnym gównem. Wypruć flaki przez dupę, metr za metrem, owinać im wokół szyi i zadusić. Chciałbym być takim świrem, żeby móc wymyślić dla nich tortury, na które zasłużyli! Może teraz zrozumiesz!

– Taaa – dodała bardzo cicho Diana i splunęła khatem w rozżarzone węgielki, aż zasyczało.

– A ty spadaj, Mike – powiedział Fritz, nagle zmęczony. – Jak najdalej. Do domu czy coś. Zostaw to nam, my już się nimi zajmujemy. Któregoś dnia może znowu przyjedziesz – albo twoje wnuki – i zobaczycie, że to miejsce znowu się nadaje dla ludzi, czarnych i białych.

– I zielonych. – Diana zachichotała histerycznie. – Znaczący, z Irlandii.

Długo wpatrywał się w oczy Fritza, a to, co tam dostrzegł, kazało mu się odwrócić i uciec.

\* \* \*

Choć większość niewykwalifikowanych i słabo wykwalifikowanych pracowników fabryki zasilila armię bezrobotnych w Denver, garstka personelu pozostała w pogotowiu – to z ich pomocą on i Robles przez cały następny ranek przekopywali się przed dokumenty magazynowe, pilnując, by z zakładu wyniesiono wszystkie, co do jednego, opakowania podejrzanego Nutriponu. Pracownicy wywozili je wózkami widłowymi na pusty betonowy parking i ustawiali w ogromną stertę tuż przed laserami bojowymi, mającymi spalić je na popiół.

Dokumenty były prowadzone porządnie i dokładnie. Praca szła szybko. Przez cały czas słyszał – chcieli, żeby słyszał – uwagi rzucane przez żołnierzy: kto pozwala, żeby ci parszywi cudzoziemcy się tu rządzą i rozkazywali? Szczególnie jeden z nich, sierżant Tatum, chudy, patykowaty, jasnowłosy, jakby wręcz zachęcał swój pluton do rzucania tego typu uwag, gdy Michael był w pobliżu. Powstrzymywał się jednak od złośliwych ripost. To wszystko niedługo się skończy i będzie mógł wrócić do domu.

Od czasu do czasu unosił wzrok i zerkał na puste, szarozielone pasma wzgórz ponad parkingiem, spodziewając się, że zaroi się tam od ludzi – Fritza i jego ekipy oraz setek innych. Choć chwilami wydawało mu się, że widzi ruch w zaroślach, żadnej twarzy nie dostrzegał. Już prawie był w stanie uwierzyć, że te wczorajsze okropne zdarzenia przyśniły mu się.

Co, chce zwariować? Tak samo jak te dzieciaki?

Wreszcie kopulasta hala, po której niosło się echo, opustoszała, nic nie zostało także w pozostałych pomieszczeniach, gdzie pod dachem w regularnych odstępach wisiały nowiuteńkie filtry powietrza, a pod kratkami wentylacyjnymi poprzyklejano małe certyfikaty z firmy specjalizującej się w salach operacyjnych... zgodzili się z Roblesem, że mogą już spokojnie iść i dać znać pułkownikowi. Robles od pół godziny siedział jak na szpilkach, nie mogąc się tej chwili doczekać. Michael czerpał perwersyjną przyjemność z tego, że każe mu jeszcze poczekać.

To, co powiedział Fritz, pozwoliło mu zrozumieć, skąd wzięła się u niego ta natychmiastowa antypatia do Roblesa – Wenezuelczyk ani na moment nie rozstawał się z pistoletem.

\* \* \*

– Nie śpieszyło się panu! – wychrypiał pułkownik Saddler. – Myślałem, że do obiadu będziemy mieć to z głowy!

Wczoraj wieczorem powiedział, że liczy na przydział do Hondurasu.

Daleko, na betonie, szarym pod szarym niebem, czekali dziennikarze i ekipy telewizyjne przy swoich wozach, gotowi nagrać i wyemitować na cały świat ten dowód czystych intencji.

– Ale teraz to chyba faktycznie najpierw pójdziemy zjeść – ciągnął pułkownik ze złością. – Sierżancie!

To był Tatum, jasnowłosy facet, który wyjątkowo nie cierpiał Michaela.

– Sierżancie, niech żołnierze rozejdą się na posiłek i niech pan dopilnuje, żeby ekipa strażacka była na stanowisku dziesięć minut przed... Co za cholera?

Wszyscy odwrócili się gwałtownie i odkryli to, czego Michael spodziewał się od rana. Młodzi ludzie musieli obserwować ich ze wzgórz z talentem i cierpliwością wyszkolonych partyzantów. Teraz zorientowali się, że wynoszenie żywności z magazynu zostało zakończone, i ruszyli na druciane ogrodzenie okalające teren zakładu. Wyglądali jak średniowieczna armia. Dwustu ich było? Trzystu? Na głowach

motocyklowe kaski, górskie buty, na ramionach chałupnicze tarcze, z namalowanymi w charakterze herbu trainistycznymi czaszkami i piszczelami.

– Przepędzić stąd tych świrów! – ryknął pułkownik. – Dawać megafon! Sierżancie, odwołuję! Nie rozchodzić się na obiad. Powiedzcie tym debilom, że jak się za pięć minut nie rozejdą...

– Panie pułkowniku! – wybuchnął Michael. – Nie wolno panu!

– Co mi nie wolno? – Sanders rzucił się na niego. – Pan mi wydaje rozkazy, majorze?

Michael głośno przełknął ślinę.

– Nie wolno panu ryzykować i palić tego, kiedy oni tam stoją!

– To żadne ryzyko – odparł Saddler. – I żadna strata dla kraju. Założę się, że połowa tych gówniarzy uchyła się od służby, a reszta oszukała komisje. I ja im tego nie zostawię. Dziękuję, sierżancie. – Wziął podany megafon. Uniósł go i wrzasnął: – Ej, wy tam! Za pięć minut... – Podeszedł do ogrodzenia.

Dziennikarze w oddali wyczuli, że dzieje się coś nieoczekiwanego – zrywali się na równe nogi, przygotowywali aparaty, kamery i mikrofony.

Na zboczu, obok jasnowłosej dziewczyny chuda czarna postać, bardzo wysoka. W ręce coś błyszczącego.

Nóż? Nie, nożyce do drutu!

Saddler wyrecytował ostrzeżenie i odwrócił się, patrząc na zegarek.

– Sierżancie, najpierw polejemy ich z węży – mruknął. – Jeszcze by brakowało, żeby ten pieprzony Ajryś...

I nagle dotarło do niego, że Michael dotrzymał mu kroku i stoi tuż za nim. Zaczerwienił się i podniósł głos.

– To chyba panu pasuje, co? – warknął. – Większość z nich pewnie dawno się nie kąpała!

– Może nie pochodzą z domów, gdzie można się bezpiecznie kąpać – odparł Michael. Poczł się trochę oszołomiony. Po spotkaniu z młodziami na wzgórzach bardzo źle spał.

– Co to ma, kurna, znaczyć?

Michael zerknął kątem oka na schodzącą po zboczcu cudaczną armię. Ze wszystkich stron sierżanci ustawiali swoich ludzi w kordon wzdłuż ogrodzenia. Rozwijali węże, przygotowane na wypadek, gdyby lasery bojowe podpaliły wyschniętą na wiór trawę i zarośla. Przy studniach – farma miała własne ujęcia, pięć sztuk, bo hodowla hydroponiczna wymagała ogromnej ilości wody – inżynierowie stali przy pompach, gotowi włączyć je na sygnał. Zza hali z basowym łoskotem wyłonił się helikopter z literami ABS na burcie. Z otwartych drzwi wychylał się kamerzysta.

– Pułkowniku, proszę mi pozwolić pogadać z tymi ludźmi – powiedział Michael. – Wczoraj wieczorem ich poznałem, myślę, że dam radę...

Fala młodziaków szła dalej, nie zwracając uwagi na krzyki rezerwistów za ogrodzeniem. Dotarli do drutu. Jeden z najbliższych żołnierzy, obserwujący ich nerwowo, zawołał:

– Słuchajcie, ten tutaj ma broń!

– Założyć bagnety! – krzyknął przez megafon pułkownik. – Nie dopuścić ich do ogrodzenia!

Szczęk, szczęk, szczęk. Linia ostrzy wycelowana w brzuchy za drutem kolczastym.

– Panie pułkowniku! – Złapał Saddlera za rękaw. – Mam pomysł.

Nagle krzyk:

– Panie pułkowniku! Tutaj! – Od strony reporterów zamachał kapitan Wassermann.

– A idź w cholerę – warknął Saddler do Michaela i odszedł.

No dobra, skoro tak... Michael wziął głęboki oddech i ruszył w stronę drutów, wzdłuż brzegu nieregularnej sterty kartonów z żywnością. Pośrodku miała może z dziesięć na dziesięć metrów i siedem wysokości, ale po brzegach pudła rozsypały się nieregularnie. Niektóre się rozdarły.

– Halo, panie majorze! – To ten, który krzyczał, że mają broń. Starszy szeregowy. – Proszę się nie zbliżać! Zabiją pana!

– Cisza, żołnierzu! – Teraz Tatum; jego pluton pilnował odcinka najbliżej Fritza. – Niech robi co chce. To jego pogrzeb, nie nasz.

Michael szedł dalej. Minął żołnierzy i stanął oko w oko w Fritzem, o metr od niego. Fritz uśmiechał się krzywo, w prawej dłoni dyndały mu

luźno nożyce do drutu.

– To tak pan wygląda za dnia, majorze – powiedział, a Diana u jego boku zachichotała.

– Chcecie spróbować tej żywności, nie? – powiedział Michael.

– Dokładnie. No i?

– Z którego kartonu?

– Co?

– Pytam, z którego kartonu.

Oczy wszystkich zwróciły się teraz na niego. Podniósł głos, żałując, że nie ma megafonu.

– Wczoraj wieczorem mówiłem wam, że ta żywność została przebadana i uznana za czystą. Nie wierzycie mi. Nikt z was mi nie wierzy. Więc wybierzcie sobie karton i ja wam dam spróbować. Jeśli nic się nie będzie wam działo, pójdziecie sobie.

Nastąpiła dłuższa chwila ciszy. Wreszcie Fritz nieznacznie kiwnął głową.

– No dobrze, zgoda, chyba. Mogę wybrać dowolny karton?

– Absolutnie dowolny.

– Zgoda.

– Świetnie. Żołnierzu, proszę o nóż – powiedział Michael, zwracając się do żołnierza po swojej prawej.

– Panie majorze! – znów Tatum. – Nie może pan!

– Niby dlaczego? Oni wszyscy przyszli tutaj po narkotyk, który podobno jest w tej żywności. Jak się przekonają, że go wcale nie ma, pójdą sobie. Prawda, Fritz?

Z wahaniem:

– Oczywiście.

– A wy i tak mieliście iść na obiad jeszcze przed spaleniem tego wszystkiego. Żołnierzu, nóż!

– Nie dawaj mu! – warknął sierżant.

– Mam swój! – zawołał Fritz. – Wybieram ten karton, w który trafię.

Wyciągnął własny nóż i cisnął go wysokim łukiem ponad ogrodzeniem. Ostrze trafiło w jedno z najbliższych pudeł i wbiło się głęboko.



– No dobra – mruknął Michael i użył go, by rozciąć wzmacniany polietylenową folią karton.

Do najbliższego punktu ogrodzenia już zaczęły schodzić się dziesiątki młodych ludzi, a wieść o tym, co zamierza Michael, rozchodziła się po reszcie niczym ogień po lesie. Niektórzy zaczęli ironicznie wiwatować, a ci, którzy byli uzbrojeni, głównie w pistolety i noże, choć Michael wypatrzył także jedną strzelbę, zatknęli broń za paski, albo odłożyli. Tatum, wściekły, obserwował ich przez chwilę, a potem nagle odwrócił się, schował za górę opakowań i zaczął wołać Sandlera.

Michael wrócił do ogrodzenia z dwiema garściami pełnymi Nutriponu. Widząc to, Fritz ciachnął nożycami, nie zwracając uwagi na szeregowca, który kazał mu przestać. W drucianym ogrodzeniu powstała kilkudziesięciocentymetrowa luka, przez którą mogli przekazać sobie żywność. Michael pomyślał machinalnie, że to całkiem jak karmienie zwierząt w zoo. Patrzył, jak żywność rozpełza się po chciwych dłoniach i rozdziawionych ustach.

– Jeszcze! – krzyknął ktoś, komu nie udało się skosztować pierwszej porcji.

– Zaraz, zobaczcie, czy nic się im nie stanie – odpowiedział Michael. – Jestem pewien, że nic, ale przecież was nie przekonam...

– Jeszcze! – Ryk był już groźny. Jak wygłodniałych zwierząt. Niebezpiecznych, dzikich zwierząt...

Wzruszył ramionami i odwrócił się. Stał oko w oko z Saddlerem, pąsowym z furii.

– Majorze, co pan, do cholery, wyprawia?

– Te dzieciaki myślą, że żywność jest zatruta – powiedział Michael. – Nie pozwolą wam jej spalić, póki nie udowodnicie, że nie jest.

– W życiu nie pozwo...

– A może pan sądzi, że ona jest zatruta? Że celowo jej użyto, żeby wywołać psychozę u tysięcy niewinnych ludzi, w Afryce, w Hondurasie?! – Michael wykrzyczał to ile sił w płucach.

Zaskoczony okrzyk zza jego pleców, wysokim głosem Fritza.

– Mike, powiedz mu! Wytłumacz mu! Dobra robota, skarbie!

Saddler przez chwilę nie reagował. Potem odpiął pokrywę kabury i wyciągnął pistolet.

– Jesteś aresztowany – powiedział krótko. – Sierzancie, proszę zatrzymać tego człowieka.

– Nie! – Głos dziewczyny, chyba Diany.

Natychmiast rozniósł się echem. Po całym wzgórzu rozszedł się szmer pytań i odpowiedzi, niczym niewyraźne bzyczenie owadów. I osiągnął nieoczekiwaną kulminację w jednym, przeraźliwym okrzyku, głosem niemal nieokreślonej płci:

– Zabić trepów!

\* \* \*

Później Michael Advowson trafił na listę ofiar jako numer jeden z sześćdziesięciu trzech. Wypróbowali na kartonach z żywnością lasery bojowe. Świetnie się sprawdziły.

lipiec

## KONSUMUJĄCY I KONSUMOWANI

*Czternasty października! Oto dzień, co przejdzie na zawsze do kronik,  
Kiedy potomek królewskiego rodu nową elektrownię uruchomił.  
Było to w obecności osób ważnych i najszlachetniejszych,  
Napór tłumu był taki, że wpuścić go nie było mowy,  
Musiał więc pełnić wartę wysoki i przystojny szeregowy,  
Odziany w szkarłat, o wiele niż złoty ładniejszy,  
Przysłany z koszar naszej armii w Darlington,  
Razem ze swoim oddziałem stał na straży on.  
Pan lord porucznik wygłosił piękną i wspaniałą mowę,  
W której poetycko i literacko opisał osiągnięcie nowe,  
Że odtąd na każdej ubogiej farmie, w każdym domu będzie prąd,  
I standard życia wszystkim się ogromnie podniesie stąd.  
Ważne, by każdy pamiętał, gdy w luksusie się pławi,  
Że to wielki nasz wynalazca, pan Edison sprawił.*

„McGonigal Redivivus”, 1936

## LONT

*...liczba ofiar wzrosła do pięćdziesięciu dziewięciu, nie licząc czterech żołnierzy, o których już informowaliśmy. Prezydent, poproszony o komentarz na chwilę przed wylotem do Gettysburga, gdzie upamiętni Dzień Niepodległości, wygłaszając w kostiumie Abrahama Lincolna Orędzie Gettysburskie przed, jak się przewiduje, stu tysiącami widzów, powiedział, cytując: „Nigdy nie zapomnimy, że uświęcili amerykańską ziemię swoją krwią”. Koniec cytatu. Śledztwo skupi się w pierwszej kolejności na podejrzeniach, że zamieszki wywołał Nutripon zawierający środek halucynogenny. Wiadomo, że część tej żywności, wbrew rozkazom dowodzącego amerykańskiego oficera, została rozdana chętnym przez irlandzkiego majora Advowsona z ONZ, który zginął w czasie zajścia. Europa. Od dzisiaj zamknięta jest granica pomiędzy Francją i Włochami, aby powstrzymać falę głodujących uchodźców z południa oraz epidemię tyfusu...*

## SYTUACJA KRYTYCZNA

Od tego straszego dnia, od kłopotów na farmie hydroponicznej, Maud prawie nie ruszała się z pokoju, nie rozmawiała z mężem i nie robiła nic poza niezbędnym minimum dla dzieci. Pan Bamberley poczuł się zmuszony zatrudnić do pomocy starszą siostrę ich pokojówki Christy. Potrzebowała pieniędzy, bo jej mąż był niezdolny do pracy, cierpiał na jakiś paraliż wskutek dawnego kontaktu z jakimś środkiem chemicznym. Miała opinię bardzo sprawnej.

W sumie dobrze, że ktoś jeszcze się w domu znalazł. Kobieta musiała właściwie zarządzać całym domem. Po tym, jak na jego ziemi zginęły sześćdziesiąt trzy osoby – mimo że zdarzyło się to na terenie zakładu, nie rezydencji – sam wpadł w podobne otępienie jak Maud. Zrezygnował

z comiesięcznego wyjazdu do Nowego Jorku, z okazjonalnych wizyt w miejscowym klubie, nawet w kościele przestał się udzielać. Codziennie przez długie godziny przesiadywał, gapiąc się przez okno gabinetu, pokoju, który zajął od razu po odziedziczeniu domu, właśnie ze względu na wspaniały widok.

Lato też nie było takie, jak trzeba. Choć ogrodnicy dwoili się i troili, wspaniałe kwietne rabaty rozciągające się wokół tarasu, sześć metrów pod oknem, wciąż były zapyłone, a rośliny nie wyglądały zdrowo. Trawa była w łaty, a w kilku miejscach trzeba było wymienić murawę, co słono kosztowało. I nie chodziło o brak wody. Planował wezwać specjalistę od gleby, by określił, czy to brak słońca, czy jakiegoś innego składnika. Ale jakoś się do tego nie zabrał.

Do tego na liściach wszystkich najpiękniejszych krzewów wystąpiły suche plamy wielkości monet, a kwiaty gubiły płatki zanim jeszcze na dobre rozkwitły, a daleko nad górami wisiał nieruchomo woal bladoszarej mgły.

Jak dotąd, tego lata nie widział na oczy niebieskiego nieba, chyba że z samolotu.

\* \* \*

Czuł się stłamszony. Pokonany. Wyczerpany. Przez całe długie życie, aż do ostatniego tygodnia, był ledwie na kilku pogrzebach: babki, rodziców i oczywiście niedawno Nancy Thorne. Nagle do tego doszły sześćdziesiąt cztery kolejne. Zbiorowy pogrzeb był okropny!

Najgorszy był jednak pochód, z którym kondukt spotkał się u bram cmentarza. Policja mówiła później, że zebrało się ponad dwa tysiące ludzi, głównie z Denver i Wojskowej Akademii Lotniczej. Stanęli wzdłuż drogi i wiwatowali na cześć Jacoba Bamberleya. Mieli ze sobą flagi i transparenty mówiące PRECZ Z ONZ I ŁAPY WON OD AMERYKI.

Później ktoś rozpałił na zbiorowej mogile krzyż ze zniczy.

\* \* \*

Poza tym i oficerowie z biura prawnego armii, zbierający dowody, i FBI, i elokwentny republikański prawnik pełniący funkcję specjalnego delegata gubernatora, i sam gubernator, którego poznał na bankietach, gdzie zbierano fundusze, i senator Howell, prawie nieznamy, co usiadł tu w tym fotelu i gadał, jak to się cieszy, że ten (wulgaryzm, za przeproszeniem) Advowson dostał to, co mu się należało, i że to oczywiście on zatruł tę żywność i że pewnie Tupasowie mu za to zapłacili...

Wszyscy oni pytali, co z Maud. Wszyscy, co do jednego.

\* \* \*

Teraz jednak cała ta afera w zasadzie się uspokoiła. Oczywiście, chwilę to jeszcze potrwa, jak wyjaśniał chłopcom, gdy zadawali mu impertynenckie pytania, ale tylko po to, aby sprawiedliwości stało się zadość. Ten kraj, tłumaczył, ma wielką tradycję sprawiedliwości, opartą na prawie powszechnym typu anglosaskiego, liczącą sobie tysiąc lat. Jeśli ktoś jest winny tych śmierci, zostanie ukarany.

A co do Maud...

To wszystko przez napięcie nerwowe. Doktor Halpern sam tak powiedział. Zgodnie z jego wskazówkami nie robił scen, że chowa się w swoim pokoju, że chce jeść i spać sama, że nie wita go, gdy się przypadkiem spotkają...

Przyszła jednak czas położyć kres tej farsie. Dziś był przecież szczególny dzień. W domu Bamberleya czwartego lipca przestrzegało się tradycji, którą odziedziczył po ojcu i dziadku. Sam wstawał o świcie, żeby wciągnąć flagę na maszt, chłopcy – oprócz Corneliusa – musieli się też zerwać i mu asystować. Później, przy śniadaniu, były prezenty: dla najmłodszych repliki coltów peacemakerów i noży myśliwskich Bowie'ego, dla reszty reprinty Deklaracji Niepodległości, Karty Praw i Orędzia Gettysburskiego. Potem oficjalny obiad, z krótkim kazaniem, jakie

wygłaszał przed nim jego ojciec, omawiającym znaczenie tej rocznicy, po południu wspólne oglądanie prezydenta w telewizji i wreszcie przed pójściem spać – fajerwerki. Pokaz, na trawniku przed domem, organizowała dla nich firma z Denver, zapraszali ją co roku.

A więc, skoro jest dwunasta trzydzieści... trzeba odbębnić tę mękę.

Bamberley łyknął nadliczbową kapsułkę z fiołki uspokajaczy od doktora Halperna i poszedł do jadalni.

\* \* \*

Maud już siedziała na swoim miejscu, po raz pierwszy od wielu tygodni. Rozpromienił się i ucałował ją w policzek – prawie się nie odsunęła – po czym szedł dalej ku swojemu tronowemu krzesłu, witając się z każdym z chłopaków. Czulo się w powietrzu napięcie. Na pewno zaraz się rozluźni.

Stanął na baczność, zerknął jeszcze, czy Christy stoi już na posterunku przy kredensie, na którym stały misy sałaty – tak, świetnie – i skłonił głowę.

– Pobłogosław Panie Boże...

– Nie, Jacob – przerwała mu Maud.

Zdumiony, stwierdził, że patrzy ostro na niego.

– Nie, Jacob – powtórzyła. Po raz pierwszy od dnia ślubu zwróciła się do niego „Jacob”, a nie „Jack” czy „kochanie”.

– Ty masz krew na rękach. Ja odmówię modlitwę.

– Że co?

– Zabiłeś setki niewinnych ludzi. A może i tysiące. Nie uchodzi, żebyś odmawiał dla nas modlitwę.

W głowie poczuł ogromny ucisk. Zagrzemiał:

– Maud, czy tobie rozum odjęło?!

I ponieważ przypomniał sobie, że służący nie powinni widzieć kłótni chlebodawców. Gestem nakazał Christy wyjść z pokoju. Jednak Maud odezwała się ponownie, zanim ta doszła do drzwi.

– Przeciwnie, Jacob. Odzyskałam go. Już wiem, czemu nigdy przy tym stole nie jedliśmy jedzenia z twojej fabryki. Długo byłam na osobności, dużo czytałam. Dowiedziałam się, co zrobiłeś tym biednym czarnym



dzieciom z Afryki, ludziom z Hondurasu... no i oczywiście tym, co mieli pogrzeb w zeszłym tygodniu. Stwierdziłam, że Hugh mówił prawdę.

Bamberley nie wierzył własnym uszom. Wstał, z nieodkrytymi ustami, jak świeżo złapana na haczyk ryba.

– Więc odtąd ja będę odmawiać modlitwę – dokończyła Maud. – Mam stosunkowo czyste sumienie. Pobłogosław Panie Boże...

– Cisza!

I na ten sygnał Cornelius nakrył się nogami.

Maud nawet nie drgnęła, żeby przyjść mu z pomocą, kiedy padał na podłogę. Ponad lśniącymi srebrami i piękną porcelaną wbiła wzrok w oczy męża.

– Zadzwoń po lekarza – powiedział w końcu pan Bamberley. – Ewidentnie jeszcze nie doszłaś do siebie po niedawnej... ten... niedyspozycji.

Odwrócił się do drzwi.

– Po tym niewiarygodnym wybuchu nie mam już apetytu. Jeśli ktoś mnie potrzebuje, jestem u siebie.

\* \* \*

Dochodząc do gabinetu, cały się trząsnął i niemal padł na podłogę za drzwiami, gdy się otworzyły.

Jezus Maria! Co tę babę opętało? Przez tyle lat małżeństwa nigdy nie powiedziała czegoś tak... tak ohydneho!

Po omacku poszukał na biurku – eleganckim, angielskim, z zasuwaną żaluzją – fiołki środków uspokajających i wziął kolejną dawkę – dwie kapsułki. Ewidentnie te wzięte z rana nie wystarczały. W końcu ważył odrobinę więcej od średniej.

Przy biurku stał obity aksamitem fotel. Opadł w niego, dysząc lekko. Pomyśleć, że Maud powiedziała to przy chłopcach! Jaki jeszcze jad wsączyła do ich niewinnych uszu? Nawet przyznając, że była... podenerwowana... to musiała akurat dzisiaj!

Za dużo. Przestał się silić na myślenie. A ciało natychmiast przypomniało, że przy stole trochę skłamał. Miał apetyt, i to jaki. W brzuchu mu burczało.

Co tu zrobić? Nie mógł zadzwonić do kuchni, skoro Christy słyszała, jak mówi, że nie jest głodny, a poza tym pewnie teraz pomaga przy Corneliusie...

O właśnie. Cornelius. Zbiór cukierków, jaki mu skonfiskował, tych, co wywołały ostatni atak. Jeden czekoladowy baton złagodzi przynajmniej pierwszy głód. Może, jak przyjdzie doktor Halpern, Maud się uspokoi, albo zamknie się u siebie, i będzie można zjeść w końcu obiad, udając, że wszystko jest jak trzeba.

Łapczywie wgryzł się w nie najświeższą czekoladę.

Kręci się w głowie?

Powietrza!

Okno!

Pięć i pół metra do wypolerowanych kamiennych płyt tarasu.

\* \* \*

– Mówił, że nigdy nie je słodczy – mruknął doktor Halpern, a w głowie kłębiły mu się wizje pozwów o błąd w sztuce. – Ostrzegałem przed serem, też mówił, że nie tyka... Coś wspominał na ten temat?

Maud, ściskając w zbieleńszych palcach przemoczoną łzami chusteczkę, wyjąkała:

– Tak, mówił, że pan o to prosił. Myślał, że to przez jego... hmm... nadwagę...

No to dobrze. Dzięki Bogu. Doktor wstał.

– Trzeba by go chyba zanieść do środka. Jest ktoś w domu?

– Tylko pokojówki i kucharka.

– Będą musiały wystarczyć.

## WYBUCHOWE KONSEKWENCJE

– Udało nam się to skopiować – powiedział zmęczonym tonem kubański chemik. Prace były bardzo długie i wyczerpujące. Ale się udało. – O, proszę. Dokładna replika, co do ostatniego łańcucha. Dużo nie uzyskaliśmy, nie mamy sprzętu, żeby wytwarzać gazy paralizująco-drgawkowe. Więc proszę to należycie wykorzystać.

– Dziękuję. Tak będzie.

\* \* \*

*Piętnaście minut po wylocie z Mexico City do Tokio pasażer boeinga 747 zaczął krzyczeć, że atakują go rozżarzone mrówki. Udało mu się otworzyć drzwi ewakuacyjne na wysokości siedmiu tysięcy metrów. Był przed startem w toalecie i pił wodę z kranu.*

*Była tam przecież tabliczka „WODA ZDATNA DO PICIA”.*

\* \* \*

– A co się mamy, kurwa, przejmować? – powiedział były żołnierz. – W końcu to Amerykanka, nie? Wiesz chyba, co ci skurwiele zrobili w Noshri!

\* \* \*

*Znaleźli ją o brzasku. Według kryminologów została zgwałcona przez co najmniej trzech mężczyzn, niewykluczone, że nawet do dwunastu. Nie udało im się określić, czy to nastąpiło przed uduszeniem, czy po.*

*Ciało znaleziono dopiero po trzech dniach. Ciemna skóra nie rzuciła się w oczy w zaroślach.*

\* \* \*

Auto wjechało na stację benzynową w Tucson. Wsiadło dwóch czarnych mężczyzn, poszli do toalety. Ale gdy dotarli do drzwi, zaraz puścili się biegiem.

Stacja płonęła przez dwie godziny.

Dynamit.

\* \* \*

*Tak samo w Peorii, Milwaukee, Filadelfii, San Bernardino, Jacksonville, Albany, Evanston, Dallas i Baton Rouge.*

*Pierwszego dnia.*

\* \* \*

Bezkolizyjne skrzyżowanie w budowie, koło Huntsville, Alabama. Beton właśnie zaczynał się wiązać, gdy go trafiono. Okazało się, że taniej jest wyburzyć niż podejmować próbę naprawy.

\* \* \*

*Także w ośmiu innych miejscach, gdzie przypadkiem dotarły drogi, niczym innym się niewyróżniających.*

\* \* \*

W wielkiej papierni w Georgii sabotażysta musiał być chemikiem. Podmienił beczkę regularnego kleju na jakiś katalizator. Ogromne kłęby żrącego dymu zniszczyły całą fabrykę. Anonimowe telefony do miejscowej stacji telewizyjnej poinformowały, że chodzi o ochronę drzew.

Tego samego dnia, w północnej Kalifornii, na przeznaczonych przez gubernatora do wycięcia sekwojach, około dwustu z ostatnich sześciuset

w całym stanie, pojawiły się tabliczki. Głosiły: ZA KAŻDE ZABITE DRZEWO ZGINIE JEDEN Z WAS.

Obietnicę zrealizowano przy użyciu pistoletów maszynowych „Schmeisser”. Oficjalny wynik wyniósł osiemnastu ludzi za siedemnaście drzew.

Może być.

\* \* \*

*W Little Rock, pani Mercy Cable, która, wychodząc od lekarza z chorym synem, zastała na swoim samochodzie wymalowaną czaszkę z pieszczelami, zginęła, choć protestowała, że nie zdążyła tego zmyć.*

*Była jednak czarna. Po linczu banda udała się na obiad.*

\* \* \*

Jednakże najbardziej pomysłowy zamach przypisano później pewnemu Latynosowi pracującemu w kalifornijskiej Stanowej Komisji Edukacji. (Policja zapukała do jego drzwi, lecz okazało się, że on już tam nie mieszka. Profilaktycznie wyemigrował przez Meksyk do Urugwaju). Wykorzystał skomputeryzowany rejestr uczniów szkół publicznych, aby zorganizować wysyłkę do nich dosłownie tysięcy identycznych kopert. Nigdy nie dowiedziano się, ile ich faktycznie było – wprawdzie wszystkie miały stempel z 1 lipca, ale poczta działała tak podle, że niektóre doszły nawet po tygodniu – a wtedy rodzice byli już poinformowani, że mają chronić dzieci przed komunistyczną propagandą i zniszczyć kopertę zanim adresat ją otworzy. Oceniano jednak, że do adresatów dotarło około pięćdziesięciu tysięcy sztuk.

Na każdej kopercie był napis: BEZPŁATNY UPOMINEK Z OKAZJI DNIA NIEPODLEGŁOŚCI, DZIĘKI KLUBOWI „ZOSTAŃ LEPSZYM AMERYKANINEM”. W środku znajdowała się ładna, stylizowana na miedzioryt grafika, przedstawiająca wysokiego mężczyznę za stołem,

w towarzystwie kilku innych, rozdającego kawałki materiału grupce prawie nagich Indian obojga płci.

Pod spodem był podpis: „Pierwsza ilustracja z serii upamiętniającej tradycyjne amerykańskie wartości. Gubernator Massachusetts rozdaje Indianom koce zakazane ospą”.

## WY, NA ULICY, MORDA W KUBEŁ

Wokół Zatoki sytuacja wyglądała nieciekawie – odbywała się ogromna akcja polowania na uchylających się od służby. Każdy, kto był na ulicy (choć, kto by tam chciał być na ulicy, kiedy wiatr wieje od czopującej Zatokę szerokiej na całe kilometry wyspy śmieci?), do tego młody, albo chociaż wyglądający na młodego, mógł być znieścacka zawleczony do radiowozu i odstawiony na rozmiękczenie do celi, póki nie przedstawił świadectwa odbycia służby albo zaświadczenia o niezdolności. Wszyscy chodzili, pocili się, żalowali, że nie uciekli do Kanady albo do Meksyku, zanim ten świrnięty Latynos nie zbombardował San Diego balonami zapalającymi. Bo po tym kontrola na granicy zrobiła się ściślej niż dupa khatowego ćpuna.

Pewnie to ma coś wspólnego z Hondurasem, domyślali się, choć nie było stamtąd zbyt wielu informacji, odkąd Tupasowie zajęli Tegucigalpę i wygonili legalny rząd do San Pedro Sula. Pentagon wykonywał uniki, by nie mierzyć się z sytuacją.

Problem rozwiązał się na trochę, kiedy Hugh i Carl, z kumplami – dokładniej, kumplami Kitty – wdali się którejs nocy w bójkę z dwoma byłymi marines, pobili ich i zdobyli dwa świadectwa odbycia służby. Gość, na którego wciąż mówili „Ossie”, choć dawno doszli, że nie jest prawdziwym Austinem Trainem, znał jedno miejsce, gdzie można było je skopiować i poprzerać. Więc teraz wszyscy mieli papiery zaświadczone, że swoje odsłużyli – wystarczające przynajmniej na

miejscowe psy. Testowanie ich na stanowej granicy byłoby jednak ryzykowne, i tylko dlatego nie udali się w głąb łądu.

Eks-Train nie wymienił swojego prawdziwego imienia, ale zwierzył się im, że rozważa rezygnację z pseudonimu. Zdegustowany był swoim dawnym idolem. Dlaczego, do cholery, pytał ciągle, ten sukinsyn nie wylezie z ukrycia i nie obejmie dowodzenia siłami rewolucyjnymi, które tylko czekają na pojawienie się wodza i scentralizowanie? Pytanie było nie od rzeczy. Tego lata ferment był w całym kraju. Ludzie od czasu do czasu wyjeżdżali do innych stanów i po powrocie wszyscy opowiadali to samo, choć regularne media nie zająknęły się ani słowem. Nie dało się przejść dowolną ulicą dowolnego większego miasta, nie widząc czaszek z pieszczelami. Ludzie sami zaczęli malować je na swoich drzwiach; sprzedawano też takie naklejane tatuaże, podobne do tego, który miał Ossie, kiedy poznał się z Hugh i Carlem, oraz podświetlane plastikowe modele do wieszania na ogrodzeniu. Burzyły się wszystkie rolnicze rejony, bo jakiś szkodnik zżerał im wszystkie zbiory – i to było coś nowego, normalnie wiejska ludność ślepo popierała władzę. Co więcej, podsumowywane w podziemnych gazetkach akty sabotażu zdarzały się teraz w dosłownie wszystkich stanach – od cukru w baku po kolczatki na autostradzie.

I bomby – choć, ściśle rzecz biorąc, nie należały do trainistycznej tradycji.

Carl miał jednak na słuszne pytanie Ossiego równie słuszną odpowiedź. Brzmiała aż za prawdopodobnie, by być prawdziwą.

– Ja tam myślę, że gościa zlikwidowali. Za dużo problemów tłustym misiom narobił. Popatrzcie, co się stało z Lucasem Quarreyem i Gerrym Thorne'em.

\* \* \*

Mimo wszystko nie było aż tak źle, żeby nie dało się zrobić imprezy. Czwartego lipca było w sam raz. Rozkręciła się jeszcze przed północą. Osiemnaście osób na kwadracie, kupa szumu. Wszyscy dobrze objedzeni

khatem albo upaleni. Było też wino, ale prawie nikt go nie tykał. Winogrona pryskają czymś, od czego umierają zbierający. Kitty się nie pokazała, ale co tam? Są inne laski. Hugh na razie zaliczył dwie nowe, kumpele Tabsa. Od razu poczuł się lepiej. Już trochę się martwił, że przez tyle czasu tylko z Carlem. Na szczęście Tab skołował gdzieś lewodopę i zadziałała.

W domu był telefon. Rachunku dawno nikt nie płacił, więc można było tylko odbierać, zresztą niedługo mieli go w ogóle zabrać. Dziś jednak zadzwonił i nie przestawał dzwonić, póki Hugh go nie odebrał, żeby pogonić dzwoniącego w cholerę. Posłuchał chwilę i zaczął wołać o ciszę.

– Ej, chodzi o Kitty! – zawołał.

Paru znajomych znajomych zapytało, kto to Kitty. Uciszył ich.

– Poszła na kampus, na ten ich pokaz fajerwerków.

Ktoś ściszył odtwarzacz, aż muzyka zabrzmiała jakby też dobiegała z telefonu, z dużej odległości.

– No i co?

– Zhaltowali ją. I nie tylko. Wpierdziel.

– Kurwa mać! – Carl podskoczył ku niemu jak żaba. – Tylko ją czy wszystkich? I kto dzwoni?

– Chuck. Mówi, że całą kupę. Ktoś się wkurwił, bo zaczęli ostrzeliwać tymi fajerwerkami stacje benzynowe...

– Stary, czemu, kurna, myśmy na to nie wpadli? – Tab plasnął się otwartą dłonią w czoło, plask.

– Ale czemu łapali ludzi na kampusie? – zapytała dziewczyna, jedna z tych, które bzyknęły się wcześniej z Hugh. Cindy czy jakoś tak. Studentka. Czarna.

– Na ten wielki maszt pod rektoratem ktoś wciągnął flagę z czachą...

– Ooo, suuuper! – Cindy padła na plecy ze śmiechu, szeroko rozchylając koszulę, pod którą nic więcej nie miała, żeby pokazać swój, jak go nazywała, tatuaż-negatyw: czaszkę, której oczyma były sutki, obnażone zęby miała w talii, a piszczele krzyżowały się na wzgórkach łonowym, wygolonym do zera. Był to drobny zabieg kosmetyczny, podobno odwracalny – ciągle wszystkim powtarzała, że to da się cofnąć.



– No, super – mruknął Hugh. – Tylko że ich spałowali i wsadzili do suki. Odłożył słuchawkę, zapadła cisza. Nagle Ossie powiedział:  
– Trzeba się zemścić! Trzeba!  
– Bez sensu tak walić na ślepo i uciekać! – warknął Carl. – Trzeba dorwać tego, kto wydaje rozkazy!  
– A kto wydaje rozkazy, może ty mi powiesz? – rzucił się na niego Ossie.  
– Kasa! No, kurna, kto!  
– Właśnie. A my mamy przełożenie na gościa z kasą, nie zauważyłeś? Dużo o tym ostatnio myślałem. Hugh, ile kasy ma według ciebie Roland Bamberley?

Niektórzy słuchający wrócili do tego, co robili wcześniej, głównie pieprzenia się, paru jednak słuchało dalej, bo czuło, że chodzi o coś grubego.

– W chuj ma kasy! Trzydzieści baniek? Pięćdziesiąt? Nie mam pojęcia.  
– A spotkałeś go kiedyś? – indagował Ossie.  
– Raz tylko. U Jacka Bamberleya.  
– A ten jego syn... jak on się nazywa?  
– Aaa, Hector! – Hugh zachichotał. W głowie kłębiły mu się maryśka, khat, zaczynała też chyba działać lewodopa; miał wrażenie, że biją się w mózgu, przez co leci dziesięć centymetrów nad chodnikiem. – Jezus, co za absurdalny koleś! Stary go trzyma jak pod szklanym kloszem. Wiecie, że nawet nie wolno mu było z nami jeść? Specjalne jedzenie, wszystko sprawdza udomowiony chemik. Jeździ wszędzie z ochroniarzem, całą dobę, i to uzbrojonym. Kurna, nawet jego twarzy za bardzo nie widziałem. Na zewnątrz kazali mu cały czas chodzić w masce! Nawet w Kolorado!  
– A ile on ma lat? Piętnaście?  
– Chyba tak. Prawie szesnaście, raczej. – Przeszła mu już głupawka i powoli zaczynał czuć zaintrygowanie. – A co ci chodzi po głowie?  
– Zaraz. Już za chwileczkę, już za momencik. Czytałeś, że został przedstawicielem na cały stan tych japońskich filtrów do wody?  
– No, tak. Mają taki w jednym lokalu, gdzie czasem ходzimy na śniadanie. Reklamują to ile wlezie. Plakat na ścianie i w ogóle.

– A nie myślisz czasem, że Hector powinien być chroniony trochę mniej, a my wszyscy trochę bardziej? – Ossie przygarbił się i pochylił ku niemu. – Może powinniśmy się z nim zaprzyjaźnić i... hmm... zaprosić go, żeby się dowiedział, jak żyje reszta ludzkości? – Objął gestem zadymiony pokój, sugerując nim całe brudne miasto.

Nastąpiła pełna dezorientacji cisza. Wreszcie Carl spytał:

– Znaczy, porwać go chcesz czy jak? Dla okupu?

– Ja pier... – zaczął Hugh, ale Ossie mu przerwał.

– Stary, ale nie dla kasy. Nie za kasę. Tak sobie myślę... – pomacał ręką w powietrzu, jakby wyciągał los – ...powiedzmy, dwadzieścia tysięcy filtrów do wody z darmową instalacją, jeśli chce kiedykolwiek zobaczyć dzieciaka na oczy.

– Zajebiste! – wykrzyknął Tab. Przyłączył się do słuchających. – O, to ma sens. Sio! – To do Cindy, która zaczęła mu grzebać w kroku.

Do dyskusji w jednej chwili przyłączyli się wszyscy, pomysły padały po dziesięć na minutę, w większości kompletnie bezsensowne.

Tymczasem Hugh siadł pod ścianą i myślał. Jezus Maria, to jest szaleństwo. Ale może się udać. Być może, może.

Akcja byłaby też zgodna z duchem ogólnokrajowej aktywności – wzbudziłaby ogromną aprobatę, zwłaszcza w miastach – i o wiele bliższa pierwotnym trainistycznym ideałom niż podkładanie bomb.

\* \* \*

Gdyby nie Ossie, akcja nigdy nie wyszłaby poza etap luźnego gadania. Hugh sam nie wiedział, jak do tego doszło – gdy dotarło do niego, że odgrywa w planie kluczową rolę, ujarzał się i pozostał w tym stanie aż do dnia akcji. Natomiast Ossie spędził w podziemiu piętnaście lat, od czasu do czasu wpadał, ale nigdy nie siedział dłużej, bo miał fantastyczny, graniczący z paranoją, instynkt samozachowawczy. A po drugie, miał kontakty i nie wahał się ich użyć.

Roland Bamberley wiele lat temu rozwiódł się z matką Hectora i odtąd utrzymywał łańcuszek szacownych kochanek – nie żenił się po raz drugi,

bo chciał mieć całkowitą kontrolę nad swoim majątkiem. Mieszkali z synem w Rezydencji Twierdza (jakżeby inaczej?) koło Point Reyes, zbudowanej wokół sztucznego jeziora z czystą, słodką wodą, otoczonego masą wysokich drzew, aby poprawić powietrze. Tam oczywiście nie było szans na powodzenie akcji. Nie przy patrolujących cały teren komandosach-strzelcach wyborowych.

Hector od czasu do czasu wyłaniał się jednak na zewnątrz, choć zawsze w towarzystwie uzbrojonego ochroniarza. Jego kolega z tej samej prywatnej szkoły średniej mieszkał na wzgórzu ponad Sausalito, które w ostatnie pięć lat zrobiło się bardzo prestiżową lokalizacją – rośliny wciąż bujnie tu rosły, a dzięki jakimś zawirowaniom mikroklimatu powietrze także było lepsze od średniej. Ossie miał znajomego w miejscowej stacji telewizyjnej. Gość był uprzejmy ustalić, że Hector, jeśli nie wyjeżdża na letnie wakacje, odwiedza tego kolegę raz w tygodniu, z rana, żeby pograć w tenisa (oczywiście w hali), a potem zostaje na obiad.

Rozpoznali więc okolicę, podczas gdy Ossie popracował z paroma innymi swoimi kontaktami, opracowali trasę powrotną do Berkeley, od północy, omijającą główne mosty, i zrobili kilka prób na sucho, zgodnych we wszystkich szczegółach oprócz jednego – do prawdziwej akcji mieli ukraść samochód i później go porzucić.

\* \* \*

Całe szczęście, że Hugh żył jak we śnie. Gdyby uwierzył, że to się dzieje naprawdę, zlałby się w spodnie ze strachu. A tak był dość spokojny.

Ledwo jedną przecznicę od domu kumpla Hectora, osłoniętego od drogi gęstymi drzewami i krzewami, stał sobie znak STOP. Ciemnoniebieski klimatyzowany cadillac posłusznie się pod nim zatrzymał. Pojawił się Hugh, uśmiechnął się, zamachał, zastukał w szybę auta. Miał na sobie swoje, zresztą od niedawna, najlepsze ubranie, był ogolony i ogólnie odstawiony.

– Czekał, czy ty nie jesteś Hector? Hector Bamberley?! – zawołał.

Ochroniarz za kierownicą odwrócił się, sięgając pod marynarkę po broń. Oczywiście w aucie nie mieli masek – cadillaki miały najlepsze możliwe filtry – Hector wyglądał więc na autentycznie zdziwionego i jakby trochę spłoszonego.

– Jestem Hugh! Hugh Pettingill! Od twojego wuja Jacka!

Coś mu zaświtało. Słowo do ochroniarza, który nachmurzył się, a potem także przypomniał sobie ich spotkanie. Rozluźnił się i spał znowu, gdy Hector dotknął przycisku opuszczającego szybę.

– Ej, najpierw załóż maskę, zanim...

Niestety, już było za późno. Hugh wrzucił do środka granat usypiający. Wylądował idealnie pomiędzy przednimi siedzeniami. Odwrócił się i uciekł z drogi.

W granacie był najnowszy amerykański wojskowy środek przeciw zamieszkom. Prosto z Hondurasu. Ossie miał znajomego, który miał znajomego. A popyt na broń był zawsze.

Odczekali przepisowe trzy minuty. Noga ochroniarza zsunęła się oczywiście z hamulca, ale samochód przeturlał się tylko kawałek i delikatnie oparł o murek po przeciwnej stronie drogi. Na ryzyko, że Hector zapamięta Hugh, byli przygotowani. W dwóch przypadkach na trzy gaz PL powodował u ofiar krótkotrwałą amnezję, trochę jak uderzenie w głowę. Najbardziej prawdopodobne było, że obudzi się i stwierdzi, że nic sobie nie przypomina.

Wtedy zza krzaków wyszła reszta, Ossie podjechał kradzionym kombiakiem, wrzucili Hectora na tył, przykryli kocem i w długą.

\* \* \*

– Trochę zielony – mruknął Hugh, gdy wrzucali go do pokoju, a właściwie większej pakamery, którą przygotowali sobie u Kitty.

Od czwartego lipca i tamtej imprezy nie wracała, nikt nie miał pojęcia, gdzie jest, pewne było tylko, że nie w więzieniu – byli jednak przekonani, że gdyby wiedziała, co robią, zgodziłaby się na to.

Była to ciasna graciarnia bez okien, choć z dobrą wentylacją – sprawdzili to – o betonowych ścianach, z solidnymi, zamykanymi na klucz drzwiami i działającym zlewem w rogu. Wstawili do niej wersalkę, nocnik i zapas papieru, oraz trochę książek i pism, żeby się nie nudził. Nie spodoba mu się tutaj. Ale i tak będzie miał niewiele gorzej niż niektórzy ludzie przez całe życie.

– Jakiś chory czy co? – powtórzył Hugh, tym razem głośniej.

– Nic dziwnego. – Ossie stęknął, wciągając jego nogi na łóżko. – Zawsze tak jest, jak się człowiek budzi po PL-u. Ale mamy zapewnienie Pentagonu, że nie jest groźny dla życia. – Uśmiechnął się bez humoru. – Dobra, to ja idę, wysłę żądanie okupu – dodał i wyszedł.

\* \* \*

Gdy Hector wynurzył się mozolnie z otchłani śpiączki, zastał Hugh w kucki pod ścianą, otoczonego karaluchami i „karaluchami” – skrętami z khatem. Można go było żuć, parzyć, palić, nawet i w dupę wsadzać, choć tego akurat Hugh nie próbował. Z innych metod najbardziej odpowiadało mu palenie. Pośpiesznie założył maskę.

Hector wymruczał:

– Coo...?

Spróbował usiąść. Padł z powrotem. Spróbował znów. Był duży jak na swój wiek, prawie wzrostu Hugh, i bardzo sprawny fizycznie. Zresztą nic dziwnego, całe życie był jak pod kloszem.

Omal się nie zrzygał – nocnik zresztą był pod ręką. Udało mu się jednak powstrzymać. Za trzecim razem utrzymał pozycję siedzącą i zogniskował wzrok. Był bardzo blady, a jego głos brzmiał żałośnie, gdy pytał:

– Czy ja cię znam? Jakbym już cię...?

Nie dokończył, głos mu się załamał.

Hugh nadal patrzył wprost na niego.

– Ja naprawdę cię kojarzę. – Przyłożył dłonie do skroni, zakotłosał się. – Ty jesteś... Nie, jednak chyba nie.

Zapadła cisza. Najgorsze skutki powoli mu przechodziły; był w stanie opuścić dłonie, na policzki wróciło trochę koloru.

– Gdzie ja jestem? – zapytał.

– Tutaj.

– Co ze mną zrobicie?

– Zaopiekujemy się tobą – burknął Hugh. – Bardzo porządna opieka. I bardzo droga. Zobacz!

Sięgnął pod łóżko, omal nie uderzając go w nogi, i wyciągnął plastikową tacę, na której ułożyli jedzenie: kielbasę, sałatę, chleb, owoce, ser i szklanekę wody. Nie było akurat zakazu picia wody z kranu, więc zgodzili się, że potraktują to dosłownie.

– Wszystko z Puritana, rozumiesz?

– Nie rozumiem!

– To bardzo proste. – Hugh westchnął. – Po pierwsze, nie będziesz głodować. Po drugie, nie będziemy cię bić ani nic takiego.

– Ale... – Hector wreszcie się opanował. Wśród przedmiotów, których uczono go w ekskluzywnej szkole, była między innymi samokontrola. – No dobrze, nie przywieźliście mnie tu, żeby mnie głodzić i bić. A po co?

– Dlatego że twój ojciec odziedziczył majątek, którego twój dziadek dorobił się na niszczeniu Ziemi. I sam też to kontynuuje. Więc będziemy cię tu trzymać, żywić – najlepszym żarciem z Puritana – póki twój tatulek nie zgodzi się zainstalować ludziom za darmo dwudziestu tysięcy tych swoich filtrów do wody.

Hector jednak właściwie go nie słuchał.

– Wiem, kim jesteś! – powiedział nagle. – Pokłóciłeś się z wujkiem Jackiem i wyjechałeś!

– Nie rozumiesz, co do ciebie mówię? – Hugh pozbierał się i wstał. Gównu warta ta maska!

– Eee... chyba tak. Tak. – Hector był podenerwowany. Nic dziwnego. – Słuchaj, a jak... ten... jak bym do toalety potrzebował?

Hugh pokazał palcem.

– Co? Nawet do łazienki mnie nie wypuścicie?

– Nie. Podmyć się możesz przy zlewie. Dostaniesz ręcznik. – Skrzywił usta, choć nie było tego widać pod maską. – Ja tam nie wiem, czemu ci tak zależy na tej łazience. My tu nie mamy filtra do wody twojego taty. To jest normalna woda z kranu. Pomyśl o tym. Będziesz mieć bardzo dużo czasu na myślenie.

Wyciągnął rękę, zastukał kostkami w drzwi, dwa razy. Ossie opracował całą procedurę: nikt nie wchodzi do środka bez maski, kiedy się wchodzi, druga osoba musi czekać za drzwiami, drzwi nie otwieramy, jeśli nie usłyszymy umówionego pukania, a liczbę puknięć trzeba za każdym razem zmieniać.

Tab błyskawicznie mu otworzył. W tle zobaczył Carla, blokującego drogę ucieczki. Obaj byli w maskach.

Hugh wyszedł, drzwi zostały z hukiem zamknięte.

– Jak tam? Spoko? – zapytał Carl.

– Nie, kurna. Poznał mnie. – Hugh z niesmakiem odrzucił maskę. – Zresztą pewnie musiał. Ludzie ciągle chodzą w maskach, uczą się poznawać innych po oczach i po czole. Trzeba mi było wiedzieć, że jest takie ryzyko. Ale co tam. Nieważne. – Własne słowa dodały mu odwagi. – Ja nie mogę, jak mnie suszy po tym khacie. Macie jakąś colę czy coś?

– Masz. – Chuck rzucił mu jedną z napoczętego pudła w rogu. – Słuchaj, a zajrzał do tych książek?

– Kurna, oczywiście, że nie. A bo co?

Chuck wyszczerzył zęby.

– Dołożyłem do nich kupę „świerszczyków”. Może mu się przydać jak tam będzie tak sam siedział.

## CZY PAN ZAMAWIAŁ TRZĘSIENIE?

– Co się dzieje?

Łokciem w zebro. Philip Mason ofuknął żonę. Było ciemno. I duszno. Trzeba było pozamykać okna ze względu na dym od pożarów na rzece.

I wtedy do niego dotarło: znów, cholera, trzęsienie ziemi.

Usiadł.

– Silne? – mruknął, przecierając oczy wierzchem dłoni.

– Nie, ale Harold płacze. – Denise wstawała z łóżka, wymacując stopami kapcie.

Krótki rumor, coś zagrzechotało na jej stoliku nocnym, pewnie butelki perfum. Jęk. Nie – wrzask ile sił w płucach.

– Dobra, ja też pójdę. – Philip westchnął i opuścił nogi na podłogę.

## TO JESZCZE NIE KONIEC ŚWIATA, CO?

Zwykle Moses Greenbriar, wchodząc do firmy, szcudrze rzucał na prawo i lewo powitaniem. Dzisiaj tylko powarkiwał. Był spocony jak szcudr – na zewnątrz było paskudnie gorąco i wilgotno – a do tego spóźnił się ponad godzinę. Wpadł do swojego gabinetu i trzasnął drzwiami.

– Doktor Grey czeka na pana od ponad pół godziny – rzuciła nerwowo przez interkom sekretarka.

– Cicho bądź! Wiem!

Z wysiłkiem odkręcił małą fiolkę z kapsułkami, przełknął jedną i po paru minutach poczuł się trochę lepiej. Wciąż jednak było tu potwornie gorąco i wilgotno. Zadzwoił po sekretarkę.

– Co jest, cholera, z tą klimą?

– Eee... Nie wyrabia się, proszę pana. Już jest ustawiona na maksa. Obiecali, że w przyszłym tygodniu ktoś przyjdzie i poprawi.

– W przyszłym tygodniu?!

– Tak. Jeszcze nie nadrobili zaległości z czasów epidemii jelitowej.

– Jasna cholera! – Greenbriar otarł twarz i zrzucił marynarkę. Co z tego, że będzie widać przepoconą koszulę? W taki upał wszyscy tak wyglądają. – No dobra, dawaj tego Greya.

Zanim w drzwiach stanął Grey, udało mu się za pomocą pigułki odzyskać prawie normalną serdeczność.



– Tom, siadaj, proszę. Przepraszam, że kazałem ci czekać, znowu był problem z cholernymi trainistami.

– Nie słyszałem, żeby znowu miała być demonstracja? – zdziwił się Grey, zakładając nogę na nogę.

Greenbriar spojrział na niego z niechęcią; gość prawie nie miał zmarszczek, nie mówiąc już o plamach potu.

– Nie demonstracja – odparł. – Takie nieszkodliwe numery już chyba sobie darowali. Zapewne słyszałeś, że porwali Hectora Bamberleya?

Grey skinął głową.

– I pana problem miał coś...?

– No nie, kurna. – Grey chwycił cygaro i agresywnie odgryzł jego koniec.  
– Chociaż... prawda, to spowodowało masę problemów: Jack Bamberley przecież nie żyje, Maud jest na środkach uspokajających, spodziewaliśmy się, że niedługo Roland przejmie po nim schedę i pomoże organizacji zachować równowagę, powstrzymać ten dramatyczny spadek notowań... Nie, mnie się przydarzyło coś innego: policja dostała telefon, że jakiś świr chce wysadzić tunel Queens Midtown, wjechać do niego z bombą w aucie. Siebie też by wysadził. Zatrzymywali wszystkich i przeszukiwali. Na pewno znowu jakiś durny kawał!

– Tak, ale takie groźby to też świetna metoda sabotażu – wtrącił Grey z klinicznym zainteresowaniem. – Bardzo to przypomina niemieckie pociski V-1. Ładunek miały za mały, żeby narobić większych szkód, ale wszyscy, którzy je usłyszeli, chowali się od razu po schronach – nieźle to zaburzało produkcję amunicji i usługi publiczne.

Greenbriar wytrzeszczył oczy. Po chwili powiedział:

– Może i tak, ale upierd jest jak cholera... Słuchaj, powinienem zacząć od tego, że się cieszę, że wróciłeś do zdrowia. Bo byłeś niedysponowany, prawda?

– Nic poważnego – odrzekł Grey.

Czuło się jednak rozżalenie. Nie pił, nie palił, żył w celibacie, dbał o zrównoważoną dietę, podświadomie zakładał więc, że zarazki chorób poznają, że jest twardym orzechem do zgryzienia, i go sobie darują.

A tymczasem zapadł na brucelozę – on, Tom Grey, który nie tykał niepasteryzowanego mleka i zawsze jadł margarynę zamiast masła!

Oczywiście już był zdrowy, istniały znakomite i szybko działające specyfiki. Irytowało go jednak, że stracił trzy cenne tygodnie, które mógł poświęcić swojemu projektowi. W Angel City mógł skupiać się na dowolnych aspektach przedsięwzięcia, które uznawał za najważniejsze. Tutaj inaczej: ponieważ była to jego podstawowa praca, a nie dodatkowe zajęcie w czasie prywatnym, musiał dostosowywać się do priorytetów pracodawców.

– Myślę, że to właśnie przez tragiczną śmierć Jacoba chciałeś się ze mną widzieć – powiedział.

Greenbriar przyjrzał się z klinicznym skupieniem koniuszkowi cygara.

– No cóż... tak. Nie ma co kryć: to jest ostatni z szeregu ciosów, które na nas spadły. Nawet tak bogata organizacja jak nasz Trust ma pewne granice wytrzymałości. Najpierw zajścia w Afryce, potem w Hondurasie, potem zamieszki na farmie hydroponicznej, teraz to – cała opinia publiczna zwróciła się przeciwko nam, zaufanie do naszych akcji spadło praktycznie do zera. Desperacko potrzebujemy czegoś bardzo, bardzo spektakularnego, co by poprawiło nasz wizerunek. Na ostatnim posiedzeniu zarządu podniosłem kwestię twojego, hmm... programu prognostycznego... i wszyscy stwierdzili, że to ma duży potencjał. Jest jakaś szansa, żeby w najbliższej przyszłości wykorzystać jakieś wyniki? Dla dobra publicznego?

Grey zawahał się. Trochę się tego obawiał, ale...

– Szczerze mówiąc, kojarzy mi się to z jedną rzeczą, którą powiedział parę tygodni temu Anderson. Ten młody programista, którego dałeś mi do pomocy, pamiętasz? Zdaje się, że to miał być tylko komplement, ale w czasie, kiedy leżałem w łóżku, dużo się nad tym zastanawiałem. W skrócie, on stwierdził, że potrzebujemy nie tyle analiz ekstrapolacyjnych, które pozwolą nam uniknąć nowych błędów, ile szybkich, awaryjnych rozwiązań już istniejących problemów. Choć oczywiście on tego tak nie sformułował.

– A jak to sformułował?

– Dokładnie, to powiedział tak – zaczął Grey.

Greenbriar nie po raz pierwszy stwierdził, że ten człowiek jest całkowicie pozbawiony poczucia humoru. Zadano mu pytanie, to na nie szczegółowo odpowiada.

– Powiedział: „Zamiast szukać sposobu na uniknięcie coraz większych katastrof, może lepiej poszukać wyjścia z obecnej katastrofy? Bo sytuacja robi się taka, że kolejnych katastrof możemy nie dożyć!”. – I dodał, jakby się tłumaczył: – Mówiłem ci, w pierwszej chwili myślałem, że żartuje.

– Żartuje czy nie, myślisz, że miał rację?

– No... Wiesz, niektórzy mnie oskarżali, że siedzę w wieży z kości słoniowej, ale ostatnio śledzę wiadomości na bieżąco, chociaż gustuję raczej w cichym, spokojnym życiu. Mimo wszystko przekonuje mnie to. Społeczeństwo dobrze odebrałoby coś takiego, co proponuje Anderson. Drażni mnie, że dla naszych politycznych przywódców sprawy ochrony środowiska to była przejściowa moda, że teraz, jak się wspomina o tym w kampanii, brzmi to niemodnie i nudzi odbiorców. Mój wniosek jest inny: społeczeństwo sięga po ekstremalne środki, bo wygląda na to, że politycy tracą zainteresowanie tematem. Zauważyłeś, ile jest ostatnio tych aktów sabotażu?

– Kurde, oczywiście, że zauważyłem! – burknął Greenbriar.

Portfel akcji Trustu poleciał na łeb na szyję – skupiały się w branżach przemysłu o dużym potencjale wzrostowym.

– Jedną rzecz trzeba tym sabotażystom przyznać, nie? Atakują tylko branże zanieczyszczające środowisko. Ropa, tworzywa sztuczne, szkło, beton, generalnie produkty, które się nie rozkładają. No i oczywiście papier, który zużywa lasy szybciej, niż się odnawiają.

– Miałem wrażenie, że stoisz po stronie postępu – mruknął Greenbriar.  
– A dzisiaj brzmisz, jakbyś usprawiedliwiał trainistów.

– Ale skąd. – Wąski uśmiech. – Oczywiście prace Traina musiałem przeczytać, żeby uwzględnić w danych wejściowych do programu, podobnie jak wszystkich innych myślicieli, którzy mieli duży wpływ na kształt dzisiejszego świata – Lenina, Gandhiego, Mao i tak dalej. Ale do czego zmierzam: przez setki lat postęp był nieplanowany, więc skutki

spokojnie można określić jako chaotyczne. Niedoinformowani ludzie, wiedzący tylko, że ich życie może zostać bez uprzedzenia zrewolucjonizowane, czują się zagrożeni. Przestają wierzyć władzy. Znakomity przykład to te zdarzenia w twoim zakładzie: niszczy się żywność wartą pół miliona, choć władze zapewniają, że nadaje się do spożycia, a jednocześnie mają świadomość głodu panującego w Azji, Afryce, w Europie nawet, nie mówiąc już – pochylił się ku niemu z zapalem – o zniszczeniach powodowanych przez *jigras* w naszych stanach rolniczych. Organizuje się ogromną kampanię informacyjną, prosi się wszystkich o obserwowanie szkodników i zgłaszanie nowych ognisk. Ale kto to potraktuje poważnie, skoro władza pozwala na spalenie takiej ilości żywności w celach czysto politycznych?

Greenbriar skinął głową. Co więcej, cena steków w jego ulubionej restauracji tylko przez lato podskoczyła z 7,50 do 9,50.

– Podejrzewam – perorował dalej Grey – że zwłaszcza młodzi ludzie z reguły chcą wierzyć w dobre intencje swoich przywódców. Wielu jest na przykład dumnych, że największa organizacja pomocy na świecie jest akurat amerykańska. Ale rząd, zamiast skapitalizować te zasoby zaufania, ciągle je zaprzepaszcza. Zamiast wyrazić przerażenie losem żony twojego przyjaciela Thorne’a, wypierają się jakiegokolwiek odpowiedzialności, nawet samo zagrożenie próbują kwestionować czy dementować. A wracając do tych zamieszek w waszej fabryce, przecież to był potworny błąd taktyczny, to użycie wojskowych laserów! Ich zastosowanie w Hondurasie spowodowało wielką falę oburzenia i trzeba przyznać, że informacji o ich skutkach nie czyta się przyjemnie. Nic dziwnego, że te opisy tak młodych zbulwersowały – na przykład, że ktoś tylko przelotnie trafiony skrajem promienia nagle stwierdza, że ma obciętą i skauteryzowaną nogę czy rękę.

– Zaczynasz mi przypominać Gerry’ego Thorne’a – powiedział powoli Greenbriar. W którymś momencie tej przydługiej perory Grey trafił mu w czuły nerw. – Tylko że on używał oczywiście ostrzejszych słów. Mówił: „Rządzą nami wariaci i trzeba ich powstrzymać!”.

Spojrzał na Greya; chudy mężczyzna kiwnął poważnie głową.

No tak, cholera. Racja. Co będzie, jeśli ktoś nie wymyśli – i to szybko – racjonalnego, naukowego, praktycznego planu wyciągnięcia tego kraju z licznych chorób? Nie oczekujmy tego od słomianego chochoła Prexy'ego i jego gabinetu przeciętniaków, od nich można się spodziewać tylko pobożnych banałów. Całe ich podejście sprowadzało się do zdania: „No, ostatnim razem nie zadziałało, ale przecież, kurna, powinno, więc spróbujemy jeszcze raz!”.

Tymczasem niegdysiejsze wątle poparcie społeczne nieustannie dryfowało ku bardziej ekstremistycznemu skrzydłu trainistów, albo ku radykalnej prawicy, albo i marksistom. Całkiem jakby społeczeństwo wybierało pierwszy zestaw poglądów, jaki się nawinął, aby tylko mówił, żeby coś zrobić, a nie żyć z dnia na dzień, trwoniąc czas.

Greenbriar spojrział na swoje otłuszczone dłonie. Zauważył, że całe lśnią od potu.

– A myślisz, że program da się przystosować do znajdowania... hmm... realnych rozwiązań?

Grey zamyślił się. W końcu powiedział:

– Będę z tobą szczery. Od samego początku projektu działałem przy założeniu, że co się stało, to się stało, i najlepsze, co można zrobić, to uniknąć pogarszania zastanej sytuacji. Oczywiście jest jednak, że te dane, które już zebrałem, można wykorzystać do innych celów, choć konieczne będą dodatkowe, dość czasochłonne prace...

– Ale pozwolisz nam ogłosić, że Trust Bamberleya planuje sfinansować komputerowe analizy, z których być może wynikną nowatorskie wnioski? Obiecuję, że nie zapomnimy tego „być może” w środku. – Greenbriar pocił się bardziej niż zwykle. – Powiem uczciwie, Tom, zdajemy się na ciebie. Sytuacja jest straszna. Kolejny rok będzie jeszcze gorszy, jeśli nie wymyślimy czegoś, co lepiej nastawi do nas społeczeństwo.

– Będę potrzebować dodatkowego budżetu, no i ludzi – powiedział Grey.

– Dostaniesz. Osobiście dopilnuję.

## URAŻONY

– Tak?... Przykro mi to słyszeć, naprawdę. Proszę mu przekazać serdeczne życzenia szybkiego powrotu do zdrowia. Ale prezydent poprosił mnie o nieoficjalne przekazanie pewnej wiadomości, jak najszybciej. Mogę powiedzieć, że bardzo mu na tym zależy. Oczywiście nie wiemy, czy ta pogłoska jest prawdziwa, więc nie chcemy podejmować oficjalnych kroków... Tak, byłbym wdzięczny, gdyby pan to jak najszybciej przekazał panu ambasadorowi. Proszę mu powiedzieć, że próba nominowania Austina Traina do Pokojowej Nagrody Nobla będzie uznana za bardzo poważną i – cytuję teraz samego prezydenta – rozmyślną obrazę Stanów Zjednoczonych.

## REKORDOWA OGLĄDALNOŚĆ W SZCZYCIE

*Petronella Page:* ...i witamy cały świat w nasz nowy dzień emisji, w piątek. Wprowadzamy nową tradycję: w piątki będziemy zajmować się całą planetą! Później przeniesiemy się do Hondurasu, będziemy rozmawiać z żołnierzami na samym froncie, oraz satelitą do Londynu, żeby osobiście usłyszeć wypowiedzi dotyczące zamieszek na tle braków żywności wśród pięciu milionów angielskich bezrobotnych. Na koniec Sztokholm. Bezpośrednia rozmowa z nowo mianowanym sekretarzem Funduszu Ratowania Bałtyku. Dowiemy się, jak idzie ten najnowszy projekt uratowania zagrożonego morza. Najpierw jednak skupimy się na bardzo smutnym wydarzeniu, jakim jest porwanie piętnastoletniego Hectora Bamberleya. Łączymy się ze studium w San Francisco... Halo... Już was widzę! Pan Roland Bamberley! Dzień dobry.

*Bamberley:* Dzień dobry.

*Page:* Każdy, kto ogląda wiadomości, wie, że pana syn zniknął ponad tydzień temu. Wiemy, że otrzymał pan żądanie okupu, bardzo dziwnej natury. Czy są jakieś podejrzenia, kto może być sprawcą?

*Bamberley:* Parę rzeczy od razu było oczywistych. Po pierwsze, jest jasne, że to przestępstwo polityczne. Podczas porwania bandyci użyli granatu usypiającego, a one nie rosną na drzewach, więc wiadomo, że mamy do czynienia z dobrze uzbrojoną grupą dywersyjną. Poza tym żaden zwyczajny porywacz nie zażądałby takiego okupu.

*Page:* Niektórzy twierdzą, że wręcz przeciwnie, że takie granaty da się zdobyć bardzo łatwo i że każdy zdenerwowany ciągłą kiepską jakością wody w Kalifornii mógłby...

*Bamberley:* Bzdury.

*Page:* Tylko tyle ma pan do dodania?

*Bamberley:* Tak.

*Page:* Mamy informację, że wczoraj pana firma otrzymała pierwszą dostawę czterdzieści tysięcy filtrów „Mitsuyama”. Czy zamierza pan...?

*Bamberley:* Nie, absolutnie nie planuję poświęcić części na ten tak zwany okup! Nigdy nie ustąpię wobec szantażu i nie będę współpracować ze zdrajcami. Powiedziałem policji, że to porwanie to sprawa zorganizowanego ruchu wywrotowego, który chce zniesławić Stany Zjednoczone, i że jeśli choć trochę znają się na swojej pracy, powinni ich wszystkich dawno mieć w teczkach, ze wszystkimi szczegółami! Numer buta i jakie alkohole lubią! Nie zamierzam w jakikolwiek sposób współpracować z porywaczami.

*Page:* Czy wypłacenie okupu za syna to dla pana współpraca?

*Bamberley:* Pod koniec lat sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych była potężna kampania obsmarowująca Stany Zjednoczone. Cały świat słyszał, jakie u nas jest piekło na ziemi. Trochę dumy udało się nam odzyskać i nie wolno tego zaprzepaścić. Jeśli ustąpię, nasi wrogowie rzucają się na fakt, że dostarczamy naszym obywatelom niezdrową wodę. Niech pani pomyśli, jaki polityczny kapitał można na tym zbić!

*Page:* Tylko że pan się do tego pośrednio przyznał, organizując import tych filtrów do wody.

*Bamberley:* Bzdura. Jestem biznesmenem. Jeśli jest popyt, staram się go zaspokoić. A na takie filtry jest popyt.

*Page:* Jest popyt. Niektórzy mogliby powiedzieć, że to dowód, że władze nie zapewniają ludziom czystej wody. I że wypłacając ten okup za syna, przyczynia się pan do poprawy sytuacji.

*Bamberley:* „Niektórzy” to wszystko potrafią powiedzieć.

*Page:* Z całym szacunkiem, proszę odpowiedzieć na pytanie.

*Bamberley:* Każdy rozsądny człowiek wie, że są sytuacje, kiedy trzeba mieć dostęp do megaczystej wody – na przykład do rozpuszczania mleka dla niemowląt. Normalnie się wodę przygotowuje. Mając taki filtr, nie trzeba się z tym męczyć. Tyle.

*Page:* Ale przecież pana jedyny syn... Halo? San Francisco... Przykro mi, świecie, na chwilę straciliśmy kontakt... Prosimy o chwilę cierpliwości, nadamy... hmm... dzingiel naszej stacji.

*(Przerwa w zapisie, ok. 38 s.)*

*Ian Farley:* Kochana, czas na kolejny temat. Ktoś nam wysadził nadajnik w San Francisco. Podobno pociskiem z mózdzierza.

## OSTROŚĆ WRÓCIŁA

Miała w życiu taki bezgraniczny – bezczasowy – okres, gdy wszystko wydawało się płaskie, jak na kiepskim zdjęciu. Nic nie docierało. Nic nie miało znaczenia.

Trochę faktów pamiętała, na przykład: nazwisko, Peg Mankiewicz, płeć: kobieta, narodowość: amerykańska. Poza tym pustka. Straszna próżnia, w którą, gdy tylko przestawała się pilnować, natychmiast wdzierały się nieokiełznane fale emocji – strachu, cierpienia.

\* \* \*

Spojrzała w okno. Dało się przez nie dostrzec mały skrawek nieba. Było szare i płaskie, jak cały świat przez ostatnie... jak długo właściwie? Nie miała pojęcia. Siąpił deszcz. Chyba dopiero co zaczął. Jakby ktoś



niewidoczny chlapał maleńką łyżeczką pełną rzadkiego błota. Chlup na szybę: nieregularny, eliptyczny, brudnawy kleks. Chlup: kolejny, trochę większy. Kolejny – mniejszy. I tak dalej. Każda brudna kropla spływała, pozostawiając smugi w brudzie, który osiadł po drugiej stronie szyby.

Niespecjalnie ją ten brudny deszcz interesował. Skupiła wzrok na pierwszym planie i stwierdziła, że parę rzeczy się wyostrzyło. Miała przed sobą biurko, za nim, naprzeciwko niej, siedział czarny mężczyzna. Trochę podobny do Decimusa, ale grubszy. Powiedziała:

– Chyba powinnam kojarzyć, kim pan jest, prawda?

– Doktor Prentiss. Leczę panią od miesiąca.

– A. No tak. – Zmarszczyła czoło i przesunęła po nim dłoń. Coś miała z włosami: było ich jakby za dużo. – Nie za bardzo pamiętam, skąd...

Rozejrzała się po pokoju w poszukiwaniu wskazówek. Niewyraźnie go pamiętała, jakby oglądała go już kiedyś w staroświeckim czarno-białym telewizorze. Naprawdę jednak dywan był zielony, ściany białe, a w regale koloru sosny stały niebieskie, brązowe, czarne, czerwone i wielobarwne książki, a za czarnym biurkiem siedział doktor... momencik... Prentiss, w szarym garniturze. Wszystko zaczęło się składać.

– A tak, już pamiętam – powiedziała. – Tam, w hotelu.

– O. – Zabrzmiało to w jego ustach jak pochwała. Odchylił się, składając długie, choć pulchne palce. – I...?

Jakby znaleźć się w bajce: nie łagodnej, andersenowskiej, lecz u braci Grimm, w historii wyciągniętej z najpaskudniejszych rynsztoków zbiorowej podświadomości. Magiczna trucizna. Tak to wygląda. Nie chciała o tym myśleć, lecz mimo to myślała – a skoro nie potrafiła przestać, już lepiej, odrobinę lepiej, było mówić niż milczeć.

– Tak – powtórzyła ze znużeniem. – Już wszystko pamiętam. Wdarli się do pokoju, prawda? Kto to w ogóle był... FBI?

Prentiss zawahał się.

– No... Tak, w sumie pani już sama do tego doszła. Śledzili tych ludzi, którzy do pani przyszli.

– Arriegas – przypomniała sobie Peg. – I Lucy Ramage.

Jak dzieci we mgle. Nowojorska dżungla przytłaczała. Daleki, bezmyślny lęk. Teraz patrzyła na to z dystansem, jakby to były wspomnienia kogoś innego. Może z mózgu Lucy Ramage. Naprawdę widziała jej czoło roztrzaskane pociskiem czy tylko dośpiewała to sobie w wyobraźni? Tak czy owak, coś ohydneho. Aby o tym zapomnieć, przyjrzała się własnemu ubraniu. Bładoniebieskie spodnie i bluzka. Nie należały do niej. Nie cierpiała niebieskiego.

– I jak się teraz czujesz, Peg? – zapytał Prentiss.

Już miała odruchowo się zjeżyć, ponieważ przez całe życie nie cierpiała mężczyzn, którzy ni stąd, ni zowąd się z nią spoufalali. A potem dotarło do niej: zgubiła gdzieś cztery tygodnie. Niesamowite. Wycięte z życiorysu, jakby ktoś przemontował taśmę. Zmusiła się do przeanalizowania własnego stanu i nagle zdziwiła się.

– W sumie... całkiem dobrze! Trochę osłabiona jestem, jakbym wstała po długiej chorobie, ale... Wypoczęta. Zrelaksowana.

– To jest właśnie katharsis. Wiesz, co to takiego?

– Oczywiście. Rozładowanie napięcia. Coś jak przekłucie pęcherza.

– Otóż to.

– Czy to przez to jedzenie, które mi kazali... ten...?

– Czy przez to znalazłaś się w szpitalu? Tak i nie. Nie zdążyłaś zjeść groźnej dawki środka, którego tam dodali, a my oczywiście, kiedy doszliśmy, co się stało, zrobiliśmy ci płukanie żołądka. Wygląda jednak na to, że już od dłuższego czasu byłaś bardzo mocno zestresowana. Byłaś napięta jak czuły cyngiel, jeden wstrząs i strzał.

Miało to sens. Chociaż gość wspomniał coś o „środku, którego dodali...”. Przecież on tam już był? Nie miała jednak ochoty się spierać.

Powiedziała:

– W pana ustach brzmi to tak, jakby oni mi pomogli, mimo woli.

– Słuszne spostrzeżenie. Tak to, moim zdaniem, wygląda. Z twojej podświadomości wylała się masa wypartych zapisów. Dlatego czujesz się teraz przyjemnie rozluźniona.

– Jakich znowu... zapisów? – Niewyraźny niepokój, jakby nagle odkryła, że ktoś jej wywiercił w łazience dziurę w ścianie i ją podglądał.

– Sama wiesz najlepiej – mruknął Prentiss. – To jest właśnie korzyść z tego, co przeżyłaś, choć oczywiście mogło to być nieprzyjemne. Zaczynasz się przyznawać sama przed sobą do różnych spraw, które dotąd ukrywałaś.

– Tak. – Peg spojrzała w okno. Deszcz rozpadał się na dobre, szyby były prawie nieprzejrzyste od brudnej wody. – Tak. Jakby walił mi się na głowę cały ten parszywy świat, prawda? Woda, brudna, jak tam. – Wskazała palcem. – W ziemi pełno chemii. W powietrzu tak samo. I nikogo, komu można by zaufać, nikogo, kto by mi powiedział, że mam żyć dalej.

\* \* \*

No i już. Wylało się. I to musiała być prawda, bo ciemnoskóry, cichy doktor kiwał głową. Dodał teraz:

– Ale jednego zaufanego przyjaciela miałaś. Cały czas o nim mówiłaś. Pewnie wiesz, o kogo chodzi.

Peg aż podskoczyła:

– Aaa! Decimus Jones! – Wydawało się, że on gdzieś tam był, gdzieś w tym szarym, płaskim, innym świecie.

– Właśnie.

– Tylko że on nie żyje.

– Może tak. Ale co, nikogo nie miał? Parę z tych osób też jest pani przyjaciółmi, prawda?

Peg kiwnęła ostrożnie głową. Czuła się teraz coraz bardziej sobą, już zaczynała się znów pilnować. Ton głosu tego elokwentnego czarnego lekarza miał w sobie coś sztucznie nonszalanckiego, jakby dyskretnie do czegoś zmierzał.

– Bardzo dużo o nich mówiłaś. Wydawało się, że bardzo ich lubisz. Tego Jonesa, jak wspomniałem, ale i jego siostrę, żonę, przybrane dzieci, masę innych ludzi, waszych wspólnych znajomych. Wspomniałaś nawet o Austinie Trainie.

Aha, to o to chodzi. Peg pozbierała się i odparła spokojnym, chłodnym tonem:

– Tak? To dziwne. Kiedyś go znałam, ale bardzo słabo i bardzo dawno. Później oczywiście spotkałam parę osób, które przybrały jego nazwisko. Absurd, prawda? Jakby myśleli, że to jakieś ochronne zakłęcie!

\* \* \*

Kiedy zabrano ją z powrotem do pokoju, wszedł facet słuchający w sąsiednim pomieszczeniu. Wściekły.

– Wszystko spierdzieliłeś! – warknął.

– Nieprawda! – odgryzł się Prentiss. – Zrobiłem dokładnie tak, jak mi kazaliście. A jeśli nie dotarło do was, że ten „Austin Train”, o którym mówi, to równie dobrze może być czyjś pseudonim, to już wasz problem! Tak w ogóle, to czemu macie takie ciśnienie, żeby go dorwać?

– A jak myślisz?! – wybuchł tamten. – Co, nie widzisz, że cały cholerny kraj się sypie, gdzie tylko spojrzeć? Może ci wszyscy sabotażyści nie powołują się na Austina Traina? Póki go nie złapiemy i publicznie nie napiętnujemy, nie pokażemy, że jest durniem i zdrajcą, może po prostu wyjść na scenę kiedy zechce! Kiwnie palcem i ma na swoje rozkazy milionową armię!

sierpień

## ŚCIGANY PRZEZ HARPUN Z ŁADUNKIEM WYBUCHOWYM

*Patrzaj, wieloryb strugą daje znać,  
Widzisz go na ósmej, śpieszmy się go brać.  
Topsle szybko refuj, spuść na wodę łódź,  
Naszykuj harpuny, będziemy go kłuć.*

*Ja jestem harpunnik, w Newcastle dom mam,  
Lecz mimo to ciągle na Atlantyck gnam,  
Pokonać ocean i ujarzmić go.  
Zabiłem pięćdziesiąt, a pragnę mieć sto!*

*Patrzaj, wieloryb...*

*Ładownie już pełne, pracę kończyć czas,  
Za tłuszcz, ambreg, tran – złoto czeka nas.  
A gdy przybijemy w mieście spędzić noc,  
Do marszu nam zagra monet grubych trzos.*

*Patrzaj, wieloryb...*

*Do tawerny pójdę piwa napić się,  
Pięknych dziewczyn moc będzie kochać mnie.  
Który król i cesarz ma tak wielki gest,  
Jak harpunnik z Newcastle, co po łowach jest!*

*Patrzaj, wieloryb...*

## TAM TRAWA JEST BARDZIEJ BRĄZOWA

*„...opisany jako wręcz katastrofalny”, koniec cytatu, przez przewoźników lotniczych, biura podróży i operatorów. Rezerwacje w hotelach spadły średnio o 40 procent, w niektórych miejscach nawet o 60. Poproszony o komentarz tuż przed wylotem do Disneylandu, gdzie zamierza wygłosić ważną mowę na temat edukacji, Prexy powiedział, cytując: „No, nie trzeba wyjeżdżać za granicę, żeby się dowiedzieć, że u nas się żyje najlepiej”. Koniec cytatu. Departament Rolnictwa wydał dziś ostrzeżenie, że gromadzenie dużych zapasów żywności może zostać uznane za przestępstwo federalne, w związku z kolejnymi zamieszkami w licznych dużych miastach, spowodowanymi kolejnym nagłym wzrostem cen. Porywanie transportów warzyw...*

## PRZEŁOM WÓD

Telefon na biurku Philipa Masona znów zadzwonił, mniej więcej dziesiąty raz w ciągu godziny. Podniósł słuchawkę i warknął:

– Tak?

– Nieźle się witasz z własną żoną – odezwała się Denise.

– Oj. – Odchylił się i przesunął dłonią przed twarzą. – Przepraszam.

– Coś nie tak?

– Tak wygląda. Miałem z osiem czy dziesięć telefonów, żeby natychmiast przysłać serwisanta. Ludzie mówią, że filtry im się zatkały. – Starał się nie brzmieć zbyt ponuro. – Pewnie to takie początkowe problemy, ale to oznacza, że muszę ludzi oderwać od nowych instalacji i skierować... A ty z czym dzwonisz?

– Dzwoniła Angie McNeil, przed chwilą. Jednak nie dadzą rady przyjść dzisiaj na kolację.

– Jezus, znowu? Trzeci raz się umawiają i nie mogą! Co to jest tym razem?

Denise zawahała się.

– Ma tyle nagłych wezwań, że Angie mówi, że dobrze, jeśli będzie w domu koło północy. Wygląda na to, że rozszalały się naraz wszystkie możliwe choroby. Przede wszystkim brucelozą, ale ludzie dzwonią też z zakaźnym zapaleniem wątroby, czerwonką, odrą, różyczką, szkarlatyną i jeszcze czymś, Doug podejrzewa, że to może być tyfus.

– Tyfus! – Philip omal nie upuścił słuchawki.

– No właśnie – potwierdziła beznamiętnie Denise. – Mówi, czy raczej Angie mówi... że to dlatego, że wszyscy ci ludzie zjechali się na wakacje tutaj zamiast na wybrzeże. Kanalizacja i wodociągi się nie wyrabiają.

– Mówiłaś Haroldowi i Josie, żeby nie pili wody z kranu?

– Pewnie, że mówiłam! – Zdenerwowała się. I dodała: – Przepraszam, nie chciałam na ciebie krzyczeć.

– No dobra, strasznie to wszystko brzmi, ale co właściwie mam zrobić?

– No wiesz... przygotowałam wszystko na sześć osób, to może byś zaprosił dla odmiany Pete'a i Jeannie?

– Aaa, dobra. Dobry pomysł. Mam akurat Pete'a pod ręką, siedzi tu obok. Poczekaj... – Zakrył słuchawkę dłonią i zawołał do Pete'a, widocznego przez drzwi, uchylone, bo klimatyzacja nie dawała sobie rady z upałem.

Poruszał się już całkiem sprawnie, odstawił kule i chodził tylko o lasce. Wszedł, kiwnął Philipowi głową i cisnął mu na biurko jakiś przedmiot w foliowym worku.

– Może przyszlubyście z Jeannie na kolację do nas? Dzisiaj? – zapytał Philip, zanim Pete zdążył się odezwać.

– Eee... Chyba tak, bardzo chętnie – odparł zbity z tropu Pete. – Z Denise rozmawiasz, tak? Możesz ją poprosić, żeby zadzwoniła do Jeannie i ją zapytała? Jeśli ona się zgadza, to ja też. Dzięki.

Pete usiadł, podczas gdy Philip przekazywał wiadomość i odkładał słuchawkę. Sięgnął ręką, otworzył worek. Philip wytrzeszczył oczy na ten widok.

– Co się, do cholery, z tym stało?! – wykrzyknął.



Był to walcowaty filtr ze stacji oczyszczania wody Mitsuyama. Odbarwił się całkowicie, zamiast kremowego był ciemnożółty jak ropa, z brązowymi plamami, a przylegające do siebie plastikowe lamelki, z których był zrobiony, zostały rozwarte, jakby ktoś przedmuchał centralną rurę sprężonym powietrzem pod bardzo wysokim ciśnieniem.

– Wszystkie te uszkodzone tak właśnie wyglądają – powiedział Pete. – Mack tylko dzisiaj przyniósł trzy takie. Pomyślał, że zamiast znowu wymieniać, trzeba by im się przyjrzeć.

– Jezus! – Philip dotknął go nieśmiało; był oślizły i obrzydliwy. – Alan to widział?

– Pewnie już tak. Pojechał do przychodni doktora McNeila. Tam to jest prawdziwy problem. Wszystkie dwanaście filtrów zaklejone na dobre.

– Jasna cholera – mruknął Philip. – A ci wszyscy ludzie, którzy dzwonią, naprawdę zużyli już wszystkie filtry?

– Mack mówi, że u tej trójki, gdzie był, to tak. Sześć schodzi w sześć tygodni. A myślałem, że mają wystarczać na pół roku.

– Bo mają!

– To co się dzieje?

Zadzwoił telefon. Philip rzucił się do niego.

– Tak?

– Alan do ciebie – powiedziała Dorothy. – Alan, proszę...

– Phil! – przerwał Alan. – Mamy problem!

– Wiem. Pete dopiero co przyniósł uszkodzony filtr. Co to, do chole...

– Bakterie!

– Żartujesz chyba – powiedział po dłuższej chwili Philip.

– Akurat, kurna. Już kiedyś się z tym spotkałem, w dużych stacjach oczyszczania. W domowych urządzeniach do zmiękczenia wody też. Ale ci syfiarze z tej Mitsuyamy przysięgali na wszystko, że ich sprzęt jest na to odporny. Wyślij serwisanta do tej przychodni, i to już, dobra?

Philip powtórzył polecenie Pete'owi, który pokręcił głową.

– Jest tylko Mack i ma jeszcze osiem...

– Wiem o tym! – burknął Alan. – Powiedz Mackowi, że wszystko inne niech poczeka. Niech tam natychmiast jedzie. Phil, przełącz mnie

z powrotem do Dorothy, dobra? Niech mnie połączy z Osaką!

\* \* \*

– Takie małe zarazki – powiedział Pete z niedowierzaniem, obracając walcowaty filtr w dłoniach. – I tak potrafią coś zasrać! – Wzdrygnął się i upuścił obrzydliwy przedmiot. – Strach się bać – dodał po chwili. – A słyszałeś, że kroi się nowa epidemia, bruceloza?

– Pewnie, słyszałem – odparł Philip.

– Podobno powoduje poronienia – dodał Pete, wpatrując się w dal. – Jeannie ciągle ma koszmary. Jest prawie w trzecim miesiącu... Kurna, na razie nic się nie stało... – Podźwignął sztywne ciało z fotela. – Idę, zajrzę po drodze do Macka.

Telefon znów zadzwonił. Tym razem, dla odmiany, mężczyzna, ale z tym samym problemem – sześciopak filtrów zużył mu się w sześć tygodni i teraz woda ledwie ciurka.

## KTOKOLWIEK WIDZIAŁ KTÓREGOŚ Z TYCH OWADÓW

*Proszony jest o natychmiastowe zawiadomienie policji!*

## SŁABE LATO

Delegaci z pięciu największych watów siedzieli na naradzie z Zeną i Ralphem Hendersonem w jednym z bąblowatych pomieszczeń odchodzących od wielkiego hallu, gdzie cała wspólnota z Denver spotykała się na posiłki, przypominającym boczną kaplicę przy nawie jajowatej katedry, która trochę skurczyła się w praniu.

Pochylony na gładkich, błękitnych poduszkach, Drew Henker z Phoenix powiedział:

– Czyli mamy porozumienie. Musimy mimo wszystko zaatakować Puritana.

Nastąpiła pełna przygnębienia cisza. Na otaczających wapienno-brązowych wzgórzach niewiele było typowych dla lata plam jaskrawego koloru. Ludzie mieszkający tutaj od samego początku obsadzali okolicę kwitnącymi krzewami, żeby poprawić widok. Zastąpiły je namioty i przyczepy turystów, którzy wyzbierali kwiaty, ścięli co mniejsze drzewka na ognisko, przez jedną noc zrobili z terenu wysypisko śmieci i zatruli odchodami ich jedyny czysty strumień. Mieli też masę problemów z awanturującymi się pijanymi, których bawiło rzucanie kamieniami w okna wapienia.

Dobrze, że chociaż teraz było ciemno i nie było widać tego pobojuwiska.

Wreszcie Ralph powiedział:

– Sam się tego boję jak cholera, ale mam wrażenie, że trzeba to zrobić i tyle.

Wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem pod wygiętą kopułą dachu, pośrodku każdego przejścia przygarbiając się odrobinę. Był wysoki.

– Ci debile tam... – machnięcie ręką w stronę ciemnych okien – ...nie zareagują na nic, co nie będzie prawdziwym szokiem. Wszyscy ich w kółko ostrzegali, Austin, Nader, Rattray Taylor, wszyscy. I co, zauważyli coś? Nic. Nawet kiedy ich własne ciała się psują, nic. Jezus, naszego jeepa to praktycznie musieliśmy przerobić na karetkę!

Teraz przesadzał. Ale fakt, że odkąd pojawiła się fala turystów, obcy przychodzili do wapienia, pytając o lekarza, o poradę dla chorego dziecka, albo opatrzenie jątrzących się ran.

– Założę się, że nie dają niczego w zamian – rzuciła ponuro Rose Shattock z Taos.

Znów milczenie; długie. Gdy stało się zbyt długie, Zena powiedziała, prawie bez związku:

– O, wiesz, Ralph, miałam cię o coś zapytać. Rick mnie męczył, żeby się dowiedzieć, co powoduje plamy na wszystkich roślinach dwuliściennych.

– Jakie plamy? Brązowe to pewnie z braku wody. Ale jeśli chodzi mu o żółte, to dwutlenek siarki.

– Tak właśnie mu powiedziałam. Chciałam tylko mieć pewność, że dobrze.

– Szkoda, że zanieczyszczenia nie trują *jigras* – rzucił Tony Whitefeather ze Spokane. – Ale one są odporne dosłownie na wszystko. Jak myślicie, prawda to, że nie pojawiły się przez pomyłkę, że Tupasowie celowo je przemycili?

– A po co by się mieli męczyć? – burknął Ralph. – Wystarczy, że jakiś parszywy koncern nie dopilnuje norm...

– Kupowaliśmy od nich wcześniej – przypomniała mu Zena.

– Pewnie, ale tylko dlatego, że musieliśmy. A tak w ogóle, Jezus! Importować dżdżownice! Pszczoły! Biedronki! Czasem wydaje mi się, że w Waszyngtonie siedzi jakiś szalony naukowiec, który steruje Prexym za pomocą hipnotycznych sugestii i chce, żebyśmy wszyscy żyli w ładnej, sterylnej fabryce ze szkła i stali nierdzewnej, a żywili się różowymi i niebieskimi pigułeczkami, żeby nie trzeba było srać.

– W takim razie najpierw chce się pozbyć masy ludzi – powiedział Tony Whitefeather – żeby ta fabryka, jak ją zbudują, nie musiała być zbyt duża.

– Na przykład Lucasa Quarreya i Gerry’ego Thorne’a?

– Ich też nie musieli w ogóle tykać – odparł Ralph, wzruszając ramionami. – Syndykat zajął się tym za nich. Tylko że i tak zaraz czeka ich szok. Będziecie nocować u nas, prawda? Z rana przegadamy jeszcze informacje, jakie pojawią się w mediach.

Wszyscy w kręgu kiwnęli głowami i zaczęli się podnosić.

– Słuchajcie, a wiecie coś o tych nowych stacjach oczyszczania wody Mitsuyamy? – wtrąciła Rose Shattock. – Zastanawialiśmy się, czy w parę nie zainwestować.

– My też. – Ralph kiwnął głową. – Ale nasza rada postanowiła na razie to odłożyć. To pierwszy rok, kiedy nie udało nam się wyhodować dość jedzenia na całą zimę, więc za wolną gotówkę będziemy musieli robić zakupy na zewnątrz.

– Zresztą u was to nie jest zbyt duży problem, prawda? – zapytała Drew. – Przyjdzie śnieg i możecie polegać na naturalnym oczyszczaniu wody.

– Wcale nie jestem taki pewien. – Ralph stęknął. – Nad górami ciągle się trzyma ta mgiełka, cholera wie, co będzie w śniegu w tym roku.

– Brud – odparła Zena i skrzywiła się.

W tej samej chwili usłyszeli odległe brzęczenie samolotu, coraz głośniejsze. Wszyscy spojrzeli za okno. Ralph zawołał:

– Oj, wiecie co?! Jeśli to są światła samolotu, to strasznie nisko leci!

– Pewnie! – potwierdziła Zena, zerkając mu przez ramię. – Ma awarię czy co?

– Silnik działa jak trzeba... Co on kombinuje? Leci prosto na wat? Jakiś świr!

– Pijany albo upalony! – zawyrokowała Drew. – Co za bałwan!

– Lećmy na dwór, trzeba go ostrzec latarką – zaproponowała Zena i rzuciła się do drzwi.

Ralph okręcił się na pięcie i zawołał za nią:

– Nie, nie! Jak jest ujarany, pomyśli, że się z nim bawimy i polecą jeszcze niżej!

– Nie możemy tak po prostu...

Tylko tyle usłyszeli. Teraz huk silnika był prawie tak głośny, że zagłuszył słowa, ale to nie to jej przerwało.

Nagle pojawiła się linia postrzępionych otworów, jak ścieg z maszyny do szycia. Przeszyły okno, dach, podłogę, Drew i Ralpha.

\* \* \*

Za drugim przelotem z samolotu rzucono wiązkę koktajli Mołotowa. Potem oddalił się z powrotem w noc.

## JUŻ NIE WIDAĆ GÓR

Czy kiedyś w sierpniowy dzień naprawdę było stąd widać góry?

Pete rozejrzał się wokół. Policyjne barierki zmusiły ich do zjechania z drogi, którą planowali jechać – przeszukiwano tu dom po domu – a teraz zatrzymano ich w najwyższym punkcie Colfax Avenue, między Lincoln i Sherman, tuż przy stanowym Kapitolu; grupa młodych policjantów przechodziła od samochodu do samochodu, sprawdzając dokumenty i podrywając co ładniejsze dziewczyny. Na schodach Kapitolu, na stopniu oznaczającym milę nad poziomem morza, robiły sobie zdjęcia grupki przepuszczonych przez strażników turystów, jak zwykle. Na chodnikach też typowe sobotnie tłumy.

Ale gór nie ma.

Śmiesznie. Denver wydawało się przez to dekoracją do filmu. Prosta jak strzała Colfax Avenue zmierzała prosto w szarą mgłę.

Prawie każdy mógłby uwierzyć, że świat poza granicą widoczności się rozpuszcza – że to, co pokazuje telewizja, o czym piszą gazety, to wszystko nieprawda.

Na tablicy ogłoszeń przyklepionej do ogrodzenia parku otaczającego Kapitol wisiała mniejsza wersja billboardu przedstawiająca *jigras*, które przez ostatnie parę tygodni opanowały cały Zachód i Środkowy Zachód. Nad tym ktoś nabazgrał czerwony symbol trainistów.

Patrol podszedł do ich auta, sprawdził dokumenty, zajrzał do bagażnika i machnął ręką, żeby jechali dalej. Pete przez cały czas gapił się na plakat, póki nie rozbolała go szyja – niebezpiecznie było w jego stanie tak ją wykręcać. Kolejne dziwne uczucie: ciągle robić za pasażera. Lubił prowadzić. Ale jeszcze masa czasu upłynie, zanim znów będzie w stanie.

Te parszywe symbole były wszędzie: ze trzy razy ktoś namalował im je na samochodzie i Jeannie musiała to ścierać – starając się nie uszkodzić celulozy – za każdym razem zabierało jej to ponad godzinę. Szkoda, że kiedy przyszło do sprzedawania jednego z aut, nie mogli zostawić sobie stephensona... Ale był dużo, dużo mniejszy, o wiele trudniej było mu do niego wsiąść, a poza tym oczywiście za używanego elektryka dało się wziąć o wiele więcej niż za benzyniaka, a musieli skądś skombinować pieniądze na nową lodówkę...

Co za beznadzieja, że nie dało się tej starej naprawić! Ale w dzisiejszych czasach dzieciaki w ogóle nie chciały się tykać spraw technicznych. Jakby to była czarna magia, tylko dotknąć i jesteś w szponach diabła. Myśleli, że pozatrudniają rzucających szkołę młodziaków na praktykantów-instalatorów w Prosser Enterprises. A tu nie udało się zatrudnić nawet połowy – może dziewięciu czy dziesięciu, kiedy planowali trzydziestu.

A teraz jeszcze ten problem z zapchanymi filtrami. Cały czas rozdawał nowe sześciopaki filtrów, każdemu nowemu nabywcy, w ramach gwarancji. Alan coś napomykał, że pozwie Mitsuyamę do sądu, ale to tylko takie gadanie. Miliardowej korporacji nie podskoczysz, obojętne, amerykańskiej czy zagranicznej. Najlepiej byłoby, gdyby ten sam problem dotknął na przykład takiego Bamberleya z Kalifornii, albo któregoś innego większego przedstawiciela, można by wspólnie złożyć pozew.

Jeannie nie była dziś w swoim zwykłym nastroju do rozmów; pasowało mu to zresztą, sam też nie miał ochoty gadać. A poza tym musiała się skupić. Ruch był bardzo duży. Jechali do Towerhill, na obiad u jej rodziny, czyli trasą, na której znajdowało się wiele rzeczy wartych zobaczenia nie tylko dla turystów, ale i miejscowych: miejsce zejścia lawiny, farma hydroponiczna, gdzie zginęły sześćdziesiąt trzy osoby, wypalone ruiny wату trainistów...

Ciekawe, czy to prawda, że maczał w tym łapy Syndykat, że chcieli uciszyć te coraz głośniejsze z każdym dniem plotki o jakości żywności z Puritana? Trzeba być zaiste skurwysynem, żeby zrobić coś takiego. Jedna rzecz, sprzeciwiać się tym ich demonstracjom, sabotażom i tak dalej, druga rzecz, mordować dzieci we śnie.

– Kochanie, zobacz no! – wykrzyknęła Jeannie. – Ptak!  
Za wolno zareagował. Przegapił go.

\* \* \*

Kilometr za miastem zapytała:

- Pete, od czego się tak robi?
- Jak się robi?

Wskazała na uschłą, żółtą roślinność na mijanych zboczach. Rośliny były całe zapylone. Niezdrowe. Jak niedopilnowane domowe rośliny doniczkowe w przegrzanym pokoju.

– Chyba od zanieczyszczeń – powiedział niepewnie Pete.

– No pewnie, wiem. Ale co to właściwie znaczy?

Zapomniał jej odpowiedzieć. Za kolejnym zakrętem ukazał im się zaparkowany na poboczu radiowóz drogówki. Paru policjantów wysiadło z niego i chodziło po zboczu, oglądając coś zupełnie nowego: ogromną, co najmniej dziesięciometrową czaszkę z piszczelami, wytrawioną w suchej trawie jakimś ciemnym, lepkiem płynem, może zużyтым olejem silnikowym. Kierowca, który siedział w radiowozie, był starym znajomym; Pete zamachał do niego i zawołał, tamten jednak akurat ziewał i nic nie zauważył.

Pojechali dalej. Jeannie odezwała się nagle:

– Kochanie?

– Tak?

– Ja... dalej myślisz, że powinniśmy nazwać go Franklin?

Był przekonany, że nie to chciała pierwotnie powiedzieć. Mimo to odrzekł:

– Mnie się podoba. Albo Mandy, jeśli będzie dziewczynka.

– No tak, Mandy.

I na tym samym oddechu, pośpiesznie:

– Pete, ja czuję się w środku taka brudna!

– Jak to „brudna”, kochanie?

– Jakby... jakby wszystkie kości trzeba by mi wyjąć z ciała i umyć!

– Głupoty ci w głowie – powiedział łagodnie Pete.

– Nie, ja mówię poważnie – mruknęła. – Nie mam teraz za wiele do roboty, kiedy ty siedzisz w pracy. Nie mam ogródka, nie mam całego domu do sprzątnięcia... I mimo woli ciągle o tym myślę, teraz, jak czuję, że rośnie we mnie dziecko!

– Dziecko będzie całe i zdrowe – oznajmił Pete. – Zajmuje się tobą najlepszy lekarz na świecie.



– No pewnie, zawsze też robię dokładnie to, co mi mówi. Jem odpowiednie jedzenie, piję puszkowaną wodę, nie tykam mleka i masła... Ale... Pete, co to za parszywy świat, na który przyjdzie to nasze dziecko?

Spojrzała na niego ostro, trwało to ledwie sekundę, zdążył jednak rozpoznać autentyczny lęk w jej oczach.

– Doktor mówi, że pewnie nie będę mogła karmić go piersią. Mówi, że praktycznie żadna matka teraz nie może. Mają w mleku za dużo DDT!

– Kochanie, DDT jest od lat zabronione!

– Tak? A ile razy za handel tym czymś zamykałeś ludzi?

Na to Pete nie miał odpowiedzi. Choć służył w policji ledwie rok, i tak pomagał w aresztowaniu pięciu czy sześciu osób chałupniczo produkujących nielegalną chemię: nie tylko insektycydy, także defolianty.

– A po drugie, dobre jedzenie tyle kosztuje. – Jeanne zamartwiała się dalej, wrzucając prawy kierunkowskaz i skręcając na szosę do Towerhill. – Tu dziesięć centów, tam dwadzieścia i nagle się okazuje, że wydałaś dwa razy tyle, co planowałaś. A będzie jeszcze gorzej. Któregoś dnia rozmawiałam z Susie Chain. Spotkałam ją na zakupach w Denver.

– O? – Chodziło o żonę jego dawnego sierżanta w Towerhill.

– Mówiła, że ma rodzinę w Idaho i oni powiedzieli, że w tym roku zbiorą może z jedną czwartą ziemniaków. Resztę zepsuły *jigras*.

Pete aż gwizdnął.

– Powiedziała, że zżerają wszystko. Kukurydzę, buraki, kabaczki... O, a widziałeś ten wat trainistów? – Pokazała na drugą stronę doliny.

Widać było, nieco za mgłą, ale na tyle dobrze, by rozpoznać rozmiar katastrofy, pustą skorupę watu, niczym rozkładającego się homara. Grupki turystów łąziły wokół i grzebały w zgliszczach w poszukiwaniu pamiątek.

Miejscowy komendant straży mówił w telewizji, że wiele razy ostrzegał, że nie wolno budować z włókna szklanego i plastikowych odpadów. Że to gorsze niż drewno. Chodziło chyba o wydzielane toksyczne opary.

– I to tak się stanie z naszym dzieckiem? – rzuciła gorzko Jeannie. – Spali się żywcem, jak ta trójka tutaj?

Pete wyciągnął rękę, żeby poklepać ją uspokajająco po kolanie. Ona jednak dalej wyrzucała z siebie słowa:

– Pomyśl, ilu rzeczy nigdy mu nie będzie wolno! Pływać w rzece, czy nawet łódką po rzece, jeść owoców prosto z drzew, chodzić bosy po mokrej trawie, takiej grubej, mięsistej!

– Jej, kochanie, gadasz zupełnie jak Carl – zadrwił Pete.

– A co, to źle? – Pociągnęła nosem. – Carl to u nas w rodzinie ten bystry. Zawsze tak było. Szkoda, że nie pisze, nic nie wiem, co tam u niego... Wiesz co, chwilami to mam nadzieję, że złapię tę brucelozę, która teraz krąży, i nie będę musiała rodzić tego dziecka...

– Jezus Maria, nie wolno ci tak mówić! – wykrzyknął przerażony Pete. – Jeśli tym razem się nie uda, może już nie być...

W tym momencie jednak droga delikatnie zadrżała. Jakby wszystkie sto samochodów w zasięgu wzroku jednocześnie najechało na kamień. Pete sięgnął do radia i włączył je, żeby się dowiedzieć, czy to było poważne trzęsienie. Niezbyt poważne. Zresztą po paru minutach byli już u matki Jeannie w domu i musieli ze wszystkich sił udawać, że wszystko jest w porządku. W najzupełniejszym porządku.

## KONIEC DOKARMIANIA

*...zakupy Nutriponu, mające uzupełnić zapasy pomocy żywnościowej, obecnie będące na wyjątkowo niskim poziomie od lat, wskutek nieprzewidzianych skutków bezrobocia w opuszczonych przez turystów miejscowościach letniskowych, gdzie w sezonie letnim hotele i restauracje wchłaniają w miesiącach od czerwca do września nadmiar siły roboczej. Aby rozwiać obawy wyrażone przez rzeczników grup Czarnych oraz ubogich, Sekretarz ds. Opieki Społecznej oświadczył, że zakład Bamberleya spełnia obecnie bardzo rygorystyczne normy, zbliżone do obowiązujących na sali operacyjnej – cytuję. Zapytany, czy plan będzie w następnej kolejności rozszerzony o pomoc łagodzącą wpływ cen w warunkach deficytu na ubogie rodziny, odpowiedział, że ta kwestia jest przedmiotem obrad, lecz jak dotąd decyzja nie została podjęta. Zakaz eksportowania żywności do Stanów Zjednoczonych – o to w dniu dzisiejszym zaapelowali...*

## POWRÓT

Za wiele się tu nie zmieniło. Śmietniki jeszcze bardziej przepelnione i śmierdzące. Brzęczące muchy. Kitty Walsh była upalona po dziurki w nosie. Stała przez chwilę, patrząc na muchy i zastanawiając się, niezbyt poważnie, skąd się biorą. Może z zagranicy? W zeszłym roku, albo dwa lata temu czy coś, w ogóle ich nie było.

W końcu wyminęła te kosze i weszła do środka, próbując po drodze zdjąć maskę. Jakoś wplątała jej się we włosy. Zapuściła je podczas swej nieobecności.

W środku też było pełno dymu, ale tylko z marychy. Okna zakleili taśmą, żeby nie dochodził smród z zewnątrz. I bardzo gorąco było.

– Jezus Maria, Kitty przyszła – powiedział Hugh, odsuwając się od Carla.

Obaj byli nadzy. A ona prawie – tylko wysoko rozcięta z przodu sukienka i sandały.

– Gdzie ty byłaś, kochana? – zapytał Carl.

– Tu i tam. – Cisnęła na podłogę płócienną lotniczą torbę, która była jej jedynym bagażem, i wyciągnęła rękę po jointa. – Poznałam takiego jednego, jak mnie zapuszkowali po tych fajerwerkach – dodała po chwili. – Pojechaliśmy do Oregonu. Nie miałam pojęcia, że tak ładnie tam mają. Trafiły się chyba ze trzy dni czystego nieba. Albo i cztery.

– Pierdzielisz! – powiedział Carl.

– Nie, serio. Nawet jezioro znaleźliśmy takie, że da się kąpać. I się opaliłam, patrzcie. – Podciągnęła sukienkę pod pachy. Skórę miała leciutko brązową.

Potem zapadła dłuższa cisza, jak to po trawie. W pakamerze z tyłu cicho grało radio. Dotarło to do niej, wyprostowała się, nasłuchując.

– A tam kto jest? – zapytała, rozglądając się. I dodała: – Ej, zaraz! Kłódkę tam żeście powiesili?

Hugh i Carl spojrzeli po sobie. Lecz w końcu to było jej mieszkanie.

– Hector Bamberley – powiedział Hugh.

– Co?

– To nie słyszałaś o tej akcji?

– Jezus, oczywiście, że słyszałam, czyli że... – Prawie zerwała się na równe nogi, ale przewróciła się z powrotem na materac, wybuchając śmiechem. – I tu go trzymacie? Pod samym nosem psów? Ja nie mogę! Zajebiste!

Carl usiadł, objął kolana dłońmi i zachichotał. Hugh natomiast powiedział:

– Nie ma się z czego śmiać. Jego cholerny tatulek nie chce współpracować. I już nas to męczy, cały czas go pilnować. Nie zostawimy go tu przecież samego. No i jeszcze choruje.

– E tam, symuluje – burknął Carl. – To był jeden z pierwszych jego pomysłów, próbował nas zmusić, żebyśmy ściągnęli do niego lekarza, z którym porozmawia. Teraz znów próbuje tego samego numeru. Muszę przez to wyrzucać kupę drogiego jedzenia.

– Co?

– Wszystko z Puritana. Ossie się uparł. Robi za mózg całej tej akcji.

– Słuchajcie, a nie czas znowu mu coś dać? – wykrzyknął Hugh.

– Możliwe. – Carl kiwnął głową. – Kitty, nie wiesz czasem, która godzina?

Pokręciła głową.

– Ossie? – zapytała. – Znaczy, „Austin”? Ale wiecie, że to nie ten prawdziwy, nie?

– E, no, pewnie. – Hugh westchnął. – Zastanawiał się nawet, czy dać se spokój z tą ksywą. Mówi, że już potąd ma czekania, aż ten prawdziwy przestanie się ukrywać i coś zrobi.

– Jakby wyszedł – stwierdziła Kitty – to miałby największą armię w historii tego kraju, ot tak, na pstryk. W Oregonie widziałam... zresztą nieważne. Zaniosę mu to żarcie. Zawsze chciałam poznać syna milionera. Gdzie ono w ogóle jest? W lodówce?

– Tak, wszystko już przygotowane na tacy. Jak będziesz chciała wychodzić, stukasz w drzwi, wtedy otwieramy. Raz, raz-dwa. – Carl zademonstrował. – Będziemy wiedzieć, że to ty, nie on.

– Dobra – rzekła Kitty i wzięła ostatniego buszka przed pójściem do kuchni.

\* \* \*

Hector spał, leżąc plecami do drzwi. Zrobiła miejsce na tacę z jedzeniem wśród rozrzuconych książek i pism, głównie pornograficznych, niemieckich i duńskich, porządnych. Potem obeszła łóżko i zobaczyła, że ma rozpięty rozporek, a dłonią obejmuje fiuta. Spod poduszki wystawał jeszcze jeden „świerszczyk”, lesbijski. Na podłodze brudna chusteczka. Mokra. Wrzuciła ją do nocnika.

Czyli tak wygląda syn milionera. Dość zwyczajnie.

Ale całkiem ładniutki, stwierdziła po chwili. Przystojny chłopak. Na policzkach śmieszna, rzadka szczecina. Hmm. Przyjemny kociak.

Zbudzić go?

Czekać, aż sam się zbudzi?

Usiadła na podłodze, plecami do ściany i wpatrzyła się w niego, niespecjalnie o czymś myśląc. Dryfowała. Już kiedy przyszła, miała fazę, a ten dodatkowy buch podniósł ją jeszcze o całe kilometry. Uznała, że budzić go to za dużo kłopotu.

Po chwili jednak widok tego rozpiętego rozporka zaczął działać. Rozłożyła nogi i zaczęła się pieścić. Super to było na takim haju, bardzo wolne, jakby dochodziła, jednak nie do końca, ale też nie traciła fazy. Coś jak wchodzić po ośnieżonym stoku, z każdym krokiem ześlizgując się trochę do tyłu, ale nie całkiem z powrotem.

Omal nie przeoczyła, kiedy otworzył oczy i uświadomił sobie jej obecność. Kiedy to zauważyła, nie przestała.

– Skąd się tu wzięłaś? – zapytał cienkim głosem.

Spojrzała na jego fiuta. Już się wypełniał. Zauważył to i nakrył się rogami prześcieradła. Pościel była kompletnie splątana.

– Kitty – powiedziała. – Chyba ci się tu trochę nudzi, co?

– Co takiego? – Niepewnie próbował usiąść.

– No, rozumiesz, tylko tyle masz rozrywek? – Wskazała wolną ręką wystające spod poduszki pisemko.

Zamrugła. Kilka razy, szybko. Potem zaróżowił się na twarzy.

– Śliczny jesteś – powiedziała. – Całkiem, całkiem. Wiesz co, ja już jestem cała dzika. A ty?

\* \* \*

– Co ona tam, kurna, robi tyle czasu? – powiedział bełkotliwie Hugh, dłuższą chwilę później.

– Pewnie się z nim pieprzy – rzucił obojętnie Carl. – Widziałeś, żeby Kitty przegapiła taką okazję? Ale co tam, należy się gówniarzowi. W sumie współpracuje, nie? To jego stary stawia opór.

## NATURALNA RÓWNOWAGA

*Petronella Page:* Witamy w kolejny piątek, świecie! Dziś także oblecimy z kamerami całą planetę. Między innymi porozmawiamy z wysokim oficerem słynnego Wydziału Specjalnego londyńskiego Scotland Yardu. Będziemy mówić o ich nowym, skomputeryzowanym systemie kontroli nad działaniami wywrotowymi, powszechnie chwalonym jako najnowocześniejszy na świecie. Potem przemieścimy się do Paryża, gdzie pomówimy o dziwacznej pogodzie – proszę państwa, w sierpniu w Paryżu pada śnieg! Najpierw jednak zajmiemy się trochę bliższym tematem. W studiu ABS w Chicago czeka wybitny psycholog od edukacji, mający zdecydowane zapatrywania na sprawę, która dotyczy każdego, kto ma dzieci – albo planuje je mieć. Pragnie pozostać anonimowy, ponieważ jego poglądy są kontrowersyjne. Dlatego nagniemy trochę nasze stałe zasady i będziemy nazywać go „doktor X”. Jesteś tam?

X: Oczywiście, panno Page.

*Page:* Świetnie. No dobrze, zacznijmy od tego, że masz wyjaśnienie, dlaczego w całym kraju jest obecnie niedobór specjalistów technicznych, duży procent osób niekończących studiów i tak dalej. Większość ludzi zakłada, że to skutek niechęci do przemysłu i do tego, jak wpływa na nasze życie. Ty jednak mówisz, że to nie takie proste.

*X:* Ale też niezbyt skomplikowane, mimo że jest to interakcja bardzo wielu czynników. Prawidłowość jest wręcz prosta. Nie chodzi bynajmniej o to, że dzisiejsze dzieci są głupsze niż ich rodzice. Są tylko bardziej lękliwe. Mniej skłonne do podejmowania decyzji, do angażowania się. Wolą przedryfować przez życie.

*Page:* Dlaczego?

*X:* Jest wiele badań, głównie na szczurach, które wykazują, jak kluczowe są warunki w okresie prenatalnym. Młode rodzone przez zestresowane albo niedożywione matki, po dorostaniu łatwiej się płoszą, bardziej boją się wychodzić z otwartej klatki, a co więcej, mają także mniejszą przewidywaną długość życia.

*Page:* A doświadczenia na szczurach mają w ogóle jakieś przełożenie na ludzi?

*X:* Obecnie mamy już sporą wiedzę o tym, jak przekładać wnioski na ludzi, ale to nie jest jedyne narzędzie, jakim dysponujemy. W pewnym sensie sami zrobiliśmy z siebie zwierzęta doświadczalne. Jest nas zbyt dużo, w zbyt dużym zagęszczeniu, w środowisku, które zatruliśmy własnymi... hmm... produktami ubocznymi. Kiedy w takiej sytuacji znajdzie się dziki gatunek, albo szczury w laboratorium, kolejne pokolenie okaże się słabsze, bardziej powolne i lękliwe. To jest mechanizm obronny.

*Page:* Wątpię, żeby ludzi to przekonało.

*X:* Proszę zauważyć: słabsze osobniki łatwiej padają ofiarą drapieżników. Populacja się zmniejsza. Spada konkurencja. I oczywiście zatrucie środowiska.

*Page:* Ale nasza populacja się nie zmniejsza. Sugerujesz, że mamy za dużo dzieci?

*X:* To nie byłoby za dużo, gdybyśmy mogli im zapewnić odpowiedni klimat, wolny od niepokoju, oraz obfitość pożywnego jedzenia. Jednak nie

możemy. Wodę mamy zatrutą, jedzenie zanieczyszczone sztucznymi substancjami, z którymi nie radzą sobie nasze ciała; do tego ciągle poczucie, że walczymy na śmierć i życie z innymi ziemskimi istotami.

*Page:* Mnie to wygląda na nadmierne uogólnianie. Jakie masz dowody, poza tymi szczurami i innymi dzikimi zwierzętami, nawet nie podałeś jakimi?

*X:* Wyniki egzaminów, statystyki zatrudnienia, panika, jaka wybuchła w tym roku w wielkich korporacjach, bo liczba zatrudnianych absolwentów spadła o dziewięćdziesiąt procent – prawda to czy nie?

*Page:* Nic nie mówiłam. Proszę kontynuować.

*X:* Poza tym ONZ opublikowało na początku roku raport stwierdzający, że inteligencja bardzo znacząco rośnie w krajach biednych, podczas gdy w bogatych...

*Page:* Ale ten raport został zdyskredytowany. Wykazano, że nie można przykładać tych samych kryteriów do dzieci w...

*X:* Bzdura. Przepraszam. Znam ten argument, a także drugi, że dzięki naszej znakomitej medycynie utrzymujemy przy życiu upośledzone dzieci, które w krajach mniej rozwiniętych umierają i nie zaniżają średniej. Ale ja nie o tym mówię. Mówię konkretnie o z pozoru normalnych dzieciach, wolnych od fizycznych czy umysłowych niepełnosprawności. Jestem przekonany, że ludzie podświadomie zdają sobie sprawę z tego, co się dzieje, i to ich niepokoi. Na przykład: mamy w społeczeństwie głęboko zakorzenioną nieufność wobec osób bardzo inteligentnych, bardzo dobrze wykształconych i bardzo kompetentnych. Wystarczy tylko spojrzeć na ostatnie wybory prezydenckie. Społeczeństwo ewidentnie pragnęło figuranta, który będzie ładnie wyglądał i wydawał uspokajające pomruki.

*Page:* Doktorze X, odchodzimy chyba od tematu?

*X:* Skoro pani tak twierdzi... Mnie bardziej przekonuje teza, że to ilustruje podskórny niepokój, który przenika wszystkie nasze społeczne interakcje. Według mnie wszyscy podświadomie zauważyliśmy, że nasze dzieci są mniej pomysłowe, bardziej nieśmiałe, i zaczęliśmy się zastanawiać, czy aby nie jesteśmy gorszymi rodzicami niż nasi rodzice – i wskutek tego bronimy się przed wszystkim, co mogłoby wykazać, że



nasze obawy są prawdziwe. Kiedy politycy twierdzą, że społeczeństwo w ogóle nie jest zainteresowane ochroną środowiska, w połowie mają rację. Społeczeństwo boi się tym interesować, bo podejrzewa – i według mnie słusznie – że jeśli pogrzebiemy w temacie odpowiednio głęboko, odkryjemy, że wyszliśmy tak daleko poza granice tego, co jest w stanie naturalnie wytrzymać nasza planeta, że teraz jedyną szansą na przetrwanie jest poważna katastrofa, redukująca i zaludnienie, i jego wpływ na naturalne cykle biologiczne. I do tego nie może to być wojna, bo ta jeszcze gorzej obejdzie się z naszymi ziemiami uprawnymi.

*Page:* Dziękuję za rozmowę, panie doktorze X, muszę jednak powiedzieć, że według mnie większość ludzi uzna pana teorię za naciąganą. Wrócimy do państwa po przerwie na zapowiedzi programów...

## KONIEC DŁUGIEGO, CIEMNEGO TUNELU

Jezus, już w tym Oakland było źle. Ale w Nowym Jorku było strasznie. Nawet w pomieszczeniach, nawet w foyer tego hotelu z obrotowymi drzwiami i klimatyzacją zasuwającą tak, że aż się ściany trzęsły, Austina Traina piekły oczy i bolało go w głębi gardła. Obawiał się, że straci głos. A także, że straci rozum. Kiedyś już mu się to zdarzyło i podejrzewał, że był wtedy szczęśliwszy. Zupełnie jak te dzieciaki, które zeznawały w sprawie zamieszek w Bamberley Hydroponics, jedno po drugim, płaskim, tępym tonem mówiące, że najbardziej ze wszystkiego chciały zwariować.

A jednak do tego Nowego Jorku dotarł.

Wiele razy podczas tej podróży miał obawy, że się to nie uda. Z podrobionymi dokumentami na nazwisko Freda Smitha nie ważył się polecieć samolotem, musiał więc jechać okrężną drogą, autobusami i pociągami. Felice zaproponowała mu jeden ze swoich samochodów, to jednak również nie wchodziło w grę – auta były ulubionym środkiem zamachowców podkładających bomby – z reguły kradli je lub wypożyczali na fałszywe nazwisko, kontrole były więc drobiazgowo. Zresztą autem

wcale nie byłoby szybciej, przy wszystkich tych posterunkach na granicach stanów, rewizjach, strefach bez ruchu nie tylko w centrach miasta – bo tam w środku sierpnia wcale to nie dziwiło – ale i na prowincji, w rolniczych regionach. Oczywiście z powodu porywaczy ciężarówek z żywnością.

Właśnie przez tego typu problemy ciągle przekładał decyzję o ujawnieniu się. Przez całe lato lawirował – to już się prawie zdecydował, to znów stwierdzał, że nie, i wracał do wywożenia śmieci, jeżdżenia wywrotką, ładowania nieskończonych pociągów wiozących niezniszczalne plastiki w góry, żeby je poupychać w opuszczonych szybach kopalnianych, belowania odpadów kuchennych na kompost do projektów rekultywacji pustyń, deptania w ogromnych, twardych, przepoconych buciorach po górach szkła i zgniecionych puszek. Na swój sposób było to fascynujące. Za tysiąc lat te odpady, które teraz pomaga zakopać, może będą leżeć w gablotach w muzeach.

O ile będą jeszcze jakieś muzea.

\* \* \*

Wszystko się zdecydowało po tym ataku na wat w Denver. Gdy dowiedział się, że Zena schroniła się u Felice, zaledwie kilka kilometrów od niego, nie miał wyjścia, musiał zadzwonić i z nią pogadać. A dalej już wszystko wyniknęło logicznie. Jakby rozwijał się kwiat.

I oto przyszła, czekał na nią tylko godzinę. Tymczasem zaczęło padać – choć deszcz w Nowym Jorku już nie oczyszczał powietrza, zwilżał tylko brud – więc kiedy przeciskała się przez obrotowe drzwi, przypominała bezkształtny pakunek: plastikowy płaszcz, plastikowe jednoczęściowe wodery, łączące buty ze spodniami – taką kombinację widać było na co drugiej wystawie sklepowej – i do tego oczywiście maska filtracyjna. Nie spojrzała nawet w jego stronę, poszła prosto do kontuaru recepcji po klucz.

Zobaczył, jak recepcjonista nachyla się i mówi ścisłym głosem, że czeka na nią pan Smith.

Odwróciła się, rozejrzała po foyer i za pierwszym razem nie rozpoznała go. Nic dziwnego. Po infekcji, która zmieniła skórę głowy w żółte łuski,

wypadła mu większość włosów; był teraz w trzech czwartych łysy, a na odsłoniętej skórze widać było nieregularne, ziarniste blizny. Zakaziły się także brwi, stracił zewnętrzną połówkę prawej. Ponieważ stanowiły teraz wyjątkowy znak szczególny, zgolił symetrycznie pół lewej. Pogorszył mu się też wzrok, już umówił się z Felice na dobranie okularów. W sumie w ogóle nie przypominał tego Austina Traina, który parę lat temu znajdował się w centrum uwagi.

Nagle zareagowała. Podbiegła i objęła go. Boże kochany, co się porobiło z Peg Mankiewicz, Królową Lodu?

Ona płacze!

\* \* \*

W końcu się opanowała i odskoczyła od niego przerażona.

– Jezus, nie chciałam! Przepraszam!

– Czego nie chciałaś?

– Zniszczyć ci ubrania! Zobacz! – Uniosła spowitą w folię rękę i wskazała: tu, tu, tu – wielkie, mokre ślady wszędzie na jego nowym garniturze.

– To nieważne – powiedział Austin tonem nieznoszącym sprzeciwu. Cofnął się, zlustrował ją od stóp do głów i po chwili dodał: – Peg, kochana, zdaje się, że coś się zmieniło.

– Tak. – Uśmiechnęła się. Prześlicznie, uśmiech odbił się głęboko w jej ciemnych oczach. – Świat rozbił mnie na kawałki. A jak się z powrotem składałam, mogłam zdecydować, który kawałek gdzie wyląduje. Tę nową osobę lubię bardziej niż poprzednią.

Pośpiesznie zdjęła przeciwdeszczowe ubranie, otrząsając je, nie przejmując się co się stanie z dywanem – i tak był byle jaki – po czym przewiesiła je przez ramię, a drugą dłonią wzięła Austina za rękę. Takiego gestu nie było w repertuarze dawnej Peg.

– Boże, jak dobrze cię widzieć! Chodź, idziemy na... – Urwała w pół zdania, zachmurzyła się. – Kurczę. Zapomniałam. O tej porze po południu bar pewnie jest zamknięty. Połowa obsługi znowu się pochorowała.

Mononukleoza czy coś. Ale chodźmy, sprawdzimy, może się uda. Do mojego pokoju nie możemy iść, pełno pluskiew.

– Jakich pluskiew?

– Jednych i drugich. – Uśmiechnęła się sarkastycznie. – Zresztą na ulicy też mnie dość często śledzą. Ale w hotelu nie niepokoją. Mają w kieszeni recepcjonistów, płacą im, żeby meldowali o moich ruchach.

– To jest ten sam hotel, w którym...

– Zabili Arriegasa i Lucy Ramage? Oczywiście, ten sam.

– A czemu wróciłaś w to samo miejsce?

– Bo już rzygać mi się chce od tego ciągłego ukrywania się, albo ciągłego szukania nowych kryjówek. Stanę z otwartą przyłbicą i pies ich wszystkich trącał.

– I dużo ci z tego przyjdzie. Pomyśl o ludziach, którzy już tego próbowali. Lucas Quarrey. Gerry Thorne. Decimus!

– A z tobą co zrobią? – zapytała Peg, patrząc mu spokojnie w oczy.

Nastąpiła całkowita, martwa, przerażająca cisza, podczas której jego twarz była nieprzenikniona niczym kamienna maska, poza oczyma wyzuta z życia. Oczy zaś płonęły. Poczula, że otwiera usta, poczuła ciarki wzdłuż kręgosłupa. Zadygotała. Z jego spojrzenia wyczytywała wyrok.

Gdy się odezwał, było to niczym uderzenie pioruna.

– Ukrzyżują mnie.

\* \* \*

Potem zainstalowali się przy ciemnym stoliku w samym rogu, a pełen niechęci kelner w białej marynarce przynosił im drinki. Powietrze pachniało czymś paskudnie sztucznym, jak wszędzie ostatnio. Trzeba się było przyzwyczajać.

Była przerażona. Dopiero gdy kelner przyniósł zamówienie, odzyskała zdolność formułowania zdań – jednak zamiast zapytać o niego – czuła, że przed chwilą dowiedziała się aż za dużo i za szybko – powiedziała:

– Jak mnie wyśledziłeś?

Wyjaśnił, całkiem normalnym tonem, z pozoru rozluźniony.

– Rozumiem. A jak Zena zniosła śmierć dzieci?

– Jak to jak? Strasznie to przeżywa. Ale Felice jest dla niej bardzo dobra i jej mąż też.

– Rozmawiałeś z kimś jeszcze z wату? Będą zaczynać od zera w innym miejscu?

– Nie, po prostu rozproszą się po innych watach. – Austin westchnął. – Rozmawiałem przez telefon z Ralphem. Wygląda na to, że wszyscy są tak zmęczeni, tak sfrustrowani... Ten atak to była kropla, która przelała czarę. I tak było spore ryzyko, że nie przetrzymają zimy. *Jigras* zżarły im tyle zbiorów, a to, co zostało z zapasów, przesiąkło chemikaliami do gaszenia ognia. A wiesz, co było najgorszym ciosem?

Pokręciła głową.

– Właśnie mieli naradę w sprawie Puritana. Była Drew Henker, Tony Whitefeather, Rose Shattock. Spalił się jedyny kompletny egzemplarz raportu. Oczywiście spróbują go zrekonstruować, ale...

– Jezus Maria! – Peg zacisnęła pięści. – Czyli to też była robota Syndykatu, tak? Jak Thorne i Quarrey. Sama się zastanawiałam.

Austin zawahał się.

– Na mieście się mówi – szepnął w końcu – że samolot wynajął gość, który pracuje u Rolanda Bamberleya.

Peg rozdziawiła usta w kształt litery „O”.

– To nie może być prawda, co? Aż tak pierdzielnięty nie jest. Chyba? Znaczący, wiem, że jest przekonany, że trainiści porwali mu syna, ale gdyby naprawdę sądził, że trzymają go na wacie...

– Różne bzdury się mówi na mieście – przerwał jej Austin. – To wcale nie musi być prawda. Ale gdyby, to pewnie Bamberley chciał, żeby to było ostrzeżenie.

– Z drugiej strony, patrząc... – Peg machinalnie zamieszała drinka; mieszadełko było zwieńczone lilią. – Ty poznałeś kiedyś tego skurwysyna? Bo ja tak. Kiedyś robiłam z nim wywiad. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby wolał stracić syna niż wypłacić okup. Później wytłumaczyłby sam sobie, że chłopak zginął dla dobra ojczyzny.

– Co znaczy, że woli mieć zyski ze stacji oczyszczania wody niż odzyskać syna.

– Dokładnie. Dumny biznesmen, nie? – Peg uśmiechnęła się blado i kwaśno. – Ale z tym nic się już nie da zrobić. A wiesz w ogóle, kto ma tego chłopaka?

Austin rozłożył ręce.

– W Oakland szaleją wszelkie możliwe plotki. Nie wierzę w ani jedno słowo.

\* \* \*

Nastąpiła kolejna pauza, podczas której zbierała się na odwagę, by otwarcie zapytać o jego plany. Widząc go tak zmienionego, a mimo to w jakiś nieuchwytny sposób będącego sobą bardziej niż przez ostatnie trzy lata – może dlatego, że wróciła mu pewność siebie – niemal przekonała sama siebie, że tę pełną strachu chwilę przy drzwiach baru tylko sobie wyobraziła.

Mimo to jej ton wcale nie był stanowczy, gdy go spytała:

– Austin, a po co tu przyjechałeś?

– Wygląda na to, że podjąłem tę samą decyzję co ty. Zresztą nie bardzo „podjąłem”. Raczej zostałem do niej zmuszony. Mam cel, misję, Peg. Wcale nie chcę. Ale kto inny to zrobi?

– Nikt – odparła błyskawicznie i pewnie. – I miliony ludzi w tym kraju się z tobą zgodzą.

Zaśmiał się gorzko.

– Właśnie na tym polega paradoks. Pamiętasz, pytałaś mnie kiedyś, czy mnie nie boli, że mojego imienia używa się nadaremno? Otóż boli mnie. Jak cholera! Właśnie wreszcie się przekonałem, że nie mogę już tego wytrzymać. A nie jestem trainistą!

Peg znowu zadrzała, tym razem z podniecenia. Od tak dawna się o to modliła! Train patrzył gdzieś za nią w nieskończoność.

– Ale w sumie – dodał – Jezus nie był chrześcijaninem, prawda?

Wzdrygnęła się.

– Myślisz, Peg, że zwariowałem? Masz to wypisane na twarzy. – Nachylił się ku niej z poważną miną. – Ja też tak myślę przez większość czasu. A jednak... nie mam pewności. Czasem myślę, że przeciwnie, że właśnie jestem wyjątkowo zdrowy na umyśle. Jeśli chcesz, żebym ci konkretnie powiedział, co się ze mną działo, muszę cię rozczarować. Nie da się tego opisać, ja to zwyczajnie czuję. Po prostu... jakoś.... gdzieś pod tą paskudną łysą czaszką, gdzieś tam tkwi pewność. Wiedza. Jakby to spocone lato przy szuflowaniu śmieci nauczyło mnie czegoś, czego nie rozumie nikt inny. – Zrobił głęboki wdech. – Peg, mnie może się uda uratować świat. Wierzysz mi?

Gapiła się na niego przez dłuższą chwilę.

– Ja... – spróbowała powiedzieć, ale okazało się, że następne słowo nie chce wyjść z jej ust.

Dalej mu się przypatrywała. Spokojna twarz. Proste usta. Te dziwne, nieznanym brwi. Okulary, które... Gdzie się podziały, gdy dostrzegła tę błyskawicę w jego oczach? Wydawało się, że zanikają, roztapiają się, jakby ich nie było, tak że patrzyła mu prosto w duszę.

Wreszcie, szeptem:

– Jeśli już ktoś, to ty.

– Dobra. – Uśmiechnął się ponuro i wyprostował. – Tylko od czego zacząć? Przyjechałem do Nowego Jorku, bo to się wydawało logiczne. Myślałem... może program Petronelli Page? Jeśli mnie zechcą zaprosić.

– Zechcą? – Peg omal nie przewróciła szklanki. – Jezus, samego Prexy'ego by z programu wykopali, żeby zrobić miejsce dla Austina Traina! Dadzą ci pełną godzinę bez przerw na reklamy!

– Myślisz? – Zamrugął z niespodziewaną nieśmiałością. – Tyle czasu mnie nie było, myślisz, że teraz...

Walnęła pięścią w stół.

– Austin, niech mnie szlag! Nie dociera do ciebie, że jesteś najpotężniejszym człowiekiem w tym kraju? Możesz sobie myśleć różne rzeczy o tak zwanych trainistach, ale wybrali tę nazwę, bo ty istniejesz. Masz po swojej stronie każdego, kogo nie stać na opiekę medyczną dla dzieci – czarnych, białych, młodych, starych! Dopiero co przejechałeś przez

całe Stany, z zachodu na wschód. I co widziałeś wszędzie, od Watts po Tomkins Square? Nic tylko czaszki i piszczele, nie? I to hasło. „Przestańcie, przez was giniemy!”. Czekaają na ciebie! Czekaają z rozdziawionymi gębami!

– Wiem! – Prawie krzyknął. – Ale ja tego nie chcę!

– Ale to masz – powiedziała nieubłagany tonem. – I co z tym zrobisz, to już twoja sprawa. Ja ci to mówię. Poważnie. Co do zbawiania świata, to nie wiem, ale pewna jestem, że jak nie wstaniesz i się nie odezwiesz, to w tym kraju do zimy wybuchnie wojna domowa.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Przerwał ją jednym słowem:

– Tak.

I pozwolił, by trwała dalej.

W końcu jednak wrócił do siebie z wielu bardzo odległych miejsc i dodał nonszalanckim tonem:

– A wiesz, co jest dziwne? Że nie pamiętam nazwiska gościa, który ten symbol wymyślił.

– Znaczący, tę czaszkę? Myślałem, że to ty.

– Nie, to był jeden grafik, który opracowywał moje książki w International Information. Zrobił z tego takie małe logo i umieścił przy numerach stron, na dole. A ja zapomniałem, jak się nazywa. To niesprawiedliwe. To on zasługuje na uznanie.

– Może wolałby nie – podsunęła Peg.

– W takim razie go rozumiem. – Austin stęknął, patrząc na swoje dłonie na stole. – Czasami mam to okropne uczucie, że przestałem być sobą. Rozumiesz, o co mi chodzi? Że ktoś mnie sobie przywłaszczył i zrobił ze mnie świętego patrona zamachów bombowych, sabotażu, podpaleń, Bóg wie czego jeszcze. Może i gwałtów! Przecież czaszka i piszczele to miał być symbol ostrzegawczy. Jak znak promieniowania. A tu się okazuje, że jak ktoś po pijaku wybije szybę w sklepie, ukradnie samochód, włamie się do banku, to zaraz gdzieś na ścianie to namaże. Jak wygodny pretekst do wszystkiego.

– I co za nowość? To samo było z sufrażystkami w Anglii. Każdy drobny przestępca na odchodnym pisał na ścianie „Prawo wyborcze dla kobiet”.



A niektórzy robili to specjalnie, żeby skompromitować cały ruch. Ruch Wyzwolenia Kobiet tak samo.

– Chyba w sumie masz rację.

W roztargnieniu zaczął rysować na stole stylizowaną formę tego znaku, wodą z mokrych kręgów pozostawionych przez szklanki. Podkładek nie było. Trainiści uznali je za marnotrawstwo papieru, tak jak papierowe ręczniki, i w tym przypadku ich opinia się przyjęła.

– Tak – ciągnął – ale jeśli już jest coś, o czym można powiedzieć, że doprowadza mnie do szału, to właśnie ta świadomość, że zmieniono mnie w osobę, która nie istnieje.

– Przecież istniejesz.

– Tak mi się wydaje.

– To rusz się i to udowodnij. – Peg zerknęła na zegarek. – Kiedy chcesz się pojawić w programie tej Page?

– Naprawdę myślisz, że ci się uda to załatwić?

– Nie dociera do ciebie? Dawno nie jesteś osobą, dla której trzeba by coś takiego załatwiać! Mówisz i masz.

– No to mówię. – Opróżnił szklankę. – Jest tu gdzieś telefon?

## BEZPOŚREDNIE TRAFIENIE

*Cel:* baza raketowa Grand Forks, Dakota Północna.

*Broń:* środek psychomimetyczny wprowadzony do rzekomo bezpiecznych artykułów spożywczych, dostarczanych do domu majora Eustace'a V. Barleymana, jednego z oficerów odpowiedzialnych za grupę jedenastu pocisków „Minuteman” o kryptonimie „Five West Two”. Spożył go w porcji duszonych śliwek, które zjadł do śniadania, w samotności, po zakończeniu służby.

*Skutek:* omal nie zabił swojego syna Henry'ego, l. 6, oraz córki Patricii, l. 4.

*Podejrzani:* dowolni sympatycy Tupasów z dostępem do tych produktów.

\* \* \*

Implikacje były poważne.

Stan wyjątkowy rozlał się po kraju jak pożar.

## AUTENTYK

– Jezus Maria, on będzie miał największą oglądalność w historii telewizji! W środę po Świącie Pracy, kiedy wszyscy są bez kasy i siedzą w domu! Trzeba będzie jakoś na nich wpłynąć.

– Guzik na nich wpłyniesz. Cholerny Prexy! Pierwszy raz się zdarza taki pyskaty prezydent! Wszystkie media mu kibicują!

– No to na Traina trzeba będzie wpłynąć. Bo... ten... to jest Train, nie? Żaden cholerny sobowtór?

– Chyba tak, wszystko się składa. Mieliśmy raport z L.A., sprzed wielu miesięcy, że pracuje u śmieciarzy, pod nazwiskiem Smith, ale uciekł stamtąd i potem tylko nabieraliśmy się na różnych sobowtórów. Ale teraz sprawdziłem odciski na szklance do piwa. Train na sto procent.

– Jakież pomysły, czemu nagle teraz postanowił się ujawnić?

– Musi mieć coś dużego. Tyle. Nic nie wiadomo.

– A co by dla niego było odpowiednio duże?

– Może coś, co by doprowadziło do odwołania Prexy'ego?

– No, skoro tak... eee, cholera. Wkręcasz mnie i tyle.

– Przysięgam, że nie. Ale jedno jest pewne: kiedy tylko ABS zacznie zapowiadać ten program, do telewizorów polecą dwadzieścia czy trzydzieści milionów ludzi, chcących, żeby im powiedzieć, co mają robić. Teraz wiem, jak musieli się czuć Niemcy, kiedy czekali na wynik Hitlera w wyborach.

– Może i tak. No cóż, będzie musiał po prostu zniknąć, nie? Zagadaj z Operacjami Specjalnymi, niech...

– On to przewidział.

– Co?

– Dał ABS-owi taśmę, którą mają odtworzyć, jeśli nie stawi się na program. Nie ruszymy jej, jest w ich sejfie w banku Manufacturers Hanover. I możemy być pewni, że jeśli go nie będzie w programie, to już Page zrobi z tego odpowiednią aferę.

– Zabezpieczył się na wszystkie fronty.

– No właśnie.

## NIE PODDAJE SIĘ ŚCISŁEJ ANALIZIE

*Sprawiedliwość:* Komisja ustaliła, że w żadnej próbce Nutriponu przechowywanego w zakładzie nie występował żaden środek psychomimetyczny. Wykluczone, by to ta substancja spowodowała zamieszki na terenie zakładu. Zostało to udowodnione ponad wszelką wątpliwość, przyznaje to nawet ONZ.

*Obrona Narodowa:* Z drugiej strony, badania produktów spożywczych z domu majora Barleymana wykazały, że taki środek został wprowadzony do kilku z nich. Jego charakterystyka odpowiada...

\* \* \* TA CZĘŚĆ STENOGRAMU DOSTĘPNA TYLKO DLA PERSONELU  
O UPRAWNIENIACH DOSTĘPU DO INFORMACJI NIEJAWNYCH  
NA POZIOMIE 3 GWIAZDEK \* \* \*

...wywołuje nieprzewidywalne zaburzenia umysłowe i inne nieakceptowalne skutki uboczne. Wskutek tego od roku 1963 nie prowadzono nad nim badań.

*Wywiad:* Chyba jest dość istotne, że paru informatorów mówiło nam, że w Hawanie rzekomo dokonano syntezy tej substancji, która według Tupasów znajdowała się w żywności z pomocy humanitarnej w San Pablo. Dokonali tego na podstawie prac Duvala z Paryża.

*Zdrowie:* Zestawiając to z już bezspornie udowodnionym faktem, że czas i miejsce pierwszych wybuchów epidemii tego katastrofalnego zapalenia jelit idealnie zbiegają się z etapami podróży pewnego obywatela innego kraju podczas poprzedzających kilku tygodni, rzekomo w legalnych celach biznesowych...

*Rolnictwo:* Nikt mnie nie przekona, że te cholerne *jigras* same z siebie zyskały odporność na tak szeroki repertuar pestycydów. Albo że renomowana firma importująca owady mogła przeoczyć obecność innego robaka w tak wielu partiach towaru.

*Stan:* Oczywiście zatem, że nie mamy do czynienia z izolowanym fanatykiem, jak w przypadku ataku tymi balonami zapalającymi na San Diego.

*Prezydent:* Tak, nasuwa się tylko jeden wniosek. Proszę o wasze zdanie w kwestii, czy upubliczniać tę sprawę, ale nie ma już żadnych wątpliwości. Stany Zjednoczone są celem ataku.

wrzesień

## MATKOGWAŁT

*...Śród odoru jak z dna piekła,  
Aż łza mi niemęska po policzku pociekła.  
Czarni jak Maurowie wielcy Odlewnicy  
Powiedli mnie w głąb swej nieznośnej ciemnicy,  
Rozwarli pieca iglicę, buchnął kłęb ogniowy,  
Woda mi w ciele wyschła jak na skwarzym piasku,  
Wzrok poraziło siłą potwornego blasku,  
Jakbym spojrział prosto w słońce tropikalne  
Lub nocą na błyskawicę wśród burzy nawalnej,  
Nad jamą wielkiej Hekli, dziwując umysłem,  
Jak Człowiek przez Boga mu danym przemysłem  
Żywiół Salamandry do pracy przymusił,  
Metal uwiezion w skale z onych skał wydusił,  
Wykuł Piły, Nożyce, Pług na rolną wyrękę,  
Szyszaki na głowę, Miecze włożył w rękę,  
Skalpele dla chirurgów, by innych leczyli,  
Wszelakie inne dobro, by się bogacili...*

„De Arte Munificente”, XVII wiek

## MARTWOTA

*...który eksperci od ruchu samochodowego z całego kraju jednomyślnie składają na karb obaw przed atakami trainistów. W wielu miejscach liczba aut na godzinę była najniższa od trzydziestu lat. Ci zaś, którzy jednak wypuścili się gdzieś na Święto Pracy, często nie spotkali się z gościnnym przyjęciem. W Bar Harbor w stanie Maine mieszkańcy stworzyli patrole obywatelskie, niewpuszczające do miasta ludzi w autach parowych i elektrycznych, posiadających zdrową żywność i innych domniemanych trainistów. Mamy sygnały o dwóch ofiarach starć pomiędzy turystami i mieszkańcami. Dwie kolejne – wskutek wypadków w Milford, Pensylwania, gdzie klienci restauracji, rozłoszczeni niedostępnymi pozycjami z menu, podpalili ją koktajlami Mołotowa. Właściciel wyjaśniał później, że dostawy zostały zakłócone przez uprowadzenia ciężarówek z żywnością. Prexy, zapytany o komentarz nad brzegiem swojego prywatnego jeziora w Minnesocie, powiedział, cytując: „Każdy człowiek ma prawo do steka z ziemniakami”. Koniec cytatu. Kalifornia: eksperci oceniają uszkodzenia mostu San Francisco-Oakland wywołane ostrzałem z moździerza...*

## ZA DUŻO PROBLEMÓW

– Nie możemy tego ciągnąć – powiedział z uporem Hugh. – Za dużo tu problemów. Jezus, w dwa dni przeszukiwali mnie cztery razy.

– I co, papiery nie strzymały? – burknął Ossie.

– Głupku, jakby nie strzymały, toby mnie tu nie było! Ale ile jeszcze? Nie, Ossie, trzeba dzieciaka puścić.

– Ale stary nie spełnił żądań!

– I w życiu nie spełni, ten dziad! – warknął Carl. – Ma kompleks Abrahama jak stąd do Vermont.

– A Hector jest chory – zauważyła Kitty. Była niespotykanie trzeźwa. – Od tygodnia prawie nic nie jadł. A jakie klocki wali, bueee! Rzadkie i śmierdzące. I poci się jak szczur.

Ossie zwrócił się do dwóch pozostałych obecnych, Chucka i Taba, także pomysłodawców.

– Hugh ma rację – powiedział Chuck. Machinalnie podrapał się w kroku; pchły i wszy były gorsze niż nawet nad Zatoką.

Tab kiwnął głową.

– Jeśli go wypuścimy, trzeba się będzie rozjechać, i to daleko – powiedział po chwili Ossie. Minę miał złą, ale brzmiał, jakby od dłuższego czasu spodziewał się tej decyzji.

– Nie ma ciśnienia – stwierdził Hugh. – Pewnie, widział nas, ale nie ma pojęcia, kim jesteśmy. Poza mną, a to już mój problem. – Poczul się heroicznie, wypowiadając te słowa. Trenował je wcześniej. – Ossie, ciebie zna tylko jako „Austina Traina”, nie?

– A widzieliście, że ABS znalazła Traina? – wcięła się Kitty.

– Pewnie! – odpowiedzieli wszyscy chórem, a Ossie dokończył:

– Jedno wam powiem! Jeśli ten dziad nie powie tego, co trzeba powiedzieć, to pojedę prosto do Nowego Jorku i łeb mu urwę. Chyba że ktoś będzie miał bliżej i mnie uprzedzi.

– OK – mruknął Hugh i wrócił do rzeczy. – Resztę kojarzy po imionach, ale Hugh, Chucków i Tabów jest jak psów. I Kitty też. Przykro mi, kochana, że chata przepada.

Wzruszyła ramionami.

– Nic szczególnego tu nie mam. Mogę się wynieść z jedną torbą.

– Ale chyba nie możemy po prostu wyprowadzić go na ulicę i puścić – zaniepokoił się Tab.

– Zmyjemy się po prostu, jak będzie spał – skontrolował Hugh. – Drzwi nie zamkniemy. Będzie chciał, to po prostu wyjdzie.

– A jak będzie zbyt chory? – zapytała Kitty.

– Kurde, w dwadzieścia cztery godziny chyba nie umrze. Tyle czasu wystarczy, żebyśmy się rozjechali, potem tylko telefon na psiarnię, żeby przyszli go poszukać, jeśli sam nie wylezie... Ossie, co ty robisz?



Ossie wyciągnął notatnik i długopis. Nie podnosząc głowy, odparł:

– Wymyślę list, który musimy zostawić. Trzeba powiedzieć, o co nam chodziło. Że dawaliśmy gówniarzowi najlepsze żarcie, z Puritana, nie? I wodę z kranu, bo akurat nie ma ogłoszenia, że się nie nadaje. Więc jeśli i tak się rozchorował, to wszystko przez tych skurwysynów, co rozpiekdzielili cały świat, nie?

Kiwają głowami.

– I dlatego że stary bardziej kocha kasę niż swojego syna, nie? Nie chce rozdawać biednym oczyszczalni wody.

– Może i na dobre wyszło – rzucił Carl.

– Co?

– W Kolorado wszystkie zatykają się bakteriami. Jest wielka afera. Mówi się, że pozwą producenta do sądu.

– O tym nie napiszę – stwierdził Ossie.

\* \* \*

Ciemność. Ale upstrzona jaskrawymi i strasznymi obrazami z koszmarów. Niedobrze mu było. Cały był mokry od potu. Bolał go penis, bolał go odbył, bolał brzuch. Wrzeszczał, żeby ktoś do niego przyszedł.

Nikt nie reagował.

Spróbował wstać i przewrócił się na posłanie, objając sobie biodro i lewy łokieć. Pokuśtykał do drzwi, żeby w nie załomotać. Po drodze przewrócił nocnik i ochlapał sobie stopy moczem i płynnym kałem.

Od walenia drzwi się otworzyły. Był zbyt nieprzytomny, by dotarło do niego, co się stało, i zaczął ponownie w nie łomotać. Trafił pięściami w powietrze. Przewrócił się, jęcząc i płacząc. Za drzwiami był pokój z podłogą zasłaną brudnymi materacami. Trochę światła z latarni. Niebo ciemne. Po raz pierwszy od wieków widział niebo.

Krzyknął raz jeszcze, chrapliwie. Świat zakołysał się. Był pewien, że ma gorączkę. Bolało go wszystko. A w spodniach miał coś ohydneho, i z przodu, i z tyłu. Piekło. Prawdziwe piekło. Świat powinien być czysty, jasny, przyjemny!

Coraz słabszy, powlókł się, pojękując, do drzwi wejściowych mieszkania i stwierdził, że one także są otwarte i wychodzą na schody. Spadł z nich, po dwa, trzy stopnie. Wylądował w parszywym holu, gdzie załatwiały się liczne dzieci, a być może i dorośli. Jakby wiosłował w ściekach. Dotarł jednak do drzwi wychodzących na zewnątrz. Wspiął się po nich, żeby sięgnąć do zasuw. Za nimi był jeden stopień. Z niego też spadł, rozłożył się jak długi na twardym chodniku, krzycząc:

– Jestem Hector Bamberley! Pomóżcie! Jest nagroda! Ojciec da wam nagrodę!

Ale naćpanych i obłąkanych chłopców oglądało się tu codziennie, a poza tym wszyscy wiedzieli, że Roland Bamberley otwarcie odmówił zaoferowania nagrody za syna, z obawy, że dostaną ją jego porywacze. Minęła ponad godzina, zanim któryś z rzadkich przechodniów potraktował go poważnie, a wtedy już wpadł w delirium.

Poza tym powietrze w kilka minut pozbawiło go głosu i trudno było zrozumieć, co mówi pomiędzy atakami kaszlu i wymiotów.

\* \* \*

– I jak? – Roland Bamberley, szczuplejszy niż starszy Jacob, aktywny fizycznie i lubiący przebywać na świeżym powietrzu, o ile można je tak jeszcze nazwać, dumny ze swojej żylastej, twardej urody pioniera Dzikiego Zachodu, zwrócił się do wychodzącego z sali szpitalnej zamaskowanego człowieka.

Lekarz, zdejmując maskę, ze znużeniem przesunął dłoń po czole. Powiedział:

– No cóż...!

– Proszę mówić! – Surowo, jak patriarcha, który jest pewien, że ma aprobatę Pana Boga.

– Lista jest długa – odparł doktor i usiadł, wyjmując z kieszeni kitla notatnik. – Miał kilka przebłysków przytomności, ale przez większość czasu, hmm... majaczy. Zaraz... A, no tak. Mówi, że karmili go dobrze. Że porywacze dawali mu wyłącznie jedzenie z Puritana i ciągle narzekali,

jakie jest drogie. Dostawał regularnie śniadanie, obiad i kolację. Ale musiał pić wodę z kranu. Prosto z kranu.

– I? – Żadnych zauważalnych emocji.

– Ma zapalenie wątroby. Ostre. Wysoką gorączkę, trzydzieści osiem i osiem. Do tego ostrą biegunkę, podejrzewam zapalenie jelit lub czerwonkę. Żeby to stwierdzić, trzeba poczekać na badanie kału. To najważniejsze rzeczy.

– Co jeszcze?

To był rozkaz. Lekarz westchnął i oblizał usta.

– No... Choroba skóry. Niegroźna. Liszajec. Tutaj, w slumsach, to powszechne. Jedno oko trochę podrażnione, pewnie zapalenie spojówek. To też powszechne. Język opuchnięty, plamy; wygląda na kandydozę. Zakażenie grzybem. Mówi się też na to: drożdżyca. No i oczywiście ma wszy łonowe i pchły.

Maska opanowania Rolanda Bamberleya przysła jak cienki lód.

– Wszy? – wychrypiał. – Pchły?

Doktor spojrzał na niego, uśmiechając się kwaśno.

– Tak właśnie. To byłby prawdziwy cud, jakby ich uniknął. Występują w niemal jednej trzeciej budynków w tym mieście. Są odporne na insektycydy, nawet te nielegalne. Spodziewam się, że także zapalenie jelit i wątroby okaże się lekooporne. Teraz przeważnie tak jest.

Policzki Bamberleya zszarzały.

– Coś jeszcze? – zapytał spiętym głosem kogoś, kto szuka pretekstu do bójki i chce dostać jeszcze jeden prztyczek, aby wreszcie móc wyładować pokłady złości.

Lekarz zawahał się.

– No już, wyduś pan to z siebie! – Niczym grubym pilnikiem po twardym drewnie.

– Proszę bardzo. Ma także rzeżączkę, bardzo zaawansowane stadium, a skoro tak, to praktycznie musi mieć nieswoiste zapalenie cewki moczowej, a od tego prosta droga do kiły. Chociaż z tym to trzeba poczekać na odczyn Wassermanna.

Długa cisza. W końcu Bamberley powiedział:

– Ale przecież to gorzej niż zwierzęta. Ludzie nie mogą tak żyć.  
– Muszą tak żyć – odparł doktor. – Nie mają wyboru.  
– Bzdury pan gada! Pchły? Wszy? Choroby weneryczne? Oczywiście, że mają wybór! – warknął Bamberley.

Doktor wzruszył ramionami. Niepolitycznie spierać się z kimś tak bogatym. Odkąd zmarł mu brat, Roland miał niewiarygodnie olbrzymi majątek. Był najbliższym krewnym – adoptowane dzieci Jacoba nie odziedziczyły nic.

Ani Maud.

– Mogę się z nim zobaczyć?

– Nie, proszę pana. Ze względów medycznych. Dałem mu leki nasenne i musi odpocząć co najmniej dobę. Zresztą połączenie wszystkich tych środków, które dostał i tak... hmm... zaburzyłoby mu władze umysłowe.

– Ale chyba antybiotyki... – Bamberley tropił, jak pies gończy, który zwęszył nowy zapach. Stwierdził podejrzliwie: – To jeszcze nie wszystko. Pan mi wszystkiego nie powiedział.

– Ja pierdzielę! – Doktor w końcu stracił cierpliwość. Pracował przez trzy godziny bez przerwy. – No tak, proszę pana! Hodował go pan w tym praktycznie gnotobiotycznym środowisku, więc nie ma prawie żadnej naturalnej odporności! Podrażnione migdały! Zapalenie gardła! Uczulenie na różne syfy, jakich Puritan dodaje do tej swojej „czystej” żywności! Zadrapania, które się zakaziły, czyraki na dupie pełne śmierdzącej ropy! Czyli dokładnie to, co musi znosić każdy, kto żyje tak, jak on żył przez ostatnie parę miesięcy, tylko bardziej!

– Każdy? – Groźny, stalowy ton.

– Pewnie, że każdy! Na moje oko porywacze właśnie coś takiego chcieli pokazać.

Wypowiedziawszy te słowa, od razu wiedział, że posunął się za daleko. Bamberley skoczył na równe nogi.

– Pan sympatyzuje z tymi bandytami! Niech pan się nie wypiera!

– Tego nie powiedziałem...

– Ale taki był sens!!! – ryknął. – Niech pan sobie sprzedaje te parszywe trainizmy gdzie indziej!

Doktor tylko przez chwilę zastanawiał się, czy odpowiedzieć szczerze, czy może zachować honorarium i powiększyć swój dochód. Wybrał tę drugą, rozsądną, opcję. Zastanawiał się nad wyjazdem do Nowej Zelandii.

– Nie chciałem pana urazić – powiedział uspokajającym tonem. – Chciałem tylko podkreślić, że pana syn nie choruje na nic... ehem... nadzwyczajnego. Nie bito go, nie głodzono, nie torturowano. Wyjdzie z tego.

Bamberley łypnął na niego wrogo, podejrzewając ironię. Zapytał:

– Coś w ogóle mówił o tych porywaczach?

– Nie za bardzo. – Doktor westchnął.

– Pan jeszcze coś ukrywa. Ja od lat pracuję z ludźmi. Widzę takie rzeczy.

– Więc... – Lekarz musiał oblizać usta. – Oczywiście wspominał taką dziewczynę, Kitty. On już nie jest prawiczkim.

– Przez jakąś kurwę, co zaraziła go tryprem!

– No, wie pan, musiał jednak współpracować. To znaczy... przecież chłopaka nie da się zgwałcić, prawda?

– Jest pan pewien, że nie został zgwałcony? – zazgrzytał Bamberley.

– Co takiego? A! – Doktorowi przez chwilę wydawało się, że nie zdoła powstrzymać się od uśmiechu. – Nie! Może pan być pewien, że nie był ofiarą napaści homoseksualnej.

– To podobne do tych skurwysynów! – Bamberley zerknął na zegarek. – A co jeszcze mówił, odkąd go przywieźli? Szybko! Policja przyjdzie tu, jak tylko skończą przeszukiwać tę norę, w której go trzymali, a wtedy to już będzie pan musiał mówić, nie?

Lekarz niechętnie przyznał:

– No, jedna rzecz...

– Już! Szlag by...

– No cóż, w kółko powtarzał, że porwał go Austin Train. – Doktor pokręcił głową. – Nic z tego nie rozumiem. Pewnie to przez gorączkę.

## PRZESUNIĘCIE AKCENTÓW

Wszyscy oczywiście wiedzą, jaką wspaniałą pomocą dla każdego, kto się odchudza, jest Lenabix: zrównoważona kombinacja niezbędnych substancji odżywczych, dających zdrowie witamin i specjalnie dobranego środka uspokajającego. Czy przyszło państwu jednak do głowy, że jest on także doskonałym rozwiązaniem na problem, który ma coraz więcej gospodyń domowych, wcale niewalczących z nadwagą? „Co mogę mieć w zanadrzu na te rzadkie chwile, gdy zapasy się skończą, pamiętając, że mam ograniczony budżet?”. Tak! Odpowiedź musi brzmieć: Lenabix! Znakomita cena za tyle substancji odżywczych i witamin! Można też na nim polegać, że uspokoi dziecko, które zbudziło się w nocy i chce jeść. Po nim z powrotem zapadnie w dobroczynny, spokojny sen. A skoro już pani wstała, niech pani też się poczęstuje Lenabixem! Czemu nie? Lenabix!

## WROGOWIE SAMI WCHODZĄ MI W RĘCE

Och, wspaniale! Cudownie, fantastycznie, super, świetnie! Petronelli Page już kończyły się pasujące do sytuacji superlatywy. A tak niewiele brakowało, żeby wszystko przegapiła – telefon, którego nie chciała odebrać, bo była wściekła, że znowu przeszukiwali jej mieszkanie – kolejny raz rewizja, dom po domu, trzecia w tym miesiącu! Jezus, człowiek by myślał, że tych trainistów to się szuka tam, gdzie ich miejsce – w slumsach!

A potem zmieniła zdanie, bo nazwisko „Peg Mankiewicz” z czymś jej się niewyraźnie kojarzyło i nagle: wow! Prawdziwy Austin Train! Człowiek, od którego cały kraj – cały świat – nie mógł się doczekać choć słowa, który ukrywał się przez czterdzieści miesięcy i właśnie jej program wybrał, żeby przerwać milczenie. Researcherzy ustalili tę liczbę, wymowną, czterdzieści – i to dokładnie – aż ociekającą biblijnymi skojarzeniami. Czterdzieści dni deszcz padał na ziemię, czterdzieści dni pościł na pustyni Jezus kuszony przez diabła...

– Ktoś mógłby pomyśleć, że faktycznie zaprosiłaś Jezusa do programu! – rzucił ze złością Ian Farley podczas którejś z nerwowych narad

przygotowawczych.

– Bo tak jest!

Więcej się nie odezwał. Co, może nieprawda, że ekipa od ukrzyżowania jest już gotowa i po próbach? Choć nie zamierzała pozwolić na to, by ukrzyżować go od razu. Ian spodziewał się, że tak – dwa dni mu to tłumaczyła i wyjaśniała Górze. Ukrzyżowanie będzie w drugim programie – nie słyszeliście nigdy o prawie do obrony?

Przecież tylu ludzi tego zażąda!

\* \* \*

ABS nigdy w całej swojej historii nie reklamował tak intensywnie żadnego uczestnika programu. Właściwie to Petronella też nie. Ale było ważne, żeby program faktycznie się odbył. Dział badania opinii widzów dostał dwa pytania: ilu widzów obejrzy pierwszy program, bo słyszeli, że będzie w nim Train, a ilu obejrzy drugi, bo widzieli pierwszy, albo dlatego, że go przegapili?

Odpowiedź w obu przypadkach wyniosła imponujące sześćdziesiąt milionów.

\* \* \*

Groźby oczywiście posypały się już parę minut po pierwszym zwiastunie programu. Począwszy od rutynowych gróźb o podłożeniu bomby, aż po ostrzeżenie, że uzbrojeni ochotnicy zajmą studio i urządzą w programie obywatelski sąd, który osądzi Austina Traina za zdradę. Zatem w ramach planu awaryjnego zawiadomili wszystkie kontrolowane przez siebie studia w promieniu siedmiuset kilometrów od Nowego Jorku, załatwili dodatkowe linie transmisyjne i telefoniczne, tak aby na pół godziny przed porą emisji mieć jeszcze kilka dostępnych opcji. Po czym zaplanowali prawdziwą emisję – Train nie zgodził się na nagranie programu wcześniej – z lokalu nieużywanego nigdy dotąd: nieczynnego

kina, które kupili jako miejsce do prób i mieli i tak do jesieni zamiar wyremontować. Nawet technicy instalujący mikrofony i kładący kable nie mieli pojęcia, że to studio zostanie wykorzystane do kluczowej realizacji. Wiedzieli tylko, że dostają rekordowe wynagrodzenia.

Z drugiej strony, w ich fachu ciężko było ostatnio o ludzi.

\* \* \*

– Sześćdziesiąt milionów, tak? Wcale nie jestem zdziwiony – powiedział Train, i to nie była próżność. Miał powody tak sądzić.

Siedział z Petronellą w penthousie pod silną ochroną; Góra od razu zażądała, żeby go w czymś takim umieścić, na ich koszt, kiedy się dowiedziała, że mieszka w tym samym obskurnym hotelu, co Peg Mankiewicz. Ta zaś stała z tyłu i trochę z boku za nim, dokładnie tak samo, jak wtedy, gdy Petronella pierwszy raz się z nimi spotkała. Jak ochroniarz. Nie jak kochanka; ABS przekonało się, podsłuchami i podglądami, że śpi sama, i on też. Nic dziwnego, pomyślała raz czy dwa Petronella. Sama była zde gustowana tym, jak ten facet teraz wygląda – łysy i z paskudnymi szramami na czaszce. Poza tym odstręczała ją ta jego pomnikowość. Mówiąc, prawie nie ruszał rękoma, nie tykał tytoniu, trawy, khatu, niczego mocniejszego niż piwo czy wino, a i to w bardzo małych ilościach.

Peg za to była niesamowicie atrakcyjna. Ale researcherzy ABS-u mówili, że jest ściśle hetero.

No to szkoda. Petronella skupiła się z powrotem na tym, co mówił Train.

– Parę lat temu byłoby inaczej. Taką publiczność mogłyby zebrać tylko wydarzenia naprawdę wielkiej wagi, lądowanie na Księżycu, pogrzeb zamordowanej sławnej osoby... Teraz jednak ludzie mało wychodzą z domów – w miastach, bo to niebezpieczne, na prowincji – bo po co wychodzić? Przez falę purytańskiej reakcji pozamykaliśmy połowę kin, normalnych, i większość samochodowych, zwłaszcza te, które były centrum życia towarzyskiego, a przez ciągły lęk przed niedoborami ludzie o wiele rzadziej jeżdżą na zakupy, co najwyżej raz na tydzień, bo w domu trzymają tyle zapasów, że mogliby przetrwać oblężenie. I dlatego dla



większości ludzi telewizja jest teraz jedynym kontaktem ze światem, oprócz codziennej pracy.

Oho. Może zejdzie na siły porządkowe. Petronella zarzuciła haczyk z przynętą i się udało.

– Ale policja dąży do tego, żeby ludzie się jej bali, i to często bardziej niż przestępców. Inteligentni młodzi ludzie szybko nabierają tego nawyku i z nim dorastają. Niedawno na przykład widziałem, jak na wielkim obszarze Oakland, dwadzieścia kwartałów, zrobili gigantyczną łapankę na wszystkich mężczyzn poniżej trzydziestki. Większość spędziła noc pod celą. Nic dziwnego, że mamy dwanaście miast, w których trzeba było wprowadzić stan wyjątkowy.

– Ale przecież szukają uchylających się od służby, czyli z definicji przestępców...

– Raczej rewolucjonistów, obojętne, świadomych czy nie. Nasze społeczeństwo hoduje przestępców. Pasą się na nim jak kleszcze krwią owcy. Tylko po przejściu przez pewien punkt wolą się dostosować niż stawiać opór. Na przykład pieniądze zarobione na szmuglu finansują teraz Puritana, wiele starych, znanych angielskich rodów pierwsze pieniądze zdobyło z piractwa. Natomiast uchylający się chcą wyjść z tego układu, który w oczywisty sposób upokarza jednostkę i niszczy jej środowisko.

Mniam.

– Jednak ludzie, którzy nie chcą się uczyć, jak bronić ojczyzny...

– Nie. Armia uczy czegoś zupełnie innego.

Pozwoliła mu przerwać. Miała gościa, który nie musi przechodzić normalnego przesłuchania. Dajmy mu własnymi ustami wydać na siebie wyrok. A wychodziło mu to lepiej niż w jej najśmielszych marzeniach.

– To dla człowieka naturalne, bronić tego, co dla niego ważne: życia, domu, rodziny. Ale żeby zmusić go do walki za rządzącymi, za bogatymi i możnymi, którzy są zbyt sprytni, żeby sami walczyć – w skrócie: żeby bronić nie siebie, ale ludzi, których się nigdy nie poznało, albo wręcz nie chciałoby się z nimi znaleźć w tym samym pokoju – trzeba człowieka tak uwarunkować, żeby polubił przemoc nie jako środek, ale dla niej samej. Wynik? Społeczeństwo musi się bronić przed swoimi obrońcami, bo to, co

chwalebne na wojnie, w czasie pokoju uznajemy za psychopatyczne. Człowieka łatwiej zniszczyć niż naprawić. Proszę zapytać dowolnego psychoterapeuty. A potem spojrzeć na statystyki przestępczości wśród weteranów.

Petronella nie posiadała się z radości. Jak na razie, jeśli to jest próbka tego, co chce powiedzieć podczas programu na żywo, to po paru słowach podpadłby obu dużym partiom politycznym, siłom zbrojnym, wszystkim organizacjom byłych żołnierzy, z wyjątkiem sentymentalnego Podwójnego V, wszystkim wielkim biznesom, policji oraz każdemu, kto jeszcze im ufał. (A także Puritanowi, jednemu z jej sponsorów – choć większość ludzi z Syndykatu, których spotkała, raczej była dumna ze swojego gangsterskiego rodowodu i nie przeszkadzało im, że ktoś o tym wie).

O, tak, tak! Będzie \*S\*E\*N\*S\*A\*C\*J\*A! Już prawie widziała te wielkie niebieskoczerwone tytuły dzień później.

Zapamiętać: dołożyć linii telefonicznych i operatorów do odbierania rozmów.

– W takim razie – kąśliwie – co pan zrobił w kwestii tych ludzi, którzy nazywają się trainistami, zabijają ludzi i wysadzają budynki, więc ogólnie rzecz biorąc, pasują do tego, jak pan opisuje armię jako horde szaleńców?

– Nic. Nie jestem bardziej odpowiedzialny za działania trainistów niż Jezus za zachowanie chrześcijan, na których Paweł z Tarsu przeniósł swoje osobiste neurozy.

Do listy obrażonych dodajemy kościoły. Tylko tak dalej, mój kochany!

– Czyli nie pochwała pan sabotażu i podpaleń?

– Nie pochwalam sytuacji, która zmusiła ludzi do sięgnięcia po tak desperackie środki. Jest przecież coś takiego jak słuszny gniew.

– Uważa pan, że ich gniew jest słuszny, podczas gdy my widzimy za nim tylko anarchię, nihilizm, świat, w którym każdy człowiek zwraca się przeciwko swemu bratu?

– Nie przeciwko bratu. Człowiek, który zatrul się dodatkami do żywności Universal Mill, wie kto jest jego bratem: to nieznajomy, który głoduje w Afryce, bo idiotyczna wojna zniszczyła mu pola uprawne. Bratem człowieka, który musi poświęcić pół pensji na leczenie dziecka

z wrodzonymi wadami, jest wieśniak z Laosu, którego żona zmarła podczas aborcji zdeformowanego płodu. Więc nie przeciwko bratu. Przeciwko wrogom swego gatunku. A to, że przypadkiem też są ludźmi... no cóż, ubolewam. Ale czy komórka nowotworowa w twoim płucu czy wątrobie jest tam milej widziana, bo wyrosła z twojego własnego ciała?

To ją niespodziewanie poruszyło. Raka się bała. Wśród przyczyn, dla których nigdy nie wyszła za mąż, była właśnie myśl o ciąży jako rodzaju złośliwego nowotworu, niekontrolowanej, niezależnej narośli w brzuchu. Odezwała się szorstko, by odgonić takie myśli.

– Czyli pochwała pan przemoc jako operację chirurgiczną.

– Ludzie, którzy ją spowodowali, nie mają prawa oponować, tak jak długoletni palacz nie ma prawa narzekać na raka i zapalenie oskrzeli.

– Ja powiedziałabym, że mają to prawo jako ktoś, komu obiecano operację chirurgiczną, a okazuje się, że robi ją miejscowy rzeźnik – odparła Petronella, całkiem zadowolona z nakreślonego obrazu. – Ucina nogę, rękę, pierś – Oj! Żeby tylko tak w programie nie powiedzieć! – i robi z pacjenta kalekę... Jeśli ktoś nie ma do zaoferowania lepszych alternatyw, to nie powinien się wtrącać.

– Ależ są lepsze alternatywy – powiedział Austin Train.

Wbił w nią wzrok, spod tych dziwnych, ściętych w połowie brwi. Całe pomieszczenie jakby cofnęło się na ogromną odległość.

\* \* \*

Oczywiście widziała go już wcześniej, zarówno osobiście – na dużej konferencji akademickiej, gdzie miał wykład – jak i w telewizji, gdy miał swoje pięć minut. Mimo jego łysiny była przekonana, że nie jest fałszywym Trainem, zanim jeszcze researcherzy wpadli na pomysł, żeby niepostrzeżenie zdjąć mu odciski palców i porównać z jego teczką w FBI – innymi słowy, dać w łapę odpowiedniej osobie. Pamiętała go jako elokwentnego i dobitnego mówcę o donośnym głosie i ciętej riposie. Któregoś razu na przykład osadził rzecznika przemysłu pestycydowego jednym zdaniem, do tej pory cytowanym przez ludzi na imprezach:

„Rozumiem, że ósmego dnia Bóg do pana zadzwonił i powiedział: »Wie pan co, z tymi owadami to ja zmienilem zdanie!«”.

Na razie to wrażenie sprzed lat się potwierdzało. Takich ludzi, elokwentnie wygłaszających kontrowersyjne poglądy, było jednak na pęczki, więc jeśli okaże się, że poświęciła cały program osobie, która nie jest kimś więcej...

Nagle poczuła, że z tych ciemnych oczu strzela w nią błyskawica. Siedziała jak zahipnotyzowana. Jak ptak zahipnotyzowany przez węża. Nie potrafiła później powtórzyć, co dokładnie mówił. Pamiętała tylko, że wciągnął ją, że się zatraciła, pochłonięta na dobre dziesięć minut. Przed oczyma stawały jej wizje wyciągnięte z zamierzchłej przeszłości: dłoń zamoczona w czystej rzecznej wodzie, rozkosznie chłodnej, podczas gdy słońce uśmiecha się, a ławica drobnych rybek śmiga między palcami; chrupki miąższ dojrzałego jabłka prosto z drzewa, tak soczystego, że sok spływa po brodzie; trawa pomiędzy palcami bosych stóp, tak sprężysta, że miała wrażenie, że płynie, niczym we śnie, w zwolnionym tempie, prosto na księżyc; niebo o zachodzie, wypacykowane w zachwycające czerwone smugi pod jasną stalowoniebieską warstwą chmur, gwiazdy zapalające się, jak na pstryknięcie, po wschodniej, ciemnej jego stronie; łagodny wiatr we włosach i na policzkach, niosący aromaty kwiatów, obsypujący ją płatkami; śnieg zimny w dotyku, ugniatany w śnieżkę; śmiech niosący się z ciemnej alejki, gdzie spacerowali tylko zakochani, a nie bandyci i złodzieje; masło niczym sztabka miękkiego złota; spienione czubki fal ostre i czyste jak krawędź siekiery; z tym samym klimatem bezpieczeństwa przy prawidłowym użyciu; polichromia okrągłych kamyków wokół basenu; deszcz, którego można nabrać spragnionymi ustami, czując wydestylowany smak powietrznego kontynentu... A to wszystko przeniknięte dogłębnie przekonaniem: „Da się coś zrobić, żeby to wróciło!”.

\* \* \*

Płakała. Drobne łezki, jak mrówki, żłobiły swędzące ścieżki w dół policzków. Gdy dotarło do niej, że zamilkł, powiedziała:

– Ja w ogóle nie miałam o tym pojęcia! Nic a nic! Ja się urodziłam i wychowałam w Nowym Jorku!

– Ale nie sądzi pani, że powinna pani to wiedzieć? – zapytał łagodnie Austin Train.

\* \* \*

W dzień emisji programu Petronella zbudziła się rano – czy raczej po południu, bo jej dzień był znacznie przesunięty – z mięśniami policzków napiętymi, na pograniczu skurczu, tak intensywnie i szeroko się w tym śnie uśmiechała.

A potem wszystko się na nią zważyło: ilu rzeczy dziś od niej oczekują.

Usiadła, bojąc się, że ulegnie pokusie zapadnięcia z powrotem w te rozkoszne sny, trafienia z powrotem do niemożliwego świata, gdzie ziemia jest czysta, drzewa zielone, a po czystym deszczu z nieba grzeje promienne słońce. Sięgnęła do nocnego stolika po papierosa, żeby o tym zapomnieć, lecz zamiast go zapalić, tylko z nachmurzoną miną obracała go w palcach.

Dzisiejszy świat wciąż istniał: powietrze na ulicach Manhattanu, którym oddychasz na własne ryzyko, w sklepach Manhattanu jedzenie, którego bezpieczniej nie kupować, deszcz z nieba Manhattanu, który w sekundę brudzi dobrą sukienkę i sprawia, że w podłą pogodę prosperują pralnie chemiczne, hałas, pośpiech – BUUUM! – startujący z lotniska Kennedy'ego naddźwiękowiec, sabotażysta mszczący się na budynkach, policjant usiłujący zatrzymać uciekającego podejrzanego.

Jasna cholera. Oszukał ją. Tamten świat nigdy nie mógł istnieć. To tylko mrzonki, bajanie o raj.

Choć, jeśli wyobraźnia Traina potrafi wyczarować takie wizje, to nic dziwnego, że nie tyka narkotyków.

W ogóle ich nie potrzebuje.

\* \* \*

W końcu sięgnęła po telefon, zadzwoniła do Iana Farleya i powiedziała:  
– Ian, skarbie, wiesz co? Zastanowiłam się. Do drugiego programu, tego z ukrzyżowaniem, potrzebujemy ludzi, którzy...

\* \* \*

Wizja jednak i tak ją dręczyła. Gdy wybrzmiało echo jej standardowego powitania, „Witaj, świecie!”, a na monitorze wyświetliły się reklamy sponsorów, patrząc na nie, już nie czuła dumy. Maski filtracyjne? My na tej planecie wyewoluowaliśmy, czemu mamy precedzać powietrze przed napełnieniem płuc? Parowe auta? Po co w ogóle auta? Ziemia jest po to, żeby po niej chodzić. Jeden człowiek, sportowiec z Anglii, przeszedł pieszo całą Amerykę Północną, żeby udowodnić, że to da się zrobić – podobnie w sumie robiły kiedyś masy ludzi protestujących przeciwko... czemuś. (Zapomniała czemu, to było dawno temu. Pewnie chodziło o jakąś wojnę, która została potem przerwana).

Jeszcze Puritan. Martwiła się, co z tym klientem. Train w swój prosty, dogmatyczny sposób powiedział jej, że trainiści ich zniszczą. Może byłoby politycznie się od Syndykatu zdystansować – ale to dopiero, gdy skończy się aktualna umowa. Ludzie z Syndykatu potrafią być brutalni.

Chciała porozmawiać z kimś z wату w Denver, który się spalił. Oczywiście miała Puritana za sponsora, nie było takiej możliwości...

A powinna być! Nagle, w niecałą minutę, zakwestionowała wszystkie podjęte decyzje jak prowadzić dzisiejszy program. Train przyszedł, zajął miejsce obok niej, ubrany w spokojną zieleń – musiała to być zieleń, prawda? Ona – w błękity, jak niebo, i biel. Podteksty, kochani, podteksty. A w tle? W tle, w pierwszym akcie panorama na ośnieżone pasmo górskie, potem szeroka, obrzeżona palmami plaża, potem las, falujące łąny zboża...

Oczywiście! Pies trącał ekipę do krzyżowania. Z tym się zawsze zdąży. Później. Dużo później. Na razie chcę się przekonać, czy ta jego charyzma

naprawdę trafi do ludzi.

Bo drugiej takiej okazji już nie będzie.

Natychmiast odzyskała spokój, samokontrolę, choć chwilę wcześniej była zdenerwowana bardziej niż wtedy, gdy po raz pierwszy dostała własny program. Uniosła wzrok, spojrzała nie na teleprompter, lecz na publiczność, zastanowiła się, jak ludzie zareagują. Bóg jeden wie, ilu ważnych gości się tu dziś zjawilo – zdawało jej się, że w każdym rządzie rozpoznaje kilkanaście twarzy, gwiazdy ABS-u, paru ważnych menedżerów stacji, cały zespół Body English, obecnie numer jeden na listach przebojów, Big Mama Prescott, obecnie numer trzy, paru profesorów, pisarz, reżyser filmowy, fotograf mody, psychoanalityk, biegacz-olimpijczyk, najdroższa dziewczyna do towarzystwa w Nowym Jorku...

Miała ochotę zatrzeć dłonie, gdy pomyślała o masie reklamożerców, przyciągniętej przed telewizory dwoma przymusami – trzydziestoma reklamami dziennie przez ostatni tydzień oraz ogólnokrajowym brakiem kasy, jak zawsze po Święcie Pracy.

Wdech, niezbyt głęboki, bo zaplanowała sobie, że przedstawi go zaledwie dwoma słowami: „Austin Train!”.

I...

Jak fizyczna rana. Jak dźgnięcie w plecy tuż pod lewą łopatką, wnikające prosto w serce. Coś jest nie tak. Coś się dzieje w studiu, na oczach ilu właściwie milionów ludzi? Ochrona? Gdzie jest, do cholery, ochrona? Kto tu wpuścił tych trzech typów, którzy idą środkiem przejścia, zwracając uwagę całej widowni? Jeden na czarno, jeden na szaro, jeden na niebiesko.

Rozdzielili się, czarny poszedł na prawo, szary na lewo, a niebieski, najważniejszy, pomaszerował wprost na nią, ściskając dużą, zapisaną kartkę papieru. I odezwał się, zanim ona zdążyła.

– Austin Train?

– Co takiego? – szepnęła, oszołomiona całym zajściem, niezdolna nawet użyć mikrofonu w oparciu fotela, żeby skontaktować się z Ianem Farleyem.

– Jestem agentem FBI – powiedział. Miał donośny głos, niósł się aż do mikrofonów Petronelli i Austina, które były włączone, żeby reklamożercy

ich słyszeli. – Mam nakaz aresztowania pana za współudział w porwaniu Hectora Rufusa Bamberleya, nieletniego, pozbawienie go wolności osobistej oraz zdrowia, mianowicie, że przyczynił się pan do zakażenia go... – zawahał się, świadomy, że słów, które wypowie, nie słyszy się często z telewizora – ...zapaleniem wątroby, kiłą, rzeżączką oraz innymi groźnymi chorobami. Przepraszam, pani Page, za przerwanie programu, muszę jednak doprowadzić do aresztowania. Pani Page...

– Pani Page chyba zemdląła – powiedział Austin, wstając i nadstawiając rękę do kajdanek.

\* \* \*

Później, gdy ją doprowadzono do stanu używalności, Ian Farley rzucił z furją:

– Porywał! Torturował! Bóg jeden wie co jeszcze, może i mordował! A ty chciałaś zrobić z niego bohatera! Nie zaprzeczaj! Widziałem to w twoich oczach.

## BY WYMIENIĆ ZALEDWIE KILKA

*Niebo nad Ameryką było nieprzezroczyste i blade jak bibuła.*

\* \* \*

I wszędzie głosy ludzi mówiących z powątpiewaniem:

– Kiedyś przecież tak nie było, prawda?

Oraz innych, odpowiadających pogardliwie:

– Opuść sobie te pierdoły o Starych Dobrych Czasach!

\* \* \*



*Mentalny cenzor przepisujący na nowo historię tym razem nie patrzy przez różowe okulary, ale przez szare.*

*\* \* \**

Czytając, można by rzec, od góry do dołu:

*Martwe satelity.*

*Porzucone pierwsze i drugie stopnie rakiet, głównie drugie.*

*Odłamki pojazdów, które wybuchły na orbicie.*

*Materiały do doświadczeń, np. odbijające światło igły z miedzi.*

*Związki z raketowych spalin.*

*Substancje mające w eksperymentach reagować ze stratosferycznym ozonem, np. sól.*

*Bardzo lotny opad radioaktywny.*

*CO<sub>2</sub>.*

*Spaliny samolotów.*

*Średniolotny opad radioaktywny.*

*Środki do wywoływania deszczu.*

*Dym.*

*Dwutlenek siarki.*

*Alkile ołowiu.*

*Merkaptan i inne paskudne zapachy.*

*Spaliny samochodów.*

*Spaliny lokomotyw.*

*Jeszcze dym.*

*Lokalny opad radioaktywny.*

*Substancje przypadkowo uwolnione z podziemnych prób jądrowych.*

*Fluor w oceanie.*

*Kwas azotowy.*

*Kwas siarkowy.*

*Ścieki komunalne.*

*Ścieki przemysłowe.*

*Detergenty.*

*Selen i kadm z odpadów kopalnianych.*

*Wyziewy spalających plastiki spalarni śmieci.*

*Azotany, fosforany, grzybobójcze związki rtęci z „ubitej gleby”.*

*Ropa.*

*Ropopochodne insektycydy.*

*Defolianty i herbicydy.*

*Substancje radioaktywne, głównie tryt, z warstw wodonośnych zanieczyszczonych wskutek podziemnych wybuchów jądrowych.*

*Ołów, arsen, płuczka z szybów naftowych, popioły, azbest.*

*Polietylen, polistyren, poliuretan, szkło, puszki.*

*Nylon, PET, wiskoza, poliester, poliamid, akryl, inne włókna sztuczne.*

*Złom.*

*Śmieci.*

*Beton i cement.*

*Duża ilość promieniowania krótkofalowego.*

*Kancerogeny, teratogeny, mutageny.*

*Trucizny synergiczne.*

*Hormony, antybiotyki, dodatki do żywności, lekarstwa.*

*Narkotyki.*

*Solanina, kwas szczawiowy, kofeina, cyjanki, mirystycyna, aminy katecholowe, siarczany miedzi, dihydrochalkony, naringina, sporysz.*

*Toksyna botulinowa.*

*Iperyt, chlor, luizyt, fosgen, kwas pruski.*

*Tabun, sarin, cyklosarin, soman, VX, gazy drażniące, gazy łzawiące.*

*Tlenek węgla.*

...by wymienić zaledwie kilka.

## PRZEGLĄD

Philip Mason w swoim gabinecie w Prosser Enterprises: zawałony pracą, która zajęła mu cały weekend; już prawie się z nią uporał, ale od paru dni niepokoi go niezbyt mocny, lecz uporczywy ból stawów, zwłaszcza kolan i kostek. Gdzieś na skraju świadomości kołacze się strzęp informacji pozyskanej podczas przelotnej znajomości z tryprem – do drugorzędnych objawów zalicza się ból stawów.

Ale przecież Doug uznał mnie za całkowicie zdrowego! Proszę, żeby to tylko nie był artretyzm! Nie w wieku trzydziestu dwóch lat! No, prawie trzydziestu trzech...

\* \* \*

– Bracia i siostry, zebraliśmy się tu przed Panem Bogiem z naszymi przyjaciółmi, by opłakiwać śmierć Thicha Van Quo, którego znaliście jako Thada. Thad, choć ciężko doświadczony na zdrowiu, ujmował nas wszystkich swoją życzliwością, dobrym usposobieniem i humorem. Liczyliśmy, że będzie z nami dłużej, Pan jednak chciał inaczej.

\* \* \*

No nie, kolejny ochroniarz na bramie się rozchorował. Który to tym razem i na co? (Zresztą, czy to ważne? Pewnie jak zwykle chory na kaca).

\* \* \*

– Czy pani Laura Vincent? Proszę usiąść. Jak pani zapewne wie, w stanie Nevada mamy przepis, który nakazuje, by każda osoba, na którą wpłynęła skarga dotycząca zarażenia chorobą weneryczną, była przymusowo hospitalizowana. W pani przypadku, przykro mi to mówić, mamy tych skarg aż pięć.

\* \* \*

#### RECEPTA

Pan/Pani: Felice Vaughan

.....(adres).....

Salweomycyna, 30 kaps x 250 mg. 4 x dzień.

*Zawijas (podpis lekarza).*

\* \* \*

Halkin.

*Wspomnijmy kochanego Rogera, Belinę i Teddy'ego, ofiary brutalnego i nieuzasadnionego ataku szaleńca na nasz ukochany kraj. Niech odpoczywają w pokoju.*

\* \* \*

Tom Grey: w swoim gabinecie w biurówcu Bamberley Trust (na suficie wciąż nienaprawione pęknięcie, ale to nieważne). Przeklina. Rzadko mu się to zdarza. Ale na prawym palcu wskazującym ma bolesny zastrzał, przez który – ósmy czy dziewiąty raz dzisiaj – nie trafił w ważny klawisz komputera, przed którym siedział.

\* \* \*

Do: Bill Chalmers.

Szanowny Panie.

W załączeniu czek na kwotę 14075,23 dolarów w związku z Pana wnioskiem dotyczącym zgonu syna Williama. Przepraszamy za zwłokę w wypłacie, ale w ostatnich miesiącach mieliśmy problemy z absencją chorobową pracowników.

\* \* \*

– Angie? Tu Denise. Czy Doug...? Tak, oczywiście, że to straszne dla niego. Ale czy będzie po południu w gabinecie?... To dobrze. Nie, nic takiego. Nic takiego, tylko ból głowy i mdłości... Tak, ale nigdy nie cierpiałam na migrenę.

\* \* \*

Zamieszki w New Fillmore East. Body English w ostatniej chwili odwołali koncert. Ostre zapalenie krtani.

\* \* \*

– Salon samochodowy Master Motor Mart, słucham... Nie, niestety, proszę pana, jest w szpitalu. Poparzenia. Kiedy trainiści podłożyli bombę...

\* \* \*

CENTRUM URODY NANETTE  
ZAMKNIĘTE DO ODWOŁANIA

\* \* \*

W magazynie firmy Prosser: Pete Goddard z potworną zgagą. Ewidentnie z nerwów. Nie chciał kłopotać doktora McNeila. I tak ma na głowie epidemię tyfusu. Więc po prostu łykał jedną po drugiej tabletki z kupionej w drugstworze paczki. Jakies anta... coś tam.

– Jasna chol... O, dobra, mam, kolejna paczka filtrów!

\* \* \*

*Dziękujemy za list zaadresowany do dyrektora Stacy'ego. Z ubolewaniem informujemy, że zmarł w roku 1974. Zapewniamy jednak, że nasz obecny dyrektor zarządzający, Eric Schwartz, z przyjemnością zajmie się pana sprawą, natychmiast po powrocie z Meksyku. Dowiedzieliśmy się jednak przed chwilą, że jest niedysponowany i najprawdopodobniej zdrowie nie pozwoli mu wrócić przed końcem miesiąca.*

\* \* \*

POSZUKUJE SIĘ SPADKOBIERCÓW

*Stanway, Brian Alderson, mgr biomed.*

Wzywa się spadkobierców wyżej wymienionego, by się niezwłocznie stawili...

\* \* \*

Peg Mankiewicz: w swoim obskurnym pokoju hotelowym. Kipi wściekłością i przelewa ją na maszynę do pisania. Rozebrała się do majteczek, tak jest gorąco. Najchętniej i je by zdjęła, ale ma okres.

Wyjątkowo parszywy w tym miesiącu. Dziwne. Przeważnie przechodziła je lekko, tym razem trwa już dziewięć dni. Trzeba będzie

kiedyś przejść się do ginekologa. Na razie muszą wystarczyć środki przeciwbólowe. Ma pilną pracę.

Trzymają Traina w kompletnej izolacji. Oczywiście nie przyznają się do tego, mówią, że to on sam nie chce z nikim rozmawiać i z nikim się widzieć, nawet z prawnikiem. Parszywi kłamcy! (Choć możliwe, jeśli na skutek szoku wróciły mu dawne problemy i ma kolejne załamanie, tym razem poważniejsze...).

Nie. Kłamią. Jest przekonana i musi to wykrzyczeć każdemu, kto zechce słuchać. Już i tak pół kraju jest o tym przekonane.

Od czasu do czasu, odrywając się od maszyny, drapie się po podrażnionej skórze na lewym przegubie.

\* \* \*

– Zena, skarbie! Zena!... Boże kochany. Ile to jeszcze potrwa? Kiedy ten lekarz wreszcie przyjedzie?

\* \* \*

PAMIĘCI ISAIHA JAMESA PRICE'A WILLIAMSA. UR. 1924  
W CARDIGANSHIRE, WALIA, ZAMORDOWANEGO W GUANAGUI,  
HONDU... (reszta nieczytelna na skutek trafienia móżdżkiem).

\* \* \*

*...według jego osobistego personelu medycznego dochodzi do zdrowia najszybciej jak można. Nieoficjalne źródła mówią, że prezydent cierpi na...*

\* \* \*

Szanowny Panie.

Rozumiemy oczywiście, że sytuacja w Pana kraju jest obecnie bardzo trudna, nalegamy jednak na odpowiedź na naszą korespondencję z 2.05, 3.06, 19.07 i 11.08.

Pana syn Leonard życzył sobie być pochowany w Państwa rodzinnym grobowcu.

\* \* \*

– Szlag mnie trafi od tych skurczów! Daj mi jeszcze jeden zastrzyk, bo nie dam rady prowadzić programu!

– Pani Page, jeśli dam pani jeszcze jeden zastrzyk, też pani nie da rady. Najpewniej zaśnie pani przed kamerą.

\* \* \*

*Trzysta sześćdziesiąt tysięcy fanów zjechało się do Nashville na pogrzeb Big Mamy Prescott, która zmarła w Nowym Jorku na zapalenie płuc, powikłane na skutek otyłości.*

\* \* \*

– Następny... Cholera, znowu ty, Train! No dobra, siadaj, rzucaj tymi słowami. Prosty więzienny lekarz i tak język sobie połamie. Co cię tam znowu kręci w żołądku? Znowu coś z więzieniem, czego twój delikatny organizm... Oj! Wstawaj! WSTAWAJ, mówię! To ROZKAZ!

– Halo! Pielęgniarko! Szybko!

\* \* \*

Jacob Bamberley, amerykański bohater: str. 33.

*Osobista relacja z jego ostatnich dni*, Gaylord T. Elliott. Przedruk z „Colorado Patriot”.



\* \* \*

Hugh Pettingill: w sieciowym motelu jeszcze noszącym ślady ostatnich zamieszek po podwyżce cen. Nawet bez maski, której najchętniej nie zdejmowałby nawet do jedzenia, bo śmierdziało tu potwornie, był trudny do rozpoznania przez plaster zaklejający ropiejące rany wokół ust. Mimo to rozglądał się nerwowo, zmuszając się do przełknięcia naleśników, które były dzisiaj jedyną pozycją w menu.

Kawa była paskudna. Pewnie to w ogóle nie była kawa. Od czasu plagi *jigras*, w wielu miejscach informowano, że jest z palonego zboża czy wręcz żołądzi.

Jeszcze ze dwa kęsy i ruszy w drogę. Szybko. Jezus, żeby tylko ten gruchot wytrzymał...

\* \* \*

W ZWIĄZKU Z TRAGICZNĄ ŚMIERCIĄ PREZESA TOWARZYSTWA UBEZPIECZEŃ WZAJEMNYCH ANGEL CITY, OBRÓT AKCJAMI TOWARZYSTWA ZOSTAJE ZAWIESZONY DO NASTĘPNEGO WTORKU.

\* \* \*

Nazwisko: BURKHARDT, Baird Tolliver

Adres: 2202, S. Widburn

Podstawa do wypłaty: ZGON (atak serca)

Osoba uposażona\*: Wdowa

\* Jeśli inna niż wymieniona wyżej.

\* \* \*

*Kochana Lucy!*

*Tak dawno nie miałam od Ciebie żadnych wieści! Wiem, że poczta może nie działa tutaj najbardziej regularnie, ale to jest zawsze jeden z nielicznych jasnych punktów mojego dwuletniego pobytu, kiedy widzę, jak na lodzie ląduje samolot z pocztą. Już nie mogę się doczekać, kiedy Cię znowu zobaczę w Auckland, gdy tylko wydobędę się z tej polarnej bieli.*

\* \* \*

*W sprawie: Osoby pozostające na utrzymaniu maj. OBOU, Hippolyte, l. 24, zm. w Noshri, zastrzelony.*

*Decyzja: Brak uprawnień do renty, zgon nie nastąpił podczas wykonywania obowiązków służbowych.*

\* \* \*

– Nazwisko? Słuchaj, ja chcę ci pomóc! Nazwisko?!

– Maua! Żołnierzyku, może szybki numererek? Dwadzieścia pięć franków, albo sto za całą noc, co, mój śliczny?

– O rany. Ześwirowała, jak wszyscy tutaj. Halo, czy ktoś może... Ej, puszczaj no, ty dziwko. Ej!

\* \* \*

## TESTAMENT

Ja, Bertil Olav Svensson, zamieszkały przy Vasagatan 45, Malmö, w pełni władz umysłowych i niebędący (wbrew plotkom) ofiarą zatrutej żywności z Noshri, zdiagnozowawszy u siebie odporną na wszystkie znane leki odmianę jaglicy, która nieodwołalnie pozbawi mnie wzroku, postanawiam odebrać sobie życie.

Niniejszym zapisuję...

\* \* \*

– Jezu – powiedział. I powtórzył: – Jezu! Jakby świat po prostu...  
– ...się sypał? – podpowiedziała, a kiedy nie zaoponował, kiwnęła głową.  
Nie patrzyła na niego. Obserwowała czołgi i transportery opancerzone zbliżające się do protestujących przeciwko brakom żywności.

Na szybie była gwiazdka pęknięć od zabłąkanego kamienia, ale zalepili ją taśmą klejącą, żeby nie napływało powietrze z ulicy.

\* \* \*

– Przecież nie mogę iść do Białego Domu z jakąś taką, kurwa, rurką! – warknął Howell.

– No tak, wiem. – Lekarz westchnął. – Ale woli pan przeżyć i zostać gubernatorem czy umrzeć w dwa tygodnie?

– To aż tak źle wygląda?

– Panie senatorze, niech pan spróbuje powstrzymać się od oddawania moczu przez dzień czy dwa, to sam pan się przekona, że lepszy jest cewnik.

– A skąd w ogóle się to u mnie wzięło?

– Niestety, nie wiem. Czekamy na wyniki z laboratorium, ale to może potrwać nawet z dziesięć dni.

\* \* \*

*W związku z niedyspozycją generała Kaiki, dowodzenie siłami zbrojnymi objął pułkownik Joku Amnibadu. Zakłada się, że brygadier Plitso, powszechnie typowany na następcę tronu, został wysłany do Szwajcarii w celu odbycia badań lekarskich.*

\* \* \*

Jeannie Goddard: spryskuje szybę swojego – ich – auta. Gdy wiozła Pete'a z rana do pracy, wycieraczki nie radziły sobie z tłustym osadem po ostatnim deszczu. A jadąc do kliniki położniczej, chciała dobrze widzieć

drogę. Chciała też dowiedzieć się, czy te ciągłe mdłości powinna przetrzymać, czy raczej jakoś je leczyć.

Jednak rachunek i tak był taki...

Ale to przecież dla dobra dziecka, nie jej własnego.

\* \* \*

– Pani Mason, nie ma powodów do niepokoju. To zapalenie brzegów powiek jest dzisiaj bardzo pospolite i nie ma zupełnie żadnego związku z zezem u pani córeczki. Proszę pani, przez ostatni miesiąc miałem takich przypadków dwadzieścia czy trzydzieści. Napiszę coś pani, proszę zanieść do swojego lekarza – doktor McNeil, prawda? – i...

\* \* \*

*Wybrany numer jest nieprawidłowy. Proszę się rozłączyć i...*

\* \* \*

*Wybrany numer jest nieprawidłowy. Proszę...*

\* \* \*

*Wybrany numer jest...*

\* \* \*

– Biuro obsługi klienta, w czym mogę pomóc? Tak, ale proszę mieć na uwadze, że mamy deficyt obsługi... W czym problem? Mam dużo innych... Czy może pan przeliterować? H, E, N... Henlowe. Dobrze, proszę chwilę poczekać. Tak. Połączenia pod ten numer są przekierowane... Słucham? Proszę pana, proszę odsłuchać wiadomość. Siostra zajmuje się ich córką,

póki nie wyjdą ze szpitala. Nie wiem, proszę pana. Wiadomość jest z dnia...  
Słucham? Proszę bardzo.

*Ty skurwysynu!*

\* \* \*

Doktor Clayford: w gabinecie, za swoim pięknym biurkiem-antykiem.  
Dzwoni telefon.

– Halo! Nie, nie będę rozmawiać z żoną. Proszę jej powiedzieć, że ma poczekać, aż obsłużę porannych pacjentów! Dobrze wie, że ma mi nie przeszkadzać!

Trzasnął słuchawką i zerknął ku drzwiom, próbując ustalić, kto jest następnym pacjentem. Rysy jednak rozmazywały się, a w kąciuku prawego oka coś uwierało.

Dziwne.

Wszystko jakby pływa.

I ten cholerny hałas. Trzeba by zadzwonić na policję i...

– Panie doktorze?

Bolało. Nos i policzek. Objawy odpowiadające...

– Siostrzo, wygląda na to, że doktor stracił przytomność.

\* \* \*

Roland Bamberley w swoim eleganckim gabinecie. Podpisuje pismo do prawników dotyczące usterek wykrytych dotychczas w stacjach oczyszczania wody Mitsuyama i prośbę o opinię, czy celowe jest pozwanie ich o naruszenie warunków umowy. Urywa po imieniu, bo nagle łapie go skurcz w ręce. Potrząsa nią i pisze dalej: Bam...

I znów, bez ostrzeżenia, potworny ból. Patrzy na trzymającą pióro dłoń i ze zdumieniem zauważa, że palce są niezwykle blade. Zgiął je eksperymentalnie. Pióro spadło na kartkę i zostawiło na niej długą czarną smugę. Sekretarka będzie musiała wszystko przepisać.

W ogóle nie czuł palców, tylko tę drętwotę.  
Uniósł lewą dłoń i zaczął masować prawą. Minęła minuta, minął i ból.

\* \* \*

- Nie ruszaj tej piłki! To Ricka!
- Co? Kurde, ja wiem, że to Ricka. Ale Zena powiedziała, że wyjechał i nie wróci!
- Oczywiście, że wróci! Zostaw tę piłkę... no właśnie! I teraz odłóż ją na miejsce! Gdy Rick wróci, żeby wszystkie jego rzeczy leżały tam, gdzie je zostawił...
- Nie lubię cię!

\* \* \*

Nie trzeba było obmywać tej stopy w morskiej wodzie, pomyślał Tab. Ale kiedy się nadepnęło na wystający z deski zardzewiały gwóźdź, który przebija ci but i stopę na wylot, a na pójście do lekarza cię nie stać...

Z wysiłkiem zapomniał o bólu, obrzęku i paskudnej wilgoci ropy. Zza rogu wyszedł kolejny przechodzień. Pokuśtykał ku niemu.

- Przyjacielu, czy nie wspomógłbyś...
- Nie!

\* \* \*

KIEDY CIEBIE NIE MA W BIURZE, WSZYSTKO WYGLĄDA INACZEJ!  
UDAJE SIĘ COŚ ZROBIĆ!

To oczywiście żart. Całe biuro życzy Ci szybkiego powrotu do zdrowia.

\* \* \*

Pan sierżant Tatum:

Z przyjemnością informuję, że staż w służbie uprawnia pana do renty w wysokości 48 procent wynagrodzenia. Niestety, nie przysługuje panu więcej – oczywiście rozumie pan, że czym innym jest przedterminowe zwolnienie z powodu obrażeń odniesionych podczas pełnienia służby, a czym innym zarażenie się chorobą, nawet tak poważną jak polio.

\* \* \*

Na każdej, kaździuteńskiej ścianie, od Kalifornii po Nową Szkocję, namalowane, nabazgrane, napisane kredą czy wręcz wydrapane, to samo hasło i to samo logo: PRZESTAŃCIE, PRZEZ WAS GINIEMY! (plus czaszka i piszczele).

\* \* \*

*Wskutek niedyspozycji najważniejszych osób w ekipie naszego nowojorskiego studia, zamiast zapowiedzianego programu będziecie mieli państwo okazję po raz kolejny zobaczyć...*

\* \* \*

Terry Fenton? Posocznica. (Coś wdało mu się w skaleczenie, które sam sobie zrobił, strzygąc brzytwą włosy Petronelli. Przestała chodzić do Guido, gdy trzy razy z rzędu coś paskudnego było tam w wodzie).

Ian Farley? Zapalenie oskrzeli. (Zostawił maskę w domu, wszystkie dozowniki w hallu biurowca ABS były puste, a znalezienie taksówki potrwało dłuższą chwilę).

Lola Crown? Ból ucha i zapalenie ślinianek. (Nie poddaje się standardowym lekom na mononukleozę, więc może to w ogóle nie to? Przerwali kurację antybiotykami, przy odrobinie szczęścia może pomogą sulfonamidy).

Marlon? Biega od sedesu do łóżka chorego Terry'ego. (Przekonany, że lekarz, który do niego przychodzi, jest do niczego, bo rzuca wredne komentarze na temat jego... hmm... hemoroidów. Nie powinien zajmować się leczeniem ludzi, skoro nie chce im uśmierzać bólu. Szkoda, że sam nie może sprawdzić, jak to jest mieć żółciową biegunkę!).

I inni, od samych Ważnych Szefów, aż na sam dół.

Jak wszędzie.

\* \* \*

– Pan Greenbriar? Proszę posłuchać, czy... miałby pan coś przeciwko... żeby to był mężczyzna? Sekretarz? Obdzwoniliśmy wszystkie agencje w całym mieście i... tak, słucham?

– Bezrobotny aktor, proszę pana. Stracił pracę po cięciach w ramówce w ABS...

– Tak, są bardzo polecane, proszę pana... Tak, ale o które tabletki chodzi, te niebieskie czy zielone?

\* \* \*

Nazwisko: MURPHY, Phelan Augustine

MURPHY, Bridget Ann, nazw. panińskie: O'Toole

Adres: „West Farm” k. Balpenny, Waterford, Irlandia

Decyzja ws. pozwolenia na wjazd do Wielkiej Brytanii: NEGATYWNA.

\* \* \*

Ksiądz spojrział z powątpiewaniem na ogromne siniaki na przedramionach. Potem zadarł sutannę i obejrzał nogi. Jeszcze gorzej.

Czemu ci Tupasowie, sługusy Szatana, go nie powiesili, tak jak tego Amerykanina, Hannigana, oraz majora?

A, no tak. Tupasowie sobie poszli. Zapomniał.



Odkąd ich nie było, w obozie zaczęło się mówić o powrocie do domu. Ale jakoś nikt nic nie robił. Niektórzy po prostu kładli się i już nie wstawali. Wszyscy mieli te ciemne ślady pod skórą. Często także krwotoki z ust.

To miało jakiś związek z jedzeniem. Tupasowie coś wspominali. Ale nie słucha się rad sługusów diabła.

Po czym zobaczył komara i słabo zamachnął się na niego. Nie trafił, a potem już nie pamiętał, o czym właściwie myślał.

\* \* \*

Alan Prosser: wraca do biura po wizycie w szpitalu, gdzie znowu był problem z zatkanyymi filtrami.

– Dorothy! Co ci się stało w oko? Całe masz zapuchnięte!

– Nic takiego, jęczmień – odparła sucho Dorothy. – Sama sobie jestem winna, obmyłam oko wodą z kranu, a filtr był akurat zdjęty. Coś mi wlało w cebulkę rzęsy. Swoją drogą, ty też nie za dobrze wyglądasz.

– Nic takiego, tylko drobna niestrawność. Jakoś ostatnio kompletnie mi się jedzenie nie utrzymuje. Po południu przejdę się do Douga. Albo może jutro? Jezus, to wszystko korespondencja? Z pół metra tego jest!

\* \* \*

– Czy mogę z doktorem Farquharem?... O, cześć, Alec. Mówi Angie McNeil. Posłuchaj... Doug zachorował, ma taką lekką... kch, kch... przepraszam... kch, kch, KCH... o rany! Nie, nie, nic poważnego, Doug już mi coś dał, to chyba od kurzu... Ale z czym dzwonię: Doug ma tylu tych pacjentów w szpitalu i, wiesz... oj, szlag by to... kch, kch... przepraszam! Nie znasz czasem jakichś lekarzy, gdzieś blisko Denver, którzy mogliby przyjść na te... kch, kch... no, zastępstwo? Kch. Pewien jesteś? Nikogo? No wiesz, Doug myślał, że może oficer medyczny z Akademii Sił Powietrznych to by... Wszyscy? Naprawdę? Wkręcasz mnie czy co? Świnka? Jezus Maria! Ile będzie tej kwarantanny?

\* \* \*

(Jakby ktoś wsypał skomplikowanej maszynie wiadro piasku w tryby. Przez cały rok tyle ważnych osób miało przerwy w pracy, choćby tylko jedno- czy dwutygodniowe, a wiele innych – miliony innych – pracowało na pół gwizdka albo i mniej. Giełda zawiesiła obrót akcjami Angel City, Bamberley Trust Corporation, Plant Fertility, Puritan Health Supermarkets i wielu innych firm).

\* \* \*

– Wie pani co, choćby pani i w dupę włożyły, ja nic nie poradzę! Zanim przyjdę do pani truć szczury, mam w kolejce trzydzieści pięć domów!

\* \* \*

Maud miała zapisane dożywotnie prawo mieszkania w rezydencji, Jacob jednak nie zapewnił żadnych funduszy na utrzymanie jej i pozostałych dzieci. Zdenerwowana, bo był to ostatni dzień przed wyprowadzką, zadzwoniła dzwonkiem na Christy. Odpowiedziała jednak Ethel, kucharka, utykająca nieco przez brodawki na prawej pięcie. (Wczoraj przyszła zapytać, co z nimi zrobić, ale widok był zbyt obrzydliwy; Maud kazała jej poczekać na kolejną wizytę doktora Halperna, zupełnie zapomniawszy, że zaraz muszą się wyprowadzić).

– Christy jest chora, proszę pani – powiedziała Ethel. – Coś chyba z płucami. Cały czas charczy.

– Gdzie jest? – zapytała Maud. – W łóżku?

– Nie, proszę pani. Zajmuje się Noelem. Znowu się zmoczył.

Jezus Maria. Jezusie kochany. Maud owinęła lewą rękę jedwabnym prześcieradłem z własnego łóżka i rozsłochała się w nie.

Doktor Halpern musiał przyjechać i tak, mimo ciągnących się od paru tygodni problemów z sercem, a ekipa przeprowadzkowa musiała odejść

z kwitkiem; może i dobrze, bo choć miało ich być czternastu, to stawilo się tylko ośmiu. Pustą ciężarówką zabrali Corneliusa – doktor stwierdził, że powinien położyć się w szpitalu, przez wysypkę, zajęte zatoki i ciągle dreszcze. Claude czuł się nie najgorzej. Złamany trzy tygodnie temu nadgarstek goił się przyzwoicie, zważywszy jego kłopoty z przyswajaniem wapnia.

Za to Maud musiała dostać zastrzyk, a kiedy do doktora przyszedł Ronald, jako stuprocentowy dorosły, najstarszy mężczyzna w domu oraz ojciec dziecka Christy (o czym Maud nie miała jeszcze pojęcia) i zaczął wypytywać o jego stan, doktor nie był w stanie powiedzieć niczego pocieszającego.

\* \* \*

Christy donosiła ciążę do trzeciego miesiąca i poroniła na skutek brucelozy. I całe szczęście. Zespół Downa. Miała czterdzieści lat.

\* \* \*

– Naprawdę, panie Byrne, nie mam pojęcia jak sobie doktor Advowson radził... ale proszę nie ruszać głową! ...Już! To pomoże, chociaż trochę będzie piekło. Paskudne te czyraki, zwłaszcza u kogoś jak pan, z takim... proszę wybaczyć... obfitym zarostem. Proszę smarować tą maścią z rana i wieczorem.

Puszcza wodę do zlewu, sięga po mydło antybakteryjne.

– Przykra sprawa z tą małą Eileen, prawda? Tęzec to straszna choroba.

\* \* \*

*Przyczyna zgonu: zachłyśnięcie wymiocinami.*

*Nazwisko: CLARK...*

- Brian, jest „E” na końcu czy nie ma?
- Nie ma. Czyli picie go załatwiło?
- Dokładnie. Próbował topić smutki w alkoholu, a ktoś nauczył je pływać.

\* \* \*

Pan Hideki Katsamura. Klęczy przed kapliczką poświęconą pamięci szacownych przodków. W prawej dłoni stosowny nóż. Na ciele stosowny jedwab, a dokładniej dakron. Nie ma innego honorowego wyjścia, zważywszy groźbę procesu ze strony przedstawiciela z Kalifornii, R. Bamberleya, w sprawie problemów z filtrami do wody. To samo z Kolorado, Illinois, Nowego Jorku i Teksasu.

Celować będzie w miejsce, gdzie szanowany doktor, przyjaciel rodziny, zdiagnozował wrzody; ostrzegął go wczoraj, że może dojść do perforacji, co będzie miało bardzo groźne i szybkie następstwa.

W obecności przodków, których najprawdopodobniej nie trapiły tego typu dolegliwości.

\* \* \*

Nazwisko „Arriegas” na zawsze pozostanie w naszych sercach, razem z Guevarą, Uñilem i innymi wielkimi bohaterami nieustającej rewolucji, zamordowanymi przez sługusów imperialistycznego spisku!

\* \* \*

W ZWIĄZKU Z NIEDYSPOZYCJĄ PROF. DUVALA ODWOŁUJE SIĘ  
NASTĘPUJĄCE ZAJĘCIA: ...

\* \* \*

– Tak, Moses Greenbriar przy telefonie... Tak, jak się ona czuje?... Zapalenie pęcherza? To coś poważnego?

\* \* \*

*...spowodowany ciągłym deficytem funkcjonariuszy zdolnych do służby. Wiele lokalnych służb policyjnych...*

\* \* \*

(Skrzypienie i trzaski, jak drzewo, które jest stare i już nie wytrzyma naporu wiatru).

\* \* \*

Ze wszystkich nieszczęść akurat to, myślał Carl, leżąc na brzuchu w krzakach, czekając, aż się ściemni, żeby nie wpaść w łapy koloradzkim patrolom granicznym. Czkawka! I to niedająca się powstrzymać. Ciągnie się już od wielu godzin.

Najpierw był zły, potem zaczął się bać. Strasznie go ta czkawka męczyła.

\* \* \*

Nazwisko pacjenta: YOUNG, Sylvia June

Adres koresp.: biuro ONZ

Oddział: B

Diagnoza: zatrucie alkoholowe

\* \* \*

– Doug?

– Tak, kochanie?

– Nie chciałam cię niepokoić, ale już z dziesięć razy próbowałam się dodzwonić do Millicent, i nikt nie odbiera. Może trzeba by do niej podejść i zobaczyć, jak się czuje?

\* \* \*

NA CZAS NIEDYSPOZYCJI PANA BOLLINGERA PRZYJMUJE SIĘ TYMCZASOWO NASTĘPUJĄCE ZASTĘPSTWA: ...

\* \* \*

– Za parę dni, panie Cowper, powinno się poprawić. To bardzo skuteczny środek na robaki. Przypuszczam, że przyczyną było nieodpowiednio przetworzone mięso wieprzowe. Spotkałem się ostatnio z paroma przypadkami włośnicy.

\* \* \*

*Z powodu niedyspozycji wielebnego pastora Horace Kirka nabożeństwa odprawiane będą wspólnie w...*

\* \* \*

– Gdzie jest ten cholerny czarnuch? Miał tu być dwie godziny temu! Nie mogę czekać całą noc.

– Dzwonił, mówił, że żona mu zmarła.

– Jezus! To kto w ogóle wpuści z rana ludzi do budynku? Ja nie dam rady odsiedzieć jeszcze jednej zmiany!

\* \* \*

– Mamo? – Po czym głośniej: – Mamo?!

Dzieciak powoli podszedł do ciemnego kształtu w niechlujnej pościeli. O zamknięte okno obijała się mucha, usiłująca wlecieć do środka wbrew swojemu dobru, nad łóżkiem bowiem wisiał lep. A na siedzeniu krzesła zastępującego nocny stolik leżały te co zwykle tabletki nasenne.

Chłopiec powtórzył:

– Mamo! – Tym razem głos załamał mu się do płaczu.

Bo kto by tam słuchał rad jakiegoś śmieciarza?

\* \* \*

– Przykro mi, panie prezydencie, ale pan Penwarren jest dzisiaj nieobecny. Lekarz dał mu zwolnienie do końca tygodnia... Nie, nic poważnego, jak się zdaje. Zaszkodziło mu coś, co zjadł.

\* \* \*

*NA SPRZEDAŻ: Duża działka rolna (pow. 1312 ha) pod uprawy warzywne pomiędzy Bockville i Candidą, wł. Lem Walbridge; dom mieszkalny (18 pok., 2 łaz., stan dobry), budynki gosp., wraz z całością maszyn i sprzętu, w tym nowe ciągniki roln. (szt. 6), kultywatory, opryskiwacze, itd.*

\* \* \*

W pokoju na tyłach mieszkanka przyjaciółki: Ossie. Robi bomby. Od czasu do czasu drapie się w kroczu, bo ma pokrzywkę, podobnie jak przyjaciółka i w ogóle wszyscy w okolicy w tym miesiącu. Tak to już jest. Ale nie można tym skurwysynom popuścić: aresztowali Austina Traina pod fałszywymi zarzutami na oczach sześćdziesięciu milionów ludzi.

\* \* \*

SKIEROWANIE NA SŁUŻBĘ

Płk Rollo B. Saddler

Z: JW Wickens, Kolorado

Do: Honduras

Oddział ZE SKUTKIEM NATYCHMIASTOWYM wysła się do...

\* \* \*

Fritz i jego koledzy zaliczali się do Sześćdziesięciu Trojga. (Teraz pisało się to wielkimi. Chodziło w końcu o męczenników).

\* \* \*

– Pana Steinitza nie ma w pracy. Zastępcy też. Wie pan, mieliśmy taką nieszczelność w kanałach wentylacyjnych i niektórzy nawdychali się tych zarodników, paskudna sprawa!

\* \* \*

*Do wszystkich pacjentów dr. Davida Halperna:*

*Informujemy, że do odwołania Państwa lekarzem jest dr Monty B. Murray w szpitalu Flowerwood Memorial.*

\* \* \*

Kaszląca, dygocąca Cindy pozwoliła im się rozebrać. Kiedy jednak zobaczyli na jej ciele czaszkę z piszczelami, kazali jej się natychmiast wynosić ze szpitala, zanim ją wyrzucą.

\* \* \*

– Hektor, skarbie, za dzień czy dwa dojdiesz do siebie! A wtedy raz na zawsze rozprawimy się z tym diabłem Austinem Trainem!



\* \* \*

Trafił do więziennego szpitala, podrabiane dokumenty w końcu zawiodły. Pielęgniarze ciągle naśmiewali się, że jest taki żółty.

Żółtaczka.

\* \* \*

*Do: Sz. P. Barleyman*

*Szanowna Pani.*

*Z przykrością informuję, że stan zdrowia Pani męża nie pozwoli mu na powrót do domu w najbliższej przyszłości.*

\* \* \*

– Czy pani Kitty Walsh? Proszę usiąść. Mam złą wiadomość. Niestety, to pani wina i nikogo innego. W żadnym wypadku nie wolno było tak długo chodzić z nieleczoną chorobą. Ma pani ostre zapalenie jajowodów. Nie będzie pani już mogła mieć dzieci.

– I to ma być zła wiadomość? Kto by chciał rodzić dzieci, żeby żyły na tym parszywym świecie!

\* \* \*

Od: dr Elijah Prentiss

Do: dyr. szpitala

Przez ten cholerny gościec nie będę w stanie...

\* \* \*

*Drew Henker i Ralph Henderson, jak większość trainistów, zapisali swoje ciała medycynie. Okazało się jednak, że nie chce ich żaden szpital w całym stanie,*

*ponieważ oba mają zbyt wiele ran postrzałowych.*

\* \* \*

– Harold, Harold, gdzie ty jesteś? Aaa, widzę.

Po środkach przeciwbólowych migrena Denise trochę zelżała. Zdrzemnęła się – i obudziła przerażona, czy coś się nie stało z dziećmi. Wszystko było jednak w porządku – Josie leżała, a Harold siedział w kącie swojego pokoju, bardzo spokojny, z chorą nogą jak zawsze podwiniętą.

– Haroldzie, chyba już pora, żebyś... Harold?!

Siedział tylko i patrzył przed siebie.

On był pierwszy.

## WIZJA

Przedstawia dom: wielki, stary, niegdyś bardzo piękny, zbudowany przez kogoś o umiejętnościach dorównujących wyobraźni. Roztrwonił jednak swe zasoby i przyszył nań złe czasy. Zaczął go wynajmować, a najemcy podnajmować, przez co w domu niczym szkodniki zalegli się mieszkańcy nieczujący ani odrobiny przywiązania do jego materii, przyzwyczajeni, by nieustannie narzekać, ale nie brać odpowiedzialności za jego utrzymanie.

Stąd dach z oddali wydaje się wypukły niczym wieloryb. Niektóre z dachówek pokruszył dawny huragan i nie zostały wymienione; krokwie pod nimi powyginały się i popękały. Kroki, nie tak lekkie jak kilkuletniego dziecka, przesuwają deski podłogi po legarach, powodując trzaski.

Suterena też fatalnie wygląda. Nieraz zalewała ją woda. Fundamenty osiadły. Powietrze przenika odór, pamiątka po całych pokoleniach pijanych, którzy tu sikali, gdy poczuli potrzebę. Pełno korników. Szafy i szafki nieotwierane od lat, bo w środku pełno owocników pleśni i śmierdzi. Eleganckim frontowym schodom brakuje stopnia, mniej więcej

w połowie pięknej galerii nad holem wejściowym. Ocalał jeden czy dwa portrety przodków, nie więcej; większość wyprzedano, wraz z marmurowymi figurami uświetniającymi niegdyś frontowe schody. Wozownia jest zawilgocona i stanowi ciasne mieszkanie dla rodziny ociężałych umysłowo dzieci, sierot, półnagich, brudnych i uprawiających kazirodztwo. Są tam też pchły.

Trawniki pokrywają naniesione wiatrem śmiecie. Złotą rybkę, która niegdyś śmigała pomiędzy liliami w ozdobnym stawku, widziano pewnej wiosny, po mroźnej zimie, jak pływała do góry wzdętym brzuchem; teraz już jej nie ma. Żwirowy podjazd poprzerała mniszki i szczaw. Brama na jego końcu, odkąd pamięcią sięgnąć, zwisa z na wpół przerdzewiałych zawiasów. Podobnie wszystkie drzwi w domu, o ile nikt nie porąbał ich na opał.

Wybita jest przeszło połowa okien, mało które naprawiono ponownie. Resztę zasłaniają szmaty albo kawałki tektury.

W najlepiej trzymającym się skrzydle, właściciel, w alkoholowych oparach, prowadzi wspaniałe konwersacje z wyimaginowanymi ambasadorami i księżętami. Tymczasem ci z pozostałych lokatorów, którzy umieją pisać, smarują niekończące się listy do władz, w których żądają, żeby ktoś przyszedł i naprawił kanalizację.

## SKURCZE

Później ustalono, że pierwsze przypadki pojawiły się po zachodniej stronie Denver, w okolicach Arvady, Wheatridge, Lakewood i innych osiedli, które rozbudowały się gwałtownie w ostatnich latach. Aby sprostać zwiększonemu niemal dwukrotnie zapotrzebowaniu na wodę, którą Denver i tak wysysało z obszaru tysięcy kilometrów kwadratowych siecią rur równie skomplikowaną i chaotyczną, co system korzeniowy drzewa, trzeba było czegoś więcej niż jezior i zalewów Ralston, Gross, Granby, Carter, Lonetree, Horsetooth...

Zaczęli więc wiercenia, powbijali rury w głębokie, porowate warstwy, a do tego wyźłobili w górskich skałach długie szczeliny, by te warstwy poodślaniać. Tok rozumowania był taki: kiedy śnieg topnieje, ogromne ilości wody spływają i się marnują. Jeśli dobierzemy się do warstw wodonośnych pod górami, musimy zadbać, żeby woda z wiosennych roztopów uzupełniała tam zasoby.

Korzystać z tego zaczęto w zeszłym roku. Całkiem się sprawdzało, jeśli nie liczyć początkowych problemów, jakie wystąpiły, gdy się okazało, że woda w którymś z nowych odwiertów jest zanieczyszczona ściekami. Stąd wzięły się okazjonalne zakazy picia wody. Pojawiło się też trochę skarg, że strumienie Boulder Creek i Thompson and Bear Creek mają latem o wiele niższy stan wody, niż powinny – ale składali je tylko ludzie o długiej pamięci, a nie ci bogaci, nowi, którzy opuścili bańkę inwestycyjną w Kalifornii i przyjechali do nowej bańki w Kolorado.

Za to dzisiaj...

\* \* \*

*Black Hawk:*

Trochę oszołomiony właściciel nowo wybudowanego domu ze wspaniałym widokiem, wygrzebał z paczki papierosa, poszukał zapalniczki, nie znalazł jej, musiał użyć zapalki. Wypadła mu z trzęsącej się ręki prosto na gazetę. Patrzył zafascynowany, jak płomień ogarnia brzeg stronicy. Rozszerzał się, pięknie, jak pięknie! Taki żółty, złoty, pomarańczowy, w środku czarny, jak ruchomy kwiat!

Zaczął się śmiać. Super to wyglądało. Chwycił gazetę i cisnął ją na dywan, żeby zobaczyć, czy też się zajmie. Zapalił się, a niedługo później zapalił się i on sam.

\* \* \*

*Towerhill:*

– Mamo – powiedział poważnym tonem mały chłopczyk – nienawidzę cię.

I wbił jej w brzuch przyniesiony nóż kuchenny.

\* \* \*

*Szosa nr 72:*

– Jesteśmy razem, razem, razem – zaśpiewał kierowca forda thunderbirda, pędzący sto czterdzieści w stronę Denver, na melodię *Ach Du Lieber Augustin* – szczęśliwi jesteśmy razem, razem, razem! I twoi przyjaciele, to moi przyjaciele...

Zauważył ładną dziewczynę w samochodzie przed sobą, zrównał się z nim, wdepnął hamulec i zepchnął ją z drogi, żeby móc się przywitać, pocałować, podzielić swoim ekstatycznym szczęściem.

Trafił się betonowy przepust. Huk.

\* \* \*

*Golden:*

Rozkoszując się pełną ciepłej wody wanną, popijała i popijała słodkiego julepa z wysokiej szklanki, którą przyniosła do łazienki, a kostki lodu, topiąc się, melodyjnie brzękały. Siedziała tam prawie półtorej godziny, słuchała radia, nuciła, w pewnej chwili masturbowała się, bo po południu miała bardzo szczególną randkę. W końcu, gdy szklanka zrobiła się pusta, położyła się i pozwoliła powierzchni wody zamknąć się nad twarzą.

\* \* \*

*Wheatridge:*

Walczył i walczył z uszkodzonym telewizorem, ale obraz wciąż nie chciał się poprawić. Cały falował, a kolory się zlewały.

Z czasem uświadomił sobie jednak, że jest to właściwie o wiele ładniejsze niż normalna telewizja. Usiadł przed ekranem i gapił się w niego, od czasu do czasu chichocząc, gdy któraś twarz zrobiła się zielona lub jaskrawoniebieska. Bezmyślnie przytknął dłoń do ust, chcąc po dziecinnemu possać kciuk. Przypadkiem trzymał w niej podpięty drugim końcem do prądu kabelek próbnika.

Ssss...

Łup.

\* \* \*

*Arvada:*

Niech to szlag, czas nastawić kolację, inaczej mój cholerny mąż będzie... i to dziecko, znowu ryczy, i...

Machinalnie, z myślami zaprzątniętymi telewizją, którą oglądała przez całe popołudnie, owinęła dziecko, włożyła je do piekarnika, nastawiła temperaturę i wróciła do fotela z kurczakiem w objęciach.

Przestało wyc. Nareszcie!

\* \* \*

*Westminster:*

– Ty parszywy białasie – powiedział czarny i zamachnął się kluczem na człowieka za ladą.

Potem usiadł i zaczął opychać się tym, co wpadło mu w ręce: cukierkami, aspiryną, batonami, tabletkami na niestrawność. Czasami maczał je we krwi z głowy sprzedawcy, żeby miały ładniejszy kolor.

\* \* \*

*Lakewood:*

Stary, wow-wow-wow! Takiego towaru w życiu nie jarałeś. Faza jest, przez duże F! Kurna! Czuję się lekki, jakbym mógł latać, w ogóle to już unoszę się nad podłogą, wieje mi tu wiatrak, Jezus! Ale te parszywe ściany mi, kurna, przeszkadzają, jakbym był na powietrzu, lepiej by było, tak ciągle się z nimi zderzam. Gdzie drzwi? Drzwi? Blżej okno. Otwórz. Niech uniesie mnie wiatr, prosto nad góry...

Cztery piętra od ulicy, która jest twarda.

\* \* \*

*Denver...*

## NAGŁY ATAK

– Alaaaaan!

To był głos Pete'a, z magazynu. Philip przerwał w pół zdania, spojrział na Alana i Dorothy. Odbywali coś w rodzaju narady wojennej, analizując sytuację finansową firmy. Nie była dobra. Wymiany gwarancyjne zjadły ponad jedną trzecią zysków i zakłóciły działanie regularnych usług instalatorskich, które wciąż prowadzili. A jedyna dobra wiadomość była zła: Bamberley z Kalifornii miał te same problemy i planowali wspólnie wystąpić z pozwem przeciwko Mitsuyamie. Wyrok, przy odrobinie szczęścia, za jakieś osiemnaście miesięcy...

Był kolejny duszny, parny, gorący dzień przy gęstym zachmurzeniu, drzwi były więc otwarte, żeby łapać każdy podmuch wiatru. Ze środka dobiegały krzyki, łomoty, ale nie zwrócili na to wcześniej uwagi.

Przy takiej pogodzie ludziom zawsze puszczały nerwy.

– Nie brzmi to dobrze! – burknął Alan i ruszył do drzwi.

Reszta poszła za nim. W korytarzu oddzielającym biuro od...

– To Mack! – zawołał Pete. – Zwariował!

\* \* \*

Zatrzymali się, stłoczeni w prowadzącym do magazynu korytarzu. Przed nimi – kratownicowe regały pełne części w kartonach, głównie filtrów w zielonych i czerwonych pudełkach, z japońskimi napisami na boku. W drzwiach swojego malutkiego kantorka, trzy na trzy metry, szkło i drewno, stał Pete z twarzą wykrzywioną bólem, trzymając się futryny, bo nie mógł dosięgnąć laski. Leżała na podłodze metr od niego. Philip chwycił ją, oddał mu, podtrzymał go i poczuł, że Pete cały się trzęsie. Zza zasłony regałów dobiegały hałasy: ktoś coś przesuwiał i czymś rzucał.

– Co się stało? – wychrypiał Alan.

– On... ten... przyszedł parę minut temu, bez pomocnika – wykrztusił Pete, dysząc tak gwałtownie, że brakowało mu tchu na mówienie. – Krzyknął coś, że pieprzone czarnuchy rządzą się tu jak u siebie, poleciał tam i zaczął demolkę.

– Ktoś jeszcze tu jest? – zapytał Philip.

– Nie ma! Czwarta, instalatorzy są jeszcze na mieście, a Gładys zwolniłem do domu. Chora jest, migdałki.

– Dorothy, dzwoń po psiarnię – powiedział Philip.

Kiwnęła głową i pobiegła korytarzem z powrotem.

– Ale trzeba go zatrzymać! – warknął Alan. – Gdzie on jest?

– Tutaj! – wrzasnął Mack. – Kuku! Hu-hu!

Rozsunął dwa najwyższe pudła na dwumetrowej stercie, w końcu korytarza między regałami i łypnął na nich. Był wielki, barczysty, twarz lśniła mu od potu.

– Won, smoluchu! – dodał. – Zabierzcie ode mnie tego brudasza, asfalta, albo wszystko tu rozwalę!

– Mack!

Alan cofnął się o krok, a Mack w tej samej chwili zrzucił pudła na podłogę, łup-łup, słychać było też ciche odgłosy pęknięcia kruchych plastikowych obudów stacji filtracyjnych. Potem zaczął po nich skakać. Ważył dobre dziewięćdziesiąt kilo, może i sto.

– Kurwa mać! Przestań!!! – ryknął Alan.



Mack wykrzywił usta, chwycił coś z najbliższej półki i rzucił. Alan zrobił unik. Przedmiot uderzył w szybę kantorka Pete'a. Mack zachichotał jak trzylatek i dalej rozgniatał pudła na miazgę. Po chwili czy dwóch zaczął śpiewać do rytmu:

– Jes-tem-król-em-świa-ta! Świat-mi-kur-wa-la-ta!

– Ześwirował kompletnie – szepnął Philip, czując, że cała krew odpływa mu z głowy do nóg, przez co mózg robi się ociężały, a stopy były jak z ołowiu.

– Tak. – Alan otarł twarz. – Idź po mój pistolet. Wiesz, gdzie jest?

– Wiem.

Gdy się odwrócił, omal nie zderzył się z biegnącą z powrotem Dorothy.

– Phil, telefon nie działa. I widziałam pożary, wszędzie naokoło! Połowa centrum chyba się pali!

Cała trójka zamarła – Pete, Philip, Alan. Nagle przypomnieli sobie, co słyszeli przez ostatnie pół godziny – syreny straży pożarnej, syreny policyjne, strzały. Ale przecież w dowolnym dużym mieście słyszy się to przez cały czas?

Tymczasem Mack radośnie tratował pudła. Od czasu do czasu przyciągał sobie kolejne i rzucał na stertę.

– Co, wojna wybuchła? – powiedział powoli Alan.

Wszyscy myśleli o tym samym.

– Tam jest radio – mruknął Pete, wskazując swój kantorek, cały błyszczący od odłamków szkła.

Philip podbiegł do radia, chwycił je, pośpiesznie zakręcił gałką, szukając stacji nadających coś innego niż muzykę. Za chwilę męski głos powiedział:

– Moryc, stary, żeś naszczał do ty kawy czy coś? Chujowa ta ostatnia płyta. Połamię ją. He, he! Cały ten Body English do dupy jest, banda świrów i pedałów!

Stacja zniknęła z eteru jak za pstryknięciem wyłącznika, a Mack dokładnie w tej samej chwili znudził się swoją zabawą i roztrzaskał kolejną szybę kantorka. Wszyscy kucnęli, poza Pete'em, któremu nie pozwalał na to gorset.

– Dorothy, przynieś mój pistolet – szepnął Alan. – Pete, dasz sobie z nim radę? Jak byłeś u psów, chyba cię nauczyli, jak obchodzić się z bronią?

– Nauczyli? – prychnął Pete. – Całe moje szkolenie trwało może z sześć tygodni. Ale tak, strzelać to w miarę umiem.

– Dorothy...

Już pobiegła.

– Co się z nim, kurwa, porobiło? – szepnął Philip do Alana, kryjąc się.

– No, co wy?! – wrzasnął Mack, podskakując. – Bawimy się! Razem! Chodźcie!

– Ten DJ też nie brzmiał jak ktoś zdrowy – odparł tak samo cicho Pete, obserwując nieufnie Macka. – A te pożary to skąd?

– Z zamieszek – burknął Alan. – Ale tym się na razie nie martw, mamy swoje problemy... o, dziękuję! – Dorothy podała mu przyniesioną z biura trzydziestkędwójkę, którą trzymał tam przeciwko włamywaczom. – Pete, bierz to, dobra, a my z Philem spróbujemy go zająć od tyłu. Jeśli go zaskoczymy, to może uda się go ogłuszyć czy coś. Phil, chodź...

Lecz Mack dokładnie w tej chwili zauważył broń, którą Alan podawał Pete'owi. Widoczna była jak na dłoni. Jego twarz natychmiast wykrzywiła się w maskę ślepej furii.

– Ty skurwysynu!!! – ryknął i rzucił się na nich.

Philip krzyknął i cofnął się, chcąc osłonić Dorothy, a Alan wystrzelił.

– Ty skur... – Mack spojrzał na swoją pierś, odsłoniętą przez rozchełstaną koszulę, i zobaczył okrągłą dziurkę tuż obok mostka. Minę miał teraz kompletnie osłupiałą. – Co ty mi...

Po spodniach rozlała mu się ciemna plama.

– Cholera – mruknął. – Złałem się.

Po czym powoli opadł na kolana i padł twarzą na podłogę.

Dorothy rozplakała się.

Nastąpiła długa cisza. Z moczem zaczęła się mieszać krew.

\* \* \*

– No, teraz to już trzeba będzie jakoś się skontaktować z psiarnią – powiedział w końcu Alan. – Obojętne, telefon działa czy nie... Ale... – Spojrzał błagalnie na wszystkich po kolei. – Musiałem to zrobić, prawda, musiałem?

– Oczywiście. – Pete oblizał usta. – Pierwszy raz widziałem mord w czyichś oczach... Jezus Maria. Od czego mu się tak zrobiło? On nawet nigdy słowem się nie zająknął, że jestem czarny, jak to niektórzy. Aż tu nagle... coś takiego!

– Dorothy – powiedział Alan, nie odrywając wzroku od trupa – mogłabyś pojechać do...

– Nie – przerwała mu Dorothy. Ścisnęła dłonie, żeby się nie trzęsły. – Nie widziałeś, jak tam jest. Zresztą w ogóle nie jestem w stanie nigdzie jechać. Nie odważę się.

Philip i Alan zerknęli po sobie.

– Dobra, lepiej zobaczymy, o czym ona mówi – powiedział Philip i poprowadził ich do swojego gabinetu, nie do Alana, u którego rozmawiali wcześniej; stamtąd widok był tylko na wysoki czarny mur po drugiej stronie drogi. Gdy tylko otworzył drzwi, krzyknął, zdumiony i przerażony.

W oddali unosiły się ogromne, skłębione chmury dymu, łączącego się z szarym, wiecznie zaciągniętym niebem. Po otwarciu okna zaśmierdziało paloną gumą, plastikiem, drewnem, Bóg wie czym jeszcze. Gorsze to było niż wszystkie pożary rzeki.

Chwilę później ulicą przemknął policyjny radiowóz na sygnale, raptownie skręcając w lewo, do centrum. Mignął im siedzący obok kierowcy stuprocentowo biały mężczyzna, drący się do mikrofonu.

Potem z rumorem przejechały wojskowe ciężarówki, co najmniej osiem czy dziewięć, każda wypchana zamaskowanymi mężczyznami z karabinami.

– Niech ktoś do nich podejdzie i zapyta, co się dzieje! – krzyknęła Dorothy.

Philip zerwał się, ale zanim wybiegł na ulicę, już przejechali. Wrócił kaszlący i ocierający załzawione oczy.

– Za późno! – wykrztusił. – Ale musi być jakiś sposób, żeby się dowiedzieć, co się dzieje! Jest jakieś inne radio?

– U mnie jest – powiedziała Dorothy i pobiegła po nie.

Nastawili na pasmo awaryjne i usłyszeli głos małej dziewczynki. Coś śpiewała. Ale czy to faktycznie mała dziewczynka? „Kastor był od Polluksa większy, więc kiedy figlowali, nadstawił mu się chętnie, żeby go w dupę walił, swoim metrowym fiutem, pod którym miał trzy jaja”.

Głos obniżył się o półtorej oktawy i dodał normalnym, radiowym tonem:

– Zostańcie przy odbiornikach. Niedługo kolejne informacje na tej samej częstotliwości.

Philip, coraz bardziej nerwowy, zakreślił gałką. Błada jak ściana Dorothy sprawdziła telefon i potwierdziła, że nic a nic nie działa, nawet nie szumi.

– Noooo, staaary! – powiedziało radio, po czym zarżało. – Ale jazda, no mówię ci. Fantasty... Ej, ty, palancie, won od tego wyłącznika! To mój program! Spróbuj tylko mnie odciąć, to też ci coś odetnę! – Odgłos tłuczonej butelki. – Wypad stąd, bo cię potnę, słyszysz?

Kolejna stacja puszczała *Odę do radości* z IX symfonii Beethovena, w przyspieszonym tempie, a kogoś to tak śmieszyło, że rechotał głośniejsz niż muzyka.

Niczego więcej nie dało się znaleźć, nawet w paśmie policyjnym, ale to nic nie znaczyło. W tym mieście zawsze był słaby odbiór na krótkich falach, a odbiornik nie był za dobry.

Alan sięgnął przez Philipa i wyłączył radio.

– Phil, tam jest twoja żona i dzieci. Jedź do domu.

– Ale...

– Słyszałeś! – Ostro. – Ja się tu zamknę z Dorothy, potem odwiozę ją do domu. Mam pistolet, nic nam nie będzie. Po drodze powiedz policji o Macku, dobra?

Philip skinął głową z bijącym sercem.

– Jeszcze odwiozę Pete’a, okay? Nie może prowadzić. – Zawahał się. – Dziękuję.

## ZSTĄPIENIE DO PIEKIEŁ

Pete z trudnością wgramolił się do samochodu Philipa, któremu jakiś impuls – może ukłucie sumienia – kazał w czerwcu, kiedy wymieniał auto na nowe, kupić o oczko mniejsze. Upewniwszy się, że Pete'owi udało się usadowić, pomacał w schowku. Maski filtracyjne.

– Proszę! – Podał mu tę, której zwykle używała Denise. Dziecięce były o wiele za małe.

Pete przyjął ją, mruczając podziękowanie. Nawet z filtrem na dmuchawie ciężko byłoby wytrzymać ten smród. W powietrzu już unosiły się czarne, tłuste strzępki sadzy.

– Myślisz, że to jakiś atak? – zapytał niewyraźnie. – Czy tylko zamieszki?

– Cholera wie – odpowiedział Philip, wyciągając ze schowka coś jeszcze. Dwudziestkędwójkę Denise. – To też węź.

– Dobrze. – Pete położył ją na kolanach, ciemną dłonią luźno obejmując kolbę.

– To jedziemy. Najpierw do ciebie.

Odpalił silnik i ruszył do wyjazdu z parkingu – ale dojechawszy do niego, musiał ostro hamować. Od strony centrum na złamanie karku pędził szalenciec z wytrzeszczonymi oczyma za kierownicą maserati.

BRUUUUUUM!

– Co, kur...?

Za nim mustang, camaro, wielki lincoln i...

Luka. Philip momentalnie w nią wskoczył i skręcił w stronę centrum. Tu nic. Ani jednego auta przez dziesięć, dwanaście, piętnaście przecznic! Za to na pasie w przeciwną stronę kłębiło się od aut, przejeżdżały na jego stronę, na czerwonym, wciskały się jedno przed drugie, ocierały, choć nie zderzały...

– Ja już to kiedyś widziałem – odezwał się Pete. – Panika.

– No właśnie.

Przed nimi, z bocznej ulicy na czerwonym wyjechał econoline i wciął się przed nich, próbując dołączyć do wyjeżdżających z miasta. Zahaczył

zderzakiem o cadillaca, oba zatrzymały się gwałtownie.

– Ojoj – mruknął Philip i ominął tył econoline'a, zanim światło zmieniło się na czerwone.

Czuł się nadzwyczaj spokojny. Całkiem jakby podświadomie czekał na dzień, kiedy niebo zwali im się na głowy, i zużył cały zasób lęku i niepokoju. Wróci do domu i albo znajdzie Denise i dzieciaki, albo nie znajdzie. Potem albo znajdzie ich gdzie indziej, albo nie znajdzie wcale, bo już nie żyją. Wszystko było już ustalone i nic tu od niego nie zależało.

Zerknął na Pete'a.

– Jeannie w domu? – zapytał.

– Pewnie tak. – Pete stęknął. Dłoń mocniej zacisnęła się na kolbie. – Uważaj!

Jedną przecnicę przed nimi: płonąca stacja benzynowa, ogromne, żółte języki ognia. Ktoś na próżno usiłuje podłączyć wąż do hydrantu. Przechodnie, roześmiani, krzyczą i przeszkadzają mu, ciskając puszki i butelki. Skręcił gwałtownie w prawo, ominął to wszystko bocznymi uliczkami, które pierwszy raz widział na oczy, w końcu trafiając na właściwą trasę. Istny cud. Ludzie przestrzegają czerwonego światła. Wjechał w równoległą aleję i przycisnął gaz.

Przez cały czas wycie syren.

Od czasu do czasu ostre trzaski strzałów.

– Zobaczymy co tam w radiu – powiedział Pete i wcisnął przycisk.

Muzyka. Całkiem normalna. *Summertime* w wykonaniu Roaring Mortimera, z przyśpieszoną gadką, jak w numerach Kinga Pleasure'a.

– Panie i panowie, *Summertime*, a teraz już za chwilę, kto kogo zaciuka gładko i spoko Maroko, a na ulicach GAZ, GAZ na ulicach, GAZ, pa-ra-ra-ra!

Po czym – cisza. Zaskoczony Pete wyłączył i włączył radio, lecz teraz już nic w nim nie było.

Powybijane witryny pięciu czy sześciu sklepów. Ale poza tym żadnych regularnych oznak zamieszek, żadnych zapór policyjnych, żadnych radiowozów, żadnych znaków objazdu, ani... A swoją drogą, ciekawe, co się stało z tymi wojskowymi ciężarówkami i żołnierzami? Na chodnikach

wszyscy jakby rozradowani. Zwalniając, bo ruch trochę zgęstniał, Philip rozglądał się na boki. Jeszcze nie dotarli do miejsca tego ogromnego pożaru, który tak zatrul powietrze. Pewnie jest gdzieś w okolicach 18. i Stout, domyślał się, może koło poczty głównej? Zobaczył chłopaczka, który łapie kobietę w średnim wieku za spódnicę i klepie ją w tyłek. Babka odskakuje, spódnica zostaje mu w dłoniach. Nie ma majtek, ale idzie dalej, zupełnie się nie przejmując.

– Wszyscy powariowali! – wyszeptał Pete. – Jak Mack!

– Nie wierzę – burknął Philip. – Zobacz, radiowóz stoi, może ich zapytamy...

Otoczony grupką roześmianych młodych ludzi. Jasna cholera! Philip bardzo powoli przejechał obok, podjechał do krawężnika i zobaczył, pełen niedowierzania, dlaczego zebrał się ten tłumek. Kierowca i pasażer obejmowali się i całowali namiętnie.

Dziewczyna rysowała szminką na bagażniku radiowozu czaszkę z piszczelami. Ładną, artystyczną, z odpowiednią liczbą zębów i w ogóle.

W którymś momencie jednak ktoś do nich strzelił, w prawym tylnym rogu dachu radiowozu wykwitła mała dziurka, tylna szyba rozsypała się w drobny mak.

Philip tak się spłoszył, że omal nie zjechał na chodnik, ale skorygował trasę, zanim trafił w przechodniów. Po czym zobaczył przed sobą normalną, regularną zaporę policyjną. Uprzykrzająca życie, ale dobrze znana, dziś wydała mu się czymś uspokajającym.

– Czekaj, ja znam tego typu! – zawołał Pete, gdy czarny funkcjonariusz kazał im się zatrzymać. Odsunął szybę i zdjął maskę, ryzykując atak kaszlu. – Chappie! Chappie Rice! – zawołał.

– Kto, do... Ja nie mogę, Pete Goddard! Kopę lat, stary! – Policjant zerknął jeszcze, czy nie nadjeżdżają kolejne auta, i nachylił się do okna.

– Chappie, to jest Philip Mason, pracuję teraz u niego. Powiedz mi, co tu się, kurna, wyrabia?

– Stary, dopiero co mnie ściągnęli! Nie powinienem być na służbie, ale wezwali wszystkich! Jakby coś padło wszystkim na mózg, w całym mieście! W Arvadzie i Wheatridge stoi armia, dwustu pięćdziesięciu ludzi

z Wickens. Pali się trzysta-cztery domów, bandy zwariowanych dzieciaków latają na golasa po ulicy, śpiewają jakąś durną piosenkę i wszystko rozwalają. Przy poczcie też ze cztery budynki się palą, sklepy, biura, wylatują w powietrze stacje benzynowe, a teraz jeszcze mówią, że pojawił się snajper... a, słuchajcie, widzieliście, że macie dziurę w dachu?

– Widzieliśmy! – warknął Philip. – Panie władzo, ja chcę odwiedzić Pete’a do domu. Którędy jechać? Mieszka na... a, cholera, jaki tam jest numer?

Pete podał numer. Chappie Rice zrobił ponurą minę.

– Jak to mówią, słaby macie początek! Ja bym się cofnął do ostatniego skrzyżowania, dał trzy przecznice w lewo i potem...

I udało im się.

\* \* \*

Dzielnica była jak wymarła. Wszelkie zamieszanie wydawało się odległe o kilometry stąd, choć tak naprawdę dzieliło ich może z pięć przecznic. Ulica, na której mieszkał Pete, zamknęła się jak spłoszony maź. Gdy podjeżdżali pod blok Pete’a, w zasięgu wzroku nie było absolutnie nikogo; tylko zasłony falowały w oknach.

– Czekaj – wstrzymał go Philip. – Snajperzy?

Trzydzieści sekund napięcia. Nic się nie stało. Pete powiedział:

– Jezus. Dzięki Bogu. Widzę Jeannie!

Philip spojrział w okna ich mieszkania. Stała tam i zawzięcie machała.

– Dzięki za maskę... i za pistolet! – powiedział Pete, otworzył drzwi, z wysiłkiem wystawił nogi za próg.

Phil zaciągnął hamulec ręczny, pośpiesznie obiegł samochód, aby mu pomóc, ale tymczasem z domu wybiegła Jeannie.

– Pete, kochanie! Próbowałam się do ciebie dodzwonić, ale nic nie działa! – Rzuciła mu się na szyję, omal go nie przewracając. – Nic ci nie jest, kochanie?

– Mieliśmy... ten... drobne kłopoty w magazynie – powiedział Pete. Philip z niesmakiem przypomniał sobie, że nie powiedział policjantowi



o śmierci Macka; ale w skali tego, co się dzieje, wydawało się to pomijalnym drobiazgiem.

– Ale tobie nic nie jest?

– Nic, nic, dzięki Philowi.

Jeannie objęła Phila, wyściskała, ucałowała, zostawiając mu na policzku mokry ślad łez.

– Nie wiem, jak ci dziękować! – zawołała. – Jakby coś złego się mu stało, chyba bym zwariowała.

Jak wszyscy...

– No to dobrze – rzucił oschle Philip. – To ja... eee... lepiej już sam pojedę do domu. Dasz radę wejść do środka?

– Teraz to już pikuś. Zawsze sam wchodzę. Ten... dzięki raz jeszcze.

Philip odwrócił się, wsiadł do auta. Przechodzący przez chodnik Pete obejrzał się jeszcze:

– Jak to wszystko dojdzie do ładu, to do zobaczenia jutro!

– Dobra!

\* \* \*

A na ulicy przed jego domem – leniwie palący się samochód, wbity przodem w skrzynkę pocztową. Na chodniku po drugiej stronie przysiadł pies. Wył. Aż ciarki przechodziły. I tu także nie było widać żadnych ludzi.

Przed wjazdem do podziemnego garażu pod jego apartamentowcem, stalowa krata przeciw złodziejom. Stał parę centymetrów od niej i zatrąbił.

Nikt nie wyszedł, żeby go wpuścić.

Gdzieś miał klucz, który mu dali, ale nigdy go nie użył, bo...

Zagmerał w schowku, licząc, że tam będzie, przewrócił całą zawartość – chusteczki wymazane szminką Denise, połamane okulary przeciwsłoneczne Josie, kwitki od kart kredytowych, zapasowa świeca, masa różnego śmiecia – nagle samochód, ziemia pod nim, wszystko się zatrzęsło. Od huku aż rozboleły go uszy. Podskoczył i obejrzał się nerwowo

przez ramię. Parę domów od niego w powietrze wznosił się potężny kłęb dymu, przetykany oślepiającymi iskrami, niczym z magnezji.

A, chuj z samochodem!

Wyskoczył, nawet nie zamykając drzwi, nawet nie wyłączając silnika, i pobiegł do głównego wejścia. Do tej kraty miał klucz, załatwił go sobie, bo ochroniarze ciągle chorowali. Nie zamknął jej za sobą, popędził do wind...

I nie był w stanie doczekać się żadnej, więc ruszył schodami.

Sapiąc, dotarł na swoje piętro, drzwi mieszkania były zamknięte, walił w nie, stukał, łomotał, na zewnątrz coś wybuchło, aż posypał się tynk z pęknięcia na suficie, którego nigdy wcześniej nie widział.

W mieszkaniu coś się poruszyło. Krzyknął.

Otwierane zamki. Szczęk łańcucha.

Zapłakana Denise.

– Och, kochanie! – Zagarnął ją w ramiona, gorączkowo, poczuł, że cała się trzęsie. – Kochanie, już dobrze. Już jestem i...

I broń zostawiłem w samochodzie, kluczyki w stacyjce, włączony silnik i otwarte drzwi. Jezus, czy ja też wariuję? Czy cały świat w godzinę stracił rozum?

– Nie jest dobrze – powiedziała Denise. Łzy przestały płynąć, głos miała lodowaty jak marmur. Zamknęła drzwi i odwróciła się do niego. – Nie mogę się dodzwonić na policję.

– Kochanie...

– Nie jest dobrze. Josie...

Nastąpiła chwila całkowitej ciszy. Nic się nie działo. Ani w budynku, ani na zewnątrz, ani nigdzie, po krańce wszechświata.

– Myślałam, że normalnie śpi. A to Harold ją zabił.

## BÓL POŚREDNI

*...niekontrolowanych pożarów. Gdy zapada ciemność, Denver wygląda z powietrza jak krater wulkanu. Idą z dymem stacje benzynowe, sklepy i domy*

*mieszkalne. Huk płomieni przez cały czas miesza się z trzaskiem strzałów. Czasem jest to policja, broniąca się rozpaczliwie, obleżona przez ludność miasta, która w okamgnieniu zwróciła się przeciwko nim. Czasem jest to wojsko lub posilki Gwardii Narodowej, usiłujące przywrócić porządek na przedmieściach. Do miasta skierowano dwa tysiące żołnierzy mających lecieć do Hondurasu. Zrzucano ich na spadochronach w pełnym frontowym rynsztunku. To nie są bowiem zwykłe zamieszki.*

*A lawą w tym wulkanie są ludzie. Dziesiątki tysięcy ludzi, młodych, starych, białych, czarnych, rozlewają się po okolicy. Wszystkie drogi wylotowe z miasta stoją w gigantycznych korkach, liczących, jak się szacuje, osiemnaście tysięcy aut. Niektóre się pozderzały, niektóre są uszkodzone, kierowcy niektórych padli ofiarą snajperów... ale nie liczą się powody, ważne są tylko skutki. Ludność porzuca auta, często ledwie przecznicę czy dwie od domu i ucieka dalej pieszo, biorąc, co się da zabrać, zostawiając to, czego się nie da, na pastwę płomieni. Obserwatorzy często porównują to do skutków wojny, żeby zilustrować skalę, ale to wiele nie mówi. Ta katastrofa spadła na miasto znikąd i nikt nie ma pojęcia, co się dzieje...*

## WYMKNĘŁO SIĘ SPOD KONTROLI

*Prezydent:* Ale ci ludzie są potrzebni! Z San Pedro Sula mamy Tupasów w zasięgu moździerzy!

*Stan:* A, niech choć raz brudasy odwalą za nas brudną robotę. To nie są zwykłe zamieszki, to jest wojna domowa.

*Obrona:* Niestety, to jest w pewnym sensie prawdą. Ale, panie prezydencie, to nie jest rewolucja. Raczej wygląda tak, jakby ktoś tam...

**\* \* \* CZĘŚĆ STENOGRAMU POMINIĘTA. DOSTĘPNA TYLKO DLA OSÓB  
Z UPRAWNIENIAMI BEZPIECZEŃSTWA KLASY AAA \* \* \***

...więc oczywiście nigdy nie zgromadziliśmy odpowiednich zapasów odtrutki. Trzeba natychmiast spróbować pozyskać ją od firm

farmaceutycznych. A tymczasem, no cóż.

*Wywiad:* A tymczasem można zrobić tylko jedną rzecz. Ogłosić tam stan wyjątkowy, jeśli trzeba, to w całym stanie, otoczyć kordonem wojska i rozkazać strzelać do każdego, kto nie słucha ich poleceń.

*Sprawiedliwość:* Tak, sir, nie ma alternatywy. Ten kraj nie ma technicznych możliwości poradzenia sobie z czterystoma tysiącami szaleńców.

październik

## NAKRĘCANI LUDZIE

Fernando: ...*ależ tak,*  
*Nie spocznie póki cały świat,*  
*Cały wielki glob pełen ziem i mórz*  
*Nie będzie tykał mu jak w zegarku.*  
*Trybikiem jesteś, Juanie, jako i ja:*  
*Wytoczył nas okrągłych, upiększył zębami,*  
*Wyzłocił...*

Juan: *Oraz wykastrował!*

Fernando: *Otóż to, mój bracie. I wszyscyśmy*  
*Częściami tego mechanizmu. On balastem jest.*  
*Napędza nas wszystkich, złożonych w konstrukcję*  
*Misterną. Dukaty to smar dla naszych osi,*  
*Aby kręciły się bez skrzypnięcia.*

Juan: *Będę tedy skrzypiec, przysięgam!*  
*Będę narzekać, ściągając na niego huragany!*  
*Trzęsienia ziemi wyczaruję mu na drodze!*

Fernando: *Nigdzie nie umkniesz, Juanie, bo jesteś skowany.*  
*Będzie grzecznie kiwał głową, widząc próżny gniew,*  
*I powie, że przychodzi pora wybić godzinę,*  
*Więc lepiej już zacznij...*

„The Tragedy of Ercole”, 1625

## OGŁOSZENIE STANU WOJENNEGO

– Dziękuję. Przyjaciele, drodzy Amerykanie, chyba żaden prezydent Stanów Zjednoczonych nie stanął przed smutniejszym zadaniem niż to, z którym ja muszę się w tej chwili mierzyć. Z przykrością muszę was poinformować, że nasz kraj znalazł się w stanie wojny. Wojny, która nie jest naszą decyzją. Co więcej, nie jest to wojna, którą prowadzi się bombami, czołgami i raketami, nie wygrywa się jej mężnymi żołnierzami na polu bitwy, dzielnymi marynarzami na nieprzyjaznych morzach ani lotnikami dumnie śmigającymi w przestworzach – to jest wojna, którą musicie stoczyć wy, obywatele Stanów Zjednoczonych.

Zaatakowano nas najbardziej tchórzliwą, potworną, podstępą bronią, jaką kiedykolwiek wymyśliła ludzkość. Jesteśmy ofiarami jednoczesnego ataku chemicznego i biologicznego. Wszyscy wiecie, że ostatniego lata mieliśmy katastrofalny nieurodzaj. My, członkowie mojego gabinetu oraz ja, celowo opóźniliśmy ogłoszenie prawdy, z nadzieją że zagrożenie *jigras* uda się opanować. Nie możemy już tego robić. Wiadomo, że *jigras* zostały celowo sprowadzone do tego kraju. To ten sam szkodnik, który zniszczył całe rolnictwo w Ameryce Środkowej i doprowadził do nieszczęsnego konfliktu w Hondurasie, którego wcale nie pragnęliśmy.

Samo to jeszcze byśmy przeżyli. My, Amerykanie, jesteśmy dzielni, odważni, potrafimy cierpieć z godnością. Zrobimy wszystko, co konieczne. Są jednak wśród nas tacy, którzy noszą miano „Amerykanów”, a są zdrajcami, chcą obalić rząd wybrany w demokratycznych wyborach, uniemożliwić pracę policji, oczerniać i potępiać kraj, który wszyscy kochamy. Niektórzy z nich są zwolennikami obcej wiary – komunizmu Marksa i Mao, niektórzy, jeszcze gorzej, wyznają wiarę równie obcą, choć zrodziła się w naszych granicach, czyli trainizm, którego przywódca, dzięki Bogu, jest obecnie w więzieniu i oczekuje na wymierzenie

sprawiedliwej kary za porwanie niewinnego chłopca, uwięzienie go i zakażenie ohydными, zagrażającymi życiu chorobami.

Walczymy z wrogiem, który już jest pomiędzy nami. Poznać go można po słowach, jak i po uczynkach. Jedno z naszych wielkich miast wije się dziś w mękach, ponieważ jego ujęcia wody, tego drogocennego diamentu karmiącego nasze życia, zostały zatrute. Możecie zapytać: jak walczyć z wrogiem, którego bronią jest kran przy umywalce, jest chłodziarka do wody, do której chodzimy orzeźwić się w trakcie pracy w fabryce czy biurze? I ja też tak zapytam! To wy, ludzie naszego wielkiego kraju, musicie znaleźć na to odpowiedź!

To nie będzie łatwe. Będzie niezmiernie trudne. Naszym wrogom udało się zniszczyć nasze zapasy żywności, tak dalece, że musimy się nią dzielić, i to dzielić po równo. Po moim przemówieniu, otrzymacie informacje o nadzwyczajnych środkach, które wprowadzamy, by zapewnić sprawiedliwy i równy podział żywności, którą dysponujemy. A także o planach uciszenia wszystkich znanych zdrajców i elementów wywrotowych. Reszta jednak należy do was. Wiecie, kim jest wróg – spotykacie go w pracy, słyszycie, jak wygłasza zdradzieckie słowa na przyjęciu, słyszycie, że chodzi na zebrania organizacji, która jest przykrywką dla komuchów, widzicie antyamerykańskie książki na jego półkach, nie chcecie śmiać się z jego tak zwanych żartów, brukających dobre imię Stanów Zjednoczonych, mówicie swoim dzieciom, żeby nie zadawały się z ich dziećmi, które też są wychowywane na przyszłych zdrajców, widzicie ich na demonstracjach trainistów, wiecie, że kłamią i oczerniają lojalnych Amerykanów, którzy budowali ten kraj, aż stał się najbogatszym i najpotężniejszym w historii świata.

Przyjaciele, wybraliście mnie, żebym poprowadził was w trzeci wiek istnienia naszego państwa. Wiem, że można na was polegać, że uczynicie to co słuszne. Wiecie, kto jest wrogiem. Trzeba go dopaść, zanim on dopadnie was!



## ALE IM POWIEDZIAŁ!

- Słyszałeś, co ten skurwysyn powiedział o Trainie?
- Pewnie, że słyszałem! Nawet go jeszcze przed sądem nie postawili!

## DO NORMY

Pukanie.

Philip, brudny, nieogolony, w niezmienionym od ponad tygodnia ubraniu, sięgnął po pistolet zanim jeszcze otworzył oczy. W salonie ich mieszkania, w którym postanowili dalej kwaterować, wciąż było niemal zupełnie ciemno. Od początku zdarzeń nie było prądu. Nie było także wody. Zanim skończyła się bateria w ich jedynym przenośnym radjku, dowiedzieli się, że to właśnie woda z wodociągu wywołała obłęd w mieście... i u Harolda.

Siedział w rogu, robił pod siebie, niczego nieświadomy. Ssał kciuk i gapił się w przestrzeń. Odkąd zabił siostrę, nie odezwał się ani słowem. Równie dobrze mógłby być autystyczny.

Josie leżała w zamrażarce, pod zamkniętą pokrywą. Zaczynała śmierdzieć. To jednak było nic w porównaniu ze smrodem z toalety.

Denise, tak samo brudna jak on, pozbawiona peruki, z bliznami po grzybicy jak piętnami na łysej czaszce, usiadła i wyszeptała:

- Kto to może być?
- Skąd mam, kurna, wiedzieć? – warknął Philip, podpierając się o róg stolika i przecierając oczy knykciami dłoni, w której trzymał broń.

Czuł się dziś bardzo źle, jeszcze gorzej niż wczoraj, stłukli jednak jedyny termometr, gdy próbowali zmierzyć temperaturę Haroldowi, a Philip podczas dwóch wypraw na zewnątrz jak dotąd nie dotarł do żadnego drugstore'u. Podczas pierwszej odzyskał broń; w drugiej nie zyskał nic poza informacją, że wszystkie okoliczne sklepy spożywcze są

rozsabrowane. Żywili się mrożonymi hamburgerami i sokiem pomarańczowym.

Po drodze do wizjera musiał obejść zaimprovizowane palenisko. Żadna frajda, mieszkać w nowoczesnym mieszkaniu z odciętymi wszystkimi mediami. Gaz wyłączono mniej więcej wtedy co prąd. Mieli szczęście, że znaleźli arkusz azbestu, na którym można było postawić fajerki z kuchenki.

Zerknął ostrożnie przez wizjer i cały zeszywniał.

– Wojsko! – powiedział półgłosem i jednocześnie uświadomił sobie hałasy dochodzące z sąsiedniego mieszkania, przez ostatnie dwa dni całkowicie cichego.

– Pewien jesteś? – Denise klęczała, rozdygotana. – Mogą być jacyś przebierańcy...

W człowieku za drzwiami było jednak coś przekonującego: starszy sierżant, z twarzą na wpół ukrytą za przydziałową maską filtracyjną, z kartkami na podkładce i długopisem, robiący jakiś spis czy coś. Za nim pokazał się drugi, szeregowy; na kołnierzu miał naszywki korpusu medycznego. Niósł pudełko z ampułkami i słoje białych pigułek.

– Nie, chyba nie... – mruknął i szcęknął zamkami, choć łańcuch zostawił i dopilnował, żeby było widać, że ma broń. I...

– Rzuć broń, bo strzelam! – Sierżant, jak za sprawą czarów, nagle wycelował w niego karabin; musiał go mieć na plecach, lufą w dół, tak że jedno machnięcie ręki wystarczyło, żeby go unieść.

– Ale ja nic nie zrobię – powiedział słabo Philip. – Ja tu mieszkam. To mój dom.

Brudny. Śmierdzący. Paskudny. Ale mój.

– Rzuć broń!

Wzruszył ramionami i rzucił go na najbliższą poduszkę.

– Teraz lepiej – powiedział sierżant. – Philip A. Mason?

– T... tak.

– Dokumenty!

Philip poszukał portfela w kieszeni, podał mu prawo jazdy. Sierżant wziął je i dodał:

– I otwórz te cholerne drzwi, dobra?

– No... tak, dobrze! – Odpiął łańcuch.

Szeregowy wszedł i rozejrzył się, marszcząc nos. Zsunął maskę na podbródek i miał minę, jakby tego żałował. Jednak powietrze tu nie było wcale gorsze niż na zewnątrz; niektóre pożary w centrum trwały od pięciu dni, a wiatr nawiewał też dym z przedmieść.

– I pani Mason, tak? – zapytał sierżant, oddając mu prawo jazdy. – Macie dwoje dzieci?

Philip stwierdził, że autorytatywny ton w jego głosie jest dziwnie uspokajający. Od śmierci Josie wyobrażał sobie, że już nie ma nikogo na świecie, kto wiedziałby, co on ma ze sobą począć. Spędził wiele godzin, niekiedy pół dnia, gapiąc się przez okno na kłęby dymu, niezdolny do żadnej reakcji, nie mówiąc już o planowaniu czegokolwiek.

Denise wstała, chwiejnie, przyciskając koc do piersi. Ponieważ była ubrana – ani ona, ani Philip przez ostatni tydzień nie zdejmowali ubrań – nie robiło to żadnej różnicy.

Teraz do mieszkania wszedł trzeci człowiek, też szeregowy, z jutowym workiem, w którym na dnie było coś ciężkiego. Zobaczywszy pistolet Philipa, skoczył ku niemu, wysypał pozostałe naboje i wrzucił go do worka.

– Ej, to moje! – sprzeciwił się słabo Philip.

– W całym mieście jest zakaz – burknął sierżant. – Zastrzelonych gdzieś dwadzieścia tysięcy osób. Twój syn? – Wskazał na Harolda, który nawet nie spojrzał na intruzów.

– Eee... tak.

– A drugie dziecko, córka?

– Eee...

– Nie żyje – odezwała się Denise.

Sierżant postawił w tabelce ptaszka.

– Aha. W jaki sposób?

– Harold ją zabił. Chce pan zobaczyć ciało?

To przebiło się przez jego beznamiętną pozę. Opuścił klips z papierami, wytrzeszczył oczy.

– Zabił ją. Myślałam, że śpi, ale on ją zadźgał i przykrył jej ulubionym kocykiem. – Głos Denise był spokojny, wyprany z emocji. Żadne jej nie pozostały; w ciągu tygodnia przeszli piekło.

Sierżant i szeregowy-sanitariusz spojrzeli po sobie.

– Chyba muszę ściągnąć lekarza, żeby na niego spojrzął – odezwał się po chwili szeregowy. – To nie mój kaliber, panie sierżancie.

– No tak. – Sierżant oblizał usta. – Zobacz, czy już skończył z tymi trupami naprzeciwko.

– Trupami? – Philip zrobił pół kroku naprzód.

Z Friedrichsami z sąsiedniego mieszkania nigdy się specjalnie nie przyjaźnili, ale „dzień dobry” sobie mówili, a w dniu, kiedy zaczął się kryzys, kiedy jeszcze kombinował nad połączeniem sił i zasobów, stukał do ich drzwi, ale nie otworzyli.

– Tak, trupami – uciął sierżant. – Poza wami nikogo żywego jeszcze w tym budynku nie znaleźliśmy. W wojsku byłeś? – Długopis wycelował w kolejną rubryczkę formularza.

– Ja... – Philip z trudem przełknął ślinę. – Tak, tu mam zaświadczenie. – Znów wyciągnął portfel.

Od czasu klęski operacji w Hondurasie trzeba je było mieć zawsze przy sobie – zaczęli bardzo ostro podchodzić do uchylających się od służby.

– Aha... Manila? Też tam byłem – powiedział sierżant, coś pośpiesznie pisząc. – A czemu, do cholery, się nie zameldowałeś?

– Nie rozumiem – odrzekł powoli Philip.

– Miałeś obowiązek zgłosić się na Wickens, jeśli jesteś zdrowy na ciele i umyśle. Albo do Arsenalu. Trzy dni temu. – Sierżant oddał mu zaświadczenie. – Będą problemy, panie Mason.

Philip pokręcił głową.

– Mówili w radiu? – jęknął. – Bo radio nie działa od ponad trzech dni, na początku słuchaliśmy go bez przerwy, bo chcieliśmy się dowiedzieć, co się dzieje, telefon też nie działa, a jak ostatni raz wyszedłem na ulicę, to do mnie strzelali...

Sierżant popatrzył na niego z namysłem.

– Myślę, że ostro się z tobą nie obejdą. Potrzebujemy każdego, kto nie jest chory i nie zwariował.

– Trochę chory jestem. Gorączkę chyba mam.

– A, to nie problem. To ten syf złapany od królików, jak to się nazywa...  
Rocco?

Sanitariusz odpowiedział:

– Tularemia. Gorszy jest dur, a słyszałem, że jest też ospa wietrzna.

Philip spojrzał na Denise i zobaczył, że jest tak przytłoczona tym wszystkim, że tylko gapi się z otwartymi ustami. Sam też się tak czuł.

– Dajcie jakiś worek na to dziecko – ciągnął sierżant, odwracając się do drugiego szeregowego, tego zbierającego broń.

Tamten kiwnął głową i wyciągnął coś przypominającego grube, czarne cygaro. Po potrząśnięciu rozwinęło się w foliowy worek, dwa metry na pół.

– Trumny – powiedział z suchym uśmiechem sierżant. – Najlepsze, jakie...

– Jezus Maria! Phil Mason! – Wołanie od drzwi, do środka wpadł Doug McNeil. – I Denise! Dzięki Bogu, że chociaż wy żyjecie!

Był wymęczony, świeżo zarośnięty, ubrany w za duży mundur khaki, ale sądząc po ruchach, nic mu nie było. Philip zastanawiał się, czy powinien rzucić mu się na szyję i się rozplakać.

Zanim zdążył zareagować w tak absurdalny sposób, Doug zauważył Harolda. Jedno spojrzenie mu wystarczyło. Zwrócił się do Denise:

– Do wody się dobrał!

Kiwnęła tępo głową. Sto razy już roztrząsali, jak to się stało – matka spała twardo, bo wzięła potężną dawkę środków przeciwbólowych na migrenę, a on tymczasem napił się śmiertcionośnej wody i wbił siostrze nóż w brzuch.

– Josie?

– Tutaj. – Philip poprowadził go do kuchni.

Doug milczał przez dłuższą chwilę, po czym odwrócił się, kręcąc głową.

– Wywózka! – warknął do żołnierza z foliowym workiem i dodał: – Przepraszam, Phil. Ale musimy wywieźć wszystkie zwłoki z miasta i jak

najszybciej je spalić. Będzie masowa kremacja. I msza. Denise, jak chce, może pójść.

– A ja nie?

Doug zawahał się. Po czym z zawodową zręcznością sprawdził mu puls, uniósł jedną z powiek, kazał wystawić język.

– Nie. Ty nie. Masz szczęście. W ogóle nie masz pojęcia, ile mieliście szczęścia. Rocco, dałeś im już lekarstwa?

– Jeszcze nie, sir – odparł zakłopotany sanitariusz.

– No to, kurna, na co czekasz?! – Zszedł z drogi żołnierzowi próbującemu zapakować Josie do foliowej torby.

Denise nie ruszyła się, żeby pomóc. Może nie była w stanie.

Doug powiedział do Philipa:

– Podobno w mieście na każde dwie osoby przypada półtorej sztuki broni. Ci, co nie zostali zastrzeleni, powariowali, a ci, co nie powariowali, przeważnie mają trzy czy cztery śmiertelne choroby zakaźne, które... Na razie to w zasadzie uprzątamy pobojuwisko.

Rocco podał mu tabletkę i ampułkę. Philip przyjął je apatycznie.

– Tabletkę to antybiotyk o szerokim spektrum – powiedział Doug. – Robiony na zamówienie szczep penicyliny, tylko tyle dało się szybko zorganizować w dużej ilości. Ale lepsze to niż nic, chociaż zdarzają się uczulenia. Dlatego właśnie nikt jej nigdy nie rozrzucił kilogramami na lewo i prawo i jeszcze robi wrażenie na bakteriach. A ampułka to odtrutka na gaz neurotoksyczny.

– Gaz neurotoksyczny! – wykrzyknęła Denise, właśnie przyjmująca od Rocco lekarstwa.

– Tak to tylko nazywamy, dla wygody. Tak naprawdę to jest wojskowy środek psychomimetyczny. Cholera wie, jak im się go udało rozpuścić w wodzie. Musieli mieć go naprawdę z tonę, żeby wywołać takie skutki. Szczegółów nie znam, ale eksperci z Departamentu Obrony przedwczoraj przylecieli z odtrutką. – Westchnął. – Tylko, że w większości przypadków jest za późno. Ludzie, którzy nie zostali na czas uprzedzeni, postąpili logicznie: nalali wody do wanny i do wszystkich naczyń, jakie były w domu i pili tę zatrutą wodę. Po czterdziestu ośmiu godzinach nie ma już nadziei.

– Ale kto to zrobił? – wyszeptał Philip. – W całym kraju czy tylko tutaj?

– Tylko w Denver i okolicach. – Doug wzruszył ramionami. – Ale równie dobrze mógłby być cały kraj. Wprowadzili stan wyjątkowy, racjonowanie żywności i będzie to trwało, póki rząd nie zmieni zdania.

– Panie doktorze, pan uważa na słowa! – warknął sierżant.

– Wal się! – odwarknął Doug. – Mnie wasza dyscyplina nie obowiązuje, jestem cywilnym ochotnikiem. Do tego, jak się zdaje, w całym Denver jest tylko kilku lekarzy zdatnych do pracy. A ja tylko mówię, że byłoby nam łatwiej pracować, gdyby powiedzieli nam całą prawdę. Przez większość czasu poruszam się po omacku. Co, może ty nie?

Sierżant zawahał się.

– No, doktorze, taki nagły wybuch szaleństwa u tysięcy ludzi... – Rozłożył ręce.

– No tak – burknął ironicznie Doug. – Całkiem nagły.

Spojrzał ponad ramieniem Philipa.

Rocco i Denise próbowali nakłonić Harolda do przyjęcia antybiotyku i odtrutki. Bezskutecznie – pozwalał sobą poruszać, jak zdechły królik, ale nie współpracował.

– Phil... – Nagle ściszył głos. – Musisz się zaraz zgłosić do służby. Każdy, kto kiedykolwiek był w wojsku, jest powołany, a ty jesteś zdrowszy niż większość żołnierzy, których tu widziałem. A to znaczy, że Denise będzie miała ciężko.

– Ale że co? – Philip od wielu dni miał mętlik w głowie, który uparcie nie chciał się uporządkować.

– No... wiesz... Harold już nigdy nie będzie inny. To pewne, w tym wieku tak się właśnie dzieje. A ciebie zaraz gdzieś wyślą... i... zaraz, jeszcze jednego ci nie powiedziałem!

Był na wpół odwrócony; teraz gwałtownie się okręcił, żeby spojrzeć mu w oczy.

– Alan. Zabity!

– O Boże. Jak?

– Spalił się na śmierć w swoim magazynie. Razem z Dorothy. Byłem w oddziale, który przeszukiwał ruiny. – Doug oblizał usta. – Myślimy, że to

ktoś, kto miał problemy z jego filtrami. Usłyszał komunikat, że woda jest zatruta, i dodał dwa do dwóch, wyszło mu, że to przez filtry Mitsuyamy. Alan z Dorothy wrócili do firmy dzień po wybuchu kryzysu, ktoś ich tam obrzucił bombami z gazem. Jeden policjant też się poparzył. A ktoś czasem nie został zastrzelony?

– Mack – odparł powoli Philip. – Kto ci powiedział?

– Pete Goddard. Nic mu nie jest, i Jeannie też nie. Pomagają przy rejestracji ofiar.

Czyli chociaż parę osób przeżyło. Philip dodał:

– A z Haroldem... co?

– A. No tak. Harold. Będzie... Denise będzie z nim ciężko.

– Pewnie tak. – Cholerna mgła w głowie nie chciała się rozwiać, jakby usiłował myśleć w chwili pomiędzy podaniem narkozy i zaśnięciem. – Ale ktoś im pomoże, prawda? Zresztą, wiesz, mamy trochę pieniędzy, i...

– Phil, puknij się w głowę! – Był tak zdenerwowany, że musiał chwycić go za ramię, żeby natychmiast mu przerwać. Dalej tym dyskretnym półgłosem: – Banki nieczynne, wszystko pozamykane, poza miasto nic nie jeździ, nic tu nie ma, nic! A Harold w jego stanie... – Machnął ręką.

– Widziałem dzieci w gorszym stanie. Ziemski Fundusz Wspólnotowy się nimi opiekował. – Sto lat temu, chłopaczek z przykurczoną nogą, kuśtykający przez wjazd na parking Angel City w Los Angeles. – Albo Podwójne V. W końcu to chore dziecko.

– Są na indeksie – powiedział Doug.

– Co takiego?

– Ziemski Fundusz Wspólnotowy i Podwójne V. Obie są na liście organizacji wywrotowych, do zdelegalizowania w przypadku wybuchu wojny. Podobnie jak wszystkie organizacje od praw człowieka, lewicowe wydawnictwa... – Doug pokręcił głową. – A z kim walczymy, nie chcą nam nawet powiedzieć!

– Z nimi! – powiedział sierżant. Philip nie uświadamiał sobie, że on słucha. – Najbardziej chamski atak w historii tego kraju! Psychoza u dzieci! U kobiet! U wszystkich! Już lepiej byłoby wszystkich zabić!

Philip powoli kiwnął głową.



– No dobra, nie będę ci tego proponował – stwierdził Doug i odwrócił się, gdy Rocco podał mu blok formularzy. – Swoją drogą, podaj mi imiona i datę urodzenia Josie. Muszę to przypiąć do worka.

Philip tępo wyrecytował dane. Po czym przypomniał sobie.

– Czego... proponował?

– Takiego worka jak ten – wyjaśnił Doug, unikając jego wzroku. – Albo to, albo umrze z głodu, na tyfus, albo zginie w wypadku... No, ale ty postawiłeś sprawę jasno. Nie zgodzisz się.

– Zabijacie dzieci?! – wybuchnął Philip.

– Nie. Oszczędzamy im gorszej śmierci. – Doug odwrócił się i spojrzał mu w oczy.

Miał w nich coś, co przypominało litość, ale Philip już na litość nie reagował.

Głos Douga złagodniał.

– Posłuchaj. Zrobię ci jeszcze jedną uprzejmość. Nie jesteś w stanie myśleć, jak należy, być może dostałeś niekliniczną dawkę tego halucynogenu. Dam ci zaświadczenie, że do jutra jesteś niezdolny zgłosić się do służby. Póki masz możliwość, pomyśl o Haroldzie i Denise. Bo drugiej okazji nie będzie.

Philip patrzył na niego, nie rozumiejąc.

– Jeszcze jedna sprawa – powiedział sierżant. – Macie jakąś żywność? Bo musimy zabrać wszystko ponad to, czego potrzebujecie na jutro. Następnego dnia mamy obiecane dostawy żywności, zupy, chleba i tak dalej.

Tego już było za wiele. Philip gestem pokazał kuchnię, odwrócił się i przyłożył czoło do ściany. Była pokryta warstwą tłustego brudu, ale przynajmniej chłodna.

W oddali usłyszał, jak Denise pyta:

– A jak tam Angie? I Millicent?

– Mama nie żyje – odpowiedział Doug. – Ale Angie nic nie jest. Była pielęgniarką. Pracuje w innej ekipie, takiej jak ta.

\* \* \*

Gdy drzwi się zamknęły, Philip powiedział:  
– Gdybym dostał w ręce tych skurwieli, co są za to odpowiedzialni, to bym...  
Ale nie przyszło mu do głowy nic wystarczająco złego.

## WSTĘPNY PROJEKT

...do których zaliczają się następujące *prima facie* zachowania:

- a) homoseksualizm lub zachowania nieprzyzwoite wobec innych osób płci męskiej;
- b) posiadanie lub handel nielegalnymi narkotykami lub innymi lekami;
- c) czerpanie dochodów z prostytucji;
- d) członkostwo w Partii Komunistycznej lub którejś z jej organizacyj-przykrywek (patrz załącznik);
- e) „trainizm”;
- f) nawoływanie do zbrojnego obalenia władz;
- g) znieważanie Prezydenta Stanów Zjednoczonych;
- h) ...

## JAZDA PO KWASIE

Hugh czuł się bardzo chory. Chwilami myślał, że ma zakażenie krwi, bo na twarzy miał takie jakby ranki, niektóre wokół ust – gdy je oblizywał, czuł paskudną słodycz ropy. Kiedy indziej, że podłapał coś zupełnie innego, jakąś niezależną gorączkę. Przez większość czasu sądził jednak, że to faza po kwasie, choć nie pamiętał, kiedy niby miał ten kwas wziąć. Cały świat był gumowy, a zwłaszcza jego własne kończyny.

Wiedział jednak, dokąd zmierza, i dotarł tam, choć musiał omijać psy i trepów, a na drodze nie było ani jednego auta, żeby móc się zabrać. Samochód trafił szlag, zdaje się wjechał nim w kogoś czy coś takiego. Za

dobrze mu się nie myślało, ta gorączka, brak jedzenia – nie jadł od wielu dni, choć wody znalazł mnóstwo.

Wody? Woda?

Kropla deszczu na dłoni. Cholera. Ale chociaż już było widać dom. Tu powinny być ogrody botaniczne, prawda? Rozejrzał się, zdezorientowany zapadającą ciemnością. Prawdziwy wieczór.

Te drzewa. Za wcześnie, żeby już były gołe, poza tym niektóre z nich w ogóle nie powinny gubić liści. Jakaś zaraza? Dotknął pnia, stwierdził, że za dotknięciem odchodzi z niego kora.

Cholera. Mniejsza z drzewami. Dom jest gdzieś tam. Znowu deszcz. Przypomniało mu się, że jest spragniony – zadarł głowę, żeby krople spadały mu na język. Prawie nie czuł smaku; wewnątrz ust pokrywała mu gruba warstwa czegoś białego. Kitty miała coś podobnego w cipce, pamiętał. Grzyb jakiś. Drożdże, mówili na to. Durna nazwa. Drożdży to się do pieczenia używa.

Deszcz był kwaśny. Stał jak wryty, nie dowierzając własnym zmysłom. Kwaśny? To pewnie ta drożdżycza czy coś. Deszcz nie jest kwaśny. Tylko...

– Jezus Maria – powiedział, a po kręgosłupie przebiegł mu lodowaty dreszcz przerażenia.

Jak kwas z akumulatora! Nie było wątpliwości; miał kiedyś elektryczny samochód, wystarczająco długo, żeby być pewnym.

Z nieba pada kwas!

Wrzasnął i puścił się pędem do domu, lecz już pod następnym drzewem zatrzymał go wartownik z karabinkiem. Stał i popatrzył na niego tępo.

– Kwaśny deszcz – powiedział. – Niemożliwe.

– Cisza. Nazwisko?

– Ja tu mieszkam – powiedział Hugh. – To mój dom.

– Masz na nazwisko Bamberley? – Wartownik przekrzywił głowę.

– No... nie. Hugh Pettingill. – Miał dokumenty... gdzieś w kieszeni...

Wymacał coś podobnego, podał żołnierzowi.

– O, byłeś w piechocie morskiej! – stwierdził wartownik. – To świetnie. Przydasz się, trochę cię tylko trzeba do porządku doprowadzić. –

W słabnącym świetle zlustrował twarz Hugh. – Straszne masz wrzody czy coś? Chory byłeś?

– T-tak. – Kiedy ja niby byłem w piechocie morskiej?

– Ale teraz się meldujesz?

– Tak.

– No dobra. Wał prosto do domu i pytaj o kapitana Aaronsa. – Wartownik oddał mu zaświadczenie.

– A gdzie... rodzina? Maud i reszta?

– Hę? A, pani Bamberley? Słyszałem, że zwariowała. Trochę wcześniej niż wszyscy. – Kwaśny uśmiech. – Taki wielki dom, cały pusty, no to nas tu zakwaterowali. Blisko do Denver.

– I co wy tu robicie?

Facet wzruszył ramionami.

– Brygady pracy przymusowej. Sprzątanie ruin. Uchylający się od służby. Trainiści. Różne takie typy. Pacyfiści. Z rana prowadzimy ich do miasta, wieczorem z powrotem. Wreszcie udało się śmieci zagonić do porządnej pracy. Teraz idź lepiej do domu i się zamelduj. Do zobaczenia. Być może.

– No – powiedział tępo Hugh, myśląc: Jasna cholera! Kwas pada z nieba.

\* \* \*

– To jest podróba – powiedział prosto z mostu kapitan Aarons. – Gość nigdy nie był w piechocie morskiej. Gdzie on teraz jest?

Zdziwiony sierżant odparł:

– Chyba poszedł do lekarza, sir. Miał jakieś takie ranki na całej twarzy.

– Zabierz go stamtąd i daj do pierwszej lepszej brygady. Chyba że doktor powie, że nawet do odgruzowywania się nie nadaje.

W PRZYGOTOWANIU

- Tom, mówi Moses. Masz coś, co by się mogło nadać?
- Nie, do cholery! Nic a nic! Kiedy w nocy padł prąd, cały projekt jakby wziął pałą w łeb! Próbuję doprowadzić te dane do jakiegoś porządku, a ty mi zawracasz dupę! Do widzenia!

## POWRÓT DO DOMU

To stopniowe przyzwyczajanie się do nowego, dziwnie poskładanego świata... Całą dzielnicę już posprząтали i ogłosili, że nadaje się do zamieszkania, ale jest taka... pusta!

Dobrze w końcu móc włożyć klucz do własnych drzwi, mimo że długo tu się nie namieszkaliśmy, pomyślała Jeannie. A do tego mieli tyle szczęścia! Ogień nie zbliżył się do domu nawet na pół kilometra, budynku nikt nie ostrzelał, nie zbombardował ani nic.

Choć oczywiście armia umieściła ich tymczasowo w motelu za miastem i pracowali – ona przy chorych, choć sama się niezbyt dobrze czuła, a Pete pomagał wypełniać rejestry ofiar i świadectwa zgonu, nic trudnego, nauczył się tego jeszcze w policji.

Ale tak tu było dziwnie, tak dziwnie! Świadomość, że mieszkania na górze wszystkie są puste, w całym bloku liczącym sobie trzydzieści mieszkań... a ulica? Samochody tylko stały, żaden nie jeździł, nawet z oddali się aut nie słyszało, poza warkotem wojskowych ciężarówek... a kraj, w jakim był stanie? Każdy zdrowy mężczyzna powołany, bez wyjątków: lojalni do wojska, a nielojalni do jakichś innych prac, sprzątania ruin, wywożenia trupów. Bo cały czas odkrywano nowe trupy.

Mimo to jest dom. Przyjechała tylko sprawdzić, czy można już tu przywieźć Pete'a na noc. Nie mieli paliwa do auta, ale armijne patrole kursowały regularnie, podobnie policyjne, a Chappie Rice, kumpel Pete'a z psiarni, obiecał, że załatwi, żeby każdego dnia podwoziły go do pracy i z powrotem. Póki się kryzys nie skończy. Ale czy on w ogóle się skończy?

Była tak zamyślona, że w ogóle go nie zauważyła.

– Nie ruszaj się. Ręce do... Jezus Maria, Jeannie?

Krzyknęła, odwróciła się, i proszę, siedział po drugiej stronie szerokiej sofy i patrzył na nią: Carl, rodzony brat.

Zmienił się tak, że ledwie go poznała. Strasznie się postarzał. Na wychudłej twarzy pojawiły się zmarszczki przedwczesnej dojrzałości; miał na sobie brudny czarny sweter z pasem na naboje przez ramię. Celował w nią ze sportowego karabinka.

Spojrzał na nią, potem na broń i raptownie odmłodził o te wszystkie lata. Skoczył na równe nogi, rzucił karabin i wziął ją w objęcia.

– Oj, Carl, Carl! – Prawie się rozplakała; była przekonana, że jej ukochany brat dawno nie żyje. – Co ty tu robisz?

– Ukrywam się – powiedział i zaśmiał się cynicznie. – A ty? Pete jest?

– Nie... bo, ten... na razie umieścili nas za miastem, w motelu, ale jutro... – wytłumaczyła mu pośpiesznie.

– Wszystkie mieszkania puste? Superancko. To mogę gdzieś tu pomieszkać!

– Nie, będą tu kwatrować ludzi, którym spaliły się domy.

– E, cholera. – Posmutniał. – Ja to durny jestem jak nie wiem!

– Co takiego?

– Bo widzisz... – Znów się jakby postarzał; odsunął się, usiadł obok broni, zaczął gładzić kolbę chudymi palcami. – Jeannie, ja muszę się ukryć. Z tego zginął strażnik graniczny.

– Oj, Carl! – Załamała rękę.

– Musiałem. Albo ja, albo on. Chciałem tylko przejść. Zresztą w ogóle już nie przepadam za trepami... Rozumiesz, byłem w Berkeley, ale musiałem się stamtąd zmyć. Usłyszałem, co się wyrabia w Denver, i pomyślałem, rany, rewolucja się dzieje, a mnie tam nie ma? Nie może być! Teraz rozumiesz, czemu powiedziałem, że durny jestem?

Kiwnęła głową. Twarz miała ściągniętą.

– Więc kiedy się dowiedziałem, jaka naprawdę jej sytuacja, właściwie mogłem dać sobie kopa w dupę, takiego, żeby wrócić do Berkeley! No ale zacząłem cię szukać. Pisałaś do mnie kiedyś, że się przeprowadzasz,

numer domu zapomniałem, ale pamiętałem ulicę. No to przeszedłem całą, póki nie znalazłem nazwiska „Goddard” na tabliczkach. Długo to nie zajęło, mało który dom cały stoi. – Zapatrzył się w pustkę. – Naprawdę myślałem, że to rewolucja. Poważnie. Chyba jakiś odklejony byłem.

– Ale co ty teraz zrobisz?! – wykrzyknęła Jeannie.

– Cholera wie – odparł znużonym tonem. – Uchylam się od służby, mam sfalszowane dokumenty, zabiłem pogranicznika... Jeannie, nie miałem wyjścia. Nazwał mnie asfaltem i wyciągnął broń. Zastrzeliłby mnie jak nic. Tylko że ja byłem pierwszy. Chyba trzeba się będzie przyczaić, póki nie zniosą stanu wyjątkowego, a potem spróbować przejść do Kanady czy coś. Tam pod granicą jest taka podziemna kolejka. – Zawahał się. – Jeśli tylko Pete wcześniej na mnie nie doniesie.

– On? W życiu!

– Nie? A do psów poszedł, tak? W sumie to może w ogóle nie powinienem o tym z tobą rozmawiać, to twój mąż. Tylko strasznie długo z nikim nie gadałem.

– Zaraz... wiem! – Niespodziewany pomysł. – Pete pracuje w ewidencji ofiar. Ma wszystkie urzędowe formularze. Podrzuci się tam jeden, napiszemy, że poraził cię gaz neurotoksyczny, że jeszcze masz jazdę, bo odtrutka na ciebie nie zadziałała! Każdego dnia są dziesiątki takich ludzi, znajdują ich, jak łążą sobie bez ładu i składu.

– No? – W oczach Carla obudziło się zainteresowanie. – I co...?

– Będziesz udawać takiego trochę zamroczonego. Nie do końca przytomnego. Głupio się zachowywać, głupio gadać. No, będziesz pewnie musiał pójść do jakiejś brygady roboczej... I schować gdzieś ten karabin!

– Słyszałem, jest zakaz posiadania broni przez osoby prywatne, nie? Znalazłem samochód w którym jeszcze działało radio, posłuchałem paru oficjalnych wiadomości. – Wstał i znów ją objął. – Jeannie, skarbie, gdybyś nie była moją siostrą, tak bym cię wycalował... Dziesięć minut temu zastanawiałem się, czy nie powinienem się zastrzelić.

Znienacka zapaliły się wszystkie światła. Włączyli prąd. Przez długie sekundy wytrzeszczali tylko oczy w osłupieniu. Potem Carl wydał radosny okrzyk i naprawdę ją pocałował.

Pozwoliła mu. Zasłużył sobie na to. A poza tym całował naprawdę bardzo dobrze.

## SZYBKI POWRÓT DO ZDROWIA

- Cwaniak symuluje, żeby uniknąć kary!
- Nie, zapewniam pana, że nie. Jest naprawdę chory, panie Bamberley. Ale leki mu pomagają i w pierwszym tygodniu następnego miesiąca powinno się dać zorganizować proces. Ja już wszystko załatwiam. To, co się da. On w ogóle nie współpracuje, nie chce wyznaczyć adwokata, nic. No, ale dobrze. To jego decyzja. A jak tam pana syn?
- Syn? Rwie się, żeby go zobaczyć. Chce się z tym skurwielem rozliczyć, jak pan myśli? Swoją drogą...
- Tak?
- Proszę do mnie nie mówić „panie Bamberley”. „Panie pułkownika”, chociaż jestem w rezerwie. A w ogóle, to czemu pan nie jest w mundurze?

## DO PIONU

*...została dziś wieczorem przywrócona i wybrane obszary miasta nadają się od jutra do ponownego zasiedlenia, choć inne, gdzie pożary były najwłaścowniejsze, trzeba będzie wyburzyć. Prezydent, komentując szybkość powrotu Denver do względnej normalności, powiedział: „Nasi wrogowie będą się martwić, widząc jak szybko udaje się nam postawić nasz statek z powrotem do pionu”. Koniec cytatu. Ogniska trainistów i czarnych bojówek w centrach miast przestają stawiać opór, nękanie głodem, zimnem i chorobami, które szaleją w całym kraju. W Little Rock i Charleston w Wirginii ogłasza się zagrożenie ospą wietrzną. Coraz silniejsza presja na postawienie Austina Traina przed sądem, gdyż długa zwłoka zachęca jego popleczników, którzy uniknęli masowych aresztowań elementu wichrzycielskiego, do wznowienia aktów sabotażu i propagandy. Z Kanady i Meksyku napłynęły*



*dzisiaj doniesienia o pladze jigras. Czas na prognozę pogody. Nad Zachodem i Środkowym Zachodem opady kwaśnego deszczu, będącego skutkiem reakcji atmosferycznej wody z zawierającym siarkę dymem...*

## SPÓŹNIONE WIADOMOŚCI

– Dzięki – powiedziała Peg do kierowcy ciężarówki.

Ostatni kawałek drogi przejechała z ekipą sprawdzającą czystość wody i upewniającą się, czy z rur wypłukano ostatnie ślady trucizny. Mężczyzna nie odpowiedział, kichnął tylko.

Pokazała przepustkę strażnikom na bramie i przepuszczono ją do dawnej posiadłości Bamberleyów. Była w uprzywilejowanej sytuacji – zagraniczna propaganda robiła dużo szumu wokół skutych więźniów zmuszanych do pracy w Denver i okolicach. A ona miała napisać o tym obiektywny artykuł. Standardowa technika – to samo zastosowali wobec Traina, kiedy regularnie pojawiał się w telewizji i doradzał rządowym komisjom; tego samego chcieli użyć w sprawie Lucasa Quarreya.

Ona jednak podjęła się tego tylko po to, żeby dostać przepustkę na podróż. Potem zamierzała przedostać się do Kalifornii, legalnie lub nielegalnie. Przewieźli tam Austina, bo Bamberley odmawiał przyjazdu z synem do Nowego Jorku.

Prawda to czy nie, w każdym razie tam go trzymali.

Gdy szła do domu, w przeciwną stronę akurat pędzono oddział więźniów; ku swemu zdumieniu rozpoznała ostatniego w kolumnie. Hugh. Hugh Pettingill. Paskudnie zmieniony – policzki i usta całe w strupach, wyraz twarzy tępy jak u debila. Ale to Hugh, na sto procent.

Zawołała, odwrócił się, w oczach błysnęło światelko rozpoznania. Zatrzymał się, łańcuch się napiął, mężczyzna przed nim zaklął, a pilnujący ich strażnik okręcił się na pięcie; Peg przeraziła się, że Hugh powie coś w rodzaju: „Ej, my się nie spotkaliśmy na wacie?”.

Gdyby strażnik usłyszał, że ona choć odrobinę sympatyzuje z trainistami, byłoby to fatalne w skutkach. Sama zresztą dopiero parę dni temu dowiedziała się, czemu w ogóle jest na wolności. Nadal nie do końca przyjmowała to do wiadomości.

Bo to było dzięki Petronelli Page.

Do twardej, niewrażliwej suki, która pognębiła w programie setki mężczyzn i kobiet, przemówiły nauki Austina; być może była jak dotąd jedyną prawdziwą nawróconą, być może w ogóle pozostanie jedyną. Wykorzystała jednak wpływy, jakie zapewniał jej program, żeby pomóc Peg.

Zadzwoiła i poprosiła, żeby wpadła do niej do biura; Peg niechętnie usłuchała. A tam pokazała jej kserokopię nakazu aresztowania Margaret Mankiewicz.

– Zablokowałam to – powiedziała.

– Jak? – Peg pamiętała, jak wbiła paznokcie we wnętrze dłoni, zadając to pytanie.

– A jak myślisz, kto ma tę taśmę, którą nagrał Austin na wypadek, gdyby nie dopuścili do jego występu w moim programie?

– Co takiego?

Lekki uśmieszek.

– Tak myślałam, że pewnie to przeoczyłaś. Zabrałam ją, zanim komukolwiek przyszedł do głowy pomysł wyciągnięcia jej z tej skrytki. Położyłam na niej łapy.

Odwróciła zaniedbane dłonie i spojrzała na nie: popękane paznokcie, półksiężycowate odrosty pod lakierem. A na sobie miała sweter i stare dżinsy, tylko że to natychmiastowo stało się modne – mamy wojnę, więc ubieraj się byle jak, żeby pokazać, że ciebie też to dotyka.

– Jest przerażająca – dodała. – Obejrzałam ją kilkanaście razy. I porobiłam kopie. W domu. Mam świetny sprzęt. Kopie są w dobrych rękach. Gdyby coś mi się stało, od razu wypłyną. Trainiści nie zostali pokonani. Są tylko na chwilę wyciszeni. Oszołomieni.

Peg omal nie wyskoczyła z siebie.

– Ale czemu tych taśm nie wypuściłaś? Nie nadałaś w telewizji? Nie opublikowałaś tekstu?

– Bo Austin jeszcze jest z nami, prawda? I według mnie wie, co robi, choć za cholere nie potrafię dojść, jaki ma plan. Ale... Ja temu człowiekowi ufam. Pewnie tak samo jak ty.

Gdy Peg nie odpowiedziała, Petronella podniosła głowę i spojrzała ostro.

– Tak czy nie? – zapytała.

– Kiedyś już miał takie załamanie. Szkoda, że nie pozwalają mi z nim porozmawiać! Strasznie się boję, że doprowadzą go do obłądu! I tym razem na dobre!

– Wiesz co, jak było to śledztwo w sprawie zamieszek na farmie hydroponicznej Bamberleya, miałam w programie kilkoro dzieciaków z tych zeznających. Wszystkie powiedziały, że szaleństwo to jedyne wyjście. Może miały rację?

\* \* \*

Za to wreszcie była wolna, a ta wolność była zbyt cenna, żeby ją tak ryzykować. Hugh cudem to zrozumiał. Zrobił z powrotem ponurą, tępą minę.

– W palec się walnąłem – powiedział strażnikowi, który popędził oddział naprzód.

\* \* \*

– No i... pan rozumie. – Peg skończyła tłumaczyć się niechętnemu pułkownikowi Saddlerowi, który już trzy razy zdążył powiedzieć, jaki jest wściekły, że ściągnęli go z powrotem do Stanów, kiedy w najlepsze tłukł Tupasów w Hondurasie. – Pomyślałam, że może bym porozmawiała z paroma tymi... hmm... robotnikami?

– Z którym pani zechce – burknął pułkownik.

Kichnął, przeprosił i kontynuował. Masa ludzi tutaj kichała. Peg miała nadzieję, że nie rozchoruje się po raz kolejny na zapalenie zatok.

– Zobaczysz pani, jacy są bezczelni! Bezczelni! Wszystko jedno, na którego pani trafi, gwarantuję, że to będzie wicherzyciel, zdrajca, pro-Tupas, albo uchylający się od służby. To wierutne kłamstwo, że aresztowaliśmy niewinnych cywilów. To są ludzie, którzy nie zareagowali, kiedy kraj w potrzebie wzywał ich do pomocy!

\* \* \*

I tak oto Peg udało się wieczorem względnie bezpiecznie pogadać z Hugh.

– Przepraszam – powiedział cicho Hugh. – Mało co przeze mnie nie wpadłaś. Czasami głowa mi trochę szwankuje. Po drodze piłem wodę, pewnie w niej jeszcze trochę tego było... Ale to ty, prawda? To znaczy, z nikim cię nie pomyliłem? Bo ja chwilami trochę się gubię! – Jęknął prawie. – Ty się kumpłowałaś z tym gościem... tym... ten... Decimusem?

Peg skinęła głową. Potwornie bolało ją serce. Gdy wcześniej poznała Hugh, nie polubiła go. Ale nie był wtedy w tak żalonym stanie, roztrzęsiony, gadający, jakby chciał dzięki temu nie słyszeć własnych myśli.

– Znam kogoś, kto też się z nim przyjaźnił – powiedział Hugh. Oczywiście mu się szklily. – Carl się nazywa. Poznałaś go. Pracował w Bamberley Hydroponics. Znał Decimusa. Lubił go. Pewnie i ja bym go polubił, gdybym go poznał. Carl dał mu kiedyś prezent. Tak przynajmniej mówił. Wyniósł z farmy trochę jedzenia i mu dał. Pracował przy pakowaniu, załadunku, czy coś w tym stylu.

– Zaraz, powiedziałaś, że dał Decimusowi żywność z farmy? – zapytała powoli Peg.

– Nic nie słuchasz! Przecież właśnie powiedziałem, tak? Na Gwiazdkę mu dał. Znasz Carla, co? Widziałaś go ostatnio? Szkoda, że nie wiem, gdzie on jest. Lubiłem go. Mam nadzieję, że jest cały... – Zaczął bębnić palcami po kolanie.

– Twój kumpel Carl – powiedziała Peg, z gardłem tak ściśniętym, jakby ktoś założył jej stryczek – dał Decimusowi trochę żywności z farmy hydroponicznej, na Gwiazdkę w prezencie?

– Ja nie mogę, skoro nie słuchasz, to po co ja w ogóle gadam? – powiedział Hugh i poszedł sobie.

– O mój Boże – wyszeptała Peg. – O mój Boże.

listopad

## I SKĄD WEŹMIEMY NA SÓL?

*Pewnemu chemikowi z firmy z tradycjami  
Udało się po wielu latach badań naukowych  
Wypreparować z oceanu jego kwintesencję.*

*Nadzieje były wielkie: posłuży człowiekowi  
jako bezpieczny konserwant do żywności  
oraz cudowny wzmacniacz naturalnych smaków.*

*Niestety, bardzo szybko odkryto,  
Że już w zaledwie trzyprocentowym stężeniu  
Powoduje odwodnienie, delirium i śmierć.*

„Our Father Which Art in Washington”  
[Ojciec Nasz, któryś jest w Waszyngtonie], 1978.

## PSEUDONIM

Używał go tak długo, że nawet sam o sobie zaczął myśleć per „Ossie”, ale nie chciał, żeby uznanie za to, co robi teraz, przypadło temu śmieciarzowi, który spokojnie dał się aresztować – a co gorsza, teraz pokornie czekał na proces! – sługusom establishmentu, którego obalenie miał w zasięgu ręki.

Włożył więc do kieszeni kawałek papieru, z zapisanym zdaniem: „Jestem Bennett Crowther”. Z własnym zdjęciem.

Nie spodziewał się przeżyć długo. Miał nadzieję, że padnie w walce. Ledwo chodził, ledwo widział na oczy, ledwo był w stanie oddychać. Mówiło się, że to nowa odmiana grypy, zabijająca ludzi w Chinach i Japonii, zaczynająca inwazję na Zachodnie Wybrzeże. Jednak nadchodzące z Hondurasu informacje były pozytywne – Tupasowie zajęli San Pedro Sula i szli na północ, a ich pierwszą decyzją jako władz *de facto* było natychmiastowe znacjonalizowanie wszystkich zakładów przemysłowych produkujących toksyczne gazy lub ścieki. Chwilę zajmie, zanim to wdrożą, w końcu panuje głód, ale...

Podłożył ostatnią z bomb, zakaszał się, zacharczał, zarzęził. Miał trzydzieści dziewięć i cztery, ale prawdziwy rewolucjonista nie kładzie się do szpitala, rewolucjonista jest samotny, samowystarczalny, a w razie konieczności ginie samotnie jak ranny wilk. Palce trzęsły mu się tak bardzo, że trudno było ustawić zegar. Zresztą prawie nie widział tarczy.

Tak czy owak, wybuchnie w przybliżeniu jutro rano i to musi teraz wystarczyć.

Wyszedł z toalety, wyszedł z budynku, poszedł do domu i nigdy go nie opuścił.

## JEST JESZCZE NADZIEJA



Uzbrojeni strażnicy w budynku sądu. Jakiś wyjątkowo zuchwały trainista rozwinął flagę z czaszką i pieszczelami, po czym został aresztowany i wyprowadzony. Poza tym tłum był na ogół spokojny. Na ulicy stało dwustu członków Gwardii Narodowej, w korytarzach sądu i na sali – pięćdziesięciu uzbrojonych policjantów. Spokój mógł być jednak pozorny. Fala sabotażu w żadnym razie nie ustawała, incydenty wydarzyły się już w każdym mieście o liczbie powyżej dwóch tysięcy mieszkańców. Ludzie się bali. Byli także głodni. Były już pierwsze aresztowania za gromadzenie żywności i omijanie przepisów o racjonowaniu.

Generalnie jednak trainiści – czy raczej ludzie mający się za takich, czyli większość co inteligentniejszych młodych ludzi i niektórych starszych – byli zdezorientowani, zde gustowani, i nie wiedzieli, co mają robić – po tej niesamowitej gafie w prezydenckim przemówieniu, ogłaszającym wprowadzenie stanu wojennego, mieli ochotę zażądać natychmiastowego oczyszczenia z zarzutów, ponieważ nie można liczyć na bezstronność sądu. Wybuchła kolejna faza demonstracji i zamieszek, niczym okrzyków radości... i została stłumiona. Bez dementi ze strony samego Traina, wszyscy ci ludzie, którzy myśleli, że wreszcie znaleźli przywódcę, zaczęli się zastanawiać, czy faktycznie nie był on czasem zamieszany w porwanie młodego Bamberleya. Nawet najwięksi optymiści zaczęli pomrukiwać, że może nie żyje, a może głodzą go i robią mu pranie mózgu, żeby się przyznał do winy, niezależnie od tego, czy naprawdę jest winny. Tylko najbardziej wyrafinowani potrafili patrzeć w niebo, jak zawsze zaciągnięte, obserwować, jak deszcz wżera się w ubrania, mury, beton – i rozpaczać.

\* \* \*

W sali sądowej stały telewizyjne reflektory. Stacje planowały transmisję rozprawy na żywo, na cały kraj. Precedens zaistniał właśnie w Denver, wiele lat temu, ale sprawa Watkinsa była nagrana i przemontowana przed emisją. A to miało iść na żywo, jak przesłuchania „Armia kontra McCarthy”[4], tylko jeszcze bardziej. Mimo emisji w godzinach pracy

oglądalność będzie gigantyczna. Stacje uznały, że to niestosowne, nadawać powtórki starych filmów i programów komediowych, kiedy kraj stoi u progu wojny. (Ktoś tak ostrożnie to nazwał: „u progu wojny”. Bo jeszcze nie było żadnego wroga do obrzucania bombami).

Co więcej, stacje też cieszyły się z okazji do oszczędności. Najbogatsi sponsorzy musieli się wycofać. Bo kto teraz kupował auta? Kto sprzedawał ubezpieczenia?

Cały kraj, by tak rzec, działał na biegu jałowym. Poupadały całe branże, albo wskutek sabotażu, albo dlatego, że były z natury nieproduktywne, tak jak reklama. Mężczyźni, ci zdrowi, zostali powołani. Za to w domach siedziało wiele milionów kobiet – nie robiły zakupów, nie odwiedzały znajomych, bo wszystko było reglamentowane i ciągle apelowano o oszczędność. Benzyna była tylko na kartki. Na każdym rogu stał uzbrojony policjant albo Gwardzista Narodowy, gotowy, by posiadanie tych kartek sprawdzić. Telewizja za to działała pełną parą, w „interesie państwowym” dziś wszystkie najważniejsze stacje zamierzały połączyć siły.

I dlatego oglądalność miała być niesamowita.

\* \* \*

Świetnie, myślał Roland Bamberley, prowadząc syna za uzbrojonymi ochroniarzami torującymi im drogę przez oblegających sąd dziennikarzy. Napiętnujemy gnoja tak, jak na to zasługuje. Wiemy, że nawet prezydent będzie oglądał.

Kichnął i przeprosił Hectora, licząc, że jego maska zatrzyma zarazki.

\* \* \*

Świetnie, myślała Peg, zajmując miejsce pomiędzy dziennikarzami i rozcierając ramię w miejscu obowiązkowego zastrzyku. Przeciwno nowej grypie, powiedział sanitariusz przy drzwiach, ale dodał też, żeby za wiele

się po tym leku nie spodziewać, bo wprowadzono go do produkcji w wielkim pośpiechu.

Udało jej się spotkać z Austinem. Na parę minut. I od razu przestała się niepokoić, że zwariował.

Nie miała pewności, jaką bombę chowa w rękawie. Była za to przekonana, że musiał mieć jakiś cel w tym, że odmawiał współpracy, nie chciał wychodzić za kaucją ani brać adwokata. Jedną wskazówkę rzucił – gdy powiedziała mu, czego się właśnie dowiedziała o losie Decimusa, uśmiechnął się blado i powiedział, że chociaż w więzieniu nie był narażony na takie ryzyko. I tyle. Niemniej wystarczyło.

Wcześniej nie przyszło jej to do głowy – dopiero teraz pojawiło się przypuszczenie, że może wszystko idzie dokładnie tak, jak on chciał, tak jak trzeba. I że w więzieniu jest bezpieczniejszy niż poza nim.

Niedługo zresztą się dowie, a razem z nią cały świat. Gdyby tak Zena mogła tu być! I Felice! Felice była jednak zbyt chora, a Zena siedziała w więzieniu. Wdowa po znanym trainiście.

To się naprawi, kiedy przyjdzie do burzenia więzień.

\* \* \*

Sędzia zajął miejsce, starając się nie krzywić mimo ostrych światel, wiedział bowiem, że jest gwiazdą tego spektaklu. Rozejrzał się po sali: oskarżyciel (kiwnięcie głową), przydzielony Trainowi obrońca z urzędu, który od początku nie cierpiał swojego klienta, a znienawidził go jeszcze bardziej, gdy ten uparcie odmawiał współpracy, prasa, mruczący coś do mikrofonu komentator telewizyjny, ewentualni ławnicy...

– Czy wszystko w porządku? – zapytał woźnego. – Jeśli tak, proszę wprowadzić podsądnego.

Podsądny wszedł nieśmiało za barierkę, wśród rumoru i szmerów ludzi wstających z ław, żeby mu się przyjrzeć.

\* \* \*

– A to kto? – zapytał ojca Hector Bamberley.

– Jak to kto?

Oskarżyciel zawiercił się na fotelu.

– Co powiedział Hector? Bo nie do końca zrozumiałem.

Sędzia, chcący rozpocząć posiedzenie, zauważył tę wymianę zdań i spojrzał na nich z dezaprobatą. Kamery telewizyjne zwrócone były na Hectora z ojcem, jedna pozostawała wycelowana w Austina. Sędzia kaszlnął, by zwrócić na siebie uwagę, i to był błąd; minęło dobre trzydzieści sekund, zanim znów był w stanie normalnie mówić; a tymczasem Austin powiedział donośnym głosem, świetnie wzmocnionym przez mikrofony:

– Wysoki Sądzie, jeśli to jest Hector Bamberley, proszę go zapytać, czy w ogóle widział mnie w życiu na oczy. Nazywam się oczywiście Austin Train.

Z tyłu sali ktoś zabuczał. Sędzia syknął i dodał:

– Cisza! Jedną rzecz wyjaśnijmy sobie od razu: nie będę tolerować żadnych zakłóceń porządku!

– Ale to nie jest Austin Train! – krzyknął Hector. Wyglądał, jakby miał się zaraz rozplakać. – Pierwszy raz go widzę!

Zapadła pełna zdumienia cisza. Wtedy Peg celowo zachichotała. I to głośno. Rozniosło się echem.

– Cisza! – warknął sędzia.

Ludzie łypnęli na nią ze wszystkich stron, a jeden z uzbrojonych porządkowych ruszył ku niej groźnie. Usiadła.

– Posłuchaj, młody człowieku – powiedział sędzia ojcowskim tonem – wszyscy wiemy, że po tym, co przeszedłeś, ten proces jest dla ciebie dużym obciążeniem, ale zapewniam cię, że masz okazję do powiedzenia...

– Nie będę cicho siedział! – Nie do sędziego; do ojca, który próbował usadzić go na miejscu. Wyrwał mu się, wstał i powiedział: – Panie sędzio, to zupełnie nie jest ten człowiek, który mnie więził. Tamten był grubszy, miał długie włosy, brązowe zęby, nie miał okularów, był brudny...

– Ale mówiłeś, że porwał cię Austin Train!!! – ryknął jego ojciec.

– Ale to nie on! – Hector się rozplakał.

Sędzia wyglądał, jakby miał zaraz zemdleć; kamera zrobiła na niego zbliżenie, gdy na chwilę zamknął oczy. Doszedłszy do siebie przy akompaniamencie uwag z sali, oraz pokasływania i siąkania nosem, tak obecnie powszechnego w miejscach publicznych, że aż niesamowicie się robiło, kiedy na chwilę ustawały, zapytał:

– Czy dobrze rozumiem, że chłopaka nigdy nie skonfrontowano z oskarżonym?

Pośpieszna narada. I potem:

– Wysoki Sądzie, prośba o chwilę przerwy.

– Oddalam! – rzucił bez wahania sędzia. – To niewiarygodne! Sądzę od prawie dwudziestu lat, ale coś tak absurdalnego jeszcze mi się nie zdarzyło. Dalej czekam na odpowiedź na moje pytanie!

Wszyscy spojrzeli na Bamberleyów. W końcu Roland wstał, bardzo sztywno, niczym staruszek.

– Wysoki Sądzie, zważywszy, ile przeszedł mój syn, który ledwo co wyzdrowiał z tych wszystkich ohydnych chorób, którymi go zarażono...

– Rozumiem – powiedział sędzia. – Już wszystko rozumiem. Kto jest odpowiedzialny za to niewiarygodne niedopełnienie obowiązków?

– No cóż, Wysoki Sądzie... – powiedział prokurator, oszołomiony, jakby niebo zawało mu się właśnie na głowę – on zidentyfikował Traina na zdjęciach...

– Powiedziałem, że to on, żebyście się odczepili! – Hector się wściekł. – Byliście gorsi niż ci porywacze, męczyliście mnie i męczyliście!

W sali zapanował harmider; ledwo było słycać głos chłopca. Peg z emocji podskakiwała na ławce. Wstydź się, Peg, za to, że podejrzewałaś go, że zwariował! Zbudowali mu pręgierz i sami się w nim znaleźli!

– Spokój! – krzyknął sędzia, waląc młotkiem.

Zgiełk stopniowo przycichł. Ewidentnie wszyscy obecni pragnęli wyjaśnienia równie mocno jak on.

– A więc! – ciągnął, gdy tylko doszedł do głosu. – Czy mam rozumieć, Hector, że zidentyfikowałeś tego człowieka na zdjęciach?

– No tak, pokazywali mi te zdjęcia i pokazywali, w kółko – brzmiała ponura odpowiedź. – Mówili, że mógł przecież mieć perukę, czemu nie?

Mówili, że pracował jako śmieciarz, to chyba może być brudny? Więc w końcu powiedziałem, że tak, tak, tak, żeby po prostu dali mi spokój.

Nagle usiadł i schował twarz w dłoniach. Ojciec dalej stał, zmartwiały i blady jak marmurowy posąg.

– Wysoki Sądzie! – powiedział nagle Austin.

Sędzia odwrócił się, jakby był już tak zdezorientowany, że mógłby przyjąć pomoc z każdej strony.

– Co takiego?

\* \* \*

Peg zacisnęła pięści, bo bała się, że jeśli się nie opanuje, zacznie wrzeszczeć jak nastolatka na koncercie Body English. Te ostatnie słowa Traina jakoś tak rozbrzmiały. Ten sam ton, którym mówił, kiedy nawrócił Petronellę Page. Czy dostanie teraz okazję do przemówienia do milionów przed telewizorami?

\* \* \*

– Wysoki Sądzie, Sąd zapewne chciałby się dowiedzieć, w jaki sposób doszło do tej śmiesznej sytuacji?

– Oczywiście, że chciałby! – wychrypiął sędzia. – I to od pana! Siedział pan w więzieniu i nic nie mówił, a wystarczyłoby jedno słowo, żeby nie dopuścić do tej... do tej farsy! – I dodał: – Ale krótko i na temat!

– Postaram się, Wysoki Sądzie. W skrócie: moi oskarżyciele dobrze wiedzieli, że w kraju jest około dwustu osób, które przybrały moje nazwisko, ale tak się palili do tego, by mnie ukrzyżować, że zupełnie to zignorowali, a do tego byli tak głupi, że nawet nie chciało im się okazać mnie Hectorowi.

– Train! – Sędzia omal nie eksplodował. – Milczeć! To jest Sąd, a nie forum dla twojej zradzieckiej agitacji!

– Milczałem, nawet kiedy prezydent z góry mnie osądził! – warknął Austin. – Niech ludzie sami oceniają, jaką sprawiedliwość otrzymam od sędziego, który oskarża mnie o zdradę, choć nie za to stoję przed sądem!

– Racja! – zawyła Peg, stwierdzając ze zdumieniem, że stoi i wymachuje rękami, mimo że uzbrojony facet kazał jej siadać.

W końcu usłuchała. Z zadowoleniem. To jest przełomowy punkt; jeśli teraz odbiorą mu głos, wiele milionów ludzi zacznie pytać dlaczego i będzie chciało coś z tym zrobić.

I sędzia dobrze o tym wiedział. Twarz zbieła mu jak papier, poruszał ustami, jakby miał zaraz zwymiotować. Nagle, bez ostrzeżenia, zerwał się z fotela i wybiegł z sali. Nastąpiło zamieszanie.

Austin czekał, z rękoma na barierce. W końcu szepnął do najbliższego mikrofonu:

– Sądzę, że większość ludzi chciałaby usłyszeć, co mam do powiedzenia, mimo że sędzia się tego boi.

– Wspaniale! Wspaniale! – szepnęła Peg. Poczwała, że łzy płyną jej po policzkach. Najbardziej spektakularny teatralny gest, jaki w życiu widziała; podejście do publiczności, jak u Petronelli Page, tylko dziesięć razy bardziej. Usiłowała krzyknąć: „Tak, dawaj!”, ale głos uwiązł jej w gardle.

Nie miało to znaczenia. Zastąpiło go pięćdziesiąt innych głosów.

– Dziękuję, moi chorzy przyjaciele – powiedział Austin, gdy kamery skierowały się na niego. – Zatruci, chorowici, a niedługo także zagłodzeni... Nie, nie żartuję, choć bardzo bym chciał. A przede wszystkim nie żartowałem, kiedy mówiłem, że ludzie, którzy postawili mnie przed tym sądem, są głupi. To jest najgorsza rzecz, którą wam zrobili: uszkodzili wam inteligencję. Marna pociecha, że sobie samym też. Te twierdzenia, że zanieczyszczenie źle wpływa na inteligencję ludzi w tym kraju, to wszystko prawda; gdyby nie to, myślicie, że stałbym tutaj, przez pomyłkę, ja, który nie porwałem Hectora Bamberleya? Kto byłby aż tak głupi?

Śmiechy. Nerwowe śmiechy, jak na odstraszenie jakichś lęków.

– I właśnie dlatego – wyprostował się jak struna – za wszelką cenę, za wszelką cenę, którą powinniśmy wszyscy zapłacić, ja, wy, każdy: jeśli rasa

ludzka ma przeżyć, musimy przestać na siłę eksportować na cały świat styl życia wymyślony przez tych głupich ludzi. Przestać!

Nagle podniósł głos do krzyku.

– Bo nasza planeta Ziemia tego nie wytrzyma!

\* \* \*

Załatwił ich, pomyślała Peg. Nie wierzyłam, że mu się to uda. Ale się udało. Jezus, patrzcie na tego kamerzystę! Trzęsie się od stóp do głów! Zaraz się rozplacze jak Petronella!

\* \* \*

– Nasz styl życia – ciągnął Austin, wracając do zwykłego tonu. – Tak... Wicie wszyscy, że obowiązuje stan wojenny, prawda? Oni twierdzą, że jest wojna, że w Denver padliśmy ofiarą potajemnego ataku bronią chemiczną. A tak naprawdę Szaleństwo z Denver spowodował wojskowy środek psychomimetyczny oparty na sporyszu, szkodniku żyta, znany w armii pod kryptonimem „BW”, produkowany eksperymentalnie w Forcie Detrick w Maryland, w latach tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt trzy do tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt trzy i przechowywany wówczas w Arsenale Góry Skaliste, a później zmagazynowany w stalowych beczkach w nieużywanej kopalni srebra. Chcecie wiedzieć, co się z nim potem stało?

Niespodziewanie uśmiechnął się od ucha do ucha; jego świeżo wyłysiała czaszka zaczęła wtedy przypominać jeden z tych symboli trainistycznych, które – co prawda, bardzo krótko – sprzedawano do powieszenia na drzwiach, trójwymiarowe, wykonane ze sterylnej plastiku.

– A więc, w zeszłym roku tuż przed Bożym Narodzeniem, na skutek trzęsienia ziemi, które są ostatnio coraz częstsze na tym obszarze, pękła pierwsza z beczek. Jej zawartość przedostała się do warstw wodonośnych, z których czerpią studnie fabryki Bamberley Hydroponics. Na ile udało mi się stwierdzić, ofiarą tego zanieczyszczenia padł tylko jeden Amerykanin,



mój świętej pamięci przyjaciel, Decimus Jones. Jego kolega, słysząc, że wybiera się do Kalifornii, dał mu w prezencie trochę wyniesionego z farmy Nutriponu. Z tej samej partii, która pojechała do Noshri i San Pablo! Zwariował i zginął. Swoją drogą, wiecie już teraz, kto wywołał wojnę w Hondurasie.

\* \* \*

Peg całkiem wyraźnie usłyszała, jak parę osób mówi:

– Aaa, więc to tak było!

\* \* \*

– Potem zdarzyło się kolejne trzęsienie ziemi. Tym razem musiało zmiotnąć nie jedną, ale dużo, dużo beczek z tym środkiem. Więc już wiecie, co spowodowało Szaleństwo z Denver. Wiecie, dlaczego żywcie się skąpymi racjami, dlaczego nie wolno wam swobodnie podróżować, dlaczego może was zatrzymać i zrewidować każdy żołnierz, któremu się nie spodobać. Kolejna rzecz, którą powinniście wiedzieć: *jigras*. Nikt ich specjalnie nie uodpornił na wszystko, żeby użyć jako broni przeciwko nam. Same się ewolucyjnie przystosowały. Ktoś z was miał ostatnio problemy z pchłami? Wszami? Komarami? Karaluchami?

Peg uświadomiła sobie nagle, że Roland Bamberley siedzi cicho, choć przecież powinien stać i krzyczeć. Dlaczego? Zerknęła na niego i zobaczyła, że twarz ma zeszywniała, oczy zamknięte i ściska prawą rękę.

Nikt wokół nie ruszył się, żeby mu pomóc, choć ewidentnie bolało go tak, że omal nie zemdlął. Co się z nim dzieje?

Potem jednak i sama o tym zapomniała, bo Austin mówił dalej.

– Mogłem to wszystko powiedzieć wiele miesięcy temu, wszystko właściwie, oprócz historii Decimusa Jonesa. Miałem nawet taki zamiar. Ale potem, kiedy zdałem sobie sprawę, co się ze mną stanie, zdecydowałem, że lepiej będzie poczekać. Pozostała do zrobienia jeszcze jedna rzecz.

Przyjaciele, kiedy ostatni raz opalaliście się na słońcu? Kiedy po raz ostatni odważyliście się napić wody ze strumienia? Zjeść owoc prosto z drzewa? Ile wyniosły w zeszłym roku wasze rachunki za lekarzy? Kto z was mieszka w mieście, w którym nie trzeba nosić maski? Kto z was był na wakacjach w górach, bo morze jest pełne śmieci? A kto z was teraz nie cierpi na żadną drobną dolegliwość, niestrawność, ból głowy, katar, albo jak pan Bamberley – wskazał ręką – na zator głównej tętnicy? Niech ktoś mu szybko pomoże. Trzeba mu szybko podać dawkę leku na rozszerzenie naczyń.

Pielęgniarka stojący przy drzwiach, który robił zastrzyki dziennikarzom, w pośpiechu i zdumieniu wybrał właściwą strzykawkę i pobiegł pomóc. Nastąpiła spontaniczna owacja, Austin uciszył ją jednak.

– Przejdzie mu, ale, niestety, raczej nie pożyje zbyt długo. Nikt z nas zbyt długo nie pożyje. I nie chodzi o to, że nas zastrzelą, choć i to jest bardzo prawdopodobne, ale o to, że spada nam przewidywana długość życia. Dziesięć lat temu byliśmy na trzydziestym drugim miejscu na świecie. Dziwne, prawda? Najbogatszy kraj na świecie i dopiero trzydziesty drugi pod względem długości życia? Teraz spadliśmy na trzydzieste siódme i lecimy dalej... Ale jest jeszcze nadzieja!

– Oby była nadzieja – wyszeptała Peg. Oby była! Przypomniała sobie: „Myślę, że mogę uratować świat!”.

Nie pomyliła się co do kamerzysty. Miał mokre policzki.

\* \* \*

– W Europie, jak wam wiadomo, zabili Morze Śródziemne, tak jak my zabiliśmy Wielkie Jeziora. I są na najlepszej drodze do zabicia Bałtyku, z pomocą Rosjan, którzy już to zrobili z Morzem Kaspijskim. Widzicie, ten żywy organizm zwany Matką Ziemią długo takiego traktowania nie wytrzyma: ma podrażnione jelita, zatkane tętnice, niedrożne płuca... Ale jaki był tego skutek? Niepokoje społeczne, tak wielkie, że oni musieli zapomnieć o rozprzestrzenianiu po świecie tego naszego raka, tak, raka! Więc tak: jest nadzieja! Kiedy granice oblegają głodujący uchodźcy, brakuje

wojska, żeby roznosiło tego raka po świecie! Trzeba wszystkich żołnierzy odwołać do kraju! Tak się właśnie stało!

I znów podniósł głos tak, że wymusił na wszystkich całkowitą uwagę.

– I zamknijmy go w tym kraju! Na Boga, jeśli wierzycie w Boga, a jeśli nie, to przez wzgląd na ludzkość, niech on tu zostanie. Dla nas jest już za późno, ale może nie być za późno dla całej Ziemi! Jesteśmy to winni przyszłym pokoleniom! Nie może powstać kolejna Pustynia Mekongu! Kolejna niecka pyłowa Oklahoma! Kolejne martwe morze! Apeluję do wszystkich: złożcie oficjalną przysięgę: może wasze dzieci będą kalekie, ociążałe na umyśle i z wadą wymowy, ale niech gdzieś na świecie ocaleje miejsce, w którym dzieci dorastają zdrowe, bystre i sprawne! Przysięgnijcie to! Obiecujcie! Przyrzeknijcie przez wzgląd na gatunek, który już prawie... Tak?

Zerknął na kamerzystę o mokrych policzkach, który załkał:

– Przykro mi, panie Train, ale wszystko na nic! – Puknął palcem w słuchawki na głowie. – Prezydent rozkazał zdjąć pana z wizji!

Zapadła całkowita cisza. Całkiem jakby Austin był nadmuchiwaną kukłą i ktoś właśnie odnalazł zawór do spuszczenia gazu. Wydawał się niższy o dziesięć centymetrów, gdy odwracał się w bok; prawie nikt nie usłyszał, jak mruczy:

– Przynajmniej spróbowałem.

– Ale nie możesz przerwać! – Peg usłyszała własny krzyk. – Tylko ty...

\* \* \*

Ściana za jego plecami wygięła się, a sufit opadł mu na głowę całym ciężarem wielkich betonowych belek. Potem z dachu na wszystkich posypał się gruz.

Ostatnia bomba Ossiego zadziałała jak trzeba.

UZBROJONY

– No, kochana, jak ci się podoba? – zapytał z dumą Pete.

Jeannie klasnęła w dłonie z zachwytem.

– Kochanie! Zawsze chciałam mieć takie coś! Kuchenkę mikrofalową! – Spojrzała mu w oczy. – Ale skąd ty ją wytrzasnąłeś?

Wiedział, dlaczego pyta. Przez ostatnie tygodnie brakowało wszelkiego rodzaju towarów. Częściowo przez problemy z transportem – ciężarówki przeznaczone do niezbędnych zadań, głównie rozwożenia żywności, konwojowanej od miasta do miasta przez wojsko. Częściowo zaś dlatego, że ludzie rzucali pracę i emigrowali z miast jak nowa fala emigrantów z Oklahomy. Wszyscy widzieli, co się stało w Denver. Jeśli taki sam los ma spotkać Nowy Jork, Los Angeles, Chicago...

Słyszało się o rolnikach odstraszających obozowiczów bronią. Oczywiście nie z gazet i nie z telewizji.

– Została wyzwolona – powiedział Pete z szerokim uśmiechem.

– To znaczy, ukradłeś ją? – Carl, od drzwi. – No, no, nieładnie. Do tego jesteś byłym psem. Kto nad strażnikami trzyma straż?

– Nie ukradłem! – warknął Pete.

Szwagra od początku nie tolerował. Gość nawet po tej wariackiej przemowie w telewizorze wciąż chyba uważał Austina Traina za Boga. A co gorsza, podobnie uważała masa ludzi. Pete'a to denerwowało. Posterunek w Towerhill, gdzie przepracował prawie cały zeszły rok, został zbombardowany. Zginął jego dawny szef, sierżant Chain. Dziś wieczorem, kiedy wracał do domu, słyszał strzały ledwo parę przecnic dalej – pewnie ktoś podejrzany o naruszenie godziny policyjnej, próba ucieczki. Całe miasto kojarzyło się z fabryką, której właściciele niespodziewanie zbankrutowali, pustą halą, opróżnioną z robotników, którzy stoją za bramą i kipią z furii.

– To skąd ją masz? – naciskał Carl.

Pete, świadomy, że to przytyk, nabrał powietrza.

– Z takiego wielkiego dyskontu w Arvadzie. Właściciel zginął. Wdowa po prostu mówiła ludziom, żeby brali, co chcą.

– Szaber za zgodą, tak?

– Nie! Wojsko tego wszystkiego pilnowało, dostałem papier, że...

– Ej wy, przestańcie się wreszcie kłócić! – zarządziła Jeannie. – Nie psujcie mi prezentu! Od lat o niej marzyłam, wiesz, Carl, więc wszystko mi jedno, skąd się wzięła.

Carl westchnął i odwrócił się. Pete po chwili odezwał się niezręcznie:

– Carl, piwa się napijesz? Udało mi się skombinować szóstkę. Jest w lodówce.

– Eee... W sumie, czemu nie. Dzięki. Przyniosę ci do salonu, dobra?

Tak ciężko było przez tyle czasu udawać otępienie od środka BW, gdy tu wreszcie, wreszcie, wreszcie nadeszła rewolucja! Może jeszcze nie ta Rewolucja przez duże R, ale chociaż okazja, żeby ją rozpocząć. Nigdy dotąd nie było tylu ludzi aż tak wściekłych na system i tak gwałtownie go atakujących.

On jednak musiał tutaj tkwić, póki nie trafi się okazja do prześlizgnięcia przez otaczający miasto kordon i zejścia do podziemia. Do porządków po Szaleństwie ściągnięto tyle sił porządkowych, że Denver było teraz najbardziej pilnowanym miastem w kraju. Co za miejsce sobie wymyślił, żeby się ukrywać! Nie ufał Pete'owi, bo kiedyś był w policji, bał się nawet Jeannie, ponieważ przyznał się jej do zabicia tego strażnika.

Do cholery, jak to możliwe, że tych dwoje tak dobrowolnie zamyka na wszystko oczy? Przyznali, że Szaleństwo spowodował trujący gaz, ale ponieważ to Train podał przyczynę, byli gotowi się kłócić, że „to nie jest żadna wina władz”! Chcieli cofnąć zegar, chcieli, żeby rząd odzyskał kontrolę, mimo że kłamał, że oszukiwał, a nawet zabijał ludzi!

Skoro są aż tak głupi, aż tak posłuszni, równie dobrze mogą na niego donieść...

– Dobry dzień wybrałeś, żeby to przywieźć – mówiła Jeannie, poklepując błyszczący bok kuchenki. – Mama załatwiła mi kurczaka. Nie siedźcie tam za długo z tym piwem, dobra? Kolacja się w tym zrobi za minutę...

Carl skrzywił z niesmakiem usta, biorąc puszki z piwem i poszedł za Pete'em do sąsiedniego pokoju. Usiadł i powiedział:

– A widziałeś może ostatnio słońce?

– Daj spokój! – warknął Pete. – Ja już to wszystko tysiąc razy słyszałem. Przecież sytuacja wraca do normalności, może nie? Jest już woda, z rana

i wieczorem. Jest prąd, co prawda nie ma gazu. Wszystko wraca do normalności.

– Racja, kurwa, racja – powiedział z naciskiem Carl. – Od teraz to będzie „normalność”. Taka sytuacja jak teraz. Stan wyjątkowy. Ograniczenia poruszania się. Protesty zabronione. Pół kraju trzęsie się od wybuchów. Tak właśnie będzie wyglądać przyszłość, chyba że do tego nie dopuścimy. Co za życie będzie mieć mój siostrzeniec?

– Dziecku nic nie jest – stwierdził z naciskiem Pete. – Doktor mówi, że wszystko z nim w porządku, Jeannie dostaje specjalne racje dla kobiet w ciąży...

– I co, dobrze się z tym czujesz?! – wybuchnął Carl. – Dobrze ci z tym, że nigdy nie będzie mógł pojechać do innego miasta, kiedy tylko zechce, bez załatwiania przepustki na policji? A taką wolność utracimy na zawsze, chyba że siłą odbierzemy ją sobie z powrotem!

– A ja myślałem, że to ty jesteś przeciwnikiem wolności. – Pete westchnął. – Przynajmniej wolności robienia czego chcesz i gdzie chcesz. Gdzie byś komuś pozwolił postawić fabrykę?

– Wszystko jedno gdzie, żeby tylko nie niszczyła życia innym ludziom – odciął się Carl. – Ale po co w ogóle mieć tyle fabryk? Czemu nie można mieć samochodu, który wystarcza ci na pół życia? Albo...

– Ej no, wy dwaj! – zawołała Jeannie z kuchni, przerywając pogodnie nucenie. – To ma być przyjemny, kulturalny wieczór, słyszycie?

– Nie ma sprawy – odkrzyknął Carl i podjął półgłosem: – Ale wiesz co, jedna rzecz mnie męczy, i nie tylko mnie, dzięki Bogu. Oni tu ciągle są. Ci ludzie, co zasłonili słońce, co zamknęli Traina, chociaż nie był winny, ci, co wyprodukowali ten trujący gaz. Oni tu ciągle są i będą, póki smród nie stanie się nie do zniesienia. A wtedy wyniosą się do Nowej Zelandii. Bo ich będzie stać. A ciebie i mnie nie. I to właśnie trzeba naprawić!

– Nawet jeśli z tym gazem to prawda – burknął Pete – to sam Train powiedział, że to był przypadek. Trzęsienie ziemi.

– A trzęsienie ziemi w Denver to niby przypadek, tak? Mama mi mówiła, że kiedy byłem mały, w ogóle się nie zdarzały. Przez wszystkie te toksyczne

odpady, które wpompowali do starych kopalni, skały się zaczęły przesuwać. Żaden przypadek, rozumiesz?

Ciągle ta sama dyskusja. Po raz dziesiąty? Dwunasty?

– Zaraz będzie małe co nieco! – zaćwierkała radośnie z kuchni Jeannie. – Szykujcie apetyt!

– A wiesz, dlaczego między innymi skołowałem tę kuchenkę? – burknął pod nosem Pete. – Żeby nie musieć cię tak długo wysłuchiwać, zanim siądziemy do stołu. – Zachichotał i napił się piwa.

Z kuchni dobiegł głuchy łomot i szcęk tłuczonego talerza. Carl pobiegł do drzwi, wytrzeszczył oczy i powiedział:

– O matko, co się stało? Czy ją... prąd kopnął czy coś?

Pete pokuśtykał gorączkowo za nim, łapiąc się krzesel i stołu, bo nie sięgał do laski. Spojrzał z przerażeniem na rozciągniętą na podłodze Jeannie. Carl rzucił się do gniazdka i odłączył kuchenkę.

– Całkiem nowa była – odezwał się głupio Pete. – Jeannie? Jeannie?!

\* \* \*

Musieli odczekać godzinę w szpitalnej poczekalni z powybijanymi oknami, przez które zawiewało zapachem dymu. Po drodze minęli pożar, a policjant, który pojechał z nimi, żeby przepuszczono ich po godzinie policyjnej przez posterunki – to był dawny kumpel Pete'a, Chappie Rice – powiedział, że to chyba trzeci dzisiaj. Wszystko podpalenia.

Carl chodził tam i z powrotem, gapił się w płomienie i modlił się, żeby pochłonęły cały kraj. Pete, przykuty do krzesła przez problemy z kręgosłupem, tylko kłął po cichu.

Po długim, długim czasie, korytarzem przyszedł Doug McNeil. Carl wybiegł mu naprzeciw.

– I co? I co?

– Jeannie przeżyje – mruknął Doug. – Niewiele brakowało. Ale słuchaj, Pete: jakiej marki jest ta twoja kuchenka? Nie Instanter czasem?

– A co... – Pete wytrzeszczył oczy i kiwnął głową. – A skąd wiesz?

Doug nie spojrzał na niego.

– Tak pomyślałem. Były już problemy z tą firmą. Widziałem chyba ze... cztery przypadki. Nie wiem, czemu ich, do cholery, dawno nie zamknęli. – Wziął głęboki oddech. – Ona ma przecieki. Przecieki promieniowania. Żle jest ekranowana. Dosłownie ugotowała dziecko w brzuchu Jeannie.

\* \* \*

O drugiej nad ranem Carla zbudziły jakieś szmery z salonu. Poszedł tam boso, żeby sprawdzić, co się dzieje. Zastał Pete'a przewracającego kartki jakiejś książki i zapisującego coś w notatniku.

– Co robisz? – zapytał.

Pete nie uniósł głowy.

– Czytam, jak się robi bomby.

## ROZPOZNAŁ GO ZDUMIONY

Nadal nie przyzwyczał się do munduru po dziesięciu latach w cywilnych ciuchach... Philip Mason poruszył barkami w wojskowej koszuli. Szorstka była. Trzeba jednak zgodzić się na wiele niedogodności, żeby móc z czasem wrócić do wygodnego życia z przeszłości. Zresztą ta to akurat nic takiego. W kraju musiała być jednak masa osób niezgadających się na rezygnację z czegokolwiek. Uniósł nerwowo wzrok, gdy z nieba dobiegł głośny łoskot i zobaczył helikoptery szturmowe, właśnie znikające w chmurach, pewnie lecące na kolejny atak przeciwko powstańcom w Cheyenne. To niesamowite, te miasta wybuchają jedno po drugim, jak ciąg fajerwerków...

Ciekawe, czy facet, po którym przejął dowodzenie brygadą rozbiórkową siedział w jednym z tych helikopterów. Kiedy sytuacja się pogorszyła, zabrali go, podobnie jak większość zawodowych żołnierzy oddelegowanych na początku do odbudowy. Podobno do Harlemu i Bronxu wojsko wjeżdża teraz czołgami...



Lepiej jednak nie zamartwiać się problemami innych ludzi. Lepiej skupić się na tym, że jemu samemu się odrobinę poprawia, stopniowo, tak jak idzie z odgruzowywaniem. Doprowadzenie Denver do porządku zajmie długie miesiące; było już widać zalety wprowadzonych rządów twardej ręki – nawet parę sklepów otwierano już w południe, na trzy godziny. Jemu samemu żyło się w miarę przyzwoicie, odkąd dostał awans na p.o. sierżanta: kartka na benzynę, możliwość korzystania z auta, możliwość wychodzenia na przepustkę na posiłki i noclegi do domu, do Dennie, z wyjątkiem dni, kiedy pełnił funkcję podoficera dyżurnego.

– Ej!

Odwrócił się, żeby zobaczyć, kto woła. Po drugiej stronie inna brygada odgruzowywała dom, który wypalił się do fundamentów, tak samo jak ten, którym zajmowali się jego ludzie. Sierżant Gwardii Narodowej. Niewyraźnie go skądś kojarzył. Poszukał w pamięci i przypomniał sobie. Jeden z instalatorów, których zatrudniali z Alanem (biedny Alan!) do montażu filtrów Mitsuyama.

Gdyby tylko udało się je poinstalować w całym mieście! Gdyby tylko nie pozatykały się tymi parszywymi bakteriami.

Ale co za sens gdybać.

Powiedział swojemu szeregowemu, żeby pilnował brygady, i podszedł, żeby się przywitać. Nie mógł sobie przypomnieć nazwiska człowieka. W każdym razie Meksykaniec. Gomez? Perez? Coś w tym stylu.

– Mason, tak? To ty, skurwysynu, sprowadziłeś te zagraniczne filtry i pozatruwałeś wodę. Co ty, do kurwy nędzy, robisz na wolności, i to jeszcze w naszym mundurze? Nikt się tobą jeszcze nie zajął? To ja się zajmę!

Zdjął z ramienia karabin i zastrzelił Philipa z bliska.

## RACJONALNA PROPOZYCJA

*Page:* Przepraszam za strzały podczas ostatniego programu, mam nadzieję, że nie zepsuło to wam przyjemności z oglądania i słuchania, jednak tak, jak słyszeliście, pożar w starej części Chicago jest już oficjalnie „pod kontrolą”, a zamieszki opanowane. Zanim przejdziemy do naszego kolejnego gościa, proszono mnie, abym poinformowała, że ataki partyzanckie w Jacksonville, Omaha i San Bernardino, o których wspominał nasz przebywający na miejscu zdarzeń reporter, spekulując o przyczynach chicagowskiego pożaru, są niepotwierdzone. Powtarzam: niepotwierdzone. A więc! Uspokoję tylko publiczność w naszym studiu; nawet gdyby coś podobnego miało się wydarzyć w Nowym Jorku, nic wam nie grozi – budynek, w którym się znajdujecie, został zaprojektowany we współpracy z ekspertami od Obrony Cywilnej. Czy jesteśmy gotowi na...? Tak, widzę, że jesteśmy. A więc, świecie, wszyscy już wiemy, że zdumiewający ogrom ludzi przyjął nauki świętej pamięci Austina Traina i wciąż się ich trzyma, mimo tego, co mówił prezydent, że przemawiają do emocji, a nie są zakorzenione w racjonalizmie. Dokąd to nas doprowadziło, sami najlepiej widzicie. Jednak jeden człowiek na świecie, kiedy to wszystko się działo, spokojnie i po cichu szedł inną ścieżką. Słyszeliście prawdopodobnie, że słynny doktor Thomas Grey z Trustu Bamberleya od lat próbował z pomocą komputerów i wszelkich najnowocześniejszych metod badawczych znaleźć wyjście z rozpaczliwej sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy. Jestem zaszczycona, że to nasz program wybrał, aby uchylić rąbka tajemnicy i przedstawić swoje wyniki. Tom Grey! (*Owacja publiczności*).

*Grey:* Dziękuję.

*Page:* À propos rąbka, widzę, Tom, że masz rękę na temblaku. Mam nadzieję... Och, proszę wybaczyć... Przepraszam, świecie, ale właśnie poproszono nas o udostępnienie minuty czasu antenowego na ogłoszenie państwowe. Wrócimy do państwa za chwilę.

*Dowódca Marynarki Wojennej:* Nadzwyczajne ogłoszenie Departamentu Obrony i Marynarki Wojennej. Uwaga, uwaga: wszyscy żołnierze przebywający obecnie na przepustkach w następujących stanach: Nowy Jork, New Jersey, Pensylwania, Floryda, Teksas, Kalifornia, obowiązani są

zgłosić się natychmiast do najbliższej jednostki armii, sił powietrznych lub kwatery Gwardii Narodowej i oddać do dyspozycji dowódcy. Wasza pomoc jest niezbędna do uspokojenia rozruchów publicznych. Dziękuję za uwagę.

*Page:* Widzę, że mamy tu w studiu kogoś, kto zamierza wykonać ten rozkaz. Poczekajmy chwilę, zanim się zbierze. (*Owacja publiczności*). Dobrze, kontynuujmy. Tom, pytałam o twoją rękę.

*Grey:* To na szczęście nic poważnego. Ja... znalazłem się w zasięgu jednego z tych rozruchów, o których dopiero co tu wspominali. (*Śmiech publiczności*). Ale wykipiałem się zwichniętą ręką.

*Page:* Biłeś się?  
(*Śmiech publiczności*).

*Grey:* Nie. Najechałem autem na kolczatkę i wjechałem na słup.  
(*Śmiech publiczności*).

*Page:* Mam nadzieję, że szybko wydobrzejesz. A teraz, o tym twoim pomysłem... Zaraz, zaraz, czy coś się dzieje?

*Głos z publiczności:* Dym! Czuję dym!

*Page:* Zapytam producenta. Ian? (...) Masz rację, przyjacielu, ale nie ma powodów do niepokoju. Najwyraźniej zawiewa z Newark, wiemy dobrze, że jest tam wielki pożar. Pomyślcie, macie szczęście, że jesteście tutaj, słyszałam, że na zewnątrz jest o wiele gorzej! (*Śmiech widowni*). Tom, to twoje przedsięwzięcie musiało być niesamowicie skomplikowane. Musiałeś przeanalizować wszystkie ważne czynniki wpływające na naszą sytuację, prawda?

*Grey:* Tak. Wszystkie, co do jednego.

*Page:* I możesz teraz ujawnić najważniejszy wniosek... Przepraszam? Chwileczkę. Tak, Ian, co tym razem? (...) A. Tak, oczywiście, to pilne. Już mówię... Kochany świecie, kolejne obwieszczenie... przepraszam, że tak cały czas przerywam, ale, naturalnie, nie wolno nam ignorować tego, co się dzieje. A informacja jest bardzo ważna i bardzo tragiczna. Donoszą nam, że most nad wodospadem Niagara został zniszczony – zawalił się lub został wysadzony, na razie nie wiadomo – w każdym razie, ponieważ jest to miejsce, w którym bardzo wiele osób przekracza granicę z Kanadą, wszystkie stacje radiowe i telewizyjne prosi się o poinformowanie ludzi, by

unikali przejazdu tamtędy, żeby na miejsce mogła dotrzeć pomoc, ponieważ autostrady są bardzo zatłoczone... Tom, jak mówiłam, możesz teraz wyjawić swoje wnioski, prawda?

*Grey:* Tak. Są one niezmiernie ważne. Oczywiście mogłem uwzględnić jedynie takie czynniki jak surowce naturalne, tlen, zasoby żywnościowe, rezerwy wody i tak dalej... co jest... hm... osobiście paradoksalne, bo można by rzec...

*Page:* Tom, przepraszam, ale znów mam sygnał od producenta... Tak? (...) Rozumiem. Spróbujemy. Tom, za dwie minuty mamy zejść z anteny. Prezydent przygotowuje się do nowego oświadczenia. Możesz podać te swoje wnioski? W trzech słowach. Proszę.

*Grey:* Miałem zamiar powiedzieć, że jest to trochę paradoksalne, bo w pewnym sensie działania, które wynikają z moich wniosków są już prowadzone.

*Page:* Tom, cały świat już siedzi jak na szpilkach! Wyduś to z siebie! Jaki jest najlepszy plan, aby zapewnić ludzkości długą, szczęśliwą i zdrową przyszłość?

*Grey:* Możemy przywrócić równowagę ekologiczną, uzdrowić biosferę i tak dalej, innymi słowy zacząć żyć zgodnie z posiadanymi zasobami, a nie na niespłacalny kredyt, jak to czyniliśmy przez ostatnie pół wieku, jeśli poddamy eksterminacji dwieście milionów najbardziej rozrzutnych i marnotrawnych osobników naszego gatunku.

*Page:* Panie prezydencie, niech pan sobie to weźmie do serca, jeśli jest pan w stanie. To będzie pana nagroda za zaoczne skazanie Austina Traina. Świecie, może urządzimy dla niego stos pogrzebowy? Czyż nie zasługuje...?

*(Koniec stenogramu).*

**DYM Z TEGO WIELKIEGO BUDYNKU**

Otwierając drzwi przychodzącemu z wizytą doktorowi, już gotowa do przeprosin za mąkę na rękach – akurat piekła – pani Byrne pociągnęła nosem. Dym! Skoro ona to czuje, z tym paskudnym przeziębieniem, pożar musi być naprawdę konkretny!

– Trzeba dzwonić po straż! – zawołała. – Siano się pali czy co?

– Straż miałaby kawał drogi – odparł sucho doktor. – To z Ameryki. Wiatr wieje z tamtej strony.

---

<sup>4</sup> Amerykański senator Joseph McCarthy słynął z tropienia komunistycznych agentów i rzucania na prawo i lewo oskarżeń o szpiegostwo; kiedy zaczął tropić szpiegów także w armii USA (prowadzącej wówczas wojnę w Korei), armia wysunęła kontroskarżenia; przesłuchania w sprawie „Armia kontra McCarthy” były jednymi z pierwszych transmitowanych na żywo przez telewizję (przyp. tłum.).

następny rok

## ŚLEPE STADO

*A owce głodne i nienakarmione  
Patrzają w górę odęte wiatrami:  
A ta mgła gruba, którą piją one,  
Psuje wnętrzności i między trzodami  
Śmierć i zarazę rozszerza morowę,  
Od której owce padają krociami.*

„Lycidas”, John Milton  
(przeł. B. Lenartowicz)